



ANDRZEJ SIKORA

DRUGIE

życie

Andrzej Sikora

DRUGIE ŻYCIE

Redakcja i korekta: *Zuzanna Gościcka-Miotk*

Projekt okładki: *Radosław Respond*

Projekt typograficzny i skład: *Katarzyna Szymula*

© Andrzej Sikora i Novae Res s.c. 2014.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-7722-121-1

Novae Res – Wydawnictwo Innowacyjne

al. Zwycięstwa 96/98, 81-451 Gdynia

tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.

Konwersja do formatu EPUB:

Legimi Sp. z o.o. | Legimi.com

Korytarzem ósmego piętra największej kliniki w Jokohamie szło dwóch starszych mężczyzn, wykwintnie ubranych, towarzyszących znacznie starszemu od siebie właścicielowi koncernu JURSKI GROUP, doktorowi Michałowi Jurskiemu, półleżącemu na szpitalnym wózku pchanym przez pielęgniarkę. W milczeniu doszli do windy i zjechali na parter, gdzie oczekiwał młody kierowca, który natychmiast do nich podszedł i uklonił się z japońską kurtuazją

– Wracamy do hotelu – jeden ze starszych mężczyzn zwrócił się po angielsku do młodzieńca.

Ten natychmiast się odwrócił i biegnąc w lansadach jak młody jelonek, skierował się do wyjścia z gmachu i po zaledwie paru minutach podjechał samochodem pod wejście. Dzięki temu jego pasażerowie prawie nie czekali. Kierowca bezzwłocznie wyskoczył z samochodu, chcąc pomóc pacjentowi.

– No, I'm not – powiedział jeden z mężczyzn towarzyszących choremu, równocześnie pokazując ręką, aby młodzieniec usiadł za kierownicą.

Dwaj panowie troskliwie pomogli panu Jurskiemu zejść z wózka i ulokować się w czarnej limuzynie. Za chwilę jechali ruchliwymi ulicami czteromilionowej Jokohamy.

Mężczyźni towarzyszący swojemu szefowi milczeli, nie mając odwagi o nic pytać, jedynie z twarzy pana Jurskiego mogli wyczytać, że sprawy stoją źle.

Po kilkunastu minutach dręczącej ciszy szef powiedział słabym głosem:

– Jak tylko przyjedziemy, Roman może robić, co chce, a ciebie, Edziu, muszę zabrać do siebie na rozmowę.

Podróż się przedłużała, ponieważ były korki. W końcu jakoś dojechali. Pan Jurski wyglądał na bardzo zmęczonego.

– Czy dasz radę przejść przez hol do windy? Może zorganizować jakąś pomoc? – troskliwie zapytał profesor Edward Borek, który towarzyszył prezesowi.

– Ja się tak źle nie czuję, jestem tylko wykończony psychicznie...- odparł prezes. – Ale dziękuję ci za dobre chęci. Dobrze jest mieć przy sobie przyjaciół.

Słowo „przyjaciół” wymówił w liczbie mnogiej, ale odnosiło się ono głównie do profesora, z którym znał się od około czterdziestu lat.

Poznali się w szpitalu. Jurski właśnie zrobił doktorat z ekonomii. Był już właścicielem dwóch dobrze prosperujących przedsiębiorstw, a do szpitala trafił z powodu ostrego zapalenia wyrostka robaczkowego. Młodszy od niego o dziesięć lat Edward Borek był świeżo upieczonym lekarzem i zaczynał specjalizację na oddziale chirurgicznym.

Ktoś z przyjaciół przyszedł odwiedzić chorego i pytał na korytarzu, gdzie leży doktor Jurski. W ten sposób rozeszła się pogłoska, że Jurski jest lekarzem.

Michał Jurski nazajutrz po operacji, podtrzymując oburącz obolały brzuch,

szedł korytarzem. Podszedł do niego Edward Borek i zapytał z uśmiechem:

– Panie doktorze, może panu pomóc? Daleko pan idzie? Może przyprowadzę wózek?

– Nie, nie. Dziękuję. Wszyscy mówią, że po operacji należy jak najwcześniej zacząć chodzić – odparł Michał. – A tak w ogóle to ja jestem doktorem ekonomii, a nie medycyny, za którego na pewno mnie pan bierze – dodał z uśmiechem.

– Aa! Ale to niczego nie zmienia. Może pomóc? Dzień po operacji, to musi nieźle boleć... – nalegał.

– Boli, ale chciałbym możliwie prędko stąd wyjść. Praca czeka.

– Lubi pan swoją pracę? – zagadnął lekarz.

– Lubię, bardzo lubię... A pan?

– Oczywiście. Kocham medycynę i mam wielkie plany. Oby tylko szczęście dopisało.

– Domyślam się, że zamierza pan zostać chirurgiem.

– Tak, a najbardziej interesuje mnie transplantologia.

– O, to bardzo ciekawe, ale chyba trudne?

– Trudne, ale jak się coś lubi, to wtedy jest łatwiejsze.

Pan Jurski przeszedł przez hol dość sprężystym krokiem, weszli do windy i pojechali na piąte piętro, gdzie mieli swoje apartamenty.

– Wiesz, Edziu, zamów coś do picia – poprosił szef, gdy wreszcie znaleźli się w pokoju. Następnie podszedł do okna, dłuższą chwilę stał nieruchomo i milcząc patrzył w dal.

– Czego chciałbyś się napić? – zapytał profesor. – Herbaty? Kawy? A może coś zjemy? Może zamówić coś smacznego? – proponował jak troskliwa mama.

– Myślę, że najlepsza, jako żywo, byłaby whisky – odparł Michał.

– Whisky...? – profesor zapytał głosem stanowiącym mieszankę lekkiej dezaprobaty i zdziwienia.

– Edziu, mnie już nic nie może zaszkodzić – wyjaśnił chory z goryczą.

Mimo że profesor wiedział, iż sytuacja przyjaciela jest tragiczna, wciąż liczył, że jednak tu, w Japonii, w kraju, gdzie medycyna stoi na znacznie wyższym poziomie niż w Polsce, da się coś zrobić. Teraz stał przed niewykonalnym zadaniem. Pocieszać? Ale jak? Przez chwilę zastanawiał się, co ma mówić, jak się zachować...

– Ale co ci ostatecznie powiedział profesor Takeshi Yasujiro? – zapytał nieswoim głosem.

– No! Edziu... Chyba nie będziemy rozmawiać o tym przy suchym gardle! – wykrzyknął z udawaną wesołością. – Zamów coś, do licha!

– W takim razie rzeczywiście zamówię whisky.

– Jeszcze przydałyby się dziewczyny! – zażartował Michał.

– Przydałyby się, ale przecież one nie dałyby nam rozmawiać – profesor podjął żartobliwy wątek, po czym westchnąwszy, wstał z fotela i podszedł do telefonu.

Kiedy zamawiał whisky, Michał poszedł do łazienki.

Gdy po paru minutach wrócił, trzymał w ręku zdjęty krawat. Podszedł do swojego fotela, krawat niedbale rzucił na tapczan i rozpinając kołnierzyk od koszuli, rozsiadł się wygodnie.

– Jednak prócz whisky zamówiłem herbatę i jakieś japońskie danie – zakomunikował Edward.

– Tak? A jakie? – zapytał Michał od niechcienia.

– Ach, sam nie wiem. Nie mogłem się z nimi dogadać.

– I dobrze, co dadzą, to dadzą – machnął ręką. – Ja i tak nic nie wezmę do gęby.

– Nie chcesz mi opowiedzieć, co mówił profesor? – Edward zapytał delikatnie, półgłosem, tak, żeby nie zabrzmiało to zbyt natarczywie.

– Edziu, obaj dobrze wiemy. Mam zaatakowane oba płuca, wątrobę i kręgosłup. Jest za późno, żeby coś z tym zrobić. Nawet w Japonii nie dokonuje się cudów. Nie ma cudów! Rozumiesz? – powiedział dobitnie i z głębokim żalem. – NIE-MA-CU-DÓW! – powtórzył, dzieląc słowa. – Moja wina! Moja wina! Moja!... – mówił dramatycznym tonem.

Profesor patrząc na zmęczoną twarz przyjaciela, która w ostatnich tygodniach bardzo się postarzała, zastanawiał się, co mógłby powiedzieć, żeby nie zabrzmiało to sztucznie.

– Parę miesięcy z tym chodziłem... – ciągnął Michał łamiącym się głosem. – Wpierw uważałem, że to grypa... później, że osłabienie po grypie... – przerwał na długą chwilę. – Zresztą wiesz dobrze... – dodał i znów machnął ręką, jakby chciał dać do zrozumienia, że nie warto już o tym mówić.

Siedzieli jakiś czas w milczeniu. Profesorowi nadal nie przychodziło do głowy nic, co można by powiedzieć w takiej sytuacji.

– Jeszcze miałem takie plany... Uważałem, że mogę bez trudu drugie tyle osiągnąć... Zwłaszcza że teraz na wszystko mnie stać... Edward! Profesorze! Ja chciałem całe miasto wybudować. Chciałem, żeby tam mieszkali ludzie, którzy dla mnie pracują. Jako żywo, chciałem im za pół ceny wynajmować mieszkania, domy... Najzdolniejszym chciałem dawać darmo... Rozumiesz? Darmo, żeby nie musieli troszczyć się o byt, żeby mogli skoncentrować się na pracy... – gdy to mówił, na jego twarzy przez chwilę widniał ten sam młodzieńczy zapał, który dawniej towarzyszył mu, kiedy snuł swoje plany. – Człowiek, który nie ma kłopotów, lepiej pracuje, robi wynalazki, ma więcej pomysłów, jest bardziej kreatywny... Takich ludzi mi potrzeba i do tego chciałem...

Rozległ się dzwonek przy drzwiach. Przywieziono zamówione napoje i potrawy.

Michał póležał w fotelu i czekał, aż wyjdzie obsługa. Widać było, że przeszkadza mu obecność kogoś obcego, mimo że ta osoba z pewnością i tak nic nie rozumiała po polsku.

– Ja wiem, masz prawo nie wierzyć, ponieważ nie byłem dość dobry dla swoich ludzi... – wznowił przerwany wątek, gdy tylko znów zostali sami. – Ty o tym wiesz i ja to wiem. Wiemy, że dużo od nich wymagałem. Nieudolnych, leniwych wyrzucałem... Krzychałem, zmuszałem, płaciłem nie za wiele. Niewykluczone, że Maler z tego powodu się powiesił... – przerwał i zamyślił się, jakby chciał sobie przypomnieć wszystkie swoje grzechy, które mu ciążyły. – Ale to dla dobra firmy, a co za tym idzie, dla ich dobra. Jak firma rosła, więcej ludzi miało pracę, przecież o to chodziło... – znów przerwał i myślał. – Teraz osiągnąłem ten punkt, w którym mogłem bardziej troszczyć się o nich, stwarzać im lepsze warunki! To był mój cel! Taki właśnie był mój ostateczny cel!... I patrz, jaki ten los jest perfidny! Jaki perfidny... – przestał mówić i znów się zamyślił.

– Może się napijemy? – zaproponował profesor, korzystając z przerwy.

– A pewnie, pewnie, nie pytaj, tylko lej – podchwycił Michał.

Profesor otworzył butelkę, wrzucił lód do szklanek i wlał whisky. Następnie sięgnął po półmisek z jakąś dziwną potrawą.

– Nie, nie!... Mnie tego nie dawaj! – zaprotestował Michał. – Na razie mi tego nie dawaj. Jak masz chęć, to jedz. Ja wolę się napić... A ty się nie krępuj, próbuj tych specjalów.

Powiedziawszy to, sięgnął po swoją whisky i natychmiast wypił spory łyk. Chciał odstawić szklankę, ale zmienił zamiar, przytknął ją ponownie do ust i przechylił jeszcze raz. W ten sposób połowa jej zawartości zniknęła w jego żołądku. Zrobił to wszystko tak szybko, że profesor pozostał w tyle. Kiedy Michał odstawiał już swoją whisky, profesor dopiero po nią sięgał.

– Ale się pośpieszyłeś – powiedział takim tonem, że trudno było rozpoznać, czy to przygana, czy podziw.

– Jak za dawnych lat. Nie pamiętasz, jak się piło czterdzieści lat temu? Ech! To były czasy. Człowiek miał wszystko przed sobą. A teraz? Teraz wszystko za sobą... No, nie wszystko. Jeszcze pół roku. Tak powiedział Takeshi Yasujiro. Pół roku, jak dobrze pójdzie... A ja do niedawna uważałem, że mam jeszcze ze dwadzieścia albo i trzydzieści lat.

– Musisz te pół roku dobrze wykorzystać.

– Tego nie da się dobrze wykorzystać. W życiu wszystko się planuje. A tu nie można nic planować, bo nikt nie da mi gwarancji, czy to rzeczywiście będzie pół roku i jaką część tego czasu będę zdolny do pracy. Jak widzisz, same niewiadome.

– Więc zakładaj, że to będzie dwa i pół roku, a nie pół – Michał chciał coś powiedzieć, lecz profesor nie dał sobie przerwać, mówiąc dalej. – I zmień samoocenę. Taki sposób dochodzenia do celu w historii świata przyjęły miliony innych, nie tylko ty... Oczywiście, jeśli zło jest powszechne, to z tego powodu nie staje się dobrem... Jednak ludzie już dawno zauważyli, że ta metoda to najskuteczniejszy sposób na pokonanie ludzkiej niechęci, biernego oporu, lenistwa, zawiści. Już w piętnastym wieku Nicollo Machiavelli twierdził, że cel uświęca środki. Uważał, że jeśli cel jest szlachetny, to usprawiedliwia nieetyczne metody, które stosujesz dla jego osiągnięcia...

Na chwilę przerwał i wypił łyk whisky. Michał milczał.

– Ja dodam od siebie, że zło, którym się posługujemy, nie może, ma się rozumieć, przekraczać jakichś rozsądnych granic. Rzecz jasna, nie można w ten sposób usprawiedliwiać na przykład Hitlera lub jemu podobnych, którzy po wszystkie czasy będą symbolami zła. Uważam, że ty tych granic absolutnie nie przekroczyłeś – ostatnie zdanie wypowiedział wolno i dobitnie, chcąc podkreślić jego wagę.

– Dziękuję ci za to, co mówisz... Dziękuję, że wlewasz we mnie otuchę. Dziękuję, że jesteś moim przyjacielem. Całe życie kręciło się wokół mnie mnóstwo ludzi, ale o nikim nie mogę powiedzieć tak jak o tobie, nawet o własnej żonie... – powiedział z goryczą w głosie i nagle zamilkł. W jego oczach pojawiły się łzy.

Profesor uznał, że jakiegokolwiek zagadywanie w tym momencie byłoby niestosowne.

Obaj pewien czas milczeli.

– Uważam, że kontynuacja mojego dzieła nie ma sensu – Powiedział Michał po krótkiej przerwie. Teraz mówił wolniej, spokojniej, z większym namysłem. – Nie ma sensu dlatego, że to by już nie była taka praca jak dawniej, tylko nerwowa szarpanina, na którą nie mam już siły, zwłaszcza że byłaby ona ciągle przerywana pobytami w szpitalach, zabiegami i tak dalej... Nie, nie namawiaj mnie do tego. Przeżyć pół roku czy nawet rok to... Nie, mnie to nie urządza. Zwłaszcza z takim mieczem Damoklesa nad głową.

– Ja to rozumiem... Ale nic nie robić i czekać nie wiadomo na co? – powiedział profesor z pewną nutą zakłopotania.

– Nie mów tak, bo w moim przypadku to akurat dokładnie wiadomo, na co bym czekał.

– Przepraszam cię, głupio powiedziałem... Ale ty też nie bierz wszystkiego tak dosłownie.

– Nie biorę, nie, ale wszystko, co mi mówisz, już wcześniej przemyślałem... – powiedziawszy to, Michał zamilkł. Siedział chwilę bez ruchu. Następnie sięgnął po szklankę, w której lód dawno się roztopił i na jej dnie jedynie kołysała się niewielka ilość bladoherbacianego płynu. Wypił tę resztkę energicznym ruchem,

jakby ze złością, i znów siedział w milczeniu.

Było widać, że o czymś myśli.

– Ja mam inny plan, ale nalej jeszcze, zanim ci go przedstawię – mówiąc to, wyciągnął do profesora dłoń z pustą szklanką.

Profesor wstał, szybko wypił resztkę swojego trunku, wziął od Michała jego szklankę i chciał nałożyć w nią lodu.

– Nie, nie! – zawołał Michał. – Jeśli chodzi o mnie, to ja wolę bez lodu.

– A, proszę pana bardzo... – powiedział profesor, udając uprzejmego kelnera

– A wie pan? To ja też bez lodu – wlał alkohol do obu szklanek i usiadł z powrotem.

Michał siedział chwilę, zastanawiając się, jak zacząć. Trwało to dość długo, ale profesor go nie ponaglał.

– Na pewno wiesz o tym, że w dwudziestym wieku kilku bogatych ludzi, nieuleczalnie chorych, kazało się zamrozić, w nadziei, że w przyszłości medycyna będzie tak zaawansowana, że uda się ich odmrozić, ożywić i wyleczyć. Otóż ja też tak chcę – mimo woli powiedział to dość uroczystym tonem. – Dlatego nie chcę już tej sytuacji dłużej przeciągać... Boję się, że się pojawią następne przerzuty i w ten sposób zmaleją moje szanse.

Profesor milczał. Ten pomysł najwyraźniej go zaskoczył.

– Przecież to musi być jakaś szansa. Nie wiem jaka, ale jakaś jest – dodał Michał z nadzieją w głosie.

Profesor nadal milczał.

No, powiedz coś, profesorze – ponaglił go Michał po dość długiej przerwie.

– Tak, oczywiście, ja o tym dobrze wiem. To było gdzieś tak pod koniec dwudziestego wieku. I to nie kilku ich było, a chyba parę tysięcy. Przeznaczyli na to ogromne pieniądze...

– Chyba, do licha, moich pieniędzy wystarczy... – wtrącił Michał z lekkim oburzeniem.

– Och! W to nie wątpię... Tylko że minęło pewnie ze trzydzieści lat, a może i więcej, i ta ich szansa się nie poprawiła nawet odrobinę – nieśmiało wyjaśnił profesor.

– Ja rozumiem, ale skąd wiadomo, czy za trzysta, czy sześćset albo tysiąc lat ta szansa się nie pojawi? Czy nie rozumiesz, że łatwiej jest umierać, mając jakąś nadzieję?

– Może się pojawić. Nikt, oczywiście, nie może tego wykluczyć... Dlaczego nie... Wszystkie nauki się rozwijają... Tylko że przez tyle lat świat się bardzo zmieni. Ich pieniądze w tamtym świecie mogą nie przedstawiać żadnej wartości. Przyszłe pokolenia mogą w ogóle nie być zainteresowane ożywieniem ich. Mało tego, oni jako ludzie będą o setki lat zacofani. Zupełnie niedostosowani do życia w tamtym społeczeństwie. Będą zabytkami muzealnymi, w dodatku bardzo

kłopotliwymi.

– Edwardzie, Edziu, ty mi ostatnią szansę chcesz zabrać? Czy wiesz, co to znaczy nie mieć nadziei?

– Wiem, ale muszę być w stosunku do ciebie uczciwy. Nie mogę inaczej... – starał się mówić przekonująco.

– No dobrze, jesteś uczciwy, ale, do diabła, przed chwilą powiedziałeś, że to jest jakaś szansa, ponieważ nauka się rozwija – w głosie Michała można było wyczuć ogromny żal.

Profesor siedział, nic nie mówiąc. Widać było, że ta chwila była dla niego również bardzo trudna.

– Dobrze, Michale, ja ci mogę dać sto razy większą szansę – chwilę się zastanowił i dodał: – Mówię uczciwie, według mojej oceny sto razy większą...

– Co ty masz na myśli? – Michał zapytał z zaciekawionym.

– Przeszczepię ci mózg – powiedział spokojnie, powoli wymawiając każde słowo.

– Chyba zwariowałeś! Przecież ja mam zdrowy mózg! Kilka razy mi go badali, szukając przerzutów! Ostatni raz wczoraj... Nie, ja tego nie rozumiem...

– No właśnie. Dlatego, że jest zdrowy, trzeba go przeszczepić w zdrowe ciało.

– Nie rozumiem, po co mam komuś dawać swój mózg? Edziu, ja nie rozumiem, to jakaś surrealistyczna historia! – powiedział, łapiąc się za głowę.

– Michale, uspokój się. Nie proponuję ci, żebyś komuś dał swój mózg. Chodzi o to, żeby ktoś dał ci zdrowe ciało... Nie rozumiesz tego?

– Czekaaj, czekaaj, zaczynam rozumieć... – mówił coraz bardziej zdziwiony. – Mój mózg w innym ciele... Zamiast wymienić mi oba płuca, wątrobę i... kręgosłup... ale kręgosłupa nie da się wymienić... Edziu, ja to rozumiem, ale boję się o tym myśleć. Edziu! Mój mózg w nowym ciele! – Michał nawet nie próbował powstrzymywać zdziwienia pomieszanego ze zdenerwowaniem i ze wszystkimi innymi stanami emocjonalnymi. – I to się da zrobić?

– My to ćwiczymy. Na psach to się udaje. Znasz mojego Fido?

– No tak. Popisywałeś się kiedyś, że ma dopiero półtora roku i wszystko umie. Tak, pamiętam go.

– A wiesz, dlaczego wszystko umie? Bo ma wszczepiony mózg starego psa. Cała osobowość, wiedza, upodobania, doświadczenie, wszystko przechodzi z mózgiem dawcy...

– I ty robiłeś takie operacje? – zapytał poruszony.

– Nie sam. Przy tym pracuje kiluosobowa ekipa. Cała klinika robi operacje rutynowe: serca, płuca, nerki i tak dalej, ale jest również ekipa, która zajmuje się badaniami i w ramach tych badań ćwiczy na zwierzętach takie operacje, których normalnie się nie robi.

– Coś podobnego... Nie wiedziałem o tym...

– Jak to nie wiedziałeś? Przecież sam kiedyś powiedziałeś, że te badania za dużo nas kosztują, i chciałeś tego zaniechać. W końcu jakoś cię przekonałem, a ty prosiłeś, żeby jeśli nie zaniechać, to przynajmniej ograniczyć... Dlatego robimy to na psach, a nie na małpach – w głosie profesora dało się zauważyć delikatną nutkę pretensji.

– Tak... To szkoda... Jak to wszystkiego nie da się przewidzieć... – powiedział to tak cicho, że można było odnieść wrażenie, że mówi sam do siebie. – Ale że przeszczepiasz mózgi, to o tym nie wiedziałem.

– Michał, wiedziałeś, przecież jako współwłaściciela kliniki informuję cię o wszystkim... Tylko ty się tym nie interesujesz.

– Tak, rzeczywiście, mówiłeś mi o tym, tylko ja jakoś nie przywiązywałem do tego takiej wagi.

– Nie gniewaj się, ale muszę ci to powiedzieć. Do tej pory interesowały cię tylko zyski i straty. Dawno ci to mówiłem, ale widać robiłem to zbyt delikatnie.

– Edziu, ja wiem, wiele rzeczy robiłem nie tak jak potrzeba i dobrze, że mi to powiedziałeś, bo zasłużyłem na to...

– Przepraszam cię, Michale, rzeczywiście niepotrzebnie cię teraz pouczam, przepraszam.

– A powiedz, jak dużo masz udanych przeszczepów mózgu?

– W ogóle siedem, w tym ostatnio trzy pod rząd.

– To i dużo, i mało... A ile z tych psów żyje?

– Pięć.

– Jak długo?

– Jeden żyje pięć lat i jest wszystko dobrze... Ale te ostatnio robione na pewno będą żyły dłużej.

– Powiedz... A gdybym ja teraz to sfinansował, to zrobiłbyś jedną operację na małpach i dopiero potem mnie...?

– Obawiam się, że za długo byś na to czekał, a tymczasem z tobą nie można zwlekać. Jeżeli się zdecydujesz, to już trzeba się do tego szykować... A tu problemy będą wielkie.

– Możesz mi to precyzyjniej przedstawić?

– Pierwszy problem to dawca. Trzeba znaleźć człowieka, który się nadaje, to znaczy: jest młody, zdrowy, spełnia pewne kryteria medyczne, od pewnego czasu pozostaje w stanie śmierci klinicznej i jest sztucznie utrzymywany przy życiu. Należy dogadać się z jego rodziną, żeby wyraziła zgodę na wykorzystanie jego ciała. Drugi problem jest psychologiczny: śmierć kliniczna, mówiąc rzecz jasna w olbrzymim uproszczeniu, to taki stan, w którym mózg jest już nieżywy, a ciało żyje dzięki aparaturze podtrzymującej życie. W takich przypadkach rodzina przeważnie ma nadzieję, że chory jednak się obudzi, więc pertraktacje mogą trwać

nie wiadomo ile. Bez zgody rodziny masz związane ręce.

– A jeśli ktoś za życia się zgodzi? No wiesz, za pieniądze...

– Taką umowę chyba łatwo podpisać, ale podpiszesz i co dalej? Przecież możesz i kilkadziesiąt lat czekać, aż on umrze.

– To co? Nie ma sposobu?

– Drogą legalną nie.

– A nielegalną?

– Za duże pieniądze to chyba można jakoś coś załatwić. Na pewno są jacyś nienormalni, uciążliwi dla rodziny. Wiesz, są różne patologiczne rodziny, które chętnie za pieniądze pozbędą się brata czy syna. Wyrzucasz mu chory mózg, dajesz swój... Tylko ja nie mogę nic o tym wiedzieć...

– Rozumiem, jasne. Roman to wszystko załatwi – powiedział z radością. – On wszystko potrafi załatwić... Ale... czy mogę na ciebie liczyć?

– No, cóż. Wszystko, co mam, zawdzięczam tobie. Dzięki tobie jestem współwłaścicielem olbrzymiej, dobrze prosperującej kliniki. Poza tym byłoby to olbrzymie osiągnięcie naukowe...

– Profesorze, od jutra nie jesteś współwłaścicielem, ale właścicielem.

W oczach profesora pojawiło się coś trudnego do określenia.

Drzwi gabinetu prezesa Jurskiego uchyliły się i ukazała się zgrabna sylwetka sekretarki.

– Panie prezesie, jest już pan magister Dworak – zakomunikowała miłym głosem.

– Dobrze, proszę, niech wchodzi.

Roman Dworak pracował dla prezesa od piętnastu lat. Miał ukończone studia prawnicze. Początkowo był szefem ochrony oraz człowiekiem do specjalnych poruczeń. Pan Jurski szybko dostrzegł w nim duże zdolności i niebywałą zręczność w załatwianiu różnych spraw, prędko więc awansował go na stanowisko Dyrektora do Spraw Organizacyjno-Prawnych.

Dyrektor Dworak wszedł do gabinetu prezesa, a ten gestem dłoni zaprosił go, by usiadł.

– Nie będę robić żadnych wstępów, ponieważ dobrze zna pan moją sytuację zdrowotną.

– Oczywiście... I od powrotu z Japonii łamię głowę, jak panu pomóc, panie prezesie – odrzekł usłużnie.

– Możesz mi pomóc, Romanie. Borek wymyślił sposób. Jest on trudny do zrealizowania, ale znając twoje wybitne zdolności organizatorskie, jestem pewny, że dasz sobie radę – mówiąc to, przycisnął przycisk przywołujący sekretarkę, która natychmiast ukazała się w drzwiach. – Kawa? Herbata? – zwrócił się do Romana.

– Kaawa – powiedział trochę przeciągle.

– Daj nam dwie kawy, Halinko – powiedział prezes do sekretarki i równocześnie spojrzął w kąt gabinetu, gdzie stał mały barek na kółkach i trzy fotele. – Przenieśmy się tam – dodał, wstając.

Przeszli do barku i usiedli. Prezes wyjął dwa kieliszki i butelkę brandy. Napenił kieliszki ciemnozłotym płynem i powiedział:

– Powiem krótko. Biorąc pod uwagę możliwości oficjalnej medycyny, jestem skazany na śmierć. Profesor Borek widzi jednak szansę ratunku. Trzeba jednak do tego wykorzystać metody niedopuszczalne z prawnego punktu widzenia.

Po tym lakonicznym wstępie przedstawił Romanowi szczegółowo cały projekt.

– Szefie, to jest genialne! – zawołał Dworak, wysłuchawszy wszystkiego. – Wymaga to jedynie równie genialnego wykonania, ale to jest do zrobienia... Trzeba szybko dokładnie opracować wszystkie szczegóły i przystąpić do realizacji... Ja nie widzę przeszkód... – starał się mówić barwnie i żywo gestykułował.

– Ale musi pan mieć ludzi, którym można zaufać – wtrącił pan Jurski.

– Cha, cha. Pamięta pan, jak parę lat temu uparłem się, żeby zorganizować grupę do zadań specjalnych? – zapytał, ale było to pytanie retoryczne, ponieważ nie czekając na odpowiedź, mówił dalej: – Pan był wtedy przeciwny. Mówił pan, że to będzie grupa darmozjadów, ale jakoś dał się pan namówić i grupa powstała... Właściwie nie grupa, a grupka, cztery osoby...

– Ale, jako żywo, czy oni mają jakieś zasługi dla firmy? – zapytał pan Jurski, przerywając oratorskie wystąpienie Dworaka.

– Aaa! Pewnie. Pamięta pan, jak pana szantażował ten, no, jak mu tam... Eeee... Górnicki. No, już myślałem, że sobie nie przypomnę. To przecież oni załatwili, żeby się go pozbyć... Albo jak pan pod Begorką chciał kupić te osiemdziesiąt hektarów, żeby magazyny budować, wtedy ten burmistrz panu utrudniał sprawę... To przecież oni przekonali go, że nie warto panu przeszkadzać... Albo jak ta dziennikarka się do pana przypięła i zaczęła mącić...

– Już dobrze, Romanie, już mnie pan przekonał. Szkoda czasu. Lepiej niech pan powie, kiedy przedstawi mi pan konkretne propozycje.

– Hm. Trzeba szybko. Do pojutra dokładnie wszystko przemyślę i przyjdę przedstawić w miarę szczegółowy plan... Tylko jeszcze bez nazwiska dawcy...

– Nazwiska ja w ogóle nie chcę słyszeć! – szef przerwał mu dość energicznie.

– No tak, słusznie. Jasne.

W ustalonym terminie Roman Dworak zameldował się w sekretariacie i za chwilę został poproszony do szefa.

– Co pan powie ciekawego? – zapytał prezes, witając się z dyrektorem.

– Powiem od razu tak. Chcę załatwić sprawę kompleksowo. Tak, żeby od początku do końca wszystko było przemyślane. Żeby później nie było żadnych niespodzianek... Jest taki problem: Zastanawiałem się jak to będzie po operacji. Pana już nie będzie. Żeby nikt nie pytał, musi pan oficjalnie wszystkim ogłosić, że chce pan trochę pożyć na luzie, z dala od kłopotów dnia codziennego, i że wyjeżdża pan gdzieś daleko – na przykład do Kolumbii czy do Australii albo do Chin. Osobiście byłbym za Chinami. W rzeczywistości stanie się pan powiedzmy panem X. Jako pan X chce pan tu żyć, mieszkać, kierować swoimi przedsiębiorstwami i dysponować swoimi pieniędzmi. Uważam, że jest tylko jeden legalny sposób, aby móc w nowym wcieleniu tym wszystkim dysponować. Trzeba szybko wytypować kandydata na pana X, sporządzić akt notarialny i wszystko mu przekazać. Myślę, że będzie pan chciał jakąś część dóbr zapisać najbliższej rodzinie i przyjaciołom. Trzeba ich ująć w oddzielnym akcie. Panu X należy to zapisać tak, żeby on to podpisał, ale żeby o tym nie wiedział. Jeżeli zrobi to świadomie, to istnieje ryzyko, że w pewnym momencie uzmysłowi sobie, że stał się właścicielem ogromnej fortuny, i może przestać z nami współpracować i narobi nam kłopotu. Wtedy musiałby pan unieważniać zapis, jeszcze raz szukać nowego pana X i tak dalej, a czasu mamy mało.

– Aleś nawywijał, Dworak. Nie tak sobie to wyobrażałem, ale mów, mów dalej – wtrącił szef. – Muszę przyznać, że to jest logiczne...

– Właściwie to już prawie koniec. Mogę dodać, że plan zakłada wyszukanie kilku kandydatów. Klinika profesora musi ich zbadać i wyselekcjonować najodpowiedniejszego. To wszystko proste... Jest tylko taka sprawa, że będzie dużo wydatków, takich, za które nie będzie żadnych pokwitowań ani rachunków. Jaka to będzie kwota, tego jeszcze nie wiem, ale w najbliższym czasie przedstawię orientacyjny koszt.

– Ty wiesz, Dworak, że cały ten scenariusz brzmi jak wytwór czyjejś chorej wyobraźni?

– Wiem i uważam, że to dobrze.

– Dlaczego?

– Dlatego, że tu wchodzi w grę duże przestępstwo, więc im bardziej będzie to nieprawdopodobne, tym mniejsza szansa wykrycia. Z zewnątrz wszystko musi wyglądać dobrze: pan X był i jest. Będzie na pewno wzywany na przesłuchania, bo pana rodzina z pewnością zaniepokoi się pańskim dziwnym wyjazdem i tą ogromną darowizną. Będą pana szukać, ale przecież nikomu nie przyjdzie do głowy, że pan X to właśnie pan... – Dworak przerwał, uśmiechnął się i z zadowoleniem dodał: – Chyba żeby pan zeznawał przeciwko sobie.

– Przyznaję, że to niegłupie. Nie brałem tylko pod uwagę, że będę musiał wszystko na niego przepisać, ale właściwie to przepisuję na siebie. Innego wyjścia

nie ma, bo przecież i tak wszystko stawiam na jedną kartę... – przerwał i się zamyślił. – Ale nie wyobrażam sobie, jak pan chce to zrobić, żeby on podpisał akt darowizny, nie wiedząc, co podpisuje.

– Panie prezesie, proszę się nie martwić, dzisiejsza wiedza pozwala tak manipulować ludźmi, że nie widzę żadnego problemu.

– Dobrze, więc zadzwonię do Arnolda i wstępnie się z nim umówię na spisanie tego aktu...

– Nie, nie. Lepiej, żeby to nie był pan mecenas Blumsztajn.

– Dlaczego? Przecież to mój doskonały znajomy...

– Właśnie dlatego. Lepiej, żeby to był ktoś obcy, panie prezesie. Budzi mniej podejrzeń... Poza tym gdyby coś nie wyszło, wtedy pan mecenas Blumsztajn może nas bronić.

– Dobrze. Niech tak będzie... Ty, Dworak, jednak jesteś nie z tej ziemi cwaniakiem.

Julian Podhorecki studiował na trzecim roku Wydziału Zarządzania i Marketingu na Uniwersytecie w Łodzi. Mieszkał z rodzicami. W wolnych chwilach dorabiał jako statysta w Wytwórni Filmowej. Był przystojnym ciemnowłosym mężczyzną o sylwetce sportowca. Gdy pewnego dnia wracał do domu po zakończeniu zdjęć, podszedł do niego zarośnięty mężczyzna ze wspaniałą propozycją:

– Czy chciałby pan wziąć udział w próbnym zdjęciach, które wyłonią kandydata do zagrania roli w filmie znanego reżysera?

– Czemu nie? – odparł bez namysłu. – Zawsze warto spróbować.

– I ja tak uważam. Bądź co bądź, to dla pana spora szansa, bo to jedna z ważniejszych ról. Jest tylko mały problem: Reżyser lubi mieć pewność, że osoby, z którymi pracuje na planie, nie będą chorować podczas kręcenia, bo to by opóźniało całą robotę...

– Wiem, przecież nikt nie chce zatrudniać chorych – wtrącił Julian.

– Niech się pan nie dziwi. Szef kiedyś zatrudnił aktorkę, super dziewczynę. Przez dwa dni szło wszystko doskonale, a trzeciego dnia okazało się, że to narkomanka... Wie pan, ile było z nią problemów? Kontrakt był podpisany, a tymczasem...

– Wiem, rozumiem... Jak mam udowodnić, że ze mną wszystko w porządku?

– No, wie pan... Musi się pan poddać badaniom, ale to nic takiego... Jeden dzień... Co ja gadam... Godzina, może trochę więcej. Dam panu adres polikliniki, z którą mamy podpisaną umowę. Tam się pan zgłosi i oni to błyskawicznie załatwią. Oczywiście, na nasz koszt...

– Dobrze, dobrze. Ja przecież rozumiem... Ale proszę pana. Jaki to film? –

zapytał nieśmiało.

– Aa! Jasne. Boisz się, że to pornografia?... Nie, to jest normalny film fabularny. Broń Boże nie żadna pornografia – skwapliwie zapewnił rozmówca. – Więc jak?

– W porządku. Gdzie i kiedy mam iść na te badania?

– A czy odpowiadałoby ci pojutrze rano?

– Jestem w stanie się do pana dostosować – odparł, mimo że mu to nie pasowało.

– Doskonale, ale mów do mnie Adam – powiedział, wyciągając do niego rękę.

Wyjął portfel, wyszukał w nim wizytówkę polikliniki, na odwrocie napisał numer swojego telefonu i wręczył ją Julianowi, mówiąc:

– Z tyłu napisałem ci mój numer i poprosiłbym o twój.

Julian podyktował mu swój numer, który Adam zapisał na specjalnym kartoniku.

Rozstali się, zapewniwszy się wzajemnie, że ponowne spotkanie nastąpi niezwłocznie po uzyskaniu wyników badań.

Julian postanowił na wszelki wypadek nikomu w domu ani w dalszym otoczeniu nic na ten temat nie mówić, ponieważ wciąż nie dowierzał, że coś z tego wyjdzie, tym bardziej że zdawał sobie sprawę, iż ma u wszystkich opinię fantasty i marzyciela.

Do znanej kancelarii adwokackiej zadzwonił sekretarz pana Michała Jurskiego z prośbą o umówienie spotkania z właścicielem kancelarii.

– Bardzo proszę. Za tydzień może być? – zapytała grzecznie recepcjonistka.

– Nie, pan doktor Jurski absolutnie nie może tyle czekać – grzecznie odpowiedział sekretarz. – Najpóźniej pojutrze.

– Rozumiem. W takim razie dziś przekażę sprawę panu mecenasowi i natychmiast po rozmowie do pana zadzwonię. Przepraszam, że nie mogę zrobić tego w tej chwili, ale pan mecenas jest chwilowo poza kancelarią – w jej głosie wyczuwało się lekkie napięcie, ponieważ najwyraźniej zdała sobie sprawę, że potraktowania pana doktora Jurskiego jak zwykłego klienta jej przełożony na pewno nie pochwali, jeżeli się o tym dowie.

Za niespełną godzinę zadzwonił sam właściciel kancelarii:

– Co mogę zrobić dla tak wielkiego koncernu? – zapytał z radosnym uniesieniem.

– Mamy bardzo nietypową sprawę. Pan prezes Michał Jurski zamierza przekazać znaczną część swojego majątku człowiekowi, który będzie od tej chwili wszystkim zarządzał.

- Rozumiem, jesteście do usług.
 - Ale to nie wszystko. Pan prezes chciałby, żeby to się odbyło na dużej sali z obecnością ekipy filmowej... Po prostu pan prezes chce mieć pamiątkowy film z tej uroczystości.
 - Rozumiem, rozumiem. Możemy to załatwić.
 - Nie, nie. My to załatwimy. Wynajmiemy salę i ekipę... Panu prezesowi nie chodzi o nagranie typowego dokumentu... Pan prezes chciałby, żeby to było tak trochę podfabularyzowane.
 - A, jasne, nie ma problemu. Mnie się podoba taki pomysł. Grunt to fantazja... To co? Spotkamy się w tej sprawie?
 - Oczywiście, i to jak najszybciej.
- ***

Po kilku dniach Adam zadzwonił do Juliana z informacją, że dostał już z polikliniki wyniki badań, z których wynika, iż nie ma medycznych przeciwwskazań do wystąpienia w filmie.

– Pewnie. Ani przez chwilę w to nie wątpiłem – odpowiedział z radością. – Gorzej może być z castingiem.

– Myślę, że masz sporą szansę, ponieważ jeden z asystentów reżysera widział cię kiedyś na jakichś nagraniach i później podsunął szefowi pomysł, żeby cię obejrzał.

- Super! Cieszę się. Może mi się powiedzie.
- Też mam taką nadzieję. Musimy się teraz umówić na próbne zdjęcia.
- No to się umawiamy.
- Dziś mamy poniedziałek. Myślę, że możemy na następny poniedziałek. Pasuje ci?

– Pewnie!

– Tylko zastrzegam, że ten termin to tak na dziewięćdziesiąt procent. Potwierdzę go pod koniec tygodnia. Może tak być?

– Jasna sprawa!

Za cztery dni Adam potwierdził wstępnie umówiony termin i ustalili, że spotkają się rano pod szkołą, skąd zabierze go samochodem. Równocześnie poprosił, żeby miał ze sobą dowód osobisty, ponieważ będą potrzebne jego personalia.

W poniedziałek rano pod uczelnią stał zielony samochód, a w nim czekał na Juliana znajomy mężczyzna, który przed paroma dniami przedstawił się jako Adam.

Za parę minut nadszedł Julian i wsiadł do auta. Po przywitaniu Adam zaproponował wypicie kawy:

- Wiesz, mamy ponad godzinę czasu. Ja specjalnie umówiłem się z tobą tyle

wcześniej, ponieważ chcę ci w spokojnym miejscu udzielić kilku wskazówek.

– Super.

Od razu ruszyli. Adam szybko jechał wąskimi, krętymi uliczkami. Po paru minutach zatrzymali się pod jakimś barkiem, w którym Julian nigdy nie był. Zaparkowali pojazd i weszli do środka. Mały lokalik był urządony w piwnicy, do której prowadziły kręte schody. Wewnątrz wyglądał dość schludnie. W samym środku salki znajdował się gruby filar podpierający strop, co sprawiało, że można było się tam czuć jak we wnętrzu jakiegoś zamku.

– Siadaj, a ja coś przyniosę, ponieważ tu jest samoobsługa – powiedział Adam i natychmiast odszedł, znikając za filarem, za którym stał niewielki bufet.

Za chwilę wrócił z dwiema filiżankami kawy, niesionymi bardzo nieudolnie. Postawił je na stole. Przy tej czynności odrobina brązowego płynu ulała się na spodeczek, ale nawet nie zwrócił na to uwagi.

– Uff – stęknął, jakby właśnie wykonał jakąś bardzo wyczerpującą czynność.

Chwilę siedział bez ruchu, niby odpoczywając.

– Zdjęcia będą kręcone w wynajętej sali w domu kultury – powiedział po dłuższym namyśle. – Na ogół parę dni wcześniej dajemy rolę do nauczenia. Dziś reżyser postanowił zrobić inaczej. To będzie typowa improwizacja. Musisz sobie wyobrazić, że jesteś biednym młodym mężczyzną i spotkało cię wielkie szczęście, mianowicie najbogatszy człowiek w Polsce postanowił zapisać ci cały majątek. Plan jest ustawiony w domu kultury. Będzie tam dwóch aktorów, jeden zagra rolę najbogatszego człowieka, drugi rolę notariusza, no i sekretarka... Tylko proszę, nie podrywaj jej, bo reżyser tego nie lubi – przestrzegł Adam.

– Rozumiem, ale co ja mam robić, jak się zachowywać?

– Reżyserowi chodzi o to, żeby zobaczyć, jak się prezentujesz na planie, jakie jest brzmienie twojego głosu, jak się poruszasz i w ogóle jak się zachowujesz i jak sobie z tym radzisz bez przygotowania... Możesz mówić i robić, co chcesz. Byle to miało związek z sytuacją. Moja rada jest taka: zachowywać się naturalnie. Wyobrazić sobie, że to się dzieje naprawdę, żeby to było wiarygodne, bez przesadnej gry. Rozumiemy się? I jeszcze jedno. Ja nie mogę zdradzać tytułu filmu, ale bierz pod uwagę, że jesteś przymierzany do jednej z ważniejszych ról, więc traktuj to poważnie.

– Oczywiście – zapewnił go Julian.

– Masz tremę?

– Mam... jak nie wiem co... – szczerze odpowiedział.

– To może dla rozluźnienia opowiedz mi coś o sobie: gdzie mieszkasz, jaką masz rodzinę, co byś chciał w przyszłości robić?

– Wiesz, to taka normalna, zwykła rodzina – zaczął niepewnie – Ojciec jest motorniczym w tramwajach, a mama księgową w fabryce... Całkiem przeciętna rodzina, ale najważniejsze, że się kochamy, szanujemy i dobrze nam razem... A,

i mam jeszcze młodszą siostrę, Ankę, chodzi do liceum... No proszę, przez tę tremę bym o swojej siostrze zapomniał – widać było, że się denerwuje. – Siostra jest zdolna, dobrze się uczy... – przerwał, zastanawiając się, co by tu jeszcze powiedzieć. – I jest bardzo pracowita. Dużo się uczy, a jak ma trochę więcej czasu, to pomaga w domu. W ogóle dużo siedzi w domu... To taka typowa domatorka. Ma właściwie tylko jedną koleżankę, Małgoškę. Ona jest dwa lata starsza od Anki. W tamtym roku zdała maturę i nie dostała się na studia, więc pracuje w szpitalu. Zdawała na medycynę, a tam przecież bardzo dużo kandydatów na jedno miejsce i trudno się dostać... Małgoška jest piękna... – mówił dosyć chaotycznie. Najwyraźniej trema rzeczywiście mu przeszkadzała

– Na medycynę, mówisz... Dlaczego akurat tam? Tam nie wykorzysta urody.

– Jej mama jest lekarką, więc chyba ze względu na to...

– A ojciec?

– Ona nie ma ojca, są same... Znaczy razem... O! Wiesz, pokażę ci jej zdjęcie.

Wyjął z kieszeni portfel, chwilę w nim pogrzebał i wyjął trochę podniszczoną fotografię.

– Hu! hu! Rzeczywiście piękna – stwierdził Adam, patrząc na zdjęcie. – Tylko pozazdrościć takiej dziewczyny... Jednym słowem: dzięki siostrze masz dziewczynę, i to nie byle jaką.

– To jest... – Julian zaczął mówić, lecz przerwał.

– Co jest?

– No, nie wypada się chwalić...

– Mów śmiało, jak nie będziesz się chwalić, to do niczego w życiu nie dojdiesz – zachęcił Adam. – Tacy, którzy czekają, aż inni sami dostrzegą ich zalety i należycie ich docenią, przeważnie niewiele w życiu osiągną... Zawsze zdystansują ich ci, którzy potrafią robić wiele szumu wokół siebie. Zauważ, ile sukcesów odnoszą ci, którzy bardziej stawiają na reklamę.

– Tak mówią, ale ja tak nie potrafię – powiedział niepewnie. – Mnie uczono inaczej, że trzeba być skromnym... Pamiętam, dziadek kiedyś czytał mi jakąś starą książeczkę z wierszami dla dzieci i nauczył mnie wierszyka pod tytułem Samochwała...

– Uważam, że na pewno ci nie zaszkodzi, jak od czasu do czasu zrobisz wyjątek od tej utopijnej reguły.

– Dobrze, więc chciałem się pochwalić, że Małgorzata to moja dziewczyna...

– Cha! Cha! Skoro nosisz jej zdjęcie, to i tak wiadomo – zauważył Adam.

– Cha! Cha! Ale numer – zaśmiał się Julian. – Ale wiesz? Trochę mi minęła ta trema. Wreszcie czuję się trochę rozluźniony.

– No widzisz. To porozmawiajmy jeszcze. Powiedz, co lubisz robić w wolnym czasie.

– Grywam w ping-ponga... To doskonała gra. Wyrabia zręczność, refleks. Nawet lubię ten dźwięk: pyk, pyk, pyk, pyk, pyk. Lubię też patrzeć, jak inni grają. Lubię też w czasie czyjejs gry zamknąć oczy i słuchać tego pykania. Słuchając, wyobrażam sobie, jak przebiega gra. Dla mnie ta gra to muzyka... Często grywam z moją Małgošką. Ona też to lubi. Ma nawet w domu stół do gry... Ale może teraz ty trochę pogadaj.

– Dobrze, ale powiedz jeszcze tylko, co właściwie studiujesz...

– Zarządzanie i finanse, ale opowiedz mi, jak tam będzie. Tam, gdzie jedziemy... A w ogóle to gdzie ten dom kultury? Cha! Cha! Cha! – mówił coraz bardziej chaotycznie i głośno się śmiał.

– Nie wiesz, gdzie jest dzielnicowy dom kultury?

– Nie. Właśnie usiłuję sobie przypomnieć, ale chyba nie wiem.

– Ja ci nie wytłumaczę, bo nie wiem, jak się ta ulica nazywa. Po prostu byłem tam parę razy i wiem, jak tam trafić, ale jaki tam jest adres, naprawdę nie wiem. Jak dojedziemy, to się dowiesz.

– A jak tam będzie? Cha! Cha! Powiedz mi, jak tam będzie... – zaczął się zachowywać nienaturalnie.

– Normalnie. Kamera, reżyser, parę reflektorów, parę osób obsługi. I to wszystko. Ważne, żebyś wypadł naturalnie, bez wysiłania się na przesadne aktorstwo.

– Cha! Cha! Cha! Przesadne aktorstwo! – Julian powiedział to na tyle głośno, że zza filara wyjrzała bufetowa.

– Zachowuj się ciszej. Zobacz, aż ta pani się tobą interesuje – powiedział Adam, równocześnie unosząc się trochę z krzesła.

– Ojej! – wykrzyknął Julian i wykręcił się do tyłu, chcąc zobaczyć bufetową.

Adam w tym momencie machnął ręką i wyrzucił filiżankę Juliana, w której było jeszcze sporo kawy.

– Ach! – zawołał. – Przepraszam cię bardzo. Wywróciłem twoją kawę. Co za fajtłapa ze mnie. Naprawdę, przepraszam cię najmocniej.

Poderwał się z miejsca i zrobił parę kroków w stronę bufetu.

– Strasznie panią przepraszam, ale rozlałem kawę – powiedział do bufetowej, robiąc skruszoną minę.

– Nic się nie stało. Nawet filiżanka nie pękła – powiedziała bufetowa, idąc w ich kierunku.

– To moja wina, bo zamiast pić, to gadałem! – zawołał Julian, bijąc się demonstracyjnie pięścią w piersi. – Widzi pani, kolega swoją kawę wypił, to u niego nie było co rozlewać.

– Naprawdę, panowie, nic się nie stało, ja zaraz mogę nalać drugą...

– Nie, nie, dziękujemy, bo my i tak musimy już iść – zakomunikował Adam.

– Szkoda, zapraszam na przyszłość – powiedziała, robiąc porządek na stole.

– Przyjdziemy oczywiście, przyjdziemy! – zapewnił Julian, gdy już wychodzili.

– Jak ty się zachowujesz!? Jak masz się tam tak zachowywać, to lepiej w ogóle nie iść! – skarcił go Adam podniesionym głosem, gdy już byli na ulicy.

– Bardzo cię przepraszam. To chyba przez to napięcie... Jak ono mi ustąpiło, to jakby trochę mi odbiło w drugą stronę... Ja cię przepraszam. To już się nie powtórzy...

– Przepraszaj sam siebie. Jak położysz sprawę, to miej pretensję do siebie, głupcze jeden! Zaczynam żałować, że marnuję z tobą czas.

– Adam, naprawdę cię przepraszam. Nie wiem, co mi do głowy strzeliło. Ja już będę uważać, będę się kontrolować.

– To pamiętaj.

Zaparkowali przy budynku i weszli do środka. Wszystko było gotowe. Część reflektorów już się paliła. Na środku dużej sali stało biurko, za nim siedział aktor. Łatwo można było się domyślić, że to ma być notariusz, ponieważ przeglądał jakieś papiery. Przed biurkiem stały dwa puste fotele. Wokół krzątało się parę osób stanowiących obsługę planu. Kamerzysta patrzył w kamerę. Młody reżyser, jak to na planie, rządził wszystkimi.

– A, jesteście – ucieszył się, widząc wchodzącego Adama i Juliana. – Prezes spóźni się parę minut. Przed chwilą dzwonił, że utknął w korku.

Rzeczywiście, po paru minutach za oknem ukazała się granatowa limuzyna, z której wysiadł starszy mężczyzna i wolnym krokiem szedł w kierunku wejścia. Przekroczył próg i nie zatrzymując się, podążył w stronę stołu.

– Nie! Nie! Nie tak! – zawołał reżyser. – Proszę wyjść na zewnątrz i wejść jeszcze raz, zaraz po wejściu zatrzymuje się pan i wzrokiem gospodarza rozgląda się pan dookoła, w tym momencie młody człowiek podbiega do pana i się z panem wita. Następnie idziecie w kierunku stolika, witacie się z notariuszem, siadacie i rozpoczyna się procedura.

Wznowiono nagrywanie. Zgodnie z wytycznymi reżysera Julian podbiegł do prezesa, uklonił się z szacunkiem, ale bez zbytniego uniżenia, i z lekkim uśmiechem powiedział:

– Dzień dobry, panie prezesie. Ze skruchą muszę przyznać, że do ostatniej chwili nie wierzyłem, że pan przyjedzie i że to się dzieje naprawdę – powiedział spokojnie.

– Zapamiętaj, młody człowieku, żebyś w przyszłości nigdy nie wątpił w to, co do ciebie mówię – powiedział prezes i wyciągnął do niego dłoń.

W tym momencie reżyser zaczął machać ręką, żeby szli w kierunku stolika, ale okazało się to zbędne, ponieważ sami ruszyli.

Julian uważnie obserwował zachowanie partnera i reżysera, żeby móc na bieżąco dostosowywać się do sytuacji.

Gdy byli w połowie drogi, notariusz wstał. Doszli do stolika, zatrzymali się i stanęli twarzą w twarz. Julian rozumiał, że nie może się z niczym wyrywać. Był tak podniecony, że aż szumiało mu w głowie, ale nie odczuwał tremy. Przeciwnie, był jakoś dziwnie pewny siebie i radosny. Postanowił, że musi to zadanie wykonać dobrze, po prostu dobrze. Kamera była tak ustawiona, że prezesa i notariusza pokazywała prawie z przodu, jego zaś prawie od tyłu. Ułatwiało to Julianowi sprawę, ponieważ nie musiał pilnować swojej mimiki. Przemknęło mu przez myśl, że w tej sytuacji wystarczy koncentrować się jedynie na tym, co mówi.

Gdy o tym pomyślał, prezes zaczął się witać z notariuszem. Coś do niego powiedział, ale Julian nie zrozumiał co. Odruchowo i on przywitał się z notariuszem. Prezes nadal stojąc, zaczął mówić, ale nie do niego, lecz do kamery.

Julian uświadomił sobie, że i on będzie musiał coś powiedzieć, a to, co powie, powinno nawiązywać do wypowiedzi prezesa. Niestety, to, co mówił prezes, było jakies niezrozumiałe i odległe. Stał nieruchomo, uśmiechał się i słuchał.

Zrozumiał tylko, że prezes przez całe życie zastanawiał się, czy znajdzie kogoś, komu będzie mógł wszystko przekazać, kogoś, kto będzie potrafił dalej poprowadzić jego dzieło... I oto szczęście mu dopisało. Oto u schyłku życia stoi przed nim młody człowiek, sprawdzony, uczciwy i zdolny, któremu bez żadnych obaw może wszystko powierzyć.

Prezes mówił dużo więcej, ale Julianowi udało się wyłuskać z tych słów jedynie kwintesencję. Teraz on musi odpowiedzieć mądrze, kwieciste i przekonująco... I w tym momencie stał się cud. Przyszły mu na myśl słowa, które wydały mu się nie tylko odpowiednie, ale także ładne. Takie, których się nie spodziewał ani nie planował.

Zaczął mówić:

– Historie ludzi obfitują w spotkania i rozstania. Lecz los jest ślepy i z tego powodu z większości spotkań nic nie wynika, a jeśli nawet, to częściej zło, podstęp i nienawiść. Nieraz idąc ulicą, zastanawiałem się, jacy są ludzie, których mijam. Niestety, nasz umysł nie potrafi przeniknąć tajemnicy drugiego człowieka. To dobrze, tak musi być... Uczył mnie kiedyś stary, dobry i mądry nauczyciel, że kiedy spotyka się dwoje ludzi, którzy mają ten sam szlachetny cel, w niebie rozbrzmiewają fanfary. Ja myślę, że kiedy miałem szczęście spotkać pana prezesa, zagrały fanfary, dlatego błagam opatrność, aby dodała mi mądrości i sił, żebym mógł sprostać zadaniu i nigdy nie zawieść pana prezesa. Wiem, że jestem młody i niedoświadczony, ale życie zdążyło mnie już nauczyć jednej, jak myślę, ważnej rzeczy: pracy nad sobą.

Julian wypowiadał te słowa, patrząc w oczy prezesowi.

Za chwilę zabrał głos notariusz. Ktoś poprosił ich, żeby usiedli. W tym samym momencie myśli Juliana wyswobodziły się spod władzy jego umysłu

i poszybowały gdzieś w nieznane rejony. Julian siedział naprzeciwko prezesa, ale nie wiedział, co się wokół dzieje. Ktoś wziął od niego dokumenty, później kazano mu coś podpisać.

Wreszcie dotarło do niego, że to już koniec. Ucieszył się. Filmowcy, zajęci ładowaniem swojego sprzętu do samochodu, nie zwracali na niego uwagi. Aktora grającego prezesa już nie było. Aktor grający notariusza podszedł do niego i składał mu gratulacje.

– Nie jestem pewien, czy dobrze wypadłem... – odrzekł Julian.

– Widać było, że jest pan trochę stremowany, ale moim zdaniem wszystko wypadło bardzo dobrze – pocieszył go.

– Myśli pan? – zapytał Julian. – Ale... – chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz właśnie podszedł do nich Adam i powiedział, że mogą już wracać.

Powiedzieli wszystkim „Do widzenia” i wyszli.

Było już południe.

– Gdzie cię zawieźć? – zapytał Adam, gdy podeszli do samochodu.

– Najlepiej pod szkołę, tam gdzie się spotkaliśmy.

– Widzę, że stres cię wykończył – zauważył Adam, kiedy odjeżdżali spod budynku.

– Okropnie, aż mam luki w pamięci.

– Tak? Ale poszło chyba dobrze. Przynajmniej ja mam takie wrażenie... To nie znaczy, że i reżyser musi tak uważać.

Adam rozmawiał z nim innym tonem niż rano. Robił wrażenie trochę zakłopotanego.

– A kiedy będzie wiadomo?

– Nie wiem. Reżyser wyjechał. Będzie w przyszłym tygodniu.

– Tak od razu? Prosto z planu?

– Nie, ten to nie reżyser. To jego zastępca. On tylko nagrywa, a nie ocenia. Tamten po powrocie obejrzy i oceni. Wtedy zadzwonię do ciebie i wszystko ci powiem.

Prezes Jurski wszedł do swojego sekretariatu, w którym pracowały trzy osoby: sekretarz prasowy, sekretarz do spraw kontaktów i Halinka, bardzo pracowita i zdolna młoda osoba, prowadząca wszystkie sprawy bieżące.

Powiedział zdawkowe „Dzień dobry”, przeszedł przez sekretariat i wszedł do swojego gabinetu, w którym przepracował ostatnie czternaście lat.

Rozejrzał się dokoła i usiadł za biurkiem. Chwilę posiedział, zajrzał do szuflad, w jednej trochę pogrzebał i patrząc w okno, cicho powiedział:

– Nie ma co przeciągać.

Sięgnął po telefon i zadzwonił po Halinkę. Gdy weszła, kazał jej usiąść,

uśmiechnął się najpogodniej, jak umiał, po czym powiedział cichym głosem:

– Jutro wyjeżdżam na bardzo długo. Chcę ci, Halinko, podziękować za tych parę lat pracy. Niestety, mój następca jest teraz nieobecny, więc nie mogę go tu wprowadzić. To młody człowiek, Julian Podhorecki. Za kilka tygodni sam się tu do ciebie zgłosi i proszę cię, żebyś traktowała go jak swojego szefa.

Halinka była tak zaskoczona tą nagłą informacją, że nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Zdołała się jedynie na krótkie zdanie:

– Może pan prezes na mnie liczyć...

– Zawsze na ciebie liczyłem i nigdy się nie zawiodłem, dlatego daję ci w nagrodę czek na trzy tysiące euro. Kup sobie jakiś drobiazg na pamiątkę.

Powiedziawszy to, wstał, wsunął w dłoń zaskoczonej dziewczyny czek i bez słowa wyszedł i pojechał wprost do swojej rezydencji.

Był niebywale zmęczony. Bardzo bolał go zaatakowany przez chorobę kręgosłup i spuchnięta do ogromnych rozmiarów wątroba. Kierowca powoli przejechał przez szeroko rozwartą bramę. Tuż za bramą stary ogrodnik sadził jakieś krzewy. Jeszcze pół roku temu Jurski z pewnością zainteresowałby się tym. Kazałby kierowcy zatrzymać samochód, zapytałby ogrodnika o nazwę roślin, chwilę by porozmawiał, zganiłby za jakieś niedociągnięcia – tego wymagała pozycja gospodarza. Dziś było inaczej. Zgnębiony, zniewolony przez chorobę, nie miał ochoty na takie manifestowanie swojej władzy. Chciał tylko jednego: pozalać wszystkie swoje sprawy i wyjechać do Kolumbii. Spojrzał do tyłu na zamykającą się za nimi bramę. Patrzył inaczej niż dawniej. Dziś ta zamykająca się brama była czymś więcej niż dawniej, dziś ten obraz miał dla niego znaczenie symboliczne.

Podjechali pod główny pałac, wybudowany dwadzieścia lat temu, będący przedmiotem dumy prezesa, obiektem chętnie pokazywanym różnym swoim gościom. Oprawdzał ich niczym kustosz po muzeum. Otwierał rozmaite drzwi, wchodził parę kroków do pomieszczenia i informował zwiedzających: „To jest kuchnia” albo: „To jest stołówka dla służby”. Spożywający posiłek po wyjściu szefa komentowali: „Pokazuje nas jak zwierzęta w ZOO”.

Wysiadł z samochodu, odprawił kierowcę i wszedł do holu. Czekąca go rozmowa z żoną, synem i Anną. Anna Radwan była jego cioteczną siostrą, najważniejszą osobą w pałacu. Oczywiście po nim. Zajmowała się organizowaniem przyjęć. Nadzorowała pracę sprzątaczek, pracowników kuchni, ogrodnika, ochrony i decydowała, ile pieniędzy można wydać na różne cele, przy tym czuwała nad moralnością i dyscypliną. Anna była zadziorną ekscentryczką. Nic więc dziwnego, że była osobą stanu wolnego. W młodości miała, co prawda, paru narzeczonych, jednak żaden nie zdołał sprostać jej surowym wymaganiom i jak to określała „odchodził w odstawkę”. Nieraz kłóciła się z Michałem lub pouczała go, czego najbardziej nie lubił, albo całymi dniami wojowała z nim o coś, mimo to tolerował

ją, a nawet szanował. Może dlatego, że miała odwagę robić mu wyrzuty, kiedy inni milczeli, co nieraz uchroniło go od popełnienia jakiegoś nietaktu lub większego błędu.

Z trudem wszedł na schody. Po drodze zajrzał do Anny i poprosił, żeby wraz z żoną i synem przyszła do jego gabinetu.

Anna i syn przyszli prawie natychmiast.

– Alicja powiedziała, że nie może przerwać tego, co robi, i w tej chwili nie przyjdzie... Przyjdzie za kilka minut – wyjaśniła Anna.

– Dobrze, siadajcie – wskazał dłonią wielką skórzaną kanapę. – Tymczasem utniemy sobie taką luźną pogawędkę... Martwię się o ciebie, Wiktorze – dodał, patrząc na syna.

– Ja o ciebie też – odpowiedział i energicznym machnięciem głowy odrzucił do tyłu swoje długie blond włosy.

– Bardzo ci dziękuję – odrzekł ze smutnym uśmiechem. – Ale to nie to samo. Mnie niszczy choroba, a ty niszczysz sam siebie. Ja osiągnąłem dużo, a ty, jako żywo, masz prawie czterdzieści lat i co osiągnąłeś?

Twarz Wiktora sposepniała, a jego dość ostre rysy, które odziedziczył po matce, jeszcze bardziej się zaostriły.

– Tato, bo żyjemy w takich czasach. Ludzie nie cenią sztuki. Wolą kupować samochody niż obrazy...

– Zwłaszcza kiedy ktoś marnuje czas na hulanki, zamiast malować. Ja nie rozumiem, jak można tak życie marnować... Nie możesz się utrzymać jako malarz, trzeba było robić coś innego. Zaangażowałem cię na próbę do pracy w firmie, ale przykładałeś się do niej tak jak do malarstwa. Nikt nie mógł na tobie polegać, nikt nie chciał z tobą współpracować... Przecież powinienś brać pod uwagę, że ja nie jestem wieczny, że kiedyś odejdę i ktoś musi tę firmę dalej prowadzić... Jak można tak życie przebiimbać, ciągle liczyć na kogoś... Normalny człowiek ma jakieś plany, jakieś ambicje, do czegoś dąży, a ty do czego dążysz? Powiedz mi, do czego ty dążysz? No powiedz, słucham!

– Tato, bo wy z mamą od dziecka mi wszystko organizowaliście, nie pozwalaliście mi na samodzielność. Ja się tak przyzwyczaiłem i już inaczej nie potrafię...

– No tak! Gdzie ta Alicja, ona powinna tu być i słuchać tego – krzyknął, wymachując ręką. – Anno, co ona właściwie robi?

– Może ja po nią pójde? – zapytała niepewnie.

– Dobrze, idź – powiedział drżącym ze zdenerwowania głosem – ale wpierw odpowiedz mi na moje pytanie!

– Robi maseczkę – odpowiedziała niechętnie.

– No proszę. Robi maseczkę – powtórzył z rezygnacją.

– Anna wyszła i za chwilę wróciła z Alicją, na której twarzy można było

zauważyć wesołość z odrobiną pretensji i resztki miodowej maseczki.

– Alicjo, mam ważne rzeczy do powiedzenia – Michał zaczął mówić spokojnie i powoli. – Cztery osoby na ciebie czekają, a ty każesz na siebie czekać.

– Hę, ja tu naliczyłam trzy osoby...

– No, patrzcie, ja już się nie liczę za osobę, ale nieważne, niech i tak będzie. Mam ważne sprawy do zakomunikowania, ale na początek dla rozluźnienia atmosfery muszę ci powiedzieć jak nasz syn odpowiedział na zarzut, że nie interesuje go praca, lecz hulanki... Proszę – zwrócił się do syna. – Powtórz sam, co powiedziałaś.

– Yy, powiedziałem, że tak mnie wychowaliście... Bo to prawda. – odrzekł z uśmiechem.

– Oj, przesadzasz, Michale... – Alicja jak zawsze zaczęła bronić syna. – Nie rozumiem, co ty od niego chcesz? Przecież on się stara. Nie widzisz tego, bo się uprzedziłeś... Nie ma takiego talentu jak ty, ale się stara.

– Nie ma talentu – powtórzył Michał. – Ludzie więcej osiągają pracą niż talentem... – dodał półgłosem, jakby mu nie zależało, żeby to usłyszano. – Zresztą, to już nieważne. Chodziło mi o to, że moje życie dobiega końca, a ja nie mogę przekazać tego interesu mojemu synowi. Ale to już wasza sprawa, trzeba było wcześniej o tym myśleć.

– Przecież możesz mu przekazać. Od wszystkiego są dyrektorzy...

– Tak, tak... Wiecie? Ręce opadają, jak człowiek czegoś takiego słucha... – pokręcił głową z dezaprobatą. – Dwoje takich dyletantów jak moja żona i syn na czele ogromnego koncernu. Tylko niedorozwinięty może coś takiego wymyślić! – ostatnie zdanie wypowiedział podniesionym głosem. – Dać dyrektorom wolną rękę i oni poprowadzą firmę! Ja nie wiem, czy tu się śmiać, czy płakać... Ale nieważne – machnął ręką z lekceważeniem.

Michał Jurski siedział chwilę w milczeniu. Jego rozmówcy nie mieli odwagi podejmować dyskusji. W pomieszczeniu słychać było brzęczenie osy, która wleciała przez otwarte okno. Obserwowali, jak owad zaczął krążyć wokół głowy pani Jurskiej, odpędzającej go machaniem ręki.

– Słuchajcie, do diabła, kiedy do was mówię, nie zajmujcie się osą! Słu-chaj-cie! – starał się mówić dobitnie. Był zdenerwowany i trochę bezradny wobec ich ignorancji, która nawet nie była ich winą – po prostu tacy byli. Nigdy za nim nie nadążali, a on był niecierpliwy. – Mnie niewiele życia już zostało. Mam wszystkiego dosyć. Mam dosyć tej firmy i was też. Jutro wyjeżdżam i nie wiem, czy wrócę. Chcę pożyć trochę jak zwykły człowiek. Wąchać zapach ciepłego wiatru, jeść owoce prosto z drzewa, słuchać śpiewu ptaków, widzieć, jak słońce zachodzi za góry, nie śpieszyć się... – mówił zamyślony. Wydawało się, że kierował te słowa nie do nich, lecz do jakiegoś odległego, niewidzialnego słuchacza. – Całe życie o tym marzyłem... Dlatego jutro wszystko zostawiam i jadę

do Kolumbii.

Zapanowała cisza. Słyszeć było tylko osę uparcie brzęczącą wokół głowy Alicji.

– Wszystko przekazałem człowiekowi – mówił tym samym cichym i spokojnym głosem, patrząc w dal – który od tej pory będzie podejmował wszelkie decyzje. On ma prawo o wszystkim decydować. To młoda osoba, ale mądra. Proszę jej słuchać, nie utrudniać i nie robić na złość, bo to dobry człowiek...

Pan Jurski na chwilę się zamyślił. Po krótkiej przerwie znów podjął temat, ale teraz jego głos brzmiał bardziej stanowczo i oficjalnie:

– Tyle miałem wam do powiedzenia. Proszę o nic nie pytać i nie dyskutować, bo to są decyzje ostateczne i niepodlegające dyskusji... – zrobił dłuższą przerwę, zastanawiając się, czy wszystko powiedział, po czym dodał łagodniejszym tonem: – I jeszcze jedno. Gdyby on miał chęć zamieszkać w moim pokoju, bardzo proszę, żeby nikt nie robił mu trudności.

– A któż to taki ten twój namiestnik, czy możesz nam to powiedzieć? – z ironią zapytała Alicja.

– Ależ oczywiście, jako żywo, właśnie miałem taki zamiar. Jest ekonomistą, jak ja. Nazywa się Julian Podhorecki.

Wypowiedziawszy te słowa, pan Jurski uznał audiencję za zakończoną i poszedł do swego pokoju. Tam przejrzał rozmaite papiery i te, na których mu zależało, schował do pancерnej szafy. Umieścił tam również sto tysięcy euro, które pobrał dziś z banku i przywiózł w małej walizeczce. Była to rezerwa na drobne wydatki. Zamknął kasę i schował klucz w sobie tylko wiadomym miejscu.

Był słoneczny kwietniowy poranek. Julian właśnie wychodził do szkoły. Gdy zbiegał po schodach, w jego kieszeni zadzwonił telefon. Nim się zgłosił, odruchowo spojrzał na wyświetlacz. Dzwonił Adam. Serce zabiło mu mocniej. „Może to właśnie ten najważniejszy w życiu dzień? Może mnie zakwalifikowali?” – pomyślał i jednocześnie zrobiło mu się wstyd, że tak naiwnie i dziecinnie podchodzi do życia. Zgłosił się.

– Cześć, Julku! Zakwalifikowali cię! Cieszysz się? – w telefonie odezwał się sztucznie wesoły głos Adama. Julian jednak nie zauważył tej sztuczności. – Gdzie ty jesteś, bo musimy się natychmiast spotkać...

– Jestem pod domem, właśnie miałem jechać na uczelnię...

– To nigdzie się nie ruszaj. Zaraz po ciebie przyjadę.

Minęło ledwie kilka minut i przyjechał.

– Szybko wsiadaj! – zawołał przez uchyloną szybę. – W pierwszym rzędzie wyłącz telefon, żeby nie przeszkadzał... Od tej chwili nie ma cię dla nikogo. Jasne? – zakomenderował, gdy tylko Julian znalazł się w samochodzie, i natychmiast

ruszył.

– Po co taki pośpiech? – zapytał jak zawsze z uśmiechem, wyjął z kieszeni telefon i posłusznie go wyłączył.

– Reżyser chce zaraz z tobą rozmawiać, a to taki facet, któremu się wiecznie śpieszy. Mamy się spotkać w tej kawiarence, w której wtedy byliśmy.

Po kilkunastu minutach szybkiej jazdy podjechali pod znajomy lokalik.

– Jeszcze go nie ma – stwierdził Adam z wyraźną ulgą. – Samochodu nie ma, to znaczy, że jego nie ma, ale to lepiej, bo on bardzo nie lubi czekać... Natomiast absolutnie mu nie przeszkadza, jak inni na niego czekają. Chodź, wejdziemy i wypijemy po kawie, nim raczy się zjawić.

– Ja dziękuję, już w domu piłem.

– No to co, do licha, mam sam pić? – powiedział Adam z nieukrywaną złością.

Weszli i usiedli przy tym samym stoliku co poprzednio.

– Więc jak z tą twoją kawą?

– No, niech już będzie – odparł, nie chcąc robić przykrości człowiekowi, który tyle dla niego zrobił.

Adam zniknął za filarem. Za chwilę dało się słyszeć znajomy głos bufetowej i syczenie ekspresu do kawy oraz nieudolne komplementy Adama kierowane do kobiety.

Julian cały czas widział kawałek jego ramienia i łokieć wystający zza filara. Zapach kawy przyszedł prędzej, niż Adam ją przyniósł.

– Wiesz, ja nie wszystko pamiętam z tamtej sesji nagraniowej – zwierzył się Julian. – Pewnych fragmentów za nic nie mogę sobie przypomnieć... Zupełne dziury... Zwłaszcza tego aktora, co grał bogacza. Zupełnie nie pamiętam, jak wyglądał ani jak się nazywał.

– To stres. Widziałem, jaki byłeś roztrzęsiony. Nie przejmuj się... Jak chcesz, mogę ci go trochę opisać – pocieszył go i sięgnął po kawę. – Ja jego nazwiska też nie pamiętam, bo w ogóle go nie znam. Ale wygląd mogę ci opisać.

– To opisz, bo głupio będzie, jak go spotkam i nie poznam.

– Był dość niski. Ja bym go ocenił na metr siedemdziesiąt. Był w średnim wieku, myślę, że więcej jak pięćdziesiąt lat na pewno nie miał... I był dość gruby. Miał szary garnitur, ale to najmniej ważne, bo przecież następnym razem może być inaczej ubrany. Teraz, jak go spotkasz, już łatwiej będzie ci go poznać... A, i był mocno opalony.

– Na pewno trochę łatwiej... – rzekł Julian, sięgając po kawę.

Siedzieli kilka minut w milczeniu.

– Co, masz dziś nieprzewidziane wagary? – powiedział Adam, chcąc przerwać tę ciszę, ponieważ była dla niego trochę kłopotliwa.

– No właśnie... Ale na uczelni nie było w planie niczego ważnego, więc nic

się z tego powodu nie stanie

– I dobrze. To chyba ważniejsze dla ciebie? – mówił cokolwiek, byle mówić, byle zachowywać pozory normalności.

– Bardzo bym chciał, żeby tak było.

– Przecież mówiłem, że cię zakwalifikowali.

– Ale to nie wszystko. Teraz jeszcze muszę się dobrze z tego wywiązać, a wiem, że to nie takie proste... Wiesz, że ja jestem amatorem, a nie zawodowym aktorem.

– Nie przejmuj się, jakby reżyser chciał zawodowca, to nie szukałby amatora.

– Poza tym nie chciałbym z tego powodu zawalić studiów. Rodzice by mi nie wybaczyli...

– I Małgośka.

– Właśnie, i Małgosia.

– A powiedz, jak ci idą te studia?

– Dosyć dobrze...

– Rozumiem, że całkiem dobrze, tylko nie chcesz się chwalić, zgodnie z tym, co mi poprzednio mówiłeś?

– W każdym razie jest tam parę osób lepszych ode mnie...

– Pewnie, wszędzie znajdują się lepsi... Ale pijmy tę kawę, bo tylko patrzeć, jak on przyjedzie – popędzając go, chwycił swoją filiżankę, żeby dać przykład.

Julian posłusznie podniósł swoją, przyłożył do ust i przechylił. Gdy postawił ją z powrotem na stoliku, Adam spojrział i zobaczył, że jest pusta. Na jego twarzy pojawił się ledwo zauważalny wyraz zadowolenia.

Parę minut siedzieli, nie rozmawiając. W pewnym momencie Julian zaczął się głośno śmiać.

– Z czego się śmiejesz? – zapytał Adam i sięgnął po telefon.

– Bo masz taką dziwną minę – odpowiedział Julian, nadal się śmiejąc.

– Dlaczego nie przyjeżdżasz? – zapytał Adam do telefonu. Chwilę słuchał rozmówcy, wyłączył telefon i zwrócił się do Juliana: – On już dojeżdża.

– Kim jest ten on? – zapytał Julian niewyraźnym głosem.

– To główny reżyser – wyjaśnił Adam.

– Aaa! – odpowiedział Julian.

Za chwilę otworzyły się drzwi i wszedł nieznajomy mężczyzna.

– Wstawaj, Julku – powiedział Adam.

Julian posłusznie wstał.

Wychodzimy – zakomenderował i zrobił dwa kroki w stronę wyjścia.

Julian lekko się zataczając, posłusznie poszedł za nim.

Przywieziono go do jakiegoś szpitala. Adam chciał mu pomóc wyjść z samochodu.

– Dziękuję, ja sam... – wymamrotał niewyraźnie.

– Jak chce, to niech idzie sam – powiedział główny reżyser. – Nawet jeszcze lepiej.

Szedł z nimi korytarzem, lekko się zataczając. Z przeciwka śpieszyły w ich kierunku dwie osoby ze szpitalnym wózkiem. W pewnym momencie nachylił się i zaczął wymiotować.

– Ej! Tego nie było w scenariuszu – zawołał reżyser.

– Niech pan nie ma do niego pretensji – powiedziała pielęgniarka, chwytając go pod rękę. – Przecież on jest chory... A w ogóle idźcie, panowie, już stąd. My sobie damy radę bez panów – zwróciła się do Adama i reżysera.

Położyli go na wózku i pojechali korytarzami.

Wjechali do jakiejś sali. Natychmiast przyszły jeszcze dwie osoby.

– Musimy pana zbadać – powiedziała jakaś kobieta ubrana na zielono.

– Ekstra. Lubię, jak mnie badają – wymamrotał Julian i znów zaczął wymiotować.

– O! Bardzo dobrze, niech mu się żołądek oczyści – powiedział mężczyzna ubrany na biało. – I podłączcie mu kroplówkę.

Po kilku minutach Julianowi zachciało się bardzo spać.

Słyszał, jak jakiś męski głos mówi: „Szykujcie go powoli do operacji... Na jutro rano ma być gotowy. Rano zaczynają...”.

Julian chciał im wyjaśnić, że to pomyłka, ponieważ on tylko miał się spotkać z reżyserem, ale chęć snu była tak silna, że zasnął, nic nie powiedziawszy.

Słyszał przez sen jakieś nieokreślone dźwięki. Po pewnym czasie zorientował się, że to ludzka mowa. Nie rozumiał słów, ponieważ nie był w stanie wyselekcjonować ich spośród innych bodźców akustycznych, które atakowały go z różnym natężeniem. Męczyło go to, drażniło, ale był wobec tego zupełnie bezradny. Uchylił powieki, żeby się zorientować, co się dzieje, ale nie mógł patrzeć, gdyż jasność była tak ogromna, że aż sprawiała ból. Nagle tuż koło siebie usłyszał całkiem wyraźny kobiecy głos:

– Zobacz, Jolu, on się budzi.

Głos wydał mu się ostry i nieprzyjemny. Najchętniej zatkałby sobie uszy, ale nie miał dość sił, żeby to zrobić. Jedyne obrona przed atakującymi go bodźcami ograniczyła się do zamknięcia oczu. Głos jednak nie dawał za wygraną i zaczął go dotykać, a w dodatku tuż przy jego głowie powiedział:

– Panie Julianie, jak się pan miewa?

W tym samym momencie drugi głos powiedział:

– Ja już dzwonię – głos numer dwa był na szczęście cichszy i odleglejszy. Ostrożnie ponowił próbę otwarcia oczu, ale światło nadal było za silne.

– Światło mnie razi – wystękał.

– Już, panie Julianie, zasłaniamy – odpowiedział natychmiast głos numer jeden.

– Ja nie jestem żaden Julian – znów wystękał.

– Jak to nie? Przecież mam tu pana kartę, na której jest napisane: Julian Podhorecki. Ale nieważne. Zaraz zasłonię żaluzje i będzie mógł pan otworzyć oczy.

Za chwilę głos uprzejmie zakomunikował, iż jest już ciemniej. Rzeczywiście, nawet przez zamknięte powieki można było to zauważyć, ale pacjent po wypowiedzeniu kilku wyrazów był już tak bardzo zmęczony, że zrezygnował nie tylko z otwarcia oczu, ale i przestał się odzywać.

Głosy kobiece były na tyle uprzejme i miłe, że również zamilkły.

Profesor Edward Borek przyszedł nad podziw prędko. Podeszedł do chorego w milczeniu i przez chwilę go obserwował, nic nie mówiąc. Następnie zwrócił się do damskich głosów z propozycją, żeby poszły wypić kawę. Gdy wyszły, poprosił pacjenta, żeby poruszył palcami prawej dłoni, a następnie lewej.

– O! Świetnie – pochwalił z zadowoleniem. – Doskonale. A jak się pan nazywa?

– Michał Jurski – wymamrotał bardzo niewyraźnie.

– Wyśmienicie – znów pochwalił profesor. – Ja już pana nie będę męczyć. Niech pan wypoczywa i nabiera sił, a za parę godzin znów się zobaczymy, i to na dłużej.

Przed odejściem nakazał młodej lekarce, która prawie bez przerwy przebywała przy jego łóżku, aby nikt pacjenta nie męczył i nie rozmawiał z nim. To „nikt”, dotyczyło w zasadzie tylko owej lekarki i pielęgniarki, ponieważ żaden z pozostałych pracowników kliniki nie był wpuszczany do sali.

Pacjent w oczekiwaniu na ponowne przyjście profesora usiłował zrozumieć, jak właściwie znalazł się w szpitalu, i ani rusz nie mógł sobie przypomnieć niczego, co by tę sytuację wyjaśniało. Nazwisko Podhorecki, które wymieniła lekarka, wydawało mu się znajome, ale nie wiedział, gdzie i kiedy je słyszał.

Wysiłek myślowy męczył go tak samo jak fizyczny. Znów zapadł w sen.

Wczesnym popołudniem zgodnie z obietnicą przyszedł profesor i widząc, że pacjent śpi, zaczął rozmawiać z lekarką. Sen okazał się dość płytki, ponieważ pacjent po chwili otworzył oczy. Patrzył na rozmawiających i słuchał.

– Edwardzie... – powiedział dość wyraźnie i lekko uniósł głowę.

Lekarka zapytała, czy będzie potrzebna, a gdy profesor pokręcił przecząco głową, natychmiast wyszła.

Słyszac lekarkę, pacjent zorientował się, że był to głos numer dwa.

– Cieszę się, że widzę cię w dobrej formie – powiedział Edward. – Ale czy ty wiesz, co tu robisz?

Już po minie pacjenta można było poznać, że nie za bardzo, więc nie czekając na odpowiedź, profesor mówił dalej:

– Uciekłeś przed śmiertelnie ciężką chorobą i żeby ona cię nie dopadła, zmieniliśmy ci nazwisko. Teraz nazywasz się Julian Podhorecki... Jak ci się to podoba?

– Więć jednak się udało... – powiedział bardzo cicho. – Ostatnio żyłem tylko tą nadzieją, więc trochę to pamiętam, ale wielu innych rzeczy – nie.

– To dobrze, bo teraz jesteś inną osobą i wszystko, co pamiętasz, musisz trzymać dla siebie. Teraz będziesz kontynuować życie tamtego człowieka.

– Boże, jako żywo, nic o nim nie wiem...

– Nie przejmuj się. Jesteś wykształcony i inteligentny, dasz sobie radę... Zwłaszcza że jesteś młody i masz drugie życie przed sobą.

Julian leżał i nic nie mówił.

– Tylko pamiętaj. Nazywasz się Julian Podhorecki i masz dwadzieścia cztery lata. Jesteś studentem. Pan Michał Jurski zapisał ci cały majątek i wyjechał do Kolumbii.

– Julian Podhorecki... – powtórzył. Chwilę się zastanawiał i zapytał: – Jak długo tu leżę?

– Dwa tygodnie. Cały czas byłeś w śpiączce, do dzisiaj.

– Wiesz? Ja mało pamiętam z ostatnich miesięcy... Tak jakby to były odległe lata... I bardzo razi mnie mój głos. Jest zupełnie inny.

– Cały jesteś inny. Ale jestem pewien, że szybko się do tego przyzwyczaisz. Stopniowo powinno ci się wszystko przypominać, ale myślę, że to będzie ci tylko przeszkadzać we wciągnięciu się w nową rolę.

– Jak ja wyglądam?

– Jesteś przystojnym młodzieńcem, aż ci zazdroszczę...

Jeszcze pół godziny temu twarz Juliana była blada, mizerna i zmęczona. Teraz pod wpływem emocji przybrała bardziej naturalną barwę, pozostało jedynie trochę zmęczenia.

– Chcesz się zobaczyć? – zapytał profesor, choć wiedział, że to niepotrzebna dodatkowa emocja.

– Tak.

– Ale musisz wiedzieć, że jeszcze prawie nie masz włosów na głowie i masz bardzo wymęczoną twarz.

– To nic... Grunt, że żyję.

– Dobrze, zaraz pójde i poszukam jakiegoś lustra, ale pamiętaj, gdybyś z kimkolwiek rozmawiał, mów, że nic nie pamiętasz. Miałeś jakiś wypadek i teraz nic nie pamiętasz. Wiesz tylko, że się nazywasz... No, jak się nazywasz?

– Julian Podhorecki – odpowiedział z kwaśnym uśmiechem.

Profesor wyszedł, a na jego miejsce przyszła ta sama młoda lekarka.

– O, widzę, że nabiera pan formy – stwierdziła, spojrzawszy na niego.

– Tak, lepiej się czuję.

– Właśnie, dużo lepiej pan wygląda.

– Świetnie. W takim razie mam nadzieję, że długo tu nie zabawię.

– Wszystko zależy od profesora. Może w tym tygodniu pana puści, a jak nie, to w następnym.

– Ładna perspektywa...

– Wiem. Każdy chce uciekać, zwłaszcza młodzi.

Czuł się nieswojo, kiedy nazywała go młodym. Przypomniało mu się, jak w młodości niektórzy go lekceważyli właśnie dlatego, że był młody. Dopiero gdy zrobił doktorat, ludzie zaczęli się z nim liczyć. „A teraz?” – pomyślał. – „Teraz pewnie nawet studiów nie mam... Dobrze, że mam pieniądze. Dzięki pieniądзом muszę się liczyć”.

Mimo że wciąż nie mógł uwierzyć, że to dzieje się naprawdę, zaczął myśleć, jak to teraz będzie.

Lekarka widząc, że pacjent nie podtrzymuje rozmowy, przestała się odzywać.

Profesor wrócił bez lusterka.

– Przepraszam cię, ale nie mam pojęcia, gdzie można znaleźć lusterko – powiedział, rozkładając bezradnie ręce. – Jak się lepiej poczujesz, to się zobaczysz, będąc w toalecie.

– Panie profesorze – wtrąciła się lekarka. – Przecież każda kobieta ma w szatni lusterko. To najważniejszy sprzęt. Ja zaraz przyniosę.

– No tak, a ja już myślałem, że będzie okazja wstać – powiedział Julian z żalem.

– Tylko dziś i jutro nie waź się wstawać, pamiętaj. Kategoriecznie zabraniam – powiedział profesor ostrym głosem. – Nawet gdybyś się nie wiem jak dobrze czuł... Jutro rano przyjdzie Dworak i przedstawi ci plan, jaki dla ciebie opracował. Nie będzie ci się nudziło. Poza tym zawiozą cię na rozmaite badania. Tymczasem leż, odpoczywaj i nabieraj sił.

– Co to za plan?

– Plan twojego zachowania i w ogóle postępowania. Trzeba teraz to wszystko bardzo mądrze rozgrywać, żeby się nie wydało. Chodzi o to, żeby z czymś się nie... – profesorowi nie udało się dokończyć, ponieważ weszła lekarka z lusterkiem. Przybliżyła je do twarzy pacjenta.

Oglądał się w milczeniu, z wielkim zainteresowaniem. Trwało to długo, jakby chciał zapamiętać wszystkie szczegóły, jakby chciał się nauczyć na pamięć swego wyglądu, jak malarz portrecista, który później będzie musiał z pamięci

zrobić portret. Kiedy wreszcie uznał, że już wszystko obejrzał, zamknął oczy i leżał jakiś czas bez ruchu.

Lekarka wzięła lusterko i wyszła.

Dopiero wtedy profesor zapytał:

– No jak?

W tym „No jak?” zawarła się cała gama przeżyć, które towarzyszyły temu ponuremu i jednocześnie wielkiemu i trudnemu przedsięwzięciu.

– Boję się.

– Czego?

– To wszystko jest zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe... Boję się, jako żywo, że nadal jestem chory, a to jest tylko wytwór chorego mózgu...

– No, ale powinieneś pamiętać, że właśnie mózg miałeś zdrowy.

– Pamiętam, to właśnie pamiętam, ale może oni się mylili?

– Właśnie z tym się nie mylili...

– Boję się, że coś jest źle, bo boli mnie głowa... Jak się obudziłem, to mnie nie bolała.

– Nie bój się, Michale. Jesteś dwa tygodnie po operacji. Myśmy specjalnie cię trzymali w śpiączce, żeby się wszystko pozrastało. Robiliśmy ci rozmaite badania i wiemy, że wszystko jest dobrze. Głowa cię boli, ponieważ na dziś masz już za dużo stresu. Ja teraz wychodzę, a na ból głowy zaraz coś wymyślimy.

Profesor wyszedł. Za parę minut przysła lekarka i dodała czegoś do kroplówki, pod którą był cały czas podłączony. Zaczęła z nim rozmawiać, ale po kilku minutach pacjenta zaczął ogarniać sen i wkrótce zasnął.

Krótko po śniadaniu przyszedł Roman Dworak. Był jak zwykle elokwentny i wesoły.

– Dzień dobry, panie prezesie. Nawet nie pytam, jak pan się czuje, bo widzę, że doskonale... – zaczął, jak zawsze, od pochlebstwa. Wygląda pan wspaniale... Gdybym nie wiedział, to nigdy by mi nie przyszło do głowy, że to pan – dokończył szeptem, nachylony nad nim.

– Dzień dobry. Widzę, że i panu nic nie brakuje... Zwłaszcza humoru... Niech pan sobie weźmie krzesło i siada, bo nie lubię, jak ktoś stoi nade mną... Pierwszy, najtrudniejszy etap mamy za sobą – powiedział, gdy tylko gość usiadł. – Ale profesor sygnalizował mi, że pan opracował całą strategię.

– A oczywiście. Niczego nie zaniedbałem.

– Mam nadzieję. Więc niech pan przechodzi do konkretów.

Dworak przysunął krzesło do samego łóżka, łokieć oparł o jego brzeg, nachylił się i zaczął mówić:

– Wiemy o pana przeszłości tyle: Ma pan dwadzieścia cztery lata. Jest pan

studentem trzeciego roku Wyższej Szkoły Zarządzania i Marketingu przy Uniwersytecie Łódzkim. Myślę, że dobrze by było, gdyby pan ukończył te studia. – Dworak mówił szybko, zupełnie jak uczeń dobrze wyuczoną lekcję. – Zważywszy, że ma pan w tej dziedzinie doktorat, powinno pójść łatwo. Pana ojciec jest motorniczym w tramwajach, matka jest księgową, ma pan młodszą siostrę, Annę, i dziewczynę, Małgorzatę. Żeby pomóc rodzicom, dorabia pan trochę jako statysta w wytwórni filmowej...

– Zaraz, Dworak, tak pan to recytuje, że nie nadążam.

– To nic. Ja tylko tak ogólnie. Wszystko wypisałem na kartce i jak pan będzie gotów, to panu dam... Pan zdecyduje, kiedy mam to panu dać, bo nie wiem, czy dzisiaj, czy jak będzie pan wychodzić... Mam to przy sobie, tylko czy ma pan gdzie to trzymać, bo przecież gdyby się to dostało w niepowołane ręce, to mógłby być bardzo duży problem. Powinien się pan wybrać do rodziców. Powiedzieć, że został pan potrącony przez samochód i półtora miesiąca leżał pan nieprzytomny w szpitalu, że stracił pan pamięć i dopiero teraz trochę pan ją odzyskuje... Wtedy oni panu naopowiadają całą masę różnych rzeczy i tak stopniowo będzie pan odzyskiwać pamięć...

– Ale się wpakowałem. Nie wiem, czy jestem aż takim dobrym aktorem... – powiedział półzartem.

– Pan nie musi grać. Przecież pan rzeczywiście niczego nie pamięta ze swojej przeszłości... Musi też pan ćwiczyć jego podpis, żeby nikt nigdy nie zakwestionował jego oryginalności. Nie wiadomo przecież, czy kiedyś komuś nie wpadną w ręce jakieś dokumenty podpisywane dawniej i teraz. Grafolog może by rozpoznał, ale jeżeli one na oko będą takie same, to nigdy nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby dawać do grafologa... Na akcie notarialnym jest jego oryginalny podpis, więc trzeba go traktować jako wzór.

– Jednym słowem: masa zajęć mnie czeka...

– Tak, ale ma pan przed sobą nowe pięćdziesiąt lat... Co ja mówię, na pewno dużo więcej. Warto pod to wybudować dobre fundamenty – w głosie Dworaka można było wyczuć ledwo dostrzegalną zazdrość.

– Tak. I to wszystko?

– Nie mamy żadnych jego dokumentów. Nasz człowiek nie dopilnował, żeby zabrał je z domu. Początkowo miałem do niego wielką pretensję, ale później doszedłem do wniosku, że to bardzo dobrze... Trzeba brać pod uwagę, że rodzice będą pana wypytywać, dlaczego przez tyle czasu nikt ich nie zawiadomił o wypadku. I tu brak dokumentów rozwiązuje tę sprawę: Nie miał pan przy sobie dokumentów i był pan nieprzytomny, więc szpital nie wiedział, kogo ma zawiadomić... To bardzo sprzyjająca okoliczność.

– Widzę, że głęboko pan wszystko przemyślał...

– Panie szefie, przecież gdybym się do takich spraw nie nadawał, to by mnie

pan nie zatrudniał... Prawda?

Szef nic nie odpowiedział, jedynie skwitował to uśmiechem.

– Tak. A dlaczego dopiero za półtora miesiąca mam się tam wybrać?

– Bo profesor powiedział, że nie ma mowy, żeby pana wypuścił szybciej jak za dwa miesiące... Ale niech się pan nie martwi, już dwa tygodnie panu przeleciały. Zostało jeszcze półtora miesiąca... Jeszcze jedna sprawa. Muszę pana uprzedzić, że telefon pana Jurskiego dałem mojemu znajomemu, który wyjechał do Brazylii. On do pana parę razy zadzwoni z tamtego telefonu, a później go zlikwiduje... W zamian za tamten daję panu nowy, który jest zarejestrowany już na pana.

– A po co to?

– Po to, żeby był jakiś dowód, że pan Jurski tam wyjechał... W razie czego na podstawie bilingów można to próbować udowodnić... Słaby to dowód, ale zawsze coś – wyjaśnił Dworak.

Właściwie tylko Roman Dworak był łącznikiem między tym i dawnym światem Juliana. Oczywiście, nie licząc profesora, który wykonał celująco swoją część roboty i nie należało go już angażować w jakiegokolwiek problemy z tym związane.

Im bliższy był dzień wyjścia z kliniki, tym bardziej szczegółowo Julian obmyślał wszystkie problemy z tym związane. Pierwszym problemem był brak odpowiedniego ubrania. Miał co prawda w szpitalu spodnie i sweter, w których tu trafił, ale co pasowało Julianowi, nie pasowało Julianowi numer dwa. Był wprawdzie beneficjentem olbrzymiego majątku, ale praktyczne przejęcie wszystkiego wymagało jeszcze załatwienia wielu formalności. Musiał więc przez pewien czas pozostawać na łasce Dworaka, co bardzo mu nie odpowiadało.

Ostatniego dnia pobytu zadzwonił więc do niego i poprosił, żeby natychmiast przyjechał.

Znając niecierpliwość swojego dotychczasowego szefa, stawiał się szybciej niż natychmiast.

– Jestem, panie prezesie – zameldował się po niecałej godzinie. – Szybciej nie dałem rady, bo straszne korki.

– Jutro wychodzę. Potrzebuję więc pana pomocy.

– Oczywiście, panie prezesie.

– Dlaczego: „panie prezesie”? – odrzekł Julian. – Mówił pan zawsze: „panie Michale”...

– Tak jest, panie Julianie.

– O! O to właśnie chodzi.

– Panie Julianie, brak mi słów zachwytu, jak pan wspaniale doszedł do siebie.

– Muszę, jako żywo, przyznać, że czuję się znakomicie, jakbym był o pięćdziesiąt lat młodszy... Ale mam dla pana jeszcze jedno zadanie. Potrzebuję na jutro samochód i przydałaby mi się jakaś gotówka. Muszę od razu kupić odpowiednie ubranie. Nie wyobraża pan sobie chyba, że będę chodzić w starych teksasach i swetrze...

– Oczywiście, jutro wszystko będzie. Proszę tylko powiedzieć, na którą godzinę... Ale czy mogę jeszcze coś doradzić?

– Proszę bardzo, śmiało.

– Chciałem tylko zaproponować, żeby się pan nie pozbywał ubrania Juliana... To jest dowód, że pan, to pan.

– Asekurant z pana.

– To nic nie kosztuje... I bardzo bym doradzał, żeby się pan ubrał w te stare ciuchy, jak będzie pan jechać do rodziców. Pan tylko z wyglądu jest tamtym człowiekiem, a zachowanie, sposób rozmowy, sposób myślenia, sposób poruszania się, cała reszta jest inna. Chodzi o to, żeby nie wzbudzić w nich żadnych wątpliwości, bo w razie czego oni są najważniejszymi świadkami, że pan to pan.

– Pan coś podejrzewa? – zapytał Julian, patrząc wnikliwie na Dworaka.

– Panie Julianie. Tajemnica jest dobra jedynie wtedy, gdy wie o niej tylko jedna osoba. W tym wypadku, nie licząc nas trzech, bo profesor, pan i ja jesteśmy jednakowo zainteresowani, ponieważ wszyscy trzej mamy nieczyste sumienie, ale jest jeszcze parę osób u profesora i u mnie, które nie znają wprawdzie sprawy całościowo, ale wiedzą, że coś jest nie w porządku. Dlatego trzeba się na wszystkie strony zabezpieczyć.

– No tak, a co z prezesem Jurskim? – zapytał Julian niepewnym tonem.

– Prezes Jurski wyjechał do Kolumbii i nie ma możliwości, żeby ktoś go odnalazł. To jest najbardziej pewne ogniwo.

Nazajutrz Julian wstał wcześniej niż zazwyczaj, ogolił się i włożył swoje dawne ubranie. W ten sposób stał się stuprocentowym Julianem. Zaledwie trzycentymetrowe, ale bardzo gęste, dość ciemne włosy, doskonale zakrywały blizny na głowie. Nawet przy czesaniu trudno było je zauważyć. Przez okres rekonwalescencji jego twarz nabrała młodego, zdrowego wyglądu.

Zaraz po śniadaniu przyszedł po niego profesor i zabrał go do swojego gabinetu.

– Jesteś moim największym osiągnięciem – powiedział, podczas picia kawy.

– Niestety, musi ono na zawsze pozostać w tajemnicy.

– Wiesz, zauważyłem coś, czego się nie spodziewałem, mianowicie bardzo, ale to bardzo poprawiła mi się pamięć.

– Uważam, że to nie powinno być zaskoczeniem. Przecież młody organizm

ma lepszą gospodarkę, lepszą równowagę hormonalną, więc i mózg powinien lepiej pracować.

– Bardzo dobrze, ponieważ czekają mnie dni pełne pracy i stresu. Mam teraz mnóstwo spraw urzędowych i osobistych do załatwienia. Odetchnę, dopiero jak będę mieć to wszystko za sobą.

Wkrótce przyjechał kierowca. Gdy tylko Julian wsiadł do samochodu, kierowca wręczył mu dość grubą zaklejoną kopertę. Po drodze wstąpili do kilku sklepów, gdzie kupił niedużą torbę podróżną i ubranie, które już w sklepie włożył na siebie. Stary strój włożył do torby i pojechali do rezydencji Michała Jurskiego.

Pomimo wieloletniego doświadczenia czuł się bardzo nieswojo, gdy wchodził do własnego domu po prawie dwumiesięcznej nieobecności, w dodatku jako ktoś obcy. Wiedział, że ma przewagę nad osobami, które tam spotka, ponieważ doskonale je zna, gdy tymczasem one nic o nim nie wiedzą.

Dom był jak wymarły. Nikt go nie zaczepiał, nikt o nic nie pytał. Postanowił na początku odwiedzić Annę. Udał się więc wprost do jej pokoju, ale na schodach natknął się na syna. Zdał sobie sprawę, że Wiktor jest od niego kilkanaście lat starszy. Rozbawiło go to, więc uśmiechnął się nieco ironicznie i przedstawił mu się:

– Dzień dobry, jestem Julian Podhorecki. Szukam pani Anny.

– Spodziewaliśmy się pana, ojciec nas uprzedzał – odparł obojętnie. – Wie pan może, co się z nim dzieje?

– Oczywiście, odprowadzałem go na lotnisko, jak odlatywał do Kolumbii – odparł bez najmniejszego wahania.

– On się w ogóle nie odzywa...

– Tak? Do mnie dzwonił miesiąc temu.

Syn zrobił niezadowoloną minę, chwilę patrzył bezmyślnie na nieznanego, następnie machnął ręką, pokazując, w jakim kierunku trzeba iść do Anny, i powiedział:

– Anna jest tam, w swoim pokoju.

Julian skierował się w tamtą stronę, doszedł do drzwi i zapukał. Za moment usłyszał jej głos:

– Jestem, jestem.

Przyjął to jako zaproszenie do wejścia. Zajrzał do środka i spojrzał na Annę. Siedziała w fotelu i czytała książkę. Ucieszył się, że ją widzi. Uśmiechnął się. Ona też odpowiedziała uśmiechem. Powiedział „Dzień dobry” i przedstawił się.

– A, to pan. Pan ma tu rządzić? Nie mylę się?

– Tak, to ja... – odpowiedział i szeroko się uśmiechnął.

– To dobrze. Lepiej, żeby jedna osoba to robiła... Jak Michała nie ma, to jest zupełnie bezkrólewie, wszyscy rządzą – powiedziała niby żartem, ale widać było, że to prawda.

– Wszyscy, to znaczy kto?

– To znaczy dokładnie to, co powiedziałam.

– Ale pani Anno. Ja mam kierować firmą, a nie domem. Tutaj pani zawsze rządziła i ja nie mam zamiaru tego zmieniać, tym bardziej że prezes bardzo, ale to bardzo pozytywnie się o pani wyrażał.

Popatrzyła na Juliana badawczo, chwilę się zawahała i powiedziała:

– Ja nie wiem... Od kiedy nie ma brata, to każdy robi, co chce...

– Przestali pani słuchać?

– Ja tego nie powiedziałam...

– Dobrze, dobrze, ja wszystko rozumiem. Przy okazji mam prośbę... Czy mogłaby pani zapoznać mnie z panią Jurską? Z panem Jurskim juniorem miałem już przyjemność, ponieważ spotkałem go na schodach.

– Oczywiście, zaraz możemy to załatwić. Myślę, że ona jest u siebie, a jeżeli nie, to jej poszukamy.

Wyszli. Anna prowadziła, a Julian szedł za nią, udając, że jest tu po raz pierwszy. Gdy doszli, Anna zapukała, ale nie czekając na zaproszenie, weszła. Alicja siedziała przed lustrem. Julian widząc ten obrazek, z trudem powstrzymał śmiech.

– Alu, pozwól, że przedstawię ci pana Juliana Podhoreckiego.

Alicja popatrzyła uważnie, powoli wstała i idąc w ich kierunku, powiedziała:

– Rzeczywiście pan jest młody, no, no – powiedziała z patosem. – Alicja Jurska jestem -przedstawiła się, wyciągając dłoń teatralnym gestem.

– Julian Podhorecki – powiedział, nisko się skłonił i pocałował ją w dłoń, wiedząc, że lubi takie staroświeckie zwyczaje.

– Mój mąż oświadczył mi przed wyjazdem, że będzie go pan zastępował – powiedziała, starając się kontynuować styl teatralny.

– Tak, w interesach, w sprawach firmy...

– Aaa. Tylko? – zapytała zawiedziona.

– No, jeżeli panie będą czegoś potrzebowały, to w miarę możliwości też – odpowiedział trochę wykrętnie, bojąc się, że niepotrzebnie daje się wciągnąć w bezsensowną dyskusję, która może prowadzić nie wiadomo dokąd.

– Liczymy na pana, liczymy.

Postanowił natychmiast zmienić temat, gdyż wiedział, że Alicja lubi nadużywać pochopnie składanych przez kogoś obietnic.

– Na razie to ja liczę na panie...

– Tak? A w czym?

– Chciałbym się wprowadzić do pokoju Michała.

Do tej chwili Alicji się wydawało, że to ona nadaje ton rozmowie. Przekonawszy się, że tak nie jest, najwyraźniej była tym zaskoczona, gdyż przez dłuższą chwilę nic nie odpowiadała.

– Oo! To pan jest po imieniu z moim mężem? – zapytała w najwyższym stopniu zdziwiona.

– Tak, oczywiście – odpowiedział beczelnie. – Bardzo się przyjaźnimy i mamy do siebie pełne zaufanie.

– No, skoro tak, to ja tu nie mam nic do powiedzenia – odrzekła prawie obrażona i chciała odejść, ale Anna ją zatrzymała, mówiąc:

– To chodź, Alu, zaprowadzimy pana...

– Uważasz, że jestem potrzebna?

– Proszę cię, chodź – wzięła ją pod rękę i delikatnie pociągnęła w kierunku drzwi.

Szedł z nimi, znów udając, że jest tu pierwszy raz. Mijali na korytarzu jakąś nieznaną młodą kobietę idącą z przeciwka. Nieznajoma przystanęła i niepewnie ukloniła się z uśmiechem. Alicja, idąca o pół kroku z przodu, niewyraźnie coś mruknęła i obojętnie poszła dalej.

– Przepraszam, a kim jest ta pani? – zapytał, w nadziei, że Alicja zorientuje się, że należało ich sobie przedstawić.

– Narzeczona mojego syna – odrzekła obojętnym tonem.

– Tak? To chyba od niedawna?

– A dlaczego pan tak uważa?

– Bo Michał by mi o tym powiedział.

– To pan doskonale we wszystkim zorientowany – zauważyła z przekąsem, oglądając się i patrząc mu w twarz.

– Trochę – odpowiedział, skromnie, nie chcąc zaostrzać i tak już za bardzo napiętej atmosfery.

Doszli do celu.

Alicja otworzyła drzwi i weszła pierwsza. Anna cofnęła się i gestem dłoni zaprosiła go do wejścia. On jednak nie skorzystał i ostatecznie za Alicją weszła Anna.

W pokoju, odkąd był tu po raz ostatni, właściwie nic się nie zmieniło, nie biorąc pod uwagę warstwy kurzu na meblach.

– Czy tu się nie sprząta? – gdy wypowiadał to pytanie, pomyślał, że niepotrzebnie zadziera z kobietami, ale już było za późno, żeby cofnąć nieopatrznie rzucone słowa.

– Nie wiem, czy właściciel sobie życzy, żeby tu ktoś wchodził – wyjaśniła Alicja dosyć ostrym tonem.

Julian podszedł do biurka i otworzył szufladę, w której dwa miesiące temu zostawił wykaz banków obsługujących jego przedsiębiorstwa.

– Jednak ktoś tu wchodzi – spokojnie zauważył.

– A skąd pan wie?

– Wiem, ponieważ tu powinien leżeć wykaz banków obsługujących nasze

przedsiębiorstwa, a ja go tu nie widzę.

Twarz Alicji przybrała nieco ziemistą barwę. Spojrzała na Juliana. Gdyby wzrok mógł zabijać, z pewnością jego zwłoki ległyby u jej stóp.

– Nie mam pojęcia, co się z tym stało, zresztą nie jestem pewna, czy coś takiego rzeczywiście tu było.

– Niech się pani nie denerwuje – odpowiedział spokojnie, jednocześnie postanawiając, że nie da się sprowokować.

– Ja się nie denerwuję – odpowiedziała niby spokojniej.

– To dobrze – uśmiechnął się pojednawczo.

– To chce pan tu mieszkać? Co, nie ma pan domu?

– Mam, ale w Łodzi... Za daleko, żeby dojeżdżać.

– To on aż tam pana wynalazł?

– To, jako żywo, długa historia, kiedyś, jak się zaprzyjaźnimy, to pani opowiem.

Wiedział, że propozycja przyjaźni, zaraz po kłótni, brzmi idiotycznie, ale korciło go, żeby sobie zażartować.

– Wie pan co? Pan jest taki podobny do niego, że nic dziwnego, że się pokumaliście – powiedziała znacznie mniej agresywnie – Chodź, Aniu, nic tu po nas – zwróciła się do Anny już zupełnie spokojnie.

Wyszedł do samochodu, umówił się z kierowcą na następny dzień, wziął swoje bagaże i wrócił do pokoju. Przeszukał różne zakamarki, żeby sprawdzić, czy bardzo jest splądrowany, ale okazało się, że raczej nie. Zajrzał do pancерnej kasy. Pieniądze leżały na dwóch kupkach, tak jak je zostawił przed dwoma miesiącami. Na wszelki wypadek przeliczył liczbę pakietów – było ich dziesięć. Uśmiechnął się z zadowoleniem, z jednego pakietu wyciągnął dziesięć banknotów po dwieście euro i włożył do kieszeni.

Nazajutrz rano pojechał do swojego biura i poszedł do sekretariatu. Sekretarka uznała, że jest jakimś interesantem, i grzecznie zapytała:

– Czym mogę służyć?

– Jestem Julian Podhorecki – przedstawił się. – Jestem pełnomocnikiem prezesa Jurskiego.

– Wiem. Wszystko wiem. Pan prezes mnie uprzedził, że pan przyjdzie – powiedziała ze szczerą radością.

– Mam nadzieję, że wszystko w porządku?

– Tak, oczywiście, w sekretariacie jak najbardziej...

– A pozostałe sprawy?

– To już musi pan rozmawiać z zarządem.

– A mój gabinet otwarty?

– Nie, na wszelki wypadek zamknęłam. Już otwieram.

Wyjęła z szuflady biurka mały klucz, podeszła do drzwi i otworzyła je, po

czym zabrała kluczyk i z powrotem schowała.

Wszedł do pokoju i rozejrzył się. Wszystko było tak, jak przed dwoma miesiącami. Usiadł na swoim fotelu i zamyślił się. Po chwili rozległo się delikatne pukanie, po czym drzwi się uchylły i zajrzała sekretarka.

– Nic panu prezesowi nie potrzeba? Może kawy albo herbaty? – zapytała z zalotnym uśmiechem.

– Myślę, że kawy bym się napił.

– Ze śmietanką czy bez?

– Bez... Wiesz co, Halinko? Może jednak ze śmietanką – zmienił zdanie, gdy już wychodziła.

– Proszę uprzejmie – odpowiedziała z jeszcze bardziej zalotnym uśmiechem.

„No proszę” – pomyślał. – „Dawniej była miła, ale aż tak uwodzicielsko się do mnie nie uśmiechała”.

Pobyl w biurze pół godziny, wypil kawę i uznał, że na pierwszy dzień wystarczy.

Następnego dnia wczesnym rankiem wyjechali do Łodzi. Wiózł go starszy kierowca, który pracował w firmie od bardzo dawna. Gdy już byli poza miastem, kazał mu się zatrzymać na jakimś spokojnym leśnym parkingu. Kiedy się tam znaleźli, wyjął z bagażnika podróżną torbę. Miał w niej swoje stare ubranie, w którym jechał na ostatnie spotkanie z reżyserem. Wszedł do samochodu, zdjął garnitur i włożył je na siebie.

– Co, dziwi to pana, panie Wojtku? – zagadnął kierowcę, zdając sobie sprawę, że pan Jurski nie robił takich rzeczy.

– Nie, dlaczego... – odrzekł trochę niepewnie. – Ja to rozumiem, chce pan być bardziej na luzie.

– Właśnie – odpowiedział z zadowoleniem i swobodą. – Na luzie.

Schował torbę do bagażnika, wsiadł do auta, ale tym razem obok kierowcy, i kazał jechać.

Długi czas jechali w milczeniu. Byli prawie w połowie drogi, kiedy Julian zapytał:

– Pan dawno w firmie?

– O, już ponad dwadzieścia lat. Prezes Jurski był jeszcze młody i zdrowy...

– A jaki był prezes? – korciło go, żeby wybadać, co pracownicy o nim myślą.

– Normalny...

Powinien się spodziewać, że stary pracownik nie będzie się zwierzać nowemu szefowi, w dodatku tak młodemu.

– Tak pan mówi, jakbym ja nie był normalny – postanowił go sprowokować.

- Pan też jest normalny – kierowca zapewnił go dość skwapliwie.
- Tak? A niektórzy twierdzą, że normalnych ludzi nie ma.
- No tak, bo każdy jest trochę inny... Jeden kocha psy, drugi pasjonuje się walką psów, a jeszcze inny kocha tylko pieniądze.
- Nie rozumiem. Przecież można kochać i psy, i pieniądze...
- Ja tam uważam, że jak ktoś kocha pieniądze, to już niczego więcej kochać nie potrafi.

Julian pomyślał, że ten prosty człowiek jest znacznie mądrzejszy, niż można przypuszczać.

- A mnie się wydaje, że pan Jurski to kochał wszystko... – dalej go prowokował – Chyba nie był zły?
- Zły może nie był, ale za dobry też nie był.
- Na tym przecież polega metoda kija i marchewki.
- Pod warunkiem że... A co tu gadać... – machnął ręką i zamilkł.
- Jak pan zaczął, to już niech pan dokończy. Przecież ja nie pobiegnę gdzieś powtarzać... Bo i po co mi to.
- Wie pan... Ta metoda może jest i dobra, pod warunkiem że nie jest wypaczona.

- Nie rozumiem.
- Jeżeli kij jest dla służby, a marchewkę gospodarz zjada sam, to ja myślę, że chyba to już jest jakaś inna metoda.

Zabolała go ta opinia, w dodatku nie znajdował argumentów, żeby ją obalić.

Na chwilę zapanowało milczenie.

- Wie pan... – Julian po namyśle zaczął tłumaczyć. – Dzięki temu firma się rozwijała i coraz więcej ludzi miało pracę... Chyba właśnie o to chodzi...

- A był pan kiedyś w Żyrardowie? Tam w dziewiętnastym wieku ówczesni kapitaliści postawili fabrykę, ale prócz niej zbudowali domy dla pracowników, żłobek, przedszkole, kościół, szpital i licho wie co jeszcze...

Julian nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Żałował, że rozpoczął tę rozmowę. W rezultacie do końca drogi więcej nie rozmawiali.

Kiedy wjechali do Łodzi i byli niedaleko celu, kazał się zatrzymać i poinstruował kierowcę:

- Niech pan znajdzie w okolicy jakiś hotel i weźmie pokój dwuosobowy. Ja zabawię tu dzień lub dwa... Może pan robić, co pan chce, tylko niech pan nie wyłącza telefonu.

- Oczywiście, proszę pana.

Wysiadł z samochodu i rozejrzał się.

Rembielówkę, na której od urodzenia mieszkał z rodzicami, znał jedynie z mapy. Po przyjeździe na miejsce okazało się, że to dość duże osiedle domów jednorodzinnych. Dzięki mapie orientował się, że do domu jest stąd około

kilometra. Chciał pokonać tę odległość na piechotę, żeby choć trochę poznać teren i psychicznie nastroić się na rozmowę, którą co prawda wielokrotnie przećwiczył w myślach, ale wciąż miał jakieś nieokreślone obawy. Bez trudu odnalazł niewielki domek przy ulicy Malowniczej, ale nie zamierzał wchodzić na posesję, ponieważ już dawno postanowił, że wprawdzie zwiedzi okolicę. Minął więc go i poszedł dalej. Minął przecnicę, zapamiętał jej nazwę i poszedł do następnej, w którą skręcił. Później skręcił jeszcze w następną. Tak spacerował ponad pół godziny. Nagle usłyszał za sobą wołanie:

– Julian! Julian!

W pierwszej chwili nie skojarzył, że chodzi o niego, ale odruchowo się obejrzał i zobaczył piękną dziewczynę biegnącą w jego kierunku. Była bardzo młoda, ale miała już kształty dojrzałej kobiety. Miała na sobie krótką spódniczkę i bluzkę z dzianiny. Z odległości kilkudziesięciu kroków wyraźnie widział jej roześmianą twarz, wokół której trzęsły się lekko pofalowane ciemnokasztanowe włosy, sięgające do ramion.

Przez myśl przebiegło mu pytanie: „Czy to siostra, czy jego dziewczyna?”.

Nie miał jednak czasu na rozważanie tej wątpliwości, ponieważ za moment dziewczyna oplótła go ramionami i zawisła na nim, całując go mocno i namiętnie w usta.

Dzięki temu zorientował się, że to jednak nie siostra.

– Juleczek, mój kochany Juluś – szeptała między jedną a drugą serią pocałunków.

On też ją objął, mocno przycisnął do siebie i oddawał pocałunki.

– Julu, co się z tobą stało? Gdzie ty byłeś? Bałam się, że już cię nie zobaczę... Wszyscy cię szukali. Twoja mama ciągle płacze...

– Miałem ciężki wypadek. Leżałem w Warszawie w szpitalu. Byłem długo nieprzytomny, w śpiączce.

– Dlaczego nie dali znać? – zapytała, nie wypuszczając go z objęć.

– Nie miałem przy sobie dokumentów. Później jak odzyskałem przytomność, to się okazało, że utraciłem pamięć... I do tej pory mam z nią kłopoty. Trochę rzeczy mi się przypomina, ale mam jeszcze straszne luki... – wyjaśniał, patrząc w jej błękitne, wyraziste oczy.

– Mój biedaku. Mój kochany. Chodź do mnie. Zadzwonimy do twoich rodziców, nie ma ich w domu, są w pracy, Ania w szkole... – mówiła szybko i bez ładu. – Chodź, chodź, Julu... Szkoda, że mojej mamy nie ma, też by się ucieszyła.

Szli mocno przytuleni do siebie. Pod furką Małgorzata wyjęła klucze, on tymczasem spojrzął na tabliczkę przybitą do drzewa rosnącego tuż za drewnianym płotem. Nim weszli, przeczytał adres: ulica Reja numer osiem. Gdy się znaleźli w mieszkaniu, Julian rozejrzał się, objął ją i trochę zmieszany powiedział, że jej mieszkanie pamiętał jak przez mgłę, dopiero teraz, jak tu jest, to sobie dokładniej

wszystko przypomina.

– A pamiętasz, jak było w moim pokoju? Teraz jest inaczej. Przemeblowałam. Chodź, zobaczysz.

Weszli nie wypuszczając się z mocnego uścisku.

Julian zauważył w pewnym miejscu nieco ciemniejszy odcień podłogi i domyślił się, że tam dawniej musiał stać tapczan.

– Tu chyba stał tapczan – powiedział.

– Jednak coś pamiętasz – zauważyła z radością i zaczęła go całować bardzo mocno i długo, z lekko rozchylonymi ustami.

W Julianie narastało podniecenie. Równocześnie zaczął sobie zdawać sprawę, że może się zdarzyć coś, o czym już dawno nie myślał, z czego dawno zrezygnował, co pozostało jedynie pięknym wspomnieniem minionych lat. Usiedli na tapczanie.

Powoli, nieśmiało wsunął dłonie pod jej bluzkę i zaczął głaskać ją po plecach. Po pewnym czasie postanowił odpiąć jej stanik. Nie protestowała, więc domyślił się, że już robiła to z tamtym Julianem. To go ośmieliło, ale postanowił się nie śpieszyć. Nadal delikatnie dotykał jej gołych pleców. Przez chwilę pomyślał, że nie wie, do jakich pieszczot jest przyzwyczajona, ale w tym momencie poczuł jej ciężar ciągnący go w dół. Położyli się. Przez pewien czas leżał na niej oparty na przedramionach, żeby jej zbyt nie przygniatać, i nadal ją całował w usta, w oczy i po całej twarzy. Po kilkunastu minutach wyjął spod niej jedną dłoń, przesunął się trochę w dół, uniósł jej bluzkę i zaczął delikatnie całować jej nagie piersi.

Trwało to dość długo, a on bał się cokolwiek zmieniać, gdyż czuł, jak Małgorzata stopniowo bardziej i bardziej poddaje się jego pieszczotom. Nie chciał tego popsuć.

– Och, Julu, Julu, jak ja za tobą tęskniłam... – wyszeptała i zaczęła rozpinać mu spodnie.

Widział, jak narasta jej podniecenie, i nie przestawał jej pieścić, a ona odplącała mu pieszczotą coraz śmielej, dbając jedynie o to, żeby ze swą inicjatywą pozostawać za nim nie więcej jak o pół kroku. W ten sposób wśród szeptanych wyznań miłosnych prowadzili się wzajemnie na wyżyny rozkoszy wyrafinowanej i absolutnej.

Julian starał się niczego nie przyśpieszać i nie ponaglać jej, żeby to, co się teraz działo, mogło trwać jak najdłużej.

Wkrótce zaczęły padać na podłogę rozmaite części ich garderoby, a gdy byli już całkiem nadzy, oddali się sobie nawzajem bez reszty, z furją.

Kiedy wulkan ich namiętności zaowocował eksplozją i długotrwałym trzęsieniem ziemi, Małgorzata zapłakała, Julian zaczął scałowywać słone łyzy, ciekące po policzkach z kącików jej błękitnych oczu.

Leżeli później w objęciach prawie bez ruchu, jedynie obdarowując się czułymi pocałunkami, powoli, ostrożnie spływając z obłoków na ziemię.

– Czy twoja mama nas tu nie nakryje? – zapytał po kilku, może kilkunastu minutach.

– Nie, kochany, mama dziś ma dyżur i wraca dopiero jutro rano. Gdyby nie to, że musisz się spotkać z rodzicami, moglibyśmy jeszcze się sobą cieszyć.

– Właśnie, muszę zadzwonić, ale wybaczyć, nie mogę sobie przypomnieć numeru do mamy, a swojego telefonu nie mam, gdzieś mi zaginął w czasie tych perypetii.

– Oj, Julu, dzwoń z mojego.

Wstała i nie ubierając się poszła po telefon, a on leżąc, rozkoszował się jej widokiem.

– Wiesz, boję się, czy to nie za duży szok dla mamy, jak nagle mnie usłyszy...? – zapytał, lecz naprawdę to on sam się obawiał, że coś pójdzie nie tak. Że ktoś pomylił z matką, nie znając jej głosu.

– Ale co to znaczy: „za duży”? Po prostu będzie się bardzo cieszyć. Dzwoń, nie zwlekaj – zachęciła go.

Przyniosła telefon, wystukała na klawiaturze numer, podeszła z nim do Juliana, pocałowała go w usta i wyszła do łazienki. Julian uśmiechnął się i uruchomił połączenie.

Nie będąc pewnym, kto odezwał się po drugiej stronie, poprosił panią Podhorecką.

– Julian!?! – zawołała rozmówczyni.

– Mamo! – odpowiedział Julian i w tym samym momencie poczuł ulgę. Nie wiedział dlaczego, ale całe napięcie nagle minęło. Poczuł, że wszystko idzie dokładnie tak, jak było zaplanowane.

– Julkuś, kochany, gdzie ty jesteś? – krzyczała do telefonu.

– Jestem w domu... To znaczy u Małgosi, bo nie mam kluczy od domu.

– Juluś, to ja już wychodzę. Za pół godziny będę, a ty nigdzie się nie ruszaj. Siedź u Małgorzaty. Ja po ciebie wstąpię. Pamiętaj, siedź tam i nigdzie się nie ruszaj – była niesłychanie zdenerwowana.

To mu uświadomiło, że ma nad nią przewagę co najmniej trzydziestu lat doświadczenia, dzięki czemu może nią manipulować, nie narażając się na porażkę.

Równocześnie śmieszyła go świadomość, że jego matka jest tyle lat młodsza od niego.

Tymczasem Małgorzata wyszła z łazienki i przerwała jego rozmyślenia.

– Ty się śpiesz, przecież mama zaraz tu będzie. Chcesz, żeby cię tu zastała gołego?

Wyskoczył z łóżka, pochwycił w pośpiechu ubranie i pobiegł w kierunku łazienki, nie otwierając drzwi, odbił się od nich, zawrócił, podbiegł do Małgorzaty,

mocno ją pocałował, wykrzyknął: „Kocham cię” i ostatecznie zniknął w łazience.

Nie minęło dziesięć minut, jak wyszedł gotowy na spotkanie.

„Niech to diabli wezmą...” – pomyślał, obejmując Małgorzatę. – „To wszystko uderza mi do głowy... Muszę nad tym panować...”.

Po kilku minutach usłyszeli za drzwiami tupot nóg i do przedpokoju wbiegła zdyszana kobieta. Jej twarz rozświetlał uśmiech, który nagle przemienił się w głośny szloch. Trzymaną w dłoni torbę rzuciła na krzesło i roniąc łzy radości, padła w jego ramiona.

– Opowiadaj, mów, co się stało... – prosiła. – Gdzie ty byłeś...

Opowiedział jej w skrócie to samo co Małgorzacie.

Potem poszli do domu. Wkrótce wróciła siostra ze szkoły, później ojciec z pracy. I tak trzy razy musiał opowiadać tę samą historię, ale za każdym razem coraz obszerniej. Nie sprawiało mu to kłopotu, ponieważ na każde pytanie miał gotową odpowiedź.

– Co cię nagle poniosło do Warszawy? – pytała siostra.

– Miałem zaproszenie do wzięcia udziału w castingu.

– A dlaczego nikomu nic nie powiedziałaś?

– Bo nie chciałem, jako żywo, żebyście się śmiali i mi dokuczali.

– To wszystko nieważne – powiedział ojciec. – Ale ja myślę, że należy ci się jakieś odszkodowanie...

– Tak, oczywiście. Ale myśmy się dogadali z tym człowiekiem. On się bardzo przejął i przychodził do szpitala przez cały czas, kiedy byłem w śpiączce, i już mi dał zaliczkę na poczet odszkodowania i załatwił dobrą pracę w swojej firmie... To bardzo porządny człowiek... I niesłychanie bogaty.

– Ale jak ty chcesz to ze studiami godzić? – troskliwie pytał ojciec.

– Myślę, że przeniosę się na studia do Warszawy. Ja z tej pracy nie mogę zrezygnować, bo taka okazja trafia się raz w życiu.

– Julian, chłopcze, jak mama to przeżyje? – powiedział ojciec niby żartem, ale było widać, że i jemu będzie ciężko rozstać się z synem.

– A ty wiesz, jak Gośka za tobą tęskniła? Aż płakała biedaczka... – wtrąciła Anka, sprowadzając rozmowę na zupełnie inne tory. – Nie żal ci będzie jej zostawić?

Ta wiadomość sprawiła, że na chwilę się zamyślił. Przyszło mu do głowy, żeby zaproponować Małgorzacie przeniesienie się wraz z nim do Warszawy. Martwiło go tylko, że wiązałoby się to z koniecznością ciągłego ukrywania rozmaitych rzeczy.

– Właśnie, Juluś, jak ze studiami? Czy ty nie zawalisz roku z tego powodu?

– wtrąciła mama i Julian od razu zauważył, jak radość znikła z jej twarzy.

– Nie martw się, mamó. Jutro pojedę na uczelnię i dowiem się, jaka jest szansa, żeby jeszcze zdawać... Tylko nie pamiętam, gdzie jest mój indeks.

– Jest, wszystko jest. Wszystkie dokumenty są...

– Ach, z tą pamięcią. Dwa tygodnie temu nawet jeszcze nie wiedziałem, jak się nazywam. Dopiero zaczynały mi się różne klapki otwierać i tak stopniowo odzyskiwałem małe fragmenty pamięci. Jeszcze do tej pory mam straszne dziury, jak białe plamy na mapie... I tak wielkie szczęście, że trafiłem do domu... A jak Anusia? Jak w szkole? – zwrócił się do siostry, chcąc wciągnąć ją w rozmowę.

– O! A ty wiesz, że nigdy w życiu tak do mnie się nie zwracałeś?

– Nie przesadzaj – upomniała ją mama.

– Nie przesadzam. Przecież zawsze mówił „Anka”, a jak chciał mi dokuczyć, to mówił „Anica”

Julian wstał, spojrzał na nieco piegowatą, jeszcze na półdziecięcą twarz siostry, otoczoną gęstymi złotymi lokami, podszedł do niej, spojrzał w jej niebieskie oczy, objął ją, pocałował w policzek i powiedział:

– Od dziś będę mówić: „Anulka”, dobrze?

– Dobrze, tylko żebyś o tym nie zapomniał – powiedziała, przykładając dłoń do jego piersi i odpychając go od siebie.

– Więc jak, Anulko, z twoją szkołą? – powtórzył pytanie w nieco zmienionej formie.

– Całkiem nieźle. Braciszku.

– To do której klasy teraz zdajesz?

– Do trzeciej... Ale ty kpisz czy rzeczywiście nie pamiętasz?

– Cha, cha! – zaśmiał się. – Akurat to pamiętam.

– A ty pamiętasz, że macie się z Gosią pobrać? – najwyraźniej postanowiła przetestować jego pamięć.

– Nie, ale dziękuję, że mi przypomniałaś – odrzekł z dziwnym uśmiechem. – Ale powiedz, czy ona jeszcze pracuje? Bo pamiętam, że w zeszłym roku nie dostała się na studia i poszła do pracy...

– Jeszcze pracuje, ale niedługo znów będzie zdawać. Jeżeli zda, to przestanie pracować, jeżeli nie, to nie musi szukać pracy.

– To praktyczne podejście, ale mam nadzieję, że dojdzie do skutku ten pierwszy wariant.

Zaczął się zastanawiać, czy powinien dokończyć studia rozpoczęte przez swojego poprzednika. „Teoretycznie powinno to pójść łatwiej” – myślał – „skoro sam jestem, a właściwie byłem ekonomistą z doktoratem, ale na pewno są spore różnice programowe, nie mówiąc już o tym, że od czasu studiów wiele zapomniałem”.

– Ale czy ona się uczy? – zapytał po dłuższej przerwie.

– Pytasz o Gosię? – upewniła się Ania. – Tak, uczy się, i to dużo.

W miarę upływu czasu te rozmowy coraz bardziej go męczyły. Atmosfera co prawda przypominała panującą w jego rodzinnym domu, ale nie czuł się tu dość

swobodnie. W dodatku tamta mama była od niego dużo starsza, a ta wbrew wszelkiej logice, sporo młodsza. W tamtej rodzinie nie miał siostry, lecz młodszego brata, którym lubił rządzić.

– Gdy tak rozmyślał, mama wymknęła się do kuchni, żeby przygotować obiad.

Ojciec tymczasem opowiadał, co działo się w domu w czasie jego nieobecności. Narzekał na policję, że nie bardzo chciała go szukać, twierdząc, że jeżeli ktoś wyjeżdża bez powiadomienia bliskich, to widocznie nie chce ich o tym informować, a policja nie powinna go szukać wbrew jego życzeniu. Chyba żeby był ofiarą przestępstwa. Ale na to brak dowodów i tak dalej...

– Otóż właśnie. Gdybym nie zapomniał zabrać dokumentów, wszystko potoczyłoby się inaczej – podsumował Julian.

– Myśmy im powiedzieli, że dokumenty są w domu...

– I co?

– I powiedzieli, że są bezsilni... Twierdzili, że umieścili odpowiednią informację w centralnej bazie i trzeba czekać.

– Zygmuś, ty już się tym nie gryź, zapomnij o tym – zawołała mama, słysząc z kuchni narzekania ojca. – Julian wrócił i sprawa jest zamknięta... I należy się cieszyć. Trzeba tylko ich zawiadomić, że on już jest, żeby później nie mieli pretensji.

Tymczasem z kuchni zaczęła się wydobywać woń smażonych pieczarek z jakimś mięsem. Julian bardzo lubił smażone potrawy.

Ojciec czując te zapachy, wyjął z kredensu butelkę whisky i zaproponował, żeby wypić na zaostrzenie apetytu.

– Nie, tato, ja nie mogę. Przecież miałem wstrząs mózgu. Lekarz zabronił mi pić... – w tej chwili przypomniało mu się, że zabronił mu również wysiłku fizycznego, podnieć psychicznych i ekscesów seksualnych. Tak, dokładnie powiedział: „ekscesów”. Z tego też powodu pomyślał przewrotnie, czy to, co robił z Małgorzatą, należy nazwać ekscesami, czy też można to zaliczyć do jakiejś lżejszej kategorii...

Gdy o tym myślał, na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Co się tak uśmiechasz? – zapytał ojciec.

– Z radości, że jestem w domu... Z wami.

– Wiedz, że i nasza radość nie ma granic – zapewnił go. Zamyślił się na chwilę i dodał: – Jakie to były straszne dni, pełne smutku... I te bezsenne noce...

Zamilkł. Przez chwilę nikt nie miał śmiałości się odezwać, a on westchnął, wyjął z kieszeni chusteczkę, wytarł nią nos i cicho powiedział:

– Komuś, kto tego nie przeżył, trudno byłoby zrozumieć.

– A wiecie co? Może by tak zaprosić Gośkę do nas na obiad? – zapytała nagle Ania.

– Jak chcecie, ale ja i tak chcę się pod wieczór jeszcze do niej wybrać – natychmiast zakomunikował Julian.

– Ale to jest tylko takie zwykłe jedzenie. Nie bardzo się nadaje do przyjmowania gości – zastrzegła mama. – Natomiast jutro mogę zrobić coś lepszego i można ją zaprosić.

– Ja nie chcę nic narzucać, ale myślę, że mamy propozycja jest lepsza – zabrał głos ojciec i bez oporu cała reszta przyznała mu rację.

Niebawem usiedli przy stole i jedli, rozmawiając i żartując. Wszyscy mieli wspaniały humor i nikt się nie domyślał, że jego radość z powodu powrotu do domu jest udawana i to udawanie sprawia mu spory wysiłek.

– Mam do was prośbę – powiedział pod koniec obiadu. – Czy możecie mi poopowiadać trochę o naszej rodzinie? – przerwał, chwilę pomyślał i dodał: – Ja, jako żywo, wielu rzeczy nie pamiętam i czuję się przez to taki ograbiony z przeszłości.

– Oczywiście – powiedział ojciec – ale nie wiem, o czym ci opowiadać. Dziadka Macieja chyba pamiętasz...?

– Różne momenty pamiętam, ale to za mało. Pamiętam, że grał ze mną w różne gry... – przerwał i zaczął udawać, że próbuje sobie coś przypomnieć. – Pamiętam, że miał taki fajny... No, jak to się nazywa?

– Rower? – odpowiedziała mama.

– No właśnie, rower – podchwycił.

– Och, ten rower – kontynuował ojciec. – To była kość niezgody... Bo ty, mimo że miałeś swój mały rowerek, koniecznie chciałeś jeździć na tym dużym. Pewnie na nim czuleś się doroślejszy.

– No, pamiętam, pamiętam! – przerwał Julian. – Ciągłe się przewracałem i za każdym razem byłem potłuczony... Mama załamywała ręce... Ale dziadek to był wyrozumiały człowiek. Kiedyś skrzywiłem kierownicę, a dziadek w ogóle nie miał do mnie pretensji... – zmyślał jak najęty.

– Tak. Za to mama krzyczała na dziadka – wtrącił ojciec – a dziadek tłumaczył, że mężczyzna bólu się nie boi i nie można chłopaka wychowywać na babę... Tak, dziadek był fajny – zamyślił się, ale Julian mu nie przerywał, tylko czekał na dalsze informacje o dziadku. – Był tramwajarzem, ale nie jeździł, tylko był dyspozytorem w zajezdni – opowiadał dalej. – Mnie też wykierował na tramwajarza, ale ja wolałem jeździć...

– No właśnie, ale nie pamiętam, czy zawsze byłeś motorniczym?

– A, nic dziwnego. Za mały byłeś... Kiedyś byłem majstrem na warsztatach, ale jak się Ania urodziła, to przeszedłem na maszynistę, żeby mieć bardziej elastyczne godziny pracy, i tak zostało... – zamyślił się.

– A babcia?

– O, babcia to była szlachcianka. Rodzina się jej wyrzekła, że wyszła za

dziadka... Ale później się do dziadka przekonali i się pogodzili.

– No tak. Coś mi się przypomina jak przez mgłę...

– Wiesz co? – odezwała się Ania, która z natury była małomówna. – Ciebie ten wypadek zmienił...

– Tak? W jakim sensie? – zapytał Julian nieco zbity z tropu.

– Wiesz, nie umiem powiedzieć... Jesteś niby ty, ale nie ty. Inaczej się wysławiasz. Nie używasz swoich takich typowych sformułowań i w ogóle jesteś trochę inny... No, nie wiem...

– Co ty – przerwała jej mama. – Ja niczego takiego nie widzę.

– Ale mam. Ona ma rację – pośpieszył Julian z wyjaśnieniem. – Psychiatra mi powiedział, że będę trochę inny. Po takim długim braku przytomności ludzie się zmieniają... Poza tym ja wielu rzeczy uczę się na nowo i tak myślę, że może w nowych, innych warunkach uczę się inaczej. Mam nadzieję, że te zmiany pójną w dobrym kierunku.

– Wiesz, ja widzę, że ty teraz jesteś doroślejszy – stwierdziła Ania.

– To i dobrze – pochwalił ojciec. – Może będzie miał mniej szalonych pomysłów.

Pod koniec obiadu coraz intensywniej myślał o Małgorzacie. Była jedyną osobą, którą polubił bez przymusu i bez żadnych zastrzeżeń, a co równie ważne, od pierwszej chwili bardzo mu się spodobała jako kobieta. Miał ochotę jeszcze raz się do niej wybrać, jednak wiedział, że po tak długiej nieobecności wypada więcej czasu spędzić w domu i pozwolić rodzinie nacieszyć się jego obecnością.

Dokuczała mu konieczność ciągłego udawania i pilnowania, żeby się czymś nie zdradzić, rozmowy męczyły go i chwilami wydawały się niepotrzebne i bezużyteczne. Przecież przyjechał tu głównie po dokumenty, bez których był nikim. Bez nich nie mógł podjąć w banku pieniędzy ani załatwić jakiegokolwiek sprawy urzędowej.

Wiedział, że wtopienie się w tę rodzinę da mu pewne bezpieczeństwo, rodzaj alibi, na wypadek gdyby coś poszło nie tak, jak zostało zaplanowane. „Ale czy to nie za duży wysiłek i strata czasu?” – zastanawiał się.

Przez cały czas starał się odgadnąć, w której części domu znajduje się jego pokój, uważał bowiem, że tak duża nieznajomość rozkładu mieszkania mogłaby w pewnych krytycznych sytuacjach przemawiać przeciwko niemu. W końcu wpadł na pomysł:

– Mam do ciebie prośbę Aniu. Nie gniewaj się, ale czy mogłabyś przynieść mi indeks z mojego pokoju? – zapytał siostrę tonem pełnym uniżenia.

– Ja nie wiem, gdzie ty go masz... – odpowiedziała, lekko unosząc się z krzesła.

– Ja, jako żywo, tym bardziej nie wiem. Nie mam pojęcia. Nie pamiętam... – odrzekł, robiąc minę bezradnego dziecka.

– Chyba widziałam go w szufladzie w biurku – powiedziała mama, jak zwykle niezawodna.

Siostra wstała i poszła na górę. W ten sposób problem częściowo został rozwiązany.

Oglądając po chwili swój indeks, z zadowoleniem dowiedział się, że był dobrym studentem. W ciągu całego roku dostał tylko jedną trójkę, resztę stanowiły czwórki i piątki.

Przypomniało mu się, jak przed operacją przyrzekał sobie wielokrotnie, że jeśli się ona uda, musi zmienić się i przestanie traktować ludzi instrumentalnie, wyłącznie jako narzędzie do osiągnięcia celu. Szczerze chciał to drugie życie przeżyć inaczej, ale teraz okazywało się, że to bardzo trudne dla człowieka z taką przeszłością, z takimi nawykami, wygórowanymi ambicjami i niepohamowaną chęcią dominowania nad wszystkim.

– Ty chyba jesteś zmęczony – powiedziała matka, patrząc na niego z czułością. – Oni cię tu zagadują, a może ty byś wolał się położyć, synku?

– Nie, mam. Ja się przez dwa miesiące dość wyleżałem. Zmarnowałem dwa miesiące. Teraz szkoda mi każdej godziny.

– Ja rozumiem, że ty się teraz rwiesz do wszystkiego, ale błagam cię, nie kosztem zdrowia... Tyle lat przed tobą, że jeszcze zdążysz wszystko zrobić.

– Mamo, nie martw się, ja się zupełnie dobrze czuję... Poza tym nic ciężkiego dziś nie robiłem – dla potwierdzenia wstał, podszedł do matki, objął ją i pocałował. – Chciałbym też jeszcze pójść do Małgorzaty – dodał.

– A idź, idź, jeśli mówisz, że nie jesteś zmęczony, to pewnie... Przecież za nią też się stęskniłeś, ja to rozumiem.

Ujęła go ta matczyna troskliwość. Mimo woli w duchu przyznawał, że to porządni ludzie i dobra rodzina. Przypominała mu się co jakiś czas jego dawno nieżyjąca prawdziwa matka, ciągle zapracowana i troszcząca się o niego i o brata. Nowa matka w porównaniu z tamtą wypadła wcale nie gorzej.

– To pójde... – powiedział, wstając od stołu. – Tylko o której mam wrócić?

– No wiesz, późno nie wracaj... Myślę, że jakby ci się udało przed dziewiątą...?

Odruchowo spojrzął na zegarek. Było dwadzieścia po trzeciej.

– Na pewno później nie wrócę – zapewnił matkę.

Wyszedł na ulicę. Mimo popołudniowej godziny czerwcowe słońce jeszcze mocno grzało. Znow zaczął myśleć o wszystkich wątpliwościach, jakie się pojawiły tego dnia. Zmienił trasę, żeby jeszcze zwiedzić następną część okolicy. Obszedł znow parę ulic, usiłując zapamiętać ich nazwy.

Kiedy tak szedł, starając się utrwalić jak najwięcej szczegółów, przejechała obok niego duża ciężarówka. Odczuł jakiś niepokój, ponieważ jechała szybko, czyniąc wielki hałas.

„To wariat...” – pomyślał. – „Przecież z którejś przecznicy może coś wyjechać”.

Samochód minął najbliższe skrzyżowanie i dalej popędził prosto.

Julian spojrział na jakieś ogłoszenie i zatrzymał się, by je przeczytać. W tej samej chwili rozległ się głośny trzask. Popatrzył do przodu i zobaczył, że przy następnej ulicy ciężarówka zderzyła się z koparką.

„Łatwo było to przewidzieć...” – myślał, idąc w tamtym kierunku.

Kiedy podszedł bliżej, ujrzał uczestników wypadku, ubliżających sobie nawzajem, co świadczyło o tym, iż nic nikomu się nie stało. Poszedł więc dalej, nie myśląc więcej o zdarzeniu. Skoncentrował się na zapamiętywaniu szczegółów krajobrazu. Zapamiętywał kolory budynków, płotów oraz rozmaite drobiazgi, które powinien znać ktoś, kto od dawna tam mieszka.

Gdy był już blisko domu, w którym mieszka Małgorzata, pomyślał z zadowoleniem, że już w miarę dobrze zna tę część dzielnicy. Nabrał też nadziei, że niebawem wciągnie się w nową rolę i wtedy wszystko będzie szło gładko i bez wysiłku.

Podszedł do furtki i popchnął ją. Wszedł na ganek i nacisnął dzwonek. Za chwilę w drzwiach stanęła Małgorzata.

Przywitali się jak po bardzo długiej przerwie.

– Jesteś. Tak myślałam o tobie – powiedziała z radością. – Wchodź.

– Przychodzę z zaproszeniem na jutro na obiad. Wszyscy cię zapraszamy...

– Dziękuję, a o której to ma być?

– Przepraszam cię, ale jutro jadę do... do szkoły – zawahał się, gdyż nie wiedział, czy Julian używał określenia „szkoła”, czy „uczelnia”, ale uznał, że „szkoła” zabrzmiałby skromniej – i nie wiem, o której wrócę. Ale jak już się będę orientować, to zadzwonię.

– Świetnie, dziękuję.

– A w innych pokojach nic się nie zmieniło? – zapytał w nadziei, że pokaże mu resztę mieszkania.

– Nie, zresztą zobacz sam.

Oprowadziła go po całym mieszkaniu, którego układ był prosty i łatwy do zapamiętania.

– Może się napijemy kawy lub herbaty, a może jakiegoś soku? – zapytała i zarzuciła mu ręce na szyję, a on objął ją mocno i pocałował.

– Nie mam chęci na te rzeczy – odparł sucho.

– A na co masz ochotę?

– Na ciebie – odpowiedział bez namysłu, kładąc akcent na słowo „ciebie”.

– Ach, ty... – zaczęła coś mówić, lecz on nie dał jej dokończyć całując ją.

– Co, nie chcesz? – zapytał, nie wypuszczając jej z objęć.

– Chcę. Bardzo chcę – odrzekła szeptem, jakby bojąc się, że ktoś usłyszy.

Poszli znów do jej pokoju.

– Wiesz, trochę się zmieniłeś po tym wszystkim... – powiedziała z lekkim wahaniem.

– Tak? A pod jakim względem?

– Jesteś taki śmielszy, bardziej męski... – przerwała, a na jej twarzy pojawił się dziewczęcy rumieniec. – Ale to mi się w tobie podoba – dodała.

Powtórzyli całą akcję sprzed kilku godzin, tylko teraz bez niepewności, za to z jeszcze większym zaangażowaniem i swobodą.

Później leżeli nadzy, bez przykrycia, zmęczeni, spoceni, szczęśliwi.

– Jak twoje studia? – zapytała, kiedy już ochłonęli.

– Nie wiem. Jutro wszystko się wyjaśni... Mam nadzieję, że pozwolą mi jeszcze zdawać. Tylko że ja zamiast kuć, wylegiwałem się w szpitalu...

– Jak teraz nie zdasz, to przecież możesz jeszcze po wakacjach.

– Oczywiście, tylko to nie jedyny mój problem... Drugi jest taki, że muszę się przenieść do Warszawy.

– Dlaczego? – zapytała zdziwiona.

Opowiedział jej o pracy, którą ma tam rozpocząć.

– Chcesz tam mieszkać?

– Muszę.

– Gdyby to było miesiąc wcześniej, to i ja bym pomyślała o zdawaniu w Warszawie.

– Trzeba spokojnie do tego podchodzić, a pomału sprawy się ułożą.

– Wszystko przecież od nas zależy – powiedziała poważnie, położyła się na nim i zaczęła go całować.

Kiedy się już ubrali, zaprowadziła go do piwnicy, gdzie stał stół do gry w ping-ponga.

To był pierwszy z przypadków, na który nie był przygotowany. Oczywiście, domyślił się, że dawniej grywali. Zaniemówił i zaczął intensywnie myśleć, jak z tego wybrnąć. Wszystko bowiem można udawać, ale to, że się umie coś, czego się nie umie, to już problem nie do rozwiązania.

Jedyne, co przyszło mu do głowy, to spróbować grać i po chwili powiedzieć, że się jest niedysponowanym. Był to jednak pomysł tylko na dzisiejszy wieczór, a co dalej?

– To zaczynaj – powiedział, stojąc nachylony w rozkroku i trzymając w dłoni raketkę.

Małgorzata odbiła energicznie piłeczkę, a on w nią w ogóle nie trafił.

Zdawał sobie sprawę, że człowiek, który na skutek przerwy wyszedł trochę z wprawy, nie grałby aż tak źle.

– Nie rozumiem, dlaczego grasz prawą ręką, przecież jesteś leworęczny...? – patrzyła na niego zdziwiona. – Co ty robisz?

Ta sytuacja zupełnie go przerosła.

Ostatnio ciągle wymyślał rozmaite hipotetyczne problemy oraz sposoby swojego zachowania. Równocześnie ciągle się obawiał, że mimo to zdarzy się coś, na co nie będzie przygotowany. I oto właśnie, kiedy już nabierał pewności siebie, kiedy coraz swobodniej odgrywał swoją rolę, w najbardziej nieoczekiwanym momencie te obawy się spełniły.

Stał z opuszczonymi rękami, bezradny, niczym uczeń, który dostał zbyt trudne pytanie.

– Julianie... Co się stało? – znów zapytała, a na jej twarzy pojawiło się zdziwienie pomieszane ze współczuciem.

Nagle siedemdziesiąt trzy lata życia i pracy w ciągle zmieniających się warunkach nieoczekiwanie dały pozytywny efekt, ratując go z trudnej sytuacji:

– Wiesz, bo ja ci nie powiedziałem, że po tym wstrząsie mózgu mam częściowy paraliż lewej ręki – odpowiedział zawstydzony. – Mówią, że to może minąć, ale ja na wszelki wypadek nie czekam, tylko ćwiczę prawą...

– Małgorzata położyła raketkę na stole, podeszła do niego, pocałowała go i łagodnym głosem powiedziała:

– Oj, to się nie przejmuj, tego w ogóle nie widać. Ja tego do tej pory nie zauważyłam.

– Bo to nie jest całkowity paraliż. Ja mogę nią poruszać. Brak mi tylko w niej siły i precyzji ruchów.

– Więc tym bardziej nie przejmuj się tym.

– Staram się nie przejmować – zapewnił ją.

– Staraj się bardziej. Widziałam twoją załamana minę.

Gdy wrócił do domu, nie było jeszcze ósmej. Mama była w kuchni, Anulka uczyła się w swoim pokoju, a ojciec siedział przed telewizorem i oglądał „Wieczór z Polityką”.

– Chodź, popatrz na tych pawianów. Mało się nie pozagryzają. Zobacz to przedstawienie – zaprosił syna.

Rzeczywiście, dwóch polityków i dziennikarz mówili równocześnie, nie dając sobie dojść do słowa. Pozostali dwaj czyhali na moment, kiedy uda im się zabrać głos, by popisać się swą mądrością i miłością do ojczyzny.

– Siadaj, popatrz na ten cyrk... Na ten występ hipokrytów. Do teatru nie musisz chodzić – mówił z podnieceniem. – Najmądrzejsi z najmądrzejszych, zbawcy narodu.

– Daj mu spokój, przecież wiesz, że on się tym nie interesuje – mama zawołała z kuchni.

– Mamo, mnie to interesuje, tylko szkoda mi na to czasu... – powiedział

pojednawczo.

– I bardzo dobrze. Widzisz? Bierz z niego przykład – pouczyła ojca, ukazując się na chwilę w kuchennych drzwiach.

– Łatwo powiedzieć, Dorotko... Ty chyba nie zdajesz sobie sprawy, że to wszystko naszym kosztem, za nasze pieniądze – ojciec nie dawał za wygraną. – Przecież my wszyscy za to płacimy. My utrzymujemy ten parlament, w którym posłowie ciągle tracą czas na wzajemne awantury, zamiast robić to, do czego są powołani. Mianowicie pracować nad nowymi, mądrymi ustawami.

– Tato, to jest racja, ale przecież nie masz na to wpływu. Takich posłów sobie wybraliśmy...

– Tak. Osłów, nie posłów! – skomentował ojciec, następnie wstał i demonstracyjnie wyłączył telewizor.

– Zygmunt, daj już spokój, nie dość, że sam tyle emocji w to wkładasz, to jeszcze chłopaka niepotrzebnie wciągasz... – podsumowała mama.

– Niestety, ekonomia jest tak powiązana z polityką, że wcześniej czy później nie obronię się przed tym – stwierdził Julian.

– No proszę, a dawniej mówiłeś, że nigdy nie będziesz się zajmować polityką – zauważyła mama. – To na pewno ojca wpływ...

– Może tak, ale to nieważne – odpowiedział krótko i wstał, mówiąc, że musi wreszcie pójść na górę i zobaczyć swój pokój.

Zabrał ze stołu indeks, który leżał tam od obiadu, i wszedł na schody.

Za pierwszymi drzwiami słychać było cichą muzykę. Domyślił się, że to pokój Ani. Drugie, węższe, miały w górnej części matową szybę, a w dolnej wąską kratkę. „Wiadomo, łazienka” – pomyślał z zadowoleniem. Otworzył trzecie drzwi, stanął na progu i rozejrzał się.

W kącie stał tapczanik, pod oknem biurko, dalej regał z książkami i jakaś szafka, a przy przeciwległej ścianie szafa ubraniowa.

Zbliżył się do regału i popatrzył na grzbiety książek. Były to podręczniki do ekonomii, jakaś beletrystyka, słowniki...

W tym momencie uświadomił sobie, że nie wiadomo, jakiego języka się uczył. Żeby szybko sprawę wyjaśnić, zaczął jeszcze raz przeglądać swój indeks.

– Cha! Angielski i niemiecki – powiedział półgłosem. – Świetnie... Jakby ktoś chciał, to ostatecznie mogę i rosyjski zdawać.

Uruchomił komputer. Niestety, tytuły licznych folderów nie zapowiadały niczego ciekawego, natomiast otwarcie poczty i notatnika wymagało hasła.

Otworzył drzwi od szafy. Wisiało w niej sporo ubrań. Coś mu podpowiedziało, żeby włożyć na siebie marynarkę. Okazało się, że jest na niego zdecydowanie za duża. Domyślił się, że to ojca, ale równocześnie stracił pewność siebie.

Zaklął cicho i pomyślał: „Ile, do diabła, tych niespodzianek mnie czeka?”

Wyjął spodnie z teksasu, przyłożył je do siebie i zakwalifikował jako swoje. Zaczął po kolei wyjmować rozmaite ubrania i sortować je.

Sprawa była o tyle łatwa, że ojciec był trochę niższy, za to zdecydowanie grubszy od niego, ale nie mógł zrozumieć, dlaczego te ubrania są tak przemieszane. Postanowił na wszelki wypadek o to nie pytać, licząc, że z biegiem czasu sprawa sama się wyjaśni.

Podszedł do biurka i przejrzał wszystko, co było w szufladach.

Było tam pełno rupieci, wśród których znalazł swój dowód osobisty, prawo jazdy, jakieś fotografie, ołówki, długopisy i całą masę rozmaitych szpargałów. „Pedantem, to on nie był” – pomyślał i zaczął oglądać zdjęcia.

Na ogół były to pamiątki z wakacji. Wyglądało, że jakieś wakacje spędził z Małgorzatą. Jeśli nie wakacje, to na pewno gdzieś wyjeżdżali.

Otworzył szafkę w podstawie biurka. Zawartość była podobna: parę książek, kilkadziesiąt zeszytów z notatkami i cała masa rozmaitych rzeczy, kwalifikujących się do wyrzucenia na śmietnik.

„Ale spadek dostałem” – pomyślał i schował w kieszeń dokumenty, które przecież były głównym celem przyjazdu.

Uśmiechnął się pobłaźliwie i zszedł na dół.

– Jak na górze? Nic się nie zmieniło? – zagadnęła mama.

– Poza tym, że moje ubrania są w jego szafie – stwierdził ojciec z tajemniczym uśmiechem.

– Tak? Nie zaglądałem – odrzekł spokojnie, patrząc w okno.

– W jego szafie załęgły się myszy, więc poprzemieniłem ubrania do innych szaf – powiedziała mama ze śmiechem.

– Oj, Doroto, Doroto... Kiedy ty wyrośniesz z tych bzdur... I to mają być żarty – odciął się trochę niezadowolony.

Chwilę panowała cisza. Ojciec jednak uznał, że synowi należy się wyjaśnienie, i powiedział z rozgoryczeniem:

– Po prostu do mojej szafy kot przyniósł nieżywą mysz i musiała tam długo leżeć, bo się aż zaśmierdziała... Trudno, żebym w tym smrodzie trzymał ubrania... I z czego tu się śmiać? – powiedział z pretensją.

– Tak, tak. Tylko że ty sam jesteś winien, bo nie zamykasz szafy.

– Zawsze zamykam. Nie gadaj takich rzeczy.

– Teraz tak. Teraz rzeczywiście zamykasz... – mama nie dawała za wygraną.

– A może byście coś zjedli? – dodała, najwyraźniej uznając, iż ta nagła zmiana tematu sprawi, że jej pogląd zostanie na wierzchu.

– Może... – odpowiedział Julian dość obojętnym tonem.

– To idź, Julusiu, po Anię – poprosiła, patrząc z miłością na syna.

Nazajutrz jeszcze przed śniadaniem przestudiował plan Łodzi, na który natknął się poprzedniego dnia, grzebiąc wśród rozmaitych papierów. Wyszukał na nim swoją uczelnię i przeanalizował sposób dojazdu.

Ubrał się w teksasowe spodnie oraz koszulę i letnią marynarkę i zaraz po jedzeniu wyszedł z domu.

Idąc do tramwaju, rozmyślał o tym, co ma tam do załatwienia. Denerwowała go konieczność zdawania egzaminów.

„Przecież to bzdura... Po co ja się w to pakuję?” – myślał. – „Siedemdziesięcioparoletni facet wybiera się na studia. Przecież ja mam studia i doktorat...”

Gorączkowo szukał jakichś podstaw tej decyzji, ale każde rozumowanie wbrew jego woli zataczało krąg i wracało do tej samej tezy: „Mam dwadzieścia cztery lata, więc powinienem ukończyć studia, ponieważ to jest baza pod całe moje przyszłe życie. Tego oczekuje moja rodzina... Tego oczekuje Małgorzata... Nie mogę działać w oderwaniu od realiów tego świata”.

Drażniła go też świadomość, że zaczyna liczyć się z tym, co pomyśli Małgorzata.

Te wszystkie uwarunkowania wprawiały go w złość. Kilkadziesiąt lat robił, co chciał. To inni musieli dostosowywać się do jego decyzji, do jego wymagań, kaprysów... Teraz jakiś profesorek będzie mu zadawać głupie pytania, a on będzie musiał się męczyć, żeby zaspokoić jego wymagania. I tak będzie przez najbliższe dwa lata... Ładna perspektywa.

Przez ten bunt przebijała się nieubłagana logika, że to cena, jaką musi zapłacić za swoją młodość i drugą szansę, którą dostał od losu.

„Jednak to i tak niska cena!” – krzyczały jego myśli wbrew niemu.

Przypomniał mu się pobyt w Jokohamie, rozmowa z profesorem i przyrzeczenia, że jeśli wszystko się uda, to musi stać się innym człowiekiem. Niestety, stał się inny tylko zewnątrz. Wewnątrz był ten sam Jurski, uparty, wymagający i bezwzględny dla innych, a łagodny i pobłażliwy dla siebie.

Gdy wsiadał do tramwaju, na jego twarzy pojawił się ironiczny, kwaśny uśmiezek.

„Tramwaj albo autobus zamiast luksusowej limuzyny” – myślał. – „Tanie ubranko zamiast eleganckiego garnituru, szytego u drogiego krawca”.

Nagle ironiczny, kwaśny uśmiezek zmienił się w szczerzy, szeroki uśmiech, ponieważ w jego mózgu zrodziła się następna sekwencja myśli, jak tamte zaczynająca się od „zamiast”:

„Zamiast starej, brzydkiej, gderającej żony, której miłość dawno wygasła, piękna, kochająca młoda dziewczyna”.

Wysiadł z tramwaju. Powinien przesiąść się do drugiego i przejechać jeszcze dwa przystanki, ale postanowił przejść je piechotą.

Doszedł do uczelni i wszedł do holu. Zaczął rozglądać się za dziekanatem, gdy nagle ktoś zawołał:

– Julianie! Julku!

Otoczyła go grupka młodzieży.

Nie było rady. Znów musiał od nowa opowiadać swoją historię.

– Jak myślicie, nie za późno, żeby jeszcze zdawać? – zapytał na koniec.

– Sam wiesz, nic się przez dwa miesiące nie zmieniło – szybko odpowiedziała jakaś ruda dziewczyna. – Jak zdasz u Wawrzyniaka, to reszta pójdzie gładko – dodała z ironią.

– A jakie on ma teraz ulubione tematy?

– Mnie pytał o rynek kapitałowy w krajach Dalekiego Wschodu – powoli, jak typowy flegmatyk, odpowiedział chudy chłopaczek w zielonkawej marynarce.

– Co ty, Mirusiu? To nie jest jego ulubiony temat – wyterkotała ruda. – Przeważnie pyta o politykę inwestycyjną w dobie kryzysu gospodarczego... Nie, Teresko? – ostatnie słowa skierowała do smągłolicej dziewczyny, ubranej w czarne obcisłe spodnie i męską kraciastą koszulę wypuszczoną na wierzch.

– Też często pyta o deflację... – dodała Tereska.

– Widzę, że rzeczywiście niewiele się zmieniło – stwierdził Julian.

– Sam widzisz, przecież pamiętasz Wawrzyna. – pocieszyła go Tereska i uśmiechnęła się zalotnie.

– Ale ty się nie martw – powiedział leniwym głosem niebieskooki blondyn, który do tej pory się nie odzywał. – Dobrze się uczyłeś, to dasz sobie radę, a Weronika ma rację... Najlepiej zaczynać od Wawrzyniaka.

– Łatwo powiedzieć... Tylko że ja przez dwa miesiące nie zajrzałem do książek... – wyjaśnił Julian – Mało tego, po wstrząśnieniu mózgu mam w głowie białe plamy.

– Ja nie rozumiem, w czym problem... – niebieskooki blondyn powiedział tonem zdradzającym zniecierpliwienie. – Idziesz na egzaminy i próbujesz zdać. Co zdasz, to masz z głowy. Resztę zdajesz po wakacjach. I tyle.

– A ja go rozumiem. – Tereska wzięła go w obronę. – Każdy przecież woli mieć spokojne wakacje.

– Ee, przesada. – niebieskooki blondyn obstawał przy swoim.

– Ty, Wojtku, jesteś do tego przyzwyczajony, a Julek nie – rozsądziła ruda, żywo gestykulując.

Sytuacja, w której rozmówcy go znają, a on ich nie, była dla Juliana bardzo niewygodna i stresująca, więc postarał się zakończyć spotkanie i poszedł szukać dziekanatu.

– Oo! Pan Julian! – powitała go starsza pani, siedząca za biurkiem. – Wszyscy się tu o pana martwili...

– Postaram się panu pomóc – zapewniła go z radosnym uśmiechem,

wysłuchawszy historii, która wielokrotnie doszlifowywana, nabrała charakteru standardu. – Doktor Nadolny odgraża się od paru dni, że zrobi egzamin tylko tym, którzy są zapisani, ale jakoś pana wcisnę... Jeśli chodzi o innych wykładowców, to nie widzę problemu... Myślę, że ma pan szanse mieć spokojne wakacje.

– Jeżeli zdam – powiedział gorzko.

– Może nie będzie tak źle – pocieszyła go z uśmiechem.

– Kiedy mam zaczynać? – zapytał niepewnie.

– Chce pan od razu?

– Tak – odparł sucho.

– W takim razie proponuję do pokoju dwadzieścia osiem do pana rektora Wawrzyniaka.

Wyszedł z dziekanatu i zajrzał do indeksu. Jedyna trójka, jaka w nim figurowała, była postawiona właśnie przez profesora Wawrzyniaka.

Postanowił całą tę sprawę potraktować jako żart. Jak dobrowolne wzięcie udziału w eksperymencie jakiegoś nieszkodliwego dziwaka. Jak coś, co robi się dla rozrywki.

„Widać, że wszyscy się go boją” – myślał, zbliżając się do schodów. – „Ja jeden się ciebie nie boję, profesorku”.

Powoli wchodził na górę. Każdy krok stawiany na następnym stopniu wykonywał, jakby rozgniatał leżące tam robaki. Z każdym krokiem narastała w nim złość, jakby szedł na spotkanie z wrogiem, którego zaraz pokona. Idąc, współczuł niemającemu szans przeciwnikowi.

Wszedł na pierwsze piętro i poszedł szybko korytarzem. Śpieszył się, gnany obsesyjną wolą walki, która pozbawiła go umiejętności podejmowania racjonalnych decyzji, oładnęła nim bez reszty. Szedł, nie zdając sobie sprawy, że stał się niewolnikiem czegoś, co się w nim zrodziło bez jego woli i dyktuje mu sposób postępowania. Bez namysłu nacisnął kławkę i otworzył drzwi do pokoju.

Za biurkiem siedział Tomek Wawrzyniak, kolega, z którym studiował pięćdziesiąt lat temu.

Przypomniało mu się, jak razem kuli przed egzaminami, jak chodzili na dyskoteki, podrywali dziewczyny...

Po ukończeniu studiów Tomek został na uczelni jako asystent. Julian wyjechał na dalsze studia do Oxford University. Teraz znaleźli się po dwóch stronach biurka w zgoła dziwnych okolicznościach.

Michał Jurski zrobił parę kroków i stanął naprzeciw Wawrzyniaka, szczerząc zęby w ironicznym, niesamowitym uśmiechu.

– Z czegoż to się pan tak cieszy? – zapytał profesor, spoglądając znad okularów.

– Cieszę się, że po pięćdziesięciu latach spotykam dawnego kolegę – odpowiedział uroczystym głosem.

– Tak? A z kim mam przyjemność? – zapytał profesor, przyzwyczajony do dziwnych zachowań studentów.

– Jestem Michał Jurski.

– Michał Jurski... – powtórzył profesor, zdziwiony jakimś nowym pomysłem. – Nie wierzę.

– Nie wierzysz? Czy nie pamiętasz? – spokojnie powiedział Jurski.

– Inaczej wyglądałeś... – wystękał zaskoczony profesor.

– Cha! Cha! Ty też. Jako żywo – krótko skwitował Michał.

– Nie wierzę – powtórzył profesor nieswoim głosem i powoli wstał z krzesła.

– Rozumiem, chcesz do-wo-dów – powiedział Jurski, swoim starym zwyczajem dzieląc słowo na sylaby. – A pamiętasz, kto cię dźwigał na plecach, jak w „Gepardzie” spadłeś ze schodów i złamałeś nogę? A pamiętasz, kto podarował ci na imieniny zasuszonego skorpiona? A pamiętasz, jak w „Saskim Ogrodzie” obaj kapaliśmy się pod fontanną? A pamiętasz, któremu wykładowcy podrzuciłeś do samochodu damskie majtki? A pamiętasz, kto u twoich rodziców niechcący przewrócił stojak z afrykańską rzeźbą? A pamiętasz, kto zapoznał cię z Jolantą? – wyrecytował jednym tchem.

– Jolantą – poprawił go profesor.

– Nie Jolantą, tylko Jo-lan-dą. Tak ją nazywaliśmy.

– No tak... Rzeczywiście... – powiedział Wawrzyniak zmienionym głosem, starając się nie okazywać zdenerwowania.

– Chcesz więcej dowodów? To pytaj mnie o coś, o czym wiemy tylko ty i ja!

– Tylko jeden... – powiedział cicho, opierając drżące dłonie o blat biurka. – Powiedz, kto ukradł Wolniewiczowi kapownik...

Z miny rektora było widać, że jest pewien wygranej.

– Cha! Cha! – zaśmiał się Jurski szyderczym barytonem. – Doprawdy, zadałeś arcytrudne pytanie... Ja ukradłem, a ty pilnowałeś, czy ktoś nie idzie.

Profesor pobladł i z powrotem usiadł za biurkiem. Dłuższy czas siedział bez ruchu, patrząc na Jurskiego.

Po długiej chwili wskazując dłonią krzesło, poprosił, by usiadł i siłąc się na spokój, wolno wycodził:

– To ty jesteś tym bogaczem?

Jurski spojrział na bladą twarz profesora, usiadł, na chwilę się zamyślił, spoglądając przez okno na kołyszące się od nagłego porywu wiatru smukłe topole, a następnie robiąc skromną minę, spokojnie odpowiedział:

– Ano jestem.

– Czego więc chcesz?

– Zalicz mi wszystko, co tu wykładasz – powiedział, kładąc na środku biurka

swój indeks.

– Przecież ty skończyłeś studia w Warszawie i pojechałeś jeszcze na Oxford – powiedział zdziwiony.

– Tak, ale dla mnie ważniejsza jest ta uczelnia.

Profesor położył na małej książeczce wskazujący i środkowy palec prawej dłoni i powoli przyciągnął ją do siebie. Popatrzył na Jurskiego, otworzył indeks i zaczął go przeglądać.

– Dobrze się uczysz – powiedział i sięgnął po długopis. Chwilę się wahał, a następnie zaczął wpisywać wyniki egzaminów.

Gdy skończył, zdjął okulary, przesunął dwoma palcami indeks na przeciwległy brzeg biurka i popatrzył na Jurskiego.

Siedzieli w milczeniu, patrząc na siebie.

– Tyle lat, tyle zmian... – powiedział rektor po paru minutach.

– Cieszę się, że cię spotkałem – odpowiedział Jurski, uśmiechając się przyjaźnie. – Pamiętaj, że jakbyś coś potrzebował, to możesz na mnie liczyć – dodał, sięgając po indeks.

– Chcę tylko spokojnie umrzeć – powiedział profesor po krótkim namyśle.

– Za wcześnie, za wcześnie... Teraz przecież sto lat to normalny wiek dla takich jak my.

Profesor w milczeniu pokiwał głową, wstał i wyciągnął rękę do Jurskiego.

Julian uścisnął jego dłoń i wyszedł.

Na korytarzu znów spotkał grupkę studentów, z którymi jak poprzednio odświeżył znajomość, co zajęło mu dobre pół godziny.

Gdy był już sam, zajrzał do indeksu, w którym przybyły trzy piątki, a następnie bardzo podniesiony na duchu, ponownie skierował się do dziekanatu, żeby ustalić terminy dalszych egzaminów.

– Proszę, proszę... Najgorsze za nami, i to z jakim skutkiem – powiedziała z podziwem pani z dziekanatu, oglądając indeks. – Radziłabym korzystać z dobrej passy i iść, jak to się u was mówi, za ciosem.

– Też tak myślę... A co, mógłbym jeszcze dzisiaj spróbować? Jeżeli to możliwe, chciałbym jak najwięcej zaliczyć.

Gdy wyszedł z uczelni, dochodziła trzecia. Był głodny, zmęczony, ale miał za sobą przeszło połowę egzaminów. Natychmiast zadzwonił do domu i postanowił wstąpić po drodze do Małgorzaty, żeby zabrać ją na obiad.

– Jak ci poszło? – zapytała, gdy tylko wszedł.

– Tak mi poszło – odparł i wręczył jej indeks, robiąc przy tym tajemniczą minę.

– Oj, jak się cieszę... Ale ja cały czas wierzyłam w ciebie... Mój Juleczek,

mój kochany – powiedziała i zarzuciła mu ręce na szyję.

Zaczęli się całować mocno i namiętnie, lecz po chwili zwinnym ruchem wysunęła się z jego objęć, mówiąc szeptem, że mama jest w domu i że powinien się z nią przywitać.

Weszli do przedpokoju. Mama słysząc, że ktoś przyszedł, wyjrzała z kuchni. Na jej twarzy natychmiast pojawił się szczerzy uśmiech, co było pewnym dowodem, że Julian także jest przez nią mile widziany.

– Małgosia już mi opowiadała o twoich przygodach – powiedziała, wyciągając do niego obie ręce.

Objęła go jak syna i przez chwilę stali we wzajemnym uścisku.

Julian zauważył, że matka, chociaż o dwadzieścia kilka lat starsza od córki, jest równie piękna i pociągająca. Przemknęła mu myśl, że ze względu na jego prawdziwy wiek być może byłaby dla niego tak samo dobrą partnerką. Prędko jednak zmienił pogląd i uznał, że wreszcie musi przestać patrzeć na świat z pozycji starszego człowieka.

Porozmawiali parę minut, po czym przeprosił mamę, pożegnał się i wyszedł razem z Małgorzatą.

– Mama jutro ma znów dyżur i całą noc będzie w szpitalu – powiedziała półgłosem, gdy tylko znaleźli się w ogrodzie, a na jej policzkach pojawiły się delikatne rumieńce.

– Świetnie, wspaniale – odpowiedział i porwał ja w objęcia. – W takim razie przychodzę – zapowiedział się ochoczo.

– Ale co powiesz rodzicom? Co oni sobie pomyślą?

– Nie widzę problemu. Spakuję się i powiem, że wyjeżdżam do Warszawy, a w rzeczywistości wyjadę następnego dnia rano.

– Mamo, jesteśmy! – zawołał już od progu.

– O! Doskonale, ale co z tymi egzaminami?

– Część zdałem, resztę będę próbować jutro... Wyniku niestety nie da się przewidzieć – wyjaśnił wesoło.

– Zdasz na pewno... Ale siadajcie. Ja już wołam Anię...

– Ja też w niego wierzę – zapewniła Małgorzata.

– No, no... Będzie mi głupio, jak was zawiodę – wtrącił Julian, chcąc je uprzedzić o możliwości ewentualnej porażki i przy okazji dodać trochę dramatyzmu.

Dało się słyszeć głośnie i szybkie kroki na schodach. Po chwili wbiegła Ania.

– Nie zawiedziesz! Nie zawiedziesz! – wołała już w przedpokoju. – Jak ci się mój brat podoba? – zwróciła się do Małgorzaty. – Bo ja mówię, że go podmienili – dodała ze śmiechem.

– Jeżeli tak, to ja twierdzę, że na lepsze... – odpowiedziała Małgorzata, całując się z nią i także się śmiejąc. – To nie znaczy, że przedtem miałam mu coś do zarzucenia, absolutnie – dodała dla jasności.

– Siadajcie dzieciaki, bo już późno. Na pewno jesteście niezłe wygłodzeni.

– Ja tak – Julian przytaknął dość skwapliwie.

– Obiad jest skromny – tłumaczyła się mama, stawiając na stole wazę z zupą.

– Tak z dnia na dzień nie da się nic lepszego przygotować.

– Ależ, proszę pani, wszystko, co kiedykolwiek jadłam u państwa, było wyśmienite – pochwaliła Małgorzata.

– Ja też lubię to, co mama gotuje... Uważam, że takie polskie tradycyjne jedzenie jest najlepsze – zapewnił Julian, przypuszczając, że właśnie tak zachowałby się prawdziwy Julian.

Wziął w dłonie wazę i popatrzył na mamę.

– Mnie nie. Wy zaczynajcie, wy jesteście głodni... – powiedziała, żywo gestykułując, co wyglądało, jakby opędzała się od much.

Julian chwilę się zawahał, następnie postawił wazę koło talerza Małgorzaty.

– Ile ci nalać? – zapytał.

– Tak dwie trzecie – powiedziała, ale obawiając się nadmiaru gościnności z jego strony, patrzyła uważnie, czy aby nie za wiele jej się dostanie. – Już, już! – zawołała, chociaż jeszcze sporo brakowało do wyznaczonej przez nią miary.

– Nie krępuj się, Małgosiu – zachęciła ją mama.

– Ja się nie krępuję, po prostu nie jestem aż taka głodna...

– Ja wiem, ty się pewnie boisz, że utyjesz – skomentowała mama z uśmiechem.

– Myślę, że na razie mi to nie grozi, ale na wszelki wypadek lepiej uważać.

– Masz piękną figurę – powiedziała mama z podziwem.

– Mamo, nie tylko figurę. Ona wszystko ma piękne. Cała jest piękna od czubka głowy, aż do stóp – powiedział Julian z zachwytem.

– Julianie, nie mów tak, bo to mnie krępuje – zaprotestowała Małgosia.

– No, same widzicie. W dodatku jest taka skromna – dodał, znów wziął wazę i postawił ją koło siostry.

– Boże, co za Wersal, ja aż się tu głupio czuję – powiedziała Ania, patrząc na brata wzrokiem pełnym podziwu.

Julianowi coraz bardziej podobało się jego nowe wcielenie, odczekał więc, aż Ania sobie naleje zupy, i znów wziął wazę, po czym pytającym wzrokiem spojrzał na mamę.

– Nalewaj sobie, nalewaj – zachęciła go. – Mnie tylko trochę możesz zostawić.

Nalał sobie pełen talerz i postawił wazę przy mamie.

– Mama też się odchudza – zażartował.

– Jak się robi coś w kuchni, to się spróbuje trochę tego, trochę tamtego i głód nie dokuczy – wyjaśniła i zaczęła pośpiesznie jeść.

Choć ostatnia zaczęła, pierwsza skończyła i poszła do kuchni szykować drugie danie. Oni tymczasem jedzenie przeplatali rozmowami:

– A myślicie o jakichś wspólnych wakacjach? – zapytała Ania.

– Wiecie, muszę się ze wstydem przyznać, że w tym nadmiarze wydarzeń jeszcze o tym nie pomyślałem, w ogóle jeszcze o tym nie rozmawialiśmy. Myślę...

– Oj, nie przejmuj się Julu – wtrąciła Małgorzata. – Przecież w naszej sytuacji nic się nie da planować...

– A jaka jest wasza sytuacja? – dociekała Ania.

– No taka, że on ma teraz egzaminy, a ja w lipcu.

– Rzeczywiście, zapomniałam... To macie jeszcze czas.

W tej chwili Julian zrozumiał, że pojawia się następny problem. Mianowicie nic nie wie na temat zeszłorocznych wakacji. W ogóle prócz tego, że się od pewnego czasu kochają, niczego nie wie o ich przeszłości. Nawet nie wie, jak długo to trwa. Zaczął więc intensywnie myśleć. Niestety, nie przychodził mu do głowy żaden sposób rozwiązania tej zagadki. Pozostawała tylko nadzieja, że znów dopisze mu szczęście.

Powrót ojca z pracy przerwał te rozmyślenia i jednocześnie skierował rozmowę na inne tory. Oczywiście, nowym tematem stała się polityka, ale nie wzbudził on zainteresowania, ponieważ mama podała drugie danie: gołąbki w liściach winorośli z młodymi kartoflami i siekaną natką pietruszki.

Dopiero rozległy się słowa zachwyty, przerywane przez mamę skromnymi wyjaśnieniami, że przecież to nie jest żadne przyjęcie, a jedynie zwykły obiad.

– Zwykły, ale jaki! – zwięźle oceniła Małgorzata.

Gdy już wszyscy zjedli z przekonaniem, że to koniec, na stole pojawiło się ciasto meksykańskie z bitą śmietaną i kompot gruszkowo-śliwkowy.

– No tak! Z tym ciastem to jest z mamy strony czysto pokerowe zagranie – powiedział Julian, robiąc zrozpaczoną minę. – Gdybym o nim wiedział, to zostawiłbym sobie miejsce.

– Mogłeś wiedzieć – dobiła go Małgorzata. – Przecież jak przyszliśmy, to w całym domu nim pachniało.

– Cha! Cha! Cha! – zaśmiał się ojciec. – Ja już prawie od furtki czułem.

Zaraz po obiedzie Julian odprowadził Małgorzatę do domu, ale za chwilę wrócił i poszedł na górę robić porządki w swoim pokoju. Tak naprawdę, to wcale nie chodziło mu o porządki. Raczej chciał się zapoznać z całą spuścizną po Julianie, ponieważ miał nadzieję, że w ten sposób lepiej go pozna i więcej się dowie o jego związku z Małgorzatą.

Najwięcej dowiedział się dzięki znalezieniu kalendarza z różnymi notatkami oraz pudełka ze zdjęciami. To ostatnie uświadomiło mu, że jest mnóstwo ludzi, których powinien znać, a nie zna.

„W tej chwili mogę się tłumaczyć” – pomyślał – „że po wstrząśnięciu mózgu jeszcze nie w pełni odzyskałem pamięć”.

Postanowił od razu zacząć działać. Równocześnie uznał, iż najlepiej pytać mamę, ponieważ ona jest w stanie wybaczyć mu każde potknięcie i bez podejrzeń odrzucić wszystkie wątpliwości. Zszedł więc na dół i poprosił ją o pomoc.

Nie zawiódł się, ponieważ mama wszystko rzuciła i poszła z nim na górę, szczęśliwa, że może mu w czymś pomóc.

Prawie przy każdej fotografii zatrzymywali się na parę minut i opowiadała mu o różnych ciociach, wujkach, stryjkach, babciach i tak dalej. Im ważniejsza postać, tym dłuższy był komentarz, co pozwoliło mu lepiej zapamiętać wygląd danej osoby i powiązać ze wspomnianymi przez mamę wydarzeniami. Ku jego ogromnej radości było też jedno zdjęcie, na którym stał z Małgorzatą na piaszczystej plaży na tle starej rybackiej łodzi z napisem „Dar” wymalowanym na burcie.

– No, to wiesz, z zeszłego roku...

– Tak, wiem w Darłowie... – domyślił się, widząc początek napisu.

– Tak, w Darłówku – poprawiła mama.

W ten sposób nie budząc niczyich podejrzeń, bardzo wzbogacił wiedzę o rodzinie, bliższych znajomych i choć trochę o Małgorzacie.

Kiedy skończyli, mama poszła robić kolację, a on jeszcze raz przejrzał wszystko od nowa, żeby utrwalić sobie dopiero co zdobytą wiedzę.

Za chwilę i on udał się na dół.

Gdy schodził po skrzypiących stopniach, przypomniał sobie, że kiedyś chodził po schodach, które identycznie skrzypiały. Dokładnie nie pamiętał, gdzie to było, ale z pewnością w poprzednim życiu, z którym nie ma już nic wspólnego. Wiedział, że najlepiej byłoby wykreślić je zupełnie z pamięci, być tylko Julianem Podhoreckim i żyć tylko tym, co jest tu i teraz, ponieważ jednoczesne życie tu i tam przekracza jego możliwości mentalne, a poza tym niczemu nie służy. Jednak wspomnienie dzisiejszego dnia, kiedy przez chwilę był znów Michałem Jurskim, wesółym, pewnym siebie, swobodnym, sprawiło, że żał mu się zrobiło tamtego świata.

Ojciec swoim zwyczajem siedział przed telewizorem, Ania na fotelu przeglądała jakieś pismo ilustrowane, a mama nakrywała do stołu.

Usiadł na drugim fotelu i spojrzał na Anię. Siedziała z podkulonymi nogami. Można było się domyślić, że siadła z rozmachem, aż powiewna spódnica przesunęła się do góry, odsłaniając jej zgrabne uda, a ona nie zwracając na to uwagi, trwała w tej pozycji niczym piękna nimfa nad brzegiem ruczaju.

Przez chwilę odczuł żal, że taka pociągająca dziewczyna jest poza jego zasięgiem.

Zobaczywszy go, Ania odłożyła gazetę, obciągnęła w dół spódnicę i zwróciła się do niego:

– To co. Masz szansę jutro wszystko zdać?

– Jako żywo – odpowiedział obojętnym tonem. – Szansę mam, tylko nie wiem, czy szczęście mi dopisze... Jak nie, to szansa przepadnie.

– Wiecie co? Tego Juliana chyba nam podmienili w tym szpitalu... – powiedziała półzartem. – To jest jakiś inny facet.

– Zwariowałaś? – odpowiedział Julian.

– Co ty znów wymyśliłaś!? – mama natychmiast ją zganiła.

– Czy wy tego nie widzicie, że on miał różne swoje ulubione zwroty, których teraz w ogóle nie używa... Natomiast używa jakichś innych, których dawniej nigdy nie słyszeliśmy... Na przykład to „jako żywo”... Ciągłe to mówi: „Jako żywo to”, „Jako żywo tamto” – mówiła, wymachując rękami, aż jej powiewna spódnica znów podfrunęła do góry. – Nie rozumiem, skąd mu się to wzięło.

Julian milczał wciśnięty w fotel.

– Daj spokój, nie czepiaj się – upomniał ją ojciec.

– A czy wy nie widzicie, że on teraz je prawą ręką, chociaż zawsze był mańkutom?

– Miałem uszkodzoną prawą półkulę mózgu i lewą rękę od tamtej pory mam znacznie mniej sprawną – spokojnie wyjaśnił.

– No widzisz. Masz wyjaśnienie – mama niezmiennie trzymała stronę syna.

Przy kolacji mało rozmawiał, zastanawiając się, co zrobić, żeby uniknąć tego typu sytuacji: „Najlepiej byłoby ograniczyć kontakty z nimi” – myślał. – „Zwłaszcza z Anką... I jakoś ją ułagodzić... To pierwsze jest trudne... Przynajmniej teraz, póki studiuje, to drugie może łatwiejsze...”

Po jedzeniu, gdy Ania wstała od stołu, podszedł do niej, objął ją, mocno przycisnął do siebie, pocałował w policzek i powiedział:

– Kocham cię, ty zadziuro...

– Już dobrze, dobrze – powiedziała i też go pocałowała, nieświadomie wzbudzając w nim falę pożądania.

Puścił ją i łagodnie powiedział, patrząc w jej błękitne oczy:

– Ty też się zmieniasz, tylko tego nie widzisz.

Poszedł na górę i znów zaczął szperać. Znalazł jeszcze jeden kalendarz, a w nim złożone na czworo zniszczone dokumenty dotyczące komputera. Przeglądając je zauważył na marginesie jednego z arkuszy odręcznie napisane: „juma97/00”. Domyślił się, że to może być hasło lub login potrzebny do uruchomienia jakiegoś programu.

Włączył komputer i zaczął eksperymentować. Po kilku próbach udało się.

Hasło poczty brzmiało: „Podhorecki” login: „juma97/00”.

Zachęcony tym sukcesem otworzył pocztę. Było w niej kilkadziesiąt listów do i od niego. Postanowił wszystkie przeczytać. Znalazł wśród nich listy do kolegów i koleżanek z uczelni, zamówienia do sklepów internetowych, listy do niego – przeważnie od tych samych osób, do których pisał. Wpierw przeglądał je pobieżnie, ale gdy trafił na korespondencję z Małgorzatą, zaczął czytać je dokładnie. Niektóre były bardzo osobiste, wzruszające, pełne miłosnych wyznań.

Natura nie wyposażyła Michała Jurskiego we wrażliwość, delikatność uczuć i umiejętność docenienia piękna. Pomimo tych braków instynktownie wyczuł w czytanych listach jakiś rodzaj sztuki, a może nawet artyzmu, jakąś specyficzną atmosferę, która łączyła tę parę, toteż czytał je uważnie i starał się zrozumieć, na czym polega ten nieuchwytny urok. Podczas tej lektury zaczął rozumieć, że ich związek był czymś dużo większym i bardziej skomplikowanym niż dobry seks.

Przeczytawszy parę listów, zrobił przerwę, żeby zrewidować swój dotychczasowy stosunek do tych spraw. Przeanalizować je, mówiąc językiem ekonomisty. Uważał to za ważne, ponieważ coraz bardziej zależało mu na Małgorzacie.

Przypomniało mu się, że nie sprzeciwiała się, kiedy powiedział, iż musi zamieszkać w Warszawie, ponieważ ma tam dobrą pracę. Na początku uważał, że brak sprzeciwu oznacza, iż ona tak samo jak on traktuje tę znajomość jako seks bez zobowiązań. Czytając te listy, zrozumiał, że jest zupełnie odwrotnie. Że brak sprzeciwu to dowód poważnego zaangażowania, zaufania i że warto pielęgnować to uczucie.

Wpadł na pomysł, żeby do niej zadzwonić, i natychmiast to zrobił:

– Dzwonię, żeby usłyszeć twój głos, bo stęskniłem się za tobą... I żeby ci powiedzieć, że cię Kocham – zaczął rozmowę.

– A wiesz? Właśnie myślałam o tobie i nagle zadzwonił telefon... Cieszyłam się w myślach, że znów jesteś i że się skończył ten zły czas, kiedy cię nie było... A co robisz, może masz chęć jeszcze się spotkać?

– Oczywiście, że mam chęć, ale robię w pokoju porządki i nie wypada tak tego zostawić.

– Jasne. To rób porządki i pamiętaj, że cię Kocham.

Nazajutrz rano wstał i zaraz po śniadaniu pojechał na uczelnię.

Jego wiedza okazała się nieco przestarzała, ale pomagała mu umiejętność rozumowania, którą nabył w ciągu pięćdziesięciu lat prowadzenia różnych przedsiębiorstw. Pomogły mu też dobre oceny, jakie uzyskał na egzaminach u profesora Wawrzyniaka.

Miał co prawda drobne potknięcie u doktora Nadolnego, ale sam sobie był

winien, ponieważ niepotrzebnie wdał się w dyskusję o rynku kapitałowym, co nie mieściło się w programie wykładów doktora. Ostatecznie mógł się uważać za studenta czwartego roku. W czasie drogi powrotnej do domu zadzwonił do kierowcy, który go tu przywiózł, i uprzedził, że następnego dnia rano wracają do Warszawy.

Gdy przyszedł do domu, dochodziła czwarta. Cieszył się, że jest jeszcze dość wcześnie i będzie mieć czas, żeby przed wyjazdem porozmawiać z rodzicami i się spakować.

Mama i Ania były już w domu, a ojciec na służbie.

– Oj, tak mi szkoda, że wyjeżdżasz – powiedziała mama, gdy tylko stanął w drzwiach. – To nawet z ojcem się nie zobaczysz?

– Mamo, przecież najpóźniej za półtora tygodnia przyjadę... – pocieszył matkę. – Dziś jest środa. Na następny weekend na pewno będę w domu, a jak się uda, to i wcześniej.

– Wracaj, wracaj braciszku, bo mi przykro, że nie będę miała komu dokuczać – wtrąciła Ania.

– Ja też będę za tobą tęsknić – odpowiedział i podszedł do niej, a ona objęła go i pocałowała w usta.

Julian też ją objął, mocno przycisnął, brodę oparł na jej ramieniu, policzek przytulił do jej twarzy i tak stali przez chwilę bez ruchu.

– Ojej, ale co na uczelni? – zawołała mama, wyraźnie zawstydzona, że dopiero teraz pyta.

– Jeśli chodzi o egzaminy, to jestem już na czwartym roku – odpowiedział, uniósłszy trochę głowę. Nadal nie wypuszczał siostry z objęć.

– Julu, to świetnie... Ale wiesz, ja wierzyłam w ciebie! – zawołała mama pełna zachwytu.

– Ja też byłam tego pewna... – zawtórowała Ania, wysuwając się z jego objęć. – Ale opowiadaj, opowiadaj – dodała, patrząc na brata z uznaniem.

– Co mam opowiadać?

– Jak to co? No, jak było na egzaminach?

– Jak, jak... Normalnie... Co tu opowiadać? – rozłożył ręce. – Idziesz, pytasz wszystkich, jakie dają tematy, i wchodzisz... A tematy są i tak zupełnie inne...

– A to pisemne czy ustne?

– Raz tak, raz tak. Zależy u kogo... A co ty mnie tak pytasz? Dwa dni tu jestem i ty ani słowa o sobie nie powiedziałaś... – mówiąc, to uśmiechnął się, ale w jego głosie można było zauważyć lekką pretensję. – Ja nawet nie wiem, do której ty szkoły chodzisz – udawał, że żartuje, ale to była prawda.

– Cha! Cha! Cha! Siostra za rok zdaje maturę, a on nie wie – Ania zaśmiała się teatralnym śmiechem, biorąc się pod boki. – Do liceum przy ulicy Lecha Wałęsy.

- Przecież on żartuje – mama wzięła go w obronę.
- Przecież wiem... Ja też żartuję – spokojnie wyjaśnił.

Zjedli obiad i dość długo rozmawiali. Później poszedł na górę, żeby się spakować.

Gdy zszedł na dół, niosąc podróżną torbę, mama zaczęła go żegnać ze łzami w oczach:

- Julu, błagam cię, uważaj tam na siebie... I wracaj jak najprędzej.
- I uważaj, żeby cię nie podmienili – zażartowała Ania.
- Zrobiło mu się trochę ich żal, zwłaszcza mamy.
- Nie martw się, mamó, na pewno wszystko będzie dobrze – pocieszył,

całując ją.

Pożegnał się z siostrą i wyszedł.

Poszedł w kierunku przystanku tramwajowego, ale minął go, a następnie skręcił w przecznicę i poszedł do Małgorzaty.

Ucieszyła się, gdy wszedł, ale zauważył, że poprzez tę radość przebija smutek.

- Stało się coś? – zapytał.
- Nic się nie stało, tylko mi głupio...
- Z jakiego powodu?
- Głupio tak oszukiwać twoich rodziców... Poza tym gdyby się wydało, to byłby wstyd jak nie wiem co... Przecież nigdy tak nie robiliśmy.
- To może jednak rzeczywiście pojedę – powiedział z żalem.
- Ale wiesz, już się nastawiliśmy...
- Mnie też głupio, ale z drugiej strony przecież to, co planujemy, to nie jest przestępstwo.

– No niby tak, jesteśmy dorośli, wolno nam – powiedziała nieco podniesiona na duchu i uśmiechnęła się, pokazując swoje piękne zęby. – Ale mimo to trochę głupio.

Zaczęli się całować. Julian pomyślał, że przy Małgorzacie jego libido jest dużo, dużo trudniejsze do poskromienia niż przy Ani.

- Może zjemy kolację? – zapytała w przerwie między pocałunkami.
- Niedawno jadłem, ale jeśli masz chęć, to dla towarzystwa mogę trochę zjeść.

Po kolacji poszli do jej pokoju i razem zaczęli ścielić tapczan.

Następnego ranka zmęczony, ale szczęśliwy zjadł z Małgorzatą śniadanie i rozglądając się ostrożnie, poszedł na umówione spotkanie z kierowcą, który powinien czekać tam, gdzie rozstali się przed trzema dniami.

Już z daleka zauważył swoją limuzynę. Gdy podszedł bliżej, zobaczył, że

kierowca czyta gazetę. Chciał wsiąść, ale drzwi były zamknięte od wewnątrz. W tej samej chwili kierowca go spostrzegł, wyskoczył z auta jak oparzony i zaczął go przeproszać.

– Nic się nie stało, panie Wojtku, niech się pan nie przejmuj – pocieszył go, choć było to wbrew regułom, których przestrzegał jako prezes Jurski.

– To wszystko przez tę gazetę, panie prezesie – tłumaczył się.

– Co ciekawego piszą? – zapytał prezes, wsiadając do pojazdu.

– Jak zwykle o polityce... Wiecznie awantury i hipokryzja... Ludowcy chcą wszystkiego za darmo, chrześcijańscy demokraci uczą wszystkich moralności, a sami zapominają o nauce Chrystusa.

– A co konkretnie?

– No, na przykład w Ewangelii jest napisane, że żaden sługa nie może służyć dwóm panom, Bogu i mamonie, a tymczasem księża zajmują się biznesem.

– Czytuje pan Ewangelię?

– Czasem... Niektórzy się śmieją, ale to dlatego, że nie wiedzą, że tam jest dużo takich mądrych uwag... Ale ja pana prezesa bardzo przeproszam, że tu panu tak opowiadam.

– Nie szkodzi, jakbym nie chciał pana słuchać, to bym pana nie pytał... A ile wiosen pan sobie liczy, panie Wojtku?

– Za parę miesięcy kończę siedemdziesiąt.

– O, to niedługo na emeryturkę?

– Tak, ale myślę, że jeszcze trochę popracuję, jeżeli mnie pan prezes nie wygoni.

Julian na wszelki wypadek nic nie odpowiedział i wrócił do poprzedniego wątku:

– A zna pan jeszcze jakieś cytaty z Ewangelii?

– Tak, ale i pan zna, bo dużo tych cytatów weszło do powszechnego użytku... Ludzie je powtarzają i nie wiedzą, że to z Ewangelii. Na przykład: „Nie samym chlebem człowiek żyje” albo: „Lekarzu, ulecz samego siebie”.

– Nie myślałem, że pan jest takim wzorowym chrześcijaninem.

– Ja nie jestem wzorowym chrześcijaninem. Absolutnie... Ja krytycznie do tego podchodzę – stanowczo zaprzeczył.

– To ja już nie rozumiem...

– Dlaczego? Co mądre, trzeba przyjąć, ale trzeba brać pod uwagę, że przez parę tysięcy lat różni nadgorliwcy to wszystko poulepszali i dostosowali do swoich potrzeb.

– Myśli pan?

– Znając ludzi...

Michał Jurski nigdy nie wdawał się w rozmowy ze swoimi podwładnymi, zwłaszcza tak niskiego szczebla. Teraz był zdziwiony, że jego kierowca, którego

zna już bardzo długo, ma taką wiedzę i tak zdroworozsądkowe podejście do bądź co bądź filozoficznych problemów. Wcale go o to nie podejrzewał.

Im bardziej zbliżali się do Warszawy, tym intensywniej myślał o sprawach firmowych, kazał więc zawieźć się wprost do biura.

Wchodząc do swojego sekretariatu, zauważył, że sekretarka pośpiesznie schowała lusterko, w którym się przeglądała.

– Halinko, żeby to było ostatni raz – powiedział groźnie.

– Oczywiście, panie prezesie – zapiszczała przestraszona. – Przepraszam bardzo.

– Ty przepraszasz i dalej robisz to samo... Przecież już raz zwracałem ci uwagę.

– Panie pre-zesie, to już się nigdy nie powtórzy – zapewniła, zacinając się. Zrobiła przy tym dziwną minę.

– Dobrze, zaproś mi tu Romana Dworaka i dyrektora Drygalskiego, a na jutro na ósmą rano zwołaj spotkanie ze wszystkimi dyrektorami i ich zastępcami... Aha, i zrób mi kawę.

Wszedł do swego gabinetu i usiadł za biurkiem. Przypomniało mu się, że poprzednio nie on zwracał Halince uwagę, lecz Jurski.

„Nic dziwnego, że miała głupią minę” – pomyślał i przyrzekł sobie, że będzie ostrożniejszy.

Zaczął przeglądać rozmaite dokumenty leżące na biurku i czekające na jego podpis, ale nie dokończył, gdyż weszła sekretarka z kawą. Równocześnie powiedziała, że przyszedł pan magister Dworak.

– Dobrze, proś – powiedział sucho.

– Witam! Panie prezesie! – zawołał już od progu, śmiejąc się od ucha do ucha. – Serce się raduje, kiedy się na pana patrzy.

– Panie dyrektorze, to nie jest kabaret, tylko Generalna Dyrekcja Koncernu JURSKI GROUP... Niech pan o tym nie zapomina – Julian krótko przywołał go do porządku.

– Przepraszam, tak jakoś mi się wyrwało – powiedział, powściągając swoją wesołość.

– Co słyhać w firmie? Wszystko w porządku?

– A tak, tak... Dlatego jestem w takim dobrym nastroju.

– Tylko niech pan tego dobrego nastroju aż tak nie manifestuje – Julian powiedział trochę łagodniej i wskazał gestem, żeby Dworak usiadł. – Ale jakieś reakcje na pewno są. Przecież taka zmiana na stanowisku prezesa nie zdarza się codziennie...

– Są, ale nie ma co zwracać na to uwagi... Wie pan, panie prezesie, jak to

ludzie... Jedni tak, drudzy tak...

– Dworak, pan wie, do diabła, że ja nie lubię takich zawołowanych wypowiedzi... Pan powinien pracować w polityce, tam potrzeba takich, którzy mówią tak, żeby było dużo słów, ale żeby nic konkretnego z nich nie wynikało – powiedział, nie kryjąc zniecierpliwienia.

– Przepraszam. Po prostu jedni uważają, że jak młody, to niedoświadczony, drudzy, że skoro pan Jurski go mianował, to pewno wie, co robi, a jeszcze innych to w ogóle nie obchodzi... Po prostu wszystko jest normalnie – próbował załagodzić.

– Może i normalnie, tylko dlaczego ja mam to z pana wyciągać?

Dyrektor Dworak był przyzwyczajony, że szef od czasu do czasu ostro traktuje pracowników.

Tym razem jednak czuł się zawiedziony, gdyż raczej spodziewał się nagrody za swoją wierną służbę.

– Ja wiem, Romanie, że pan się spodziewa nagrody – Julian powiedział, jakby czytał w myślach Dworaka – i mam to na uwadze, ale pan powinien wiedzieć, że ja wymagam pragmatyzmu... – ostatnie zdanie zabrzmiało niezwykle stanowczo.

– Wiem, panie prezesie, i przepraszam, że się na moment zdekoncentrowałem.

– Myślę, że podwyżka stałego uposażenia będzie dla pana lepszą nagrodą niż coś jednorazowego.

– Oczywiście, panie prezesie, i bardzo dziękuję – wyrecytował prawie jak w wojsku.

– Uważam, że coś należy się również tym, którzy dwa miesiące temu byli blisko tej sprawy.

– Ja też tak uważam.

– W takim razie niech pan przygotuje jakieś propozycje. I na wszelki wypadek niech pan teraz na nich uważa... Rozumiemy się?

– Jak najbardziej. Ja ich od tamtego momentu cały czas obserwuję.

– To wszystko – powiedział Julian i wstał z fotela, co dawało do zrozumienia, że rozmowa jest skończona.

Odprowadził Dworaka do drzwi i wyjrzał do sekretariatu. Dyrektor finansowy Jan Drygalski już czekał na rozmowę

– Proszę, panie dyrektorze – zwrócił się do Drygalskiego. – Nie mieliśmy jeszcze okazji się zapoznać – powiedział Julian, kiedy tylko przybysz zamknął za sobą drzwi. – Jestem Julian Podhorecki – dodał i wyciągnął dłoń. – Niech pan siada.

Drygalski usiadł na wskazanym miejscu i obojętnym wzrokiem patrzył na Juliana. Ten siedział chwilę, nic nie mówiąc. Widać było, że o czymś myśli. Po

chwili bez żadnych wstępów przystąpił do sprawy:

– Zbliża się koniec półrocza, proszę więc, żeby pan ściągnął sprawozdania finansowe za pierwsze półrocze ze wszystkich naszych przedsiębiorstw i do piętnastego lipca przedłożył mi je wraz ze swoim komentarzem.

– Ale proszę pana, to się nie da – dyrektor odpowiedział bez namysłu.

– Dlaczego? – spokojnie zapytał Julian.

– Za pana prezesa Jurskiego było na to więcej czasu.

– A czy pan ma podsumowanie wyników za ubiegły rok, które było u nas robione?

– Mam.

– I jaka jest na nim data?

– Koniec stycznia albo luty... Dokładnie nie pamiętam...

– I czy prezes Jurski był zadowolony z tego terminu?

– No... Ja nie wiem... Nic mi nie mówił – odrzekł z nieco mniejszą pewnością siebie.

– To ja panu przypomnę, co mówił prezes. Prezes powiedział, że w takich terminach te rzeczy robiło się pięćdziesiąt lat temu, kiedy nie było odpowiednich programów komputerowych.

– Ja nie mam... Ja przecież ... To przecież zależy, kiedy ja dostanę z terenu. Oni też przecież muszą mieć na to czas – odpowiedział dyrektor, powstrzymując złość.

– Umówmy się więc tak. Pan roześle do nich informacje z terminem, którego nie wolno im przekroczyć. Ten termin tak pan ustali, żeby i oni zdążyli, i pan. Może się pan powołać na uzgodnienia ze mną. I proszę, żeby pan nie zapomniał tego, co ja panu dziś mówię, bo widzę, że z pamięcią u pana nie najlepiej.

Dyrektor Drygalski nic nie odpowiedział, nie chcąc zaognić sprawy. Jedynie na jego twarzy malowała się złość.

Julian wstał i uśmiechając się, na pożegnanie wyciągnął do niego dłoń. Dyrektor również wstał, w milczeniu podał rękę Julianowi i wyszedł.

Julian zawołał sekretarkę, poprosił o następną kawę i zaczął przeglądać dokumenty oczekujące na jego podpis. Zajęło mu to ponad dwie godziny.

Ostatecznie część papierów podpisał i przekazał sekretarce, a resztę pozostawił, gdyż wymagały rozmowy z dyrektorami.

Gdy był w Łodzi, dokuczał mu brak samochodu. Złościło go, że ma elegancką limuzynę, a musi jeździć tramwajem. Wtedy postanowił, że powinien kupić auto odpowiednie dla człowieka takiego jak on. To znaczy niedrogie, ale wygodne.

Po bardzo krótkim namyśle uznał, że te warunki spełnia używany samochód

średniej klasy, i zaraz po pracy pojechał do komisji z takimi pojazdami.

Obejrzał kilkadziesiąt modeli, niektóre po parę razy, i podjął decyzję. Od ręki spisał umowę i dał zaliczkę, umawiając się, że następnego dnia ktoś zgłosi się po pojazd.

Zjadł w restauracji obiad i wrócił do domu. Było jeszcze widno, więc postanowił poświęcić trochę czasu na skontrolowanie swojego majątku. Pospacerował po parku i zauważył, że ścieżki pozarastały trawą, a piękny trawnik naprzeciwko głównego wejścia jest bardzo zdeptany i porwany, jakby ktoś ciągał po nim ciężkie przedmioty.

„No tak” – pomyślał. – „Gospodarza nie ma, to nikt nie dba... Ale to nie jest brak dbałości, tylko dewastacja” – myślał dalej i narastała w nim złość.

Poszedł szukać ogrodnika.

Znalazł go po drugiej stronie domu. Był zajęty koszeniem trawy. Ogrodnik już z daleka go zauważył, wyłączył kosiarkę i zaczął iść naprzeciw.

– Co z tym trawnikiem? – zapytał Julian, pokazując ruchem dłoni, o który trawnik chodzi.

– To syn pana Jurskiego z kolegami grywa tam w piłkę.

– I nikt nie zwracał mu uwagi?

– Pani Anna mu mówiła, ale on jej nie słucha.

– A pan mu nie zwracał uwagi?

Ogrodnik się zawahał, jakby się czegoś wstydził, i powiedział:

– Ja nie, ja się bałem...

– No ładnie – odrzekł Julian i udał się w kierunku pałacu.

Rozejrzał się trochę i poszedł do Anny.

Nie było jej w swoim pokoju, więc się domyślił, że może być u Alicji. Zapukał i zajrzał. Nie zawiódł się, rzeczywiście tam była.

– Dzień dobry paniom. Przepraszam, ale ja mam sprawę do pani Anny – powiedział bardzo grzecznie i nawet się uśmiechnął, mimo że wrzała w nim złość.

– Tak? To proszę... – odparła, wstając. – Przepraszam cię, Alicjo – dodała, podchodząc do Juliana. – W czym mogę pomóc? – zapytała i popatrzyła mu w oczy.

– Czy pan Wiktor jest w domu?

– Chyba tak. Widziałam go niedawno.

– Czy mógłbym prosić, żeby państwo przyszli do gabinetu?

– A czy mnie też pan zaprasza? – zapytała Alicja, wstała z krzesła, lekko się zachwiała i niepewnym krokiem ruszyła w jego kierunku.

– Chętnie panią zaproszę, ale jak skończymy rozmowę z panią Anną i z panem Wiktorem.

– Oł. Z panem sam na sam... To ja się boję.

– Skoro się pani boi, to nie namawiam.

Szli kawalek, nie rozmawiając. Później Anna przeprosiła go i poszła szukać Wiktora, Julian zaś udał się wprost do gabinetu.

Wszedł, pozostawiając przez nieuwagę trochę niedomknięte drzwi.

Minęło kilka minut i na korytarzu dało się słyszeć głośną rozmowę. Za chwilę weszła Anna, a za nią Wiktor.

– Proszę państwa – zaczął dość obcesowo. – Jestem zbulwersowany stanem trawnika przed pałacem.

– Rzeczywiście, trochę jest sfatygowany, ale nie rozumiem, dlaczego pana to obchodzi. Przecież to nasz trawnik, a nie pana – odrzekł Wiktor.

– Proszę pana, pan będzie tu rządzić, jeżeli ja pana do tego upoważnię. Na razie pan Jurski wszystko, łącznie z pałacem, scedował na mnie... Poza tym to budynek reprezentacyjny, gdzie się podejmuje ważne osobistości. Jak pan by się czuł, gdyby tu jutro przyjechał ambasador Francji? – ostatnie zdanie Julian wypowiedział dość podniesionym głosem.

– Proszę pana, ja nigdy nie dopuszczę do tego, żeby pan się tu rządził – stanowczo powiedział Wiktor.

– Cha! Cha! Cha! Ciekawy jestem, jak pan to zrobi? – zaśmiał się Julian.

– Jutro idę do adwokata! – wykrzyknął Wiktor.

– Jak ja panu dam pieniądze na adwokata, to wtedy pan do niego pójdzie – oświadczył Julian jeszcze bardziej podniesionym głosem.

– Panowie, spokojnie. To nie ma sensu. Po co tyle emocji wkładać w taką w sumie dość błahą sprawę? – wtrąciła się Anna.

– No właśnie. Po co? – odpowiedział Julian. – Pan zbyt ambicjonalnie podchodzi... Pański ojciec wiedział, że pan się nie nadaje do kierowania firmą, i dlatego mnie do tego wybrał – powiedział Julian, siląc się na ton pojednawczy, chociaż treść wcale na to nie wskazywała.

– Proszę panów, ja mam propozycję! – dość gwałtownie zawołała Anna, chcąc nie dopuścić do dalszej wymiany zdań. – Taka rozmowa do niczego nie prowadzi. Proponuję poprzestać na tym, co już zostało powiedziane... Jeżeli panowie będą uważali, że to takie ważne, można kiedyś do tego wrócić, ale na dzisiaj dosyć.

Zapanowało dość długie milczenie, które pierwszy przerwał Julian, zdobywając się na cichy i spokojny ton:

– Jest pani nieoceniona, pani Anno, i uważam, że ma pani rację.

– No, już dobrze, chodź, Wiktorze – powiedziała, biorąc go pod rękę.

Wiktor chwilę się wahał, ale delikatnie popychany przez Annę, dał się wyprowadzić.

Julian usiadł na fotelu i starał się zebrać myśli, które po wyjściu gości jakoś dziwnie mu się rozpierzchły, stając się nagle wielowątkową gmatwaniną.

Przez parę minut usiłował ukierunkować je na jakiś wybrany temat, lecz nic

mu z tego nie wychodziło. Przypomniało mu się, że w biblioteczce powinien być jakiś alkohol. Wstał, podszedł i otworzył drzwiczki. Rzeczywiście, na połączanej tacy stała butelka brandy i parę szklanek. Nalał ćwierć szklanki i zamaszystym ruchem wlał wszystko do gardła.

Butelkę i szklankę postawił na miejscu, zamknął drzwiczki i wyszedł na korytarz.

Wszedł do swojej sypialni. Na dworze już się ściemniało. Pomimo mroku panującego w pokoju nie zapalił światła.

Jego myśli już się uporządkowały. Teraz wiedział, że jest Julianem Podhoreckim, a Michał Jurski niepotrzebnie wtrąca się w jego życie. „Ty mnie wypychasz w problemy” – pomyślał. – „Niepotrzebnie na samym początku robisz mi wrogów...”.

– Jesteś podły – powiedział półgłosem do Jurskiego. – Teraz ja za wszystko odpowiadam. Nie ty, więc nie podejmuj decyzji w moim imieniu i nie skłócaj mnie z innymi... Zwłaszcza że ja się nie prosiłem do twojego świata i do twoich interesów.

Usłyszawszy własny głos, przeraził się i zamilkł. Przypadkowo spojrzął w lustro wiszące we wnęce między szafą, a biblioteką. Ujrzał w nim Jurskiego. Miał na sobie to samo ubranie, w którym widział go przy podpisywaniu aktu notarialnego.

– Co ty tu robisz? Wynoś się! – zawołał do niego ze złością.

Jurski powoli zaczął znikać, a na jego miejscu zaczęła się pojawiać Małgorzata. W mroku nie było widać rysów jej twarzy ani koloru ubrania, za to wyraźnie rysowała się jej zgrabna sylwetka.

– Małgosiu... – wyszeptał, wyciągnął przed siebie rękę i zrobił krok do przodu.

Małgorzata znikła, gdy dotknął dłonią chłodnej tafli lustra.

Zdał sobie sprawę, że to wszystko wytwór jego wyobraźni, nad którą w tym trudnym czasie nie potrafił zapanować. W tym samym momencie w jego mózgu zrodziła się myśl, że Małgorzata i każda chwila, która się z nią wiąże, to najlepsze, co mogło mu się w życiu przydarzyć. Równocześnie gorąco zapragnął jak najprędzej się z nią spotkać.

Usiadł na kanapie, wyjął z kieszeni telefon i zadzwonił do niej.

– Witam cię, moja Małgosiu. Dzwonię, bo się stęskniłem – powiedział, gdy tylko usłyszał jej głos.

– Świetnie, że dzwonisz, bo i ja się stęskniłam. Cały dzień miałam chęć do ciebie dzwonić, ale bałam się, że ci będę przeszkadzać.

– To dobrze, bo ja prawie przez cały dzień brałam udział w różnych naradach... Ale wiesz? Postanowiłem nie czekać do następnego weekendu, tylko przyjechać na ten. To znaczy jutro wieczorem.

– Wspaniale... – zawahała się. – Ale czy to nie za duży kłopot? Przecież to kawał drogi – dokończyła.

– Ee tam, co ty... Toż to niecałe dwie godziny jazdy. Warto ponieść ten trud, żeby dwa dni być z tobą.

– Julu, Julu, och, jak ja się cieszę... To i dla twojej mamy będzie wspaniała niespodzianka.

Julian widział w myślach jej piękną, rozradowaną twarz i niemal namacalnie odczuwał jej bliskość. Wydawało mu się, że nawet dolatuje do niego delikatna woń jej perfum.

– A dzwoniłeś do swojej mamy?

– Jeszcze nie.

– Oj, to może nie dzwoń. Ja do niej zaraz zadzwonię. Ja tak lubię komuś przynosić dobre wiadomości – w jej głosie rozbrzmiewała szczerą radość.

Juliana już w pierwszym dniu znajomości z nią uderzyła jej ogromna życzliwość dla innych. Jednocześnie wstyd mu było, że nie potrafi taki być.

– Oczywiście, zadzwoń, będę ci wdzięczny, jeżeli mnie wyręczysz.

– A jak w twojej pracy? Jesteś zadowolony?

– Bardzo. Jutro ci wszystko opowiem... To w takim razie do zobaczenia, i pamiętaj, że cię kocham.

Rozmowa z Małgorzatą, choć krótka, pomogła mu wrócić do równowagi, poukładać sobie różne sprawy, a przede wszystkim uporządkować ich skalę wartości.

Następnego dnia gdy tylko dojechał do pracy, poprosił do siebie kierowcę, z którym jeździł do Łodzi, dał mu odpowiednie dokumenty i wysłał po odbiór swojego samochodu, a sam poszedł do sali konferencyjnej, aby przedstawić się zarządowi.

– Serdecznie witam wszystkich państwa na naszym krótkim spotkaniu – zaczął swoje przemówienie – Niestety, pan doktor Michał Jurski pod presją swojej sytuacji zdrowotnej musiał podjąć nagłą decyzję o wyjeździe za granicę. Uniemożliwiło mu to osobiste przedstawienie mnie. W tej sytuacji pozwoliłem sobie zaprosić państwa, żeby samemu to uczynić, co robię z prawdziwą przyjemnością. Oczywiście, zaprosiłem również te osoby, z którymi miałem przyjemność zapoznać się już wcześniej.

Nazywam się Julian Podhorecki, pochodzę z Łodzi. Uważam, że to musi wystarczyć, ponieważ wszystkie inne informacje byłyby formą samooceny, która zwykle jest subiektywna, a nie o to tutaj chodzi. Pragnę jedynie zapewnić państwa, że nie jestem zwolennikiem rewolucyjnych zmian i nie będę takowych wprowadzać. Chcę być kontynuatorem polityki pana prezesa Jurskiego. Zwłaszcza

że po tak wybitnej osobie jak pan doktor trudno byłoby cokolwiek ulepszyć.

Interesuje państwa zapewne, czy pan prezes wróci, a jeśli tak, to kiedy. Otóż jestem przez pana prezesa Jurskiego upoważniony do udzielenia informacji, że pan prezes wyjechał z zamiarem trwałego wyłączenia się z pracy zawodowej i jeżeli kiedykolwiek wróci, to i tak nie będzie już kierować firmą.

Uważam, że na początek te informacje są niezbędne i jednocześnie wystarczające, a najlepiej poznamy się podczas wspólnej pracy.

Dziękuję państwu za przybycie i ponieważ mamy dziś piątek, życzę miłego weekendu.

– Przepraszam, a czy można zadać jedno pytanie? – zapytał jeden z uczestników.

– Panie dyrektorze Rogulski, to nie jest konferencja prasowa, ale jeśli tylko jedno, to proszę – odrzekł Julian, wywołując tym uśmiech na wielu twarzach.

– Chciałem jedynie zapytać, jak się czuje pan prezes Jurski, czy ma pan z nim kontakt i skąd pan mnie zna, skoro widzimy się pierwszy raz?

– Rzeczywiście, jedno pytanie, ale potrójne. Ma pan typowo dziennikarskie sposoby, ale trudno, niech będzie... Z prezesem ostatnio kontaktu nie miałem. Pan prezes ma nadzieję, że będzie zdrowy, a na ostatni człon pytania mogę odpowiedzieć, że mam dobrą pamięć i dzięki temu ja znam pana, a pan mnie nie – odpowiedział Julian bez namysłu, wywołując cichy śmiech niektórych uczestników.

Tuż przed piątą po południu, Julian wyruszył do Łodzi sześciolatkiem, ale pięknie wyglądającym Fordem Kalliope.

Po przybyciu zajechał pod dom Małgorzaty, wbiegł na ganek, zadzwonił do drzwi i gnany niecierpliwością nacisnął klamkę. Drzwi były otwarte, więc wszedł do przedpokoju. Małgorzata właśnie zbiegała na dół.

– Tak myślałam, że to ty – zawołała, zobaczywszy go.

Padli sobie w objęcia.

– Chodź, przywitaj się z mamą – szepnęła mu do ucha.

– Tak, zaraz, ale wprawdzie zobacz mój samochód.

– Kupiłeś?

– Tak, zobacz.

– Co ty? Bank ograbiłeś? – zażartowała, patrząc na nabytek.

– On tylko tak wygląda, ale to używany. Ma sześć lat... A, co tam, muszę przecież czymś jeździć. Jak uważasz?

– Wiesz, kochany... Nie znam twojej sytuacji finansowej, ale mam nadzieję, że się nie zapożyczyłeś ponad swoje możliwości?

– Co ty. Nie mam ani grosza długu. Przecież dostałem odszkodowanie za

wypadek, poza tym mam dobrą pracę... Może przejedziemy się do moich rodziców?

– Chętnie, tylko powiem mamie, żeby nie myślała, że ktoś mnie porwał.

Weszli do domu. Julian przywitał się z mamą i zaraz wybiegli.

– Myślę, że będę przyjeżdżać co tydzień. Licząc od drzwi do drzwi, dwie godziny jazdy. To żaden kłopot – powiedział, gdy wsiadali do auta.

– Wspaniale. Julu, nie masz pojęcia, jak się cieszę, że tak ci się wiedzie. Mój kochany! – zawołała z radością, objęła go i mocno pocałowała w usta. – Wiesz, zeszłego lata, jak jechaliśmy do Darłówka, to myślałam, że jak przepracuję ten rok, to kupię sobie samochód, i odłożyłam na to pieniądze, ale chyba na taki by mi nie wystarczyło...

– Co ty, to tani samochód. Teraz używane są za bezcen.

Zajechali pod dom rodziców i weszli do środka. Zastali tylko Anię.

– Sama jestem. Tato dziś i jutro po południu, mama też w pracy, bo to koniec półrocza, zawsze daje się wykorzystywać... Nic z tego nie ma, za to właściciel się bogaci...

Julianowi przypomniała się jego wczorajsza rozmowa z dyrektorem Drygalskim.

„Też pewno będą tak pracować” – pomyślał i zrobiło mu się wstyd.

– Chodź na ulicę, zobacz samochód Juliana – powiedziała Małgorzata. – Też prawie kapitalista – dodała ze śmiechem.

– O! Aleś się szarpnął, bracie! – zawołała z podziwem, patrząc na pojazd.

– Widzisz, jakiego masz brata? – z dumą powiedziała Małgorzata.

– To może was przewiozę?

– Świetny pomysł! Może pojedźmy pod mamy pracę... Ona pewnie już kończy... – zaproponowała Ania.

Przestraszyła go ta propozycja, gdyż do tej pory nie wiedział, gdzie mama pracuje, i w ogóle bardzo słabo znał Łódź.

– Oj, ja nie powinnam, bo to się przeciągnie, a właśnie uczyłam się do egzaminów... – z żalem stwierdziła Gosia.

– A czy w ogóle nie minęlibyśmy się w drodze? – zapytał Julian, mając nadzieję, że jednak pomysł siostry nie dojdzie do skutku.

– No... To może jednak rzeczywiście dajmy sobie z tym spokój. Lepiej, żeby się Gośka uczyła – powiedziała Ania i spojrzała na brata.

Julian zaczął się zastanawiać, jak długo jeszcze szczęście będzie mu tak dopisywać.

– Może więc chociaż odwieziemy Małgosię do domu – powiedział i nie czekając na odpowiedź, dodał: – Wsiadajcie.

Pojechali, ale nie normalną drogą, lecz okrężną, żeby próbna jazda trwała dłużej. Zostawili Małgorzatę i wracali do domu. Niedaleko celu dogonili mamę

idącą od przystanku.

– Mamo, wsiadaj! – zawołała Ania.

– A cóż to? – mama zapytała zdziwiona.

– Julian kupił sobie samochód. Wsiadaj, mamo.

Mama spojrzała nieufnie na pojazd i się zawahała. Julian wysiadł, otworzył drzwi i zaprosił ją, by weszła. Mama jeszcze chwilę się wahała, po czym wsiadła, mówiąc:

– Czy to prawda, co ona mówi?

– Prawda, kupiłem go wczoraj

– Skąd ty masz tyle pieniędzy? – zapytała zdziwiona.

– Mamo, to jest sześćioletni samochód. On nie jest drogi. Poza tym dostałem odszkodowanie za wypadek i dobrą pracę... Stać mnie na to.

– Oj, to dobrze, bo się wystraszyłam, że się zapożyczyłeś w jakimś banku.

– Cha! Cha! Małgosia, też mnie zapytała, czy jakiś bank ograbiłem.

– Małgosia to mądra dziewczyna i dobra... Powinieneś ją szanować.

– Mamo, nie martw się, ja ją bardzo szanuję... – odpowiedział poważnym tonem. – I kocham ją. Naprawdę.

Dojechali do domu i wysiedli. Mama jedną ręką objęła Anię, drugą Juliana i powiedziała:

– Ach, moje kochane dzieci. Wy nie macie nawet pojęcia, jak ja się cieszę waszymi sukcesami. Jesteście esencją mojego życia.

Stali tak chwilę bez ruchu.

– Mamo, my cię też bardzo kochamy – powiedziała Ania i spojrzała na brata.

Julian chciał coś powiedzieć, lecz zamilkł, gdy jego wzrok padł na załzawione oczy Ani.

– No to chodźmy do domu. Na pewno wy też jesteście głodni – powiedziała mama, wypuszczając ich z objęć.

– Chodźmy. Zrobiłam dla nas dobry obiad – pochwaliła się Ania.

Julian szedł za nimi w milczeniu.

– Ja jadłem obiad w Warszawie, ale dla towarzystwa chętnie trochę zjem – powiedział nieswoim głosem.

Podczas jedzenia nie bawił ich rozmową ani nie podejmował żadnych tematów. Ograniczał się do odpowiadania na pytania. Po obiedzie poszedł na górę i zaczął przekopywać wszystko, co tylko było w pokoju, a później przeglądał zawartość komputera.

Znów pogłębił trochę swoją wiedzę o Julianie, ale to wciąż było za mało. Ta świadomość napełniała go coraz większymi obawami.

Późnym wieczorem zadzwonił do Małgorzaty i zapytał, czy nie ma chęci następnego dnia wybrać się gdzieś samochodem. Ucieszona zaproponowała, żeby pojechać nad jezioro Sulejowskie w to miejsce, które tak się im podobało

w zeszłym roku.

W pierwszej chwili chciał zaproponować wycieczkę gdzieś w nieznane, gdyż nie wiedział, gdzie byli rok temu, ale natychmiast przyszedł mu do głowy sposób ominięcia tego kłopotu. Poza tym na wszelki wypadek popatrzył na mapę, żeby zorientować się, gdzie w ogóle jest to jezioro.

Położył się spać w nie najlepszym nastroju, gdyż był już zmęczony ciągłym udawaniem i ustawicznym pilnowaniem, żeby czymś się nie zdradzić

Chwilami ta sytuacja wydawała mu się beznadziejna.

„Co innego w pracy...” – myślał. – „Tam wszystkich znam, wszystko wiem i stąпам po pewnym gruncie, a tu błędzenie po omacku”.

Była jednak poważna przyczyna, dla której coraz bardziej był gotów brnąć w to dalej i dalej. Przyczyna ta miała na imię Małgorzata.

Rano o umówionej godzinie pojechał pod jej dom. Wyskoczył z auta i wbiegł do domu. Małgorzata była już gotowa, więc natychmiast wyszli. Gdy byli już na dworze, Julian trzymając kluczyk od auta w czubkach dwóch palców i potrząsając nim jak dzwoneczkiem, powiedział:

– Mam propozycję. W tę stronę pojedziesz ty, a z powrotem ja.

– Oj. Chętnie! – zawołała z radością. – Już wczoraj miałam ochotę, ale uważałam, że ty się jeszcze nie nacieszyłeś...

– Moja kochana Gosia. Zawsze myśli o innych.

Pocałował ją w policzek i wcisnął jej w dłoń kluczyk.

Póki jechali przez Łódź, Julian starał się nie rozmawiać, żeby nie rozpraszać uwagi, potrzebnej do zapamiętywania trasy. Później, gdy była już prosta droga przez Pabianice do Piotrkowa, zaczął opowiadać o swojej pracy, ponieważ uznał ten temat za bezpieczny.

– Na razie, żeby zapoznać się z charakterem pracy i strukturą przedsiębiorstwa, będę pracować w różnych działach i na rozmaitych stanowiskach. Później, to znaczy po paru miesiącach, zacznę się specjalizować w jednym wybranym kierunku.

– A kto ma dokonać tego wyboru? – zapytała. – Czy nie będzie tak, że ktoś zdecyduje za ciebie?

– Wydaje mi się, że ustalę to wspólnie z moim obecnym przełożonym...

– A kto to taki?

– Roman Dworak. Jest dyrektorem do spraw organizacyjno-prawnych.

– A co to w ogóle za firma?

– Koncern JURSKI GROUP.

– Daj spokój, ale wylądowałaś...

– Myślisz, że źle?

– Myślę, że świetnie. Trzymaj się tego.

– A ty trzymaj kierownicę, bo jak tak gestykulujesz, to możesz coś sknocić.

– Nie martw się, jak nie sknociłam wtedy, kiedy mnie całowałeś, to teraz tym bardziej nic się nie stanie – odpowiedziała ze śmiechem i przechyliła się w prawo, trącając go ramieniem.

– Wiesz, jakbym miał się zabić, to już wolę podczas całowania ciebie, niż miałbym zostać przejechany przez pana Jurskiego.

– A to on cię tak poturbował? To nic dziwnego, że ci się teraz tak powodzi...

– No widzisz, jak wpadać, to pod coś dobrego.

Przed Piotrkowem skręcili w kierunku Tomaszowa.

– A ta ruda to jeszcze z tobą studiuje? – Małgorzata nagle zadała mu nieprzewidziane pytanie.

– Jaka ruda? – zapytał odruchowo.

– No ta, co w zeszłym roku byliśmy tu z nią i z jej chłopakiem.

– Aa! Weronika? – domyślił się, że o nią chodzi.

– No tak, Weronika... Nie mogłam sobie przypomnieć jej imienia.

– Tak, w tej samej grupie.

– Pamiętasz, gdzie myśmy skręcili w prawo? – zapytała, widząc tablicę informacyjną z napisem: „Młoszów, Swolszewice Małe”.

– Wydaje mi się, że wtedy minęliśmy Młoszów, chyba w Swolszewicach – postanowił strzelić na chybił – trafił.

– Myślisz? To jedziemy dalej...

– Ale ja nie twierdzę, że na pewno – zastrzegł się.

– A ja nie twierdzę, że musimy jechać dokładnie w to samo miejsce. Wystarczy, żeby była woda i las... I żeby być razem. Nie? – zapytała i pocałowała go w ucho.

Skręcili w drogę do Swolszewic. Nawierzchnia była gorsza, lecz za to jechało się przez las.

– Właściwie dlaczego myśmy nie ustawili nawigatora? – zapytała Małgorzata, okazując coraz większą niepewność.

– Dlatego, że nie wiemy, jak się nazywa miejsce, do którego jedziemy... – odparł. – Na wszelki wypadek jednak go uruchomię.

Dojechali wreszcie do Swolszewic Dużych. Z nawigatora wynikało, że z miejsca, w którym zaparkowali, było około pół kilometra do jeziora.

– Jedziemy czy idziemy? – zapytał Julian.

– Co ty, trzeba chodzić... – uśmiechnęła się i dodała: – Będziemy kiedyś mieli po siedemdziesiąt lat, to będziemy jeździć.

Wzięli torbę z prowiantem i koc i poszli.

– Jednak byliśmy gdzie indziej, ale tu też jest ładnie. Prawda? – zapytała, gdy doszli do jeziora.

– Pewnie, że tak. Popatrz, jaki upał mimo przedpołudniowej godziny.

Postawił na ziemi torbę i rzucił na nią koc. Wziął Małgorzatę za łokcie, przyciągnął ku sobie i powiedział:

– Kocham cię, moja piękna, moja najdroższa.

Objął ją w pól i zaczął całować. Stali dłuższą chwilę we wzajemnym uścisku. Po chwili Julian przestał ją całować, oddalił swoje usta od jej ust i patrzył na jej twarz, nie wypuszczając jej z objęć.

– Chodź, znajdziemy jakieś miejsce, żeby się rozlokować – powiedziała i jeszcze raz pocałowała go w usta.

Poszli kawałek wzdłuż brzegu. Znaleźli wolny placyk w półcieniu, pod krzakiem leśnej kaliny, i rozłożyli koc. Rozebrali się i położyli. W zaroślach było słychać nieustanny, szeleszczący dźwięk świerszczy.

Leżeli dość długo w milczeniu, nasycając się szczęściem tej chwili.

Julian myślał o minionych latach i o wydarzeniach ostatnich miesięcy, niedowierzając, że to wszystko dzieje się naprawdę. Cieszył się w myślach, że coraz bardziej przyzwyczajają się do nowej roli i coraz łatwiej mu ją grać. Chwilami zaczynał wierzyć, że w końcu stanie się prawdziwym Julianem. Bez gry, udawania i kłamstw.

Później poszli do wody. Trochę pływali, baraszkowali w niej i znów leżeli na kocu, rozmawiając albo całując się, i tak minęło ponad pół dnia.

Wracali późnym popołudniem, nieco zmęczeni upałem, a jednocześnie wypoczęci psychicznie, bogatsi w nowe doznania. Na przedmieściach Łodzi ugrzęźli w korku.

– Dobrze, że nie jedziemy później, byłoby jeszcze ciasniej – powiedział Julian trochę znużony.

– Tak, ale właściwie to przecież się nam nie śpieszy. Przynajmniej jest czas porozmawiać, poopowiadać sobie coś – powiedziała Małgosia takim tonem, jakim babcie opowiadają bajki wnuczkom.

– Właśnie, to opowiedz coś.

– Chętnie, ale co?

– Co chcesz... Powiedz, jak z twoimi przygotowaniem do studiów.

Zacząła mu opowiadać, z jakich przedmiotów będą egzaminy, z jakich książek się uczy. Co sprawia jej trudności, a co nie...

Przed jednym ze skrzyżowań był duży korek. Więcej czasu stali, niż jechali. Wzdłuż sznura samochodów szedł kulejąc obdarty chłopiec z wykręconą do środka stopą. Wyglądał na dziesięć, może jedenaście lat. Trzymał w brudnej dłoni kartonowy kubeczek po kefirze i zbierał w niego pieniądze. Jego starania odnosiły niewielki skutek, gdyż z samochodów będących w zasięgu wzroku Małgorzaty i Juliana nikt nic mu nie dał.

Gdy zbliżał się do nich, Małgorzata opuściła szybę i wrzuciła do kubeczka

parę monet. Chłopiec podziękował i poszedł dalej.

– Małgosiu, ja mogę się założyć, że on udaje z tą nogą – powiedział Julian tonem zdradzającym lekkie oburzenie.

– Wiem, że udaje, ale weź pod uwagę, że on nic więcej nie umie – odparła ze współczuciem. – On stara się robić jak najlepiej to, co umie. Jego problem polega na tym, że urodził się w rodzinie, która nie zadbała, żeby chodził do szkoły i uczył się jak wszystkie normalne dzieci. To jest jego tragedia, że już na starcie został skazany przez rodziców na przegraną... – mówiła z przejęciem, a na jej twarzy widać było smutek. – Wiem, że większość tych, od których nic nie dostał, jest zadowolona, że nie dała się oszukać... Ale czy nie uważasz, że lepiej, żeby zebrał, niż należał do szajki młodocianych przestępców?

– Tak, muszę przyznać ci rację... – powiedział trochę zawstydzony. – Jakoś z takiej strony na to nie spojrzałem...

– Widzisz, bo ludzie nie mają zwyczaju myśleć o innych... Przecież to jest nagminne... Są na parkingu dwa wolne miejsca obok siebie, wjeżdża kierowca, stawia swoje auto na środku i w ten sposób zajmuje oba – mówiła z pasją. – To się ciągnie dziesiątki lat i nikt nie może znaleźć na to sposobu...

– Tak, tylko że nie ma ustawy, na podstawie której można by takich kierowców karać.

– Ale to wina parlamentu... Jak posłowie tracą połowę energii na oczernianie przeciwnego obozu, to nie wystarcza im czasu na ważne sprawy.

Julian wziął jej nadgarstek, podniósł rękę do góry i pocałował w dłoń, mówiąc:

– Ach, ty pasjonatko moja kochana.

– Pasjonatko, pasjonatko... – powtórzyła po nim. – Oczywiście, że byłoby najlepiej, gdybyśmy wszyscy byli wychowani w duchu solidaryzmu społecznego. Wtedy takie ustawy nie byłyby potrzebne, ale cóż, nikt tego nie uczy: ani szkoła, ani telewizja, ani większość rodziców, więc jest, jak jest – spojrzała na niego jakby w obawie, czy go nie zanudza albo czy w ogóle nie jest innego zdania.

– Wiesz, jak tak ciebie słucham, to myślę, że mogłabyś studiować socjologię – odpowiedział z uśmiechem.

– Nie, nie... – stanowczo zaprzeczyła. – Ja socjologią wprawdzie się interesuję, ale naprawdę kocham medycynę i muszę się dostać na te studia.

– A mnie kochasz? – zapytał i przełożył dłoń za jej plecami, złapał ją za prawe ramię i przyciągnął do siebie, a ona spojrzała mu w twarz i powiedziała:

– Ciebie też bardzo, bardzo kocham.

Wrócili, gdy już się zmierzchało. Zawiózł ją wprost do domu.

– Chyba cię pożegnaj – powiedział, wahając się. – Muszę też mieć trochę czasu dla rodziców.

Małgorzata wyczuła żal w głosie Juliana i dostrzegła ledwo uchwytny

smutek w oczach. Pomyślała, że to z powodu rozstania, i patrząc z czułością na jego twarz, powiedziała:

– Oczywiście, przecież oni bardzo cię kochają.

W poniedziałek wstał niezbyt wcześnie i nie bardzo mu było pilno wyjeżdżać. Aż mama się dziwiła i narzekała, że przez niego spóźni się do pracy, przy okazji pouczając go, iż młody pracownik powinien bardziej przestrzegać dyscypliny.

– Mamo, nie martw się, wystarczy, jak przyjadę przed dwunastą. Tak się umówiłem – tłumaczył.

W końcu wszyscy wyszli, a on jeszcze jadł śniadanie i pakował się do drogi. Wyjechał dopiero trochę po dziewiątej.

Jechał dość wolno i kontemplował ostatnie dwa dni. Później włączył radio, trafiając na transmisję z obrad parlamentu. Przemawiał akurat poseł z Partii Ludowo-Demokratycznej: „...To skandal!” – krzyczał. – „Żeby w demokratycznym państwie burmistrz nie chciał wydać zezwolenia na paradę równości! Ja się pytam: Kiedy skończą się w naszym kraju podziały na lepszych i gorszych? Dlaczego w takim razie ten sam burmistrz zezwala na procesje w dniu Bożego Ciała?! Jak długo Partia Chrześcijańsko-Demokratyczna będzie narzucać społeczeństwu średniowieczne myślenie!?”.

Na sali rozległy się gwizdy. Poseł usiłował jeszcze dalej mówić, ale tupanie i krzyki skutecznie go zagłuszały. Wśród ogólnej wrzawy wybił się pojedynczy okrzyk: „Spadaj, pedale!”.

Za moment dało się słyszeć stukanie młotka w trybunę i rozpaczliwą prośbę marszałka parlamentu: „Błagam o spokój! Proszę pań i panów posłów! Błagam o powstrzymanie swoich temperamentów!”. Stukanie młotka ponownie rozbrzmiało i wrzawa stopniowo ucichła, a marszałek mówił dalej: „Proszę pań posłanek i panów posłów, ja przypominam, że każdego człowieka obowiązują pewne elementarne zasady, a my jako posłowie powinniśmy świecić przykładem w przestrzeganiu tych reguł. Czego możemy oczekiwać od społeczeństwa, jeżeli sami posłowie ignorują te zasady? Proszę również nie zapominać, że sposób i tematy parlamentarnej dyskusji reguluje regulamin. Nie może być tak, że każdy będzie zabierał głos na dowolny temat, stosując w dodatku formę, która nie jest do przyjęcia w żadnym społeczeństwie, nie mówiąc już o wzajemnym obrzucaniu się epitetami. Dlatego bardzo proszę o powrót do merytorycznej dyskusji”.

Julian wyłączył radio z niesmakiem.

Przypomniały mu się słowa Małgorzaty: „Jak posłowie tracą połowę energii na oczernianie przeciwnego obozu, to nie wystarcza im czasu na ważne sprawy”.

„Inteligentna dziewczyna...” – pomyślał z uznaniem. – „Nie tylko piękna, ale

i mądra... A jaki temperament... I wspaniałe jest to, że na co dzień tego nie okazuje, ale kiedy potrzeba, to ho, ho!...” – zabrakło mu słów.

Jechał jakiś czas, słuchając muzyki i rozmyślając o tym, co działo się w parlamencie.

„Przecież każdy pracownik, którego zatrudniam, ma obowiązek wykonywać to, za co mu płacę” – myślał z dezaprobatą. – „Jeżeli ktoś w pracy marnuje czas swój i kolegów, wywołując wielogodzinne dyskusje i sprzeczki, ba, nawet awantury, to taki pracownik zostaje zwolniony... Po diabła mi taki pracownik? Przecież to wszystko stoi na głowie. Przed wyborami zabiegają o nasze głosy” – myślał dalej z coraz większym oburzeniem – „a dzień po wyborach wyrrywają się spod naszej kontroli i robią, co chcą. I my to finansujemy, nie mając na to żadnego wpływu... Jeżeli ktoś chce prowadzić walkę polityczną, szkalować swoich przeciwników, ubliżać im, prezentować swoje chore poglądy, to niech sobie założy gazetę i tam może to robić na własny koszt i odpowiedzialność. A nie w parlamencie, za nasze pieniądze, w dodatku chowając się za immunitetem poselskim... Ciekawe, o czym teraz debatuje?” – pomyślał i wrócił do poprzedniej stacji.

„...ja żądam natychmiastowego wykluczenia z obrad i ukarania posła Adolfa Pareckiego” – krzyczała rozpaczliwym sopranem jakaś posłanka – „ponieważ on obraził uczucia religijne Polaków”.

Energicznie otworzył drzwi do sekretariatu i wszedł. Powiedział zdawkowe „Dzień dobry” i od razu skierował się do swojego gabinetu.

Zamknął za sobą drzwi i zaczął nerwowo chodzić po pokoju.

Usiadł za biurkiem, wyjął z szuflady cienką książeczkę ze spisem firmowych telefonów, gdy nagle zajrzała sekretarka, mówiąc, że magister Durski od dawna dopytuje się o prezesa, gdyż ma jakąś ważną sprawę.

– Dobrze, Halinko – powiedział do sekretarki, otwierając spis. – Ja teraz porozmawiam z Rogulskim i za pół godziny możesz poprosić Durskiego.

Przejrzał spis telefonów i wystukał numer do dyrektora do spraw reklamy Damiana Rogulskiego.

– Słucham... – odezwała się sekretarka.

– Mówi Podhorecki. Bardzo proszę, żeby dyrektor Rogulski przyszedł do mnie – powiedział sucho.

Zapanowała dłuższa przerwa, w czasie której było słychać westchnienie sekretarki. Za chwilę uprzejmie, ale chłodno powiedziała:

– Pan dyrektor jest zajęty, co mam przekazać panu dyrektorowi?

– Proszę pani, ja już powiedziałem: żeby do mnie przyszedł – powiedział ostro, nie kryjąc zdenerwowania.

– Ale proszę pana – w jej głosie można było wyczuć napięcie. – Pan dyrektor ma gościa i nie może przerwać rozmowy.

Nagle Julian usłyszał dźwięk piłeczki pingpongowej upadającej na podłogę: pyk, pyk, pyk, pyk, pyk, pyk, pyk, pyk, pyk – wyraźnie było słyhać, jak podskakiwała coraz niżej i w końcu potoczyła się pod grzejnik.

Odwrócił się i popatrzył w miejsce, z którego dochodził dźwięk. Nie było tam żadnej piłeczki. Nachylił się i zajrzał pod biurko. Również nic pod nim nie znalazł.

„Julianie, ty mi pomagasz?” – pomyślał ze zgrozą.

– Halo! – zawołała sekretarka do słuchawki.

– Tak, tak, jestem – odpowiedział – Domyślam się, że pani nie wie, kim jestem – powiedział grzecznie. – Jestem nowym dyrektorem generalnym.

– Ach, ja bardzo pana przepraszam. Mój dyrektor nic mi nie mówił. Słyszałam tylko taką nieoficjalną drogą i nie skojarzyłam... – tłumaczyła się zdenerwowana.

– Nic się nie stało, naprawdę nic nie szkodzi... Może będzie okazja się zapoznać, wtedy nie będziemy mieli takich problemów. Wobec tego jak gość wyjdzie, to proszę przekazać dyrektorowi moją prośbę.

– Oczywiście, panie dyrektorze, i jeszcze raz bardzo przepraszam – powiedziała tym razem bez napięcia w głosie.

– Niech się pani nie przejmuję, wszystko w porządku. To moja wina.

Odłożył słuchawkę i zaczął myśleć o incydencie z piłeczką. Uznał, że to musiało być złudzenie. Pomyślał, że Julian jest ostatnim człowiekiem, na którego pomoc mógłby liczyć.

Wyszedł do sekretariatu i poprosił o kawę. Przy okazji zapytał, jak ma na imię sekretarka dyrektora Rogulskiego.

– Ewa – odpowiedziała Halinka i uśmiechnęła się. – Właściwie, to Iwka. Tak wszyscy na nią mówią, nie wiem dlaczego – dodała. – Taka ładna blondynka.

– Ona chyba od niedawna tu pracuje? – zapytał, ponieważ nie pamiętał jej z poprzedniego okresu.

– Tak. Całkiem niedługo... Chyba zaczęła tak pod koniec wiosny.

„Iwka, Iwka” – pomyślał i wrócił do pokoju.

Usiadł i znów zaczął myśleć o dziwnym złudzeniu z piłeczką. Właśnie kończył kawę, gdy weszła sekretarka i oznajmiła przyście dyrektora Rogulskiego.

– Mam dla pana zajęcie – zaczął, gdy usiedli. – Chciałbym, żeby pan zrobił kampanię wyborczą przed przyszłorocznymi wyborami do parlamentu.

– Tak? – odezwał się zdziwiony dyrektor.

– Tak. Dla dwóch osób z naszej firmy.

– A wie pan, to by mogło być dobre dla naszego koncernu... Mieć dwóch posłów – to genialny pomysł... Ale nie chce pan zlecić tego wyspecjalizowanej

firmie?

– Wie pan, pan jest szefem reklamy. Zakładam, że zna się pan na tym. Nie twierdę, że wszystko musi pan sam zrobić. Jakies sprawy na pewno trzeba zlecić. Nie będziemy przecież sami drukować plakatów ani robić filmów reklamowych, ale uważam, że wiele potrafi pan zdziałać.

– No tak. Tak. Zaskoczyło mnie to, ale racja. Zorganizować, jak najbardziej. Wyszukać producentów, żeby ominąć pośredników... Muszę się zastanowić, bo to jednak coś nowego...

– Ja rozumiem, że kampania wyborcza a kampania promocyjna produktu to nie to samo... Ale może kawy się pan napije?

– A chętnie.

Julian zamówił u sekretarki dwie kawy i ciągnął dalej swoją wizję:

– Chciałbym, żeby to było zrobione z rozmachem, żeby było skuteczne. Wiadomo, że firmy reklamowe będą panu wciskały nie to, co jest dobre, ale to, co daje im najlepszy zarobek, więc musi pan umieć to wyselekcjonować. Niech pan sobie przypomni poprzednie kampanie. Przecież niektóre filmy to była antyreklama...

– Oczywiście. Pan mnie jeszcze nie zna, panie prezesie, ale ja wszystko staram się robić rzetelnie.

– Panie Damianie, wprawdzie nie znamy się osobiście, ale prezes Jurski opowiadał mi o panu dużo dobrego i wiem, że pan jest oddany firmie i że jest pan bardzo zdolnym człowiekiem.

Twarz dyrektora Rogulskiego rozjaśnił uśmiech.

– Chciałbym, żeby pan to przemyślał, ułożył jakiś wstępny plan i za jakiś czas przyszedł do mnie.

– Ile czasu mi pan na to da? – zapytał, sięgając po kawę, którą w międzyczasie sekretarka po cichu przyniosła.

– Myślę, że na razie to nie jest pilne. Uważam, że jak będzie się pan zapoznawać z tematem, to się pan zorientuje, jaki jest najefektywniejszy termin rozpoczęcia kampanii. Więc niech pan robi wszystko, żeby było dobrze. Daję panu dużo swobody, proszę tylko pamiętać, że wierzę w pana.

– Na pewno dołożę wszelkich starań.

– Niektórzy szefowie mówią niby żartem – powiedział Julian z chytrym uśmiechem – żeby nie meldować o trudnościach. Ja mówię odwrotnie: chcę na każdym etapie wiedzieć, jak przebiega sprawa, a jeśli będą trudności, to proszę mnie o wszystkim informować.

– Jasne, panie prezesie – odpowiedział, tak jak lubił prezes Jurski.

– Prezes Jurski mówił, że pan tu długo pracuje – nagle Julian zmienił temat, żeby rozluźnić atmosferę.

– Tak, właściwie prawie od skończenia studiów.

– O, to chyba ponad dwadzieścia lat?

– Dwadzieścia dwa lata. W tym czasie firma rozwinęła się ponad stukrotnie.

– No proszę, mądry prezes, dobra załoga, to i efekty są.

Dyrektor Rogulski nic nie odpowiedział, jedynie nieznacznie się uśmiechnął.

– A tak ogólnie, wszystko w porządku? Zdrowie dopisuje? Problemów żadnych nie ma? – troskliwie zapytał Julian.

– Nie, panie prezesie. Na moim odcinku wszystko jest w porządku.

– No to świetnie. To dziękuję i do zobaczenia.

Julian wstał i uściśnął gościowi dłoń. Gdy się z nim żegnał, znów pomyślał o piłeczce. Odrzucił stanowczo pomysł, że to jakieś działania Juliana, uznając to za oczywisty absurd, natomiast zaczął się obawiać, że coś jest nie w porządku z jego mózgiem, skoro ma takie urojenia.

Pierwszy odruch, jaki się pojawił, kazał mu zadzwonić do profesora i porozmawiać z nim o tym. Miał już w ręku telefon, gdy zrobiło mu się wstyd. Położył więc go na stole i postanowił się nie śpieszyć. – „Przecież takie złudzenie każdemu może się zdarzyć” – pomyślał. – „Warto natomiast spotkać się ot tak, żeby pogadać”.

Gdy o tym rozmyślał, sekretarka oznajmiła przyjście magistra Karola Durskiego, trzydziestopięcioletniego pracownika departamentu współpracy z zagranicą.

– Czego on chce? – zapytał Julian, ponieważ nie było w zwyczaju, żeby szeregowi pracownicy kontaktowali się z dyrektorem generalnym.

– Powiedział tylko, że ma bardzo ważną sprawę.

– Dobrze, niech wejdzie na chwilę – powiedział obojętnym głosem.

Julian przywitał się z gościem i poprosił, by usiadł.

– Czym mogę służyć? – zapytał, podejrzewając, że pracownik przyszedł o coś prosić.

– Przychodzę z trudnym problemem – powiedział półgłosem, patrząc Julianowi w oczy.

– Tak? Słucham.

– Ale panie prezesie, ja jestem zmuszony wpierv prosić pana o daleko idącą dyskrecję – gość robił wrażenie mocno zakłopotanego.

– Nie ma problemu. Mogę ją panu zapewnić.

– Cieszę się, panie prezesie, i zapewniam, że mam do pana pełne zaufanie...

Chodzi mi o nadużycia w gospodarowaniu środkami, jakie otrzymaliśmy z Unii na budowę sieci elektrowni wiatrowych... Mam na myśli te pięć miliardów euro, jakie są przeznaczone na zakup urządzeń. Według mojego rachunku przynajmniej dziesięć procent tych pieniędzy pójdzie poza oficjalnym obiegiem do prywatnej kieszeni.

– To całkiem ładna suma – powiedział Julian z zainteresowaniem.

– Pewnie, pięciuset milionów...
– Ale czy pan jest tego pewien, bo to poważne oskarżenie...
– Jestem pewien. Już dawno to podejrzewałem i obserwuję rozwój tej sprawy od samego początku.

– A czy może mi pan przedstawić szczegóły i mechanizm tej sprawy?
– Tak. Oczywiście... Może zacznę od tego, że mamy właśnie podpisać kontrakt na dostawę wszystkich urządzeń francuskiej firmy Galois&Dellon. Otóż ta firma jeszcze niedawno nazywała się Galois. Była to całkiem niewielka firma, zajmująca się serwisem małych siłowni wiatrowych. Sam to sprawdzałem... Jak wiadomo, od wielu lat Francja jest światowym potentatem w dziedzinie energetyki wiatrowej, nikogo więc nie powinno dziwić, że właśnie tam ulokowane zostanie nasze zamówienie na tę dostawę.

Julian słuchał z zaciekawieniem, nie przerywając opowiadającemu.

– Teraz zacznę drugi wątek tej samej historii... Otóż siostra dyrektora do spraw Rozwoju Gospodarczego, pana Walerego Wysockiego, którego jestem podwładnym, wyszła niedawno za Francuza Simona Dellon.

– No tak, słyszałem o tym. To zdaje się jakiś sportowiec... – wtrącił Julian.

– Tak, tenisista... Otóż wszystko wskazuje na to, że mój szef dogadał się ze swoim szwagrem w sprawie ubicia wspólnego interesu. Wygląda na to, że ów szwagier zaproponował firmie Galois przyjęcie go do spółki w zamian za załatwienie ogromnego zamówienia. Oczywiście, firma Galois nigdy nie produkowała tego typu urządzeń, ponieważ jest za mała, ale od kilkadziesiąt lat funkcjonuje w tej branży i doskonale zna ten rynek. Krótko mówiąc, doskonale wie, gdzie można tanio kupić takie urządzenia i zarobić duże pieniądze na pośrednictwie. W ten sposób pod firmą Galois&Dellon może do nas trafić tandeta wyprodukowana nie wiadomo gdzie, ale na pewno nie we Francji... Powiedziałem, że może to być dziesięć procent, ponieważ wiem, że tyle wynosi minimalna marża za pośrednictwo, ale może to być i dwadzieścia procent.

– Rozumiem. To ciekawe... Dobrze, że pan z tym przyszedł – powiedział Julian trochę poruszony. Chwilę się zastanowił i spokojnie zapytał: – A czy ma pan u siebie jakieś dokumenty potwierdzające tę sytuację? Oczywiście, nie mam na myśli aktu ślubu pana Dellon. Chodzi mi o nasze firmowe dokumenty – zapytał, nie kryjąc ciekawości.

– Tak, mam trochę... Mam kserokopie kilku pism. Oryginały trzyma pod kluczem dyrektor Wysocki.

– Proszę mi tylko powiedzieć, czy rozmawiał pan jeszcze z kimś na ten temat?

– Nie, z nikim więcej.

– I niech tak zostanie... Ponieważ tu chodzi o duże pieniądze, musi pan na siebie uważać. Poza tym umawiamy się, że nigdy pan u mnie nie był i nie

rozmawialiśmy na ten temat. Rozumiemy się?

– Ja to rozumiem, panie prezesie. Dlatego przyszedłem prosto do pana.

– To na razie panu dziękuję. W najbliższym czasie podejmiemy dyskretne działania, a pan niech się z niczym nie wychyla i pracuje tak, jakby pan o niczym nie wiedział. Jeżeli będziemy cokolwiek od pana potrzebowali, wtedy osobiście się do pana zwrócę. Czy to jasne?

– Oczywiście, panie prezesie – powiedział i wstał.

Natychmiast po wyjściu gościa Julian poprosił sekretarkę, żeby ściągnęła dyrektora Dworaka.

– Czy ma przyjść zaraz? – zapytała.

– Tak – odpowiedział, chwilę pomyślał i zdecydował, że musi mieć trochę czasu do namysłu. – Nie, niech przyjdzie za dwie godziny, nawet za trzy.

– Na czternastą? – zapytała.

– Tak – odpowiedział, spoglądając na zegarek. – Na czternastą.

Po wyjściu gościa znów zaczął się zastanawiać, czy spotkać się z profesorem dziś, czy odłożyć to na jakiś inny dzień. Jeszcze trochę się wahał, koniec końców znów wziął telefon i zadzwonił.

– Już miałem do ciebie dzwonić – powiedział Edward z zadowoleniem. – Ponad tydzień się nie odzywasz. Co tam u ciebie?

– Właśnie chciałem się spotkać.

– No, najwyższy czas – stwierdził z lekką pretensją. – To kiedy ci pasuje? Wolisz w pracy czy po pracy?

– Mnie obojętne, mogę i zaraz, jeżeli masz dla mnie czas.

– Pewnie, że mam. Dla ciebie zawsze – odparł wesoło.

– To przyjedziesz do mnie?

– Cha! Cha! Nie gniewaj się, Julianie, ale ty jesteś młody, to łatwiej ci się ruszyć... Może tym razem ty przyjedziesz do mnie?

– Oczywiście, już jadę.

Zadzwonił po kierowcę i popijając kawę, zaczął przeglądać swój notatnik.

„Może piję za dużo kawy” – pomyślał – „i ona za bardzo pobudza mój mózg? Bądź co bądź, to dziś już trzecia szklanka... A w ogóle najlepiej o tym nie myśleć”.

Zanotował w notatniku datę rozmowy z dyrektorem Rogulskim i przeczytał notatki sprzed wyjazdu do Łodzi. Przy okazji zdał sobie sprawę, że jego charakter pisma jest identyczny jak pana Jurskiego. Zaniepokoił się, że to może go kiedyś zdradzić.

Wziął pisak w lewą dłoń i zaczął pisać to samo. Szło mu bardzo ciężko, więc postanowił codziennie ćwiczyć. Kończył akurat piątą linijkę, kiedy sekretarka uchyliła drzwi i powiedziała, że przyszedł kierowca.

– Nie gniewaj się, Julianie, i nie myśl, że mam zamiar wytykać ci twoją młodość, ale to prawda, jestem od ciebie starszy o trzydzieści lat i czasem naprawdę bywam zmęczony – powiedział profesor przy powitaniu.

– Ależ ja się nie gniewam. Zawsze chętnie do ciebie przyjadę.

– Siadaj, siadaj i opowiadaj – mówił z lekkim podnieceniem. – Widzę, że czujesz się dobrze, ale jak żyjesz? Napijesz się czegoś? Może kawy?

– Kawy nie... – chwilę się zawahał. – Myślę, że może koniaku bym się napił?
– spojrział pytająco na Edwarda.

– Nie wiem, czy powinienes, ale jak chcesz, to myślę, że na próbę możesz trochę wypić, ale naprawdę troszeczkę.

Wstał, podszedł do barku i przyniósł tackę z butelką i dwoma kieliszkami.

– A więc tak. Byłem już dwa razy w Łodzi u moich rodziców – zaczął opowiadać Julian. – Pierwszy raz jechałem z nastawieniem, że jadę tylko po dokumenty, których nie miałem. Bałem się tego wyjazdu i chciałem jak najszybciej mieć go za sobą, ale przyjęli mnie tak serdecznie, że zostałem u nich trzy dni. Ciężko szło mi udawanie kogoś innego, ale w końcu zrozumiałem, że nic nie muszę udawać, bo po prostu nim jestem. Okazało się, że mój prototyp był studentem trzeciego roku akademii ekonomicznej, więc zdałem za niego zaległe egzaminy. Miał też wspaniałą narzeczoną, więc kontynuuję to narzeczeństwo...

– Wiesz, to wszystko brzmi jak jakaś nowoczesna bajka – Edward przerwał Julianowi. – Ale ja nie tak to sobie wyobrażałem. Jestem tym przerażony. Myślałem, że to był jakiś człowiek, no, jakby to powiedzieć... Tak jak mówiliśmy, bezwartościowy. Taki, o którego nikt się nie upomni... Którego rodzina z ulgą się pozbędzie – mówił z podnieceniem.

– Ja też tak myślałem, ale widzisz, Dworaka ludzie przedobrzyli...

– I to bardzo... – wtrącił profesor. – I tą nadgorliwością mogą narobić strasznych kłopotów.

Julian przestał opowiadać, bojąc się dalszej reakcji profesora.

– Odpowiedzialność spada na nas, głównie na mnie – powiedział profesor ze zdenerwowaniem. – Jak to wyjdzie na jaw, to nas pozamykają i będzie afera na cały świat... A w ogóle, jak żyć z takim obciążeniem?

– Ależ słuchaj. To nie tak. Julian Podhorecki był i jest. To Jurski gdzieś zniknął. Rodzice Juliana nadal mają syna i cieszą się, że się dobrze uczy, że ma dobrą pracę... I zawsze tak będzie.

– Ja nie rozumiem. Ty się nie obawiasz, że w miarę upływu czasu oni spostrzegą, że coś z tobą jest nie tak, i będziemy mieć na karku prokuratora?

– Przeciwnie, Edwardzie, w miarę upływu czasu coraz bardziej staję się nim.

– No dobrze, ale ty nie masz przeszłości. Czy oni tego nie widzą? Nie znasz swojej babki, ciotki, nie wiesz, gdzie w zeszłym roku byłeś na wakacjach, i tak

dalej. Będąc z nimi, ryzykujesz, że oni to odkryją... Powinieneś uciekać stamtąd gdzie pieprz rośnie.

– Edwardzie, nie panikuj. Rzeczywiście, na początku wielu rzeczy nie wiedziałem i starałem się, żeby oni jak najwięcej mi opowiadali. Uprzedziłem ich, że miałem wstrząs mózgu, utraciłem pamięć i jeszcze jej całkiem nie odzyskałem. Oglądałem zdjęcia, notatki Juliana i tak dalej. Zapewniam cię, że systematycznie odzyskuję swoją historię. Jest zupełnie odwrotnie. Rodzice nie stanowią zagrożenia. Przeciwnie – w razie potrzeby potwierdzą, że ja to ja... Tak samo moja dziewczyna.

Profesor parę minut trzymał w powietrzu za ucho filiżankę z kawą, której nie doniósł do ust, zafascynowany opowiadaniem Juliana.

– A jak ty? – zapytał, wypijając wreszcie łyk napoju. – Nie masz jakichś kłopotów z rozdwojeniem osobowości? Wiesz, nie znam się na psychiatrii, ale wydaje mi się, że w tej sytuacji można mieć takie problemy...

– Absolutnie – powiedział zdecydowanym tonem i pokręcił przecząco głową. – Na samym początku, kiedy pierwszy raz popatrzyłem w lustro, to sobie powiedziałem, że nie chcę być nikim więcej, tylko Julianem, i postanowiłem tamto wszystko odrzucić. Tamta przeszłość jest jak sen, pamiętasz go, ale wiesz, że to tylko sen. Możesz w jakiś sposób czerpać z niego jakąś wiedzę, ale nadal to tylko sen. Nie jesteś tym człowiekiem ze snu, tylko tym, który jest tu i teraz. Jeszcze bardziej się w tym utwierdziłem... Zresztą nieważne... Dostyc ci już nagadałem.

– Mów, mów, to dla mnie ważne z naukowego punktu widzenia. Chyba zasługuję na to, żebyś mi wszystko opowiedział.

Profesor był już spokojny, wykazywał tylko wielkie zainteresowanie.

– Chciałem powiedzieć, że o słuszności tej polityki utwierdziła mnie jeszcze moja dziewczyna, na której coraz bardziej mi zależy.

– Przepraszam cię, niezręcznie mi pytać cię o to, ale to nie tylko zwykła ciekawość...

– No, pytaj, pytaj.

– Chciałem zapytać, czy wy się w tej kwestii tylko słownie utwierdzacie, czy również w łóżku?

– Wiesz, i tak, i tak – odpowiedział Julian z uśmiechem. – Bardzo mocno się utwierdzamy – dodał z dumą.

– Tak. Przepraszam cię, że cię o to pytałem, ale chciałem wiedzieć, jak u ciebie ze sprawnością fizyczną... I jak się w ogóle czujesz.

– Czuję się, jakbym był o pięćdziesiąt lat młodszy – odpowiedział z uśmiechem. – Boję się tylko jednego: że organizm to odrzuci.

– Oj, co ty. Teraz nie ma żadnych odrzutów. Odrzuty to były kilkadziesiąt lat temu. Trzeba było podawać leki immunosupresyjne i to było bardzo kłopotliwe. Na szczęście medycyna rozwija się jak żadna inna dziedzina. Teraz robi się to poprzez

odpowiednią modyfikację genetyczną. Jeszcze na przełomie wieków wielu polityków pod wpływem różnych nacisków starało się nie dopuścić do eksperymentów genetycznych, jednak nauka stopniowo zwycięża i dziś dzięki temu nie mamy takich kłopotów. Możemy uniknąć wielu chorób i tylko patrzeć, jak będzie można wyleczyć bardzo zaawansowanego raka. Mało tego, dzięki genetyce świat produkuje teraz dwa razy tyle żywności – wyrecytował jednym tchem. – To było bez sensu, żeby próbować metodami administracyjnymi powstrzymać rozwój nauki. Oni zapomnieli, że kiedyś skazywano na śmierć tych, którzy twierdzili, że Ziemia krąży wokół Słońca, i popatrz, nawet takie kary nie pomogły... Dlatego uważam, że lepiej, jak to się odbywa legalnie, pod kontrolą państwa... Tak samo twoja sprawa byłaby załatwiona bez czyjejś krzywdy, gdyby były jakieś rozsądne regulacje prawne i mogłoby to być robione legalnie... Wtedy można by dużo łatwiej znaleźć odpowiedniego człowieka w stanie śmierci klinicznej.

Edward przerwał i zamyślił się. Widać było, że te problemy są dla niego tematem ciągłych rozmyślań i źródłem niepokoju.

– Póki w takie rzeczy jest mieszana ideologia, to nie ma na co liczyć – wtrącił Julian.

– Właśnie, ale powracając do tamtych spraw, to ja nie myślałem, że to tak będzie. Sądziłem, że ty będziesz Jurskim w nowej skórze...

– Ja nic nie myślałem. Chciałem tylko żyć, ale teraz wiem, jak to jest. Korzystam z jego wiedzy i doświadczenia, ale nie czuję się nim. Owszem, miewam jeszcze chwile, kiedy wydaje mi się, że Jurski próbuje mną rządzić wbrew mojej woli, ale to jest coraz rzadziej, poza tym kontroluję to.

Przerwał i zaczął się zastanawiać, jak wyrazić to, co czuje. Profesor też nic nie mówił, czekając na dalszy ciąg jego opowieści. Wreszcie Julian powiedział zdecydowanie:

– Ja, Julian, kontroluję Jurskiego, nie on mnie – powiedział wolno i poważnie, po czym wziął w dłoń kieliszek koniaku i wypił całą zawartość.

– Muszę przyznać – powiedział profesor – że na początku byłem przerażony. Bałem się, że poszedłeś w złym kierunku... Ale jak to jest? To mówisz, że zdawałeś egzaminy na uczelni?

– Tak, on studiował, był na trzecim roku, a ja postanowiłem to kontynuować, bo przecież dyplom bardzo mi się przyda, więc zdałem egzaminy i jestem teraz na czwartym roku zarządzania i finansów.

– Michale, ty mnie zadziwiasz... A jak na tej uczelni? Koledzy, wykładowcy... Nie rozumiem, jak to ci się tak udaje...

– Po pierwsze, nie mów do mnie „Michale”, tylko „Julianie”. Zapomnij o Michale.

– Oczywiście, przepraszam cię, ale mów, mów.

– No cóż. Skoro moi rodzice i dziewczyna mnie akceptują...
– I nigdy ci się nie zdarzyło, żebyś się przez pomyłkę przedstawił jako Jurski?

– Nie, nigdy.

– Wiesz? Jesteś mistrzem kamuflażu, genialnym mistrzem kamuflażu – powiedział profesor z podziwem. – I nigdy nie miałeś nawet drobnego potknięcia?

– Miewałem, ale zawsze wyszedłem z tego bez szwanku.

Dla przykładu opisał zdarzenie, kiedy Małgorzata zaciągnęła go do piwnicy i chciała grać z nim w ping-ponga.

– Ja widzę, że ty jesteś wszechstronnie uzdolniony. Czego się dotkniesz, wszystko ci dobrze idzie – powiedział z uznaniem. – Widzę, że świetnie się stało, że masz to drugie życie, dzięki temu możesz jeszcze ogromnie dużo osiągnąć. Julianie, czy ty to doceniasz? W tak młodym wieku mieć tak dużą wiedzę i doświadczenie, w dodatku poparte ogromnymi zdolnościami...

– Wiem, dołożę starań, żeby to dobrze wykorzystać. Myślę o tym. Tylko teraz bardzo potrzebuję ludzi, na których mogę liczyć.

– No, stary, jeden siedzi przed tobą i myślę, że w tej firmie jeszcze się paru takich znajdzie... Ale zmieniając temat, to mam do ciebie prośbę. Ty zgłoś się do mnie gdzieś tak za trzy tygodnie. Ja dla pewności chciałbym ci zrobić trochę badań. I jeszcze jedno: gdyby pojawiło się cokolwiek, co by cię niepokoiło, to zgłoś się wcześniej... Koniecznie, to bardzo ważne. Obserwuj również swoją psychikę i gdyby było coś niepokojącego, od razu mów, bo ja się tego boję.

– Boisz się, że zwariuję?

– Nie, nie, absolutnie, ale wiesz, trzeba dmuchać na zimne, ponieważ nie możesz chodzić do psychiatry.

– Tak? – zapytał zdziwiony.

– No, a co? Pójdiesz i powiesz, że masz przeszczepiony mózg?

– Cha! Cha! Cha! Już widzę jego minę. Od razu zamknąłby mnie w domu wariatów. Ale przecież w razie czego mogę się leczyć, nie wtajemniczając go we wszystko.

– Zapominasz, że jest zasada, że lekarzowi trzeba wszystko mówić.

– Ojej, w ekonomii też są zasady, więc powiedz gospodarce, żeby się do nich stosowała... A w ogóle to nie ma co się na wyrost martwić.

– Wiesz co, Julianie? Trudno za tobą nadążyć.

– Co się dziwisz, młody jestem.

– O, widzisz – tu Jurski z ciebie wyszedł. On był właśnie taki...

– I tu mnie dobiłeś, bo masz rację – odpowiedział z żalem. – Ale ja i tak z nim wygram, bo mam o co grać.

– Julianie, ja żartuję, przecież jak tak z tobą rozmawiam, to widzę, że ty już wygrałeś.

– Cóż, przyjacielu, trzeba wracać do zadań.

– Dużo masz roboty?

– Przecież nie było mnie ponad dwa miesiące, a tego nie można puścić tak na żywioł, jak niektórym się wydaje... Nawet jeszcze nie zdążyłem się dokładniej zorientować, co jest dobrze, a co źle... Wiesz, ludzie wiedzą, że Jurskiego nie ma, a na jego miejscu jest jakiś młody chłopak, więc mogą sobie odpuścić... W tej sytuacji nie gniewaj się, że już pójdę – powiedział, wstając i wyciągając do niego rękę – ale muszę pilnować interesu.

– Pilnuj, pilnuj, tylko nie zapomnij o wszystkim, co ci mówiłem, i pamiętaj, żebyś się oszczędzał – odparł Edward, żegnając się. – Psychikę też oszczędzaj.

Profesor wstał, uściśnął dłoń Juliana, chwilę ją przytrzymał, potrząsając nią w górę i w dół, i dodał:

– Pamiętaj zwłaszcza o tych badaniach.

Dokładnie o godzinie czternastej przyszedł Roman Dworak. Juliana dawno tak nie ucieszyło spotkanie z nim jak właśnie dziś.

– Niech pan siada i słucha, bo to ważne, a mnie się śpieszy – powiedział od razu na wstępie, nie dając Dworakowi możliwości wygłoszenia tradycyjnej mowy powitalnej.

Szczegółowo przekazał mu historię opowiedzianą przez niedawnego rozmówcę i zapytał, co o tym myśli.

– Wygląda to prawdopodobnie, ale trzeba sprawdzić wszystkie dokumenty dotyczące tej sprawy...

– Myśli pan? Bo mnie to się wydaje mało prawdopodobne... Zbyt grubymi niemi szyte, nie pasuje do Wysockiego.

– Ale niech pan prezes spojrzy na to okiem Wysockiego... On by nie poszedł na coś takiego za czasów Jurskiego. Natomiast teraz, kiedy jest młody, niedoświadczony prezes, to kto wie?

– Tak, w tej sytuacji to prawdopodobne. Ale ja bym chciał to tak sprawdzić, żeby go za wcześniej nie spłoszyć...

– Nie widzę przeszkód. Zrobimy to w czasie weekendu, kiedy w biurach nikogo nie ma. Sprawdzimy zawartość pamięci komputerów, rejestr rozmów telefonicznych, pamięć serwera... Wszystko, co się da... Zrobimy kopie dokumentów. Dwa dni to sporo czasu. W poniedziałek wszystko będzie pan wiedział.

– Świetnie, ale ja bym chciał, żebyście nie zostawili tam żadnych śladów, żeby wszystko zostało na swoim miejscu.

– Oczywiście, panie prezesie. Wszystko będzie jak należy.

Weekend spędził w Łodzi. W poniedziałek rano jechał do Warszawy gnany ciekawością.

Kiedy tylko znalazł się w firmie, zadzwonił do Dworaka i poprosił go do siebie. Minęło ledwie kilka minut, jak zjawił się z grubą teczką dokumentów pod pachą.

– Jak tam, panie magistrze? – zapytał Julian, ściskając dłoń Dworaka.

– Jest dokładnie tak, jak mówił Durski, ale nie mamy dowodów przestępstwa...

– Nie rozumiem, nie ma żadnych dokumentów?

– Jest cała masa, ale nie ma przestępstwa... Wysocki dostał zadanie, żeby kupić urządzenia, więc stara się je kupić. Gdzie tu przestępstwo? Kupno u kogoś znajomego nie jest nielegalne... Byłoby przestępstwo, gdyby się z nim umówił, że dostawca coś mu za to da, ale jak mu to udowodnimy? Nawet gdybyśmy dowiedli, że chce zapłacić drożej, niż wynosi aktualna cena rynkowa, to najwyżej byłby to dowód niegospodarności.

– A jeżeli udowodnimy mu, że chce kupić u pośrednika, a nie u producenta? W dodatku u swojego szwagra?

– Jeżeli szwagier weźmie taniej niż producent? To gdzie tu przestępstwo?

– Dworak, pan to tak mówi, jakby pan był jego adwokatem.

– Ani mi się śni być jego adwokatem, ale jestem prawnikiem i wiem, jak sąd będzie na to patrzeć.

– To co mamy zrobić w tej sytuacji? Zwolnić go z pracy i postawić tam Durskiego czy kogoś?

– Jak go pan zwolni ni z tego, ni z owego, to będzie żądać odszkodowania.

– Przecież to jest szyte tak grubymi nićmi, dokładnie wiadomo, o co tu chodzi. To jasne, że część tych pieniędzy chcą przechwycić dla siebie! – zawołał zdenerwowany Julian.

– Ale panie prezesie, na każdym kupnie i sprzedaży ktoś zarabia. Na tym polega handel i to nie jest przestępstwo... Przestępstwem jest przekupstwo, oszustwo, ale nie handel... Ja pana rozumiem... Ale nie na darmo Hermes był bogiem kupców i złodziei... I ja nie widzę, żeby na tym etapie można było mu coś zrobić. To jest takie cwaniactwo, którego na świecie pełno. Po prostu trzeba się pilnować i się nie dawać.

– No, no, ja nie myślałem, że on taki cwaniaczek. Trzeba od tej pory patrzeć mu na ręce – powiedział Julian nieco spokojniej. – Właściwie każdemu, kto ma do czynienia z dużymi pieniędzmi, trzeba patrzeć na ręce – dodał już całkiem spokojnie.

Małgorzata uczyła się bardzo sumiennie. Nawet do pracy zabierała codziennie jeden z podręczników, żeby od czasu do czasu w wolnej chwili na moment doń zajrzeć i coś sobie przypomnieć. Mama prawie całkowicie uwolniła ją od zajęć domowych, mimo iż sama pracowała.

– Trudno, nie przejmuj się – mówiła do córki. – Nawet jak na jakiś czas całkiem zarośniemy brudem, to nic się nie stanie. Zresztą nikt prócz Juliana u nas nie bywa, a on zna sytuację i na pewno to zrozumie. Najważniejsze, żebyś tym razem się dostała.

– Mamo, ja nie wyobrażam sobie, co to będzie, jak znów nie zdam. Nie wiem, jak to powiem Julianowi... Popatrz, on ponad dwa miesiące leżał w szpitalu i zdał.

– Muszę przyznać, że nie myślałam, że on taki zdolny.

– Mamo, on się zawsze dobrze uczył.

– Ale ty, kochanie, też się zawsze dobrze uczyłaś. Nie podchodź tak do tego.

– Do czego?

– No do tych egzaminów... Jak będziesz żyć w ciągłej obawie, że nie zdasz, to się tym wykończysz psychicznie i rzeczywiście nie dasz rady... Syn mojej koleżanki zdał dopiero za trzecim razem i się nie załamywał.

– Oj, mamo, wiesz co? Wypluj to słowo – skarciła matkę. – Nigdy więcej o tym nie wspominaj.

Małgorzacie z dwóch powodów niezmiernie zależało, żeby tym razem dostać się na studia. Pierwszym bodźcem, który ją do tego pchał, była jej kobieca ambicja. Drugim, jeszcze ważniejszym, była chęć dorównania Julianowi, którego bardzo kochała i chciała zostać jego równorzędną partnerką.

Jej miłość do Juliana zaczęła się jeszcze w wieku dziewczęcym. Miała wtedy piętnaście lat. Zaprzyjaźniła się wówczas z Anią. Julian, starszy o trzy lata, był dla niej prawdziwym mężczyzną. Podobało się jej, że jest opiekuńczy i że poważnie ją traktuje. Chętnie więc chodziła do państwa Podhoreckich, zwłaszcza w tych porach, kiedy również on był w domu. Po mniej więcej półtora roku zdarzyło się, że przyszła do Ani, ale jej nie zastała, mimo że były umówione.

– Ona jeszcze nie wróciła ze szkoły – powiedział Julian, otwierając jej drzwi.

– Ale żeby ci to wynagrodzić, zapraszam cię na lody.

– Oj, chętnie, taki dziś upał – powiedziała Gosia, jakby tylko czekała na tę okazję.

Poszli do budki z lodami, która stała tuż przy parku. Gosia wzięła konwaliowe, a on czekoladowe. Jedli je, spacerując alejkami.

Julian był akurat w trakcie egzaminów maturalnych. Opowiadał więc Małgosi o nich i o swoich planach na przyszłość.

– Wiesz, jakie pyszne są te konwaliowe? – powiedziała nagle ni w pięć, ni w dziewięć, jakby w ogóle nie słuchała tego, co mówi Julian. – Chcesz spróbować?

– wyciągnęła do niego rękę z lodem.

Julian bez wahania objął dłonią jej nadgarstek i zaczął lizać loda.

– Pyszne – powiedział z zachwytem, nie wypuszczając ręki Gosi i patrząc jej prosto w oczy. – A pachną tak pięknie jak żywe konwalie. Wyobrażam sobie, że twoje usta też są takie – albo jeszcze lepsze.

Gosia stała trochę zawstydzona, a na jej twarzy pojawiły się rumieńce, niczym dwa płatki róży przyklepione do policzków jakąś niewidzialną ręką.

– Mogę spróbować? – beczelnie zapytał, nadal patrząc jej w oczy.

Gosia stała nieruchomo, wyraźnie zaskoczona nieprzewidzianym biegiem wydarzeń. Jakby ze wstydu zamknęła oczy. Za moment poczuła chłodne, słodkie i pachnące czekoladą usta Juliana. Stali tak przez chwilę nieruchomo, ale już za parę sekund Julian poczuł, jak ręce Gosi owijają się wokół jego szyi. Puścił na ziemię swojego loda i objął ją w pół, mocno przyciskając do siebie. Stali tak długo. Może dwie minuty, może pięć. Staliby na pewno jeszcze, gdyby nie dźwięk dzwonka, który brutalnie przywołał ich do rzeczywistości.

Nieco zawstydzeni zeszli na bok, przepuszczając rowerzystę. Oba lody leżały na środku dróżki. Później usiedli na ławce w cieniu gęstej lipy i nadal się całowali.

Od tej pory spotykali się prawie codziennie u niej w domu lub u niego. Spotkania w tym drugim miejscu miały jednak charakter czysto towarzyski, ponieważ tam przeważnie nie byli sami. Chodzili do kina lub na spacer, na lody albo jakieś imprezy młodzieżowe.

Julian nigdy nie nalegał, żeby wyjść dalej poza całowanie, za co Gosia była mu wdzięczna, gdyż nie odczuwała takiej potrzeby. Rozmawiała z koleżankami i wiedziała, że niektóre dziewczęta już to robią i sprawia im to przyjemność. Poza tym w środowisku młodzieżowym świadczyło to o dorosłości. W końcu mając prawie siedemnaście lat, podjęła tę decyzję, ale mniej z potrzeby biologicznej, bardziej z ciekawości i po to, żeby nie pozostawać w tyle za koleżankami. W przeciwieństwie do Juliana nie była tym zachwycona i nawet trochę oddaliło ją to od niego. Julian to zauważył i więcej nie wychodził z żadną inicjatywą.

Przez parę miesięcy rzadziej się spotykali i nie wracali do tamtej sprawy. W tym czasie Julian był już na drugim roku studiów. Nadal kochał Małgorzatę, która coraz bardziej piękniała i mocniej pobudzała jego libido, ale wciąż miał w pamięci niezbyt udaną próbę. Jego niezwykła delikatność sprawiała, że nie podejmował w tym kierunku nowych starań.

Małgorzata знаła już dobrze Juliana i wiedziała, że jeśli sama nic nie zrobi, to taki stan będzie się ciągnąć bez końca. Pewnego wieczora, gdy mama miała dyżur w szpitalu, ubrała się w skąpy strój, usiadła mu na kolanach i zaczęła go całować. Robiła to bardzo namiętnie, mocno go obejmując.

– Och Małgosiu, jesteś taka cudowna, że aż mi się robi gorąco – powiedział

po paru minutach.

– To się rozbierz – wyszeptła i zaczęła zdejmować mu koszulę.

Julian był skromny i trochę nieśmiały, ale inteligentny. W dodatku był mężczyzną, więc przejął inicjatywę. Był skrupowany i niezręczny, jak poprzednim razem, ale się starał. Poza tym Małgorzata była starsza i dojrzała niż wtedy, więc ich wysiłki zakończyły się niewielkim sukcesem, który stanowił wielką zachętę do dalszych prób.

Od tamtej pory uprawiali seks dość systematycznie, co sprawiało im sporą przyjemność i bardzo zbliżyło ich do siebie. Wspólnie planowali wiele przedsięwzięć, a rok temu byli razem na wakacjach i wtedy przyrzekli sobie małżeństwo.

Ku zaskoczeniu wszystkich Julian nagle zniknął. Wyszedł z domu, żeby pojechać na uczelnię, i przepadł. Małgorzata początkowo przypuszczała, że sprawa rychło się wyjaśni. Policja podejmowała jakieś próby poszukiwania, niestety, bez rezultatu. Po kilku dniach zrozumiała powagę sytuacji i równocześnie zdała sobie sprawę, jak bardzo zaangażowała się w tę miłość. Wtedy wpadła w rozpacz. Przez pierwszy miesiąc codziennie chodziła do jego rodziców, licząc, że czegoś się dowie, i wracała do domu coraz bardziej przybita. Był to okres, w którym powinna się intensywnie przygotowywać do egzaminów na studia, lecz nauka nie wchodziła jej do głowy.

Co wieczór kładła się do łóżka, myśląc o Julianie, i każdego ranka wstawała niewyspana, marząc, żeby wreszcie ten dzień przyniósł jakieś rozwiązanie.

Po dwóch miesiącach zaczęła tracić nadzieję, co sprawiło, że próbowała pogodzić się z myślą, iż jednak będzie musiała jakoś żyć bez niego.

Wreszcie Julian wrócił, wszystko się wyjaśniło i świat znów stał się piękny, a nawet jeszcze piękniejszy, ponieważ teraz każde ich zbliżenie wywoływało w niej eksplozje seksu. Również każda chwila spędzona z nim dawała jej ukojenie psychiczne.

Zaczęła się dużo więcej uczyć i ku swej wielkiej radości zauważyła, że jest w stanie codziennie przyswajać duże ilości materiału.

Wreszcie przyszedł lipiec i wraz z nim egzaminy wstępne do Akademii Medycznej.

Julian na czas egzaminów przestał pracować i jeździł na uczelnię z Małgosią, aby podtrzymać ją na duchu. Po każdym egzaminie, w zależności od tego, czy mama była w domu, czy w pracy, jechali tańczyć na dyskotekę albo do domu całe popołudnie spędzali w łóżku. Ten sposób odświeżania Małgorzaty dawał bardzo dobre rezultaty. Później między egzaminami a ogłoszeniem listy przyjętych nastąpiła kilkudniowa, dręcząca przerwa.

Na te dni pojechał do pracy, ale w przeddzień ogłoszenia wyników wrócił do Łodzi. Nazajutrz przyjechał po Małgosię pod jej dom i pojechali oglądać wyniki.

Dość długo szukali miejsca do zaparkowania. Wreszcie gdzieś upchnęli samochód i poszli pełni niepokoju. Gdy weszli do holu, listy już wisiały, a przy nich kłębił się tłum kandydatów oraz ich mamus, ojców, babć, kolegów i temu podobnych osób rozkrzyczanych, zdenerwowanych i ciekawskich. Słowem, nie było szansy się dostać. To były bez wątpienia najgorsze minuty. To było gorsze niż egzaminy. Julian pchał się pierwszy, torując drogę Małgosi, która trzymając go za rękę, usiłowała iść za nim. Bywały chwile, kiedy byli już całkiem niedaleko, ale nagle porwani przeciwnym prądem zaczynali się oddalać. W końcu, gdy część osób zaspokoila swoją ciekawość, udało się im dopchać. Julian pierwszy odnalazł nazwisko Małgosi i gdy ona jeszcze szukała, wykrzyknął głosem zwycięzcy:

– Jest!!! „Mardok Małgorzata” – krzyczał, pokazując palcem. – Jesteś!!! Zdałaś!!!

Za chwilę i ona ujrzała. Rzuciła mu się na szyję, śmiejąc się i płacząc.

– Trzeba to zaraz uczcić – powiedział, gdy już znaleźli się w spokojniejszym miejscu.

– Ale mama jest w domu – powiedziała ze smutkiem.

– O! – westchnął zawiedziony. – Ale to nic – dodał zaraz wesoło. – Chodź, kupimy szampana i jedziemy do mamy.

– Super pomysł! – podchwyciła zadowolona i sięgnęła po telefon. – Muszę powiedzieć mamie, bo siedzi tam jak na rozpalonych węglach.

– Ale nie rozumiem, dlaczego nie zamieszczają tych wyników w internecie... – powiedział Julian, gdy siedzieli już w samochodzie. – Każdy mógłby sprawdzić i nie tłuc się tam...

– Ogłaszają, ogłaszają, ale wpierw wywieszają, a dopiero potem puszczaają do internetu – wyjaśniła, ciesząc się jak małe dziecko, które dostało nową zabawkę. – Poza tym internet nie daje tej atmosfery, którą później pamięta się do końca życia.

– To fakt, nie zapomnę tego – podsumował zwięźle.

– A ty wiesz? Moja mama opowiadała, że jak była mała, to za wszystkim były takie kolejki – powiedziała ze śmiechem.

Julian zamyślił się, ponieważ sam doskonale pamiętał tamte czasy i upokarzające sceny w kolejkach.

– Co tak zaniemówiłeś? – zapytała i trąciła go delikatnie łokciem.

– Tak myślę, że do tego doprowadzili ci, którzy za wszelką cenę chcieli ulepszyć świat. To się nazywa polityka.

– To nie polityka, to żądza pieniędzy i władzy.

– Popatrz. Właściwie nic się nie zmieniło. Dziś też nie brakuje takich, którzy chcieliby narzucić swój porządek, bo uważają, że ich poglądy są najślusniejsze.

– Łagodnie powiedziane.

Jechali jakiś czas w milczeniu.

- Co tak pędzisz? – zapytała.
- Myślę, że mama nie może się nas doczekać.

Gdy dojechali do domu, na stole stała już butelka szampana, którą mama zdążyła kupić przed ich przyjazdem. Śmiali się z tego wszyscy, gdy Julian otwierał butelkę.

Pierwsze dni października były dla Juliana trudne, gdyż zaczęły się studia. Musiał chociaż na początku trochę pochodzić na wykłady. Sporym utrudnieniem był fakt, że nikogo nie znał, jeżeli nie liczyć przypadkowych przelotnych spotkań z paroma osobami w czasie wiosennych egzaminów. Na szczęście był już do tego przyzwyczajony. Bardzo zależało mu na uzyskaniu dyplomu, ale niesłychanie komplikowała mu życie konieczność jeżdżenia na wykłady, tym bardziej że przecież miał już ukończone studia i posiadał stopień doktora. Uważał to za niepotrzebną stratę czasu.

Właśnie dlatego parę dni po rozpoczęciu nauki wybrał się do dziekana i poprosił o umożliwienie mu zaliczenia dwóch lat studiów w ciągu roku.

- Myśli pan, że da pan radę? – zapytał dziekan.
- Przecież dobrze się uczę – powiedział i położył na biurku swój indeks.

Otyły dziekan stękając i sapiąc, otworzył dokument i zaczął go przeglądać. Mruczał jakiś czas jak głaskany kiciuś i wreszcie zapytał:

- Niech mi pan powie, dlaczego panu na tym zależy?
- Mam bardzo dobrą pracę w Warszawie i mnóstwo obowiązków. Ciężko mi godzić jedno z drugim.

- A gdzie pan pracuje i co pan tam robi, jeśli mogę zapytać?
- Pracuję w koncernie JURSKI GROUP. Jestem tam dyrektorem.

– Dyrektorem, powiada pan. – powiedział przewlekłe, zupełnie jakby to był film puszczony w zwolnionym tempie. – To po cóż panu studia? Ale niech pan siada, panie dyrektorze – dodał ironicznym tonem.

– Od dziecka interesuję się ekonomią i kocham ją – powiedział, siadając na wskazanym przez dziekana krześle. – Od dawna zajmuję się tworzeniem rozmaitych programów, którymi zainteresował się pan Jurski, dlatego przyjął mnie do pracy. Chcę też zrobić doktorat, więc muszę uzyskać dyplom naszej uczelni.

– Muszę przyznać, że ciekawe rzeczy pan opowiada... Ma pan jeszcze jakieś argumenty?

- Pan prezes Jurski mógłby wspomóc finansowo naszą uczelnię.
- Oł, to poważny argument. Wart przemyślenia.

Dziekan znów zaczął sapać i mruczeć, aż w końcu wystękał:

– A czy pan to mówi sam z siebie, czy też uzgadniał pan te obietnice z panem Jurskim?

– Rozmawiałem z panem prezesem. Zależy mi, żebym mógł więcej czasu poświęcać koncertowi.

– Jeśli tak, to oczekuję konkretnych propozycji... – wycedził dziekan.

– Oczywiście. W najbliższych dniach będę rozmawiać z panem prezesem... Tylko jest jedna rzecz do ustalenia... – Julian zawahał się, ale było to zachowanie czysto taktyczne. – O ile znam pana prezesa, to pomoc może być oficjalna albo nieoficjalna. Oficjalna zawsze jest większa...

– No tak, tak. Wie pan... – teraz wahał się dziekan. – Myślę, że chyba najlepiej byłoby część tak, a część tak.

– Porozmawiam z panem prezesem o takim wariantcie.

– Niech pan porozmawia – było to pierwsze zdanie, które dziekan wypowiedział z uśmiechem.

Jeszcze tego samego dnia Julian wyjechał do Warszawy. W drodze zastanawiał się, jaką kwotę zaproponować dziekanowi.

„Nie ma co wyskakiwać z jakimiś dużymi pieniędzmi” – myślał. – „Na początek trzeba jakąś rozsądną kwotę, później można ewentualnie podwyższyć... Oczywiście, jeżeli zaliczą mi bez egzaminów przynajmniej połowę przedmiotów”.

W końcu uznał, że należy zacząć od stu dwudziestu tysięcy euro z rozbitciem na czterdzieści nieoficjalnie i osiemdziesiąt oficjalnie.

Przyjechał do Warszawy, gdy już się ściemniało. Pojechał wprost do rezydencji.

W miarę jak zbliżał się do celu, niedawne miłe uczucie związane z Łodzią i bliskością Małgorzaty stopniowo zniknęło, a na jego miejsce wsączała się ponura atmosfera jego domu i wszystkich spraw związanych z tym miejscem. Gdy wjeżdżał w bramę, pomyślał przelotnie, że przecież może wynająć sobie w mieście jakieś niewielkie, niekrępujące mieszkanie. Ta myśl została jednak natychmiast wyparta przez drugą: „To niemożliwe, ponieważ zupełnie straciłbym kontrolę nad tym, co się tam dzieje”.

Przejechał przez bramę i jadąc główną aleją, minął budynek. Chciał spojrzeć na wszystko okiem gospodarza. Było już dość ciemno, ale dzięki sztucznemu oświetleniu, które się już włączyło, można było sporo zobaczyć. Objechał pałac dookoła i wjechał do garażu. Przeszedł do głównego wejścia i wszedł do wnętrza. W holu minął się z ogrodnikiem, który właśnie zszedł z góry.

– Jak tam, wszystko w porządku, panie Józiu? – zapytał go, zatrzymując się.

– Tak, jak najbardziej.

– A z panem Wiktorem już pan nie miewa problemów?

– Nie, nie. Od tamtej pory nie ma problemów.

– A potrzeb jakichś pan nie ma?

– Nie. Wszystko załatwiam z panią Anną.

Właśnie w tej chwili Anna ukazała się na górze i zawołała do ogrodnika:

- Niech pan pamięta o oleandrach! Słyszysz mnie pan?
- Tak, tak, oczywiście – odpowiedział, będąc już w drzwiach wyjściowych.
- Dobrze, że pan jest, bo mam pewien problem – powiedziała do Juliana, zatrzymując się w połowie schodów. – Czy moglibyśmy chwilę porozmawiać?
- Oczywiście. Gdzie pani woli, u siebie czy u mnie?
- A gdzie panu wygodniej?
- Pani Anno, niech pani nie odpowiada pytaniem na pytanie – odrzekł z uśmiechem.
- To chodźmy do mnie – powiedziała zdecydowanie.
- Mam wrażenie, że ogrodnik dobrze się stara...? – zapytał Annę, kiedy szli korytarzem.
- Tak, to bardzo poczciwy człowiek. I zna się na tym, co robi.
- A jak pani się wie?
- Cóż, płynie dzień za dniem...
- Powinna pani wreszcie na jakiś urlop wyjechać...
- Właśnie niedawno rozmawiałam z Alicją na ten temat.
- I co? Dogadały się panie?
- Tak, w sierpniu wyjadę.
- Więc życzę udanych wakacji... – odpowiedział z radością w głosie, jakby to on sam miał jechać. – A ze mną o czym chciała pani rozmawiać? – zapytał, ponieważ weszli już do jej pokoju.
- Mam delikatną sprawę... – zaczęła, patrząc badawczym wzrokiem na twarz Juliana.
- Śmiało, pani Anno – zachęcił ją i się uśmiechnął.
- Mam problem, ponieważ nie lubię donosić... – powiedziała z zakłopotaniem. – Ale pan Jurski przykazał mi, żebym panu pomagała i wykazywała maksimum życzliwości...
- Myślę, że wypełnienie zaleceń prezesa nie powinno pani tak krępować... Nie wiem, o co chodzi, ale jestem skłonny stwierdzić, że to raczej ignorowanie jego poleceń jest naganne – pocieszył ją. – Więc słucham, pani Anno.
- Chodzi o Wiktora. On nadal się odgraża, że zrobi z panem porządek, i wydaje mi się, że szuka jakiegoś dobrego adwokata.
- Julian zamyślił się na chwilę. W czasie rozmowy przed paroma miesiącami postanowił, że w razie gdyby to było konieczne, zastosuje radykalne środki. Dziś nie był w stu procentach przekonany o słuszności takiej polityki, zwłaszcza że zaraz potem miał rozmowę z Jurskim i doszedł do wniosku, iż tego typu twarde postawy niepotrzebnie przysparza mu wrogów.
- Pani Anno. Pan Jurski miał świadomość, że jeżeli syn zacznie kierować tak wielkim koncernem, to zarząd szybko się zorientuje, iż on się na tym nie zna, i zacznie go lekceważyć, a to już jest pierwszy krok do katastrofy... Dlatego

wszystko mi powierzył, ale przewidując, że mogą być właśnie takie kłopoty, przekazał mi to notarialnie... I choćby pan Wiktor wynajął stu adwokatów, to tej sprawy nie wygra – Julian mówił spokojnie, łagodnym tonem, pilnując, żeby Jurski niepostrzeżenie nie doszedł do głosu. – Tylko ode mnie zależy, czy pan Wiktor będzie nadal otrzymywał od koncernu comiesięczną pensję. W każdej chwili mogę mu to wynagrodzenie wstrzymać, a wtedy nie będzie mieć pieniędzy nie tylko na adwokata, ale na nic... I będzie musiał szukać pracy, bo jako malarz chyba nie bardzo jest w stanie na siebie zarabiać... Uważam, że ktoś powinien mu to wytłumaczyć, nim wpakuje się w kłopoty.

– Ja mu wtedy mówiłam, żeby się zastanowił. To przecież było prawie cztery miesiące temu i początkowo on chyba sobie to wziął do serca, ale przypuszczam, że to ta jego dziewczyna go buntuje.

– Przyznam, że nie bardzo mam ochotę z nim rozmawiać i znów się denerwować, ale gdyby pani się podjęła mu to wytłumaczyć, to by pani zaoszczędziła mu dużo kłopotów, a mnie czasu, którego mam ciągle za mało.

– Oczywiście, postaram się... On nie jest głupi, powinien to zrozumieć.

– I dobrze. Wierzę w pani umiejętność perswazji. Pan Jurski mi o tym opowiadał.

– Hm, a przepraszam, panowie dawno się znają?

– Jakies pięć lat. Pan Jurski ogłosił wtedy konkurs na opracowanie programu naprawczego kopalni hematytu w Serbskiej Górze i ja go wygrałem. Od tamtej pory pan Jurski się mną interesował, zlecał mi rozmaite opracowania i zaszczyił mnie swoją przyjaźnią... A powracając do tamtej sprawy, to może warto by tej dziewczynie coś niecoś wytłumaczyć?

– Nie wiem. Ja jej prawie nie znam...

– Ja tym bardziej nie... To już jak pani uważa.

Pożegnał się z Anną i poszedł do swojej części rezydencji.

Zajrzał do gabinetu, ponieważ ostatnio postanowił zwracać uwagę, czy ktoś nie szpera w jego rzeczach. Żeby być pewnym, zastawiał nawet pułapki. Na przykład w postaci niedomkniętej szuflady. Mierzył linijką, ile milimetrów brakuje do całkowitego zamknięcia, i po powrocie znów mierzył. Liczył też, o ile ząbków niedomknięty jest suwak w podróźnej torbie.

Wszedł do wnętrza i rozejrzał się. Spojrzał na biurko, na którym umyślnie zostawił pismo z ministerstwa. Leżało w identycznej pozycji, w jakiej je położył.

Ucieszył się i wyszedł. Rozejrzał się po korytarzu i upewniwszy się, że nikt go nie śledzi, wszedł do swojej sypialni. Tu znów zbadał, czy wszystko jest w porządku, ale nie zauważył niczego podejrzanego. Usiadł na kanapie i włączył telewizor, aby obejrzeć „Wieczór z polityką”. Właśnie jakiś dziennikarz wysławiał zasługi Partii Ludowo-Demokratycznej.

„Po diabła komuś takie dziennikarstwo” – pomyślał ze złością. – „Przecież

obywatelowi potrzebna jest bezstronna informacja, a nie agitacja podana pod pretekstem informacji. Przecież taki ktoś nie powinien być dziennikarzem”.

Przypadkiem spojrział w ciemny kąt pokoju i zobaczył, że leży tam coś białego, ale niezupełnie dotarło to do jego świadomości. Patrzył jeszcze chwilę w ekran, po czym przypomniał sobie, że w kącie widział piłeczkę pingpongową. Ponownie przeniósł wzrok w tamto miejsce, lecz nie było tam nic takiego. Dla upewnienia się wstał z kanapy i podszedł bliżej, jednak nic tam nie leżało. „No proszę” – pomyślał z zadowoleniem. – „To jest potwierdzenie, że wtedy w biurze to było złudzenie”.

Odruchowo popatrzył w ciemną przerwę między biblioteką a szafą ubraniową.

„Ciekawe, co to było wtedy?” – pomyślał. – „Przecież wyraźnie widziałem tam Jurskiego, a później Małgorzatę... Kochana, dobra Małgorzata” – myślał dalej z rozrzewnieniem. – „Ciekawe, czy ona się domyśla, jak bardzo ją kocham i jak wiele jestem gotów dla niej zrobić?”.

Wybrał się do pracy wcześniej. Dotarł na miejsce, kiedy zjeżdżali się wszyscy pracownicy. Zatrzymał się na parkingu, ale nie na swoim miejscu, lecz w sektorze dla pracowników, w którym miejsca dla samochodów nie były oznaczone. Stąd miał bliżej do bocznego wejścia i do sali konferencyjnej, gdzie miał umówione spotkanie. Zabrał z prawego siedzenia teczkę z materiałami potrzebnymi do spotkania i szeroko otworzył drzwi z zamiarem wyjścia z auta. W tej samej chwili kątem oka zauważył niebieski samochód, który szybko wjeżdżał na sąsiednie stanowisko. Kierowca zorientował się, co się święci, i gwałtownie zahamował. Mimo to lekko uderzył w sam koniec otwartych drzwi Juliana, wrywając mu je z ręki.

„O, choroba” – pomyślał trochę zdenerwowany. – „Wystarczyłoby, żeby drzwi były piętnaście centymetrów węższe, i by nie zawadził...”.

Wyszedł ze swojego auta, spojrział bezradnie na niebieski samochód, jednak lustrzane szyby uniemożliwiały zobaczenie kierowcy, który z pewnością zaraz zrobi mu awanturę.

Ułamek chwili później zza samochodu wybiegła piękna młoda dama w granatowej garsonce. Julian zamiast przeproszać, stał porażony jej urodą i patrzył na piękne blond włosy spadające na ramiona, które powiew wiatru akurat zarzucił jej na twarz.

– Wybacz pan, ale nie spodziewałam się, że zrobi mi pan taki numer – powiedziała zdenerwowana i odgarnęła rozwiane włosy.

– A ja się cieszę, że tak się stało – powiedział, uśmiechając się od ucha do ucha.

Równocześnie uświadomił sobie, że skądś zna jej głos.

– A z czego tu się cieszyć? – zapytała dama, nie kryjąc złości.

– Cieszę się, że dzięki temu poznałem tak piękną kobietę – powiedział bez namysłu i zrobił parę kroków w jej kierunku.

– Rzeczywiście, jeszcze się nie znamy – powiedziała wyraźnie ułagodzona tym komplementem i wyciągnęła do niego rękę.

– Jestem Julian Podhorecki – przedstawił się.

„Ciekawe, czy pochwą też tak ściska?” – pomyślał, czując, jak jej dłoń zaciska się na jego dłoni. Równocześnie wstyd mu się zrobiło, że ma takie prostackie i głupie skojarzenia.

– Ewa Wróbel – powiedziała już bez cienia złości i nawet trochę się uśmiechnęła.

Usłyszawszy jej imię, przypomniał sobie, skąd zna jej głos.

– Jest pani sekretarką dyrektora Rogulskiego? Nie mylę się? – zapytał i puścił jej dłoń, zdając sobie sprawę, że nieco za długo ją przytrzymał.

– Tak. Okazuje się, że przez telefon już się znamy – powiedziała, pokazując swoje śnieżnobiałe zęby.

– Jak do tej pory to trochę nerwowe są te nasze kontakty – powiedział i uśmiechnął się najładniej, jak umiał.

– Wie pan, najważniejsze, żeby się nie zrażać – odpowiedziała z taką swobodą, na jaką pozwalała sobie tylko inteligentna kobieta, czująca się równorzędną partnerką mężczyzny.

– Muszę powiedzieć, że bardzo miło było panią poznać, ale chyba trzeba iść – powiedział, nie kryjąc żalu, i w aktorskim geście rozłożył bezradnie ręce.

– Cóż, mój dyrektor nie lubi, jak się spóźniam – odpowiedziała, zrobiła krok do tyłu i się uśmiechnęła.

– Tylko bym poprosił, żeby pani na chwilę cofnęła swój samochód, bo chciałbym zamknąć drzwi.

– Oczywiście, właśnie miałam taki zamiar – powiedziawszy to, zalotnie się uśmiechnęła i odeszła.

Julian wsiadając do auta, spojrzał jeszcze na nogi odchodzącej. Kobieta cofnęła samochód i Julian zamknął drzwi. Oboje równocześnie wysiedli ze swoich pojazdów i obrzucili je spojrzeniem, nie stwierdzając żadnych uszkodzeń. Ich drogi za moment się rozeszły, gdyż Ewa poszła do głównego wejścia, Julian zaś do bocznego.

W pracy jeszcze długo był pod wrażeniem wspaniałej urody sekretarki dyrektora Rogulskiego. Dwie godziny później pijąc kawę, myślał nawet, że gdyby nie było Małgorzaty, z pewnością zabiegałby o jej względy i dołożyłby wszelkich starań, żeby ją zdobyć.

Tak rozmyślając, przeglądał pisma, które leżały na biurku i czekały na

podpis. Wśród nich natknął się na opinię techniczną urządzeń oferowanych przez francuską spółkę Galois&Dellon. Była ona bardzo pozytywna i została wydana na zlecenie dyrektora Walerego Wysockiego.

Julian natychmiast zapomniał o sekretarce dyrektora Rogulskiego i zadzwonił do Dworaka:

– Mógłby pan zaraz do mnie przyjść? – zapytał tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Po chwili Dworak był na miejscu.

– Niech pan weźmie tę opinię i zbada, co to za firma, czy oni mają jakieś certyfikaty upoważniające do wystawiania opinii, bo to wszystko zaczyna mi śmierdzieć. Oni tu piszą o spółce Galois&Dellon jak o producencie, a o ile się orientuję, ta spółka nie jest producentem, tylko pośrednikiem.

– Już się do tego biorę, panie prezesie.

Dworak widząc zdenerwowanie Juliana, wziął pismo i szybko wyszedł.

Po trzech dniach pobytu w Warszawie znów jechał do Łodzi. Nie lubił ciągłych podróży na tej trasie, ale nie było na to sposobu. Postanowił więc rok się przemęczyć. Ten wyjazd miał dla niego duże znaczenie, gdyż liczył, że uda mu się sfinalizować sprawę z dziekanem. Nie trzeba dodawać, że najważniejszym magnesem, który go tu ciągnął, nadal była Małgorzata, a kilkugodzinne zauroczenie sekretarką dyrektora Rogulskiego minęło, jak mniemał, bezpowrotnie.

Jechał tego październikowego dżdżystego dnia, rozmyślając o wszystkim, co tam na niego czeka, i cieszył się tym. Coraz bardziej czuł, że Łódź, której jeszcze pół roku temu w ogóle nie znał, teraz stała się jego rodzinnym miastem. Tam mógł swobodnie oddychać i zapomnieć o zgniętej atmosferze pałacu Jurskich, gdyż tam byli ludzie, którzy go kochali.

Dojeżdżając, zadzwonił i powiedział, że jest już blisko. Gdy wjechał w wąskie uliczki Rembielówki, robiło się już ciemno. Oczywiście, w pierw skierował się do Małgorzaty. Podjechał pod dom przy Reja i wysiadł z auta. W jej oknie paliło się światło. Zrobiło mu się przyjemnie, kiedy wchodził do ogrodu. Wbiegł na ganek i przycisnął dzwonek. Za chwilę usłyszał tupot nóg na schodach. Drzwi się otworzyły i w progu stanęła Małgorzata. Padli sobie w ramiona, jakby dawno się nie widzieli.

– Chodź, mój kochany, chodź. Już się nie mogłam doczekać – szeptała mu do ucha. – Oj, jak to dobrze, że jesteś.

– A co to tak wszędzie ciemno? – zapytał.

– Mamy nie ma.

– Ma dyżur?

– Tak, ale w pogotowiu. Do dwudziestej drugiej.

– To chodź, chodź, moja kochana.

Wziął ją na ręce i zaczął wnosić po schodach.

– Co ty, co ty! Daj spokój! – zaczęła się bronić. Chcesz, żebyśmy zlecieli?

Zaczęła się szarpać i wyrwała mu się.

– Ty mój kochany wariacie – powiedziała, całując go i ściskając go siłą. – To dobre na plaży, a nie po schodach. Ja chcę mieć cię zdrowego, nie inwalidę.

Weszli do jej pokoju i zaczęli się rozbierać. Kiedy Małgorzata była już tylko w krótkiej dopasowanej koszulce, a on w spodenkach, zaczęli wspólnie ścielić tapczan. Julian przy tym spoglądał na nią i w milczeniu podziwiał jej urodę. Gdy tapczan był gotowy, wziął ją na ręce i położył na nim, następnie nie spuszczać z niej wzroku, odszedł powoli do tyłu w sam kąt pokoju. Długą chwilę stał, patrząc na nią groźnym wzrokiem, a następnie rzucił się na nią jak lampart na swoją ofiarę.

– Och, mój kochany! – zawoła, leżąc pod nim.

– O czym tak myślisz? – zapytała, kiedy dwie godziny później milcząc leżeli zmęczeni.

– Myślę, że nie ma na świecie drugiej takiej kobiety jak ty, i chcę, żebyś wiedziała, że cię strasznie kocham.

– A wiesz, ja identycznie myślę o tobie...

Znow dłuższą chwilę leżeli, nie rozmawiając, po czym ona odezwała się pierwsza:

– Wspaniałe jest w tobie to, że potrafisz być czuły i delikatny, że aż doprowadzasz mnie do konwulsji, ale bywasz też gwałtowny, zaborczy i zarażasz mnie tym tak, że i ja zaczynam ci odpowiadać taką agresją. I to wszystko jest wspaniałe.

Powoli zaczęli się ubierać.

Wcześniej przyjechał na uczelnię i poszedł do dziekanatu. Pani powiedziała mu, że pana dziekana na razie nie ma, ale koło południa będzie. Poszedł więc na wykład doktora Kwiczaka, którego nie lubił, ponieważ uważał go za typowego teoretyka, zupełnie pozbawionego zmysłu praktycznego, tak bardzo potrzebnego w każdym zawodzie.

Do południa pozostawało jeszcze półtorej godziny, więc poszedł także na wykład rektora Wawrzyniaka. Specjalnie usiadł w pierwszym rzędzie, aby mieć pewność, że rektor zauważy jego obecność.

Wszyscy studenci skwapliwie robili notatki z wykładu, a on jeden siedział z założonymi rękami.

Po wykładzie studenci opuścili salę wykładową, a on został na miejscu,

patrząc na rektora. Wawrzyniak zebrał swoje papiery, podszedł do niego i nie witając się, usiadł obok.

– Co powiesz o moim wykładzie? – zapytał.

– Myślę, że ci którzy zajmują się gospodarką, nie doceniają wpływu na nią zwykłych ludzi, takich, którzy żyją od wypłaty do wypłaty i nie mają żadnych rezerw.

– Sam przecież wiesz, że te pieniądze są bardzo rozproszone i trudno nimi sterować.

– Ale tych ludzi jest kilkanaście milionów, więc one mają wielki wpływ, ponieważ są w ciągłym obrocie, to bardzo aktywny pieniądź, on ożywia gospodarkę. Natomiast pieniądze bogatych leżą na kontach.

– No, może i tak, ale do czego zmierzasz?

– Uważam, że aby gospodarka się rozwijała, trzeba tym milionom zwykłych ludzi dać więcej zarobić, żeby zwiększyć ich siłę nabywczą. Tymczasem, jak obserwuję, podczas gdy bogaty podwoi swój stan posiadania, u szarego człowieka niewiele się zmieni.

– Michale, ty stałeś się demokratą?

– Nie, ale od lat nurtuje mnie pytanie, skąd biorą się kryzysy. Są różne teorie na ten temat, ale przecież ekonomia to nie jest sensu stricto nauka ścisła.

– Wiesz, Michale, my się na tym znamy, ale tylko we dwóch nie zmienimy tego... Choćby z tego powodu, że o tym decydują politycy, którzy uważają się za ekonomistów – powiedział z ponurym uśmiechem.

– A ja chcę spróbować to zmienić.

Rektor popatrzył na Juliana, poklepał go po ramieniu i powiedział:

– Jesteś młody, wykształcony i doświadczony, więc może coś ci z tego wyjdzie... Tego ci życzę. A gdybyś potrzebował jakiegoś wsparcia, to postaram się ci pomóc.

Wstał i wyciągnął dłoń do Juliana. Ten też wstał i podał rękę Wawrzyniakowi, mówiąc:

– Gdybyś kiedykolwiek czegoś potrzebował, to też możesz na mnie liczyć.

Znów poszedł do dziekanatu. Dziekan już był i zaraz go przyjął jak starego przyjaciela.

– Przychodzę już z konkretami – powiedział Julian od razu po przywitaniu.

– Czyli rozmawiał pan z prezesem Jurskim?

– Tak. Pan prezes zaproponował sto dwadzieścia tysięcy euro w rozbiciu: nieoficjalnie czterdzieści i oficjalnie osiemdziesiąt – wyrecytował bez namysłu i nim flegmatyczny dziekan zdołał zebrać myśli, by cokolwiek powiedzieć, Julian dodał: – Czterdzieści tysięcy ja przywiozę w gotówce, jak tylko będzie pozytywna odpowiedź pana dziekana, a pozostałe osiemdziesiąt przelewem na konto uczelni po otrzymaniu przeze mnie dyplomu.

– Ee, ja, no...

Widać było, że dziekan się waha, ponieważ nęciła go możliwość szybkiego dostania pieniędzy, które były prawie w zasięgu ręki. Jednocześnie miał ochotę utargować więcej, ale wiedział, że to by spowodowało dalsze negocjacje, a co za tym idzie, przeciągnięcie w czasie.

– No, nie wiem, ta pierwsza kwota trochę mała, taka nieokrągła – wystękał wreszcie.

– Rozumiem, że pan dziekan ma na myśli pięćdziesiąt.

– No tak, przynajmniej...

– Dobrze, umówmy się na pięćdziesiąt – zgodził się Julian, chcąc zamknąć tę sprawę.

– Ale jest pan pewny, że prezes panu to zatwierdzi? – nudził dalej dziekan.

– Mam nadzieję, a jeśli nie, to trudno, dołożę ze swoich – powiedział zdecydowanym tonem.

– Dobrze, wobec tego, żeby wszystko było formalnie, to niech pan u pani Teresy w dziekanacie złoży podanie z prośbą o wyrażenie zgody na przyśpieszony tryb studiów.

W następnym tygodniu wręczył dziekanowi pięćdziesiąt tysięcy euro, w zamian otrzymując pisemną akceptację skrócenia terminu studiów. Gdy wyszedł z gabinetu, zauważył, że pod dokumentem widniał podpis rektora Wawrzyniaka.

Pokazał ten glejt Małgorzacie i rodzicom. Oczywiście, nie powiedział, że zapłacił za ułatwienie realizacji tego przedsięwzięcia.

Od tamtej pory właściwie nic się nie zmieniło. Miał przerobić dwa lata w rok, ale nadal bywał na wykładach tylko dwa dni w tygodniu. I to nie po to, żeby się uczyć, lecz żeby stwarzać odpowiednie pozory. Uważał bowiem, że jego wiedza i tak jest wystarczająca, do uzyskania dyplomu.

Już od dawna chciał mieć mieszkanie w Warszawie. Pierwszy powód był taki, iż źle się czuł w pałacu Jurskich. Tam nie umiał się otrząsnąć z wrażenia, że jest Jurskim w obcej skórze, jak trafnie to określił profesor Borek. Tam nie potrafił zapanować nad sposobem myślenia i postępowania w stylu Jurskiego i czuł, że siedzi w nim dwoje ludzi, którzy ze sobą walczą, niweczając syntezę misternie dokonaną przez profesora. Wreszcie, był też jeszcze jeden powód, zalegający na dnie duszy, który skrzętnie ukrywał przed samym sobą: wyrzuty sumienia z powodu krzywdy, jaką wyrządził Julianowi.

Wiedział, że Julian był z gruntu dobrym, zdolnym, uczynnym, życzliwym dla wszystkich, kochającym świat i życie młodym człowiekiem, a on mu to wszystko brutalnie zabrał i zniweczył, sam zaś przebrał się w jego skórę.

Gdziekolwiek był poza pałacem, udawało mu się wyrzucić z siebie

Jurskiego, być Julianem Podhoreckim i postępować tak, jakby nim był. Uważał, że tylko w ten sposób może chociaż częściowo spłacić swój dług. Tymczasem w pałacu Jurskich ciągle towarzyszyła mu obawa, że jednak nigdy nie spłaci tego długu.

W końcu października podjął ostateczną decyzję w tej sprawie i kupił dwa średniej wielkości, ale eleganckie pokoje z niewielką kuchnią i piękną łazienką. Ten nabytek sprawiał mu też dodatkową radość, ponieważ teraz mógł zaprosić do siebie Małgorzatę.

Jeszcze tego samego dnia zadzwonił do niej i poprosił, żeby pomogła mu przy zakupach mebli i urządzeniu mieszkania. Wpierw umówili się na weekend, ale po paru godzinach podczas jeszcze jednej rozmowy uznali, że dwa dni to za mało. Małgorzata postanowiła opuścić jeden dzień na uczelni i przyjechać pociągiem już w piątek rano.

Wstał wcześniej i wyjrzał przez okno. Wszędzie było białe od padającego gęstego śniegu. Samochody na parkingu były pokryte kilkunastocentymetrową warstwą białego puchu, więc nie można było rozpoznać ich kolorów i tym bardziej marek. Popatrzył na drogę od parkingu do bramy i ujrzał Józefa machającego wielką szuflą.

Szybko zjadł śniadanie i wyszedł na dwór, żeby pojechać na dworzec po Małgorzatę. Zdziwiła go ilość śniegu. Ogrodnik zdołał odkopać drogę zaledwie na szerokość samochodu.

„Dajcie spokój. Na przełomie października i listopada tyle śniegu” – pomyślał.

Oczyścił trochę samochód i dojechał do bramy. Na ulicy panował chaos, ponieważ pługi odśnieżyły tylko środek jezdni, gdyż zaparkowane samochody utrudniały im pracę. Ruch odbywał się z przerwami i tworzyły się korki.

Zdenerwował się, gdyż wyglądało na to, że nie dojedzie na czas na dworzec. Włączył radio. Co kilkanaście minut nadawano komunikaty o sytuacji drogowej i doradzano, żeby nie korzystać z samochodu, jeśli nie jest to konieczne. Ponieważ przejechał zaledwie sto metrów, zawrócił i pojechał z powrotem. Zostawił samochód i poszedł piechotą na stację metra. Po drodze zadzwonił do Małgorzaty, żeby uprzedzić ją, iż się spóźni.

– Nie przejmuj się. Pociąg chyba jeszcze nie przejechał połowy drogi – pocieszyła go.

Przyjechał na dworzec prawie godzinę później, niż zamierzał. Wszedł do głównej hali dworcowej, sprawdził na wyświetlaczu, o której godzinie przyjeżdża pociąg. Okazało się, że przewidziane jest godzinne opóźnienie. Wyjął telefon i znów zadzwonił.

– Daj spokój, już prawie pół godziny stoimy pod Żyrardowem – powiedziała zmartwiona.

– Pada?

– To mało powiedziane. Nigdy nie widziałam takiej śnieżycy. Na dziesięć metrów nic nie widać.

W trakcie rozmowy przeskoczyły cyferki na wyświetlaczu i opóźnienie zwiększyło się do dziewięćdziesięciu minut.

„Ładnie” – pomyślał. – „Opóźnienie większe niż czas przejazdu”.

– Ale jesteś już na dwóch trzecich drogi – zawołał do telefonu.

Ostatecznie pociąg opóźnił się prawie dwie godziny.

Pojechali bezpośrednio do mieszkania, w którym nie było nawet na czym usiąść.

– Oł, spore to mieszkanie i ładnie wykończone – powiedziała z podziwem, gdy tylko przekroczyła próg.

Zajrzała do kuchni, a później do łazienki.

– Łazienka świetna – pochwaliła. – Aż chętnie bym się wykapała – dodała.

– Ale Małgosiu, nie ma jeszcze nawet mydła, nie mówiąc o ręczniku i innych akcesoriach.

– Cha, cha, przecież ja tylko tak mówię, żeby lepiej wyrazić uznanie... Tylko martwię się, że wpadniesz w długi.

– Nie martw się. – pocieszył ją. – To mieszkanie służbowe. Nie kosztuje mnie ani grosza. Moje będą tylko meble... Oj, wiesz co? Przypomniało mi się coś bardzo ważnego! – zawołał. – Musimy na chwilę wyjść.

– Dokąd? – zapytała zdziwiona i skierowała się w stronę przedpokoju.

Wyszli na zewnątrz. Julian zrobił tajemniczą minę i nie zamykając za sobą drzwi, powiedział: – Zapomnij, że tam byłaś.

Zamachał przy tym dłonią, jakby chciał coś zetrzeć z niewidzialnej tablicy, objął Małgorzatę, wziął ją na ręce i wniósł do mieszkania.

– Teraz tradycji stało się zadość – powiedział i postawił ją na środku pokoju.

– Jak cię nie kochać... – powiedziała ujęta tym gestem i zaczęła go całować.

Za chwilę wyszli z domu i brnąc do połowy łydek po śniegu, doszli do stacji metra. Zaczął się rajd po sklepach z meblami, z wyposażeniem kuchni, łazienek i różnym sprzętem domowym. Chwilami ich poglądy trochę się różniły, ponieważ Małgorzata miała wpojona oszczędność i rozwagę w robieniu zakupów, a poza tym nie miała pojęcia, jak ogromnymi pieniędzmi dysponuje Julian. On biorąc to pod uwagę, ustępował jej. W końcu wczesnym popołudniem zapadły decyzje i zaczęło się kupowanie.

Kiedy wszystko było załatwione, wybrali się do skromnej restauracji na obiad, gdzie nareszcie mieli trochę czasu, żeby porozmawiać na tematy niezwiązane z zakupami.

– Będiesz do mnie przyjeżdżać? – zapytał, patrząc jej w oczy.

– Pewnie. Będzie okazja lepiej poznać Warszawę... – chwilę się zamyśliła

i dodała: – I widzę, że będę musiała wreszcie kupić samochód...

– Samochodem niecałe dwie godziny od drzwi do drzwi, jak nie ma korków i śnieżycy – zapewnił ją.

– No właśnie, a pociągiem na pewno ponad trzy, dziś pięć.

– A co z tym twoim samochodem? Już przed wakacjami wspominałaś o tym i nic?

– Chciałam więcej uzbierać.

– Pomóc ci w kupnie? A może pożyczyć ci trochę pieniędzy?

– Nie, kupię taki, na jaki mnie stać – powiedziała stanowczo. – Jak ja bym ci oddała? Przecież już nie pracuję i nie zarabiam, a za duża jestem, żeby brać od mamy... Ale z pomocy przy kupnie chętnie skorzystam.

Julian nic nie odpowiedział. Siedział zafascynowany jej piękną twarzą. I cieszył się, że są razem.

– Zaraz po obiedzie musimy jechać do domu, bo tylko patrzeć, jak zaczną przywozić te meble – powiedział, gdy już kończyli jeść.

– A wiesz? Właśnie to samo myślałam – odpowiedziała ucieszona. – A może oni już tam czekają?

– Nie, dzwoniliby. Zresztą przy tej pogodzie to też chyba nie będzie tak szybko.

Przyjechali do domu i wjechali na trzecie piętro, gdzie było mieszkanie Juliana. Weszli, zdjęli wierzchnie okrycia i położyli je na parapecie

– Dobrze by było, żeby niedługo przywieźli. Przecież tu nawet nie ma na czym usiąść – martwił się Julian.

– W łazience na brzegu wanny – zażartowała. – Bardzo dobre miejsce.

– Ach, ty moja kochana – powiedział głośno, aż rozległ się pogłos w pustym pokoju, objął ją wpół i zaczął całować.

W tym momencie rozległ się dzwonek telefonu. Był to konwojent, który oznajmił, że już wyjeżdża, i chce się upewnić, czy ktoś jest w domu. Nie minęło nawet dwadzieścia minut i konwojent znów zadzwonił i powiedział, że z powodu korków i śnieżycy prędzej niż za godzinę nie przyjadą. Kiedy pierwszy mebel znalazł się w pokoju, na dworze robiło się ciemno.

Małgorzata z Julianem dyrygowali, a dostawcy stawiali wszystko we wskazanych miejscach. Oczywiście, było z góry założone, że lokalizacja mebli jest tymczasowa i w najbliższych dniach, a może i tygodniach będzie podlegała rozmaitym korektom. W każdym razie do wieczora mieszkanie było umeblowane. Teraz można było już na czym usiąść i przy czym wypić herbatę. Niestety, nie było w czym. Należało więc znów gdzieś jechać i kupić niezbędne naczynia.

Znów pojechali i wrócili po prawie trzech godzinach bardzo zmęczeni, ale za to z wielkimi torbami pełnymi szklanek, garnków talerzy, talerzyków, akcesoriów łazienkowych i tego wszystkiego, co dało się udźwignąć. Idąc z tym od stacji

metra, brnęli w śniegu powyżej kolan.

Śnieg tymczasem padał i padał. Na ulicach całkowicie zamarł ruch. W radiu ogłoszono alarm śniegowy trzeciego stopnia, co oznaczało, że nie wolno jeździć samochodami. Pozostawało jedynie metro, które było przepelnione.

Przez całą następną noc bez przerwy padało i rano już nikt nie był w stanie wyjść z domu, ponieważ śnieg był do pasa, a w niektórych miejscach nawet po szyję. Stanęły tramwaje i autobusy, a metro nie było w stanie przewozić kilkakrotnie większej liczby pasażerów.

Radio informowało, że służby miejskie nieustannie pracują, ale efektów nie było widać.

Małgorzata i Julian podziwiali z okien piękno zimowego miejskiego krajobrazu: rząd białych pagórków na parkingu i drzewa połamane od ciężaru śniegu.

Koło południa zaczął im dokuczać głód.

Wyjrżeli przez okno zobaczyli, jak ktoś z szufelką w ręku wyskoczył z okna na parterze domu jednorodzinnego i zaczął odrzucać śnieg przed drzwi wejściowych. Później udało mu się uchylić drzwi na tyle, że wszedł nimi do wnętrza. Za parę minut z tych samych drzwi wyszło parę osób. Zaczęli brnąć prawie do pasa przez śnieg.

– Spróbuję gdzieś pójść. W podziemiach pod skrzyżowaniem jest pełno sklepów. Może uda się coś kupić – powiedział Julian, patrząc, jak inni próbują dawać sobie radę.

– To ja idę z tobą – stwierdziła Małgorzata.

– Naprawdę chcesz iść?

– Pewnie. Czekaj, zobaczymy, jak u nas wygląda wyjście.

Powiedziawszy to, otworzyła okno, wychyliła się z niego i popatrzyła w dół.

– U nas wszystkie drzwi wyjściowe są odkopane i przy samej ścianie wzdłuż budynku chodzą ludzie – powiedziała zadowolona.

Szybko się ubrali i wyszli.

Z góry nie było tego widać, ale po wyjściu okazało się, że wszyscy chodzą częściowo wykopanym, a częściowo udeptanym wąwozem. Był on rozmaitej głębokości. W najgłębszych miejscach sięgał do ramion, a w najpłytszych do pasa.

Trudno było się mijać z osobami idącymi z przeciwka, ale zawsze jakoś udawało się przecisnąć. Na głównej ulicy chodniki były trochę odkopane, tak że dwie osoby mogły swobodnie przejść obok siebie. W rezultacie bez przerwy w przeciwnych kierunkach szły dwie kolumny ludzi.

Tak doszli do skrzyżowania i weszli do podziemi. Wszystkie sklepy były otwarte i panował w nich tłok. Stali w kolejce ponad pół godziny, ale zrobili zakupy na kilka dni.

Wrócili do domu zmęczeni, ale zadowoleni, i zabrali się do robienia obiadu.

Do końca dnia siedzieli w mieszkaniu i rozkoszowali się ciepłem i rodzinną atmosferą. Wieczorem radio podało, że na tych terenach nigdy nie odnotowano tak intensywnych opadów. Poinformowano też, że w Warszawie pod gruzami zawałonych budynków zginęło około pięciuset osób, a wiele zamarzło na ulicy. Umarło też ponad dwustu chorych ludzi, ponieważ pogotowie nie zdołało do nich dojechać.

W niedzielę od rana śnieg już nie padał, a radio powiadomiło, że przez noc służby miejskie i drogowe częściowo opanowały sytuację.

Po obiedzie Julian i Małgosia wyszli na spacer, żeby zorientować się, czy rzeczywiście tak jest.

Przez osiedle, na którym mieszkali, szło się wykopanym wąwozem o prawie pionowych ścianach, tak głębokim, że nie było widać, co dzieje się dalej. Jezdnia na głównej ulicy była całkowicie odśnieżona. Chodnik też, ale połowę jego szerokości zajmowały równo ułożone duże bloki sprasowanego śniegu, czekające na wywiezienie.

– Popatrz, jak szybko się z tym uwinęli – powiedziała zachwycona Małgorzata.

– To dzięki maszynom. Ręcznie tydzień by się z tym mordowali – dodał Julian.

– Ciekawe, kiedy odwołają ten alarm? Inaczej musielibyśmy wracać pociągiem.

– Trzeba wracać do domu i słuchać radia... – powiedział Julian i musnął ustami policzek Małgorzaty. – Dobrze, że je kupiliśmy – dodał.

Wieczorem odwołano alarm.

– To co? Wracamy? – zapytał Julian. – Czy raczej wcześniej rano?

– Rano.

W poniedziałek rano pojechali prosto na swoje uczelnie. Po wykładach zrobili wycieczkę do komisów z samochodami. Nie trwała ona długo, gdyż Małgorzata dość szybko się zdecydowała, a właściwie dała się namówić na kupno pięcioletniej, pięknie utrzymanej kremowej Sibylle. Był to niewielki samochód z dość dużym silnikiem, w sam raz dla młodej kobiety. Auto było trochę za drogie, ale Julianowi udało się przekonać Małgorzatę, że naprawdę nic się nie stanie, jak zaciągnie u niego mały kredycik z bardzo wydłużonym terminem płatności.

Wrócili do domu dwoma samochodami i zaraz po obiedzie zabrali się do ujeżdżania nowego auta.

– Halinko – zwrócił się do sekretarki zaraz po przyjściu do pracy. – Pamiętasz, że za pół godziny jest narada?

– Oczywiście – odpowiedziała. – A czy w związku z tym mam coś do

zrobienia?

– Nie, tylko pytam, czy wszyscy o tym wiedzą?

– Tak, ale na wszelki wypadek jeszcze im przypomnę.

– Świetnie, ale wiesz? Wpierw zrób mi kawę, to jeszcze zdążę ją wypić.

Był trochę niewyspany, gdyż wstał bardzo wcześnie, nocował bowiem w Łodzi, a na naradę nie powinien się spóźnić, ponieważ uważał, że ktoś, kto wymaga punktualności, sam powinien być punktualny.

Miał teraz pół godziny na wypicie kawy. Siedział więc rozparty w fotelu i cieszył się, rozmyślając o minionych miesiącach, o wszystkich miłych wydarzeniach i sprawach, które biegły tak pomyślnie, a także o zbliżających się świętach Bożego Narodzenia.

W nastroju bliskim euforii poszedł na naradę.

Po naradzie parę minut rozmawiał w cztery oczy z Dworakiem. Później jeszcze usiadł na moment, gdyż chciał od ręki zanotować pewne wnioski, które mu się nasunęły podczas dyskusji.

Kiedy przechodził zamyślony koło klatki schodowej, nagle ze schodów pukając i podskakując na marmurowych stopniach, stoczyła się piłeczka od ping-ponga i poturlała się w jego stronę. Chciał zatrzymać ją nogą, ale odbiła się od buta, zmieniając kierunek, i przetoczyła się jeszcze dobre dwa metry.

Podszedł do niej, wziął ją w dłoń i cicho, na palcach zaczął wchodzić po schodach, aby sprawdzić, skąd się tam wzięła. Będąc w połowie drogi między parterem a piętrem, usłyszał jakiś szelest. Przeszedł po cichu jeszcze kilka stopni i zobaczył Ewę Wróbel, sekretarkę dyrektora Rogulskiego, która w pozycji kucznej zbierała z podłogi do kartonowego pudełka rozsypane gify i świąteczne drobne artykuły reklamowe. Miała na sobie kremową garsonkę z dość krótką spódniczką, brązowe rajstopy i jasnoliliową obcisłą bluzkę. Julian stanął urzeczony widokiem tej zabójczo pięknej kobiety. Stał bez ruchu dłuższą chwilę, wstrzymując oddech. Marzył, żeby ta scena trwała jak najdłużej.

Ewa go nie widziała, ale jakby wiedziona intuicją, podniosła głowę i spojrzała na niego. Na moment oboje znieruchomieli. Julian się uśmiechnął, patrząc w jej szarogranatowe oczy. Ona też się uśmiechnęła.

– Pomogę pani – powiedział, po czym podszedł do niej i kucnął obok.

– Nie warto. Już kończę... Dno w pudełku się rozkleiło i wszystko się rozsypało – wyjaśniła, zbierając ostatnie sztuki.

– A to do czego? – zapytał, wyciągając do niej dłoń z piłeczką.

– Nie mam pojęcia, skąd to się wzięło – odpowiedziała, biorąc piłeczkę.

– Pomogę pani – powiedział i podniósł z podłogi pudełko.

– Dziękuję – powiedziała z uśmiechem i wstała.

Podrzuciła piłeczkę i chciała ją złapać, ale nie udało jej się. Piłeczka podskakując, zaczęła uciekać wzdłuż korytarza. Ewa stukając obcasami, pobiegła

za nią. Julian oczarowany jej urodą stał i patrzył. Ewa po kilkunastu krokach dogoniła piłeczkę i nachyliła się po nią, wypinając do Juliana swoją piękną pupę w obcisłej spódnicy.

– Gdzie pani z tym idzie, pani Ewo? – zapytał, gdy już wracała w jego kierunku.

– Do nas. To dla dyrektora... Dyrektor to rozdaje różnym osobom – wyjaśniła. – A to dla pana prezent ode mnie, na szczęście – powiedziała, wyciągając do niego półotwartą dłoń z piłeczką.

– Dziękuję. Bardzo mi miło, że pani o mnie pomyślała – podziękował i dodał: – To ja pani pomogę i przy okazji odwiedzę dyrektora – zaproponował, nadal trzymając pudełko... – Oczywiście, jeżeli jest wolny – dodał.

– Świetnie, więc zapraszam – uśmiechnęła się. – U dyrektora nikogo nie ma... Przynajmniej nie było, jak wychodziłam – dodała.

– Gdzie mogę to postawić? – zapytał, gdy weszli do sekretariatu.

– Proszę nie stawiać, ja to wezmę i dam dyrektorowi, a jednocześnie zapowiem pana – powiedziała, wyciągając dłonie po pudełko.

– Ale pani Ewo – powiedział z pośpiechem, chcąc wykorzystać okazję, że są sami. – Czy mogę zadać pani osobiste pytanie?

– Tak, bardzo proszę. W takim razie niech pan postawi to tutaj – powiedziała, wskazując biurko.

– Pani Ewo, czy pani by się nie obraziła, jakbym zaproponował pani spotkanie? Może wybrałaby się pani gdzieś ze mną... Na tańce albo chociaż na kawę? Albo jeszcze gdzieś?

Uśmiechnęła się zalotnie i bez wahania powiedziała:

– Myślę, że tak. Ale kiedy?

– W każdej chwili jestem gotów. To zależy od pani. Nawet i dzisiaj...

– Właściwie... – chwilę się zastanawiała. – Właściwie dzisiaj to dobry dzień – dokończyła.

– Świetnie. Wobec tego o której godzinie pani pasuje i gdzie się spotkamy? – zapytał szczęśliwy, że się udało.

– Myślę, że tak koło dziewiętnastej...

– A gdzie?

– Chyba byłoby najlepiej, jakby pan przyjechał po mnie do domu.

– Oczywiście, to tylko poproszę o adres...

Podeszła do biurka, wyjęła z szuflady wizytówkę i dała ją Julianowi. Następnie wzięła pudełko z giftami i uśmiechając się, podeszła do drzwi gabinetu swojego szefa. Julian otworzył je z zadowoloną miną.

Weszła do gabinetu i za chwilę wyszła, prosząc Juliana do swojego szefa.

Julian wszedł do dyrektora Rogulskiego i z uśmiechem wyciągnął do niego dłoń.

– Akurat przechodziłem obok i postanowiłem wstąpić – zaczął dość banalnie.

– A, to świetnie, panie prezesie. Jestem zaszczycony... Proszę bardzo, niech pan siada.

Gestem ręki wskazał stojący w rogu gabinetu niski stolczyk z czterema fotelami. Julian usiadł tak, żeby móc widzieć drzwi.

– Napijemy się czegoś? Może kawy albo herbaty? A może kieliszek koniaku? – zaproponował Rogulski z uśmiechem.

– Kawę piłem całkiem niedawno, ale myślę, że jeszcze mała mi nie zaszkodzi. I kieliszek też – odpowiedział Julian, kontemplując spotkanie i rozmowę z Ewą.

Dyrektor Rogulski uchylił drzwi do sekretariatu i poprosił o podanie małej kawy dla pana prezesa i dużej dla siebie.

– Domyślam się – powiedział, siadając naprzeciw Juliana – że interesuje pana ta kampania, o której rozmawialiśmy parę miesięcy temu...

– Tak, ale nie przyszedłem pana poganiać, lecz podzielić się z panem moimi przemyśleniami na ten temat. Mianowicie uważam, że dobrze byłoby zacząć od reklamowania naszego koncernu i jedynie wspominać, że zawdzięcza on swoje sukcesy zdolnym i energicznym ludziom, którzy kierują nim z głębokim pragmatyzmem. Jak w społeczeństwie utrwali się pozytywny wizerunek koncernu, można wejść z nazwiskami.

Julian uważał bowiem, że do tego momentu uda mu się uzyskać tak bardzo pożądaną tytuł magistra.

– Wie pan co, panie prezesie? Uważam, że to bardzo oryginalny i doskonały pomysł. Chyba jeszcze nikt nie robił tak kampanii. Dwustopniowość... Wszystko, co jest wielostopniowe, jest lepsze od jednostopniowego. To jest genialne... – mówił z zapałem, lecz przerwał na chwilę, ponieważ właśnie weszła Ewa i przyniosła kawę.

Julian spojrział na nią i tajemniczo się uśmiechnął. Ona stawiając przed nim filiżankę, odpowiedziała mu kokieteryjnym, wiele mówiącym spojrzeniem.

– Jednak, panie Damianie, to za wcześnie na takie pozytywne oceny. Na razie skupmy się na realizacji, a oceniać będziemy po fakcie – chłodno podsumował.

– Panie prezesie, pan chyba zdaje sobie sprawę, że nawet przy najlepszej kampanii można nie zostać wybranym – powiedział niepewnie Rogulski, patrząc na wychodzącą sekretarkę.

– Powiedzmy, że najlepsza kampania nie daje gwarancji... To wiemy. Ale też mamy świadomość, że im będzie ona lepsza, tym szanse większe. Prawda? Chyba pan nie zaprzeczy?

– To oczywiste... Więc cóż, wybory na jesieni. W takim razie na wiosnę

ruszamy według tego schematu, jaki pan przedstawił, panie prezesie.

– Tak, tak, oczywiście – przytaknął, choć niezupełnie wiedział, o co chodzi, ponieważ cały czas myślał o randce z Ewą.

Za chwilę się pożegnał i wyszedł.

Na szczęście w sekretariacie nie było nikogo prócz niej, mógł więc wrócić do rozmowy:

– Pani Ewo, ale może powinniśmy dokładniej ustalić, dokąd idziemy... Ja tak rzuciłem jakieś propozycje, ale może wolałaby pani do restauracji na kolację albo jeszcze gdzieś... Nie wiem, do teatru, na koncert... Wybór należy do pani.

– Właśnie też tak myślałam... Lubię teatr, ale nawet nie wiem, gdzie co grają. Tak ad hoc to można źle trafić. Myślę, że w tej sytuacji to chyba do jakiejś restauracji, gdzie można potańczyć...

– Doskonale. W takim razie do zobaczenia wieczorem.

Kilka dni nie zaglądał do pałacu Jurskich. Wreszcie niechętnie, raczej z obowiązku, wybrał się tam prosto z pracy, żeby pożytecznie spędzić dwie godziny przed spotkaniem z Ewą. Poszedł prosto do Anny, ponieważ była jedyną osobą w całym domu, z którą można normalnie rozmawiać.

– O, pan Julian, myślałam, że już pan o nas zapomniał – ucieszyła się, widząc go.

– Nie, absolutnie nie, po prostu praca, praca. Na nic nie ma czasu – odpowiedział z uśmiechem i dyplomatycznie zapytał:

– A jak się miewa pan Wiktor?

– Powiedziała mu bardzo dobitnie o tym wszystkim i myślę, że to do niego trafiło.

– Dobrze by było. Mnie nie zależy, żeby mu dokuczać, ale jeżeli zmusi mnie do podjęcia radykalnych kroków, to przecież on bardzo źle na tym wyjdzie – zamyślił się na chwilę i dodał: – Z tego, co mi prezes mówił, to on się do żadnej pracy nie nadaje, więc powinien być zadowolony, że wszystko ma tak bez wysiłku.

– Właśnie tak mu powiedziałam i jeszcze więcej. Dość długo z nim rozmawiałam i on nawet mnie słuchał i nie negował tego, co mówiłam.

– To świetnie, pani Anno. Myślę, że doskonale się pani spisała.

– A tak przy okazji... Mogę zapytać, czy ma pan jakieś kontakty z bratem? On się do nas w ogóle nie odezwał.

– Do mnie dzwonił dwa razy: na wiosnę, zaraz po wyjeździe, i w lecie. Mówił, że coraz gorzej się czuje, ale jest szczęśliwy, że znalazł dla siebie miejsce wśród ludzi prostych i dobrych, i że chciałby tylko jeszcze coś dla nich zrobić.

– Tak. Rozumiem – zamyśliła się. – Teraz chce nadrobić to, o czym przez całe życie nawet nie pomyślał – dodała ze smutkiem.

Julian zamilkł, ponieważ zrozumiał, co Anna miała na myśli.

Wyjechał na spotkanie dość wcześnie, żeby się nie spóźnić. Ewa mieszkała na Muranowie, którego dobrze nie znał, dlatego spodziewał się, że może mieć trudności z trafieniem.

Mieszkała na pierwszym piętrze nowego, niewielkiego budynku z lokalami do wynajęcia.

Nie mając gdzie zaparkować, zatrzymał się byle gdzie, wyjął telefon i zadzwonił.

– Przepraszam cię, ale stanąłem w niedozwolonym miejscu, więc jeśli jesteś gotowa, to zapraszam cię na dół

– Myślałam, że wejdiesz zobaczyć, jak mieszkam – powiedziała. – Ale to nic, już schodzę – odpowiedziała i natychmiast się wyłączyła.

Julian wyszedł z auta i podszedł do drzwi wejściowych. Czuł, jak serce mocniej mu bije.

Po paru minutach wybiegła w rozpiętej jesionce, z rozwianymi włosami, uśmiechnięta.

– Powiedz, gdzie ty parkujesz? – zapytał, nie widząc nigdzie jej samochodu.

– Mam garaż – powiedziała, lokując się w aucie.

– A jak ktoś do ciebie przyjedzie?

– Nikt do mnie nie przyjeżdża. Cała moja rodzina mieszka w Szczecinie, a tu mieszkam od kilku miesięcy i nikogo nie znam.

Julian zamknąwszy za nią drzwi samochodu, przeszedł na drugą stronę i też wszedł.

– Przepraszam cię, czy masz jakiś konkretny pomysł, jeśli chodzi o wybór restauracji, czy zdajesz się na mój? – zapytał, gdy już oboje siedzieli w aucie.

– Chętnie zdam się na twój wybór – odpowiedziała i poruszyła się na fotelu.

Poły rozpiętej jesionki rozsunęły się na boki i odsłoniły jej piękne uda, przyciągając wzrok Juliana.

Julian prowadził samochód, spoglądając co jakiś czas na pasażerkę.

– A wiesz, gdzie jest „Alhambra”? – zapytał.

– Pewnie. W Hiszpanii, pod Granadą. Tam jest pałac władców mauretańskich, wspaniały zabytek.

– Właśnie jedziemy do „Alhambry”... Niestety, nie do tamtej – powiedział z żalem.

– Cha, cha. Szkoda – zaśmiała się.

– Do tej za to jest blisko, koło „Saskiego Ogrodu” – również się zaśmiał. – Za dziesięć minut będziemy... Gdyby nie było mrozu, można by iść spacerem... Lubisz piesze spacerery?

– Tak, ale nie w szpilkach.

– Za to twoje nogi pięknie wyglądają w szpilkach.

Uśmiechnęła się, nie komentując tego komplementu.

Po kilku minutach byli na miejscu. Wjechali na podziemny parking i weszli do restauracji. Nie rozbierając się, zajrzeli do sali.

– Jeśli ci się nie podoba, to możemy jechać dalej – stwierdził retorycznie.

– Nie, nie, popatrz, jest nawet sporo wolnych miejsc – odparła zadowolona.

– To dobrze, bo nie lubię tłoku.

Zdjęli w szatni wierzchnie okrycia i weszli na salę. Nim się zdecydowali, które miejsce zająć, podszedł do nich kelner i zaproponował pomoc.

Usiedli trochę na uboczu i zaczęli przeglądać jadłospis. Dość szybko się zdecydowali i zawołali kelnera, który natychmiast przyszedł i przyjął zamówienie. Orkiestra właśnie zaczęła grać, więc poszli tańczyć.

Początkowo grali szybki taniec, który przypadł im do gustu, ponieważ mogli się wyskakać. Później grali tango, przy którym Julian przytulił Ewę dość mocno, a ona nie protestowała. Tańczyli jakiś czas w milczeniu.

– Wiesz, cieszę się, że tu przyjechaliśmy – powiedział po chwili. – I cieszę się, że jestem z tobą – dodał, patrząc jej w oczy.

– Ja też – odparła i przycisnęła się do niego nieco mocniej, wywołując w nim burzę hormonów. – Podoba mi się tu – powiedziała, kiedy wrócili do stolika. – Alhambry to nie przypomina, ale zadbali, żeby było trochę arabskich akcentów.

– Widzę, że znasz się na tym.

– To żadne znanstwo. Po prostu przy okazji nauki hiszpańskiego liznęłam trochę tych tematów... Później, żeby doszlifować język, byłam pół roku w Walencji, ale to wszystko mało, żeby uchodzić za znawcę.

– Przepraszam cię, a jaką szkołę kończyłaś?

– Europejską Wyższą Szkołę Biznesu i Technik Marketingowych.

– Widzę, że masz bardzo dobre wykształcenie... – powiedział z uznaniem.

Marnujesz się jako sekretarka – dodał.

– Wiesz, od czegoś trzeba zacząć...

– W takim razie rozumiem, że to twoja pierwsza praca?

– Tak. Jestem w firmie dopiero pół roku – odpowiedziała i uśmiechnęła się.

– Dopiero albo aż- – dodała i wypła łyk wina.

– Jestem pod wrażeniem. Jesteś nie tylko piękna, ale i mądra – powiedział, patrząc na jej kształtny biust, wspaniale rysujący się pod dopasowaną bluzką.

– Myślę, że nie należysz do tych mężczyzn, którzy uważają, że ładna kobieta, to głupia kobieta...

– Myślę, że tylko głupi mężczyzna może tak twierdzić.

Chciał jeszcze dodać, że od pierwszego spotkania jest zafascynowany jej urodą, ale uznał, że przyjdzie na to czas, gdyż nie należy od razu wykorzystywać

całego arsenału.

– A znasz jeszcze jakiś język?

– No, oczywiście angielski i niemiecki... – powiedziała takim tonem, jakby chciała dać do zrozumienia, że to najzupełniej oczywiste. – I trochę włoski – dodała po krótkim namyśle.

– No proszę, to wielka przyjemność poznać taką kobietę.

– Już tak nie mów. To jest dla mnie krępujące... Biorąc pod uwagę twoje stanowisko i twój wiek, wypadam bardzo nędznie.

Julian w tej chwili zauważył, że rozmówczyni rzeczywiście jest trochę zawstydzona.

– Przepraszam cię, jeżeli przeholowałem... Może to było nieudolne, ale szczerze. Naprawdę, wierz mi.

Julian zaczął się obawiać, że zadając tyle pytań, upoważnił ją do tego samego, a nie bardzo wiedział, co powinien mówić w takiej sytuacji. Zdawał sobie przecież sprawę, że taka pozycja w jego wieku jest co najmniej dziwna.

Na szczęście orkiestra przyszła mu z pomocą, zaczynając grać.

– Idziemy? – krótko zapytał.

– Po to tu przyszliśmy.

Tę serię zaczęli znów od szybkiego tańca.

Julian kilkadziesiąt lat temu, jako Jurski, tańczył bardzo dobrze, zarówno tańce salonowe, jak i dyskotekowe. Później, to znaczy kilkanaście lat temu, przestał w ogóle tańczyć. Teraz stopniowo się rozkręcał. Nie znał jednak w ogóle najnowszych dyskotekowych wynalazków.

Ewa objawiała bardzo duży temperament, była zwinna i poruszała się z lekkością zawodowej tancerki.

Później zaczęli grać nastrojowe tango. Ewa znów mocno przytuliła się do niego, wystawiając jego libido na ciężką próbę.

– Chyba lubisz tańczyć, to widać – powiedział, patrząc jej w oczy.

Uniosła twarz do góry i chwilę tańczyli mocno przytuleni, patrząc sobie w oczy. Julian trochę schylił głowę i ich usta znalazły się naprzeciw siebie w odległości paru centymetrów. Trwało to kilka, może kilkanaście sekund. Później ich usta złączyły się w delikatnym pocałunku, który stawał się coraz śmielszy, mocniejszy. Tańczyli, całując się coraz namiętniej.

– Dajmy spokój – powiedziała po dość długim czasie. – Nikt tu tak nie tańczy – dodała trochę zawstydzona.

– Przepraszam cię, postaram się poprawić – natychmiast posłusznie zareagował, udając nieco zawstydzonego.

Pół godziny przed północą coś zakręciło go w nosie. Sięgnął do kieszeni po chusteczkę i trafił na piłeczkę do ping-ponga, którą w ciągu dnia dostał od Ewy.

„Swoją drogą, to ciekawe...” – pomyślał, ściskając ją w dłoni.

Przypomniała mu się babcia Jurska.

Gdy był młodym chłopcem, umarł jego dziadek, a babcia po bez mała pięćdziesięciu latach małżeństwa nagle została sama. Dokładnie pamięta jej opowiadania. Mówiła, że nieraz czuje obecność dziadka. Inni się z niej naśmiewali, a ona się tym nie przejmowała i uparcie powtarzała, że dziadek daje jej różne znaki i stara się jej pomagać. Często też opowiadała, że kiedyś przechodziła zamyślona przez ulicę i nie zauważyła jadącego samochodu. Twierdziła, iż wyraźnie słyszała, jak dziadek nagle tuż koło niej zawołał: „Uważaj”, ratując jej tym życie...

Znów pomyślał o piłeczce i przyszło mu do głowy, że to Jurski gra nią z Julianem, a stawką jest Małgorzata...

– O czym tak myślisz? – Ewa wyrwała go z zadumy.

Zanim się do niej odezwał, zdążył jeszcze pomyśleć, że to Jurski podsunął mu Ewę.

– Myślę, że już północ, a ja na siódmą rano muszę być w Łodzi – powiedział bez namysłu.

– To chodź, jeszcze raz zatańczymy – powiedziała, biorąc go za rękę.

– Chodź – odpowiedział, nadal myśląc o Jurskim.

Poszli w kierunku środka parkietu, trzymając się za ręce. Zaczęli tańczyć.

– Dziękuję ci za ten wieczór – powiedziała, patrząc mu w oczy, objęła go za szyję i zaczęła całować.

Tym razem Juliana libido schowało się głęboko i nie dawało znaku życia.

Tuż po północy byli już pod jej domem.

– Może wejdziesz jednak na chwilę? – zapytała, wysiadając.

– Tak, odprowadzę cię na górę, ale nie będę wchodzić. Nie gniewaj się, ale chciałbym się choć trochę wyspać, zanim wyjadę.

Weszli na piętro, Ewa otworzyła drzwi i zapaliła światło w przedpokoju.

– Dziękuję ci za ten piękny wieczór – powiedział i wyciągnął obie dłonie w jej kierunku, chcąc dodać: – Cóż, trzeba się rozstać.

Nie zdołał jednak tego powiedzieć, ponieważ ona odczytała ten gest jako chęć objęcia jej i padła w jego ramiona.

Znów zaczęli się całować, lecz on nie angażował się już tak jak przedtem.

W czasie jazdy do Łodzi przypomniał mu się pobyt w Jokohamie i postanowienie, że jeśli uda mu się przeżyć, to musi się stać lepszym człowiekiem. Przypomniała mu się też babcia i jej opowiadania o wpływie dziadka na jej życie. Wiedział, że u babci to wszystko rozgrywało się w sferze psychicznej.

„U mnie to jest bardziej skomplikowane” – pomyślał. – „Przecież ja fizycznie składałam się z dwojga ludzi. Jurski był zły i chciwy, a Julian stanowił jego odwrotność. Ja postanowiłam być Julianem, a on się na to nie zgadza i stara się

wpływać na to, co robię...”.

Wybrał się prosto na uczelnię i wziął udział w czterech wykładach. Później pojechał do domu i do Małgorzaty.

Rozmawiając z nią, położył swoją dłoń przy jej dłoni i porównał wielkość palców. Zapamiętał, że jego mały palec ma podobną grubość do jej palca serdecznego.

Nic jej nie mówiąc, pojechał zaraz do centrum, znalazł dobry sklep jubilerski i kupił piękny pierścionek z brylantem.

„Dawno powinienem to zrobić” – myślał, znów jadąc do niej.

– Chciałbym cię dziś zaprosić do restauracji na kolację – powiedział bez żadnych wstępów.

– Tak nagle? Czy jest jakaś okazja, o której nie wiem? – zapytała trochę zdziwiona.

– Ty jesteś moją okazją.

– Czuję, że coś knujesz – powiedziała szeptem, mimo że prócz nich nikogo w domu nie było, z całej siły go objęła i zaczęła całować. – Jaka to restauracja? Jak mam się ubrać? – zapytała i znów zaczęła go całować, wzbudzając w nim falę napiętności.

– Dobra restauracja, więc dobrze się ubierz... – powiedział. – I seksownie – dodał.

– Ale ja nie mam takich super eleganckich strojów. Nigdy nie przywiązywałam do tego wagi. Poza tym nie chciałam naciągać mamy – powiedziała trochę zawstydzona i zmartwiona.

– Włóż tę garsonkę, którą miałaś na sobie w święta.

– Ale jej nie można nazwać eleganckim strojem, bo spódnica jest za kusa.

– To nic, włóż. Może nie jest elegancka, ale pięknie ci w niej. Wtedy nie mogłem oderwać od ciebie oczu.

– Dobrze, ale ja nie wiem, gdzie ty chcesz iść. W każdym razie pamiętaj, że w eleganckiej restauracji źle bym się czuła – powiedziała lekko zaniepokojona.

– Wobec tego pójdziemy do średnio eleganckiej... Czy w takim razie mogę przyjechać po ciebie... powiedzmy wpół do ósmej?

– Boże, Julianie, co ty knujesz? – zapytała jeszcze bardziej zaniepokojona.

– Małgoniu, nie denerwuj się, ja nic nie knuję – starał się ją uspokoić. – Po prostu doszedłem do wniosku, że my w ogóle nigdzie nie chodzimy... Przecież jesteśmy młodzi. Powinniśmy bywać to tu, to tam... Więc możemy się umówić na wpół do ósmej?

– Julu. Czy ja mogłabym ci czegokolwiek odmówić?

Jeszcze raz pojechał do centrum i zamówił stolik w średniej klasy restauracji. Poprosił również, żeby na stoliku stały wazonie czerwone róże.

Gdy wrócił do domu, została mu niecała godzina do spotkania.

Ogolił się, włożył czystą koszulę i był gotów.

– Gdzie ty się tak szykujesz? – zapytała mama, podejrzewając, że gdzieś się wybiera.

– Zaprosiłem Małgorzatę do restauracji i chcę się jej tam oświadczyć – oznajmił z niezwykłą powagą i dumą.

– Juluś! Ty sobie nie wyobrażasz, jak ja się cieszę! – zawołała mama. – To wyjątkowo dobra dziewczyna... – dodała. – I piękna.

Podeszła do niego, objęła go z uśmiechem, pocałowała w oba policzki i powiedziała:

– Szkoda, że nie ma taty i Ani, też by się ucieszyli. Życzę ci powodzenia. Życzę wam obojgu wszystkiego najlepszego. Jedź, kochany, jedź – mówiła z wielką radością. – A czy ona o tym wie?

– Nie mam, to niespodzianka.

– Ale czy ty masz dla niej jakiś pierścionek? – zapytała z troską w głosie.

– Tak mam, z brylantem.

Wyjął z kieszeni małą etui, otworzył je i pokazał zawartość.

– Och, jaki piękny – zawołała, zacierając ręce z radości. – Szkoda, że ich nie ma... Ale jedź, jedź, nie spóźnij się.

Wychodził z domu, ciesząc się, że sprawił mamie taką radość.

Zajechał pod dom Małgorzaty, wbiegł na ganek i chciał zadzwonić, ale posłyszał na schodach stukanie obcasów i domyślił się, że to ona już schodzi.

Rzeczywiście, za małą chwilę drzwi się otworzyły i ukazała się w nich najpiękniejsza kobieta świata. Miała na sobie pistacjową garsonkę, bluzkę z cienkiej dzianiny koloru écru i brązowe rajstopy.

„Ewa jej nie dorównuje” – pomyślał ze wstydem, przez który przebijała jednak duma i wielka radość.

Patrzył chwilę urzeczony, po czym mocno objął Małgorzatę i zaczął ją całować.

– Moja piękna, moja kochana – szeptał do niej.

Zrobił krok do tyłu i jeszcze raz obrzucił ją spojrzeniem.

– Mówiłem, że ta garsonka jest piękna – powiedział z uznaniem.

– No tak, ale za krótka.

– Pięknie ci w niej. Jesteś taka, że aż dech zapiera.

– Może piękna, ale nie elegancka – stwierdziła z uporem. – To nie to samo.

– Na pewno masz rację, ale w naszym wieku takie rzeczy uchodzą... A jak już będziemy starsi i bogatsi, to będziesz miała wszystko... I to, co piękne, i to, co eleganckie – powiedział z radością. – I trochę więcej – dodał, żeby ją rozbawić, i pociągnął ją za rękę w stronę furty.

– Będziemy, będziemy. Ty to już jesteś. Gorzej ze mną... Pięć albo sześć lat studiów, później specjalizacja... Kiedy to będzie? – narzekała, wsiadając do

samochodu.

– Małgochna, przecież nam się nie śpieszy, jeszcze całe życie przed nami.

– Nam może i nie, ale tobie czasem się bardzo śpieszy.

– Cha, cha. Do ciebie.

Podjechali pod restaurację.

– No proszę. „U Schimmela” Dobrze, że do „Edenu” mnie nie zawiozłeś.

– Cha, cha. Boisz się „Edenu”? A wiesz, kto to jest Schimmel?

– To był jeden z łódzkich fabrykantów, a restaurację to pewnie jakiś jego potomek założył i tak nazwał...

Zaparkowali auto i weszli.

Zostawili jesionki szatniarzowi i udali się do sali, na końcu której było podium dla orkiestry. Przed podium była duża powierzchnia wolnego parkietu, przeznaczonego do tańca, przed nią na środku trochę stolików. Był też rząd czteroosobowych stolików pod ścianą. Stoliki były odgródzone od siebie lekkimi ściankami, co stwarzało intymną atmosferę. Na jednym z nich stał w kryształowym wazonie bukiet pięknych czerwonych róż i dwa nakrycia.

W tym momencie podszedł do nich kelner i zaprosił właśnie do tego stolika.

– Te róże to dla mnie? – zapytała zachwycona, gdy tylko usiedli

– Nikogo więcej tu nie widzę – powiedział, rozglądając się, żeby było śmieszniej.

– Julianie, jak ja cię kocham.

– Ja ciebie też. Zaprosiłem cię tu, żeby poprosić cię o rękę.

To mówiąc, położył na dłoni etui, które wcześniej wyjął z kieszeni, otworzył je i pokazał jego zawartość.

– Oj, jaki on piękny, taki delikatny, taki... – zabrakło jej słów. – Daj, muszę go przymierzyć.

Delikatnie wzięła etui, wyjęła pierścionek i wsunęła na palec. Pasował jak ulał, jakby był dla niej zrobiony.

– Och, mój kochany, mój kochany – powiedziała rozczulona i zaczęła go całować.

– Ale ja bym chciał wiedzieć, czy moje oświadczyzny zostały przyjęte? – powiedział szeptem, dotykając ustami do jej ucha.

– Juluś, kochany, przecież my już dawno przyrzekliśmy sobie małżeństwo... Chyba nie myślisz, że zmieniłam zdanie.

– Nie myślę, przecież żartowałem. Chodziło mi tylko o to, żeby to jeszcze raz usłyszeć... A tę uroczystość wymyśliłem po to, żeby to jakoś uświetnić i utrwalić.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale właśnie podszedł kelner i przyniósł kraby w grejpfrutach z ryżem kantońskim i białe wino.

– Ojej, ty to wcześniej zamówiłeś? – powiedziała zaraz po odejściu kelnera.

– Tak, a co? Nie lubisz? – zapytał trochę zakłopotany.
– Nie wiem, nie próbowałam... Jak spróbuję, to ci powiem, czy lubię.
– Właśnie tak myślałem, zamawiając jedzenie. Wiem przecież, że jesteś otwarta na nowości.

– To próbujemy? A później pójdziemy potańczyć? – zapytała, spoglądając na pierścionek. – Juluś, ja się na tym nie znam, ale ten kamień wygląda jak diament – powiedziała niepewnie.

– Tak, tak właśnie jest. Mam dla ciebie certyfikat. Chcesz go teraz czy później?

– Zobaczyć chciałabym teraz, ale ci go oddam, bo nie mam gdzie go trzymać.

– W takim razie muszę pójść do samochodu. Nie mam go w kieszeni, bo nie chciałem, żeby się pogniótł.

– Oj, to nie. Nie ma sensu. Nie wychodź.

Zaczęli jeść. Julian co chwilę spoglądał ukradkiem na Małgorzatę i podziwiał jej wspaniałą urodę, równocześnie nie mógł się nadziwić, że coś go tak opętało wczoraj z tą Ewą. „To ta piłeczka” – myślał. – „Skąd się tam wzięła? Obwiniam Jurskiego, ale to przecież nonsens... Jurski może mieć wpływ na mnie, ponieważ częściowo nim jestem... Ale piłeczka? Skąd się to bierze? Ewa jest bardzo ładna, ale Małgorzata i tak ładniejsza i na pewno jako człowiek wartościowsza... Poza tym Ewa jest za łatwa...”

Od kilku tygodni coraz bardziej zdawał sobie sprawę, że nie jest w stanie bez końca ukrywać faktu, iż jest posiadaczem ogromnego majątku Jurskiego. Bał się, że wcześniej czy później wywąchają to dziennikarze i sprawa stanie się głośna. Wtedy na pewno straciłby Małgorzatę. Postanowił dziś zrobić pierwszy krok w kierunku uregulowania tej niebezpiecznej sytuacji...

– Juluś, ocknij się, gdzie ty jesteś? – szepnęła mu do ucha. – Odezwij się.

– Wiesz, myślałem o pracy. Wziąłem na siebie straszny obowiązek – zaczął mówić z wyjątkową powagą. – Wczoraj poprosił mnie do siebie prezes Jurski. Dostałem awans... Od wczoraj jestem dyrektorem do spraw promocji i rozwoju. Dostałem bardzo dużą pensję, jak na mnie, ale też nowe obowiązki...

– Julianie, ja wiem, że ty jesteś bardzo zdolny i pracowity, ale nie masz doświadczenia i boję się, że to może się okazać ponad twoje możliwości.

– Dokładnie tak mu powiedziałem, a on wtedy opowiedział mi wszystko o swojej obecnej sytuacji. Pan Jurski jest ciężko chory. Ma bardzo rozległy nowotwór i bardzo złe rokowania. Jutro wyjeżdża do Jokohamy i ludzi się, że tam mu pomogą, ale wie, że szansa jest znikoma. Martwi się, że jak umrze, to jego majątek się zmarnuje, bo nie ma kto kierować firmą... Mówi, że zarząd nie mając nad sobą właściciela, będzie się kierować tylko swoim doraźnym interesem. Nie będzie patrzeć przyszłościowo.

– To on nie ma żony, dzieci, które nadzorowałyby to wszystko?

– Ma żonę alkoholicką i syna artystę malarza, któremu w głowie tylko hulanki, pijaństwa i awantury. Opowiadał, że parę lat temu zatrudnił go u siebie, żeby się przyuczył do prowadzenia firmy, ale naraził się tylko na pośmiewisko. Teraz robi reorganizację firmy i chce newralgiczne stanowiska obsadzić ludźmi, którzy nie są pazerni na zarobki, dokładnie tak się wyraził, pazerni, bo tylko do takich można mieć zaufanie...

– Myślę, że należy mu przyznać sto procent racji – wtrąciła Małgorzata.

– I w ramach tej reorganizacji przypadło mi stanowisko dyrektora.

– Nie wiem Juluś, czy się tym cieszyć, czy martwić – powiedziała po dłuższej chwili. – Ja myślę, że ty potrafisz się z tego wywiązać, ale ten mój pogląd jest tylko intuicyjny. Nie wiem, czy można polegać na mojej intuicji... Poza tym jeszcze masz studia, a doba ma tylko dwadzieścia cztery godziny... Domyślam się, że to mądry człowiek i wie, co robi, ale z drugiej strony mówi się, że tonący brzytwy się chwyta... Nie wiem, kochany... – dłuższą chwilę milczała, po czym dodała: – Myślę, że gdybyś nie spróbował, to zawsze byś żałował, że w najważniejszym momencie zabrakło ci odwagi.

– Moja kochana, jesteś moim życiem – powiedział, obejmując ją i całując. – Jesteś moim wspinałym życiem – powtórzył.

Milcząc, jedli kraba i popijali winem. Julian był zadowolony z biegu wydarzeń i postawy Małgorzaty.

Po tej rozmowie niestety prysnął gdzieś beztroski nastrój, jaki na początku im towarzyszył. Julian parę razy próbował ożywić atmosferę, lecz jego wysiłki przynosiły tylko chwilowy efekt. Sporo tańczyli, ale mało rozmawiali. W końcu uznał, że to był błąd, ponieważ należało się z tym jeszcze wstrzymać, chociaż do następnego dnia. Zrozumiał też, że Małgorzata jest zbyt poważna, aby móc się swobodnie bawić natychmiast po takiej rozmowie.

Koło jedenastej godziny zdecydowali się wracać na Rembielówkę.

Następnego dnia znów pojechał na wykłady, a wieczorem wrócił do Warszawy.

Bardzo go drażniła nagła, niepotrzebna i zbyt zażyła znajomość z Ewą Wróbel. Obawiał się jej dalszego przebiegu. Najprościej byłoby zaniechać dalszych kontaktów i zapomnieć o sprawie. Skoro jednak migdałiło się z nią, jakby to nazwała jego babcia, parę godzin na tańcach, to trudno teraz udawać, że się jej nie zna. Rozmyślał o tym i w końcu wpadł na pomysł, jak pozbyć się jej z firmy, nie robiąc jej przy tym krzywdy. Postanowił zatem znaleźć jej lepszą pracę poza firmą.

Żeby pragmatycznie podejść do sprawy, skontaktował się z naczelnikiem sekcji spraw personalnych i poprosił o teczkę akt osobowych pani Wróbel.

Niestety, okazało się, że Ewa ukończyła policealną szkołę sekretarek, a nie elitarne studia, którymi się chełpiła, i nie zna czterech języków, tylko dwa.

W pierwszej chwili zezłościł się, że on, stary wyga, spec od kamuflażu, dał się tak nabrać. Następnie pomyślał, że bardzo dobrze się stało, bo ta nauczka mu się należała. Na koniec przypomniał sobie, jak wiele wyrozumiałości i współczucia wykazała Małgorzata w stosunku do biednego chłopca udającego kulawego, żeby wyżebrać kilka drobnych monet.

Ostatecznie postanowił, uznać sprawę za niebyłą, zwłaszcza że miał na głowie ważniejsze problemy. W kwestii dostawy urządzeń z Francji wpływały coraz to nowe zagadki: Opiniodawca, który wydał referencje firmie Galois&Dellon, wydawał się niewiarygodny, nie było nawet pewności, czy taka firma rzeczywiście istnieje. Dworak podejrzewał nawet, że powstała ona tylko po to, żeby wydać tę opinię. W dodatku nie było pełnej możliwości sprawnego działania na terenie Francji. W tej sytuacji sprawa zaczynała się niebezpiecznie przeciągać i zachodziła obawa, że polskie władze mogą zrezygnować ze współpracy z koncernem. W rezultacie Julian zdecydował się postawić na jedną kartę i rozmawiać z Dyrektorem Wysockim.

Jeszcze tego samego dnia doszło do ich spotkania, w którym jako świadek uczestniczył dyrektor Dworak. Julian przedstawił dyrektorowi Wysockiemu wszystkie zarzuty.

Dyrektor był zaskoczony, że prezes tak dużo wie o tej sprawie. Julian to wykorzystał i powiedział:

– Panie dyrektorze, mam tyle materiału dotyczącego tych kręctw, że powinienem to wszystko przekazać do prokuratury. Ale mnie nie zależy, żeby pana pakować do kryminału. Wolę, żeby to sprawnie i szybko sfinalizować z pożytkiem dla naszego koncernu. Po prostu chodzi mi o to, żeby niedrogo kupić dobrej jakości urządzenia, omijając po drodze wszystkich cwaniaków, którzy chcą na tym zarobić w sposób nieuprawniony... Jeżeli pan się tego podejmuje, mogę zapomnieć o pańskim szwagrze, o firmie consultingowej, która wydaje sfingowane opinie, i o pana powiązaniach z tymi cwaniakami.

Dyrektor Wysocki drżącym głosem odpowiedział, iż bardzo żałuje, że dał się tak omotać tym kombinatorom, którzy w tak obrzydliwy sposób nadużyli jego łatwowierności, ale to było ostatni raz i jeżeli pan prezes da mu szansę rehabilitacji, to podejmuje się to wszystko w krótkim czasie naprawić.

– Jestem zachwycony, panie prezesie, jak pan umie trafnie ocenić sytuację i poprowadzić taką rozmowę – powiedział Dworak natychmiast po wyjściu Wysockiego. – To było arcydzieło w stylu prezesa Jurskiego – dodał, nim Julian zdążył coś powiedzieć.

– A ja jestem zachwycony, Dworak, jak ty potrafisz wciskać wazelinę – odpowiedział Julian ze szczerym uśmiechem.

– Rzeczywiście, może się trochę zagalopowałem... To z radości, że ta sprawa tak dobrze się skończyła. Już się bałem, że to wszystko upadnie – mówił ze szczerą radością.

– Oby tak było. Zobaczymy, co będzie dalej – powiedział Julian, kończąc rozmowę.

Zaraz po nowym roku dziekan zawołał go na rozmowę i poprosił, żeby zaproponował temat swojej pracy magisterskiej. Julian zareagował na to błyskawicznie, ponieważ od paru miesięcy miał upatrzony temat, który wymagał jedynie akceptacji uczelni. Natychmiast zgłosił go na piśmie. Jego tytuł brzmiał: „Strategie motywacyjne w przedsiębiorstwie”.

W ciągu tygodnia uzyskał akceptację i został wyznaczony opiekun, oczywiście, był nim sam dziekan. Zaraz po tym Julian wziął się energicznie do pisania. Od tej pory tylko co dwa tygodnie jeździł do Łodzi i dużo rzadziej bywał na wykładach.

Z Małgorzatą i tak widywali się prawie co tydzień, gdyż ona bardzo chętnie jeździła do Warszawy.

Przywoziła z sobą książki i całymi godzinami się uczyła, a on pisał pracę. Dla odprężenia szli do parku albo muzeum lub jeszcze gdzieś.

Kiedyś siedząc w fotelu z podkulonymi nogami, z książką w dłoniach, nagle przerwała naukę i powiedziała:

– Ty wiesz, jak ja lubię się tak uczyć, jak jesteśmy razem... Czasem myślę sobie, że to najszczęśliwszy okres w moim życiu.

Julian wtedy wstał od komputera, podszedł do niej, ukucnął, objął ją w pól i przycisnął policzek do jej piersi. Ona objęła jego głowę, oparła brodę o jego gęstą ciemną czuprynę i tak trwali w bezruchu, dopóki Julianowi nie zdrętwiały nogi.

Wczesną wiosną rozpoczęła się kampania reklamowa koncernu JURSKI GROUP, która zgodnie z planem w połowie lata miała przejść w kampanię wyborczą kandydatów na posłów. Równocześnie przy kilku przedsiębiorstwach należących do koncernu zaczęto porządkować tereny, na których miała się rozpocząć budowa osiedli z tanimi, a nawet darmowymi mieszkaniami dla pracowników.

Zostały również ufundowane stypendia dla najzdolniejszych dzieci, których rodzice pracowali w zakładach koncernu.

Prędko się okazało, że pomysł z kampanią był słuszny, gdyż te działania pociągały za sobą dodatkową darmową reklamę robioną przez dziennikarzy, którzy za wszelką cenę usiłowali dociec, kto za tym stoi i co się za tym kryje. Robili

wywiady z rodzicami, a nawet z dziećmi, które otrzymały stypendia, wypytywali sąsiadów. Jeździli po placach budów i rozmawiali z robotnikami. Później wyniki badań omawiali na łamach swoich czasopism lub w telewizji.

Julian uznał, że najwyższy czas wtajemniczyć dyrektora Dworaka w swoje najnowsze plany. Zadzwoił do niego i poprosił, żeby przyszedł.

– Dzień dobry, panie prezesie. Cieszę się, że mogę się na coś przydać – powiedział zaraz po przekroczeniu progu, jak zawsze z przesadną radością

– E, nie wierzę panu – odpowiedział Julian z taką samą radością.

– Dlaczego, panie prezesie?

– Dlatego, że na ogół wizyty u mnie wiążą się z dodatkową robotą.

– To dobrze. Panie prezesie. Przecież kiedyś ktoś powiedział, że praca uszlachetnia.

– Zaraz ja pana uszlachetnię – powiedział Julian ze śmiechem. – Chcę, żeby pan startował na posła do parlamentu.

– Na posła? – zapytał falsetem.

– Tak, obaj będziemy posłami.

– Panie prezesie, w takim towarzystwie jak pan to nawet i do piekła bym poszedł.

– No, no, Dworak. To może być gorsze niż piekło.

– Ma pan rację, panie prezesie, więc po co to nam?

– Co, Dworak, już się łamiesz?

– Nie łamię się, ale po co nam to?

– Dworak, a co ci szkodzi brać dwie pensje? Jedną tu, drugą tam.

– Tak, tylko, że ja nie będę miał czasu wydawać tych pieniędzy.

– A po co wydawać? Będziesz odkładać na gorsze czasy. Więc, do diabła, chcesz być tym posłem czy nie?

– Panie prezesie, przecież ja już powiedziałem, że wszędzie z panem pójde... Myśli pan, panie prezesie, że uda nam się tam załatwić coś dla koncernu?

– Dworak, nie można całe życie myśleć o zyskach... – Julian powiedział to takim tonem, że jego rozmówca zaczął się zastanawiać, czy to żarty, czy poważne stwierdzenie. – Nie pomyślał pan nigdy, że warto by podnieść trochę morale w tej świątyni władzy?

– Cha! Cha! Cha! – zaśmiał się Dworak, uważając, że to jednak był żart. – Ich naprawić? Żeby ich czegoś nauczyć, to trzeba by im podpalać samochody... I nie wiem, czy to by pomogło.

– Widzę, że ma pan radykalne poglądy...

– Bo uważam, że to za sto lat się nie zmieni... Gdyby nawet wprowadzić do szkół lekcje etyki, to i tak nic to nie da, bo uczniowie uważaliby nauczyciela tego

przedmiotu, za jajogłowego idealistę i nie wzorowali by się na nim, tylko na swoich rodzicach... Przecież to przechodzi z pokolenia na pokolenie... Zwłaszcza że tam są ludzie z różnych środowisk. Nie pamięta pan, jak trzydzieści lat temu dostawali się do parlamentu ci, którzy wcześniej pod Peweksem handlowali dolarami... Później cała ta hołota zakładała sieci kantorów, a nawet banki, i nagle stali się czcigodnymi obywatelami... – powiedział z pogardą. – A pamięta pan, jak przestępca kryminalny, który zdefraudował kilkanaście miliardów złotych, był senatorem? Do tej pory nazywa się ich oligarchią... – wyrzucił z siebie z goryczą i dodał: – A to przecież zwykła plutokracja...

– Zgadza się, ale przecież nie można zamykać oczu i udawać, że się tego nie widzi.

– Panie prezesie, ja nie mam zwyczaju chować głowy w piasek i zawsze poprę to, co jest słuszne... Może pan na mnie liczyć – powiedział z determinacją.

– No i o to chodzi, Dworak. Będziemy kolegami z ławy parlamentarnej. Ja będę zgłaszać różne wnioski, a ty będziesz mnie popierać... A innym razem odwrotnie, ty będziesz zgłaszać, a ja będę je popierać.

– A, to teraz rozumiem, po co nasz koncern tak się reklamuje... To takie preludium przed naszą kampanią...

– Ty jesteś bystry, Dworak, i masz charakter. Dlatego na ciebie stawiam.

– Pan prezes to się na pewno dostanie... Ale ja to nie wiem... – powiedział z powątpiewaniem.

– Będziemy się tak starać, żebyśmy się obaj dostali. Trzeba być dobrej myśli.

– Pewnie, że trzeba, ja tylko tak mówię, ale pan wie, że ja zawsze jestem optymistą.

W połowie czerwca, prawie dokładnie rok po wyjściu ze szpitala, Julian obronił swoją pracę magisterską.

Z tej okazji urządził u rodziców małą uroczystość, na którą przyszła również Małgorzata. Ponieważ byli już oficjalnie parą narzeczonych, zaprosił również jej matkę.

Była jeszcze jedna okazja do zorganizowania uroczystości, gdyż Ania właśnie zdała maturę z bardzo dobrymi wynikami i szykowała się do egzaminów na uniwersytet, na psychologię.

Początkowo siedzieli w salonie przy okrągłym stole i jedli obiad, rozmawiając dosłownie o wszystkim. Julian widząc, że atmosfera, mimo starań jego i mamy, nie była dość swobodna, niespodzianie zaproponował, żeby przenieść się z deserem do altany w ogrodzie. Wszyscy to zaakceptowali i wkrótce okazało się, że jego pomysł był dobry.

Siedzieli tam parę godzin, jedząc zrobione przez mamę przysmaki i pijąc

różne gatunki win, które Julian starannie wybrał w renomowanym sklepie. Oczywiście, w miarę ubywania trunków wzrastała żywiołowość rozmów.

W kulminacyjnym momencie przyjęcia pani Mardok zaproponowała rodzicom Juliana, żeby mówić sobie po imieniu.

Robiło się już ciemno, gdy zadowoleni rozeszli się do domów.

Jeszcze przed wakacjami wybrał się do rektora Wawrzyniaka, żeby porozmawiać z nim na temat zrobienia doktoratu. Szedł tam z mieszanymi uczuciami, rektor bowiem dwukrotnie deklarował chęć pomocy, ale nigdy nie określił jej zakresu ani czego ma dotyczyć.

– Jednak przyszedłeś do starego kolegi – powiedział i z radością w głosie wyciągnął dłoń do Juliana. – Martwiłem się, że już cię nie zobaczę.

– Zobaczymy się nie raz, ponieważ chciałbym jeszcze zrobić doktorat. Zresztą i bez tego zawsze chętnie się z tobą spotkam. Myślałem nawet żeby cię zaprosić do nas na kilka dni... Wszystko pokazać, powspominać.

– Może i skorzystam. Mnie, człowiekowi samotnemu, tęskno do ludzi. Chętnie zobaczę, jak żyjesz. Ale po co ci nasz doktorat, skoro masz doktorat z Oksfordu...

– Tak, ale przecież wiesz, że tamten jest na moje rodowe nazwisko...

– To nie możesz go jakoś przepisać?

– Gdyby to było możliwe, nie zawracałbym ci głowy... Łatwiej dostać rozwód od papieża, niż zmienić nazwisko na tamtym dokumencie.

– Cha, cha! No widzisz. I po co ci to było? – zapytał ze śmiechem. – Żartuję, Michale. Uważam, że dla samego wyglądu warto było – dodał.

– Tak to jest w życiu. Jak na jedno lepiej, to na drugie gorzej, ale nie mów na mnie „Michał”. Ja już się od tego odzwyczaiłem... Przecież wiesz, że teraz jestem Julian Podhorecki.

– Ja ci pomogę, ale pod jednym warunkiem... Że przywieziesz mi ten swój doktorat.

– Dobrze, ale po co ci on?

– A czy ja cię pytam, po co tobie nasz doktorat?

Zapanowała dość długa cisza. Julian zastanawiał się tymczasem, co powinien na to odpowiedzieć.

– A czy masz jakąś propozycję tematu tej pracy? – dodał rektor.

– Tak, nawet kiedyś ci wspominałem: Rozwarstwienie materialne społeczeństwa jako determinant możliwości wystąpienia kryzysu gospodarczego.

– Śliski temat, mój drogi... Dużo wrogów można sobie tym przysporzyć – powiedział tonem wyroczni. – Oczywiście, wśród oligarchii finansowej... Obwołają cię heretykiem – dodał po krótkim namyśle.

– Większość z nich raczej nazwałbym plutokracją, a nie oligarchią. Poza tym uważam, że wcześniej czy później ktoś musi podjąć ten temat – powiedział ze złością.

– Ale dlaczego właśnie ty? Będiesz występować przeciwko sobie? Przyznaję, że nie rozumiem twoich intencji.

– Po prostu uważam, że to słuszne.

– To dobry argument – rektor wypowiedział to zdanie, kładąc akcent na słowo „dobry”. – Pisz więc podanie.

– Dziękuję. Jutro przywiozę.

– Oł, tak szybko?

– Szkoda czasu – odpowiedział stanowczo.

– Cha, cha, Śpieszy ci się zupełnie jak tym młodym... Przywieź przy okazji ten swój oksfordzki doktorat.

– Jutro nie dam rady, ponieważ mam go w Warszawie, a nie opłaci mi się na jedną noc tam jechać.

– To pojedź na dwie – zaśmiał się.

– Dobrze, pojedę i przyjadę z podaniem i z doktoratem.

Nie chciał się z nim targować, obawiając się, żeby się nie wycofał.

„To dziwak” – myślał po wyjściu. – „Po co mu ten doktorat? Chyba mi nie wywinie jakiegoś numeru... W końcu Jurski przecież mógł mi go zostawić” – pocieszył się. – „To żaden dowód przeciwko mnie”.

Ostatecznie postanowił pojechać do Warszawy, wrócić do Łodzi dopiero na weekend i pojechać do Wawrzyniaka w poniedziałek.

Pojechał na Rembielówkę, żeby pożegnać się z rodzicami i z Małgorzatą.

Ania akurat szykowała się do wyjazdu na wakacje. Widząc, jak się pakuje, wpadł mu do głowy pomysł, żeby dać siostrze trochę pieniędzy. Wyjął z portfela tysiąc euro i wyciągnął do niej, mówiąc:

– Weź, siostrzyczko, na pewno ci się przyda.

Ania odruchowo wyciągnęła dłoń, ale cofnęła ją i podejrzliwie zapytała:

– Skąd u ciebie taka hojność, braciszku?

– Hojność? Aniu, mnie jest wstyd, że dopiero teraz na to wpadłem... Proszę cię, weź i nie rób mi przykrości – szczerze odpowiedział.

– Weź. Skoro ci brat daje, to widać stać go na to – powiedziała mama, patrząc z wdzięcznością na syna.

Ania wzięła pieniądze, mocno objęła Juliana, równie mocno pocałowała w oba policzki i w usta, następnie położyła brodę na jego ramieniu i na chwilę znieruchomiała.

Pocałunki były wprawdzie trochę zbyt intensywne, żeby je nazwać siostrzanymi, ale nie wywołały już w Julianie burzy hormonów jak przed rokiem.

Postali chwilę przytuleni, po czym Ania zrobiła krok do tyłu i zacierając

dłonie, z radością powiedziała:

– No. Ale będę miała wakacje.

Julianowi znów się zrobiło wstyd, ponieważ dopiero teraz do niego dotarło, że rodzicom powodzi się nie najlepiej.

Pożegnał się z nimi i pojechał do Małgorzaty.

Od paru tygodni zamierzał wtajemniczyć Małgorzatę w sprawę Jurskiego w znacznie większym stopniu niż dotychczas. Oczywiście, nie we wszystko, ale w prawie wszystko. Uważał bowiem, że jest to konieczne, ponieważ jak zostanie kandydatem na posła, to prasa zacznie się interesować jego życiorysem. Mogą coś wywąchać, zaczną wydziwiać, opisywać jego status finansowy i dodawać do tego rozmaite komentarze.

Trochę obawiał się tej rozmowy, ponieważ wiedział, że to może zaważyć na całym ich dalszym życiu. Równocześnie rozumiał, że to ostatni moment, w którym ma szansę sam powiedzieć jej tyle, ile trzeba, i że bardzo źle by się stało, gdyby dowiedziała się o tym z telewizji albo radia.

Ponieważ była jeszcze dość wczesna pora, zdecydował się to zrobić dziś, zwłaszcza że sytuacja była sprzyjająca, gdyż mamy nie było w domu.

– Muszę ci opowiedzieć o pewnych ważnych sprawach dotyczących pana Jurskiego -powiedział krótko po przyjściu.

Małgorzata nieco zaniepokojona usiadła obok niego.

– Boję się, ale mów.

– Z panem Jurskim jest źle. W Japonii mu nie pomogli i przysły ostatnie nadzieje. Postanowił wyjechać do Kolumbii... Mówi, że był tam trochę jako młody człowiek, zakochał się w tym kraju i w tamtejszych ludziach i chciałby tam doczekać końca.

– Przykre – powiedziała ze smutkiem.

– Tak. Mówił, że całe życie sobie obiecywał, że jak zdobędzie dużo pieniędzy, to przeznaczy je na cele społeczne... Tymczasem wszystko potoczyło się tak prędko, że już nie zdąży...

– Ale przecież on już zaczął... Słyszałam w radiu, że ufundował stypendia dla zdolnych dzieci i chce pomagać ludziom...

– Tak, ale to tylko bardzo mała część tego, co planował... Chciał jak najwięcej pomagać ludziom, ale zamierzał też zająć się polityką, żeby móc i w ten sposób wpływać na to, co się dzieje. Niestety, już nie jest w stanie...

– Nie dziwię się, bo to dla młodych. Trzeba tam zdrowia i energii – powiedziała z żalem. – Ale czy on nie ma nikogo, kto by to kontynuował?

– On mnie wyznaczył...

– Ojej, dlaczego akurat ciebie? – zapytała z lękiem.

– Dziwne, ale on twierdzi, że jestem jedynym człowiekiem, któremu ufa.

– To mnie przeraża...

– Mnie też, ale czy w takiej sytuacji można odmówić?

– Wiesz, Julianie? Myślę, że za wcześnie staliśmy się dorośli – powiedziała z powagą.

Oboje jakiś czas milczeli. Po paru minutach Małgorzata odezwała się pierwsza:

– I jak to będzie?

– Wszystko przekazał mi notarialnie i zrobił mnie wykonawcą swojego testamentu.

– Czyżby zamierzał zostać polskim Noblem?

Zamilkła na dość długo. Julian także przestał się odzywać, żeby dać jej czas na oswojenie się z tym.

– Do Nobla nie można go porównać – odezwał się po paru minutach – ponieważ Nobel przed śmiercią określił szczegółowe zasady, natomiast pan Jurski dał mi jedynie ustne wytyczne.

– Dobrze, że skończyłeś studia. Będziesz mieć więcej czasu.

– Nie bardzo. Chcę robić doktorat... Już nawet rozmawiałem z rektorem – powiedział półgłosem.

– Julianie, mój kochany, ty się zamęczysz... Boję się, że staniesz się jednym z tych, którzy żyją tylko pracą i nie mają nigdy czasu dla rodziny i przyjaciół... – powiedziała z żalem i dodała: – Co ja mówię... Przecież tacy ludzie nie mają przyjaciół.

Julian mocno ją objął i znieruchomiał na dość długą chwilę, po czym powiedział:

– Ja cię za bardzo kocham, żeby cię zaniedbywać. Nawet nie wiesz, ile mam uznania dla ciebie i jak dużo ci zawdzięczam. Przecież cały czas od ciebie się uczę skromności, dobroci i miłości... Bez ciebie byłbym dużo gorszy.

Długi czas siedzieli bez ruchu we wzajemnym uścisku. W końcu Julian nieśmiało, szeptem powiedział:

– Powinienem jechać.

– Wiem. Zastanawiam się, czy nie pojechać z tobą...?

– Bardzo bym się cieszył, ale czy to by nie kolidowało z twoją nauką?

– Właśnie nie. Większość egzaminów już zdałam. Zostały mi jeszcze tylko trzy, które mam w przyszłym tygodniu, a uczyć mogę się tak samo u ciebie, jak i tutaj.

– To wspaniale! Zadzwoń do mamy, pakuj ciuchy i jedziemy – zawołał z radością.

– Zadzwonię z drogi – powiedziała, wstając.

Wyjęła z szafy niewielką torbę i zaczęła się pakować.

W pierwszej chwili chciał jej doradzić, żeby wzięła większą torbę i więcej ubrań, to może gdzieś by się wybrali, ale natychmiast pomyślał, że lepiej nie.

W ten sposób będzie mieć okazję coś jej kupić, zwłaszcza że tak naprawdę Małgorzata ma bardzo mało ubrań, a eleganckich w ogóle nie ma.

Siedział na kanapie i z uśmiechem patrzył na jej krzątaninę. Z lubością obserwował jej każdy ruch i cieszył się, że najbliższe dni znów będą razem.

Z tego wynika, że jedną nogą jesteś na drugim roku... – powiedział Julian, gdy już wyjeżdżali z Łodzi.

– Chyba tak – odparła Małgosia. – Nawet gdybym czegoś nie zdała, to mogę jeszcze po wakacjach, ale myślę, że do tego nie dojdzie.

– Dobrze by było, gdybyś nie musiała się uczyć przez wakacje.

– I tak muszę... Zarezerwowałam sobie miejsce na miesięcznym obozie lingwistycznym, właśnie chcę to z tobą uzgodnić.

– No widzisz, zawsze mówiłem, że jesteś zdolna bestia... – powiedział z dumą. – I pracowita – dodał.

– Też bym chciała tak jak ty, dwa lata w jeden rok.

– Czy na medycynie to w ogóle jest możliwe? To chyba za ciężkie studia, za dużo materiału? – powątpiewał.

– Chyba, ale pomarzyć zawsze można...

– Pewnie, że można, ale pamiętam, jak mówiłaś, że jesteśmy młodzi i nie musimy się śpieszyć, ponieważ mamy przed sobą wiele lat.

– Cha! Cha! – głośno się zaśmiała. – Julu, to nie ja tak mówiłam, tylko ty sam... I to jest dowód, że bierzesz sobie na głowę za dużo spraw.

Julian zamilkł i usiłował sobie przypomnieć, jak to było naprawdę. W końcu trochę zaczęło mu świtać, ale nie był niczego pewien, więc uśmiechnął się i powiedział:

– Tak, chyba masz rację, ale nie pamiętam, w jakiej to było sytuacji...

– To było parę miesięcy temu, jak wyjeżdżaliśmy na kolację do restauracji...

Kiedy to mówiła, na jej twarzy pojawił się radosny uśmiech. Chwilę milczała i dodała:

– Wtedy dostałam od ciebie ten piękny pierścionek... Teraz już wiesz?

– Wiem, ale dlaczego go nie nosisz?

– Bo on jest za elegancki, żeby go nosić na co dzień.

– Oj, no wiesz? Ta twoja skromność jest... – chciał powiedzieć, że jest śmieszna, ale pomyślał, że to nieodpowiednie określenie. – Jest przesadna – dokończył.

– Jeśli tak uważasz, to będę go nosić, ale wiedz, że to dla mnie stres... Boję się, że go zgubię albo że mi oczko wyleci...

– Małgosiu kochana, noś bez stresu, jak się coś stanie, to nic takiego. Kupi się drugi.

– Drugi, drugi. To już nie będzie zaręczynowy...

– Ach, ty moja kochana. Dobrze, to nie noś go na co dzień, nie bierz go na obóz, ale noś, kiedy jedziesz ze mną do Warszawy i przy większych okazjach.

Mówiąc to, pomyślał, że trzeba będzie kupić jej w Warszawie jakieś eleganckie ubranie, a nawet i ze dwa, jeśli się da namówić.

Przypomniała mu się żona Jurskiego, Alicja: zachłanna, rozrzutna, bezceremonialna, pełna tupetu. Dokładna odwrotność Małgorzaty. Uśmiechnął się z radości, że udało mu się uwolnić od syndromu Jurskiego.

Ten uśmiech był jednak bardzo krótkotrwały i zniknął, nim Małgorzata go zauważyła. Uświadomił sobie bowiem, że przecież jest fałszywym Julianem i choćby nie wiem jak się starał, do końca życia pozostanie falsyfikatem.

Przestał się odzywać i starał się myśleć optymistycznie, lecz ani rusz nie mógł się wydobyć z ponurego nastroju.

Małgorzata zauważyła tę zmianę, trąciła go ramieniem i łagodnym głosem powiedziała:

– Wiem, że się martwisz, że nie sprostasz temu wszystkiemu, ale pamiętaj, że masz mnie i że ja będę ci zawsze we wszystkim pomagać, a we dwójkę można bardzo dużo zrobić... – pocałowała go w policzek i dodała: – Jesteśmy przecież młodzi i mamy na to bardzo dużo czasu... Abyś tylko się trzymał postanowień i nie zbaczal z obranej linii.

– Dziękuję ci za to wszystko. Cieszę się, że jesteś właśnie taka.

– A może radyjko sobie włączymy i troszkę posłuchamy jakiejś muzyczki dla zmiany nastroju i rozluźnienia? – zapytała.

– Pewnie – odrzekł z uśmiechem.

Nastawiła dość głośno jakąś dyskotekową muzykę i jechali, nie rozmawiając. Po kilku minutach zaczęła opowiadać o swoich studiach, ale Julian przerwał jej i poprosił, żeby przyciszyła radio, ponieważ jej nie słyszy. Przyciszyła i opowiadała dalej.

Julian słuchając jej, myślał o Jurskim. Doszedł do wniosku, że logicznie ujmując sprawę, Jurskiego jest w nim bardzo niewiele, chyba nie więcej niż dwa procent, tyle, ile waży mózg...

Chciał nawet zapytać o to Małgorzatę, ale na wszelki wypadek się powstrzymał. Ostatecznie orzekł, że przy tak niewielkiej domieszce może śmiało uważać się za Juliana.

Muzyka się skończyła i rozpoczęły się wiadomości. Przyciszył więc radio jeszcze bardziej i zapytał o szczegóły obozu lingwistycznego.

– To ma być wspólny obóz ze studentami angielskimi. Ma trwać cały lipiec i odbędzie się gdzieś w górach.

– W Polsce?

– Tak.

– W lipcu w górach przeważnie leje.

– Niech leje, jeszcze lepiej, to będziemy siedzieć i gadać... Oczywiście, po angielsku.

– Cha! Cha! Cha! Z takim podejściem wysoko zajdziesz, kobieto – zaśmiał się i chciał ją pocałować, lecz tego nie zrobił, gdyż usłyszał, jak mówią coś w radiu na temat koncernu JURSKI GROUP.

Nie zrozumiał, o co chodzi, gdyż był to już koniec informacji.

– Popatrz, za bardzo przyciszyłem... – powiedział z żalem. – Zdaje mi się, że się powoływali na „Głos Patriotów”.

– Ja nie zwróciłam uwagi, ale skoro tak słyszałeś, to zatrzymaj się na najbliższej stacji i kup tę gazetę.

– Oczywiście. Albo na stacji, albo w kiosku w najbliższym miasteczku... Zależy, co będzie wcześniej.

Po chwili na poboczu ukazał się znak zapowiadający zjazd na stację paliwową.

– No widzisz? Jak na zamówienie – Małgorzata z zadowoleniem skomentowała ten przypadek.

Zaparkował samochód jak najbliżej pawilonu, wszedł do środka, szybko kupił gazetę i wybiegł.

– Czytaj na głos – powiedział, wsiadając, i dał jej gazetę. – Widzę, że te rewelacje są na pierwszej stronie – dodał z ironią.

„Korupcja w koncernie JURSKI GROUP?” – brzmiał tytuł.

– Czytaj, czytaj na głos – niecierpliwił się.

– „Wszystko wskazuje na to” – zaczęła czytać – „że zarządowi tego znanego koncernu nie wystarczają astronomiczne dochody, czerpane z lukratywnych zamówień państwowych, więc postanowili dodatkowo dorobić na boku kilkaset milionów.

Jak się okazuje, szwagier dyrektora zarządu (nazwisko znane redakcji) specjalnie założył we Francji firmę mającą się trudnić pośrednictwem w imporcie urządzeń do sieci elektrowni wiatrowych, której budowę nasze państwo lekkomyślnie powierzyło koncernowi JURSKI GROUP. W ten sposób ogromna część państwowych pieniędzy bocznym obiegiem trafi do kieszeni cwaniaków.

Nietrudno się domyślić, że to dodatkowe ogniwo przy doborze dostawcy nie będzie się kierować jakością urządzeń, lecz ich niską ceną, żeby móc jak najwięcej zarobić.

W ten sposób do naszego kraju po raz nie wiadomo który ma trafić jakiś złom, za co podatnik słono zapłaci. Niewykluczone, że ci sami ludzie założą później spółkę zajmującą się remontami wybrakowanych elektrowni wiatrowych. W ten sposób cwaniacki interes napędzany wiatrem może się kręcić przez bardzo wiele lat”.

- Ty wiesz, o co tu chodzi? – zapytała zdenerwowana Małgorzata.
- Cha, cha. Mam nadzieję, że to już koniec – skwitował Julian. – Nieźle się patrioci podłożyli.
- Ale ty znasz tę sprawę?
- Pewnie. To wszystko nieprawda... W pewnym momencie zanosilo się na coś takiego, ale uśmierciłem to w zarodku i wszystko idzie tak jak trzeba – wyjaśnił ze spokojem.
- Julianie, ale może ty o wszystkim nie wiesz? Czy coś takiego można wyssać z palca? – spytała przestraszona.
- Z palca nie. To zrobił pracownik, który chciał na tym skorzystać, ale mu się nie udało. Żeby się zemścić, puścił taką informację do prasy. Ja nawet domyślałem się, który to.
- I co zrobisz?
- W pierwszym rzędzie trzeba pojechać do redakcji i domagać się, żeby to wszystko odwołali, również na pierwszej stronie, ale co najmniej dwa razy większą czcionką. Jeżeli się nie zgodzą, to pozostaje sąd. Oczywiście, zażądamy odszkodowania.
- A co będzie z pracownikiem, który zawiadomił prasę?
- Najważniejsze jest ratowanie prestiżu koncernu.... Jeśli chodzi o pracownika, to pewno nie uda się mu tego udowodnić. Prasa będzie przecież go kryła, a on sam się nie przyzna. W takiej sytuacji co najwyżej można go zwolnić w normalnym trybie.
- Widzę, że już się wciągnąłeś w to wszystko. Jesteś spokojny i od razu wiesz, co należy robić... – mówiła podekscytowana. – Imponujesz mi taką postawą i tym spokojem.
- Skoro wiem, że to nieprawda, to czym się mam denerwować?
- Mówiąc to, sięgnął do kieszeni i wyjął telefon.
- O, masz ci los, wyłączony – powiedział ze złością. Chciał go uruchomić, lecz okazało się, że jest rozładowany.
- No tak. Nic dziwnego, że nikt do mnie nie dzwonił.
- Nadal mówił spokojnie, ale Małgorzata widziała, że zaczyna się denerwować.
- Nie masz ładowarki? – zapytała.
- Mam, poszukaj tam – wskazał schowek naprzeciw niej.
- Otworzyła schowek, wyjęła z niego parę rzeczy i zaczęła grzebać. Znalazła ładowarkę, włączyła ją do gniazda, wzięła od Juliana telefon, podłączyła go do ładowarki i uruchomiła. Trzymała telefon w ręce, zastanawiając się, gdzie go położyć. W tym momencie zaczął dzwonić.
- Julian wyciągnął po niego dłoń i spojrział na wyświetlacz.
- No właśnie. Sekretarka dzwoniła już dwa razy, ale nie ma co, jest za

późno, żeby zawracać jej głowę... I bez niej wiem, o co chodzi...

Zajechali na następną stację. Julian kupił jeszcze dwa egzemplarze tej samej gazety, a Małgorzata coś na kolację i śniadanie.

– Nie będziesz się nudzić sama w domu? – zapytał, żeby już nie rozmawiać o pracy.

– Nie, przecież mam się uczyć.

– Może zostawić ci samochód?

– Po co mi... Przecież jest metro, tramwaje... A poza tym czym ty byś pojechał do pracy? Przecież to niewygodna dla ciebie i jakby to wyglądało, gdybyś przyjechał tramwajem? Cha, cha, ale by był obciach – zażartowała.

– Cha, cha – sparodiował ją. – Żaden obciach. Zadzwońbym i przyjechałby po mnie kierowca... Obciach to jest z tym samochodem, którym jeżdżę do tej pory. Myślisz, że pan Jurski wsiadłby do takiego? Przecież prestiż firmy by na tym ucierpiał.

– Co ty?

– A jak myślisz?

– Jak myślę? W ogóle nigdy o tym nie myślałam.

– Skoro już o tym rozmawiamy, to mam propozycję: Dam ci swoje auto, a sobie nareszcie kupię nowe.

– A co ja bym robiła z dwoma samochodami?

– Nie wiem... Sprzedasz albo dasz komuś...

– Nie mam komu. Poza tym dla mnie twój samochód jest za wielki i dużo trudniejszy do parkowania.

– Ale bezpieczniejszy, a mnie na tym zależy.

– Jeżeli poważnie o tym mówisz, to swój mogłabym dać twojej Ani.

– Oczywiście, że mówię poważnie, a ten pomysł, żeby dać Ani, jest bardzo dobry – ucieszył się, że znów zrobi coś dla siostry. – Po powrocie z wakacji będzie mieć niespodziankę... – dodał.

Zaledwie przed chwilą rozmawiali o tym w trybie przypuszczającym, a on od razu podjął decyzję.

– Myślę, że jednak zostawię ci mój samochód, żebyś mogła już go ćwiczyć.

– Jeszcze zdążę, nie ma pośpiechu. Zresztą jechałam nim nad zalew.

– Przecież będziemy wracać dwoma samochodami, więc ćwicz od jutra.

– Jak to, tak już? Od razu?

– Nie ma na co czekać.

– Juluś, jakiś ty niecierpliwy... Dawniej taki nie byłeś. Taką decyzję podejmujesz ot tak, prawie bez namysłu?

– Małgosiu, ja o tym myślę już od kilku tygodni. Poza tym w pracy muszę od ręki podejmować dużo poważniejsze decyzje niż kupno samochodu... Myślisz, że w związku z tym artykułem w „Głosie Patriotów” można zwlekać z decyzją?

Przecież tam chodzi o kontrakt wartości ponad pięciu miliardów.

Małgorzata dotąd nie zdawała sobie sprawy z odpowiedzialności funkcji, jaką pełni Julian, ważności jego stanowiska i podejmowanych decyzji. Nadal uważała go za swojego chłopaka, który się wybił, ponieważ był zdolny i pracowity. Nagle okazało się, że zupełnie nie doceniała skali tego zjawiska. Ta informacja sprawiła, że musiała teraz przewartościować całą swoją wiedzę o jego pracy i o nim samym. Zdziwiło ją i wprawiło w podziw, że potrafi bez obaw i ze spokojem zajmować się takimi wielkimi i poważnymi sprawami. Zrozumiała też, że w tej grze, jakiej Julian się podjął, mały błąd może wywołać olbrzymie skutki.

Chyba jeszcze bardziej podziwiała pana Jurskiego, który według niej wybierając Juliana na swojego następcę, musiał być geniuszem albo desperatem. „Oby okazał się tym pierwszym” – myślała z trwogą.

Julian przestał się odzywać, ponieważ domyślał się, że Małgorzata musi teraz mieć dłuższą chwilę spokoju, żeby poukładać sobie wszystkie informacje, jakie właśnie tak niefrasobliwie jej zaaplikował. Wziął więc telefon i zadzwonił do firmy, prosząc, żeby jutro rano ktoś zabrał go z domu.

– Jak, Małgochna, masz jakieś kłopoty? – zapytał żartobliwym tonem i delikatnie pogładził ją po dłoni.

– Boję się – odpowiedziała z westchnieniem.

– Nie ma czego. Moja droga, nie ma czego. Ja odpowiadam tylko przed panem Jurskim i nikt poza nim nie ma prawa mnie oceniać. Zmierzam do celów, jakie wyznaczył mi pan Jurski. Te cele są jasne, uczciwe i nie muszę się niczego obawiać. Jak dotąd wszystko idzie dobrze i naprawdę, kochana, nie masz się czym przejmować.

Z samego rana przyjechał po Juliana pan Wojtek, stary kierowca, który przed rokiem pierwszy raz wiozł go do Łodzi.

– O, już jest mój kierowca – stwierdził Julian z zadowoleniem, ujrawszy go z okna.

– Ojej, ale limuzyna – powiedziała Małgorzata, patrząc z podziwem na samochód. – Zupełnie jakby przyjechał po premiera.

– A chcesz się takim przejechać? – zażartował, szykując się do wyjścia.

– Szkoda, że nie biały albo różowy. Mogłabym udawać amerykańską gwiazdę filmową.

– Nie musisz udawać, masz przecież urodę gwiazdy filmowej – odpowiedział poważnie, podszedł do niej, mocno i namiętnie pocałował ją w usta i skierował się do wyjścia.

Podjechali pod główne wejście gmachu zarządu. Wsiadając z limuzyny, Julian spojrział na parking. Akurat Ewa Wróbel wychodziła ze swojego

niebieskiego auta. Julian widział ją pierwszy raz od czasu pamiętnego spotkania w „Alhambrze”. Spojrzała na niego. Julian uśmiechnął się i pomachał jej ręką. Ona też się uśmiechnęła i skinęła głową.

„Ładna...” – pomyślał. – „I cwana... Niejednemu jeszcze zawróci w głowie i z pewnością daleko zajdzie”.

Myślał o niej bez złości, nawet z pewną życzliwością.

Wszedł do swojego sekretariatu. Halinka właśnie uruchamiała komputer.

– Dzwoniłaś do mnie wczoraj, ale miałem rozładowany telefon – powiedział, idąc w kierunku swojego gabinetu. – Jak się rozpakujesz, to wejdź do mnie.

– Już idę – zostawiła wszystko i poszła za nim.

Julian zatrzymał się przed drzwiami i przepuścił ją.

– Dzwonili z kancelarii premiera. Wicepremier chciał koniecznie z panem rozmawiać – powiedziała zdenerwowana.

– Dobrze, ale najpierw ściągnij tu Dworaka i Wysockiego. Niech Dworak wejdzie od razu, a Wysocki niech czeka, aż go zaproszę.

Dworak zjawił się zdyszany prawie natychmiast.

– Czytał pan to? – Julian zapytał, wymachując gazetą.

– Oczywiście. Chyba nie ma tu takiego, kto by tego nie czytał – odpowiedział z ponurą miną.

– Założę się, że to Durski. On na pewno liczył, że wywalę Wysockiego i zrobię go dyrektorem, a że tak się nie stało, to się zemścił...

– Ja też tak myślę.

– To gówniarz. Poczekałby, to by się doczekał! – mówił Julian, chodząc nerwowo po gabinecie. – Przecież ja nie miałem zamiaru trzymać tego Wysockiego... Tylko chciałem, żeby odkręcił to, co sam nakręcił... Ostatecznie za to mu się płaci. A ten niecierpliwy głupek wszystko popsuł.

Gdy Julian kończył ostatnie zdanie, sekretarka wśliznęła się do pokoju, informując, że przyszedł już dyrektor Wysocki.

– Niech czeka. Zaraz go poproszę... – powiedział, a gdy sekretarka wyszła, zwrócił się do Dworaka: – Wysocki przecież ostatecznie ominął tę spółkę swojego szwagra i sam znalazł dobrego producenta, prawda? Pan to wszystko sprawdzał?

Dworak skinął głową.

– I autentyczność tych rekomendacji z Ministerstwa Energetyki Francji też?

– Oczywiście.

– No to wołamy Wysockiego.

Dyrektor Wysocki wszedł do gabinetu wyraźnie zakłopotany. Stał na środku i zawahał się. Julian podał mu rękę, ale na jego twarzy zabrakło zwyczajowego uśmiechu. Dyrektor Dworak również się z nim przywitał, jednak zrobił to niedbale, a nawet z pewną nonszalancją.

– Siadajcie, panowie – oschle powiedział Julian.

– Zakładam, że czytał pan ten artykuł – powiedział Julian, pokazując „Głos Patriotów”.

– Tak, panie prezesie, ale...

– Żadne ale! – przerwał mu Julian. – Będzie pan mówić, jak ja skończę. Ja wiem, że z naszej strony jest wszystko w porządku, jesteśmy w stanie to udowodnić... Ale niesmak po tej sprawie zostanie, i to jest najgorsze. Ja zaraz będę rozmawiać z wicepremierem i będę to wyjaśniać... – Julian mówił głośno i dobitnie, tonem niepozostawiającym wątpliwości, że jest gotów na radykalne posunięcia. – Mam jednak nadzieję, że zdaje pan sobie sprawę, że cały ten smród to przez pana i pańskiego szwagra... Jeżeli nasz koncern poniesie z tego powodu jakiegokolwiek straty, będę żądać odszkodowania od winowajcy. Widzę tu tylko jedno wyjście: „Głos Patriotów” musi natychmiast na całej pierwszej stronie wydrukować wyjaśnienie i przeprosiny pod naszym adresem... Jeżeli się nie zgodzą, trzeba natychmiast podać ich do sądu i żądać pół miliarda odszkodowania. Powtarzam: pół miliarda – mówiąc to, uderzył pięścią w stół. – I trzeba wygrać ten proces... I pan się tym zajmie, panie dyrektorze. Ja pojadę do Urzędu Premiera, a pan do tej redakcji... Niech pan weźmie ze sobą kopie dokumentów, które świadczą, że nie jest tak, jak oni napisali, niech pan im wszystkiego nie pokazuje, bo to nasza tajemnica handlowa, i powie, że jeżeli jutro nie ukaże się sprostowanie, to natychmiast występujemy o półmiliardowe odszkodowanie. Jeżeli pan ma coś do powiedzenia w tej sprawie, to teraz może pan to zrobić!

Julian nie był zdenerwowany, ale mówił podniesionym głosem, żeby wyrzucić większe wrażenie na winowajcy.

– Właśnie jak pan prezes mi przerwał, to ja chciałem tylko poprosić, żeby pan prezes mi pozwolił do nich jechać i żądać sprostowania i przeprosin – wystękał drżącym głosem, a na jego twarzy malowało się przerażenie.

– I dobrze, że się pan do tego poczuwa. Niech pan od razu jedzie i natychmiast po rozmowie z nimi proszę mi przez telefon dać informację o wyniku pańskiej misji – słowo „misji” wypowiedział z ironią.

– Tak jest, panie prezesie. Czy mogę już jechać?

– Oczywiście.

– Panu też dziękuję – zwrócił się do Dworaka zaraz po wyjściu Wysockiego. Odprowadził go do drzwi i gdy Dworak wychodził, Julian poprosił Halinkę o połączenie z gabinetem wicepremiera. Zdenerwowany wicepremier nie chciał rozmawiać z Julianem przez telefon i zażądał jego przyjazdu do urzędu.

– Oczywiście, panie premierze, to nie jest sprawa na telefon, dzwonię jedynie, żeby prosić pana o zaproponowanie konkretnej godziny spotkania.

– Ja nie mogę wcześniej niż o siedemnastej.

– Nie ma problemu, panie premierze, ja się dostosuję, dla mnie może być równie dobrze i o pierwszej w nocy.

– Widzę, panie prezesie, że poczucie humoru mimo wszystko pana nie opuszcza – powiedział premier z wyraźnym sarkazmem.

– U nas jest wszystko w porządku, panie premierze, i nie mamy się czym martwić, niech się martwi właściciel „Głosu Patriotów” – odpowiedział Julian spokojnie i dobitnie.

– Będę się bardzo cieszyć, jeśli tak będzie, panie prezesie – odpowiedział premier tym razem ze spokojem i z powagą godną najwyższego urzędnika. – Więc oczekuję pana o siedemnastej.

– Dziękuję uprzejmie, panie premierze – odparł Julian z zadowoleniem.

Wicepremier wyłączył się bez słowa.

Julianowi bardzo odpowiadała późna godzina spotkania, gdyż liczył, że do tego czasu będzie jakiś wynik rozmów z redakcją „Głosu Patriotów”.

Niewielkie zdenerwowanie Juliana zupełnie minęło po wyładowaniu się na dyrektorsze Wysockim, był nawet zadowolony. Wstał z fotela i swoim zwyczajem zaczął spacerować po gabinecie. Włożył dłoń do kieszeni spodni i wyjął piłeczkę ping-pongową, którą nosił od czasu spotkania na schodach z Ewą. Sam nie zdawał sobie z tego sprawy, ale traktował ją jak talizman. Bawił się nią, podrzucając pod sufit lewą dłonią, a łapiąc prawą. Następnie podrzucając prawą i chwytając lewą – i tak naprzemian. Gdy już ta zabawa mu się znudziła, usiadł przy biurku i położył piłeczkę na jego blacie. Powoli potoczyła się na jego brzeg i spadła, a następnie podskakując, poturlała się pod kaloryfer.

Julianowi przypomniało się, jak to samo zdarzyło się, kiedy parę miesięcy temu rozmawiał przez telefon z Ewą. Z tą tylko różnicą, że wtedy nie było piłeczki. Był natomiast ten sam odgłos.

Wstał, poszedł po piłeczkę, wrócił z nią, usiadł i delikatnie upuścił ją na podłogę. Piłeczka znów podskakując, powędrowała pod kaloryfer.

„Dziwne” – pomyślał. – „Wtedy nie było żadnej piłeczki, ale dźwięk był identyczny. Też słyszałem, jak toczy się w to samo miejsce... Zupełnie jakby chciała, żebym tam podszedł”. Wstał i podszedł do okna, pod którym wisiał kaloryfer. Spojrzał przez nie.

Zobaczył parking i przylegającą do niego ulicę. Z parkingu właśnie wyjeżdżał niebieski samochód Ewy Wróbel.

Stał chwilę, patrząc na oddalające się auto, póki nie zginęło mu z oczu. Wrócił na swoje miejsce i zaczął myśleć:

– Ta piłeczka ma wyraźny związek z Ewą. Przecież to niemożliwe, żeby to były przypadki... Któreś z nich chce mi koniecznie coś przekazać i to chyba nie Jurski, bo on nigdy nie grał w ping-ponga i nawet nigdy nie miał w ręku piłeczki. Wiem to dobrze, bo mam przecież cały zapis jego pamięci...

Julian od pewnego czasu unikał w myślach sformułowań, że jest albo kiedyś był Jurskim.

Jurskiego nie lubił, bo był nadasertywny – tak to nazywał, ponieważ Jurski wyznawał zasadę: „Jeżeli mój pracownik zarobi jeden euro więcej, ja muszę zarobić dziesięć euro więcej”. Uważał, że na tym polega asertywność.

Za wszelką cenę chciał być Julianem. Poznał i zrozumiał jego życiowe zasady, motywy, a nawet upodobania. Dążył do tego, żeby nie być jego kopią, lecz po prostu Julianem, zwłaszcza że był nim z krwi i kości i dobrze się z tym czuł.

Wyjechał do domu wczesnym popołudniem, żeby przed wizytą w Urzędzie Premiera pobyć trochę z Małgorzatą i zjeść obiad.

Małgorzatę zastał z książką w ręku.

– O! Jak wcześnie – ucieszyła się.

– Wcześnie, bo na siedemnastą jestem umówiony z wicepremierem.

– Domyślam się, że w sprawie artykułu...

– Tak, ale nic się nie martw... Wcale nie jest tak, jak napisali.

– Szkoda, że nie wiedziałam, że tak wcześnie wrócisz. Zrobiłabym coś do jedzenia.

– Nie ma co żałować, pojedziemy coś zjeść.

– Ale to chyba za wcześnie... W ogóle to jest tyle czasu, że ja zdążę jeszcze coś kupić i zrobić.

W tym momencie w kieszeni Juliana odezwał się telefon – dzwoniła Halinka.

– Panie prezesie, telefonowali z telewizji – oznajmiła zdenerwowana. – Chcą koniecznie się z panem spotkać.

„Choroba, nie pomyślałem o tym wcześniej... Należało odesłać ich do redakcji »Głosu Patriotów«”.

– Ja tak myślałam, ale się bałam sama decydować... Ale oni będą jeszcze dzwonić, to im tak powiem.

Dyrektor Walery Wysocki przyjechał do redakcji „Głosu Patriotów”.

– W czym mogę panu pomóc? – zapytała recepcjonistka.

Dyrektor wręczył jej swoją wizytówkę i poprosił o rozmowę z właścicielem dziennika.

– Ale niestety właściciel jest w Polsce nieobecny – odpowiedziała.

– To z redaktorem naczelnym – powiedział bez namysłu.

– Pana redaktora jeszcze nie ma.

– A o której będzie? – zapytał gość, nie ukrywając zniecierpliwienia.

– Trudno mi powiedzieć, myślę, że koło południa.

– Mnie to nie urzęda. Proszę do niego zadzwonić i powiedzieć, że ja

czekam i najpóźniej za pół godziny chcę go tu widzieć – powiedział bardzo ostrym tonem. – I proszę go uprzedzić, że nasze spotkanie leży w jego interesie, a ja nie mam czasu czekać tu do południa – dodał stanowczo.

– Może wobec tego zechce pan na chwilę usiąść, a ja pójde zadzwonić do pana redaktora – recepcjonistce wyraźnie nie podobał się ton gościa, ale starała się go nie prowokować. Weszła w głąb redakcji, a dyrektor Wysocki usiadł na skromnej kanapce stojącej w rogu niewielkiego holu.

Po dziesięciu minutach dziewczyna wróciła lekko zdenerwowana i oświadczyła, że pan redaktor już jedzie i za czterdzieści pięć minut powinien być na miejscu.

– Może pan dyrektor się czegoś napije? Kawy albo herbaty? – grzecznie zaproponowała, zapewne pouczona przez przełożonego.

Dyrektor wyjął z neseseru „Głos Patriotów” i zde gustowany przejrzał inne artykuły.

Okazało się, że pismo zajmowało się głównie wyszukiwaniem i opisywaniem skandali obyczajowych, których dopuszczali się politycy, oraz bezwzględna krytyką wszystkiego, co miało cokolwiek wspólnego z partią liberalną. Widać taka tematyka zapewniała gazecie poczytność, będąc jednocześnie bronią używaną do zwalczania obozu przeciwnika. Oczywiście, trudno tu marzyć o neutralności prasy.

Dyrektor Wysocki wypił kawę, przeczytał kilka artykułów, spoglądając co jakiś czas na zegarek. Wreszcie po prawie godzinie wszedł do redakcji młody człowiek, przedstawiając się jako redaktor naczelny, i zaprosił gościa do swojego gabinetu.

– Czym mogę panu służyć? – zapytał dziennikarz z chytrym uśmieszkiem.

– Proszę pana, nie będę się bawić w żadne wstępy, tylko od razu powiem jasno – zaczął dyrektor Wysocki. – W związku z zakupem, o którym napisał pan tyle rewelacji, nasz koncern przyjmował oferty od rozmaitych firm. Myśmy później te oferty prześwietlali i po kolei je odrzucaliśmy. W trakcie tego wyszło na jaw, że szwagier mojej żony wspólnie z jednym z naszych pracowników chcieli na tym zarobić, zakładając we Francji firmę... Ci panowie nie wzięli tylko pod uwagę, że nim taki koncern jak JURSKI GROUP złoży zamówienie nieznannej firmie, to w pierw dziesięć razy sprawdzi jej wiarygodność. Do tej pory jesteśmy zgodni. Dalej już nie, ponieważ oferta spółki Galois&Dellon kilka tygodni temu została przez nas odrzucona i została zaakceptowana inna firma, która jest znanym na świecie producentem i dostawcą urządzeń dla wielu europejskich krajów. Należy tylko podziwiać naiwność tych, którzy się łudzili, że ten numer przejdzie, i tych, którzy dali im wiarę, drukując artykuł... Muszę tu dodać, że wiemy, kto podsunął wam te rewelacje. To osoba, która współpracuje z panem Dellon. Krótko mówiąc, w ten sposób chcieli się zemścić za nieudany interes...

– Panie dyrektorze, ładnie pan to wszystko opowiedział, ale przecież my nie musimy panu w to uwierzyć – wtrącił redaktor, nie dając się zbić z pantafelku.

– Musicie, bo to jest dla was sprawa życia i śmierci. Jeżeli tego nie odwołacie, to jutro wnosimy sprawę do sądu i żądamy odszkodowania, którego wysokość wstępnie szacujemy na pół miliarda euro. Wasza gazeta przestanie istnieć, a pana w całej Polsce nikt nie przyjmie do pracy. No, chyba że na dozorcę, ale też wątpię, bo do dozorczy pracodawca też musi mieć zaufanie! – dyrektor Wysocki cały czas mówił spokojnie, a nawet monotonicznie, ale ostatnie zdania wypowiedział z dużym naciskiem i nieco głośniej.

– Panie dyrektorze. Po pierwsze, proszę mi nie ubliżać. Po drugie, mam dowody na wszystko, co napisałem. Nie muszę wierzyć w pańskie opowiadania bez pokrycia – odpowiedział zdenerwowany redaktor.

– Panie redaktorze. Moje rzekome obelgi są niczym w porównaniu z tym, co pan o nas napisał, a jeśli idzie o pańskie dowody, to pan co najwyżej może mieć kopie naszego zapytania i ich ofertę, jaką przysłali w odpowiedzi... My się nie wypieramy, że taka korespondencja była... A czy ma pan kopię naszego pisma, które im wysłaliśmy, informując, że nie skorzystamy z ich oferty?

– Nie mam, ale to...

– No widzi pan, jak pana podprowadzili? I teraz zapłaci pan za to, że im pan uwierzył.

Powiedziawszy to, dyrektor otworzył neseser i wyjął pismo sprzed trzech tygodni, w którym informuje spółkę Galois&Dellon, iż koncern JURSKI GROUP nie przewiduje zawarcia kontraktu na dostawę sprzętu.

– O, widzi pan? To jest właśnie to. Proszę to przyjąć! – powiedział ostro i położył pismo na stole.

– Po co mi to? – redaktor zasłonił się rękami, jakby dyrektor dawał mu coś nieczystego.

– No nie wiem, może się panu to przyda... Może pan sobie to oprawi w ramki jako dowód sukcesu... – powiedział, uśmiechając się ironicznie.

– Ale to, co pan mi pokazuje, to nie jest żaden dowód... Ja nie wiem, czy pan to w ogóle do nich wysłał... A może pan to wczoraj napisał tylko po to, żeby mi to pokazać! – zawołał, wymachując dokumentem.

– Wie pan co, panie redaktorze? Szkoda mi czasu na taką rozmowę. Widzę, że pan uznaje tylko te dokumenty, które panu odpowiadają... Zatem będzie to musiał rozstrzygnąć sąd.

Dyrektor wstał, położył neseser na biurku redaktora, zatrzasnął go, aż rozległo się głośne klapnięcie, i nic nie mówiąc, skierował się do wyjścia.

– Ależ panie dyrektorze, proszę się nie gniewać, przecież musimy jakoś się dogadać – powiedział pojednawczo redaktor.

– Myślę, że jednak najlepiej dogadamy się na sali sądowej – powiedział

dyrektor, nie kryjąc oburzenia.

– Panie dyrektorze, ja przepraszam, może jednak pan usiądzie... – zapraszał redaktor.

– Słucham pana. Co pan proponuje? – zapytał dyrektor, robiąc trzy kroki z powrotem.

– Proszę się nie denerwować, nic się nie stało, wydrukujemy sprostowanie i już... Przecież to nie nasza wina. Sam pan dyrektor powiedział, że pański pracownik nadużył naszego zaufania...

– Dobrze, tylko niech pan teraz nie napisze, że to wina naszego pracownika, bo to nie jego gazeta, tylko wasza, i to wy odpowiadacie za wszystko, co się w niej pisze... Jeżeli chce pan rzeczywiście załagodzić sprawę, to proszę jutro na całej pierwszej stronie umieścić sprostowanie.

– Ale po co aż na całej pierwszej stronie, przecież takich rzeczy się nie praktykuje... Widział pan kiedykolwiek w jakiejś gazecie coś takiego?

– Proszę pana, nawet jeżeli ja bym się zgodził, żeby było mniejsze, to dyrektor generalny JURSKI GROUP się nie zgodzi i tak czy owak poda was do sądu. Dyrektor zdecydował, że jeśli chcecie z tego wyjść bez szwanku, to musi jutro być na całej pierwszej stronie sprostowanie i przeprosiny. I nie ma się tu o co targować.

– Trudno, daliśmy się wykiwać i trzeba ponieść konsekwencje – powiedział redaktor, ulegając ostatecznie i uśmiechając się jak dziecko, które coś spsościło.

Dyrektor Walery Wysocki zaraz po wyjściu z redakcji zadzwonił do Juliana i poinformował go o wyniku swoich rozmów.

– Dobrze, w takim razie wiem już, jak rozmawiać z wicepremierem... – odpowiedział Julian z zadowoleniem.

Dokładnie o szesnastej, zgodnie z ustaleniem, przyjechał po Juliana kierowca i zawiózł go do biura wicepremiera.

Gdy przyjechali na miejsce, brakowało jeszcze piętnastu minut do umówionej godziny. Była to wystarczająca ilość czasu, by wypowiedać się przed strażą i dojść do kancelarii.

Wicepremier był już wolny i Julian zaraz został przyjęty.

– Jakie wieści pan przywozi? – zapytał wicepremier, przyglądając się Julianowi.

– Wszystko w porządku, panie premierze – odparł Julian z powagą. – Jutro w „Głosie Patriotów” zostanie zamieszczony artykuł z przeprosinami pod naszym adresem i wyjaśnieniem zaistniałego nieporozumienia.

– Doskonale, ale proszę mi powiedzieć, jak naprawdę to wygląda... Mówi się, że przeważnie w plotce jest jakieś ziarno prawdy. Nie chciałbym, żeby ono za

kilka miesięcy nagle zaczęło kiełkować.

Julian otworzył neseser i wyjął z niego projekt kontraktu, jaki ma być za kilkanaście dni zawarty z francuskim producentem, i położył go na stole. Wyjął również pismo francuskiego Ministerstwa Przemysłu, zawierające rekomendacje dla producenta.

– No dobrze, ale proszę mi wyjaśnić, co z tą firmą, o której był ten nieszczęsny artykuł? Nie pamiętam, jak ona się nazywa...? – dociekał wicepremier.

– To była firma Galois, która zajmuje się serwisowaniem siłowni wiatrowych. Oni zwerbowali niejakiego pana Dellon, który jest szwagrem siostry jednego z naszych dyrektorów, i przyjęli go do spółki, pod warunkiem że zdobędzie to zamówienie.

– Ach, rozumiem... Stąd nowa firma Galois&Dellon – wicepremier najwyraźniej był zadowolony, że zrozumiał, na czym miał polegać podstęp.

– Właśnie. Otóż oni złożyli do nas ofertę, ale myśmy ją odrzucili, ponieważ rekomendacje, jakie nam przedstawili, wydawały się nam niepewne... Co też się potwierdziło przy bliższym zbadaniu sprawy... Mam tu również pismo, którym kilka tygodni temu zawiadomiliśmy ich, że ich oferta została odrzucona.

Powiedziawszy to, Julian położył na stole odpowiedni dokument.

– To właściciele tej firmy przeżyli spore rozczarowanie – powiedział wicepremier i pierwszy raz się uśmiechnął.

– Tak to bywa, jak się gra nieczysto... – podsumował Julian.

– Wracając do sprawy, to ja na tę chwilę uznaję pańskie wyjaśnienia za wystarczające i przekonujące. Mam nadzieję, że na tym się skończy ta afera... – powiedział wicepremier znacznie mniej oficjalnym tonem. – Swoją drogą, to „Głos Patriotów” może słono zapłacić za to spotkanie – dodał.

– Tak pan premier myśli? U nas to wciąż jakoś przechodzi bez konsekwencji... Wydaje mi się, że po takich wpadkach wzrasta zainteresowanie gazetą, a co za tym idzie, nawet może poprawić się jej sprzedaż, a przecież właśnie o to im chodzi.

– Może i tak – powiedział wicepremier, wstając z miejsca.

Julian po rozmowie kazał się zawieźć do pałacu Jurskich, chciał tam bowiem w samotności przemyśleć sprawy ostatnich dni. Uważał też, że należy parę razy w miesiącu okazać swoje zainteresowanie.

– Ma pan co czytać, panie Wojtku? Bo mnie się tu zejdzie godzinę albo i dwie – zagadnął kierowcę, gdy dojeżdżali do rezydencji.

– Oczywiście, panie prezesie – odrzekł i szybko wyciągnął ze schowka dość grube tomisko w czarnych zniszczonych okładkach z zatartym złotym napisem.

– A cóż to takiego? – zapytał zaciekawiony.

Kierowca nic nie mówiąc, uchylił okładkę i pokazał stronę tytułową. Julian spojrzął i przeczytał: „NOWY TESTAMENT”.

– Ach, pamiętam. Mówił pan, że czytuje pan ewangelię... Świetnie, znów mi pan poopowiada w drodze powrotnej – powiedział z zadowoleniem, wysiadając z samochodu.

Przeszedł się po korytarzach, pozaglądał do pomieszczeń i na koniec, zgodnie z utartym zwyczajem, poszedł do Anny.

– Marnuje się to – powiedział po przywitaniu.

– Ale co znaczy „to”? – zapytała.

– Wszystko: pałac, park – wyjaśnił zwięźle.

– Przecież dbamy o wszystko.

Anna mówiła w liczbie mnogiej, chociaż naprawdę nie mogła liczyć na panią Jurską ani jej syna i musiała sama się o to troszczyć.

– Mam na myśli, że taki piękny i wielki obiekt jest prawie niewykorzystany.

– A, to prawda... Dawniej, kiedy pan Jurski był młodszy i zdrowy, ciągle było tu pełno gości, były przyjęcia, bale...

– A teraz cisza i spokój – dokończył Julian.

– Właśnie, a co z Michałem? Ma pan z nim jakiś kontakt?

– Oj, od paru miesięcy się nie odzywa... Opowiadał wtedy, że leczy go jakiś peruwiański uzdrowiciel. Mówił, że to jego jedyna nadzieja... Jak go zapytałem, jak się czuje, to powiedział, że dobrze, ale że schudł aż osiemnaście kilogramów. Niestety, jeśli chodzi o jego zdrowie, to mam złe przeczucia.

– Przepraszam, ale pan do niego też dzwoni czy tylko on do pana?

– On zmienił telefon i ma zastrzeżony numer. Nie chciał, żeby do niego telefonować... Ale proszę mi powiedzieć, co dobrego tutaj?

– Cóż, Alicja chora...

– Tak? Co się stało?

– Nic, to co zwykle...

– Rozumiem... A pan Wiktor?

– Rozstał się ze swoją kolejną kobietą... Właściwie to chyba ona z nim się rozstała.

– Coś podobnego...

– Wie pan, ona nie była taka głupia... Musiała widzieć, że to człowiek, na którego nie można liczyć.

– No tak, a powracając do pierwszego tematu, to nie ma pani pomysłu, żeby jakoś wykorzystać ten pałac?

– Kiedyś myślałam, że mógłby tu być hotel, ale Michał chyba by się nie zgodził, bo nie miałyby gdzie urządzać różnych spotkań... To chyba nie był dobry pomysł.

– W takim razie proszę jutro pozdrowić panią Jurską... Mam nadzieję, że

będzie się już dobrze czuć.

– No, miejmy nadzieję, choć z nią to nigdy nie wiadomo...

Poszedł do swojego gabinetu, usiadł w fotelu, i zaczął wspominać Jurskiego.

Lubił siadać w tym fotelu po dniu pracy, analizować i podsumowywać wszystko, co działo się w firmie. Oceniał wtedy w myślach, co jest dobrze, a co źle. Tu cieszył się sukcesami i podejmował ważne decyzje.

Teraz Julian wzorem pana Michała siedział w tym samym fotelu i zastanawiał się, co robić dalej. Jak zabezpieczyć się przed następnymi atakami prasy i innych mediów, wiedział bowiem, że na pewno takie będą. Zwłaszcza jak się dowiedzą, że zamierza kandydować na posła do parlamentu. Będą chodzić za nim jak hieny, wachać, obserwować, szperać w życiorysie i czyhać na okazję, żeby go dopaść. Wiedział o tym wszystkim, ale zamierzał się z tym zmierzyć i wygrać.

Znał swoją wartość. Miał przecież ponad pół wieku doświadczenia w wielu dziedzinach. Przy tym był młody, co sprawiało, że inni będą go lekceważyć i nie brać poważnie jako przeciwnika. Posiadał jeszcze jeden atut: ogromne pieniądze i olbrzymią chęć, żeby wreszcie zaczął robić coś dobrego.

Ostatnio coraz częściej przypominał mu się stary lekarz z miasteczka, w którym się urodził i wychował. Nie pamiętał jego twarzy ani gdzie mieszkał, ale utkwilo mu w pamięci, że nie brał od biednych pieniędzy za leczenie. Zdarzało się, że czasem będąc na wizycie u ubogiej rodziny, dawał jej pieniądze na lekarstwa.

W tamtych czasach było w miasteczku kilku lekarzy. Mieli swoje domy, jeździli eleganckimi samochodami, ale dziś nikt nie pamięta nawet ich nazwisk. Za to ów skromny lekarz, który pomagał biednym, ma dziś swoją ulicę i wielu ludzi go wspomina.

Julian wiedział, że dostał od losu drugie życie właśnie po to, żeby wykorzystać je z pożytkiem dla innych. Zdawał sobie również sprawę, że za jego drugie życie ktoś inny zapłacił najwyższą cenę i że on ma olbrzymi dług, który musi całe życie spłacać. Ta świadomość często mu dokuczała i zatrzuwała mu duszę, ale wiedział, że musi z tym żyć.

Od pewnego czasu coraz częściej myślał o swojej babci, która mawiała: „Nieważne, ile zdołasz w życiu zdobyć dla siebie, ale ile potrafisz zrobić dla innych”. Wtedy lekceważył te uwagi i w duchu śmiał się z nich. Teraz wracał myślami chętnie do tamtych czasów i nieraz żałował, że gdy babcia żyła, nigdy nie powiedział jej, że ją kocha i tak bardzo ceni.

Wstał z fotela, podszedł do biblioteki, otworzył niewielkie drzwiczki, wyjął szklanekę i butelkę brandy, którą kupił jeszcze w czasie swojego pierwszego wcielenia, nalał ćwierć szklanki, zaczerpnął dużego łyka, odstawił butelkę na miejsce i znów usiadł w fotelu.

Siedział pewien czas bez ruchu, w jednej ręce trzymając szklanekę, a drugą opierając o udo. Po chwili nadgarstkiem wolnej ręki wyczuł piłeczkę

ping-pongową znajdującą się w kieszeni.

Pileczka była jak tłąca się iskra, która w sprzyjających warunkach może wzniecić pożar. Tak też było, ilekroć jej dotknął. Zawsze dawała początek natrętnym myślom. Nieraz umysł podsuwał mu pomysł, żeby ją po prostu wyrzucić i zapomnieć o niej, ale natychmiast przychodziła druga myśl, że wtedy nigdy nie rozwiąże zagadki, którą zawiera pileczka. Tak stopniowo urosła do rangi przedmiotu magicznego, fetysza.

Dokończył brandy, odstawił szklanekę na miejsce i znów usiadł w fotelu, trzymając w dłoni pileczkę. Przyszło mu do głowy, że jednak pileczka nie ma nic wspólnego z Ewą. Że to musi być przedmiot, za pośrednictwem którego Julian usiłuje się z nim skontaktować.

Ta myśl przeraziła go, ponieważ logika podsuwała wniosek, że Julian chce go odsunąć od Małgorzaty i w jej miejsce podsuwa mu Ewę.

„Ale dlaczego?” – zastanawiał się. – „Widocznie nie ma do mnie zaufania i uważa, że nie potrafię godnie go zastąpić u boku Małgorzaty” – myślał dalej z przerażeniem.

– Julianie, przecież ja coraz bardziej jestem tobą – wyszeptał. – Uwierz mi, że dołożę wszelkich starań, żeby była ze mną szczęśliwa...

„Nie, to, co mówię, to czysta perfidia” – pomyślał ze wstydem. – „To szczyt bezczelności, tak mówić do mężczyzny, któremu zabrało się kobietę... Ale przecież po tym, co już się stało, nie ma innej drogi” – myślał z rozpaczą.

– Julianie, ja nie mogę jej rzucić i iść do Ewy – powiedział półgłosem. – To byłaby następna podłość. Tym razem w stosunku do Małgorzaty. Nie można jednej podłości naprawiać drugą... Julianie, tego nie da się cofnąć... – mówił w transie. – Błagam cię, zrozum, to był Jurski... Ja już nie jestem nim... Nie mogę za niego odpowiadać...

Spojrzał na oszklone drzwi biblioteki i w szybie ujrzał swoje odbicie, lecz osoba siedząca w fotelu miała twarz Jurskiego. Rzucił na podłogę trzymaną w ręce pileczkę i obiema dłońmi zakrył twarz. Siedział przez jakiś czas przerażony, bojąc się popatrzeć w szybę. Po dłuższej chwili powoli odrobinę obniżył ręce, rozsunął palce i ostrożnie popatrzył. Wyraźnie było widać siwe włosy Jurskiego.

Zawahał się, nie mając pomysłu, co ma zrobić. Obrócił się bokiem do biblioteki, żeby na nią nie patrzeć, i poszedł do drzwi. Wyszedł na korytarz, zamknął gabinet na klucz i przeszedł do sypialni, gdzie między szafą a biblioteką wisi duże lustro.

Wszedł pełen obaw, ale postanowił stawić czoło tej sytuacji. Podszedł zdecydowanym krokiem do lustra i z ulgą stwierdził, że on to on. Szybko wyszedł z pokoju, zamknął drzwi i opuścił pałac.

Gdy podszedł do samochodu, kierowca czytał ewangelię.

– Jak tam? Co ciekawego pan przeczytał? – zapytał, wsiadając.

– O, choćby to... – kierowca szybko otworzył książkę w miejscu zaznaczonym kawałkiem udartej gazety i przeczytał: – „Jeżeli ktoś chodzi za dnia, nie potknie się”.

– Rzeczywiście głęboka myśl – stwierdził Julian.

Kierowca tymczasem już uruchamiał silnik.

– Jak tam? – zapytała Małgorzata, otwierając mu drzwi.

– W porządku. Wicepremier ułagodzony, a „Głos Patriotów” jutro wydrukuje wyjaśnienie i przeprosi nas.

– Ale wydaje mi się, że nie wyglądasz na ucieszonego...

– A uważasz, że powinienem?

– Fakt, lepiej by było, gdyby w ogóle to się nie wydarzyło.

– No właśnie – powiedział i objął ją. – A co w telewizji? – zapytał, widząc włączony odbiornik.

– Oczywiście, mówili o tobie... Twierdzą, że chcieli z tobą rozmawiać, ale sekretarka powiedziała, że jesteś nieosiągalny...

– No i dobrze, szkoda dla nich czasu... A ty jak spędziłaś dzień?

– Byłam tylko w markecie i kupiłam coś niecoś do jedzenia, a tak to się uczyłam.

– Myślę, że jutro pojedę do pracy na nie więcej niż trzy godziny. Mam propozycję, żebyśmy później zajęli się zakupami.

– Ale nam nic nie potrzeba...

– Małgochna, ja mam na myśli kupno samochodu. Chciałbym też kupić ci coś z ubrań.

– Oj, kochany ja naprawdę za tobą nie nadążam. W ogóle mnie to przeraża... Skala tego wszystkiego przytłacza mnie. Daj mi trochę czasu – spojrzała na niego błagalnym wzrokiem.

– Przecież zawsze byłaś otwarta na wszystko... – powiedział łagodnie, przytulił ją do siebie i pocałował w szyję poniżej ucha.

– Byłam i jestem otwarta, ale to wszystko dzieje się za szybko. Nie zdążam się do tego przyzwyczajać... Zazdroszczę ci, że potrafisz w to wchodzić tak pewnie, z taką odwagą. Ja tak nie potrafię – powiedziała z żalem.

– Pierwsze miesiące miałem takie uczucie jak ty, ale minął już rok... W takim razie, żeby zwolnić tempo, możemy zrezygnować z jednej pozycji... – mówił, nadal trzymając ją w objęciach. – A jak chcesz, to i z obu – dodał.

Odchyliła się do tyłu, tak że ich twarze znalazły się naprzeciw siebie, i z uśmiechem powiedziała:

– Wiesz, nie chcę cię ograniczać... To może dla mnie jakiś kostium wyjściowy albo sukienkę, bo tylko patrzeć, jak znów będziesz chciał gdzieś iść,

a ja nie będę miała się w co ubrać, tak jak wtedy...

Julian domyślił się, że miała na myśli wyjście do restauracji na przyjęcie zaręczynowe.

– Świetnie, doskonale – ucieszył się z tej decyzji.

– Tylko my tu gadu, gadu, a ty pewno jesteś głodny?

– Rzeczywiście, coś bym zjadł... A później może gdzieś na lody albo jeszcze lepiej na dyskotekę, żeby trochę odreagować ten dzień?

– Super, na dyskotekę! – zawołała z radością, zręcznie wymknęła się z jego objęć i poszła do kuchni.

– W takim razie zrób coś nieskomplikowanego, żeby było szybciej, a ja zadzwonię i zapytam, gdzie są jakieś dyskoteki, bo nie mam pojęcia...

Postanowił w tym celu wykorzystać Dworaka, ponieważ pamiętał, że ma syna w takim wieku, że pewno chodzi na dyskoteki, więc uważał, że na pewno się w tym orientuje.

– On chodzi do klubu studenckiego „Turbo”, twierdzi, że tam jest najlepiej... – wyjaśnił.

– Tak myślałem, że ma pan syna studenta – odpowiedział z radością.

– Skąd, on chodzi do liceum, tylko śpieszy się, żeby być dorosłym i udaje studenta – wyjaśnił. – Ale pan nie powinien tam chodzić. Prezes Jurski nigdy nie poszedłby w takie miejsce bez ochrony – dodał.

– Przecież wiem o tym, ale ja nie jestem Jurskim... Mnie nikt nie zna.

– Ja rozumiem, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże... Nie powinien pan sam chodzić w takie miejsca...

– W jakie miejsca?

– No, w takie, w których jest rozbawiony tłum... Trzeba liczyć się z tym, że niektórzy mogą być za bardzo rozbawieni albo pijani... Szkoda, że mnie pan nie uprzedza o takich eskapadach – Julian wyczuł pretensję w jego głosie.

– Dobrze, to na przyszłość, a dziś będziemy ostrożni.

– Uważa, że tam jest niebezpiecznie? – zapytała Małgorzata, gdy skończył rozmowę.

– Mówi, że w takie miejsca, gdzie jest rozbawiona młodzież, pan Jurski nie poszedłby bez ochrony.

– Boże, jak ja się do tego przyzwyczaję... – odpowiedziała zrezygnowana.

– Nie przejmuj się, do wszystkiego można się przyzwyczaić. Wszystko przecież ma swoje dobre i złe strony.

– A co w tym wypadku ma swoją dobrą stronę? – zapytała, nie wychodząc z kuchni.

– To, że mamy swoje mieszkanie, pieniądze, możemy pomagać innym...

– Może i możemy, ale czy komukolwiek pomogliśmy?

– Jak to, nie słyszałaś, że koncern zaczyna budować tanie mieszkania dla

pracowników. Będą one sprzedawane bez zysku, w dodatku na raty płatne przez dwadzieścia lat, bez oprocentowania... Młodzi, zdolni pracownicy będą mieli nawet umarżane spłaty – czy to nie jest pomoc?

– Niektórzy twierdzą, że bezinteresownie może pomagać tylko biedny biednemu. Natomiast jak bogaty komuś pomaga, to tylko po to, żeby uzależnić go od siebie.

Julian zamilkł i zaczął się zastanawiać, czy w jego pomocy nie kryje się jakaś forma chęci uzależniania, i doszedł do wniosku, że jednak tak, ponieważ wszyscy beneficjenci muszą podpisywać rozmaite zobowiązania...

Małgorzata przyniosła kolację i tym samym przerwała Julianowi rozmyślanie na temat bezinteresownej pomocy.

W drodze do pracy kupił „Głos Patriotów”. Na pierwszej stronie znajdował się tytuł: „Przepraszamy koncern JURSKI GROUP”. Poniżej był artykuł wyjaśniający dość obszernie całą sprawę. Tytuł wydrukowano tą samą czcionką co tytuł wczorajszego artykułu, ale był tak wkomponowany w stronę, że zdaniem Juliana niewystarczająco rzucał się w oczy. Zwłaszcza że tuż pod nim był artykuł o ekologii ze znacznie większym nagłówkiem.

Julian natychmiast zadzwonił do dyrektora Wysockiego i dość agresywnym tonem zapytał:

– Czy jest pan zadowolony z dzisiejszego artykułu w „Głosie Patriotów”, bo zakładam, że już go pan widział?

– Widziałem, panie prezesie, i jestem oburzony. Już do nich dzwoniłem, ale jeszcze nikt się tam nie zgłasza. Oczywiście, nie popuszczę im, panie prezesie. Wczorajsze ustalenia były zupełnie inne.

– I bardzo dobrze – powiedział Julian, po czym rozłączył się.

Zadzwonił też do dyrektora Rogulskiego i zapytał, czy jego zdaniem jeszcze nie pora, żeby uruchamiać kampanię wyborczą.

– Niestety, panie prezesie, trzeba czekać na decyzję prezydenta. Okazuje się, że musi on wydać decyzję o rozpoczęciu kampanii – wyjaśnił dyrektor.

– Coś podobnego, nie wiedziałem o tym... – zdziwił się Julian.

– Ja też nie wiedziałem, ale jak się dowiedziałem, to doszedłem do wniosku, że to słuszne, bo inaczej niektórzy prowadziliby kampanię od wyborów do wyborów.

– Cha, cha, pewnie tak.

– Ja pilnuję tego i myślę, że to niedługo nastąpi... Może nawet w przyszłym tygodniu... – wyjaśnił dyrektor. – Poza tym jesteśmy gotowi i czekamy. Mamy zamówione billboardy z wizerunkami panów i z tymi hasłami, które wtedy uzgodniliśmy, są przygotowywane dwa spoty, które będziemy puszczać

w telewizji. Z kolei panowie muszą się mentalnie przygotować do rozmów z dziennikarzami i udzielania wywiadów... Muszą panowie też mieć jakiś program, jakieś obietnice przedwyborcze... Doszedłem także do wniosku, że potrzebna będzie również jakaś namiastka komitetu wyborczego... Wie pan, że trzy osoby, które umawiałyby panów z dziennikarzami, odbierały telefony, ustalały terminy, udzielały informacji, prowadziły korespondencję, a co najważniejsze, zajęły się organizacją zbiórki podpisów.

– Jakich podpisów? – zapytał zdziwiony.

– Wie pan, żeby być na liście wyborczej jako kandydat na posła, trzeba należeć do partii i dogadać się z jej kierownictwem, żeby pana wytypowali... Od pewnego czasu jest jeszcze druga możliwość, polegająca na zebraniu odpowiedniej liczby podpisów... Dawniej nie było tej furtki i kandydować mogli tylko członkowie partii, co było niesprawiedliwe w stosunku do całej reszty bezpartyjnych obywateli.

– Ależ to się rozbudowuje – zdziwił się Julian. – To i lokal jakiś trzeba im zapewnić...

– Niestety, ale jeżeli chcemy to poważnie potraktować, to tak trzeba, panie prezesie. Na biuro mam lokal przy naszym centrum informacyjnym, w samym śródmieściu Warszawy... Wie pan, gdzie to jest?

– Pewnie.

– Damy im tam dwa pokoje i już. Z członkami tego komitetu też nie widzę problemów, bo oddeleguję od siebie Ewę Wróbel i Tomka Gromka. Brak mi tylko trzeciej osoby... Może pan prezes ma kogoś?

Julian zawahał się chwilę ze względu na Ewę, ale uznał, że właściwie kto jak kto, ale ona doskonale się do tego nadaje, szczególnie w kontaktach z mężczyznami.

– A kto to jest ten Tomek Gromek?

– To jeden ze specjalistów do spraw reklamy i marketingu... Bardzo zdolny młody człowiek... Zresztą nie tylko on. Pani Ewa również jest wyjątkowo zdolną, operatywną i ambitną kobietą. Uważam, panie prezesie, że z taką ekipą jest duża szansa na sukces.

– To cóż, panie dyrektorze. Wychodzi na to, że muszę panu dodać Halinkę do tej ekipy. Może nie jest tak piękna jak pani Ewa, ale również bardzo zdolna, operatywna i ambitna.

– A wie pan, panie prezesie, że właśnie o niej myślałem... Ale jest jeszcze jedna sprawa. Będą potrzebne panów życiorysy. Tylko one muszą być bardzo przemyślane, bo przecież konkurenci zaraz zaczną je analizować i na pewno będą próbować znaleźć jakieś słabe strony albo coś niezgodnego z prawdą...

– Tak myślę, że te podpisy najłatwiej dałoby się zebrać w naszych zakładach... – Julian rzucił pomysł.

– Myśli pan, że załoga tak chętnie pana poprze?

Julian zdał sobie sprawę, że Jurski przez kilkadziesiąt lat zapracował sobie na nie najlepszą opinię.

– Zresztą mniejsza o to, ale tu jest taki problem, że ktoś może powiedzieć, że lokalni kierownicy wywierali nacisk na pracowników, a chyba nie jesteśmy w stanie dopilnować, żeby takie przypadki się nie zdarzyły.

– Ja widzę, że te trzy osoby to może być za mało.

– Zobaczymy. W razie czego dołożymy, panie prezesie.

Gdy tylko skończył rozmowę, natychmiast zadrżała Halinka i powiedziała, że dzwoniła pani Anna Jurska i bardzo prosiła o kontakt w pilnej sprawie. Zadzwoił więc natychmiast, zastanawiając się, co mogło się stać.

– Mam złą wiadomość. Alicja nie żyje – powiedziała ze smutkiem i bez żadnych wstępów.

– Ojej, kiedy to się stało? – zapytał poruszony tą wiadomością.

– W nocy, we śnie. Lekarz powiedział, że około trzeciej nad ranem.

– Hm. Chyba nie dbała o siebie...

– Nie dbała – to mało powiedziane. Ona szkodziła sobie...

– A co na to pan Wiktor?

– Widzę, że się przejął.

– Proponuję, żeby państwo się niczym nie zajmowali. My to wszystko załatwimy. Poprosiłbym tylko panią o dowód osobisty pani Alicji i dokument, który wydał lekarz.

– Dobrze, dobrze, ja to przygotuję.

– Tylko nie wiem, jak z rodziną... Czy pani zawiadomi? Bo ja nie wiem kogo...?

– Ja zawiadomię... – mówiąc to, zaczęła płakać.

– Ja nawet nie wiem, jak panią pocieszyć, pani Anno. Domyślam się, że przyjaźniły się panie od kilkadziesiątu lat.

– No, odkąd była żoną Michała. Chyba ponad czterdzieści lat – znów zaczęła szlochać.

– Postaram się przyjechać koło dwunastej. Porozmawiamy dłużej i dokładnie wszystko uzgodnimy.

– Dobrze, panie Michale, dobrze. To do zobaczenia.

Przez roztargnienie nazwała go Michałem, nie przypuszczając nawet, jak bardzo wzburzy tym jego umysł. Usłyszawszy to, uświadomił sobie, że przecież to jego żona umarła. Nagle przez jego mózg przebiegła lawina kilkadziesiątu lat wspomnień.

Właśnie wracał z pracy do domu, gdy zadzwonił telefon i dyrektor Wysocki

zrelacjonował swoje rozmowy z redakcją:

– Oni po prostu, panie prezesie, fizycznie nie byli w stanie nagle zmienić całego układu pisma – tłumaczył dość chaotycznie. – Po prostu numer w ogóle by się nie ukazał, a przecież nie o to chodzi. W tej sytuacji proponują, że ten artykuł ukaże się nie jeden raz, a trzy razy w trzech kolejnych dniach, oczywiście jeżeli pan to zaakceptuje, panie prezesie.

– No dobrze, Wysocki, już niech będzie – odparł Julian, chcąc mieć wreszcie spokój.

W czasie rozmowy z Wysockim Julian nabrał podejrzania, że redakcja „Głosu Patriotów” może gazetę z przeprosinami objąć kolportażem jedynie w Warszawie i okolicy, a na pozostałą część Polski rozprowadzić egzemplarze bez tego artykułu.

Na wszelki wypadek od razu zadzwonił do Dworaka i podzielił się z nim swoimi obawami. Powiadomił go również o śmierci pani Jurskiej i poprosił, żeby zaraz wysłał kogoś, kto z ramienia koncernu zająłby się pogrzebem.

Małgorzata ledwo na niego spojrzała i od razu zapytała:

– Czy coś się stało?

– Tak. Umarła pani Jurska. Żona mojego szefa. Ja tylko cokolwiek bym zjadł i muszę tam jechać.

Jadł pewien czas w milczeniu. Małgorzata też się nie odzywała.

– Musimy dziś, a najpóźniej jutro kupić sobie ciemne ubrania – powiedział, przerywając na chwilę jedzenie.

Małgorzata podeszła do niego od tyłu, nachyliła się, pocałowała go w policzek i ze współczuciem powiedziała:

– Mój ty biedaku, przejąłeś się... A czy jakoś ktoś zawiadomi pana Jurskiego?

– On nikomu nie podał adresu. Dzwoni tylko czasami z ukrytego numeru, więc nie ma jak go zawiadomić.

– Przykre... – powiedziała z żalem w głosie.

– Przykre, ale gwarantuję, że i tak by nie przyjechał.

Nie przepadał za kontaktami z mieszkańcami rezydencji Jurskich. Dziś ze zrozumiałych względów jechał szczególnie niechętnie. Gdy dotarł, był już pracownik przysłany przez Dworaka.

Anna zaprowadziła go do pokoju zmarłej, która była już ubrana w długą ciemną suknię. Obok na stoliku stały wazonie białe kalie i paliła się gromnica.

– Los łaskawie się z nią obszedł – powiedziała Anna i nachyliła się, żeby

poprawić ułożenie rąk Alicji. – Jest taka pogodna... Widać, że na pewno nie cierpiała – dodała i uklękła przy niej.

„Rzeczywiście” – pomyślał Julian. – „Wygląda lepiej niż za życia”.

Przypomniało mu się, jak ją poznał. Nie miała wtedy więcej jak dwadzieścia lat. Była dość ładna, wesola, dowcipna, otwarta na wszystko i posiadała dużą umiejętność nawiązywania kontaktów. Od razu się nią zainteresował i zaczęli się spotykać. Dość szybko wzięli ślub. Za szybko. Na dobre zaczęli się poznawać dopiero po ślubie. Była kobietą ekspansywną, narzucającą się, apodyktyczną.

On też lubił rządzić.

Ponieważ zdołał już się sprawdzić jako właściciel przedsiębiorstwa, uważał że ma prawo samodzielnie podejmować wszystkie decyzje, nawet takie, które małżonkowie na ogół podejmują wspólnie. Na tym tle często dochodziło do sprzeczek.

Kiedyś doszło do poważnej kłótni o metody wychowywania syna. Alicja powiedziała, że jeśli będzie się wtrącać, to zabierze chłopca i wyjedzie do rodziców do Szczecina. Przestał się angażować w wychowywanie syna i dał jej wolną rękę, a swoje kontakty z nią ograniczył do minimum. Od tamtej chwili coraz bardziej się od siebie oddalali. Oboje akceptowali tę sytuację, uważając, że tak jest lepiej.

Gdy Wiktor dorósł, odnowiła znajomość ze swoimi dwiema szkolnymi koleżankami. Michał podśmiewał się w duchu, że założyły babski klub, ale mu to nie przeszkadzało. Można powiedzieć, że nawet był z tego zadowolony. Jego firmy przynosiły już ogromne jak na owe czasy zyski i Alicji nie brakowało pieniędzy na stroje, teatry, wystawne bale, wyjazdy zagraniczne i wszelkie inne rozrywki. Ponieważ nie umiała i nie chciała niczego sobie odmawiać, lubiła też wypić.

Przyszedł moment, że została bez koleżanek, gdyż jedna wyszła za mąż i wyjechała na stałe do Australii, a druga zginęła w wypadku lotniczym. Wtedy zaczęła pić na dobre i tak już było do wczoraj.

Anna wstała powoli, opierając się obiema dłońmi o brzeg tapczanu.

– Może chce pan trochę tu zostać? – zapytała, wrywając go z zadumy.

– Nie, nie. Pójdę z panią – odrzekł.

– Ten miły pan, który tu przyjechał, obiecał, że wszystkim się zajmie – powiedziała, gdy już byli na korytarzu.

– A czy mógłbym jeszcze w czymś pomóc?

– Chyba nie... A jeśli, to w razie czego zadzwonię.

– Czy z kolei ja mógłbym mieć jedną prośbę? – zapytał nieśmiało.

– Oczywiście, bardzo proszę.

– Wie pani, ja mam robić doktorat i w poniedziałek rano w związku z tym czeka mnie w Łodzi spotkanie z rektorem. W tej sytuacji mam prośbę, że gdyby państwo ustalali termin pogrzebu, to byłbym bardzo wdzięczny, gdyby udało się zaplanować ceremonię na popołudnie. W pozostałe dni jestem do dyspozycji od

rana do wieczora.

– Oczywiście, weźmiemy to pod uwagę... Ale myślę, że to będzie najpóźniej w tę sobotę... Dziś przecież dopiero środa. Zostaje dwa i pół dnia na załatwienie wszystkiego. Myślę, że to wystarczy.

– To bardzo dziękuję... A proszę mi jeszcze powiedzieć, czy jest gdzieś pan Wiktor, bo chciałbym mu złożyć kondolencje.

– Oj, wie pan, nie... Dziś może nie. Lepiej po pogrzebie...

– Rozumiem. W takim razie do widzenia, pani Anno, i w razie czego proszę dzwonić. Niech się pani nie krępuje i dzwoni o każdej porze.

– Dziękuję. Jest pan bardzo dobry. Do widzenia i życzę powodzenia u rektora.

– Dziękuję, pani Anno, i do zobaczenia.

Jak tylko wszedł do domu, poczuł zapach obiadu. Małgorzata parokrotnie mocno go pocałowała i zapytała o samopoczucie.

– Wiesz, kochana, jak tylko się tu znalazłem i zobaczyłem ciebie, to od razu mi lepiej.

– To siadaj. Zjesz teraz czy później?

– Później to powinniśmy jechać kupić ubrania. Chyba że masz jakieś inne propozycje...

– Nie, innych nie mam, możemy jechać... Lepiej tego nie odkładać.

Julian pomyślał, że nawet nie ma co porównywać wzajemnych stosunków między Jurskimi do tych, jakie panują między Małgorzatą i nim, i pierwszy raz tego dnia uśmiechnął się.

– Świetnie. Jeśli ci tak pasuje, to możemy zjeść od razu – powiedział zadowolony.

Gdy Małgorzata nakładała obiad, zadzwonił telefon Juliana. Był to Dworak.

– Co tam, panie dyrektorze? – zapytał Julian.

– Wie pan, miał pan rację. Jednak pan to ma wycucie. Dzwoniłem do naszych ludzi we Wrocławiu, Szczecinie i w Sanoku. Kupili gazety i mam już informacje z Wrocławia i z Sanoka. Oczywiście, jest tak, jak pan podejrzewał... Jeszcze czekam na Szczecin...

– Niech pan nie czeka, Dworak... Niech pan w moim imieniu zadzwoni do Wysockiego i powie mu, żeby tego dopilnował.

– Już dzwonię, panie prezesie.

– Panie Julianie – poprawił go Julian.

– Tak jest, panie Julianie...

Szybko zjedli i wyszli z domu.

– Myślę, że ty będziesz kupować pierwsza – powiedział w drodze do

samochodu. – Tobie chyba będzie trudniej coś znaleźć. Jak już ty coś kupisz, wtedy ja raz dwa wypatrzę coś dla siebie.

– Tak? – odpowiedziała, jakby nie rozumiała jego intencji.

– No tak, przecież muszę pasować do ciebie, a jak uważasz?

– Tak, tak. Po prostu zamyśliłam się trochę. Wiesz, ta śmierć taka przykra. I w ogóle ta cała sytuacja z panem Jurskim... Dobrze, że jesteś taki kochany.

– Nie martw się. We dwójkę jakoś przez to przebrniemy – pocieszył ją.

Julian nic nie mówił, ale obawiał się, że Małgorzacie będzie trudno się zdecydować i znalezienie czegoś, co jej się spodoba zajmie dużo czasu. Okazało się, że jego obawy były bezpodstawne, gdyż szybko wpadł jej w oko bardzo elegancki kostium koloru ciemnej śliwki. Szczęście jej dopisało, bo był jej rozmiar. Bez wahania go przymierzyła. Pasował, jakby był na nią uszyty. Julianowi zabrakło słów zachwytu, gdy wyszła z przymierzalni.

Szybko udało się znaleźć szpilki prawie identycznego koloru. Całości dopełniła bluzka z białej koronki. W ten sposób jej zakupy nie trwały dłużej niż półtorej godziny.

– Nie myślałem, że uda się tak szybko to załatwić – powiedział ze szczerym podziwem.

– A ja nie myślałam, że kiedykolwiek tyle wydam na ciuchy – powiedziała z zażenowaniem.

– Och, ty moja kochana, cudowna, skromna kobieto – szepnął jej do ucha.

– Chodź teraz szukać czegoś dla ciebie... Masz już jakiś pomysł? – zapytała, nie chcąc mu niczego za wcześnie doradzać.

– Wiesz, myślę, że ciemnobrązowy garnitur byłby dobry... Ja nie jestem rodziną, więc mnie żałoba nie obowiązuje... Czy myślisz, że jednak raczej czarny?

Niedawno był pełen obaw, że Małgorzacie trudno będzie się zdecydować, tymczasem sam teraz miał właśnie taki problem.

– Nie należysz do rodziny, ale jesteś najbliższym współpracownikiem, więc myślę, że czarny nie zaszkodzi. Za bardzo na tym się nie znam, ale wydaje mi się, że czarny z ciemną śliwką nie powinien się kłócić.

– To kupujemy czarny. Na pewno będzie łatwiej go znaleźć. Wszędzie ich pełno.

– Wiesz, nie chciałabym przy okazji pogrzebu robić rewii, ale myślę, że do czarnego garnituru mógłbyś włożyć fioletową koszulę. Fiolet to też jest kolor żałoby, a trochę ożywiłby tę czerń.

– Oczywiście, nie ma problemu... I będzie widać, że stanowimy parę.

Wrócili do domu obładowani paczkami, a udane zakupy trochę poprawiły im nastrój.

– Chodź, poprzymierzamy to wszystko. Tu lepiej będzie można ocenić, jak się w nich prezentujemy... – powiedziała Małgorzata i zaczęła się rozbierać.

– Oczywiście, przecież tam każdą rzecz przymierzałaś oddzielnie, a to trzeba zobaczyć wszystko w komplecie.

Julian patrząc na nią pożądlivym wzrokiem, też zaczął się rozbierać.

– To niedojda ze mnie. Zapomniałem o krawacie! – powiedział ze złością.

– Nic się nie stało. Dokupimy – odpowiedziała łagodnie.

– Wiesz, jaka ty jesteś w tym piękna? Jaka elegancka... Taka... – szukał odpowiedniego określenia. – Taka dostojna, że aż onieśmielasz – dokończył.

Podeszła do niego i zaczęła go całować.

– Idź do przedpokoju, zobacz się w lustrze – popchnął ją w stronę drzwi.

Przeszła przez pokój jak modelka, drobnymi krokami, lekko pukając obcasami. Zapaliła wszystkie światła i zaczęła się obracać i wyginać przed lustrem, a Julian patrzył na nią jak urzeczony. Gdy już był całkowicie ubrany, podszedł do niej, stanął tuż za nią i pełen podziwu popatrzył w lustro.

– Małgochna, moja Gosieńka. Moja piękna, kochana – powiedział z zachwytem. Stanął między nią a lustrem i zaczął ją obejmować i całować.

Ukląkł przy niej, przekręcił głowę w bok, przyłożył policzek do jej brzucha, objął ją i z całej siły przycisnął do siebie.

Zamarli w tej pozycji na długą chwilę, myśląc o sobie nawzajem.

Wypuścił ją z objęć, włożył ręce pod jej spódnicę i zaczął głaskać ją po udach. Następnie obciągnął jej do dołu rajstopy razem z majteczkami, zadarł spódnicę i zaczął całować ją w nagi brzuch.

Małgorzata wsunęła dłonie w jego gęstą czuprynę i zaczęła gładzić mu tył głowy i kark.

Pieścili się tak dość długo, pobudzając wzajemnie swoje zmysły.

Po kilku, może kilkunastu minutach wstał, wziął ją na ręce, zaniósł na tapczan i zaczął ją powoli rozbierać i pieścić. Ona też go rozbierała i delikatnie dotykała w czułe miejsca...

Wstali o szóstej przed wieczorem. Wspólnie zrobili kolację i zaczęli jeść.

– Ty wiesz, że ja porządnie zgłodniałam? – powiedziała i zaczęła się śmiać.

– Nie dziwię się. Po takim wysiłku... – odpowiedział i pogładził ją po przedramieniu. – Tym bardziej że nie jedliśmy obiadu – dodał z uśmiechem.

– Nie ma czego żałować, to było lepsze niż obiad – podsumowała.

– Powiedz, czy nie myślałaś, żeby się przenieść ze studiami do Warszawy?

– A chciałbyś? – zapytała z przekorą.

– Jak możesz wątpić?

– Wiem, ale chciałam się upewnić... Myślę, że jak dostanę się na drugi rok, to będę próbować.

– Koniecznie – powiedział stanowczo.

- To będzie zależało od tego, jakie będę miała stopnie.
- I od tego, czy będzie jakieś wolne miejsce – dodał Julian.
- Podobno zawsze po pierwszym roku sporo osób odpada...
- A teraz zmieniając temat, muszę ci trochę powiedzieć o sprawach, jakie dostałem w spadku po panu Jurskim... Otóż pewno pamiętasz, jak opowiadałem, że pan Jurski chciał zająć się polityką... Resztę sobie dopowiedz...
- Julianie, ja już się nieraz przekonałam, że to wszystko przekracza możliwości mojej wyobraźni... Naprawdę nie wiem – powiedziała z uśmiechem. – Jak mi powiesz, że chcesz założyć partię, to już się nie zdziwię... I chyba bym do niej przystąpiła. Miałbyś przynajmniej jednego lojalnego członka – dodała.
- Akurat nie do partii, tylko do parlamentu – zwięźle zakomunikował.
- Cha! Cha! Cha! No widzisz, czułam, że mnie zaskoczysz... A mogłam zgadnąć, bo przecież na jesieni są wybory... – powiedziała ze śmiechem, ale natychmiast spoważniała i dodała: – Ja się boję tylko jednego: że będziemy się widywać raz na miesiąc.
- Kochanie, prędzej zaniedbam parlament niż ciebie.
- Bardzo bym chciała, żebym nie musiała przypomnieć ci kiedyś tego, co teraz mówisz – powiedziała poważnie.

Przyjechali do kościoła dość wcześnie. Była już Anna, Wiktor i kilku członków dalszej rodziny zmarłej. Trumna stała na katafalku. Palilo się kilka świec.

Julian i Małgorzata podeszli i położyli wieniec, a następnie odeszli parę kroków w tył.

Małgorzata zaczęła czytać napis wygrawerowany na mosiężnej tabliczce opartej o trumnę: „Alicja Jurska z domu Filipiak, urodzona w 1958 roku...”. Resztę napisu zasłaniały kwiaty.

„Żegnaj, Alicjo” – powiedział Julian w myśli.

„Żegnaj, Michale” – usłyszał cichą, ale wyraźną odpowiedź.

Małgorzata nie zareagowała na to, najwidoczniej nie słysząc odpowiedzi, która była skierowana tylko do niego.

„Wybacz mi, Alicjo, wszystkie moje winy...” – pomyślał, patrząc na trumnę. – „I życzę ci, żeby tam było ci lepiej” – dodał niepewnie.

„Wybaczam ci, bo wiem, że się zmieniłeś” – odparła Alicja.

Chwilę postali, po czym odeszli kilkanaście kroków i usiedli na ławie.

Znów zaczął myśleć o Alicji i o tym, że udało mu się z nią w tak prosty sposób porozumieć. Dziwił się, że do tej pory nigdy tego nie spróbował. Przypomniało mu się, że nieraz słyszał albo czytał o zjawisku telepatii, ale nigdy poważnie tego nie traktował. Tymczasem dziś niespodziewanie sam tego

doświadczył.

Kościół stopniowo zapełniał się uczestnikami pogrzebu – przede wszystkim pracownikami koncernu. Gdy główna nawa całkiem się zapełniła, rozległ się dźwięk dzwonka, po czym weszło dwóch księży i ministranci. Zagrały organy i zaczęła się msza.

W miarę upływu czasu, Julianowi coraz bardziej podobał się spokojny, pełen powagi, a zarazem podniosły klimat tej uroczystości.

Usiłował sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz uczestniczył w mszy. Niestety, nie pamiętał, ale było to bardzo dawno, gdyż pan Jurski od kilkudziesięciu lat był zdeklarowanym ateistą. Postanowił teraz to nadrobić i zacząć chodzić do kościoła.

Nastrój panujący w kościele sprawiał, że zaczął myśleć o wszystkich dziwnych wydarzeniach, jakich ostatnio doznawał, i nie umiając ich wytłumaczyć, uparcie zaliczał je do kategorii przypadków.

„Coś w tym jest” – myślał. – „Jednoznacznie wszystko wskazuje na to, że ktoś usiłuje się ze mną skontaktować, tylko że ja przez te lata znieczuliłem się, zatraciłem duszę i jedynie chwilami coś się we mnie budzi...”.

Piękną atmosferę dodatkowo wzbogacała wspaniała gra na skrzypcach, sprzyjająca smutnej zadumie i tęsknocie za czymś lepszym, nieznanym.

Po mszy wszyscy wyszli na cmentarz, gdzie miała się odbyć druga i zarazem ostatnia część uroczystości. Szło się dość daleko wąskimi alejkami wśród grobów. Zniknął już nastrój skupienia. Przeciwnie, wszyscy rozglądali się, rozmawiali z sobą i z ciekawością wypatrywali, jak kto jest ubrany i kto z kim przyszedł. W powietrzu unosiła się woń będąca mieszaniną zapachu potu, rozmaitych perfum i wód kolońskich.

– Piękne były te dwa utwory grane przez zespół smyczkowy – powiedział półgłosem do Małgorzaty i wziął ją pod rękę. – Jeden to chyba Ave Maria, ale drugi – nie wiem.

– Drugi to Aria na strunie G Jana Sebastiana Bacha – wyjaśniła i przytuliła się nieco do niego.

Julian i Małgorzata szli w środku grupy. Niedaleko było widać dyrektora Dworaka z małżonką, dyrektora Rogulskiego z sekretarką Ewą Wróbel, dyrektora Wysockiego i mnóstwo różnych innych osób pracujących w zarządzie koncernu.

– Widzę, że dobrze mi doradziłaś, żeby kupić czarny garnitur – szepnął do Małgorzaty, spoglądając na innych.

Gdy wreszcie doszli, ksiądz rozpoczął mowę pożegnalną, w której prosił Boga o przyjęcie zmarłej pod swoją opiekę.

Julian stojąc z Małgorzatą przy dość okazałych rozmiarów jałowcu, dyskretnie się rozglądał. Nagle jego wzrok spotkał się ze wzrokiem Ewy. Ukłonił się, kiwnąwszy głową. Ewa odpowiedziała skinieniem, a na jej twarzy pojawił się

ten sam czarodziejski uśmiech Mony Lisy, który tak go kiedyś zafascynował i pozbawił rozsądku.

Ilekoć przypominał mu się tamten wieczór spędzony z Ewą w „Alhambrze”, zawsze robiło mu się wstyd i żal, że wcześniej się z tego nie wycofał.

– Piękna jesteś, a w tym kostiumie jesteś naprawdę kobietą z klasą, taką dostojną. Nic dziwnego, że wszyscy na ciebie patrzyli, zwłaszcza mężczyźni... – powiedział w drodze powrotnej.

– A powiedz, kto to jest ta ładna młoda blondynka, która stała po drugiej stronie?

– Sekretarka dyrektora Rogulskiego... To znaczy dyrektora do spraw reklamy.

– Co chwilę na ciebie patrzyła.

– Tak uważasz? Bo według mnie ona patrzyła na ciebie... Ale mnie to nie przeszkadza.

W poniedziałek rano pojechał do rektora Wawrzyniaka. Niestety, powiedziano mu, że pan rektor jest na egzaminie, który powinien się skończyć około godziny jedenastej.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła dziewiąta. „Nieźle się urządziłem” – pomyślał z żalem. – „Trzeba było przyjechać wcześniej”.

Zastanawiając się, jak wykorzystać wolny czas, wpadł na pomysł, żeby pojechać do salonu samochodowego „Maxwel” i popatrzeć na nowe modele. Nie tracąc czasu, od razu wyszedł z uczelni i pojechał.

W wielkiej hali stało kilkadziesiąt samochodów. Podobały mu się trzy. Były drogie, ale przecież żadna cena nie przekraczała jego możliwości. Nie chciał tylko zbyt oszołomić Małgorzaty, więc brał pod uwagę jeden z najmniejszych, który i tak był większy od obecnego i znacznie bardziej reprezentacyjny.

„Chyba ten wybór pogodzi wymogi mojego stanowiska ze skromnością Małgorzaty” – myślał, jadąc na Rembielówkę.

Gdy przyjechał, zastał ją nad książką.

– Co tak szybko? Już załatwiłeś? – zapytała ucieszona.

– Co ty, łatwiej kupić samochód, niż dostać się do rektora.

– Nie opowiadaj, że kupiłeś...

– Nie, ale obejrzałem i raczej jestem zdecydowany. Pojechałabyś ze mną?

– Julianie, bój się Boga. Ja nie wiem, czy kiedyś się do tego przyzwyczaję – powiedziała, wstając z krzesła.

Julian pomyślał, że już jest trochę przyzwyczajona, skoro od razu się podniosła.

– Pojechałabyś ze mną? – ponowił pytanie, choć widział, że już się szykuje.

– No, a mam inne wyjście? – powiedziała, obejmując go za szyję. – Ty narwańcu – dodała i zaczęła go całować.

Jadąc z Małgorzatą do salonu, Julian cieszył się podwójnie. Po pierwsze, zanosilo się na kupno samochodu, po drugie, Małgorzata prócz błyskotliwej inteligencji wykazywała duże zdolności dostosowawcze.

– Oł, ale bryki – powiedziała, jak tylko weszli. – Ale prowadź od razu do tej, która cię interesuje.

Julian na wszelki wypadek nie mówił, że samochód ma dwieście osiemdziesiąt koni i bogate wyposażenie. Otworzył lewe drzwi i poprosił, żeby usiadła za kierownicą. Zrobiła krok do przodu, ale trochę się zawahała.

– Nie krępuj się – zachęcił ją, uśmiechając się.

Usiadła na fotelu i położyła dłonie na kierownicy.

– Super – powiedziała z zachwytem. – A właściwie jak ten model się nazywa? – spytała.

– Perseus – wyjaśnił. – Maxwell Perseus.

Podszedł do nich sprzedawca i zaproponował pomoc.

– Zastanawiamy się nad kupnem, ale nie jesteśmy przekonani do tej maści – powiedział Julian żartobliwie.

– Jeżeli zechcą państwo zaczekać pół chwili, to zaraz przyniosę wzornik kolorów – sprzedawca podchwycił żartobliwy styl Juliana.

– Oczywiście, poczekamy – zapewnił Julian.

– A ty nie chcesz tu usiąść? – zapytała Małgorzata, gdy sprzedawca oddalał się prawie z szybkością dźwięku.

– Ja już siedziałem i bardzo mi się podobało.

Nie upłynęło więcej czasu niż minuta, gdy sprzedawca zjawił się z plikiem kolorowych płytek i zaczął je prezentować.

– O, ten mi się podoba – stwierdziła Małgorzata, widząc głęboki śliwkowy kolor.

– Aha, zupełnie jak twój ostatni zakup. Mnie też się podoba – stwierdził Julian.

Przejrzeni wszystkie płytki i powrócili do śliwkowej. Po krótkiej naradzie doszli do wniosku, że należy się zdecydować na ten kolor.

– Jeżeli państwo są zdecydowani, to zapraszam państwa do recepcji i zobaczę, na kiedy możemy mieć ten kolor.

Poszli do recepcji i sprzedawca sprawdził w komputerze, kiedy można by odebrać wybraną wersję samochodu takiego koloru. Okazało się, że za cztery dni.

– To bierzemy – stwierdził Julian.

Przedstawiciel salonu wypełnił szybko odpowiednie formularze, uzgodnili formę płatności i umówili się na odbiór nie za cztery dni, lecz za pięć, to znaczy w sobotę, ponieważ tak pasowało Julianowi. Szybko zawiózł Małgorzatę do domu,

pożegnał się z nią i pojechał znów na uczelnię.

Przyjechał dziesięć minut po jedenastej. Rektor był już w swoim gabinecie.

Wziął od Juliana oksfordzki dokument i zaczął go oglądać z zainteresowaniem. Robił to bardzo wnikliwie, obracając w dłoniach, pocierając palcem, jakby chciał ocenić jakość papieru. Wreszcie położył go na biurku i zapytał:

– Długo tam byłeś?

– Dwa i pół roku.

– Szybko... Bardzo szybko. A jak długo chciałbyś u nas?

– Rok.

Julian specjalnie strzelił nierealnie krótki termin, ponieważ z doświadczenia wiedział, że im wyższe żądania na początku negocjacji, tym lepszy wynik końcowy.

– Co ty, rok to niemożliwe... To trwa zwykle trzy, cztery lata. Nie można robić takiego wyłomu.

– Wykluczone, nie mogę tyle czekać.

– Nie rozumiem, dlaczego ci się tak śpieszy? Chcesz robić karierę zawodową w tym kierunku? Przecież kariera naukowa to nie jest droga do pieniędzy...

– Uważam, że twoje pytanie jest czysto retoryczne, bo przecież wiesz, że ja mam pieniądze... – Julian zaprzeczył dość kategorycznie.

– No więc właśnie.

– Chcę się zająć polityką i doktorat jest mi potrzebny po to, żeby ludzie się ze mną liczyli, żeby nie mówili, że jakiś gówniarz ich poucza...

– No tak. Młody wiek ma też i swoje wady... Pokaż mi to swoje podanie – wyciągnął dłoń w kierunku Juliana.

Przeczytał podanie, kiwając głową, i powiedział ze współczuciem:

– Pakujesz się w trudny temat. Niemożliwy do praktycznego potwierdzenia i w dodatku wyłamujący się z ogólnie przyjętych poglądów na tę sprawę... Jak chcesz naprawdę szybko zrobić doktorat, to ja mogę ci dać dobry, okrągły, łatwy temat, po którym gładko przejedziesz bez żadnych problemów.

– Nie rozumiem, dlaczego tak stanowczo mi to odradzasz – powiedział trochę zdenerwowany Julian.

– Ja ci nie odradzam, tylko uważam, że niepotrzebnie takimi teoriami narobisz sobie wrogów w świecie biznesu, a co za tym idzie, i w świecie polityki.

– Ja się wrogów nie boję. Jak będzie trzeba, to nawet założę swoją stację telewizyjną i w niej będę przekonywać społeczeństwo do swoich racji – powiedział spokojnie, ale bardzo stanowczo.

Nastąpiła dość długa chwila milczenia, Julian uznał bowiem, że wystarczy tyle, ile powiedział, a rektor zaskoczony takim stanowiskiem rozmówcy potrzebował trochę czasu, aby należycie to zinterpretować. W końcu powiedział

z uśmiechem:

– Widzę, Julianie, że jesteś człowiekiem, na którego warto stawiać. Dostaniesz ten temat, ale nie licz, że obronisz go prędzej niż za dwa lata, bo to by było ośmieszanie uczelni. Zresztą to i dla ciebie lepiej, żeby to nie było zbyt prędko. Myślę, że twoim promotorem zostanie twój dotychczasowy dziekan... On jest dla ciebie bardzo życzliwy, więc wszystko powinno być dobrze.

– Wiesz, lubię cię. Jesteś moim najlepszym kolegą z tamtych czasów – Julian nagle diametralnie zmienił temat, zaskakując tym rozmówcę.

– Ja cię też lubię i dlatego ci pomagam – odparł Wawrzyński z uśmiechem i po chwili namysłu zapytał: – A czy ty pamiętasz, jak się pobiliście z Gutkiem?

– Pewnie, to było na schodach...

– A właściwie o co wam poszło?

– On miał do mnie pretensję, że mu źle podpowiedziałem na kolokwium i przeze mnie zarobił dwóję.

– A, rzeczywiście. Ale przecież ty się dobrze uczyłeś...

– Ja specjalnie tak, bo on mi poderwał moją dziewczynę.

– A, no tak. Pamiętam – powiedział rektor z radością, zupełnie niepasującą do niego i jego stanowiska. – To poszło o Jadwigę...

– No właśnie, właśnie o Więckównę.

Obaj zaczęli się śmiać, zupełnie jakby to wszystko zdarzyło się wczoraj, a nie pięćdziesiąt lat temu.

– Tak, ale powracając do sedna sprawy – powiedział rektor. – To ja chyba bym to widział tak: W tym tygodniu będzie jeszcze posiedzenie senatu, to po posiedzeniu pewnie będziesz mógł wszystko dostać... Najlepiej przyjedź do mnie w piątek.

– No to cóż, dziękuję ci i wobec tego do zobaczenia w piątek... A, i poproszę to – powiedział, wskazując dłonią dyplom Jurskiego.

– Ale wiesz, ja myślałem, że mi to zostawisz.

– Ja go przywiozłem tylko po to, żeby ci pokazać. Po co ci on?

– Wiesz, może się będziesz śmiać, ale ja chciałem go oprawić i powiesić tu na ścianie – mówiąc to, wskazał ręką środek ściany na prawo od biurka... – Niech to będzie taka darowizna dla uczelni.

– W takim razie dobrze, ale dopiero jak dostanę wasz doktorat.

– No trudno, niech i tak będzie – powiedział rektor trochę rozczarowany.

Julian wstał i wyciągnął dłoń na pożegnanie.

Zaraz po wyjściu z uczelni zadzwonił do Małgorzaty, żeby opowiedzieć o wizycie u rektora, i pojechał do Warszawy, a ściślej mówiąc – do pracy. Natychmiast po przyjeździe wysłuchał relacji dotyczących interesujących go spraw

i pojechał na obiad, a później do Anny.

W rezydencji pod jej kierownictwem odbywało się właśnie intensywne sprzątanie.

Chciał najpierw pójść do swojego gabinetu, ale akurat w korytarzu pastowano podłogę, więc zmienił zamiar i podszedł wprost do Anny, żeby chwilę z nią porozmawiać.

– Myślę, że teraz, kiedy nie ma Alicji, to rzeczywiście ten obiekt nie jest nikomu potrzebny – powiedziała ze smutkiem. – Przecież tu mieszkają tylko dwie osoby, Wiktor i ja.

– Należałoby sprzedać albo wynająć. Raczej byłbym za wynajęciem, bo sprzedawać trochę szkoda, tym bardziej że Michał nie był zwolennikiem wyprzedazy majątku... Przeciwnie, chciał, żeby wszystko było jak dawniej.

– A pan nadal nie ma z nim kontaktu?

– Niestety, ostatnio dzwonił jeszcze w zimie. Mówił, że bardzo schudł i leczy się u jakiegoś peruwiańskiego uzdrowiciela... Ale ja już poprzednio o tym opowiadałem...

– Tak, ja pamiętam, tylko myślałam, że może od tamtej pory coś się zmieniło.

– Od tamtej pory nic się nie zmieniło i jeśli on sam nie zadzwoni, to jesteśmy bezsilni. Natomiast jeżeli chodzi o dalsze losy pałacu, to nie chciałbym państwu niczego narzucać. Najlepiej by było, gdyby pani porozmawiała z panem Wiktorem i gdyby państwo przedstawili jakieś propozycje... Oczywiście, nie mówię, że już, ponieważ absolutnie mi się nie śpieszy.

Podczas rozmowy z Anną przypomniały mu się wydarzenia, jakie miały miejsce podczas ostatniej wizyty, i pomyślał, że warto by pójść do gabinetu i zobaczyć, co z piłeczką.

Gdy tylko się pożegnał, jeszcze raz poszedł na górę. Piłeczka leżała w rogu pokoju. Wziął ją w dłoń i zaczął obracać w palcach. „A może on chce, żebym znów zaczął grywać z Małgorzatą?” – pomyślał.

Doszedł jednak do wniosku, że to bzdura. „Ale o co mu chodzi?” – głowił się dalej.

„Julianie, jeśli naprawdę chcesz mi coś przekazać, zrób to wyraźniej” – powiedział w myśli.

„Nie muszę do ciebie mówić...” – przyszła następna myśl, tak wyraźna, że nie wiedział, czy to myśl, czy żywy głos. – „Nie muszę do ciebie mówić, bo jestem tobą. Jeżeli chcesz mnie o coś zapytać, to zajrzyj w siebie. Jurski nie jest mną” – głos mówił coraz głośniej. – „Przypomnij sobie swoje pierwsze przebudzenie. Dziwiłeś się, że masz inny głos... Dlaczego był inny? Bo to ja mówiłem!”

Teraz głos brzmiał całą siłą. Julian go słyszał w całym pokoju, słyszał, jak odbija się od ścian i wraca do niego.

„Za każdym razem, kiedy zechcesz mnie usłyszeć głośno i wyraźnie, krzyknij głośno i wyraźnie, i nie myśl, że jesteś Jurskim w moim ciele, bo to bzdura! Nie wiesz o tym, ale to, co się z tobą dzieje, to nie skutki operacji, tylko przeistoczenie. Rozumiesz? Przeistoczenie! W całym moim ciele są moje geny i one już prawie całkiem przetworzyły mózg Jurskiego! Nawet nie zdajesz sobie sprawy z tego, że cytujesz zdania babci Podhoreckiej, która była mądra i czytana, a babcia Jurskiego ledwo skończyła wiejską szkołę powszechną i daleko jej było do takich refleksyjnych uwag! Twoja matka też niewiele się od niej różniła, a ty jesteś inteligentem w pierwszym pokoleniu! Pierwsze pokolenie łatwo rozpoznać, bo oni nie znają się na niuansach obyczajowych! Przecież ty nawet nie wiedziałeś, że młodszy nie wyciąga ręki na powitanie, jeżeli starszy nie zrobi tego pierwszy! Doktorat dodawał ci pewności siebie, ale to nie mogło zastąpić pracy paru pokoleń! Teraz masz moje zdolności, upodobania i pochodzenie! Posługujesz się już sprawnie lewą ręką, a to dowodzi, że jesteś mną! To wszystko skutki przeistoczenia! Chyba jeszcze trochę pamiętasz, jaki był Jurski!? Był chciwy i podły! Bogacił się na cudzej krzywdzie! Do wszystkich podwładnych ciągle krzyczał, że firma nie przynosi zysku, że nie będzie do niej dokładać, i pod byle pretekstem obrywał im zarobki, tymczasem jego majątek rósł i rósł, a on ciągle wmawiał otoczeniu, że musi dokładać! Zawsze uważał, że to wszystko osiąga dzięki swoim zdolnościom, a to nie było dzięki zdolnościom, tylko dzięki umiejętności wysysania z innych, bo tylko tę cechę rozwinął do perfekcji!”

Ten krzyk przeraził Juliana, rozsadzał go, nie pozwalał mu się skupić, napływał do niego od wewnątrz i z zewnątrz, był wszędzie, osaczał go.

Chwycił się oburącz za głowę i ściskając ją z całych sił, jakby obawiając się, że nagle pęknie, podbiegł do drzwi, łokciem nacisnął klamkę, wybiegł z pokoju i rozpaczliwym machnięciem nogi zatrzasnął je za sobą. Krzyk ucichł.

Wybiegł na dwór, poszedł do parku i próbując zebrać myśli, usiadł na ławce.

Podeszła do niego Anna. Coś mówiła, ale on nie rozumiał. Zatrzymała się przy nim, a on siedział, trzymając się za głowę.

– Panie Julianie, czy dobrze się pan czuje? – zapytała.

Po chwili zorientował się, że ktoś nad nim stoi, drgnął, jakby przebiegł po nim dreszcz, i ze zdziwieniem powiedział:

– Ojej, przepraszam, zamyśliłem się.

– Myślałam, że coś panu jest, bo bardzo pan błądy – powiedziała.

– Nie, nie, nic mi nie jest, tylko kręci mi się w głowie, chyba mam za niskie ciśnienie.

– A, to możliwe, bo dziś taka pogoda... – stwierdziła dość autorytatywnie. – Może panu zrobić kawy?

– Nie, nie. Dziękuję, muszę jechać. W domu się napiję...

– To jak pan uważa, ale czy na pewno czuje się pan na siłach, żeby jechać?

– Oczywiście.

Dyrektor Dworak dopytuje się o pana prezesa – powiedziała Halinka, gdy tylko przyjechał do pracy.

– Tak? To zadzwoń i powiedz mu, że już jestem.

Julian wszedł do swojego gabinetu, usiadł w fotelu, wyjął z teczki gazety, które kupił po drodze, i zaczął je przeglądać.

Zaintrygował go tytuł: „Stronnictwo Obrońców Człowieka domaga się zaprzestania leczenia choroby Alzheimera”.

Zaczął czytać. Okazało się, że leczenie polega na wszczepieniu pacjentowi genetycznie zmodyfikowanych komórek, które skutecznie powstrzymują chorobę. Niestety, stronnictwo jest przeciwne wszelkim modyfikacjom genetycznym. „No tak” – pomyślał. – „Najlepiej cofnąć się do średniowiecza... Szkoda tylko, że tacy mącciele mają swoich posłów w parlamencie”.

Tytuł na pierwszej stronie drugiej gazety brzmiał: „Sztuka bez Boga nie ma wartości”.

W artykule nieznanemu mu dziennikarz twierdził, że sztuka, która nie zawiera pierwiastka wiary ani nie odwołuje się do nauki Chrystusa, nie posiada żadnej wartości. „W takim razie dzieła Homera albo rzeźbę Wenus z Milo można zniszczyć i wyrzucić, bo nie posiadają żadnej wartości” – pomyślał.

Przypomniało mu się, jak na początku dwudziestego pierwszego wieku jeden z posłów do Parlamentu Europejskiego obalał teorię ewolucji...

W dalszych medytacjach na ten temat przeszkodziła mu Halinka, anonsując Dworaka.

– Przepraszam, panie Julianie, ale muszę się z panem poważnie rozmówić – zaczął.

– O, aż się boję – zażartował Julian.

– Nie wiem, czy pan wie, że zaczyna się nasza kampania wyborcza?

– Wiem, że lada chwila ma się zacząć.

– Właśnie i dlatego przychodzę wymóc na panu, żeby się pan zgodził na ochronę... Do tej pory nie nalegałem, ponieważ nie był pan znaną osobą, ale teraz wszystko się zmieni.

– Nie, nie, broń Boże. Mnie jest tak dobrze...

– Ale, panie Julianie, w ostatnich latach nie ruszał się pan bez ochrony. Przecież to dla pana żadna nowość.

Julian chciał zaprzeczyć, ale przypomniało mu się, że jako Jurski rzeczywiście wszędzie jeździł z ochroną, a w dodatku nigdy sam nie prowadził samochodu.

– Dobrze, dobrze, może czasem, ale chyba pan wie, że i premierzy nieraz

chodzą sami po ulicach – bronił się.

– Tak, a od czasu do czasu są oblewani farbą albo giną od kul... I ciągle są napastowani przez dziennikarzy albo takich, którzy koniecznie chcą z nimi porozmawiać.

– Dobrze, Dworak, ale ja nie jestem premierem, nawet posłem jeszcze nie jestem...

– Ale jest pan prezesem ogromnego koncernu.

– Ale nikt o tym nie wie. I, chwalić Boga, nie mam tego napisanego na czole.

– Na razie, ale jak pan zacznie udzielać wywiadów i będzie wisiał na plakatach, to wszystko się zmieni – wypalił jak z pistoletu.

– Dworak, ja wpierw ciebie powieszę.

– Przepraszam, panie prezesie, tak mi się wyrwało.

– Ja się nie gniewam... – odpowiedział, śmiejąc się głośno. – Umówmy się tak: Tymczasem, póki jeszcze nikt mnie nie zna, będę sobie korzystać ze swobody, a później przydzielisz mi dyskretną ochronę, która od czasu do czasu mnie popilnuje.

– Ale pan jest uparty, panie Julianie... W każdym razie niech pan pamięta, że jak się pan po ciemku będzie gdzieś wybierał, to musi pan mieć ochronę... I w dzień, tam gdzie duży tłum, to też... I dobrze by było, żeby do dyskoteki nie chodzić... Zresztą po co ja to mówię? – bezradnie rozłożył ręce. – Przecież pan to wszystko dobrze wie.

Znów jechał do Łodzi. Mimo że te częste jazdy całkiem mu obrzydły, tym razem wyjątkowo cieszył się, ponieważ przez cały poprzedni tydzień zdążył się przyzwyczaić do ciągłej obecności Małgorzaty i teraz bardzo mu jej brakowało. Cieszył się też z drugiego powodu: miał przecież nazajutrz odebrać swoje nowe auto. Miał też zamiar wprowadzić rodziców w swoje najbliższe plany.

Podjechał pod bramę rodziców i wysiadł z samochodu. Mama zobaczywszy go z okna, oderwała się od swoich zajęć i wybiegła mu naprzeciw. On też się ucieszył. Padli sobie w objęcia, jakby dawno się nie widzieli.

– Juluś, ja wciąż nie mogę się przyzwyczaić, że ty z nami nie mieszkasz – powiedziała, gdy tylko skończyli powitanie.

– Ja też, mamo, ale tam mam pracę i nie ma na to rady.

– Wiem, wiem i jesteście z siebie dumni. Małgorzata mi opowiadała, jak dzielnie sobie radzisz ze wszystkimi kłopotami... Nie możemy się z ojcem nadziwić, jak ty szybko dorosłeś i potrafisz pełnić takie poważne funkcje.

– Wiesz, mamo, ja mam też zamiar startować w wyborach do parlamentu.

– Chcesz zostać posłem? – zapytała zdziwiona.

– Tak. Trzeba próbować.

– Chodź do domu – powiedziała, ciągnąc go za rękę. – Pewno jesteś głodny. Musisz coś zjeść.

– Trochę jestem, bo wyjechałem prosto z pracy.

– To siadaj kochany, zaraz dam ci obiad.

Mówiła szybko, nie odrywając od niego wzroku.

– To chcesz zostać posłem... Boże, myśmy zawsze pokładali w tobie duże nadzieje, ale to wszystko znacznie przekracza nasze najśmielsze marzenia... Niedługo tata wróci. To się dopiero ucieszy.

Mama szykując obiad, mówiła chaotycznie. Widać było, że nie może powstrzymać radości. Julian widząc to, był szczęśliwy, że los dał mu takich dobrych rodziców.

– Mamo, ale ty musisz sobie zdawać sprawę, że kandydowanie nie oznacza, że się zostanie posłem... – próbował sprowadzić mamę na ziemię, ale zaraz się okazało, że bez skutku.

– Wiesz? To my z ojcem zaraz zaczniemy mobilizować wszystkich znajomych, żeby na ciebie głosowali.

– Mamo, ale ja będę kandydować z tamtego okręgu, w którym mieszkam.

Niestety, musiał znów dać mamie na otrzeźwienie.

– Oj, to szkoda... Tyle głosów bym ci załatwiła – powiedziała z żalem.

– Mamo, to może ja cię oddeleguję do mojego komitetu wyborczego – zażartował.

– Och! To jest pomysł! – zawołała. – Oczywiście! Przecież mogę wziąć miesiąc urlopu i na ten czas zamieszkać w Warszawie.

– Mamo, ale co ty tam chcesz robić? – zapytał, żałując, że w żartach podsunął jej taki pomysł.

– Cha! Kupię sobie szcudła, zamówię gdzieś tablicę z twoim portretem i hasłem wyborczym i będę chodzić z tym po najbardziej tłocznych ulicach, zaczepiać ludzi i przekonywać ich, żeby na ciebie głosowali, i będę...

Nie udało jej się dokończyć, ponieważ talerz z zupą wypadł jej z dłoni.

– Och, ale narobiłam!

Powiedziawszy to, zaczęła za pomocą szufelki i zmiotki zbierać z podłogi rozlaną zupę i skorupy pozostałe po talerzu. Później wzięła mop i zmyła nim podłogę.

Julian tymczasem, widząc, że mama niefortunną propozycję traktuje zupełnie serio, zaczął łamać głowę, jak ją odwieść od tego pomysłu.

Mama uporawszy się ze sprzątnięciem, nalala mu nowej zupy, postawiła na stole i robiąc wrażenie, że już zapomniała o gwałtownie przerwany wątku z wyborami, powiedziała jakby nigdy nic:

– Słyszałam w radiu, że koncert Jurski ma jakieś kłopoty z korupcją...

– To nie były nasze kłopoty – odrzekł z lekceważeniem. – Tylko tych, którzy

się zajmują publikowaniem takich plotek.

– To prawda, u nas za dużo ludzi się zajmuje mąceniem i krytykowaniem innych, a sami nie są lepsi ani mądrzejsi.

– Właśnie dlatego chciałbym się dostać do parlamentu, żeby z tym walczyć.

– Wiesz, my cię podziwiamy, jak ty sobie dajesz radę z tym wszystkim.

– Mamo, przecież ja studiowałem psychologię marketingu i zarządzanie...

Poza tym mnie to interesowało prawie od dziecka... Ja to lubię, a jak się coś lubi, to siłą rzeczy łatwiej jest to robić.

Julian jeszcze nie dokończył obiadu, gdy ojciec wrócił z pracy.

Dowiedziawszy się od mamy, że syn chce kandydować na posła do parlamentu, zatarł dłonie z radości.

Julianowi się przypomniało, że identycznie zareagowała Ania, kiedy wyjeżdżając na wakacje, dostała od niego tysiąc euro.

„Jednak geny robią swoje” – pomyślał. – „Tak samo manifestują swoją radość”.

– Świetnie! – zawołał ojciec z radością. – Dasz im popalić... Tym zarozumiałym, pewnym siebie cwaniakom, tym obłudnikom, hipokrytom... Tylko błagam cię, patrz krytycznie na to, co robisz, i uważaj, żebyś się nie zagalopował i nie stał taki jak oni.

Mówiąc to, patrzył na syna z uwielbieniem i zarazem z obawą.

– Myślę, tato, że się taki nie stanę, tak mnie wychowaliście i taki będę... – zastanowił się chwilę i dodał poważnym tonem: – A gdybym się zagalopował, to przecież mam wokół siebie takich ludzi, którzy mi o tym przypomną.

– Oczywiście, synku, możesz na nas liczyć – zapewniła mama.

– Oprócz was miałem na myśli również Małgorzatę.

– Właśnie, co u niej? Nie widziałam jej, odkąd Ania wyjechała.

– W porządku, mamo. – Uczy się pilnie i zdaje ostatnie egzaminy. Myślę, że w poniedziałek będzie koniec... Właśnie chcę się do niej wybrać, żeby mi wszystko szczegółowo opowiedziała.

– To świetnie, idź, idź. Nie zaniedbuj jej, taka dziewczyna to skarb – wtrącił ojciec.

Umówił się, że wróci koło dziewiątej, i czym prędzej poszedł.

Wyjątkowo otworzyła mu mama Małgorzaty.

– O, dobrze, że jesteś, bo Gosia cały dzień się uczy. Najwyższy czas, żeby się trochę oderwała – powiedziała z radością i zawołała córkę.

– To w takim razie zaraz wyprowadzę ją na spacer – zażartował.

W tym samym czasie dało się słyszeć tupot nóg na schodach i w przedpokoju ukazała się Małgorzata z roztrzepanymi włosami i w rozpiętej bluzce.

– Wyglądasz trochę marnie – powiedział i uśmiechnął się ironicznie.

– Nie gniewaj się, ale nie mam czasu zadbać o siebie, poza tym nie

myślałam, że tak wcześniej przyjedziesz – mówiąc to, rzuciła mu się na szyję, jakby chciała go przeprosić.

– Mam na myśli, że wyglądasz na niewyspaną, a jeśli chodzi o to drugie, to stęskniłem się za tobą, więc przyjechałem wcześniej.

– W takim razie ja was zostawiam – powiedziała mama, odchodząc.

– Kiedy więc ostatni egzamin?

– W poniedziałek.

– Chciałem cię zaprosić na lody.

– Super, chętnie pójdę. Chodź na chwilę na górę, to się przygotuję.

Przebrała się, uczesała i zameldowała gotowość.

– Stęskniłem się – powiedział, przyciskając ją mocno do siebie.

– Nic z tego, mama do poniedziałku ma wolne – powiedziała z żalem.

Wyszli z domu i skierowali się w stronę budki z lodami, która stała na skraju parku.

Oboje poprosili o konwaliowe.

– Oj, konwaliowe właśnie się kończą, ale jeszcze jakoś wyskrobię – powiedziała z żalem sprzedawczyni.

– Wiesz, ja po tym wypadku do tej pory nie wszystko pamiętam, co było przedtem... – powiedział, gdy już szli alejką. – Tak dziwnie mam te wspomnienia rozdzielone. Wszystko, co było po wypadku, pamiętam wyraźnie, dokładnie jak na zdjęciu, a co było wcześniej, jakoś tak... jak na obrazie malarza abstrakcjonisty, jak ze snu... – przerwał na chwilę i zaczął się zastanawiać, jak najlepiej opisać słowami, to, co chciał jej przekazać. – I te wcześniejsze wspomnienia są przesycone taką tajemniczą, jakby bajkową atmosferą, jakbym przeżywał tamto w jakimś innym, nadrealnym świecie – dokończył.

Jedząc lody, szli tą samą dróżką, na której kilka lat temu pierwszy raz się całowali. Gdy dochodzili do tego miejsca, Małgorzata zwolniła, Julian się zatrzymał, objął ją jedną ręką i zaczął całować. Nagle przerwał, słysząc dzwonek nadjeżdżającego rowerzysty. Małgorzata stanęła na palcach, nadal go całując, on spojrzał w stronę, z której dobiegał dźwięk, i przekonawszy się, że to tylko złudzenie, znów zaczął ją całować. Tym razem jeszcze goręcej, bardziej namiętnie.

Po dość długim czasie zaczęły dobiegać głosy bawiących się dzieci. Głosy przybliżyły się dość szybko. Przeszli się całować i powoli poszli dalej.

Małgorzata wyjęła z kieszeni chusteczkę i zaczęła wycierać dłoni, po której pociekł roztopiony lód. Przy tym zbytnio nachyliła kubeczek i lód wypadł na chodnik.

– Oj! – krzyknęła, jakby wypadło jej coś cennego, i spojrzała na Juliana.

Miała zmartwioną twarz, a w jej oczach pojawiły się łzy.

– Małgosiu, przecież to tylko lód.

W tej chwili do świadomości Juliana dotarło, że właśnie w tym miejscu

przed kilkoma laty pierwszy raz się całowali i wtedy ona, tak jak dziś, jadła konwaliowego loda.

Zupełnie go nie zdziwiło, że to mu się przypomniało, i spokojnie powiedział:

– To chodź, kupimy drugiego. A tymczasem weź mojego...

Niepewnie wyciągnął do niej rękę z niedokończonym lodem.

– Ale konwaliowe są tylko tu – powiedziała ze smutkiem. – Nigdzie więcej ich nie ma.

Wierzchem dłoni obtarła ciekącą po policzku łzę i wzięła loda.

– Mam pomysł – powiedział wesóło. – Chodź, będziemy tu przychodzić na lody, kiedy tylko będziemy mieć wolny czas.

– Dobry pomysł – powiedziała, objęła go jedną ręką i mocno przytuliła się do niego.

Julian też ją objął i tak szli jakiś czas w milczeniu.

Po paru minutach oddała mu resztę loda, mówiąc:

– Dokończ, już mi wystarczy.

Nadal szli w milczeniu, które Julian przerwał, mówiąc:

– Ach, jak to miło być takim zwykłym człowiekiem, tak na luzie, swobodnym.

– Cięży ci to?

– Nie, to nie to – powiedział z namysłem. – Ja to lubię. Taka praca mi odpowiada i nie wywołuje we mnie żadnego napięcia... Chodzi tylko o to, że Dworak coraz częściej mi wspomina, że powinienem korzystać z dyskretnej ochrony.

– No tak. To może być trochę krępujące, ale widocznie można się do tego przyzwyczaić, skoro wielu polityków z tego korzysta... Już parę razy słyszałam to nazwisko. Kim on jest?

– Dworak? Jest dyrektorem do spraw organizacyjno-prawnych. Z wykształcenia jest prawnikiem, a u nas odpowiada za bezpieczeństwo w najszerszym rozumieniu i za wiele różnych rzeczy, które nawet trudno wyliczyć.

– I ta Ewa jest jego sekretarką?

– Nie, Ewa jest sekretarką dyrektora Rogulskiego.

– A, no tak. Już mi mówiłeś... Ładna jest.

– Jest ładna, ale ty i tak jesteś jeszcze ładniejsza...

Chwilę pomyślał i dodał:

– Ona jest ładna, a ty jesteś piękna – powiedział stanowczo. – I ciebie kocham.

– Wracajmy. Ja jeszcze muszę się pouczyć, a ty powinieneś pobyć z rodzicami, bo coś mi się widzi, że ich zaniedbujesz.

– No to wracajmy... Jutro znów zajmę ci trochę czasu.

– Masz na myśli odbiór samochodu?

- Tak. A o jakiej porze ci pasuje?
 - Myślę, że rano parę godzin się pouczę, a później, żeby odpocząć od książki, pojechałabym z tobą.
 - Cha, cha, cha. Ty jednak jesteś pragmatyczką – powiedział z podziwem. – Chcesz się tak uczyć do ostatniej chwili?
 - Mam tylko jedno życie, nie mogę go marnować.
- ***

Małgorzata obudziła się dosyć wcześnie w dobrym nastroju. Jadła śniadanie, powtarzając w myśli to, czego się uczyła wczorajszego wieczoru. Później wróciła do swojego pokoju i zgodnie z planem jeszcze dwie godziny posiedziała nad książką. Na koniec uznała, że jak jutro parę godzin się pouczy, to może bez obaw iść na egzamin.

Wstała z fotela i popatrzyła w okno. Zapowiadał się upalny dzień.

Pomyślała, że Julianowi byłoby miło, gdyby dziś ubrała się lepiej. Zdjęła więc teksasowe spodnie i bluzkę z dzianiny i zaczęła krzątać się po pokoju, mając na sobie jedynie koronkowe majteczki.

Przechodząc koło lustra, odruchowo w nie spojrzała. Minęła je, lecz zawróciła i jeszcze raz w nie popatrzyła, ale tym razem uważniej. „Chyba rzeczywiście nie jestem gorsza od tamtej Ewy” – pomyślała i powoli obróciła się wokół pionowej osi. – „Nawet brzucha nie muszę wciągać...” – myślała dalej. – „I piersi mi nie wiszą, mimo że są spore...”

Podeszła do komódki, wyjęła z szufladki miarkę krawiecką i zmierzyła sobie obwód w pasie i w biodrach. Następnie wzięła kalkulator leżący na regale i podzieliła obwód pasa przez obwód bioder – wyszło 0,7. Uśmiechnęła się z zadowoleniem, zmierzyła się w biuście i znów podzieliła – wyszło 0,69.

„Oj, Gośka, lepiej zmierz sobie obwód mózgu, ty idiotko” – pomyślała ze wstydem.

Odniosła kalkulator i miarkę na miejsce i zaczęła się ubierać. Włożyła na siebie rozkloszowaną kolorową spódniczkę z powiewnej jedwabnej tkaniny i dopasowaną bluzkę z dużym dekoltem.

„Dla młodej kobiety na upał w sam raz” – pomyślała i wzięła z szufladki czerwone etui. Otworzyła je, z uśmiechem wyjęła zaręczynowy pierścionek z brylantem i wsunęła go na palec.

- „Dziś wyjątkowo mogę go włożyć...” – pomyślała i zadzwoniła do Juliana:
- Już jezdę gotowa i mogię jechać – zażartowała.
- Nie mówi się „jechać”, tylko „jechać” – poprawił ją. – W takim razie za chwilę bede pod twoją bramą.

Gdy Julian zobaczył piękną kobietę, która ukazała się na ganku otoczonym girlandami kwitnących klematisów, wyskoczył z auta i wybiegł jej na spotkanie,

chwycił ją wpół i przywarł wargami do jej ust.

– Moja piękna, moja kochana – szepnął jej do ucha.

Spojrzał na nią, gdy poprawiała spadające na twarz włosy, i zauważył pierścionek zaręczynowy na palcu.

– O, no nareszcie. Zaczęłaś nosić – zawołał zachwycony tym faktem i nią.

– Postanowiłam dziś wyjątkowo zrobić odstępstwo od zasad... Ale to tylko dla ciebie, i to tylko naprawdę wyjątkowo – wyjaśniła, gdy wsiadali do auta.

– Twarde masz te zasady – odpowiedział ze śmiechem i zaczął jechać.

– To nie są twarde zasady, tylko tego wymaga kultura. Po prostu taką biżuterię nosi się do stroju wieczorowego. A to ani nie wieczór, ani mój strój nie jest wieczorowy.

– Ach, rozumiem. To dlatego mówiłaś, że już jeźdź ...

– Właśnie tak. Brylanty w dzień pasują do „jeźdź”.

– Ja to rozumiem, ale to nie jest brylantowa kolia tylko skromny pierścioneczek.

– Skromny pierścioneczek, za który można kupić samochód – nie dawała za wygraną.

– Tak, takiego starego grata jak ten.

– Niejeden jeszcze by chciał mieć taki.

– Masz rację i za to cię kocham... I za parę innych rzeczy.

Powiedziawszy to, dość gwałtownie zahamował, objął Małgorzatę i zaczął ją całować.

– Jesteś dla mnie jak oaza na pustyni – powiedział, wypuszczając ją z objęć i patrząc na jej opaloną, uśmiechniętą twarz. – Przesiadaj się – powiedział, nagle zmieniając ton.

Odpiął pas, który dopiero co zapiął, i wyszedł z samochodu.

– Po co? – zapytała zdziwiona.

– Będiesz nim wracać, a dawno go nie prowadziłaś i się odzwyczaiłaś.

Przebiegł szybko na drugą stronę samochodu i otworzył drzwi.

– No, przesiadaj się – powtórzył.

Małgorzata uniosła wysoko kolana, oparła pięty o siedzisko i przeniosła pupę na fotel kierowcy. Następnie zadarła nogi jeszcze wyżej i zaczęła powoli przenosić je pod kierownicę. W kulminacyjnym momencie jej spódnica całkiem się zsunęła, odsłaniając piękne, lekko opalone uda, aż po białe koronkowe majteczki.

Julian szybko usiadł na fotelu, chwycił ją za kolana i zaczął całować jej obnażone ciało.

– Daj spokój, zachowuj się przyzwoicie – zawołała i chwyciwszy go za włosy, zaczęła targać jego głowę na boki.

– Gosieńko moja kochana, czy ty wiesz, jak ja się za tobą stęskniłem?

– Wiem, bo ja też, ale najlepiej nie myśl o tym.

Powiedziawszy to, zaczęła powoli jechać.

Weszli do salonu i zaczęli chodzić po hali. Szybko odnaleźli ciemnośliwkowego super błyszczącego Perseusa.

– Chyba ten – powiedziała Małgorzata, rozglądając się po hali. – Innego tu nie widzę.

– Na pewno... A może ty chcesz nim wracać?

– Nie, nie – zaprotestowała stanowczo.

Julian ucieszył się w duchu, ponieważ miał straszną ochotę przejechać się tym autem.

Sprzedawca poznał ich z daleka i natychmiast zaczął iść w ich kierunku.

– Podoba się państwu? – zapytał, podchodząc.

– Ładny – krótko stwierdził Julian.

– Kolor ładniejszy niż wtedy na wzorniku – podziwiała Małgorzata.

– Tak, wzornik ma małą powierzchnię, to dobrze tego nie oddaje – wyjaśnił sprzedawca.

– Wszystko jest w porządku? O niczym panowie nie zapomnieli? – zapytał Julian.

– U nas to niemożliwe.

– A paliwa ile w nim jest? Dojedziemy do centrum? – z troską zapytała Małgorzata.

– Oczywiście, spokojnie państwo dojadą. Przy mnie dolewali – skwapliwie zapewnił sprzedawca.

– W takim razie finalizujemy – zdecydował Julian.

– To ty idź z panem, a ja tu jeszcze popatrzę – zaproponowała Małgorzata, zwracając się do Juliana.

Zaczęła spacerować po hali i oglądać inne auta.

Spodobał jej się mały sportowy kabriolecik. Zaczęła chodzić wkoło niego, nachylać się nad nim, zaglądać do bagażnika.

Podszedł do niej inny sprzedawca i zaproponował pomoc:

– Może ma pani chęć wsiąść do niego? – zapytał, otwierając drzwi.

– Chętnie – odpowiedziała i wsiadła.

– Piękna kobieta w pięknym samochodzie – powiedział, patrząc z góry na jej dekolt.

– Myśli pan, że pasuje do mnie? I że stać mnie na taki?

– Gdybym był pani mężem, to stanąłbym na głowie, żeby pani taki kupić – zapewnił.

– Ale ja już mam męża i właśnie kupujemy auto – odpowiedziała niezbyt zachwycona zalecankami sprzedawcy.

Wyszła z samochodu i powoli poszła w kierunku biura.

Sprzedawca patrzył na nią pożądlwym wzrokiem, póki nie znikła za zakrętem.

– Spodobało ci się coś? – zapytał Julian, gdy tylko weszła.

– Nie – odpowiedziała krótko, a w jej głosie można było wyczuć lekkie niezadowolenie, które jednak zauważył tylko Julian.

Wyszli znów na halę, wsiedli do swojego nowego samochodu i wyjechali na zewnątrz.

– Jak? – zapytał Julian, gdy Małgorzata przesiadała się do forda. – Jedziemy do ciebie?

– Do mnie?

– No tak. Zostawimy forda, a twój zabierzemy dla Anki.

– Ty na pewno tak chcesz?

– Oczywiście.

– Ciekawe, co mama na to powie?

– A co ma mówić? Przecież to twój samochód...

– No tak, tak... Tylko że ja nie jestem jeszcze przyzwyczajona, żeby dostawać w prezencie samochody, i mama też...

– Przecież to nie prezent, tylko się zamieniliśmy.

– Dobrze, jedźmy do mnie.

Zatrzymali się na ulicy pod domem. Małgorzata wyprowadziła z garażu swoje auto, a na jego miejsce wjechała Juliana Fordem Kalliope.

Znów wsiedli do dwóch samochodów i zajechali pod dom rodziców Juliana.

– Wjeżdżaj, Gosiu, od razu na podwórko – zawołał, wychodząc ze swojego auta.

– A co to za samochody? – zapytała mama, wyglądając z okna.

– Tak, jak ci mówiłem. Mój ford poszedł do Małgorzaty, Małgorzaty dla Ani, a ten nowy jest mój.

– Daj spokój, chłopaku, ja już się gubię w tym wszystkim.

– Dlaczego, mamó?

– Nie myślałam, że ten nowy to będzie taka limuzyna... Zobacz, Zygmuniecie, ten samochód! – zawołała do wnętrza mieszkania.

Po chwili w drzwiach stanął ojciec i zaniemówił ze zdziwienia. Za moment jednak odzyskał głos i powiedział:

– Jak Ania wróci, to padnie z wrażenia.

– Że co? – spokojnie zapytał Julian.

– Że ma nowy samochód... A jak już zobaczy twój, to zemdleje – powiedział z radosnym uśmiechem.

– To ona nic nie wie?
– No nie, bo nie byliśmy pewni...
– Tato, dlaczego? – zapytał Julian, podchodząc do ojca.
– Bo to wszystko, to jest takie, że aż się wierzyć nie chce – odpowiedział ze łzami w oczach.

Julian objął ojca i mocno przycisnął do siebie. Ojciec też go objął i tak stali bez ruchu we wzajemnym uścisku.

Mama wybiegła do ogrodu, objęła Małgorzatę i zaczęła płakać.

– Boże, jaka ja jestem szczęśliwa – powiedziała, przelękając łzy. – Anusia ma samochód.

Małgorzata też ją objęła.

– No, już chodźmy do mieszkania, nie róbmy tu przedstawienia – powiedział Julian, wypuszczając ojca z objęć.

Porozmawiali chwilę i poszli do samochodu.

– Ty swojej mamie też nic nie mówiłaś? – zapytał, gdy już jechali do jej domu.

– Ja mówiłam. Ja wszystko mamie mówię.

Julian spojrział na nią ze zdziwieniem, a nawet z lekkim przerażeniem.

– Oczywiście, wykluczając sprawy bardzo osobiste – poprawiła się i tajemniczo się uśmiechnęła.

– Widziałaś, mamó? Mój nowy samochód już w garażu – pochwaliła się, wbiegając wraz z Julianem do przedpokoju.

– Chyba lepszy od mojego – odrzekła z uśmiechem.

– Zazdrościsz mi? – zażartowała.

– E tam. Tylko zła matka może zazdrościć córce... Ania pewno się ucieszyła?

– Ona nic nie wie. Jest na wakacjach.

– To ma niezłą niespodziankę.

– No, takie są najlepsze – powiedziała Małgorzata i delikatnie popchnęła Juliana w kierunku schodów.

– Ale ja tylko na chwilę – zastrzegł, gdy szli na górę.

– Tak? Szkoda – zażartowała.

– Szkoda, ale co zrobić... Wiesz co? Jak w poniedziałek zdasz, to wsiadaj w auto i przyjeżdżaj do mnie.

– Też tak myślałam, ale nie chciałam ci się narzucać.

– Zwariowałaś, przecież wiesz, że każda chwila spędzona z tobą jest dla mnie jak smak konwaliowych lodów.

– Julianie, jak ty to pięknie powiedziałeś – rzuciła mu się na szyję i zaczęła go całować. – Dostrzegam w tobie coraz więcej talentów... Czasem aż się boję, że się zmienisz.

Julian nic nie odpowiedział, tylko pomyślał, że może naprawdę już pozbył się syndromu Jurskiego.

Zaraz po przyjeździe do Warszawy pojechał do Anny. Akurat siedziała w parku na ławce w cieniu i czytała książkę. Bardzo się ucieszyła, że ją odwiedził. Usiadł przy niej i zaczęli rozmawiać.

Specjalnie nie rozpoczął rozmowy na temat pałacu, gdyż nie chciał stwarzać wrażenia, że ją ponagla, ale Anna sama poruszyła tę kwestię i powiedziała:

– Jeżeli pan mi pomoże, to chciałabym się wyprowadzić do mojej krewnej mieszkającej pod Warszawą.

– Oczywiście, ale jak mógłbym pomóc?

– Ona ma w Międzylesiu dom wymagający remontu. Gdyby jej w tym pomóc, to mogłabym z nią mieszkać do końca życia.

– Nie widzę problemu, pani Anno. Możemy się tym zająć nawet od jutra. Proszę tylko dać mi adres.

– Świetnie, ale gorzej z Wiktorem...

– Mianowicie?

– On bardzo chętnie się wyprowadzi, ale chce dostać mieszkanie z pracownią w Krakowie i stypendium od firmy.

– No tak. Rozumiem, że artysta chce mieć pracownię... Ale jeżeli malarz nie maluje, to po co mu pracownia? A coś mi się widzi, że jak mu dać stypendium, to tym bardziej nie będzie malować, bo i po co?

– Myślę, że tak jest... Ale chyba coś musi mu pan zaproponować...

– A czy on ma na uwadze jakąś konkretną pracownię w Krakowie, czy chce, żebym ja mu jej szukał? Czy pani wie coś na ten temat?

– On ma w Krakowie jakiegoś kolegę, z którym studiował.

– Wie pani co? Myślę, że nie ma sensu, żebym nadal panią angażował w to pośrednictwo. Chyba będzie najlepiej, jeżeli sam z nim porozmawiam.

– Jak pan uważa, panie Julianie... Myślę, że tak będzie na pewno prędzej. A czy lepiej, to się okaże.

– Cha, cha! No, sam nie wiem...

– Sam pan wie, że panowie źle na siebie działają.

– Wiem, ale może jakoś to przełamię... A gdzie on jest teraz?

– Powinien być u siebie.

– To nie ma co tego odkładać – powiedział i dość gwałtownie wstał z ławki.

– Będzie pani tu jeszcze jakiś czas? – zapytał, odchodząc.

– Póki widno, to będę.

Zapukał w drzwi Wiktora.

– A, to pan – Wiktor powiedział obojętnym głosem, zobaczywszy Juliana. – Anna mi mówiła o pana pomysłe... A co pan chce tu zrobić, w naszym domu? – zapytał nieco zaczepnie.

– No cóż. Wychowałem się w małym domku na przedmieściu i na pewno nie będę tu mieszkać... Po prostu chciałbym przeznaczyć ten budynek na cele społeczne... Myślę, że dla jakiejś organizacji pożytku publicznego, tylko jeszcze nie wiem, dla jakiej. Wie pan, tyle jest tych potrzebujących organizacji, że trudno się zdecydować.

– OK, ale co z Anną i ze mną?

Wiktor co prawda na początku trochę się najeżył, lecz szybko zauważył, że Julian nie ma wrogich zamiarów, i zmienił ton.

– Z panią Anną już się dogadałem, myślę, że ku jej zadowoleniu... Jeśli idzie o pana, to mam kilka pytań...

– Tak? Ale proszę, niech pan wejdzie i usiądzie – zaproponował, gdyż dotychczasowa rozmowa toczyła się w drzwiach.

Julian wszedł, udając, że nie widzi bałaganu panującego w pokoju, ponieważ wszystkie wyobrażenia o artystycznym nieładzie były niczym w porównaniu z tym, co tu zobaczył.

Na stole stały dwa talerze: jeden pusty, brudny, drugi z niedokończonym jedzeniem. Na podłodze stał oparty o ścianę kobiecy akt z mocno wyeksponowanym miejscem intymnym.

Julian rozpoznał w nim ostatnią dziewczynę Wiktora. Ten zauważył, że gość przygląda się obrazowi, i powiedział bez żadnej żenady:

– W łóżku była świetna.

– Czy mówiąc pani Annie o pracowni i mieszkaniu w Krakowie, miał pan na myśli coś konkretnego, czy trzeba dopiero szukać? – spytał Julian, siadając w secesyjnym fotelu z postrzępionym obiciem niewiadomego koloru.

Wiktor usiadł w pobliżu na podobnym fotelu, odgarnął dłonią spadające na twarz długie włosy, kwaśno się uśmiechnął i wyjaśnił:

– Częściowo tak, ponieważ znam to tylko z opisu kolegi.

– Ale czy mieszkanie jest przy pracowni, czy to dwie odrębne sprawy?

– Właśnie przy pracowni, i to mi się podoba.

Wzrok Juliana mimowolnie padł na opakowanie z pornograficznym filmem, leżące na odtwarzaczu. Odruchowo chciał przeczytać tytuł.

– Chętnie panu pożyczę – powiedział Wiktor.

– Co? – zapytał Julian, nie zorientowawszy się, o czym mówi Wiktor.

– Ten film... Lubi pan oglądać?

– Staram się nie oglądać, bo uważam, że w ten sposób człowiek się niepotrzebnie zobojętnia i traci wrażliwość, która jest w tych sprawach potrzebna, stopniowo zaczyna szukać coraz mocniejszych bodźców i brnie w ślepy zaułek...

Ale powracając do poprzedniej sprawy, to myślę, że to dobry pomysł, żeby w pana sytuacji całkowicie zmienić środowisko i miejsce zamieszkania... A pański kolega od dawna tam?

– Tak, on pochodzi z Krakowa.

– To pewno panu pomoże w nawiązaniu kontaktów i może się panu uda wystartować jako malarz?

– Właśnie na to liczę... Myślę, że tu dlatego mi się nie wiodło, bo działałem w zupełnym oderwaniu od mojego środowiska, a tych, z którymi tu miałem do czynienia, malarstwo zupełnie nie interesowało.

Wiktor przerwał, rozejrzał się po pokoju i zaproponował:

– Może pan się czegoś napije? Na przykład herbaty albo kawy?

– Oj, dziękuję, bo zaraz muszę uciekać, ale postaram się następnym razem mieć więcej czasu... To co? Nie pozostaje nic innego, tylko pojechać, obejrzeć i podjąć decyzję.

– Właśnie, w przyszłym tygodniu będę musiał się ruszyć.

– Wie pan co? Ja się tam wybiorę. Chciałbym to zobaczyć, żeby nie kupować w ciemno... Wobec tego może pojedziemy razem?

– Chętnie.

– Tylko ja bym wolał w tym tygodniu, bo mam więcej czasu.

– Mnie jest wszystko jedno... A może wie pan coś o moim ojcu? – nagle zmienił temat i wstał z fotela.

– Niestety, nic nie wiem i obawiam się, że to już może tak pozostać – odrzekł krótko Julian i zamilkł, a tymczasem Wiktor włożył obie dłonie w kieszenie i zaczął nerwowo chodzić po pokoju. Cisza trwała dość długo, wreszcie Julian odezwał się pierwszy:

– Niech pan nie traci ducha, panie Wiktorze. Niech pan się postara urządzić swoje życie na nowo, a ja się postaram panu w tym dopomóc.

– Kiedy panu pasuje jechać? – zapytał, jakby nie słyszał, co Julian przed chwilą powiedział.

– Myślę, że pojutrze.

– To na którą mam być gotów?

– Da pan radę na siódmą rano? – zapytał i wyciągnął dłoń na pożegnanie.

– Tak – odrzekł Wiktor i podał mu rękę.

Julian szedł do Anny z poczuciem, że Jurski w dużym stopniu był winny niepowodzeniom Wiktora, ponieważ zbyt łatwo odpuścił sprawy wychowywania chłopca i pozwolił, żeby zajmowała się tym Alicja.

Anna spostrzegła go, jak tylko wyszedł z pałacu. Wstała i wyszła mu naprzeciw. Z daleka zauważyła, że jest w nienajlepszym nastroju, ale o nic go nie pytała.

– W zasadzie to wszystko jest dobrze. Pojutrze pojedziemy do Krakowa... –

powiedział bez entuzjazmu. – Ale muszę powiedzieć, że mi go żal.

– Widzę.

– Uważam, że nie umiał się w życiu urządzić, bo jako dziecko nie był uczony samodzielności.

– To prawda. Tak było... – potwierdziła ze smutkiem i po chwili dodała: – Jak się przewrócił, to leżał i czekał, aż przyjdzie mama i go podniesie, a Michał obraził się na Alicję, bo mu powiedziała, żeby się nie wtrącał, i w ogóle mało się nim interesował.

– Ciekaw jestem, czy on jest w stanie jeszcze się z tego wydobyć? Może fakt, że został sam, jakoś go zmobilizuje. Przecież to jedyna okazja... Dlatego chcę mu pomóc... Poza tym dużo będzie zależało od tego kolegi, a nie wiadomo, jaki on jest. Myślałem o tym i chcę pojutrze z nim pojechać, zobaczyć to mieszkanie i tego kolegę.

– Oj, to świetnie. Z pana naprawdę jest dobry człowiek. Cieszę się, że się panowie dogadali...

– Na ten temat tak, a w innych sprawach starałem się nie podejmować rozmowy.

– Och. On by pana zagadał... Pan go nie zna. On ma ulubione tematy...

– Na przykład kobiety?

– No, to delikatnie powiedziane... – stwierdziła z ironicznym uśmiechem.

– Powracając tymczasem do pani sprawy, to jutro albo pojutrze kogoś do pani przyślę. Ten ktoś pojedzie z panią na miejsce. Zorientujemy się, co tam jest do roboty, i podejmiemy jakieś decyzje.

– Nie musi się pan tak śpieszyć.

– Na roboty budowlane, pani Anno, najlepsze jest lato, więc trzeba się śpieszyć... Tymczasem muszę już jechać – powiedziaławszy to, uklonił się i prędko odszedł.

Jadąc do domu, w pewnej chwili zauważył, że jedzie o wiele za szybko. Zdjął nogę z gazu i pomyślał, że przez ten brak czasu i ciągły pośpiech kiedyś może spowodować wypadek – „Właściwie to w mieście takim jak Warszawa nie powinno się jeździć szybciej niż siedemdziesiąt kilometrów na godzinę” – myślał. – „Ci, którzy jeżdżą z większą prędkością, to potencjalni zabójcy”.

Na próbę ustawił sygnał ostrzegawczy na szybkość siedemdziesięciu kilometrów na godzinę i zaczął jechać tak, żeby nie powodować jego uruchamiania.

„He, he. Dobry sposób” – pomyślał, gdy pierwszy raz zapiszczało.

Kiedy przyjechał do domu, zapadał już zmierzch.

Przed południem poświęcił koło dwóch godzin na wyszukiwanie rozmaitych

instytucji niosących pomoc chorym dzieciom. Wybrał siedem. Zatelefonował do nich i nie przyznając się, kim jest, pytał o możliwości otrzymania pomocy i o jej rodzaj.

Ku jego zaskoczeniu, wszędzie trafił na ludzi bardzo życzliwych, chętnych do pomocy i cierpliwie wyjaśniających wszystkie związane z tym sprawy.

Pomimo dobrze wykształconej umiejętności szybkiego podejmowania trudnych decyzji dość długo nie mógł się zdecydować, którą z nich wybrać. Spacerował po pokoju, wyglądał przez okno, później znów usiadł i myślał. Wreszcie wybrał fundację w Kielcach, pomagającą dzieciom z biednych rodzin, będącym ofiarami nieszczęśliwych wypadków.

Zdecydował się na nią, ponieważ rozmówczyni powiedziała, że prócz udzielania pomocy finansowej fundacja prowadzi ośrodek rehabilitacyjny, który chciałaby rozwinąć, ale na przeszkodzie stoją ogromne trudności lokalowe.

Jeszcze raz zadzwonił do fundacji, przedstawił się i powiedział, że jest zdecydowany przekazać pałac na jej potrzeby i że w związku z tym chciałby się spotkać.

Rozmówczyni wprawdzie zaniemówiła, później piszczącym sopranem powiedziała, że natychmiast do niego jedzie, a na koniec zapytała, czy to nie jest jakiś żart.

– To nie żart – wyjaśnił. – I nie chcę, żeby pani do mnie jechała, przeciwnie, ja panią odwiedzę.

– Ale, proszę pana, proszę się nie fatygować – zapiszczał miły sopran.

– Proszę pani, ja do pani przyjadę, bo chcę zobaczyć państwa dotychczasowy dorobek, żeby upewnić się, czy to jest z mojej strony dobra decyzja.

– A, tak, oczywiście, to zrozumiałe – odpowiedziała trochę zmieszana. – Serdecznie zapraszamy. A kiedy chciałby pan przyjechać?

– Umówmy się na jutro przed południem

– Na jutro? Wspaniale... Przepraszam bardzo, mógłby pan mi powiedzieć parę słów o tym pałacu i o sobie? Bardzo pana przepraszam, ale to tak nagle spadło na nas, że nie wiem, co myśleć. Naprawdę, proszę się nie gniewać.

– Oczywiście, oczywiście. A więc tak: Pałac należał do rodziny Jurskich, właścicieli koncernu JURSKI GROUP. Powierzchnia użytkowa około tysiąca dwustu metrów kwadratowych. Jest dobrze utrzymany i nie wymaga żadnego remontu. Jest otoczony dwuhektarowym parkiem. Położony jest na przedmieściu Warszawy... Tyle w skrócie o pałacu, a jeśli chodzi o mnie, to ja się nazywam Julian Podhorecki i jestem dyrektorem generalnym koncernu.

– Ma pan młody głos, panie dyrektorze, i bardzo miły – kobieta wyraźnie odzyskiwała równowagę.

– Cha, cha. Jestem młody, a czy miły? Nie wiem... Chyba nie zawsze – zażartował. – W każdym bądź razie staram się. Pani za to ma głos pięknej kobiety.

Powiedziawszy to, pomyślał, że się niepotrzebnie zagalopował, bo sam głos nie stanowi o urodzie i być może postawił rozmówczynię w niezręcznej sytuacji.

„Ale to nic, w razie czego pałac jej to wynagrodzi” – pocieszył się.

Nagły dzwonek telefonu zmusił go do szybszego zakończenia prowadzonej rozmowy, ponieważ był to telefon od Małgorzaty.

– To chyba jesteśmy umówieni. Ja przepraszam, ale muszę odebrać ważny telefon – powiedział nagle.

– Tak, tak, właśnie słyszę, oczywiście, jesteśmy umówieni – szybko zapisała i wyłączyła się.

– Jak nasze egzaminy? – zapytał do drugiego aparatu.

– Zdaliśmy na pięć! Jadę do domu, pakuję się i jadę do ciebie! – zawołała z niepohamowaną radością.

– Gosieńka moja kochana. Byłem tego pewny, ale nic nie mówiłem, żeby nie zapeszyć. Przyjeżdżaj, przyjeżdżaj, tylko się za bardzo nie śpiesz, żeby po drodze czegoś nie wywinąć.

– Bądź spokojny, nie martw się. To pa, do zobaczenia.

Mając trochę wolnego czasu, zadzwonił do dyrektora do spraw inwestycyjnych:

– Mam dla pana ekstra sprawę, panie dyrektorze – powiedział wesoło, ciesząc się jeszcze sukcesem Małgorzaty. – Chciałbym, żeby wysłał pan do siedziby pana Jurskiego osobę kompetentną w sprawach remontów budowlanych. Ten ktoś musi stamtąd zabrać siostrę pana Jurskiego, Annę Radwan, i pojechać z nią gdzieś pod Warszawę, chyba do Międzyzylesia. Ona go zaprowadzi i pokaże stary dom, który będzie trzeba wyremontować.

– Znaczy, my go będziemy remontować?

– Nie my. Myślę, że to dla nas za drobna robota... Zresztą, jak pan uważa. Tymczasem chodzi mi o to, żeby ktoś to obejrzał i zobaczył, co tam jest do roboty...

– Ale kto ma decydować o zakresie tych robót?

– Pani Radwan wspólnie z wami. Ja tego nie widziałem, ale chodzi o to, żeby tam mogli mieszkać ludzie przez, powiedzmy, najbliższe trzydzieści lat... Normalni ludzie, bez jakichś wygórowanych wymagań... Nie trzeba robić z tego pałacu. Po waszej wizycie wszystko ustalimy.

– A czy to dziś trzeba załatwić?

– Ja już panu podaję numer telefonu do pani Radwan i najlepiej umówcie się tak, żeby wszystkim pasowało.

Małgorzata zadzwoniła i oznajmiła, że już jest niedaleko i najpóźniej za pół godziny będzie na miejscu.

– Oj, a ja jeszcze jestem w pracy, ale już wychodzę – powiedział Julian, wpadając w lekki popłoch.

– Nie śpiesz się, poczekam – próbowała go uspokoić.

– Tak, tak, już pędzę.

– Mówię ci: nie śpiesz się.

– Dobrze, już wychodzę.

Poszedł szybko do samochodu i pojechał.

Kiedy dojechał na miejsce, zastał Małgorzatę czekającą w aucie.

– Zapomniałaś kluczy? – zapytał zdziwiony.

– Nie, po prostu właśnie przyjechałam.

– A, to jechałaś dłużej, niż przewidywałaś?

Pokręciła przecząco głową i wyjaśniła:

– Specjalnie wolniej jechałam.

– Dziś miałem pracowity dzień, a niestety jutro muszę jechać z synem do Krakowa.

– Z kim? – zapytała zdziwiona.

– Z synem pana Jurskiego – odpowiedział zbity z pantałyku, czego Małgorzata na szczęście nie zauważyła.

– To późno wrócisz?

– Przypuszczam, że między czwartą a piątą powinienem być w domu... Ale daj bagaże i chodź na górę – powiedziawszy to, zrobił parę kroków w kierunku bagażnika.

Małgorzata otworzyła pokrywę i Julian wyjął walizkę i torbę.

– O, dziś sporo nabrałaś – powiedział, czując ich ciężar.

– Trochę wzięłam, bo taka pogoda, że nie wiadomo, jak się ubierać.

– Zupełnie popsuli klimat. Sześćdziesiąt lat temu nie było takich fanaberii pogodowych – chwilę pomyślał i rozwinął temat: – Tylko patrzeć, jak w lipcu będą mrozy.

– A widziałeś w telewizji, co się wczoraj działo w Poznaniu? Tropikalna ulewa była, po dach zalało pociąg jadący wykopem, ludzie się potopili. Milionowe straty powstały.

– Popatrz, a jeszcze kilkadziesiąt lat temu wszyscy to bagatelizowali, w rezultacie my teraz cierpimy za ich niefrasobliwość... To wszystko głupota i chęć zysku za wszelką cenę.

Zaparkowali samochody i poszli do klatki schodowej.

– Oj, wiesz, zapomniałem – powiedział, gdy wychodzili z windy.

– Co się stało?

– Zapomniałem, że nie mam prawie nic do jedzenia.

– To świetnie. Zostawimy bagaże i pojedziemy albo jeszcze lepiej pójdziemy i kupimy coś dobrego.

– Wolisz iść?
– Trzeba jak najwięcej chodzić. Ruch to zdrowie... – powiedziała zadowolona ze swojego pomysłu.
– Jak powiem profesorowi Borkowi, to też będzie zadowolony z takiej decyzji.
– Profesor Borek? A kto to jest?
– Nie mówiłem ci? To przyjaciel pana Jurskiego. Jest właścicielem wielkiej kliniki. U niego byłem operowany po wypadku i zaprzyjaźniliśmy się mimo prawie czterdziestoletniej różnicy wieku.
Postanowili pójść piechotą do marketu odległego o ponad kilometr. Zrobili spore zakupy i dźwigając ciężkie torby, wrócili również piechotą.
– No widzisz. Po takim spacerze obiad będzie lepiej smakować – powiedziała zadowolona z wyprawy.
– Myślę, że musimy kupić sobie dresy, odpowiednie buty i będziemy biegać. Co ty na to? – powiedział, gdy jechali windą na górę.
– Doskonały pomysł. Gotowa jestem od jutra zaczynać.
– Nie wiem, czy się wyrobimy... Chyba żeby to jeszcze dziś kupić.
– Właśnie, zapomniałam, że jedziesz, ale zastanowimy się nad tym w czasie obiadu... Pomożesz mi trochę, żeby było szybciej?
– Tak, co mam robić?
– Ja będę robić obiad, a ty byś rozpakował moje bagaże i pokładł wszystko na miejsce... Wiesz, przybory toaletowe do łazienki, ubrania na wieszaki, bieliznę na półki.
Julian zaczął od walizki. Zaraz po otwarciu zauważył, że z boku, między jej ścianką a ubrania wetknięty jest indeks.
– O! A czy mogę zajrzeć do twojego indeksu? – zapytał z ciekawością.
– Oczywiście, nie ma tam tajemnic.
Usiadł na kanapie i zaczął przewracać kartki.
– Ach, ty! – zawołał. – Masz bardzo dobre stopnie... A tym egzaminom dodawałaś tyle dramaturgii, że można było pomyśleć, że jesteś zagrożona.
– Sam przecież wiesz, że nigdy nie można być pewnym...
– Wiem, wiem, przecież żartuję... Ale wiesz, co myślę? Że z tym indeksem powinnaś pojechać na uczelnię w Warszawie i pogadać, żeby cię przyjęli...
– A chciałbyś, żebym się uczyła w Warszawie?
– Jeszcze jak.
– Więc pojedę... Może nawet jutro, jak ciebie nie będzie.
Układał wszystko zgodnie z wytycznymi, jednocześnie rozmawiając:
– A ty wiesz, jak Partia Polskich Patriotów ostatnio się popisuje? – zapytał.
– No, jak?
– Żeby osoby, które kończyły studia za granicą, nie mogły zajmować

żadnych stanowisk państwowych.

– Dlaczego?

– Bo nie wiadomo, czy będą lojalne wobec Polski.

– Idioci.

– To nie idioci, to się nazywa nacjonalizm...

– To fakt. Przecież sto lat temu właśnie z tego powodu zamordowano prezydenta Narutowicza... Uważam, że nacjonalizm powinno się zwalczać jak jakąś groźną epidemię, izolować takich ludzi pod przymusem.

– Ale jak? Przecież jakbyś PPP publicznie nazwała nacjonalistami, to by ci wytoczyli sprawę... I pewno by wygrali.

– Dlatego wolę być lekarzem niż politykiem. Wolę leczyć, niż burzyć to, co inni budują w pocie czoła.

Wiesz, wielu ludzi uważa, że nadgorliwość to zaleta, a w rzeczywistości to draństwo, podłość... Czy potrafisz podać choć jeden przykład pozytywnej nadgorliwości? Bo ja nie – powiedział z goryczą. – Popatrz! Nadgorliwość w miłości do dziecka prowadzi do tego, że wszystko za nie robisz i wychowujesz na niedorajdę. Nadgorliwość w miłości do Boga spowodowała na świecie wiele wojen. Nadgorliwość w miłości do ojczyzny prowadzi do nacjonalizmu... No, niech mi ktoś da przykład pozytywnej nadgorliwości.

– Dobrze, polityku. Skończyłeś z tą szafą?

– Kończę.

– To nakrywaj do stołu.

– Już się robi.

– Ty masz radykalne poglądy – powiedziała, nakładając obiad na talerze. – Uważaj, żeby to też nie była jakaś odmiana nadgorliwości.

– Dobrze, będę uważać.

– Ta surówka, którą kupiłam, jest nie za dobra. Moja mama robi lepszą – powiedziała, zaczynając jedzenie.

– Ale ta jest gotowa, a tamtą trzeba robić, więc nie narzekajmy, tylko jedzmy. Proponuję jeszcze pojechać po dresy i buty – powiedział, siadając do stołu.

– Pójdziemy – poprawiła go.

– Aha – powiedział niewyraźnie, przełykając pierwszą porcję. – Świetnie, dziś kupimy, a jak jutro wrócę, to może jeszcze pobiegamy.

Zaraz po posiłku jeszcze raz poszli do marketu i kupili dresy, buty, a Małgorzata na upalne dni kupiła także szorty.

Jeszcze przed wieczorem Julian usiadł przy komputerze, żeby zorientować się w cenach mieszkań w Krakowie. Wiedział, iż będą one zależały od rangi dzielnicy i odległości od centrum. Niestety, nie znając dobrze miasta, miał duże trudności w wyrobieniu sobie prawidłowego poglądu.

W końcu po przeszło dwóch godzinach doszedł do przekonania, że może

jechać, i świadomie podjąć decyzję o ewentualnym kupnie.

Kilkanaście minut po szóstej rano na parking wjechała wielka limuzyna – atrybut władzy pana Jurskiego. Małgorzata pierwsza zobaczyła ją z okna.

- Twój autokar już po ciebie przyjechał – powiedziała z ironią.
- Umawiałem się kwadrans przed siódmą – odpowiedział obojętnie.
- To mi wygląda na nadgorliwość.
- A mnie na złośliwość.
- Ale ja powiedziałam o nim, nie o sobie.
- A ja o tobie.
- A jednak zacząłeś się śpieszyć...
- Wcześniej wyjadę, wcześniej wrócę.
- Cha! Cha! Cha! To jednak bywa i pożyteczna nadgorliwość.

Julian wstał, podszedł do Małgorzaty, mocno ją objął i chciał pocałować w usta, ale ona odwróciła głowę, robiąc wrażenie obrażonej.

- Co się stało? – zapytał, nie wypuszczając jej ze swoich mocnych objęć.
- Nic, po prostu nie umyłam jeszcze zębów – wyjaśniła, też go objęła i przycisnęła.

Puścił ją, usiadł z powrotem i pośpiesznie w milczeniu kończył śniadanie.

Zjechał na dół i poszedł do samochodu. Ze zdziwieniem zobaczył, że zamiast pana Wojtka przyjechał jakiś inny, dość młody kierowca o sylwetce kulturysty.

- A co z panem Wojtkiem? – zapytał.
- Nie wiem, kierownik powiedział, że teraz ja będę z panem prezesem jeździć... To dokąd mam jechać?
- Do domu Jurskich... A jak pan ma na imię?
- Waldemar.

Julian wyjął telefon i zadzwonił do Wiktora, żeby go uprzedzić o nieco wcześniejszym przyjeździe.

- Jestem prawie gotowy. Za dziesięć minut mogę wychodzić – wyjaśnił.
 - To do zobaczenia za dwadzieścia minut... Niech się pan aż tak nie śpieszy.
- A pan, panie Waldku, dawno pracuje u nas?

Zapytał go, ponieważ znał z widzenia wszystkich pracowników z biur zarządu, a tego sobie nie przypominał.

- Wczoraj trzy miesiące minęły, panie prezesie.
- A jakie ma pan zainteresowania, poza pracą? – zagadnął, chcąc lepiej go poznać.
- Ja, panie prezesie, to mam takie dość nietypowe zainteresowania... Sztuki

walki.

– Oł! To jest hobby godne stuprocentowego mężczyzny – zażartował Julian, lecz młody człowiek przyjął to stwierdzenie całkiem poważnie i powiedział:

– Uważam, że jestem stuprocentowym mężczyzną, panie prezesie.

– Z tego wnioskuję, że od czasu do czasu się pan sprawdza...

Julian postanowił wy badać, czy u rozmówcy intelekt nadąża za sprawnością fizyczną.

– Jeśli chodzi o sztuki walki, to sprawdzam się regularnie dwa razy w tygodniu.

– A na innym polu też pan odnosi sukcesy?

– Jeżeli pan prezes ma na myśli kobiety, to też próbuję, ale często nie wiadomo, jak im dogodzić.

– Cha! Cha! Ale pan chyba wie, że kobiety lubią też mężczyzn czułych i delikatnych.

– Oczywiście, panie prezesie, wiem o tym... Tylko to czasem bardzo trudno odgadnąć, ile tego, a ile tego.

– No tak. W tym doświadczenia nabiera się z wiekiem.

– No, właśnie. Jak będę miał sześćdziesiąt lat, to będę wszystko wiedział.

Podjechali pod pałac i Julian poszedł po Wiktora. Był już prawie gotowy. Julian popatrzył na niego i uznał, że nie jest ubrany odpowiednio do sytuacji.

– Proszę mi nie brać za złe, panie Wiktorze, ale mam do pana prośbę. Mógłby pan włożyć marynarkę zamiast swetra? – zapytał go najgrzeczniej, jak umiał, i dodał: – Bo ja chciałem, żebyśmy po drodze wstąpili do Kielc... Wie pan, do Krakowa jedzie pan do kolegi, to tam ubranie może nie ma takiego znaczenia, ale w Kielcach raczej pasowałoby w marynarce.

– Skoro pan tak uważa, to nie ma problemu – odpowiedział i zniknął w drugim pokoju, skąd po chwili wyszedł w całkiem ładnej marynarce.

– O! Świetnie! – ocenił Julian z trochę przesadnym zachwytem. – To chodźmy.

– Proszę, proszę, stary samochód ojca jeszcze jeździ – Wiktor nie powstrzymał zdziwienia, zobaczywszy limuzynę.

– Takie samochody się nie starzeją – spuentował Julian. – Teraz, panie Waldku, pojedziemy do Kielc, a z Kielc do Krakowa – powiedział Julian do kierowcy, kiedy tylko ulokowali się w pojeździe.

– Przepraszam, panie Julianie, w Kielcach długo nam zejdzie? – zapytał Wiktor.

– Raczej nie. Myślę, że same rozmowy zajmą nie więcej jak pół godziny. Może do czterdziestu pięciu minut... Więcej czasu pewno pochłonie przejazd przez miasto... Będziemy tam w fundacji pomagającej dzieciom z biednych rodzin, które są ofiarami nieszczęśliwych wypadków.

– Chce pan im pomagać?
– Chcę im przekazać pałac, ponieważ oni prowadzą ośrodek rehabilitacji i chcą tę działalność rozwijać, ale nie mają gdzie.
– Ale to dzieci z Kielc będą jeździć do Warszawy na rehabilitację?
– Nie, przecież w Warszawie też są dzieci oczekujące pomocy.
– Szczytny cel... Trochę szkoda, ale z drugiej strony, jeżeli można zrobić coś dobrego, to trzeba robić... Ale czy oni to docenią?
– Wie pan, jak komuś pomaga się bezinteresownie, to nie należy niczego oczekiwać.

– Właściwie to ja nawet nie powinienem tego żałować, bo źle się czułem w pałacu. Byłem w nim ciągle przytłoczony. On izolował mnie od świata. Normalni ludzie się go bali... Ci którzy tam przyjeżdżali, rozmawiali tylko o interesach... Kiedyś jednemu zaproponowałem kupno obrazu, to ojciec później zmył mi głowę, że zachowuję się jak właściciel straganu, i przy okazji nakrzyczał na mamę, że źle mnie wychowała. A niech pan pomyśli, jakie ja miałem inne możliwości, żeby sprzedać obraz, skoro w ogóle nie miałem kontaktu z normalnymi ludźmi.

– Właśnie, panie Wiktorze, mam wrażenie, że w Krakowie znajdzie pan odpowiednie miejsce dla siebie, tylko niech mi pan przyrzeknie, że będzie pan malować.

– Na pewno będę. Ja się zawsze rwałem do tego, tylko ile można malować, jeżeli nie ma co z tym zrobić? – skonstatował ze smutkiem. – Na początku to rozdawałem, ale nawet nie bardzo miałem komu, bo ludzie, którzy u nas bywali, to nie interesowali się żadną sztuką... Ich ciekawiły wyłącznie samochody, jachty, nowe domy, a jak już któryś chciał kupić obraz, to jedynie sławnego malarza, bo jemu nie chodziło o sztukę, tylko, żeby mieć coś drogiego, czym można się pochwalić.

– Bardzo się cieszę, że się pan nie zniechęcił. Jak są chęci, to i na sukcesy można liczyć... Jak się już pan tam urządzi, to za jakiś czas chętnie przyjadę i zobaczę pana prace.

– Serdecznie zapraszam – powiedział ze szczerą życzliwością.
– Dziękuję. To za ile czasu mogę przyjechać?
– Myślę, że późną jesienią.
– Świetnie, trzymam pana za słowo. A pańskiemu koledze udaje się wyżyć z malarstwa?

– Tak, dosyć skromnie, ale egzystuje.
– To pan chyba dobrze poznał Kraków w czasie studiów?
– O tak. Chyba lepiej niż Warszawę – uśmiechnął się i dodał: – Oczywiście, pomijając jakieś nowe dzielnice, które później wybudowano.

Dojechali do Kielc i bez trudu trafili na miejsce. Biuro znajdowało się

w starej kamienicy. Przy bramie wjazdowej wisiał niewielki szyld informujący o fundacji. Weszli do klatki schodowej. Drewnianymi skrzypiącymi schodami udali się na górę i weszli do niewielkiego pokoju, w którym stały dwa biurka, okrągły stolik z trzema fotelikami, szafa biurowa, a pod oknem pięknie kwitnący oleander. Za biurkiem na wprost wejścia siedziała kobieta z ciemnoblond lokami spadającymi na ramiona. Jej szczere, prawie naiwne spojrzenie stwarzało wrażenie bezbronności i budziło zaufanie. Julian przez chwilę popatrzył w jej oczy i zdziwił go ich kolor, były bowiem zupełnie brązowe. Wiek kobiety można było na oko oszacować na trzydzieści parę lat. Za drugim biurkiem siedział nieco starszy od niej, łysawy mężczyzna.

Kobieta od razu domyśliła się, że to goście, na których czeka. Uśmiechnęła się do nich i wyszła na środek pokoju.

Pomimo bardzo luźnej, nawet chyba nieco za dużej sukni, gościom od razu rzuciła się w oczy jej zgrabna sylwetka, a ciasno zapięty dość szeroki pasek mocno podkreślał smukłość jej talii, dodając jej lekkości i subtelności.

Julianowi przypomniało się zdanie nieopatrznie wypowiedziane podczas wczorajszej rozmowy i doszedł do wniosku, że na szczęście to nie była gafa, ponieważ rozmówczyni rzeczywiście jest całkiem ładna, tylko trochę zaniedbana i wyjątkowo skromnie ubrana.

– Edyta Michałowska – powiedziała i wyciągnęła dłoń do Juliana, a następnie do stojącego pół kroku za nim Wiktora. Prawie równocześnie podszedł łysawy mężczyzna i przedstawił się jako Jerzy Kwass. Julian i Wiktor też się przedstawili. Pani Edyta, usłyszawszy nazwisko Jurski, uważnie spojrzała na Wiktora. Julian przyjrzał się Jerzemu i odniósł wrażenie, że to zły człowiek.

– Przepraszam za nasze skromne warunki... – powiedziała nieco zmieszana i zaprosiła ich do stolika.

Pan Jerzy wrócił tymczasem za swoje biurko.

– Czy można panom zrobić herbaty albo kawy? – zapytała, a jej sopran wydał się Julianowi mniej piszczący niż wczoraj.

– Ja bym się napił kawy... – powiedział.

– Ja może też – oznajmił Wiktor.

– To ja przygotuję. Siadaj, Edytko, z panami – zaproponował Jerzy i ponownie wstał.

Julian siadając, jeszcze raz popatrzył na Jerzego i jeszcze raz coś mu się w nim nie spodobało.

– Może na początek ja opowiem panom o naszej fundacji? – zaproponowała pani Edyta.

– Chętnie posłuchamy – odparł Julian, żałując, że nie widzi jej oczu.

– Fundacja powstała sześć lat temu. Założył ją mój ojciec... Bardzo żałujemy, ale tata nie może uczestniczyć w naszym spotkaniu, ponieważ jest po

zawale. Od samego początku zajmujemy się pomocą dla dzieci z biednych rodzin, które uległy rozmaitym wypadkom. Pomagamy im finansowo, zdobywamy dla nich sprzęt rehabilitacyjny. Wozimy je na badania, jeśli zachodzi taka potrzeba. Pomagamy w znalezieniu odpowiednich placówek leczniczych w kraju i za granicą. Finansujemy im podróże, jeżeli rodziców na to nie stać... Bywają też przypadki, że stopień inwalidztwa dziecka uniemożliwia naukę w normalnej szkole. Wtedy znajdujemy odpowiednią placówkę i dofinansowujemy pobyt dziecka. Mamy też zaprzyjaźnionych prawników, którzy pomagają w uzyskaniu odszkodowań od sprawców wypadków... Jednym słowem pomagamy w tych wszystkich sytuacjach, w których nie można liczyć na pomoc Państwa albo kiedy jest ona niewystarczająca. Niestety, potrzeby wciąż są znacznie większe niż nasze możliwości.

Pan Jerzy starał się nie przeszkadzać. Przyszedł na palcach i przyniósł trzy filiżanki kawy oraz nieduży półmisek z kruchymi ciasteczkami. Pani Edyta zrobiła krótką przerwę, uśmiechnęła się do gości, postawiła przed nimi filiżanki, które niewprawy kelner zostawił na brzegu stołu, i opowiadała dalej:

– Własnym sumptem otworzyliśmy przychodnię rehabilitacyjną. Niestety, dysponujemy zbyt małym lokalem, w którym nie można nawet wykorzystać całego posiadanego przez nas sprzętu. Już nie wspomnę, że marzy nam się stworzenie stacji, w której dzieci z odległych miejscowości mogłyby mieszkać w czasie otrzymywania zabiegów...

Rozmówczyni zrobiła przerwę, uśmiechnęła się do Wiktora i zachęciła gości do picia kawy. Widać było, że jej zakłopotanie stopniowo mija.

– A czy może pani powiedzieć, ilu ma pani podopiecznych? – zapytał Julian, korzystając z przerwy.

– Proszę panów. Takich, którzy wymagają stałej, ścisłej opieki, mamy teraz stu dwudziestu trzech. Takich, których leczenie dorywczo dofinansowujemy, jest obecnie stu osiemdziesięciu... Natomiast ogółem przez tych sześć lat wspomagaliśmy około tysiąca osób.

– Ma pani piękne wyniki – podsumował Julian. – Jak pani to finansuje?

– Mamy jedną osobę, moją ciotkę, która bez przerwy się zajmuje pozyskiwaniem ofiarodawców. Robi to różnie: przez internet, Kościół, jeździ, pisze listy, organizuje imprezy charytatywne... Ostatnio również państwo trochę nas dofinansowuje.

– Przepraszam, czy moglibyśmy zobaczyć tę przychodnię rehabilitacyjną? – zapytał Julian.

– Oczywiście. Właśnie chciałam zaproponować – powiedziała, wstając.

Podeszła do szafy, wyjęła z niej elegancką teczkę, otworzyła ją i położyła przed Julianem, mówiąc:

– Tu są dane wszystkich osób, które korzystały z naszej pomocy. Daję to

panom jako dowód naszej działalności.

Julian zaczął przeglądać listy beneficjentów. Były tam dzieci zamieszkałe w Kielcach, w małych miasteczkach i wsiach, głównie z okolic Kielc, ale też z Małopolski, Śląska, Krakowa, Rzeszowa, a nawet z Warszawy.

– Jestem pełen uznania – powiedział i przesunął teczkę w kierunku Wiktora.
– Chce pan zobaczyć? – zapytał.

Wiktor chwilę poprzeglądał, zamknął teczkę i z powrotem przesunął do Juliana.

– Przepraszam panią – powiedział Julian z przyjaznym uśmiechem. – Jak tata się czuje?

– W ostatnich dniach w miarę nieźle.

– Ale jest w szpitalu czy w domu?

– W domu. Gdyby panowie mieli ochotę poznać ojca, to jadąc do ośrodka rehabilitacji albo w drodze powrotnej, moglibyśmy wstąpić. To prawie po drodze.

– Jeżeli to nie sprawiało tacie zbyt dużego wysiłku, to chętnie.

– Ja tylko zadzwonię do mamy i uprzedzę. Dobrze?

– Bardzo proszę – odrzekł Julian

Rozmówczyni wstała i podeszła do swojego biurka. Chwilę rozmawiała przez telefon i zaraz się wyłączyła informując, że rodzice czekają i bardzo się cieszą. Podeszła do gości i zameldowała swoją gotowość.

– Nie będziemy tu już wracać – powiedział Julian, zwracając się do Jerzego.
– To do widzenia panu.

Pożegnali się na odległość i skierowali się do wyjścia.

– Oj, kluczyki! – zawołała pani Edyta i zawróciła.

– Niech pani nie bierze, pojedziemy naszym autem i odwieziemy tu panią.

– Nie chciałabym panów fatygować...

– Ale tak lepiej, bo w samochodzie jeszcze będzie można trochę porozmawiać – powiedział Julian, czym przekonał rozmówczynię.

Wyszli na ulicę i podeszli do samochodu.

– Rzeczywiście, tak lepiej – powiedziała, wsiadając. – To teraz opowiem panom o naszym zakładzie rehabilitacji.

– Świetnie, może w takim razie usiądzie pani w środku, żebyśmy obaj dobrze słyszeli? – zasugerował Julian.

Zgodnie z postulatami Juliana pani Edyta usiadła w środku, a panowie po bokach, i pojechali.

– W lokalu, gdzie się odbywa rehabilitacja, kiedyś był sklep mojej ciotki – zaczęła wyjaśniać. – Ciotka zmarła, a my przejęliśmy po niej cały budynek i urządziliśmy w nim zakład. Ma to wielką zaletę, ponieważ nie płacimy za lokal. Niestety, jest on za ciasny i pokrywa zaledwie małą część naszych potrzeb. Sami panowie zaraz zobaczą.

Podczas gdy kobieta opowiadała, Wiktor przejawiał zainteresowanie jej urodą, patrząc na przemian to na jej uda, wyraźnie zarysowane pod cienką sukienką, to ukradkiem zaglądając w jej dekolt.

Julian to zauważył, ale nijak nie mógł mu dać znaku, żeby się opamiętał, ponieważ pasażerka ich rozdzielała. Siedział zatem bezradnie, licząc tylko, że obiekt zainteresowań Wiktora nie zwróci na to uwagi.

Dojechali na miejsce i wysiedli przy typowym parterowym budynku sklepowym.

Na ścianie przy drzwiach wejściowych była zamocowana identyczna tablica informacyjna jak na budynku biura. Weszli do wnętrza.

– Tu jest szatnia – zaczęła wyjaśniać pani Edyta. – Dalej na wprost fizykoterapia... – zaprosiła ich do środka. Oczom panów ukazał się rząd sześciu kabin z wejściami zasłoniętymi kotarami z białej folii. W jednej z nich było słychać, jak fizykoterapeutka objaśniała pacjentowi, w jakiej pozycji ma siedzieć. W innej zadzwonił dzwonek oznajmiający zakończenie zabiegu. Wzdłuż ściany stał rząd krzesełek. Na jednym z nich siedział chłopiec oczekujący na zabieg. Julian uśmiechnął się do niego, a chłopiec grzecznie powiedział „Dzień dobry”. Goście mu odpowiedzieli i udali się dalej za panią Edytą.

Przeszli do następnego pomieszczenia. Była to sala gimnastyczna, w której przy użyciu różnych przyrządów ćwiczyło kilkoro dzieci.

– Teraz pokażę panom, ile mamy sprzętu, którego nie możemy wykorzystać, ponieważ nie mamy odpowiednich pomieszczeń.

Weszli na zaplecze, gdzie zobaczyli dużą ilość sprzętu rehabilitacyjnego, który stał bezużytecznie.

– Ojej – zdziwił się Julian. – Można by wyposażyć trzy takie obiekty.

– Sam pan widzi, że nie przesadzałam, jak opowiadałam – uśmiechnęła się.

– Wie pani, ma pani piękny uśmiech... – powiedział Wiktor i dodał: – Chętnie bym panią namalował.

– Tak? – zapytała zdziwiona.

– Pan Wiktor jest malarzem – wyjaśnił Julian.

– Malarzem? A ja myślałam, że pan jest...

Zaczęła szukać odpowiedniego określenia, ale Julian nie czekając, pośpiesznie uzupełnił informację:

– Pan jest synem właściciela koncernu JURSKI GROUP.

– Ach tak... To wspaniale być artystą – odrzekła, patrząc na Wiktora z podziwem.

– To, co powiedziałem, pani Edyto, to nie była jakaś grzecznościowa retoryka, tylko naprawdę chętnie zrobiłbym pani parę portretów, ponieważ jest pani doskonałym obiektem dla malarza – Wiktor dalej ciągnął przerwany przez Juliana wątek.

- Doprawdy nie wiem, co mam odpowiedzieć, tak mnie to zaskoczyło.
 - Niech pani się namyśli i jak się znów spotkamy, to porozmawiamy o tym – Wiktor nie odpuszczał.
 - Pomyślę – odparła trochę zawstydzona.
 - Cóż, chyba możemy wracać, zwłaszcza że mamy jeszcze wstąpić do pani ojca – ponaglił Julian.
 - Tak, tak, oczywiście – podchwyciła pani Edyta.
- ***

Otworzyła im pięćdziesięciokilkuletnia dystygowana kobieta o siwych włosach, matka pani Edyty. Zaprosiła ich do skromnego, ale gustownie urządzonego salonu ze starymi secesyjnymi meblami.

W salonie czekał już ojciec, nobliwy siwy pan z długimi szpakowatymi wąsami, takąż brodą i gęstymi brwiami, spod których patrzyły takie same brązowe oczy, jakie miała pani Edyta. Starszy pan powitał ich z wyszukaną grzecznością.

Pani domu zaproponowała gościom, aby usiedli na kanapie, przy której stał owalny stół, zaś domownicy zajęli miejsca na wyściełanych krzesłach, wyglądających na oryginalny thonet.

– Przepraszam, że nie mogłem powitać panów w biurze – powiedział pan Michałowski, ojciec pani Edyty, gdy tylko usiedli – ale niedawno miałem spory problem z sercem i lekarz kazał mi siedzieć w domu.

– Ależ to dobrze. Lekarzowi nie należy się sprzeciwiać – odrzekł Julian. – Poza tym nie mielibyśmy okazji odwiedzić państwa w domu... A jak się pan teraz czuje?

– O, już całkiem nieźle. Mam nadzieję, że dojdę do dawnej formy i jeszcze będę użyteczny.

– Przepraszam bardzo, czy mogę zobaczyć obrazy z bliska? – zapytał Wiktor, rozglądając się po pokoju.

– Oczywiście, to ja przepraszam, że wpierrw panów nie oprowadziłam – usprawiedliwiała się gospodyni. – Ale już to naprawiam.

– Siedź, mamó, ja to zrobię – powiedziała córka, wstając.

– Nie, nie, proszę sobie rozmawiać o interesach, a ja sam popatrzę – poprosił Wiktor i powoli podniósł się z krzesła.

Zaczął chodzić po pokoju i oglądać obrazy oraz inne stare rzeczy, których tu nie brakowało, zerkając od czasu do czasu na panią Edytę.

Po kilku minutach podszedł do niej, nachylił się i półgłosem zapytał:

– Widzę dwa obrazy Piotra Michałowskiego. Czy to państwa przodek?

– Niezupełnie. Pradziadek mojego taty był bratem malarza.

Wiktor odszedł jeszcze oglądać dzieła sztuki, a przy stole rozmawiano o fundacji.

Julian postarał się dość szybko zakończyć wizytę. Umówił się z panią Edytą na spotkanie w Warszawie za dwa dni w celu obejrzenia pałacu i poczynienia dalszych ustaleń.

– To szkoda, że panowie tak prędko wychodzą... – powiedział nieco rozczarowany pan Michałowski.

Wyszli, tłumacząc się koniecznością wizyty w Krakowie:

– Szkoda, ale pan Wiktor jest umówiony ze swoim kolegą ze studiów i musimy jechać – wyjaśnił Julian.

– No tak. Z Kielc już niedaleko do Krakowa, więc warto skorzystać z okazji – powiedziała starsza pani, wstając od stołu. Uśmiechnęła się do Wiktora i wyciągnęła do niego rękę.

– Niewykluczone, że będę mieszkać w Krakowie – pochwalił się Wiktor i uściśnął dłoń pani Michałowskiej.

– Och, jak ja kocham Kraków. Kielce też lubię, ale Kraków to nasza młodość... Tam urodziła się Edytka – powiedziała starsza dama i popatrzyła z miłością na córkę.

Prędko zawieźli panią Edytę do biura i pojechali w kierunku Krakowa.

Zaraz po wyjeździe Julian zaczął przeglądać teczkę z wykazami podopiecznych fundacji i ich danymi. Zauważył, że jeden z beneficjentów mieszka w Jędrzejowie, i przyszedł mu do głowy pomysł, żeby tam wstąpić i porozmawiać. Podał adres kierowcy i jechali dłuższy czas, nie rozmawiając. W końcu pierwszy odezwał się Julian:

– Na poziomie ludzie ci Michałowscy i bardzo mili.

– I córka z klasą – powiedział Wiktor, będąc jeszcze pod wrażeniem.

Julian uśmiechnął się i nic nie odpowiedział.

– Panu się nie podobała? – zagadnął Wiktor po pewnym czasie.

– Podobała, podobała – odrzekł Julian z ironicznym uśmiechem.

– Ale jakoś dziwnie się pan uśmiecha...

– Bo widziałem, jak nieniegancko się pan zachowywał – powiedział półgłosem.

– Nieniegancko? A co ja takiego powiedziałem albo zrobiłem?

– Nic, ale nie wypadało tak jej zaglądać w dekolt...

– Przecież kobiety lubią być obiektem zainteresowania – odrzekł, nie przejmując się uwagą.

– Lubią, ale jednocześnie oceniają formę tego zainteresowania, przynajmniej niektóre.

Wiktor dłuższy czas milczał. W końcu zapytał:

– Myśli pan, że ona to zauważyła?

– Skoro ja zauważyłem, to mogła i ona... Ale myślę, że jako artystce powinna to panu wybaczyć. Przecież artyści są znani z nieprzestrzegania

konwenansów – podsumował z uśmiechem.

Kierowca zjechał z autostrady i zaczął kluczyć po wąskich uliczkach Jędrzejowa. Dość szybko dojechali do ulicy Śniegowej, leżącej na peryferiach miasteczka, i jadąc wzdłuż niej, wypatrywali domu numer osiem.

Ku ich zdziwieniu był numer sześć, później zarośnięty chaszczami ogród, na którym nie było żadnego budynku, i następna posesja z domem numer dziesięć.

– Niech pan się tu zatrzyma, panie Waldku, to ja pójde popytać – powiedział Julian do kierowcy.

Kierowca zatrzymał się tuż przy furtce posesji numer dziesięć. Julian zadzwonił i chwilę rozmawiał przez domofon.

– Hm... Dziwne... – powiedział, gdy wrócił.

– Co powiedzieli? – zapytał Wiktor.

– Powiedzieli, że nigdy nie było tu żadnego domu, a nazwiska tych ludzi nie znają.

– Widocznie jakaś pomyłka, ale może to i lepiej – zauważył Wiktor obojętnym głosem.

– Dlaczego lepiej? – zapytał Julian trochę niezadowolony z takiego postawienia sprawy.

– Bo jakby się pan tu zagadał, to nie dojechalibyśmy na dwunastą do Krakowa, a jak rozmawiałem z kolegą, to powiedziałem, że będziemy koło południa.

– Na pewno dojedziemy, przecież jeszcze wcześniej.

Chwilę pomyślał i zwrócił się do kierowcy:

– Tu właściwie ta ulica już się kończy, niech pan zawróci i wraca, ale kilka domów dalej niech pan się zatrzyma, to ja jeszcze popytam.

Julian jeszcze raz wysiadł i zaczął rozpytywać o nazwisko i o dziecko po wypadku, ale tu także bez skutku. Przejechali jeszcze kawałek i znów pytał, też bez rezultatu.

Przyjechali na miejsce trochę po wpół do dwunastej. Wiktor przedstawił Julianowi swego kolegę i sam serdecznie się z nim przywitał.

Kolega nazywał się Artur Zadrozny. Mieszkał wraz z żoną i dwójką dzieci w trzypokojowym mieszkaniu w starym domu czynszowym na Krowodrzy.

Pierwsza rzecz, jaka rzuciła się w oczy Julianowi, gdy weszli do pokoju, to brak nawet małego kawałka wolnej ściany. Wszędzie bowiem wisały obrazy.

– Żona akurat wyszła, a dzieci w szkole – wyjaśnił gospodarz. – Ale proszę, niech panowie siadają.

Mówiąc to, wskazał dwa głębokie fotele przy niewielkim stoliku w rogu pokoju.

– Ja zaraz zrobię coś do wypicia... Tak tymczasem, bo mam nadzieję, że panowie zostaną u nas na obiedzie.

– Oj, ale nie chcemy robić kłopotu – odpowiedział Julian.

– Ale panowie, moja żona już się przygotowała... Byłoby jej strasznie przykro. Przecież po tylu latach się spotkać to wielka okazja.

– Może w takim razie przed obiadem obejrzelibyśmy to mieszkanie z pracownią? – zaproponował Julian, rozglądając się po pokoju.

– Możemy iść. To jest kilka domów dalej, na tej samej ulicy.

– Więc chodźmy – podchwycił Wiktor z ochotą.

Pracownia i mieszkanie znajdowały się na poddaszu trzypiętrowej kamienicy wybudowanej na początku dwudziestego wieku. Był to pokój z kuchnią i z łazienką o łącznej powierzchni pięćdziesięciu kilku metrów kwadratowych. Stan mieszkania był na tyle dobry, że można było od razu się wprowadzić i już mieszkając, ewentualnie coś poprawić.

– Myślę, że dla jednej osoby to dostatecznie duże mieszkanie. Poprzednio mieszkało tu małżeństwo z dzieckiem – powiedział Artur, zapewne oczekując pochwały.

– A powiedz, Arturze, gdzie jest wejście do pracowni? – zapytał Wiktor, szukając wzrokiem drzwi.

– Niestety, nie ma przejścia z mieszkania do pracowni. Trzeba je dopiero zrobić, ale to żaden problem.

– To chodźmy, zobaczymy – zarządził Wiktor.

Wyszli na korytarz i przeszli do pracowni.

Wiktor wszedł pierwszy, stanął na środku, wziął się pod boki, rozejrzał się wkoło i z zadowoleniem zawołał:

– Kapitalna! Zawsze marzyłem o czymś takim.

Był to pokój o powierzchni czterdziestu kilku metrów ze skośną częścią sufitu, w którym osadzone były jedno przy drugim cztery duże okna. Skośny sufit nie dochodził do podłogi, lecz opierał się na pionowej ścianie, przy której stała stara kanapa, stół, komoda i wielki fotel.

– A to czyje? – zapytał Julian, pokazując meble.

– To pozostałość po poprzednim lokatorze... On tu mieszkał.

– Jak brać pod uwagę mieszkanie i pracownię, to mogłaby tu mieszkać spora rodzina – zauważył Julian.

– Tak, w sumie to jest koło stu metrów – wyjaśnił Artur i zapytał: – Jak, panowie? Podoba się?

– Mnie się to podoba... Aż chce się żyć – stwierdził Wiktor z zapalem. – A panu? – zapytał, patrząc na Juliana.

– Na razie tak... – odrzekł Julian.

– Nie rozumiem. To może pan zmienić zdanie? – zdziwił się Wiktor.

– Zależy, jaką usłyszymy cenę – spokojnie odrzekł i popatrzył na Artura.

– Właściciel chce sto osiemdziesiąt tysięcy – powiedział Artur, patrząc badawczo na Juliana.

– To nie do przyjęcia. To jest dwa razy więcej, niż to warte – odrzekł Julian z kamienną twarzą.

– No, on tyle chce.

– Chcieć to jedno, a móc to drugie – odrzekł Julian z ironicznym uśmiechem.

– Tak pan myśli? – zdziwił się Artur.

– Ja nie myślę. Ja wiem, ponieważ przed wyjazdem zrobiłem dokładne rozeznanie i orientuję się, jakie są ceny w Krakowie... A możemy się zobaczyć z tym właścicielem?

– Tak, on mieszka w tym domu na pierwszym piętrze.

– To chodźmy.

– Proszę mi powiedzieć... – Julian w czasie drogi zapytał Artura. – Mówił pan gospodarzowi coś o nas? Kim jesteśmy i skąd jesteśmy?

– Mówiłem, że z Warszawy.

– Niepotrzebnie. W Warszawie mieszkania są droższe niż tu. On może o tym wiedzieć i pewno dostosowuje swoje żądania do warszawskich cen.

– Myśli pan?

– Myślę.

Weszli do gospodarza i zaczęli rozmawiać. Julian od razu się zorientował, że to cwaniak i chciwiec, który sprzedałby własną matkę, gdyby znalazł się kupiec.

Po kilku minutach rozmowy właściciel dość łatwo zszedł z ceny o dwadzieścia tysięcy.

– Nie, proszę pana, to i tak jest o wiele za drogo. To absolutnie nie jest warte więcej niż sto tysięcy – powiedział Julian obojętnym tonem.

– Sto tysięcy?! Jak ja miałbym to sprzedać za sto tysięcy, to lepiej niech stoi puste! – zawołał gospodarz ze zgrozą.

– Wie pan, ten dom ma ponad sto lat... Mieszkanie w nowym budynku tyle nie kosztuje... Pan chce tyle co za komfortowe mieszkanie na ekskluzywnym osiedlu.

– Ale proszę pana, co z tego, że ma sto lat? To solidny dom. Taki może tysiąc lat stać – powiedział właściciel ze złością.

– Niech sobie stoi nawet i dwa tysiące lat, ale jak będzie stać pusty, to co panu z tego przyjdzie? – powiedział Julian ze spokojem.

– Pusty, pusty. He, pusty nie będzie, nie kupi pan, to kto inny – powiedział obrażonym głosem.

– Kupi, ale przecież nie za taką kwotę.
– To tak naprawdę ile pan daje?
– ...Za sto dwadzieścia to może byśmy się zdecydowali – odrzekł Julian po namyśle, spoglądając na Wiktora.

– No, nie. To za tanio... Ja już swoje powiedziałem.

– To cóż, to idziemy... Niech pan pomyśli i za tydzień ewentualnie się spotkamy i jeszcze pogadamy, jeżeli do tamtej pory nie kupimy czegoś innego – powiedział Julian i wyciągnął rękę na pożegnanie.

– Taniej jak za sto pięćdziesiąt nie sprzedam... Nie ma mowy – zastrzegł właściciel, żegnając się.

Schodzili po schodach w milczeniu. Dopiero na ulicy Wiktor zapytał:

– To przyjedziemy za tydzień?

– Musimy... Przecież nie kupuje się mieszkania po pięciominutowej rozmowie – odpowiedział Julian ze stoickim spokojem, patrząc na Artura.

– Świetnie by było, gdybyśmy mieszkali tak blisko siebie... – stwierdził Artur. – Przynajmniej mnie byłoby bardzo miło – dodał.

Gdy wrócili do domu państwa Zadrożnych, gospodyni już szykowała obiad.

– Wiktorze, ty się nic nie zmieniłeś, pomijając, że włosy masz trochę krótsze! – zawołała, wychodząc z kuchni.

– Wie pan, że on dawniej miał włosy do połowy pleców? – zwróciła się do Juliana.

– Nie wiem, ale sobie wyobrażam.

– Ile to lat się nie widzieliśmy? – zapytała Wiktora.

– Chyba z osiem – odpowiedział, obejmując ją.

– Wie pan, ile już lat się przyjaźnimy? – powiedziała do Juliana i wyciągnęła do niego rękę.

– Wiem, już się trochę nasłuchałem – wyjaśnił Julian.

– Wie pan, jak się bardzo cieszymy z Arturem...? Ale, czy to dojdzie do skutku? – zapytała z obawą.

– A dlaczego miałyby nie dojść? – odrzekł Julian, bacznie obserwując Artura.

– Świetnie, siadajcie, panowie – zaprosiła i delikatnym gestem dłoni wskazała stół.

– A może tak przed obiadem napijemy się piwka? – zaproponował pan domu.

– Pewnie. Piwko przed obiadem dobra rzecz – podchwycił Wiktor.

– Wie pan, że Wiktor to zdolny malarz? Tylko on nie potrafi tego wykorzystać! Jest za mało obrotny, za łatwo się poddaje, ale jak tu zamieszka, to my spróbujemy ułatwić mu kontakty i miejmy nadzieję, że coś z tego wyjdzie – zawołał Artur, znikając w kuchni.

Za chwilę pojawił się, niosąc kufle na piwo.

– Już, moment, tylko jeszcze piwo przyniosę – to powiedziawszy, obrócił się na pięcie i szybko znów poszedł do kuchni.

Rozsiedli się wygodnie, trzymając w rękach kufle ze złotym płynem, i dalej rozmawiali.

– Uważa pan, że to dojdzie do skutku? – zapytał Wiktor, gdy już wracali do Warszawy.

– Pewnie, że tak. Niech się pan nie martwi.

– A jak on nie opuści tyle, co pan chce?

– To mu damy tyle, ile on chce, ale przecież w takich sytuacjach zawsze trzeba się targować... Poza tym on rzeczywiście chciał za dużo.

– To pan nie blefował z tą znajomością cen?

– Nie. Przecież nie można przystępować do takiej sprawy bez przygotowania...

– Wie pan co? Widzę, że ojciec wiedział, co robi, powierzając panu wszystko.

– Cha, cha. Staram się nie sprawić mu zawodu... Nie tylko w tej sprawie, ale i w każdej innej – odparł z nieco ironicznym śmiechem. – Może mi się to uda.

Gdy dojeżdżali do Warszawy, zaczął kropić deszcz. Zadzwoił do Małgorzaty i powiedział, że są już niedaleko.

– Świetnie, to ja już robię kolację – ucieszyła się.

Wrócił po osiemnastej.

– Jak się powiodła wyprawa? – zapytała.

– Dobrze. Nawet polubiłem trochę tego Wiktora... Dotąd mało go znałem...

Właściwie głównie z opowiadań ojca...

– I co? – odzywała się zdawkowo, krzątając się w kuchni.

– On chce się przeprowadzić do Krakowa. Uznał, że po śmierci matki nic go nie łączy z Warszawą, i chce się tam urządzić.

– Dlaczego akurat tam?

– Tam mieszka jego przyjaciel, z którym przyjaźni się od czasów studiów...

Też malarz.

– To on jest malarzem? – zdziwiła się.

– Tak. Nie mówiłem ci?

– Chyba nie... A jaki jest ten przyjaciel?

– Trudno go rozszyfrować... Znalazł dla Wiktora całkiem niezłe mieszkanie z pracownią, ale strasznie drogie... Prawie dwa razy droższe niż podobne

w Krakowie...

– I co?

– Podejrzewam, że on się dogadał z właścicielem, i chcą wziąć więcej, a część będzie dla niego za pośrednictwo.

– Przecież wiadomo, że pośrednicy biorą za pośrednictwo.

– Ale nie tyle. Poza tym on nie jest pośrednikiem i robi to z czystej przyjaźni, jaka łączy go z Wiktorem... Przynajmniej tak sprawa wygląda na zewnątrz.

– Może po prostu tobie się wydaje, że to tak drogo.

– Wiesz, dwie godziny przeglądałem w internecie różne oferty z Krakowa...

Oni obaj wiedzą, że koncern jest bogaty, to mogli się dogadać, żeby dobrze na tym zarobić.

– A mówiłeś temu Wiktorowi o swoich podejrzaniach?

– Nie. Nie chcę podważać jego wiary w przyjaźń... – mówiąc to, gorzko się uśmiechnął. – Ten przyjaciel wie, że to nie Wiktor będzie płacić, więc w stosunku do niego ma czyste sumienie... Przynajmniej może tak myśleć... Ale w tej chwili to nieważne, lepiej powiedz, jak tobie minął dzień?

– Byłam na Akademii Medycznej.

– Oo! No i jak? – zawołał z ciekawością.

– Wiesz, są wakacje i nie bardzo było z kim rozmawiać, ale pani z dziekanatu powiedziała, że z takimi stopniami nie powinno być problemu.

– Cha, cha, cha! – zaśmiał się z radością. – Jak tylko zobaczyłem twój indeks, to też tak powiedziałem... – stwierdził z dumą.

– Popatrz z dzisiejszych biegów nici – powiedziała, spoglądając w okno.

– Co, tam. Jak nie dziś, to jutro...

– Nie bardzo. Przecież ja w niedzielę wyjeżdżam na obóz językowy.

– Małgochna, nie wyobrażam sobie miesiąca bez ciebie – orzekł z żalem.

– I ja, ale nie wyobrażam sobie też mojej przyszłości bez dobrej znajomości angielskiego...

– Jedź, jedź. Po takiej przerwie bardziej się będziemy kochać. Jedź i dobrze wykorzystaj tę szansę – odpowiedział zgodnie z rozsądkiem.

W piątek przyjechała pani Edyta. Do gabinetu wprowadziła ją pracownica zastępująca Halinkę. Julian był zaskoczony zmianą jej wyglądu, z przeciętnie ładnej kobiety zmieniła się bowiem w prawdziwą piękność. Tym razem miała na sobie elegancki, modny kostium i równie wytworne dodatki. Wyszedł zza biurka i powitał ją z uśmiechem jak starą znajomą.

– Bardzo się cieszę. Czym mogę panią przyjąć? – zapytał po przywitaniu.

– Nie chcę robić kłopotu, ale kawy bym się napiła – odpowiedziała,

pokazując w uśmiechu śnieżnobiałe zęby.

Poprosił, by usiadła w głębokim fotelu, stojącym przy niskim stoliku przeznaczonym dla gości. Pani Edyta przeszła przez gabinet, stukając obcasikami, i usiadła, zakładając nogę na nogę. Julian zamówił u sekretarki dwie kawy i sam usiadł po przeciwnej stronie stolika.

– Podróż była dobra? – zapytał, spoglądając mimo woli na jej kolana.

– Lało – odpowiedziała krótko i uśmiechnęła się.

Po chwili weszła sekretarka i wniosła na tacy dwie kawy i ozdobną miseczkę z mieszanką ciasteczek.

– Zaraz pojedziemy oglądać obiekt, ale przedtem muszę poruszyć pewną sprawę wymagającą wyjaśnienia... – powiedział, patrząc jej w oczy.

– Bardzo proszę – odparła z uśmiechem.

– Jadąc do Krakowa, zjrzałem do tego wykazu, który mi pani dała, i zobaczyłem tam adres z Jędrzejowa... – mówił spokojnie, żeby nie robić z tego sensacji, i przyglądał się rozmówczyni. – Przez zwykłą ciekawość postanowiłem tam wstąpić... – przerwał na chwilę, wypił łyk kawy, patrząc znad filiżanki na panią Edytę, i powiedział: – Niestety, pod tym adresem nikt nie mieszka. To jest pusta posesja zarośnięta krzakami. Rozmawiałem z kimś z sąsiedniego domu i powiedziano mi, że tam nigdy nie było żadnego budynku, a właściciel tej posesji nazywa się inaczej.

Pogodny wyraz twarzy pani Edyty nagle się zmienił jak w przeglądarce do zdjęć. Julianowi zrobiło się jej żal.

– Coś podobnego. Aż mi trudno uwierzyć... – powiedziała zmieszana. – Nie wiem, co o tym myśleć... Tak się cieszyłam... Chyba za bardzo... – dodała ze smutkiem.

– Pani Edyto, głowa do góry. Według mnie to nie podważa pani wiarygodności, ale niestety, będzie pani musiała to wyjaśnić.

– Wie pan, to nieprawdopodobne, ale pomyłki się zdarzają...

– Tak by było najlepiej...

– Chyba nie ma innego wytłumaczenia?

– Nie wiem. Nie znam ludzi, z którymi ma pani do czynienia, ale wiem, że mało jest takich, za których można ręczyć... Dlatego zalecałbym ostrożność.

– W jakim sensie? – zapytała, nie rozumiejąc.

– Jeżeli w pani otoczeniu jest ktoś, kto nadużywa pani zaufania i w ten sposób przywłaszcza część pieniędzy przeznaczonych na pomoc, to lepiej udawać, że wszystko jest w porządku, nim się sprawa wyjaśni.

– Tak... Rozumiem... – powiedziawszy to, nagle zamilkła. – Ale ja nikogo nie podejrzewam – dodała po chwili wyraźnie czymś przestraszona.

– Musi pani uważać...

Julian zaczął i przerwał, zastanawiając się, jak jej to powiedzieć.

– Ja nie twierdzę, że tak jest, ale teoretycznie jest możliwość, że ktoś podsuwa pani fałszywe dane nieistniejących osób i bierze przeznaczone dla nich pieniądze – dokończył.

– Tak, rozumiem. Dziękuję, że mi to pan podpowiedział. Wezmę to pod uwagę – powiedziała i zaczęła pić kawę.

– Tata bardzo chciał ze mną przyjechać, ale mu odradziłam – powiedziała, gdy jechali do pałacu. – Gdyby tu był ze mną, to strasznie by się zdenerwował...

– Nie powiedziałbym tego przy pani ojcu – uspokoił ją.

– Ojej, jakie to wspaniałe! – zawołała, gdy Julian skręcił w bramę i oczom ukazał się pięknie podświetlony porannym słońcem pałac, tonący w zieleni starych drzew. – Boże, tu można by założyć całe sanatorium – dodała z zachwytem i zamilkła.

Podjechali pod główne wejście i wysiedli. Weszli do holu.

– Na dole jest kuchnia, jadalnia, pomieszczenia gospodarcze i kilka pokoi mieszkalnych dla pracowników – prowadził ją korytarzami i otwierał drzwi do pomieszczeń. – Na górze wielki salon, sypialnie domowników, pokoje gościnne, apartamenty dla ważnych gości. Na poddaszu jest dwanaście pomieszczeń bez przeznaczenia, które nigdy nie były używane.

– Oj, jestem oszołomiona... – powiedziała pani Edyta z podziwem i jednocześnie ze smutkiem. – Nie wierzę, żeby nasza fundacja mogła korzystać z czegoś takiego – dodała.

– Taka była ostatnia wola pana Michała Jurskiego, ojca Wiktora, którego przedwczoraj pani poznała... Ja jestem realizatorem tego. Reszta zależy od pani...

Julian zorientował się, że to, co powiedział, zabrzmiało trochę patetycznie, i zaczął się zastanawiać, jak to naprawić. Rozmówczyni również milczała, nie wiedząc, jak ma się zachować i co mówić. W końcu Julian odezwał się pierwszy:

– Przedwczoraj przekonałem się, że ma pani zapal do tego, co pani robi, i świetnie sobie pani z tym radzi, ale proszę mi powiedzieć, skąd się wziął pomysł założenia tej fundacji?

– Wie pan, to zasługa taty. Założył fundację i zaraził mnie swoim zapalem... Zawsze mówi, że człowiek ma tylko jedno życie i jeżeli je przeżyje, nic nie robiąc dla innych, to znaczy, że zmarnował wielki skarb, jaki otrzymał... Wie pan, tata się cieszy, jak może coś zrobić dla innego człowieka. Ja widzę, że on się wtedy lepiej czuje i przybywa mu sił.

Tak rozmawiając, doszli do gabinetu Juliana.

– To mój drugi gabinet... Tylko tu nie mam sekretariatu i nie ma kto parzyć kawy...

– Dziękuję, wystarczy jedna – odrzekła, rozglądając się na boki. – O,

piłeczka do ping-ponga – powiedziała ze zdziwieniem, widząc leżącą na podłodze plastikową kuleczkę.

Julian podniósł piłeczkę, chwilę obracał ją w palcach, położył ją na dłoni i wyciągnął w kierunku Edyty, mówiąc:

– Proszę przyjąć ją ode mnie na szczęście.

Edyta wzięła piłeczkę, podrzuciła do góry i chciała ją złapać, ale się jej nie udało i piłeczka podskakując, uciekła pod ścianę.

– Bardzo dziękuję! Bardzo miły prezencik – zawołała, biegnąc za nią i stukając obcasikami.

Julian odwrócił głowę i popatrzył w okno, nie chcąc widzieć, jak Edyta nachyla się po piłeczkę.

– Proszę, niech pani siada, to dokończymy rozmowę – powiedział, wskazując fotel, gdy Edyta wróciła z piłeczką w dłoni.

– A więc, pani Edyto – zaczął, gdy już usiedli. – Niestety, ale będzie pani miała trochę roboty. Musi pani wyjaśnić ten incydent, o którym mówiliśmy, w sposób niebudzący wątpliwości. Musi też pani zbadać, czy to był pojedynczy przypadek, czy też to jest zjawisko powtarzalne. Ja ze swojej strony jestem zdecydowany notarialnie przekazać pałac fundacji, oczywiście bezpłatnie i, rzecz jasna, jeżeli załatwi pani to, o czym przed chwilą rozmawialiśmy. Mam też jeden warunek. Mianowicie: w tej chwili mieszkają tu dwie osoby: dozorca i ogrodnik. Chciałbym, żeby mogli bezpłatnie mieszkać tu do końca życia. Mieszkają tu jeszcze dwie osoby: pan Wiktor Jurski, którego już pani poznała, i pani Anna Radwan, cioteczna siostra pana Michała Jurskiego. Oboje wyprowadzą się w najbliższym czasie...

Julian przerwał na chwilę, usiłując sobie przypomnieć, co miał jeszcze do powiedzenia.

– Aha, jeszcze jedno – dodał – Ja tego pani nie narzucam, ale byłoby dobrze, gdyby ogrodnik i dozorca mogli nadal tu pracować.

– Tak, rozumiem, to wszystko jest jasne i słuszne... A czy pan nie zamierza narzucić fundacji jakichś warunków dotyczących sposobu wykorzystania obiektu przez fundację?

– Nie rozumiem?

– Może niejasno powiedziałam... Chodzi mi o to, czy będziemy mogli prócz działalności pomocowej prowadzić tu działalność związaną z pozyskiwaniem pieniędzy dla fundacji?

– A może pani dokładniej to sprecyzować?

– Tak, widzi pan, obawiam się, że koszty utrzymania tego obiektu mogą w obecnej sytuacji pochłaniać zbyt dużo pieniędzy, które w tej chwili są przeznaczone na pomoc. Dlatego myślę, że dobrze by było, gdyby pałac zarabiał sam na sobie i dawał dodatkowe pieniądze na działalność statutową... Na przykład

gdyby w części pałacu założyć hotel, część przychodów szłaby na utrzymanie pałacu, a część na zwiększenie pomocy statutowej.

– Tak, chyba tak... Chociaż przed udzieleniem ostatecznej odpowiedzi wolałbym zapoznać się ze statutem fundacji – mówiąc to pomyślał, że zrobił błąd, gdyż należało od tego zacząć.

– Nie ma problemu. Nasz statut jest dostępny dla każdego w internecie... Wystarczy wejść na stronę główną.

– Myślę, że już dość dużo uzgodniliśmy i musimy teraz przygotować się do drugiego etapu rozmów.

– Ja też tak myślę, aż się boję... – powiedziała z wyraźnym zakłopotaniem.

– Czego się pani boi? Przecież jest pani dzielną, mądrą i inteligentną kobietą... – chwilę się zawahał i dodał: – W dodatku piękną, a to też ułatwia różne sprawy.

– Boję się tego, czego mogę się dowiedzieć...

– Ja rozumiem, ale to lepsze niż chowanie głowy w piasek.

Edyta nic nie odpowiedziała, więc Julian uznał tę rozmowę za zakończoną i zdecydował się na zmianę tematu:

– Jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu, to teraz poprosiłbym Wiktora, żeby przyszedł do nas, bo on nie darowałby mi, gdyby się dowiedział, że pani była, a ja mu o tym nie powiedziałem...

– Oczywiście, jak najbardziej. Inaczej nie wypada... – odpowiedziała nieco rozluźniona.

Julian zadzwonił i Wiktor za chwilę przyszedł.

– Witam najniższej moje natchnienie! – zawołał, stając w drzwiach i śmiejąc się od ucha do ucha.

– Niech pan nie przesadza z tym natchnieniem – powiedziała i wyciągnęła do niego dłoń.

– Nie przesadzam. Namalowałem pani portret. Oczywiście, malując z pamięci, nie uchwyciłem dobrze podobieństwa, ale mam nadzieję, że udało mi się pokazać charakter postaci.

– Oj, nigdy w życiu nikt mnie nie namalował – powiedziała z przejęciem. – A czy mogę to zobaczyć?

– Tak, stoi za drzwiami... Chciałem wpierw przygotować panią na ten szok – zażartował.

Julian zrobił groźną minę, obawiając się, że może to być tego typu obraz, jaki ostatnio namalował swojej byłej przyjaciółce, ale nie był w stanie go powstrzymać. Przebiegły mu przez myśl wszystkie zwariowane pomysły Wiktora i nieprzemysłane decyzje, w jakie obfitowało jego całe dotychczasowe życie.

„A, trudno...” – pomyślał, gdy Wiktor już zniknął za drzwiami. – „Jest dorosły i wszystko robi na własną odpowiedzialność”.

Wiktor wszedł, trzymając obraz przodem do siebie. Spojrzał na Edytę wzrokiem nieznośnego dziecka, które coś spsościło, i energicznym ruchem odwrócił swoje dzieło.

Oczom patrzących ukazał się obraz w stylu romantycznym. Przedstawiał kobietę w powłóczystej białej sukni wylaniającą się z zarośli. Parę kroków za nią pod rozłożystymi krzakami czaiło się czarne zwierzę z dużymi żółtymi oczami. Twarz kobiety była mało wyraźna, ale jej zarys i włosy całkiem dobrze uchwycono. Obraz był dość ciemny, panował na nim zmrok, co podkreślało atmosferę tajemniczości.

Pani Edyta wstała, westchnęła i to był jedyny dźwięk, jaki wydała.

Julian patrzył w milczeniu, uznając, że pierwszy nie powinien się odzywać.

– Ojej, Ale mnie pan zaskoczył – powiedziała po długiej chwili – Zupełnie mnie zamurowało. Coś takiego jeszcze mi się nie przydarzyło.

– Moje zdanie się nie liczy, bo ja się za bardzo nie znam, ale to mi się podoba – powiedział Julian, ponieważ po krótkiej wypowiedzi pani Edyty znów zapanowała cisza.

– On jest piękny – powiedziała zmieszana.

– Gdyby mi pani pozowała, zrobiłbym to lepiej.

– No, no. Nie wiem, czy wtedy nie byłoby za dobrze – powiedziała tonem znawcy.

Można było się domyślić, że już doszła do siebie po doznanym szoku.

– Pan jest zdolny, panie Wiktorze, powinien pan być znanym malarzem – dodała.

Julian w tym momencie pomyślał, że szkoda, iż Jurski nie słyszy tej opinii.

– Może w Krakowie lepiej mi się powiedzie – powiedział Wiktor z nadzieją w głosie.

– Przepraszam, czy mógłbym zostawić państwa dosłownie na pięć minut, ponieważ mam ważną sprawę do pani Anny? – zapytał Julian, patrząc na panią Edytę.

– Oczywiście, bardzo proszę – odpowiedziała, spoglądając na dzieło Wiktora.

– Przyznaję, że wiąże z Krakowem duże nadzieje – powiedział po wyjściu Juliana. – Tu byłem zupełnie oderwany od mojego środowiska.

– Tak myślę, że to ma znaczenie... A dużo ma pan obrazów?

– Nie, niedużo... – zrobił przerwę i dodał: – Wiem, że wypadałoby pokazać je pani, ale u mnie jest taki bałagan, że naprawdę nie mogę. Przepraszam, wstyd mi z tego powodu... Ale bardzo proszę, niech pani siada – wyraźnie zależało mu na zmianie tematu.

Edyta usiadła na dawnym miejscu, Wiktor zajął fotel Juliana.

– W przyszłym tygodniu jeszcze raz jedziemy do Krakowa w sprawie

mojego mieszkania... – zaczął mówić, spoglądając na kolana Edyty. – Nie wiem jeszcze dokładnie, jakie ma plany pan Julian, ale jeśli o mnie chodzi, to bardzo bym się cieszył, gdybyśmy mogli znów spotkać się z państwem...

– Myślę, że się spotkamy, ponieważ jeszcze mamy rozmawiać z panem Podhoreckim – wyjaśniła, zerkając na obraz. – Mamy jeszcze sporo spraw do uzgodnienia.

Kiedy Julian wrócił do swego gabinetu, obraz był zapakowany i stał pod ścianą.

– Jeśli idzie o mnie, to mógłbym już wracać, ale jeżeli państwo mają chęć jeszcze porozmawiać, to załatwiłbym jeszcze coś...

– Ja bym wołała już jechać, bo chciałabym jeszcze dzisiaj zająć się tą sprawą, o której mi pan mówił – zameldowała, zupełnie jakby Julian był jej przełożonym.

Julian wziął obraz i poszli do samochodu. W czasie drogi umówili się na kontakt telefoniczny. Pożegnali się na parkingu pod biurem, gdzie Edyta przesiadła się do swojego auta i pojechała do Kielc.

Wszedł do gabinetu i zadzwonił do Dworaka:

– Witam, panie Romanie. Jednak postawił pan na swoim?

– Pan prezes ma na myśli kierowcę?

– A kogóż by... Nawet nie uzgodnił pan tego ze mną.

– Bo wiedziałem, że pan prezes się nie zgodzi, a ja przecież odpowiadam za pana bezpieczeństwo. Biorę za to pieniądze – twardo postawił sprawę.

– Dobrze, dobrze. Ja nie mam pretensji... Tak tylko mówię... A co poza tym? Z profesorem Borkiem wszystko w porządku?

– A czy coś się dzieje, panie prezesie?

– Nie, chyba nie... Myślę tylko, że profilaktycznie można by się zainteresować... A tak w ogóle, to już panu mówiłem, żeby wreszcie dał pan spokój z tym prezesem.

– Wobec tego wybiorę się do profesora nawet jeszcze dzisiaj, panie Julianie.

– Może aż tak niech się pan nie śpieszy. Wolałbym, żeby pan do mnie przyszedł na pół godziny.

– Już idę... Za pięć minut jestem u pana, panie Julianie.

Nawet pięć minut nie minęło i w drzwiach stanął Dworak, jak zwykle zdyszany i uśmiechnięty.

– Niech mi pan powie, jak dużo pańscy ludzie wiedzą na temat mojej operacji? – zapytał Julian bez żadnych wstępów.

– Nic nie wiedzą – odpowiedział bez namysłu, ale z jego twarzy zniknął uśmiech i zastąpiła go ledwo zauważalna oznaka niepewności.

– Z pana miny wnioskuję, że nie jest pan tego pewien – groźnie powiedział Julian.

– Ja jestem pewny, ale ponieważ pan mnie nagle o to pyta, to się przestraszyłem, że coś jest nie tak...

– Wszystko raczej jest w porządku, ale chcę mieć pewność, że żaden z nich nie wywinie jakiegoś numeru.

– Panie Julianie. Jest tylko dwóch takich, którzy cokolwiek się z tym zetknęli... Ale oni naprawdę za mało wiedzą, żeby móc nam zaszkodzić.

– Co to znaczy za mało? – dociekał Julian.

– No, jeden dolał tamtemu Julianowi trochę ogłupiacza do kawy i przywiózł go na spotkanie z notariuszem... Dzięki temu Julian nie bardzo wiedział, co się z nim dzieje i co podpisuje. Ja tam byłem podczas tej ceremonii i wysłałem swojego pracownika do samochodu, żeby tego nie oglądał. W ten sposób on nie wie, o co tam chodziło. Za kilka dni znów mu dał ogłupiacza i zawiózł go do kliniki... – mówił trochę chaotycznie, ale spokojnie i rzeczowo. – Oczywiście, nie wiedział, że wiezie go na operację. Miał powiedziane, że wiezie go na dalsze badania.

– A drugi?

– Drugi miał za zadanie pomóc w dostarczeniu go do kliniki. Widział Juliana tylko raz i w ogóle w niczym się nie orientował.

– I co dalej z nimi?

– No, ten, co go dwa razy woził i dolewał mu ogłupiacza, dostał awans na kierownika i sporą podwyżkę, a ten drugi też dostał podwyżkę. Obaj nadal pracują i są zadowoleni.

– To tylko ten jeden ewentualnie może się czegoś domyślać?

– On na pewno się nie domyśla, o co w tym chodziło... Naprawdę miał za małą w tym rolę, żeby móc czegoś się domyślać.

– Bardzo dobrze. Może w takim razie rzeczywiście nic z ich strony nie grozi... – zastanowił się chwilę i dodał: – Jednak ciągle mam wrażenie, że to jakoś za łatwo przeszło... Niech pan nie rozmawia z profesorem... Ja to zrobię – dodał po chwili.

Zadzwoił też do dyrektora Rogulskiego i zapytał, jak stoją sprawy z kampanią wyborczą.

– Jesteśmy w trakcie zbierania podpisów – wyjaśnił. – Poza tym mamy już wydrukowane plakaty z portretami i jest przygotowywany scenariusz do spotu...

– Świetnie, a kiedy będę mógł zobaczyć ten scenariusz?

– Myślę, że gdzieś za tydzień, może półtora.

– Ale czy pan im mówił, że my nie chcemy takiej prymitywnej, nachalnej i ordynarnej propagandy?

– Oczywiście.

– A z podpisami nie ma pan trudności?

– Nie. Myślę, że bez problemów damy radę... Uważam, że dużo pomogła ta promocja naszego koncernu. Dzięki niej ludzie bardziej przychylnie na nas patrzą.

Zaraz po wyjściu Dworaka zadzwonił do profesora i umówił się na spotkanie po południu w jego domu.

– Cieszę się, że się odezwałeś, bo ostatnio rzadko się widzimy – powiedział profesor z wyrzutem, gdy tylko Julian przekroczył próg jego mieszkania.

– Ciągłe sobie obiecuję, że to nadrobię, i ciągle nie mam czasu – odrzekł Julian ze szczerym żalem, witając się z przyjacielem.

– Tak, tak. Wszyscy dziś mają te problemy i dlatego zupełnie zanikają kontakty towarzyskie, a nawet rodzinne – powiedział, wprowadzając go do pokoju.

Julian usiadł w tym samym miejscu co zawsze, to znaczy na staroświeckiej kanapie naprzeciwko wielkiego okna, zastawionego egzotycznymi roślinami. Profesor chwilę krzątał się po mieszkaniu, po czym podjechał do kanapy niewielkim barkiem z różnymi napojami i słodyczami i usiadł obok gościa.

– Słyszałem w radiu, że rozdajesz mieszkania... – zagadnął Juliana i gestem dłoni zaprosił, żeby się częstował.

– Niezupełnie, ponieważ oni trochę płacą, ale rozkładam im to na nieoprocentowane raty i oczywiście sprzedaję bez zysku... – uśmiechnął się i mówił dalej. – Naprawdę tanio to im wychodzi. Nikt w Polsce nie sprzedaje mieszkań na tak dogodnych warunkach... A takim, którzy są tego warci, sprzedaję nawet za symboliczną cenę.

– Widzę, że realizujesz to, co sobie wtedy przyrzekłeś...

– Tak i stopniowo to rozszerzam. Ufundowałem też stypendia dla najzdolniejszych dzieci... – chwilę pomyślał, po czym dodał: – Ja już nic więcej nie potrzebuję... Wystarczy mi to, co mam.

Mówił powoli, robiąc długie przerwy między zdaniami, jakby myślał o czymś innym, mimochodem odpowiadając na pytania.

– Widzę, że jesteś szczęśliwym człowiekiem... – powiedział Edward tak, że trudno było rozpoznać, czy to stwierdzenie, czy pytanie.

Julian dość długo milczał, zastanawiając się, co powinien odpowiedzieć albo jak to skomentować. W końcu stwierdził:

– Ciężko znaleźć na to jednoznaczną odpowiedź. Szczęście to nie jest sprawa wymierna, to raczej pojęcie filozoficzne. Przynajmniej tak mi się wydaje... W każdym razie ja uważam siebie za człowieka bardzo szczęśliwego i wiesz, dziwna rzecz, ale sprawia mi przyjemność robienie czegoś dla innych.

– Powiedziawszy to, tajemniczo się uśmiechnął i popatrzył na twarz przyjaciela.

– Wydaje mi się, że znalazłeś na to sposób.

– Wciąż nie jestem tego pewien, ale się staram... – zrobił przerwę, zastanawiając się nad czymś, i nagle zapytał: – A czy teraz, kiedy minęło sporo czasu od mojej operacji, możesz mi powiedzieć, jak to w ogóle było i czy ci ludzie, którzy ją robili, są pewni?

– W jakim sensie pewni?

– No, czy się gdzieś nie wygadają albo jakoś tego nie wykorzystają...

– Nikt normalny tego nie robi, bo przecież sam zostałby pociągnięty do odpowiedzialności za współudział... – odrzekł spokojnie i z namysłem. – Nie, twoje obawy są niepotrzebne. Najlepiej w ogóle nie zaprzataj sobie tym głowy. Raczej należałoby myśleć, jak doprowadzić do uchwalenia przepisów, które mądrze regulowałyby całą transplantologię i procedury pozyskiwania dawców, bo w tej chwili wszyscy bardziej się troszczą o tego, kto umarł, niż o tego, kto jeszcze żyje i wymaga szybkiego ratunku.

– Tak, ale jak to zrobić w sytuacji, kiedy ideologia przeważa nad zdrowym rozsądkiem i nad troską o dobro ogółu?

– Mnie się wydaje, że niestety to jest praca na całe lata, ponieważ trzeba społeczeństwo od dziecka wychowywać w tym duchu. Tego nie da się zrobić na siłę, w sytuacji, kiedy ogół ludzi nie rozumie tych spraw i w dodatku boi się wszystkiego, co nowe...

– Ja też tak uważam, ale kto ma to robić? Przecież większość rodziców nie widzi takiej konieczności. Jak ja chodziłem do szkoły, to w programie były lekcje wychowawcze i uczono na nich dzieci szacunku dla innych, tego, że trzeba ustępować starszemu miejsca, że trzeba dbać nie tylko o własny interes, ale też pomagać innym, i w ogóle wpajano takie społeczne zachowania, a teraz co? Szkoła tego nie robi, telewizja też, a większość rodziców wychowuje swoje dzieci na takich, jakimi sami są... Zwrócisz uwagę komuś, że źle robi, to ci naubliża albo chce cię pobić.

– Właśnie mnie to też dziwi, że na głupotę i chamstwo nie ma sposobu.

– No widzisz, bo głupota nie boli, a chamstwem łatwiej jest torować sobie drogę przez życie niż intelektem.

– No cóż, Julianie, ja tego nie zmienię, bo jestem za stary i nie mam takich możliwości, ale ty możesz to zrobić... W każdym razie możesz przynajmniej próbować... Ale częstuj się... Może nalać ci jakiegoś soku albo kawy? Alkoholu ci nie proponuję, bo domyślam się, że jesteś samochodem.

– Prawdę mówiąc, to przywiózł mnie kierowca.

– Oj, Julianie. To dlaczego od razu nie powiedziałeś. Czyżbyś zrobił się nieśmiały? Nigdy taki nie byłeś... – przyganił mu i ironicznie się uśmiechnął.

– Tak się wciągnąłem w tę rozmowę, że nawet o tym nie pomyślałem...

Mówiąc to, patrzył na twarz przyjaciela i szacował skutki wpływającego

czasu.

Profesor miał sześćdziesiąt cztery lata, ale jego twarz była jeszcze stosunkowo młoda. Dość gęste szpakowate włosy dodawały mu dostojności, a często pojawiający się na jego obliczu łagodny uśmiech wzbudzał sympatię i zaufanie. Nienaganne maniere i elegancja czyniły zeń człowieka z klasą. Pod względem temperamentu był przeciwieństwem Juliana.

Tak było zawsze, ale po przeistoczeniu Juliana różnica powiększyła się, gdyż przybyło mu bardzo dużo energii. Chwilami miewał nawet trudności z okiełznaniem jej, ale poparta wytrzymałością, stwarzała mu ogromne możliwości, z których nawet nie w pełni zdawał sobie sprawę.

– W takim razie czego się napijesz? – zapytał profesor, wstając.

– A co proponujesz?

– Co proponuję? No, na przykład mogę ci zaproponować bourbon albo calvados – powiedział, żywo gestykulując, co było raczej niezgodne z jego powściągliwą naturą, a w tej chwili świadczyło o dobrym nastroju.

Julian widząc ożywienie przyjaciela, domyślił się, że zrobił mu przyjemność swoimi odwiedzinami.

– Och, trudny wybór. Dawno nie piłem ani tego, ani tego, ale myślę, że może... – chwilę się zawahał i dokończył: – bourbon.

– Świetnie, to ja też – powiedziawszy to, Edward uśmiechnął się z zadowoleniem, szeroko, jakby chciał się pochwalić swoimi pięknie wypielęgnowanymi zębami, i wziął się do nalewania. Następnie zamknął butelkę, postawił ją na dolnej półeczce barku i powiedział: – Nie pytam cię o zdrowie, bo widać, że wszystko dobrze. Chyba nawet bardzo dobrze – powiedział, siadając. – Ale interesuje mnie to, czego nie widać... – zapytał, patrząc wnikliwie na twarz Juliana.

– Raczej też w porządku... – odrzekł i śmiało popatrzył rozmówcy w oczy.

Jednak profesor nie dał się zwieść i nie zamierzał łatwo zmienić tematu.

– Julianie, odrzuć skrupuły i rozmawiaj ze mną szczerze. Za długo się znamy, żeby mieć w stosunku do siebie jakieś zahamowania.

– Wiesz, parę razy miałem pewne omamy – powiedział bez namysłu.

– A możesz mi to jak najdokładniej opisać?

– Dwa razy widziałem Jurskiego i też chyba ze dwa razy rozmawiałem z Julianem – powiedział trochę niepewnie, co świadczyło, że krępuje go mówienie o tych sprawach.

– Przepraszam cię, nie pomyśl, że to z mojej strony jakiś nadmiar ciekawości, ale bardzo cię proszę, opisz mi jak najdokładniej tę rozmowę.

– Wiesz, on krzyczał na mnie, że ja nie jestem Jurskim, tylko nim... Że on jest we mnie i dlatego ja jestem nim, a nie Jurskim, i żebym w ogóle zapomniał o Jurskim... No, jakiś taki był sens tego... Aha, i jeszcze użył słowa

„przeobrażenie”. Powiedział, że po operacji nastąpiło przeobrażenie Jurskiego w Juliana i ja jestem Julianem.

– A ty co mu odpowiedziałeś?

– Właśnie nie pamiętam, ale chyba nic... Raczej to, co on mówił do mnie, to bardziej była jego odpowiedź na to, co ja wcześniej powiedziałem do niego...

– Rozumiem. Znaczy, że tę rozmowę raczej ty zainicjowałeś? A co do niego mówiłeś?

– Wiesz, dokładnie nie pamiętam, ale jakoś mu tłumaczyłem, że tego co się stało, nie da się już odwrócić i dokładam starań, żeby być jego godnym następcą... Jakoś tak to brzmiało...

– Rozumiem, a powiedz jeszcze, w jakich ty jesteś stosunkach z jego rodzicami?

– W bardzo dobrych. Oni mnie bardzo kochają i są ze mnie bardzo dumni...

– A ty?

– To dziwne, ale ja uważam ich za prawdziwych rodziców i też ich kocham.

– Myślę, że nie ma w tym nic dziwnego, ale powiedz mi jeszcze tylko, czy zauważyłeś, że są jakieś okoliczności, które sprzyjają tym zdarzeniom?

– Tak, to się zdarza zawsze wtedy, kiedy jestem w swoim mieszkaniu w pałacu Jurskich.

Zapadła długa przerwa w ich rozmowie.

Julian wypił duży łyk bourbona i siedział, rozglądając się po pokoju. Jego uwagę przykuł duży obraz wiszący na ścianie, którego dawniej nie było. Na pierwszym planie przedstawione było miasto na stromym zboczu góry nad brzegiem morza, dalej ciągnął się skalisty brzeg, góry i bezkres morza. Cały obraz był utrzymany w pastelowych kolorach i wprowadzał pogodny nastrój.

– Muszę ci powiedzieć, że od dawna się obawiałem, że po tym wszystkim może ci się coś takiego zdarzać, ale uważam, że to nic takiego i powinno samo minąć, oczywiście, jeżeli sam się o to postarasz... – powiedział profesor, przerywając Julianowi kontemplację obrazu.

– Tak? A co mam robić? – zapytał obojętnym tonem, jakby to w ogóle go nie dotyczyło.

– Ja wpierw ci wyjaśnię, skąd to się bierze, a później powiem ci, czego masz nie robić.

– Świetnie, ale może wpierw powiedz mi, skąd się wziął ten obraz... – zapytał, jakby tamta sprawa niewiele go obchodziła.

– To jest jakiegoś włoskiego malarza. Mało znanego, ale go kupiłem na targu staroci, bo mi się podobał. Miasteczko nazywa się Amalfi... Przynajmniej tak twierdził sprzedawca, ale ja tam nie byłem, więc nie wiem.

– Rzeczywiście, bardzo ładny. Aż chciałoby się tam pojechać.

Julian się zachowywał trochę tak, jakby chciał uniknąć dalszej części

rozmowy.

– Tak, ale posłuchaj. To, co masz, zdarza się po ciężkich negatywnych przeżyciach, wywołujących długotrwały stres. Parę miesięcy twojej choroby plus pierwsze miesiące adaptacji do nowego życia właśnie były źródłem takiego długotrwałego stresu. Poza tym chyba sam trochę się do tego przyczyniłeś, bo niepotrzebnie zaczynasz rozmowy z nieistniejącą osobą.

– No, jak Jurski mi się pokazał, to go opieprzyłem i powiedziałem mu, żeby sobie poszedł i nie wtrącał się do moich spraw... – powiedział trochę ze złością.

Profesor lekko się uśmiechnął i stwierdził:

– I niepotrzebnie, bo jego nie było. On był tworem twojego zestresowanego mózgu. Takich cudownych objawień nie ma... Jakbyś go olał, mówiąc twoim językiem, to by sobie poszedł – uśmiechnął się zadowolony, że tak dowcipnie sformułował swoją uwagę. – Najlepsza rada, to żebyś tam nie jeździł... Poza tym myśląc o Jurskim i o Julianie, prowokujesz powstawanie w twoim mózgu rozdwojenia osobowości. Dlatego bardzo mi się podobało, jak niedługo po operacji powiedziałaś, że chcesz zapomnieć o Jurskim i być Julianem... Tego musisz się trzymać. Koniecznie, rozumiesz? Koniecznie – ostatnie słowa wypowiedział niezwykle stanowczo i dodał: – Bardzo cię proszę, żebyś mi to przyrzekł.

– Przyrzekam. Ale ja się cały czas staram – odpowiedział, patrząc na twarz profesora.

– Bardzo dobrze, że się starasz, ale staraj się jeszcze bardziej. I jeszcze na koniec powiem ci, że niepotrzebnie masz wyrzuty sumienia w stosunku do Juliana, bo to nie twoja wina, że to wszystko tak się potoczyło. Winien jest Dworak, że nie dopilnował swojego pracownika, a jeszcze bardziej winne są przepisy, bo wszystko byłoby inaczej, jakby można było zrobić to legalnie... Ciebie ostatniego można obwiniać, bo nic dziwnego, że chciałeś żyć.

– Ale ja ci jeszcze wszystkiego nie powiedziałem – przerwał mu Julian.

– Tak? To słucham cię – powiedział z zainteresowaniem.

– Ja wiem o rzeczach, o których nie powinienem wiedzieć...

W sposobie mówienia Juliana można było wyczuć lekkie zniecierpliwienie. Edward to zauważył i starał się rozmawiać z nim tak, żeby go oszczędzić.

– Przepraszam cię, ale czy możesz mi to jakoś wytłumaczyć, bo to jest jakiś twój skrót myślowy, którego nie rozumiem?

– Wiesz, pamiętam babcię Podhorecką. Mam na myśli rozmaite jej ulubione powiedzonka, których nigdy nie słyszałem, ponieważ ona nie żyje od trzech lat...

– No, ale przebywasz z tamtą rodziną i słuchasz różnych opowiadań o niej.

– Ale ja znam takie jej sentencje, których oni mi nie mówili – obstawał przy swoim.

– No wiesz, są dwie możliwości. Możesz nie pamiętać, jak ktoś ci to opowiadał, natomiast samą sentencję mogłeś zapamiętać... Sentencje mają to do

siebie, że łatwo się je zapamiętuje. Przecież sam w zeszłym roku mi mówiłeś, że ciągle słuchasz opowiadań o rodzinie, bo chcesz poznać tych ludzi. Druga możliwość jest taka, że twój mózg sam dorobił ci trochę tych historii, ale ja zdecydowanie przychyliam się do tej pierwszej wersji.

– Uważasz, że mózg może tworzyć takie historie?

– Oczywiście, Julianie – profesor chwilę pomyślał i mówił dalej: – Każdy miewa czasem sny i każdy wie z doświadczenia, jakie najrozmaitsze rzeczy może tworzyć mózg. Niektóre z tych snów się pamięta, ale często jest tak, że się jakiegoś nie pamięta, lecz to nie znaczy, że go nie było. On był i leży gdzieś w jakiejś szufladce. Niewykluczone, że może się kiedyś odnaleźć wśród zdarzeń, które przeżywałeś na jawie. Po to jednak człowiek ma rozum, żeby weryfikować takie informacje... Przecież każdą informację, jaka do ciebie dociera, niezależnie od jej źródła, możesz przyjąć albo odrzucić... Jak ktoś ci powie, że rozmawiał na ulicy z Beethovenem, to też możesz mu uwierzyć albo nie...

– Muszę powiedzieć, że mądrze to wszystko mówisz...

Profesor się uśmiechnął, zaczerpnął łyk bourbona i powiedział:

– Cóż, ty jesteś mądry w swoim zawodzie, ja w swoim... O, właśnie, a jak z twoim doktoratem?

– Robię... To znaczy na razie myślę. Dokładniej mówiąc, układam sobie w głowie wszystko to, o czym później będę pisać.

– A właściwie, to na jaki temat będziesz pisać?

– Rozwarstwienie materialne społeczeństwa jako determinant możliwości wystąpienia kryzysu gospodarczego.

– O, to ciekawe. A powiedz w paru słowach, jak to jest z tymi kryzysami... Dlaczego one bywają? Czy ludzie nie potrafią przeciwdziałać temu zjawisku? Da się to w prosty sposób opisać?

– Wiesz, to jest skomplikowane zjawisko, a ponieważ wielu ekonomistów zajmuje się polityką, więc jest wiele teorii, często przeciwstawnych. Po prostu zależy, jaką opcję polityczną reprezentuje dany ekonomista.

– Ja rozumiem, a jakie jest twoje zdanie?

– To proste. W okresie dobrej koniunktury wszyscy producenci zwiększają produkcję, bo chcą mieć jak największe zyski. Niektórzy cwaniacy potrafią podwoić swój majątek w ciągu dosłownie paru lat takiej koniunktury. Tymczasem dochody ich pracowników w tym samym czasie wzrastają niewiele. Trzeba w tym momencie zauważyć, że ci pracownicy kupują produkty, płacą za usługi i głównie oni napędzają koniunkturę, bo ich jest ogromna ilość, a przecież od ich zarobków zależy, ile mogą tego kupić. Wpływ tych dużo zarabiających jest minimalny, ponieważ ich jest mało... To tak, jakbyś na jedną szalę postawił wiadro piachu, a na drugą garść kamyków wielkości orzecha. Jeżeli zarobki tych zwykłych ludzi nie rosną proporcjonalnie do przyrostu produkcji, to szybko dochodzi do nadprodukcji.

To punkt przełomowy, w którym pracodawcy zaczynają zwalniać ludzi albo zmniejszają im zarobki, ponieważ uważają, że jak mniej produkują, to trzeba mniej płacić. Rezultat jest taki, że społeczeństwo zarabiając mniej, mniej kupuje, więc pracodawcy zwalniają następnych ludzi i to działa jak lawina...

– Hm, więc co? Należy sukcesywnie podnosić im pensje?

– W pewnym stopniu tak, ale tu znów trzeba uważać, bo można łatwo doprowadzić do inflacji... Drugim sposobem jest ograniczanie produkcji. Tylko to nie może być robione odgórnie, bo gdybyś nałożył jakieś limity produkcyjne, to pracodawcy zaczęliby zwalniać ludzi i byłoby to samo...

– To co? Nie ma na to rady?

– Wiesz, jest cała masa sposobów regulacji rynku pracy i rynku produkcji, sęk w tym, że gospodarkami wszystkich krajów rządzą politycy, z których każdy jest związany z jakąś partią polityczną i jakiego byś kierunku nie przyjął, to zawsze jakaś grupa podniesie krzyk, że chcesz zrujnować gospodarkę. Ja pamiętam, jak na początku tego wieku rząd chciał o jakieś grosze podnieść wysokość minimalnego wynagrodzenia. Wtedy pracodawcy narobili takiej historycznej wrzawy, jakby z tego powodu miała upaść połowa firm. Tymczasem ta podwyżka była naprawdę niewielka i dotyczyła niewielkiej ilości osób i na pewno złagodziła głębokość kryzysu, który w niedługim czasie nastąpił...

– Widzę, Julianie, że wkładasz bardzo wiele serca we wszystko, co robisz. To mi się w tobie podoba, ponieważ podchodzisz z wielką pasją, ale się boję, że to cię za bardzo spala...

– Może i tak, ale ja inaczej nie potrafię...

– Ja wiem, bo to jest trudne, ale powinieneś trochę zwolnić. Wtedy byłoby ci łatwiej uregulować te sprawy, o których rozmawialiśmy.

– Ciągle to postanawiam i ciągle mi się nie udaje – odpowiedział z miną winowajcy.

– A Małgorzaty nie zanedbujesz? Odwiedzilibyście mnie kiedyś razem. Chętnie bym ją poznał.

– A nie wygadasz się z czymś? Na przykład że znamy się od czterdziestu kilku lat?

– My się znamy od czterdziestu kilku lat? Julianie, tobie chyba coś się pomyliło, przecież myśmy się poznali, jak w zeszłym roku leżałeś po wypadku w szpitalu... Zawsze przecież mówisz, że się poznaliśmy w szpitalu... Nie pamiętasz, jak wyszedłeś obolały na korytarz, a ja cię zaciepiłem i zapytałem, czy nie potrzebujesz pomocy?

Julian nic nie odpowiedział, tylko się uśmiechnął.

Ponieważ Małgorzata wyjechała, Julian miał dużo więcej czasu i od rana do

wieczora przebywał w pracy. Załatwiał zaległe sprawy, żeby lepiej poznać sytuację koncernu, wnikliwie czytał rozmaite raporty, a później wzywał na rozmowę dyrektorów i kazał im tłumaczyć się z rozmaitych niedociągnięć.

W środę wczesnym popołudniem zadzwoniła pani Edyta. Już przy grzecznościowej wymianie zdań podczas przywitania zauważył, że jest przygnębiona.

– Cieszę się, że panią słyszę, pani Edyto. Mam nadzieję, że spotkamy się w piątek – powiedział wesoło, chcąc podnieść ją na duchu.

– Ale ja mam nie najlepsze wiadomości – powiedziała ze smutkiem.

– Chyba się domyślam, ale niech się pani nie martwi – pocieszył ją.

– Jest tak, jak pan przypuszczał... W dodatku znalazłam jeszcze dwa takie przypadki i obawiam się, że to dopiero początek całej afery, więc zgłosiłam to do prokuratora, bo wygląda to podejrzanie.

– I bardzo dobrze – pochwalił.

– Niech pan sobie wyobrazi, że gdyby nie pan, to pewno nigdy by to nie wyszło na wierzch.

– Nie powiem, żebym się z tego cieszył... Myślę, że tym bardziej musimy się spotkać w piątek.

– Ale jeżeli chce pan się z tego wycofać, to proszę mi to od razu powiedzieć, żeby nie przeciągać tej sytuacji.

– Pani Edyto. Ja już przy ostatniej rozmowie powiedziałem, że mam do pani zaufanie, ponieważ, wiem, jak to było robione... Mało tego, domyślam się, czyja to sprawka.

– Proszę sobie wyobrazić, że ten ktoś podwójnie nadużył mojego zaufania, ponieważ mnie oszukiwał, a jednocześnie proponował mi małżeństwo... – powiedziała rozżalona. – A ja, naiwna, nawet poważnie się nad tym zastanawiałam...

– Niech pani nie robi sobie wyrzutów z tego powodu. Uczciwi ludzie zawsze są trochę naiwni, bo uważają, że inni też są uczciwi... To przykre, ale chyba lepiej, że to wyszło na jaw teraz, a nie za parę lat.

– Identycznie mówi mój tata.

– Ma pani dobrego ojca... – stwierdził z powagą. – I mądrego – dodał.

– Miło to słyszeć... – powiedziała z radością w głosie.

– Wobec tego do zobaczenia pojutrze.

Jak tylko pożegnał się z panią Edytą, postanowił dla poprawy nastroju zadzwonić do Małgorzaty, tym bardziej że tego dnia jeszcze ze sobą nie rozmawiali.

– O! Właśnie się zastanawiałam, czy zadzwonić do ciebie teraz, czy po obiedzie! – zawołała z radością.

– Jak ci tam jest? – zapytał, wyobrażając sobie jej uśmiechniętą twarz.

– Tęsknię, ale uważam, że warto się poświęcić, bo to chyba najskuteczniejsza metoda nauki języka.

– A co tam tak głośno koło ciebie? – zapytał, ponieważ prócz jej głosu słyszał jakieś inne osoby oraz jeżdżące samochody.

– Bo my jesteśmy na ulicy. Idziemy całą grupą na obiad. Poczekaj moment, już odchodzę w zaciszniejsze miejsce, to będzie lepiej.

– To mówisz, że robisz postępy? – zapytał, kiedy zrobiło się trochę ciszej.

– Wiesz, człowiek przymusowo rozmawia cały dzień po angielsku... To dopiero trzy dni, ale już widzę różnicę.

– Bo ty pewno masz dobry zasób słów, tylko nie jesteś biegła w konwersacji...

– A co u ciebie, co robisz po pracy?

– Nie ma żadnego „po pracy”. Kilkanaście godzin jestem w pracy, wracam i kładę się spać... Nadganiaam wszystkie zaległości.

– Julianie, bardzo cię proszę, nie przesadzaj... Błagam, oszczędzaj się.

– Dobrze, dobrze, jak wrócisz, to wyjedziemy na porządny urlop i oboje odpoczniemy... A, i musimy odwiedzić profesora Borka. Zapraszał nas, chce cię poznać. A ja będę się bardzo cieszyć, jeżeli i ty go polubisz.

– Oczywiście, chętnie poznam profesora... A gdzie on wykłada?

– No jak to, na Akademii Medycznej – odpowiedział takim tonem, jakby się dziwił, że można tego nie wiedzieć. – Ale mało wykłada, bo gros czasu pochłania mu jego klinika... Mówiłem ci, to duża klinika, która ma wielkie osiągnięcia.

W piątek wczesnie rano Julian i Wiktor wyjechali do Kielc. Tym razem nie do siedziby fundacji, lecz wprost do domu państwa Michałowskich. Dotarli trochę przed dziewiątą. Rodzice pani Edyty powitali ich jak starych przyjaciół i wychwalając talent Wiktora, wprowadzili ich do salonu. Obraz Wiktora był już oprawiony i wisiał przy obrazach Piotra Michałowskiego.

– O, to dla mnie wielki honor! – zawołał Wiktor, ujrawszy swoją pracę w sąsiedztwie dzieł dawnego mistrza.

– Pana talent zasługuje na to – powiedziała pani Michałowska seniorka.

– Nie wiem, czy to nie nadmiar życzliwości – odparł skromnie Wiktor.

– Jeżeli mama tak mówi, to znaczy, że tak jest – stwierdziła Edyta. – Skończyła historię sztuki i pół życia przepracowała w galeriach malarstwa.

Gdy Julian to usłyszał, zrobiło mu się wstyd za Jurskiego, który przez całe życie nie zdawał sobie sprawy ze zdolności syna.

– Może chcieliby panowie zobaczyć inne nasze obrazy? – zaproponowała mama.

– Ja przepraszam, ale śpieszy się nam do Krakowa, więc może pan Wiktor

by obejrzał, a my z córką porozmawialibyśmy tymczasem o naszych sprawach – szybko powiedział Julian.

Zaraz po wyjściu starszej pani i Wiktora Julian usiadł przy stole z Edytą oraz jej ojcem i zaczęli rozmawiać.

Pani Edyta przedstawiła protokół ze swojej rozmowy w prokuraturze i powiedziała, że prokurator bardzo się tym zainteresował, jeszcze tego samego dnia nadał sprawie bieg i lada dzień policja ma podjąć śledztwo.

Julian stwierdził, iż w tej sytuacji nie widzi przeszkód, żeby kontynuować rozmowy na temat przekazania pałacu, i że dalsze czynności będzie w imieniu firmy prowadzić prawnik koncernu, który w najbliższych dniach skontaktuje się z panią Edytą.

Zachwycona pani Edyta zapytała, czy może przyjechać do Warszawy z tatą i pokazać mu pałac. Julian stwierdził, że może w każdej chwili.

– Ale czy to nie będzie dla pana za duży kłopot? – zapytała nieśmiało.

– Dla mnie żaden... Zresztą gdybym nie mógł państwu towarzyszyć, Wiktor zrobi to z przyjemnością.

– Oj, to pojedziemy – ucieszyła się.

Po kilkunastu minutach Wiktor wrócił zachwycony i zaczął opowiadać o tym, co widział na górze.

Pani Michałowska chcąc koniecznie ich ugościć, zaproponowała im pozostanie na obiad, na co Wiktor bez namysłu się zgodził.

– Ale przecież my jedziemy do Krakowa – zaprotestował Julian. – Jak pan ma chęć zostać, to może ja sam pojedę i w drodze powrotnej po pana wstąpię, panie Wiktorze? – zażartował.

– A załatwi pan to sam? – zapytał Wiktor, biorąc Juliana żart całkiem poważnie.

– Oczywiście.

– W takim razie ja zostaję.

– Wobec tego ja od razu jadę.

Tym razem Julian odpowiedział zupełnie poważnie.

W Krakowie udał się wprost do właściciela lokalu, ponieważ przewidywał, że pod nieobecność Artura sprzedający będzie bardziej skłonny do ustępstw. Po dość twardych negocjacjach ostateczna cena została uzgodniona na kwotę stu trzydziestu pięciu tysięcy euro.

Od ręki spisali umowę wstępną, następnie Julian przekazał właścicielowi pięć tysięcy euro zaliczki i umówili się na spotkanie u notariusza w następnym tygodniu.

Mając to wszystko za sobą, odwiedził Artura Zadroznego. Poinformował go, na jakim etapie jest sprawa kupna, nie informując o cenie, i w imieniu Wiktora przeprosił go za jego nieobecność.

Nieco po godzinie trzynastej był z powrotem u państwa Michałowskich. Został Wiktor tryskającego doskonałym humorem. Zorientował się, że jest nieco wstawiony. Już po chwili rozmowy zauważył, że Edyta i Wiktor mówią sobie po imieniu.

„Przyjechałem w porę” – pomyślał, mając nadzieję, że Wiktor jeszcze nie poruszał swoich najgorętszych tematów.

– Zbierajmy się, panie Wiktorze. Nie można nadużywać państwa gościnności – powiedział dość rozkazującym tonem.

– Już musimy? – zapytał z żalem, lecz mimo to podniósł się z fotela.

– Tak, bo ja powinienem przed szesnastą być w Łodzi.

– Ojej, pan w ciągłym pośpiechu... – pani Michałowska zauważyła ze współczuciem.

– Niestety, ciągle postanawiam zwolnić tempo i wciąż mi się to nie udaje – powiedziaławszy to, z rezygnacją machnął ręką.

– Tak, to choroba dwudziestego pierwszego wieku. Nas, starszych, to nie dotyczy, ale młodzi... Żal mi ich – powiedział pan Michałowski, wstając z kanapy.

– Może przed wyjazdem chociaż trochę zje pan u nas? – staropolska gościnność nie pozwalała pani domu zbyt łatwo wypuścić gości.

– Dziękuję bardzo, ponieważ w Krakowie coś niecoś zjadłem, a w Łodzi czeka z obiadem moja mama.

– Skoro śpieszy się pan do mamy, to nawet nie wypada zatrzymywać – stwierdził pan Michałowski.

– Jak tam, panie Wiktorze? – zapytał Julian, gdy już siedzieli w samochodzie.

Pytał, niby od niechcienia, ale naprawdę, chodziło mu o to, żeby wysondować, jak Wiktor się zachowywał.

– Edyta to jest klasa – odpowiedział, żywo gestykułując.

– A ona o panu też tak sądzi?

Wiktor chwilę milczał, a następnie burknął pod nosem:

– No tak, chce mnie pan sprowadzić na ziemię.

– Wcale nie. Chodzi mi tylko o to, czy pan nie przesadził ze swoją bezpośredniością?

– Widzę, że już się pan na mnie poznał... – odparł z kwaśnym uśmiechem

– Niech pan tak do tego nie podchodzi... Ja absolutnie nie zamierzam pana wychowywać. Po prostu byłoby mi szkoda, gdyby pan sam sobie popsuł tak dobrze zapowiadającą się znajomość.

– Tak? A ja przez chwilę pomyślałem, że jest pan moim konkurentem... – stwierdził z zawadiacką miną.

– Pan widocznie nie wie, że ja mam piękną narzeczoną – powiedział niby żartem.

– A, tego, to rzeczywiście nie wiem. Chętnie bym ją poznał – odparł z wyraźnym ożywieniem.

– Nie wiem, czy nie byłoby to zbyt ryzykowne z mojej strony?

– No tak. Pan się naśmiewa, a ja mówiłem poważnie.

– Ja się nie naśmiewam, tylko ciekawi mnie, kiedy pan się zainteresuje wynikiem mojej wizyty w Krakowie... Bo widzę, że poza Edytą nic już pana nie interesuje – powiedział z szyderstwem w głosie.

– Ojej! Ale mnie pan podprowadził! Pewnie, że mnie interesuje, i to bardzo! – zawołał, chwytając się za głowę.

– Już kupione za sto trzydzieści pięć tysięcy – powiedział to tak obojętnie i zwięźle, jakby chodziło o jakąś błahostkę.

– Za sto trzydzieści pięć tysięcy – powtórzył Wiktor ze zdziwieniem.

– He, to i tak za drogo, ale trudno... Nie mam czasu jeździć tam dziesięć razy – stwierdził niezadowolony Julian. – Dałem zaliczkę, a w przyszłym tygodniu spisujemy akt notarialny i będzie pan właścicielem.

– Ja nie myślałem... – powiedział zdziwiony. – Nie myślałem, że to tak łatwo dojdzie do skutku... Pan to jest mistrz... Ojciec wiedział, co robi... – zamyślił się, patrząc gdzieś w dal.

– Widzi pan. Chciał sto osiemdziesiąt, a sprzedał za sto trzydzieści pięć. To, co utargowane, będzie pan miał na urządzenie się... – powiedziawszy to, spojrział badawczo na Wiktora i dodał: – Mam nadzieję, że nie przebimba pan tych pieniędzy.

– Pewnie. Teraz mi zależy, żeby się tam dobrze ustawić. Jak tylko się urządzę, biorę się do malowania i liczę, że będzie mnie pan odwiedzać.

– Skoro mnie pan zaprasza, to z pewnością... Tylko niech się pan pilnuje, żeby nie zejść z obranego kierunku.

Podjechali pod dom rodziców.

Umówił się z kierowcą na poniedziałek rano, pożegnał się i wbiegł do domu.

– Jednak przyjechałeś! – zawołała mama z radością. – Pewno jesteś głodny, zaraz odgrzeję ci obiad – dodała i zaczęła pośpiesznie wyjmować z lodówki i ustawiać na blacie kredensu rozmaite pojemniki z jedzeniem.

– Dlaczego tak się dziwisz, że przyjechałem?

– Myślałam, że jak Gosi nie ma, to nie przyjedziesz... – wyjaśniła, chytrze się uśmiechając.

– Mamo, co ja bym tam sam robił?

– A ty pamiętasz, że Ania dziś wraca?

– Myślałem, że jutro...

– Dziś.

Powiedziawszy to, zaczęła się śmiać.

– Z czego się śmiejesz? – zapytał, nie rozumiejąc przyczyny.

– Bo, wiesz, jak ona się dowiedziała, że dostała w prezencie ten samochód, to tak się ucieszyła, że chciała natychmiast wracać.

– W takim razie jest mi bardzo przyjemnie, że na kupnie jednego auta skorzystały trzy osoby. A o której ona wraca? Może wyjechać po nią?

– Jakbyś chciał, to pewno byś jej sprawił radość, ale najpierw musisz coś zjeść...

– Ale o której ona przyjeżdża?

– O siedemnastej pięćdziesiąt ma być na dworcu... – popatrzyła w okno i dodała: – Ale nie widzę twojego samochodu, więc czym pojedziesz?

– Cha, cha. Ani samochodem.

– Ojej, jeszcze się nie przyzwyczaiłam, że ona ma samochód... – zaśmiała się, spojrzała na pojemniki z jedzeniem i zapytała: – Więc co byś chciał zjeść? Mogą być kopytka z gulaszem albo gołąbki, ale musiałbyś poczekać na kartofle do gołąbków.

– Mamo, z kartoflami trwałoby za długo i nie zdążyłbym na dworzec. Zjem gołąbki z kopytkami.

– Przecież to nie pasuje. Kto to słyszał o takich kombinacjach...

– Mamo, ja lubię i jedno, i drugie – stwierdził z determinacją.

– Cha, ty jesteś zupełnie jak ojciec... To po nim masz taką skłonność do jakichś dziwnych kulinarnych eksperymentów.

– Mamo, nawet nie masz pojęcia, jak się cieszę z tego, co mówisz – powiedział z autentyczną radością.

– Cha, cha, no tak. Dwa dziwaki – zaśmiała się. – Nie na darmo mówią, że jabłko niedaleko pada od jabłoni...

Julian pomyślał, że nie ma większej radości niż po tygodniu pracy znaleźć się w rodzinnym domu.

– Ale wiesz, zapomniałam ci powiedzieć, że przyszedł do ciebie list polecony, tylko że nie było nikogo w domu, więc listonoszka zostawiła awizo w skrzynce.

Akurat zaczynał jeść, kiedy z pracy wrócił ojciec. Przywitał się i sapiąc, usiadł na kanapie.

– Ty widzisz, co on je? – mama zwróciła się do ojca. – Zupełnie taki sam dziwak jak ty.

Ojciec zajął mu w talerz, uśmiechnął się i poprosił o to samo.

– Dla mnie to lepiej. Mniej roboty – stwierdziła mama z zadowoleniem.

– Nie mam już siły do tego upału – powiedział ojciec, gdy za kilka minut

siadał do stołu – Na szczęście to tylko do końca roku... – dodał, zaczynając jeść.

– A co, ma się zmienić po nowym roku? – zapytał Julian. – Ma być inny klimat?

– Zmieniam rodzaj pracy. Będę instruktorem i będę uczyć młodą kadrę. Po prostu będę mieć lżejszą pracę... W dodatku w normalnych godzinach... Nie w święta albo w nocy.

Szybko zjadł obiad, uruchomił samochód Ani i pojechał.

Wstąpił po drodze na pocztę, lecz była spora kolejka – koło dziesięciu osób. Ludzie utyskiwali, że na pocztach zawsze są kolejki.

– Może wreszcie ją sprywatyzują – zażartował.

– A broń Boże – ostro zaprotestował jakiś starszy mężczyzna. – Z jakiej racji jakiś prywaciarz ma się bogacić na naszej poczcie!

– To woli pan stać w kolejkach? – zapytał Julian.

– I tak by były – odpowiedział mężczyzna ze złością.

Reszta klientów stała, nie włączając się do dyskusji.

Zdecydował, że chcąc zdążyć na dworzec, musi zrezygnować z odbioru listu.

Postanowił zrobić to w poniedziałek przed wyjazdem.

Jechał, rozmyślając o rozmowie na poczcie.

„Co za ludzie” – myślał. – „Bierność, zawiść i wrogość do nowego”.

Gdy przyjechał, zadzwonił do siostry i uprzedził, żeby po wyjściu z pociągu rozglądała się za nim.

– Super, to może i Benia podwieziemy? – zapytała zadowolona.

– Twój samochód, więc ty decydujesz... – odpowiedział, uśmiechając się z zadowolenia, że rychło spotka się z siostrą.

– To przyjechałeś Goški samochodem? To cudownie. A gdzie twój?

– Przyjechałem nie Goški, tylko twoim... Gosi auto stoi u niej w garażu.

– No tak, ale ja wciąż nie mogę się do tego przyzwyczaić.

– Przez tyle dni jeszcze się nie przyzwyczaiłaś? – zażartował i znów się uśmiechnął. – Nawet rodzice już się przyzwyczaili...

– Przecież oni powiedzieli mi o tym dopiero kilka dni temu... – wyjaśniła. –

Super. Już jesteśmy na przedmieściach Łodzi – dodała. – Zaraz się zobaczymy... Może się rozłączymy, bo już wszyscy idą do wyjścia – była trochę podekscytowana i mówiła z pośpiechem.

Za kilka minut pociąg wjechał na dworzec. Po chwili Julian ujrzał z daleka zgrabną sylwetkę siostry biegnącą w jego stronę. Za nią nie nadążając, biegł jakiś chudy, wysoki blondyn, dźwigający dwa plecaki.

Ania w roztargnieniu nie wyhamowała i z całym impetem wpadła na brata, o mało go nie przewracając. Zarzuciła obie ręce na jego szyi i zaczęła go całować

w usta i w policzki. Robiła to mocno, namiętnie i długo. Julian objął ją z całych sił i podniósł trochę, tak, że jej stopy wisiały kilkanaście centymetrów nad ziemią. W tym momencie poczuł jej jędrne piersi mocno przylegające do jego torsu. Po dłuższej chwili pomachał nią trochę na boki, następnie zrobił jeden obrót i postawił ją na ziemi.

„Ładną dziewczynę poderwałeś, chłopie” – pomyślał, patrząc badawczo na nieznajomego.

– To jest Benio, mój kolega z obozu, a to mój kochany brat – zrobiła prezentację, odgarniając równocześnie z twarzy zwichrzone loki.

Julian spojrzał przelotnie na jej kształtny biust, który przez moment mocno przylegał do jego piersi, i ogarnął go jakiś nieokreślony żal.

– Jestem Benon – przedstawił się kolega i nim Julian podał mu dłoń, tamten pierwszy wyciągnął do niego prawicę.

– Chodźmy do samochodu – powiedział Julian i chciał wziąć Ani plecak, ale Benio go ubiegł.

– Nie, nie. Zostaw, ja wezmę – powiedział Julian, wyciągając rękę po plecak.

– Ja chętnie poniosę – targował się chłopak.

– Jak brat prosi, żebyś nie brał, to go zostaw – Ania powiedziała dość ostro i chłopak posłusznie postawił plecak.

Julian go podniósł, zarzucił na jedno ramię i poszli na parking.

– Chcesz jechać? – zapytał, patrząc na rozradowaną twarz siostry, i wyciągnął do niej dłoń z kluczykiem.

– Nie, na razie nie – odpowiedziała trochę speszona.

– Włożyli plecaki do bagażnika. Ania usiadła obok brata, a Benio z tyłu.

– To dokąd mam jechać? – zapytał, uruchamiając silnik.

– Może podrzucimy Benia na Franciszkańską i później już prosto do domu.

– Nie pamiętam, gdzie ta Franciszkańska? – zapytał na wszelki wypadek, ponieważ szkoda mu było czasu na błądzenie.

– To w przedłużeniu Kilińskiego, zaraz za Północną – wyjaśnił Benio.

– A, mniej więcej wiem. To niedaleko?

– Tak, samochodem to całkiem niedaleko – dość skwapliwie przytaknął kolega.

– Jak się udały wakacje? – zapytał Julian bardziej z obowiązku niż ciekawości.

– Ania doskonale pływa – chłopak pośpieszył z informacją.

– O, Ania wszystko robi doskonale... A żebyś wiedział, jak gotuje... A jaka jest inteligentna i ocytana – uznał, że pochwała kolegi była zbyt powściągliwa.

– Julianie, daj spokój. Nie uważasz, że może mnie to krępować?

– O, i w dodatku jaka skromna... – dodał na przekór.

– No właśnie. Skromność to wielka cnota – podchwycił kolega.

– Wiecie co? Zejdźcie ze mnie – obruszyła się.

Dalej jechali w milczeniu.

Po kilku minutach Benio poinformował, że już dojeżdżają. Julian zatrzymał się we wskazanym miejscu i rozstali się z nim.

– Może teraz chcesz poprowadzić swój samochód? – zapytał siostrę, gdy wsiedli z powrotem do auta.

– W pierwszym rzędzie chcę ci za niego podziękować.

Powiedziawszy to, objęła go i zaczęła całować. Robiła to namiętnie i tak długo, że Juliana libido zaczęło dawać znać o sobie. W pierwszej chwili, odruchowo zaczął się jej odwzajemniać, ale za moment zrozumiał, że nie powinni się posunąć ani kroku dalej.

– Anulko, daj już spokój – powiedział, odpychając ją delikatnie od siebie.

– Wiesz co, bracie? – powiedziała, odsuwając się trochę i patrząc mu w oczy. Chwilę się zawahała i dokończyła z determinacją: – Ja czasem żałuję, że jesteś moim bratem...

– Dlaczego? – zapytał naiwnie.

– Bo od czasu tego wypadku jesteś zupełnie inny. Jesteś znacznie bardziej męski, taki że – przez moment szukała odpowiedniego słowa – że chciałabym, żeby mój mąż był taki jak ty, ale chyba takiego nie znajdę... – powiedziała z żalem.

– Ale przecież to są twoje wyobrażenia... Gdybym z wami mieszkał, to byś widziała moje słabości i wady i wiedziałabyś, że jestem taki, jakich jest wielu... – przerwał, popatrzył na jej opaloną twarz, otoczoną ciemnozłotymi lokami, spadającymi na kształtne ramiona, chwilę pomyślał i żeby zmienić temat, powiedział: – Może jednak poprowadzisz samochód?

– No to wysiadaj – odpowiedziała jakby ze złością, otworzyła drzwi i wyszła z auta. Julian też wyszedł.

Gdy się mijali z przodu pojazdu, Ania w żartach, ale dość mocno uderzyła go łokciem w bok. Julian zrozumiał, że jest to podświadoma chęć wyładowania swojej złości, i przypomniało mu się, że kiedy przeszło rok temu pierwszy raz się spotkali, to od początku odnosił wrażenie, że Ania go nie lubi. Teraz nagle zrozumiał, że sprawa może być zupełnie inna i o wiele bardziej skomplikowana.

Siedział, obserwując, jak siostra prowadzi samochód.

Popatrzył na jej skupioną twarz, zupełnie niezdradzającą jakiegokolwiek burzy, która z pewnością w tej chwili angażowała jej umysł. Pomyślał z podziwem, że ta dziewiętnastoletnia dziewczyna po mistrzowsku potrafi nad sobą panować.

Stopniowo jego wzrok zsunął się z jej twarzy na opalony dekolt i kształtne piersi, a później niżej – na wąską talię, zaokrąglone biodra i uda.

„Niezła pokusa” – pomyślał i zaczął obserwować drogę przed samochodem, myśląc jednocześnie, że należałoby podjąć jakąś rozmowę, ale nie przychodził mu do głowy żaden temat nadający się do obecnej sytuacji.

– Tego Benia to wcześniej znałaś czy tam go poznałaś? – powiedział w końcu cokolwiek, byle przerwać milczenie.

– Tam – odparła nadzwyczaj krótko.

– Ale go wyćwiczyłaś... Słucha się ciebie jak nie wiem...

– Tak, to taki typ pantoflarza.

– Myślę, że dla energicznej dziewczyny taki jest najlepszy.

– Myślę, że na dobór składa się dużo więcej cech.

– Cha, cha. Zapomniałem, że rozmawiam z przyszłym psychologiem... – starał się nadać rozmowie lekki styl, ale nie był pewien, czy zmierza w dobrym kierunku. – Ale właściwie to nie rozumiem, dlaczego ty, mając matematyczne zdolności, wybrałaś psychologię?

– Może i mam matematyczne zdolności, ale psychologia od dawna mnie interesowała. Chyba pamiętasz, że zawsze czytałam powieści psychologiczne, a nie podręcznik do matematyki... – odrzekła trochę uszczypliwie. – To bardzo ciekawa gałąź wiedzy – dodała po chwili. – Zrozumieć ludzkie motywacje, zachowania, procesy decyzyjne, fizjologię procesów psychicznych... Chcę wiedzieć, dlaczego ludzie się kochają, nienawidzą, oszukują. Dlaczego przeważnie dużo łatwiej wybaczą sobie niż innym... To wszystko jest psychologia i to mnie ciekawi.

Po wysłuchaniu tych paru zdań Julian zrozumiał, że prawie nie znał siostry. Był zaskoczony jej dojrzałością. Zrobiło mu się wstyd, że przez ostatni rok właściwie ani razu z nią poważnie nie porozmawiał.

– Wiesz, przyjemnie się ciebie słucha. Umiesz mówić przekonująco... – powiedział po chwili namysłu. Siostra się uśmiechnęła i nic nie odpowiedziała, a Julian dodał: – Żałuję, że mamy tak mało czasu na rozmowy. Oboje ciągle się zmieniamy i nie nadążamy z poznawaniem siebie na wzajem.

– Nie ma problemu, możemy to nadrobić... – zaproponowała z uśmiechem.

– Wiesz, przepraszam cię, chciałbym cię o coś zapytać, ale nie wiem jak... powiedział trochę niepewnie.

– To do ciebie nie podobne, Julianie... Zaczynaj, śmiało – zachęciła go.

– Wiesz, jak tak z tobą rozmawiam, to odnoszę wrażenie, że jesteś inna na co dzień, a inna, jak mówisz o psychologii...

– A to ciekawe. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam... A na czym polega ta różnica?

– W skrócie bym to określił, że na co dzień jesteś Anią, a teraz przez chwilę byłaś Anną... Muszę od razu zaznaczyć, że nawet to mi się podobało. Jestem tylko ciekaw, czy to zamierzone, czy nieświadome.

– Wiesz, potrafisz zadawać trudne pytania... Jesteś wnikliwy – popatrzyła na niego badawczo i dodała: – Człowiek taki jak ty jeśli zechce, może być niebezpieczny.

– Zapewniam cię, siostrzo, że nie zamierzam nikomu zagrażać – wyjaśnił

dość gorliwie i dodał: – Większą przyjemność sprawia mi czynienie dobra niż zła.

– Ja to widzę i niczego takiego nie sugerowałam...

– Czy nie chcesz mi odpowiedzieć na tamto pytanie?

– Wydaje mi się, że każdy w różnych warunkach i sytuacjach jest trochę inny... Myślę, że za parę lat będę mogła precyzyjniej odpowiadać na takie pytania... Teraz niestety oceniam to tylko intuicyjnie.

Julianowi przypomniało się, że kiedyś słyszał pogląd, iż wielu młodych ludzi, którzy idą na studia na psychologię, wybierają ten kierunek, ponieważ sami mają ze sobą problemy. Zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie dotyczy to jego siostry.

– Wiesz co? A może byśmy się jutro gdzieś wybrali razem?

Zaproponował to tak nagle, że aż sam się tym zdziwił. Już w następnej chwili przyszła obawa, czy aby siostrze nie przyjdzie do głowy, żeby znów go wciągać w jakąś grę. Niestety, lekkomyślnie rzucona propozycja była już nie do odwołania.

– Bardzo chętnie, ale gdzie? – odpowiedziała bez namysłu, jakby tylko na to czekała.

– W Księżym Młynie jest akurat wystawa prac Hansa Rudolfa Gigera. Nie wiem jak ty, ale ja chętnie bym zobaczył...

– Nie wiem nawet, kto to jest, ale skoro proponujesz, to myślę, że warto się trochę podszkolić – podchwyciła z radością.

– To szwajcarski znany plastyk, bardzo kontrowersyjny. Kiedyś wspominali o nim w telewizji, więc sam też niewiele wiem o nim, ale to, co pokazywali, było interesujące.

– Skoro kontrowersyjny, to trzeba jechać.

Zaraz po wczesnym obiedzie pojechali na Przędzalnianą i choć nie mieli tego w planie, zaczęli zwiedzać starą fabrykę. Nie znali się na walorach technicznych starych maszyn, ale zachwyciło ich to, że konstruktorzy tych urządzeń nie ograniczyli się do dbałości o ich sprawność i wydajność, ale zadbali również o ich formę plastyczną i elegancję wykończenia. Byli zafascynowani ogromem wysiłku i pomysłowości ludzi, którzy to wszystko stworzyli półtora wieku temu.

Zwiedzając hale fabryczne, odnosiło się wrażenie, że zaraz rozlegnie się dźwięk syreny obwieszczającej rozpoczęcie pracy, po czym do pomieszczeń wejdą pracownicy i uruchomią wszystkie te wspaniałe urządzenia.

– To jest jakby świątynia techniki – podsumowała Ania, gdy już szli do wyjścia.

– Masz rację, nie umiem tego określić, ale panuje tu jakaś atmosfera wzniosłości.

Przeszli do następnego budynku, w którym było prezentowane malarstwo Hansa Rudolfa Giger'a.

– Oj, wiesz, to jest straszne! – zawołała Ania, spojrzawszy na obraz wiszący na wprost wejścia, przedstawiający jakieś nadrealne zespolenie człowieka z dziwnym tworem techniki.

– Dobrze to określiłaś – zgodził się Julian – Przerazająca jest jedność tych dwóch organizmów, jakby efekt prokreacji człowieka i maszyny...

– Fu... Masz odrażające skojarzenia – powiedziała, robiąc minę pełną obrzydzenia.

– Nie miałaś takich?

– Nie, ale teraz jak mi to podsunęłaś, to rzeczywiście nie będę mogła się wyzbyć takiego wrażenia... O! Ale tu, popatrz! – zawołała, idąc parę kroków dalej.

– Tu jest już zupełnie inny klimat. Tu jest bar, przy którym siedzą klienci.

– Tak, tylko nie zachowujmy się tak głośno, bo nie jesteśmy tu sami – upomniał. – Tu rzeczywiście bardziej wiadomo, o co chodzi – skomentował półgłosem, przenosząc wzrok na następne dzieło. – Tu bar jest zupełnie normalny i kieliszki też, tylko klientami są jacyś mutanci...

– Ale popatrz na architekturę tej sali – szepnęła mu do ucha.

– Fantastyczne. Strop wsparty na łukach o strukturze kręgosłupów – powiedział Julian zafascynowany pomysłowością artysty.

– Czy zwróciłeś uwagę na tych klientów? – powiedziała z zachwytem. – Oni są jakby podwójni... Jak syjamskie rodzeństwo...

– A może to są dwa osobniki ubrane w jedno, wspólne ubranie?

– Myślę, że w tym jest głębsza myśl – cicho powiedziała zachwycona obrazem. – Przypuszczam, że to mogą być małżeństwa... Może gdzieś daleko, na innej planecie, małżeństwa są jakoś bardziej trwale łączone niż u nas.

Julian mimo woli pomyślał o Alicji i ich nieudanym związku, za którego rozpad coraz częściej obwiniał siebie.

Następny obraz przedstawiał matkę – biohumanoida z dzieckiem. Patrzyli na niego dłuższy czas w milczeniu.

– Popatrz, ona ma w brzuchu olbrzymią dziurę, z której wyjęła to dziecko – w końcu powiedziała Ania.

– Tak, ale ja mimo wszystko patrzę na to macierzyństwo z sympatią.

– Owszem, to pierwsze wrażenie jest takie szokujące, odrażające, ale po pewnym czasie można tę inność zaakceptować...

Następnie ich uwagę przykuł dziwny obraz przedstawiający płataninę niby rur przenikających się z przedmiotami, przypominającymi fragmenty jakiegoś budzącego grozę pozaziemskiego organizmu. Wewnątrz tej przerażającej instalacji można było dopatrzeć się części ludzkiej postaci.

Julian wpatrując się w obraz, odniósł wrażenie, że znajdujący się w maszynie

człowiek podlega jakiejś obróbce. Przypomniała mu się nagle rozmowa z Julianem i zdanie, które wtedy wypowiedział: „...to, co się z tobą dzieje, to nie skutki operacji, tylko przeistoczenie”.

Nagle treść obrazu stała się dla niego jasna: maszyna przeistoczeń. Maszyna, która zmienia ludzi...

Długo stał i w milczeniu z głębokim przejęciem patrzył na obraz, a w jego mózgu rodziły się wspomnienia, rozterki i niepewność.

– Chodź dalej – cicho powiedziała Ania, pociągając go delikatnie za rękę.

Poszedł posłusznie za nią, ale wciąż myślał o obrazie.

Podeszli do następnego dzieła zatytułowanego Pasja. Przeszli ze sobą rozmawiać.

Julian nadal był zaabsorbowany „maszyną przeistoczeń”, nie patrząc w ogóle na obraz, przed którym stał.

– Co o tym myślisz? – zapytała siostra.

– Myślę, że to maszyna do przetwarzania ludzi...

– A, tamto... Możliwe. Myślę, że to trafne określenie, ale ja pytam o to – wyjaśniła, wskazując obraz, na który patrzyli.

– Nie bardzo to rozumiem...

– Nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że to nawiązanie do Pasji według Świętego Mateusza, to znaczy do ostatnich dni życia Chrystusa... Myślę, że ten krzyż, z którego wychodzi ręka trzymająca nóż, to Judasz, a sznur obojętnie przechodzących postaci symbolizuje ludzką nieczułość... Ta dziwna postać siedząca na pierwszym planie może być Piłatem... – mówiła zamyślona. Julian słuchając tych wyjaśnień, popatrzył na twarz siostry, uśmiechnął się i pomyślał z uznaniem, że są w niej duże pokłady niewykorzystanego intelektu. – Co o tym myślisz? – zapytała na koniec.

– Myślę, że dobrze zrobiłaś, idąc na psychologię... Jesteś wnikliwa, bystra i wrażliwa. Boję się tylko, że stykając się z ludzkimi problemami, możesz je za bardzo przeżywać... Myślisz, że potrafisz się od tego uchronić?

– Może na razie nie za bardzo, ale chyba się tego nauczę...

– A czy potrafisz dystansować się od własnych problemów?

– Chyba tak i myślę, że te studia mi w tym pomogą – mówiąc to, uśmiechnęła się.

Twarz Juliana nic nie wyrażała. Nie odzwierciedlała żadnych emocji, uczuć, nastroju.

Szli powoli dalej. Julian prawie przestał rozmawiać, ograniczając się do zdawkowych odpowiedzi.

– Czy nie sądzisz, że on jest feministą? – zapytała, gdy obejrzeliby już ponad połowę prac.

– Przepraszam cię, o kim mówisz? – wyrwany z głębokiej zadumy, nie

wiedział, o co chodzi.

– Mam na myśli Gigerę...

– Dlaczego?

– A zauważyłeś, że prawie wszystkie przedstawione tu ludzkie postacie to kobiety?

– Nie wiem. Może po prostu taki dobór prac.

– Cieszę się, że mnie tu zabrałeś. Przyznam, że nie przypuszczałam, że to będzie taka poruszająca wystawa.

Julian szedł w milczeniu obok siostry.

– Co tak nic nie mówisz? – zapytała po paru minutach i trąciła go w bok.

– Wiesz, czuję się zmęczony, przepraszam cię, ale miałem bardzo pracowity tydzień – odpowiedział, siląc się na uśmiech.

– O, popatrz... – powiedziała, gdy przechodzili obok niewielkiego obrazu. – Taki na pozór prosty motyw, a jak wiele mówiący.

Obraz przedstawiał przekrój pistoletu, ale w magazynku zamiast normalnych nabojów miał załadowanych ludzików.

– Rzeczywiście, bardzo wymowna aluzja – skomentował najprościej, jak można.

– Oj, chyba nie tylko... Mam wrażenie, że to aluzja o głębszym znaczeniu... Zwróć uwagę, że każdy taki pocisk to jednorazowe istnienie.

– No, rzeczywiście, odkryłaś drugie dno, którego nie widziałem... Właśnie dlatego powiedziałem, że jesteś wnikliwa.

– Przesadzasz, po prostu akurat tak pomyślałam, ale wiesz? Ten ponury nastrój to tylko pierwsze wrażenie. Przynajmniej ja tak to odczuwam – nieznacznie się uśmiechnęła. – Później stopniowo nabiera się trochę optymizmu.

– Może i tak. Człowiek jaskiniowy byłby jeszcze bardziej przerażony, gdyby nagle znalazł się w naszych czasach, a tymczasem my w nich żyjemy i większość jest zadowolona.

– Nie wszyscy, nie wszyscy. Wielu ludzi boi się wszystkiego, co nowe.

Wrócili do domu dość późno. Mama już czekała z obiadem. Ojciec siedział na kanapie i czytał jakąś książkę. Zobaczywszy ich, ucieszył się i zapytał, jak udała się wycieczka.

– Świetnie, tato. Widzieliśmy dużo ciekawych i pięknych rzeczy. Gdyby nie Julian, nie zobaczyłabym tego, bo nie wiedziałam o tej wystawie.

Julian przez cały czas obiadu w ogóle się nie odzywał. Wystawa wprowadziła go w dziwny nastrój i sprowokowała całą masę myśli, których zawsze unikał. Poza tym bolała go głowa.

– Dobrze się czujesz? – zapytała go mama. – Jesteś jakiś taki nie w sosie...

– Boli mnie głowa – odpowiedział, siląc się na uśmiech.

– Dam ci tabletkę – zaproponowała.

– Dziękuję, raczej przejdę się po powietrzu.

– Masz rację, to chyba lepszy pomysł.

Wyszedł z domu i poszedł do parku. Wyłączył telefon, żeby mu nikt nie przeszkadzał, kupił w budce loda konwaliowego i poszedł alejką prosto przed siebie.

Pierwszy raz był sam w tym parku i było mu trochę przykro, że nie ma z nim Małgorzaty.

Dość szybko skończyła się ta część parku, którą znał, i z zadowoleniem zauważył, że dalej jest okolica mniej uczęszczana, bardziej przypominająca normalny las. Szedł miarowym, marszowym krokiem. Widok starych buków i lip z gęstym podszyciem był pełen tajemniczego uroku. Wokół zalegała zupełna cisza, aż Julianowi wydawało się, że słyszy bicie swojego serca.

Idąc, właściwie nie myślał o niczym, jedynie od czasu do czasu w jego mózgu budziły się bardzo nikłe i niewyraźne wspomnienia dawnych i jeszcze dawniejszych czasów. Odczuwał zadowolenie, że udało mu się osiągnąć wyższy stan odprężenia, w którym się nie myśli i prawie nic nie odczuwa. Szedł długo. Może godzinę, może dwie.

Charakter lasu się zmienił. Dobrze wydeptana dróżka, którą mogły obok siebie iść dwie osoby, zmieniła się w wąską ścieżkę, po której z pewnością rzadko ktoś chodził.

Drzewostan też był inny. Przeważały olbrzymie dęby o niebywale rozłożystych, niesłychanie grubych konarach, z których każdy mógłby być samodzielny drzewem.

Ten las miał jeszcze jedną zaletę – nie czuło się tu lipcowego upału i słońce nie raziło w oczy. Można było iść i iść, nie czując zmęczenia, nie myśląc o kłopotach i w ogóle o niczym.

Julian był już trochę zmęczony, ale szedł dalej, nie myśląc o powrocie.

W końcu przypomniało mu się, że Alicja czeka na niego, i zrobiło mu się przykro, że zostawił ją samą. Jednocześnie odczuł przeogromną tęsknotę i niepohamowaną chęć, żeby ją zobaczyć.

Zawrócił.

Szedł bardzo długo, ale las zamiast rzednąć, gęstniał. Dróżka zamiast się rozszerzać, znikła zupełnie, ale on szedł dalej, nie przejmując się tym.

W końcu między pniami drzew zamajaczyło coś szaro-brązowego. W miarę zbliżania się rozpoznawał coraz więcej szczegółów i zorientował się, że to jakiś budynek. Nie przestawał więc iść w tamtym kierunku.

Doszedł do sporej polany, na której w otoczeniu ogromnych dębów stała dwupiętrowa stara drewniana willa, jakich było dużo w kurortach na początku dwudziestego wieku.

Pnie drzew były obrosnięte bluszczem, który piał się w górę, a później

zwisał z gałęzi, tworząc fantastyczne girlandy. Część budynku także była obrośnięta bluszczem.

Obszedł willę dookoła i pomyślał, że chyba nikt w niej nie mieszka, ponieważ nie dochodzi tu żadna droga. Wbiegł po schodkach, stanął przed drzwiami oszklonej werandy i zajrzał do wnętrza. Na środku stał stary zniszczony wiklinowy stół i sześć krzeseł, dalej pod ścianą także kanapa, za nią na ścianie był rozpięty kilimek z jelonkami, w rogu bambusowa etażerka, a na niej trochę książek, kartonowe pudełko i jakieś rupiecie. Z sufitu zwisał staroświecki abażur nieokreślonego koloru, dokładnie zasnuty pajęczyną. Część podłogi była zakryta tanim chodniczkim w łowickie pasy, jakie w czasach jego dzieciństwa były sprzedawane na bazarach.

W przeciwległej ścianie werandy były półotwarte drzwi, prowadzące do innych pomieszczeń.

Przypomniało mu się, że w takim domu mieszkała Alicja, gdy ją poznał. Przycisnął klamkę i pociągnął do siebie. Drzwi zaskrzypiały, trochę się otworzyły i zaczęły się przewracać, ponieważ brak było górnej zawiasy. Otworzył je dalej i oparł o ścianę ich górny brzeg.

Wszedł na werandę, a następnie do przylegającego do niej pokoju.

Ponieważ okno pokoju było zabite deskami, panował tam półmrok i jedynie przez szpary wpadało trochę światła. Stał chwilę bezradny, niewiele widząc, ale otworzył bardziej drzwi i zrobiło się widniej. Jego oczy stopniowo przyzwyczajały się do słabego oświetlenia i zobaczył starą kanapę ze sterczącymi sprężynami, szafę ubraniową, mahoniowy wielki stół z wyłamaną nogą, bibliotekę z wybitą szybą, w której na wygiętych ze starości półkach były ciasno ułożone książki. Obrócił się do tyłu. Popatrzył na boczną ścianę. Stał tam wielki kredens ze starą porcelaną. Na kredensie leżała staroświecka mosiężna lampa naftowa z rozbitym kloszem.

Wyszedł z powrotem na korytarz. Po lewej i prawej stronie były drzwi do kilku pomieszczeń. Poszedł do przodu, ale po wykonaniu dwu kroków, noga ugrzęzła mu w spróchniałej podłodze. Wyjął ją, lecz but został w dziurze. Nachylił się, wyjął go, włożył na nogę i poszedł dalej, uchylając kolejne drzwi i zaglądając do wnętrza. Wszędzie były stare meble i unosił się zapach stęchlizny. W połowie korytarza po lewej stronie znajdował się spory hol, w którym było główne wyjście na zewnątrz i schody na górę.

Najbardziej zainteresował go jasno oświetlony pokój na wprost korytarza, do którego drzwi były otwarte na oścież. Poszedł w tamtym kierunku. Stanął w progu pokoju i poczuł znany od lat zapach „Masumi”. Na środku stał niewielki okrągły stolik przykryty ażurowym obrusikiem. Wokół niego cztery krzeselka, ze zniszczonym obiciem. Nad stołem ciężki mosiężny żyrandol. Przejechał wzrokiem od lewej do prawej strony: Tuż obok drzwi stał regał z książkami. Przy następnej

ścianie szafa ubraniowa z lustrem, dalej secesyjna toaletka, następnie mahoniowa etażerka. W ścianie na wprost drzwi było wielkie weneckie okno, a pod nim żardynierka z kwiatami, dalej na prawo biureczko w stylu art deco, jeszcze dalej dziwaczny kredens. Prawa ściana była wyposażona w jeszcze jedno okno, pod nim jeszcze jedna żardyniera z kwiatami, dalej kanapa, przykryta zieloną kapą, na której wylegiwał się biały kot. Nad kanapą wisiał wielki obraz nieznanego malarza, przedstawiający scenę myśliwską. Prawa ściana obok drzwi była pusta, nie licząc wiszącej na niej kopii Szału Władysława Podkowińskiego.

Rozpoznał pokój Alicji. Ucieszył się bardzo i poczuł, jak serce zaczyna mu walić w nadziei na rychłe spotkanie.

Usłyszał dźwięk zamykanych drzwi. Obejrzał się i w mroku korytarza zobaczył jakąś niewyraźną postać idącą w jego kierunku i stukającą rytmicznie laską w drewnianą podłogę. Zrobił parę kroków w stronę drzwi. Zbliżająca się postać okazała się być starą kobietą, ubraną w zniszczony kasak burego koloru i długą szarą spódnicę.

– Co pan tu robi?! – zawołała skrzeczącym głosem, będąc w połowie drogi.

– Szukam Alicji – odpowiedział i się uśmiechnął.

– Alicja tu nie mieszka – odpowiedziała, stając w progu i patrząc podejrzliwie na Juliana.

– Jak to nie mieszka? To skąd zapach „Masumi”?

– To ja używam. A pan to kto? – zapytała, nie kryjąc niezadowolenia.

Julian rozpoznał w staruszce babcię Alicji, która nigdy go nie lubiła i nazywała prostakiem.

– Kim pan jest? – powtórzyła pytanie.

– Ja pani nie wierzę. Jestem pewien, że Alicja jest tu gdzieś – powiedział spokojnie, ale stanowczo.

– Kim pan właściwie jest i jakie ma pan prawo o nią pytać?

Julian był pewien, że Alicja gdzieś tu jest, tylko babcia nie chce dopuścić do ich spotkania.

– Jestem jej mężem – odpowiedział trochę niepewnie.

– Kłamie pan, ja znam jej męża – powiedziała, stukając laską w podłogę.

– Jak pani chce. Tak czy inaczej, będę tu czekać, póki ona nie przyjdzie – powiedział z uporem i dla zademonstrowania swojej determinacji podszedł do kanapy i chciał usiąść obok kota.

– Wykluczone! – głośno zaskrzeczała i podniosła laskę, chcąc go uderzyć.

Julian odbiegł od kanapy i stanął po drugiej stronie stolika, gdzie czuł się bezpiecznie.

– Wykluczone! Jak pan chce czekać, to niech pan czeka na dworze! Nie rozsiadać mi się na kanapie! Na dworze jest ławka! – zawołała jeszcze bardziej rozsierdzona i znów zaczęła stukać laską w podłogę.

– Już dobrze, dobrze – powiedział pojednawczo i zrobił parę kroków w stronę drzwi, bacząc, czy babcia nie zamierza znów użyć laski.

Wyszedł z pokoju i skierował się do wyjścia, cały czas eskortowany przez babcię.

– Tam pod dębem stoi ławka – powiedziała nieco spokojniej, gdy otwierał skrzypiące drzwi.

– Nie zwróciliście uwagi, która była, jak Julian wychodził? – zapytała mama, niepokojąc się o syna.

– Myślę, że koło szesnastej – odpowiedziała Ania i popatrzyła na zegarek.

– A która jest teraz?

– Osiemnasta trzydzieści.

– Dwie i pół godziny to sporo jak na przechadzkę.

– Zadzwońię do niego – powiedział ojciec, odkładając gazetę i biorąc do ręki telefon. – Ma wyłączony – wyjaśnił po chwili.

– Oj, zaczynam się denerwować – powiedziała mama i usiadła obok ojca.

– Może poszedł do kina, więc wyłączył – stwierdził ojciec, chcąc uspokoić mamę.

– To możliwe, bo ta wystawa chyba podziałała na niego dosyć przynębiająco – powiedziała Ania. – Mógł pójść na film, żeby zmienić nastrój.

– To po co wyście tam poszli? – zapytała mama trochę jakby z pretensją.

– Mamo, on sam chciał... Ja nie wiedziałam, co to za wystawa... Poza tym nie ma żadnej pewności, że to ma jakiś związek.

– Pomyślcie, gdzie by tu jeszcze zadzwonić – powiedziała mama po następnej godzinie.

Ojciec wziął telefon przycisnął klawisz, chwilę odczekał i powiedział, że aparat Juliana nadal jest wyłączony.

– Słuchajcie, nie można przecież tak beczynnie czekać – nalegała mama, coraz bardziej zdenerwowana.

– Mamo, my nie możemy nic zrobić – odpowiedziała Ania. – Trzeba czekać.

Zapadał już zmrok. Ojciec siedział na kanapie i nerwowo przeglądał gazetę. Ania zorientowawszy się, że mamy od dość dawna nie ma, poszła na górę, sprawdzić, co robi. Weszła do sypialni rodziców i zastała mamę klęczącą przy tapczanie i modlącą się. Po cichu wycofała się i zeszła na dół, roniąc po drodze kilka łez.

Kiedy zrobiła się szarówka, koło Juliana przechodziło dwóch strażników miejskich, którzy już wcześniej zwrócili na niego uwagę.

– Jak szliśmy w tamtą stronę, to on już tu siedział, pamiętasz? – zauważył młodszy.

– Tak. Dziwne... Ponad dwie godziny już tak siedzi, ale nie wygląda na bezdomnego – stwierdził starszy.

– Ani na pijanego... Może coś mu jest? Chodź, zobaczmy...

– Proszę pana. Dobrze się pan czuje? – zapytali, pochodząc.

Julian nie odezwał się ani nawet się nie poruszył, mimo że miał otwarte oczy.

– Proszę pana! – zawołał dość głośno młodszy strażnik i trącił Juliana w ramię.

Julian podniósł głowę i obojętnym wzrokiem popatrzył na ludzi w mundurach.

– Nic panu nie jest? Dlaczego nie idzie pan do domu?

– A gdzie ja jestem? – zapytał, rozglądając się bezradnie.

– Masz ci los, nie wie, gdzie jest – skomentował starszy.

– A wie pan jak się pan nazywa? Ma pan jakieś dokumenty? – zapytał młodszy.

Julian nic nie mówiąc, wyjął z kieszeni spodni mały portfelik i dał go starszemu strażnikowi.

Strażnik wyjął z portfelika dowód osobisty Juliana i zapytał:

– Jak się pan nazywa?

– Michał Jurski – odpowiedział Julian.

– Popatrz, on nie wie, jak się nazywa – powiedział strażnik do kolegi. – A w ogóle to on jest zameldowany w Warszawie.

– Może to nie jego dowód?

– Jego, przecież jest zdjęcie... Ale popatrz – powiedział starszy, wyciągając z portfelika małą karteczkę. – On tu ma I.C.E. Są tu dwa numery.

– O, to dzwonimy – ucieszył się młodszy.

– To ja dzwonię na ten pierwszy.

Wyjął z kieszeni telefon i zadzwonił.

– Przepraszam, czy zna pan Juliana Podhoreckiego? – zapytał.

– Oczywiście, bardzo dobrze znam, a co się stało? – zapytał profesor Borek.

– Ten pan jest w Łodzi, w parku na ławce, nie wie, gdzie mieszka i kim jest – wyjaśnił strażnik.

– Bardzo pana przepraszam, a komu zawdzięczam tę informację? – zapytał profesor.

– Jestem strażnikiem miejskim.
– Bardzo panu dziękuję za tę wiadomość. Zaraz wsiadam w samochód i jadę do panów. Tylko bardzo proszę, żeby panowie się zaopiekowali chorym do mojego przyjazdu.
– Oczywiście, ale kim pan jest dla pana Podhoreckiego?
– Jestem jego lekarzem, ale również jego przyjacielem.
– Doskonale. To przyjedzie pan gdzieś za dwie godziny?
– Nie wiem, ile tam się jedzie, ale już wyjeżdżam. Tylko proszę mi powiedzieć, gdzie panów szukać.
– My tego pana zabierzemy teraz do siedziby straży miejskiej. Jeżeli pan przyjedzie przed północą, to ten pan będzie u nas. Jeżeli później, to będziemy musieli przekazać delikwenta do policji.
– No, jest parę minut po dwudziestej pierwszej, to przecież chyba ta podróż dłużej nie potrwa.
Strażnicy podali profesorowi swój adres, a następnie zadzwonili po samochód i wraz z Julianem pojechali do swojej siedziby.

Dziesięć minut przed północą profesor przyjechał do straży.
– Co się z tobą dzieje? – zapytał, obejmując Juliana.
Julian objął profesora i ledwo dosłyszalnie zaszlochał.
– Nic nie mów, wszystko rozumiem. Musisz teraz odpocząć – powiedział profesor, mocno przyciskając Juliana do siebie. – Czy muszę coś u panów podpisywać? – zwrócił się po chwili do funkcjonariuszy.
– Właściwie to nie – odparł młodszy po krótkim namyśle i pytająco spojrzął na starszego kolegę.
– Nie, nie ma co podpisywać. Jesteśmy od tego, żeby pomagać – odrzekł drugi z uśmiechem. – My tylko dla porządku zapisaliśmy sobie personalia pana Podhoreckiego, mamy też numer telefonu do pana. I to wystarczy.

– Julianie, jestem pewien, że rodzice się o ciebie denerwują. Może zadzwonię do nich i powiem im, co się dzieje? – zaproponował profesor, gdy byli już w samochodzie.
– Jak uważasz, ja nic nie wiem... – odpowiedział Julian słabym głosem.
– Ale ja nie znam numeru.
Julian nic nie mówiąc, wyjął z kieszeni telefon, uruchomił go, przycisnął klawisz numer trzy, przytrzymał go chwilę i oddał aparat przyjacielowi.
– Dobry wieczór – powiedział profesor do telefonu, przedstawił się i powiedział: – Julian miał kilkugodzinny zanik pamięci. Straż miejska

zaopiekowała się nim i zawiadomiła mnie. Ja już go odebrałem i chcę z nim jechać do domu, tylko dzwonię do państwa, żeby powiedzieć, że wszystko w porządku.

– Ale proszę pana, błagam, niech pan z nim przyjedzie do nas... Przecież to za duży wysiłek jechać w nocy parę godzin do Warszawy.

– Nie, nie. To dla niego żaden wysiłek. Tak będzie lepiej, poleży sobie w samochodzie i tyle. Teraz spotkanie z państwem stanowiłoby dla niego niepotrzebny stres.

– Jeżeli pan tak uważa, jeżeli tak dla niego lepiej, to ja nie nalegam – odpowiedziała mama, pociągając nosem.

– Na pewno tak jest lepiej, a ja jutro zadzwonię do państwa i porozmawiamy dłużej. Życzę pani dobrej nocy.

Całą drogę Julian leżał, drzemiąc na fotelu z odchylnym oparciem. Jechali, w ogóle nie rozmawiając. Przed trzecią nad ranem dojechali do domu profesora.

Julian po wejściu rozejrzył się po pokoju i zatrzymał wzrok na obrazie, który Edward niedawno kupił.

– Jak się nazywa to miasteczko? – zapytał.

– Amalfi – odparł Edward, zadowolony, że przyjaciel wykazuje jakieś zainteresowanie.

– No właśnie. Poprzednim razem mówiłeś mi, ale nie mogłem sobie przypomnieć – odpowiedział, podszedł do kanapy i usiadł na niej.

– Wiesz co, Julianie? Ty nie siadaj, tylko od razu kładź się spać... Chyba że jesteś głodny, to możesz coś zjeść – troskliwie zaproponował Edward.

– A ty nie chcesz jeść?

– Ja nie jadam kolacji.

– No, tak. To ja też nie... To gdzie mam spać?

– Proponuję w pokoju gościnnym... A będziesz mógł zasnąć czy dać ci coś?

– Myślę, że zasnę.

Edward zaprowadził go do pokoju i od razu wyszedł.

Następnego dnia profesor wstał kilka minut po dziewiątej. Cichutko uchylił drzwi i zajrzał do Juliana. Jeszcze spał, więc poszedł do łazienki i zrobił poranną toaletę. Uznał, że jest odpowiednia pora, żeby zadzwonić do rodziców Juliana, ale nie znał numeru telefonu. Przypomniało mu się, że jak zaglądał do pokoju gościnnego, to widział jego telefon leżący na szafeczce przy tapczanie. Pomyślał, że mimo dość nadzwyczajnej sytuacji nie wypada zaglądać do cudzego spisu telefonów, i postanowił czekać.

Zajął się przygotowywaniem śniadania, ale wciąż nie dawała mu spokoju myśl, że rodzice przyjaciela czekają na telefon i się niecierpliwią. Był jeszcze drugi argument przemawiający za przeprowadzeniem tej rozmowy, póki Julian śpi. Po

prostu profesor uważał, że przy nim nie mógłby rozmawiać z nimi całkiem swobodnie. Te dwie rzeczy spowodowały, że jednak cicho wszedł do pokoju, ale okazało się, że Julian już nie śpi. Problem sam się rozwiązał.

– Jak tam? Wypałeś się? – zapytał, podchodząc do tapczanu.

– A ile godzin spałem?

– Sześć.

– To się wypałem.

– Jak się czujesz?

– W zasadzie dobrze, ale mam niesmak, że narobiłem wszystkim kłopotu.

– Niepotrzebnie, bo to przecież nie twoja wina. Nie chorujesz z własnej winy... Ale nie wiem, czy pamiętasz, że ja wczoraj obiecałem twojej mamie, że rano do niej zadzwonię.

– Pamiętam... Dzwoniłeś już?

– Nie znam numeru.

– No tak. Przypominam sobie, że wczoraj cię łączyłem... Tylko nie pamiętam, o czym rozmawiałeś z mamą.

– Nie przejmuj się tym. Byłeś jeszcze w stanie fugi dysocjacyjnej, więc masz prawo wszystkiego nie pamiętać... I tak ci to bardzo pięknie i szybko minęło.

– Wiesz, najgorsze jest to, że ja nie zauważam momentu, kiedy wychodzę ze świata realnego i wchodzę w ten... – przestał mówić, nie mogąc znaleźć odpowiedniego określenia. – No, w tę fugę, jak to naukowo nazwałeś.

– Przepraszam cię, nie chcę cię z samego rana męczyć, ale skoro już trąciliśmy ten temat, to powiedz mi tylko, czy pamiętasz, co się wczoraj z tobą działo przez tych parę godzin?

– Wiesz, właściwie nic się nie działo. Po prostu przesiedziałem parę godzin w parku na ławce. Przykro mi tylko, że się rodzice o mnie martwili.

– Ale czy wiesz dokładnie, o czym wtedy myślałeś i jak spędziłeś ten czas? Przecież to trwało ładnych parę godzin, to sporo...

– Właśnie nie wiem... Może spałem... Pamiętam, jak po obiedzie wyszedłem z domu. Dalej nie wiem – zrobił zmartwioną minę. – Później odzyskałem świadomość w straży, ale było już ciemno...

– A czy pamiętasz, że siedziałeś na ławce, czy po prostu wiesz o tym od strażników?

– Nie wiem – odpowiedział po długim namyśle.

– To dasz mi ten numer telefonu? A może wolisz sam do nich zadzwonić?

– Myślę, że ty lepiej im to wszystko wytłumaczysz, a ja zadzwonię później, po śniadaniu...

– Więc słucham – powiedział profesor, wyjmując z kieszeni telefon.

Julian podyktował numer telefonu, po czym zaczął się wygrzebywać z pościeli, a następnie oświadczył, że idzie do łazienki.

– Gdybyś chciał się golić, to tam na wierzchu leżą nowe nożyki, a oprawkę śmiało bierz moją – powiedział i uśmiechnął się, widząc przyjaciela w dobrej formie psychicznej i fizycznej. Następnie usiadł i zaczął dzwonić.

Wychodząc z łazienki, Julian się uśmiechnął i przeszedł do pokoju, w którym spał. Tam ubrał się, zrobił po sobie porządek i za parę minut wyszedł z dość wesołą miną.

– Widzę, że w stu procentach doszedłeś do siebie – powiedział profesor z zadowoleniem.

– Tak, i w dodatku sporo przypomniało mi się z wczorajszego dnia, jak byłem w fudze.

– No! To nietypowe. W książkach piszą, że tego się nie pamięta.

– Ja też nie pamiętam tego tak jak coś, co przeżywam na jawie, tylko tak, jakby to był sen.

– To ciekawe... A chcesz mi opowiedzieć ten sen? – zapytał w takiej formie, żeby nie wywierać na niego nacisku.

– A, głupoty... – powiedział i machnął ręką, dając do zrozumienia, że to nie jest warte opowiadania. – Po prostu byłem Jurskim... W dodatku w czasach młodości... Ale co u rodziców? Słyszałem, że dzwoniłeś... – zapytał, kończąc w ten sposób rozmowę o wczorajszym incydencie.

– Zgłosiła się twoja siostra, więc rozmawiałem z nią i muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem. To bardzo inteligentna dziewczyna... Ile ona ma lat?

– Dziewiętnaście. Właśnie dostała się na studia.

– O, a na jaki kierunek?

– Na psychologię.

– Na psychologię – profesor powtórzył z podziwem. – Proszę. To tylko pogratulować takiej siostry... Ale bierzmy się do śniadania, myślę, że chyba jesteś głodny? – zaproponował i nie czekając na odpowiedź, gestem dłoni zaprosił go do kuchni.

– Myślę, że powinienem powiedzieć ci parę słów na temat tych twoich zaburzeń – powiedział, kiedy już jedli. – Uważam, że przyda ci się wiedzieć o tym coś niecoś.

– To mów – odpowiedział Julian, obawiając się trochę, że może to być początek nowej rozmowy na ten temat.

– W klasycznym przypadku to jest tak, że taki człowiek ma dwie osobowości, które nawzajem nic o sobie nie wiedzą. To znaczy, że podczas gdy jest on osobą numer jeden, nie wie nic o osobie numer dwa i vice versa – te osobowości mu się zmieniają bez jego woli.

Twój przypadek jest jednak bardzo szczególny i może to przebiegać zupełnie inaczej. Ważne, żebyś wiedział, skąd to się bierze... Otóż przeważnie jest to podświadoma ucieczka od jakichś problemów. Inaczej mówiąc, psychika w ten

sposób broni się przed nadmiarem stresu i ucieka w tę inną osobowość... Można powiedzieć, że przyczyną mogą być jakieś traumatyczne przeżycia... Ale są też ludzie, którzy zwyczajnie mają skłonność do tego typu zachowań.

Profesor przestał mówić i jakiś czas jedli, nie rozmawiając.

– Tak myślę – powiedział po pewnym czasie – że u ciebie to jest dużo bardziej skomplikowane, bo przecież nawyki rozmaitych zachowań, które człowiek w sobie wyćwiczył, są zapisane w mózgu, ale z drugiej strony temperament i cała masa rozmaitych cech wrodzonych są zapisane w genach...

– Ja to rozumiem – przerwał mu trochę zdenerwowany Julian. – Przecież wiem, że mam geny Juliana, a mózg Jurskiego. Rozumiem, że pewne cechy wzajemnie się wykluczają, ale już dawno podjąłem decyzję, w jakim kierunku chcę iść, i konsekwentnie się tego trzymam.

– No, niby tak, ale czy pod wpływem nagłego impulsu nie zapominasz o tym i nie robisz czegoś wbrew temu, co sobie wytyczyłeś?

Julian długo nie odpowiadał na to pytanie. Pierwsza sprawa, jaka mu się przypomniała, to bezsensowne zaproszenie Ewy Wróbel na randkę, którą sobie wyrzuca do tej pory. Jednak tego typu spraw, na szczęście o minimalnym znaczeniu, przypomniało mu się więcej.

– To mi się zdarza – powiedział po dość długim namyśle.

– No widzisz, to może być jeden z czynników, który powoduje, że twoja psychika ucieka do tej drugiej osobowości. Inaczej mówiąc, jeżeli zrobisz coś, czego nie akceptujesz jako Julian, uciekasz do osobowości Jurskiego, bo on przecież dużo łatwiej siebie rozgrzeszał.

Julian tak intensywnie myślał o tym, co powiedział mu profesor, że aż przestał jeść.

Znów przez pewien czas nie rozmawiali. W końcu pierwszy odezwał się profesor:

Do tego dochodzi stres, który niesie twoja praca i w ogóle codzienne życie. To wszystko obciąża twój mózg i powinieneś tak sobie zorganizować życie, żeby unikać niepotrzebnych napięć. Uważam też, że naprawdę niepotrzebnie pakujesz się w to kandydowanie na posła. Nie miej do mnie żalu, Julianie, ale uważam, że to znacznie przekracza twoje siły. Możesz przecież spokojnie realizować swoje postanowienia idąc tym torem co dotychczas. Działając jednocześnie na paru frontach, możesz doprowadzić do katastrofy. Proszę cię o to jako przyjaciel... Proszę cię o to, Julianie, najgoręcej, jak umiem. Przemyśl to sobie.

Profesor ostatnie dwa zdania powiedział z patosem niepasującym do niego, ale to dlatego, że bardzo mu zależało, żeby Julian go usłuchał.

– Muszę ci powiedzieć. Edwardzie, że jestem szczęśliwy, mając w tobie tyloletniego niezawodnego przyjaciela.

Powiedziawszy te słowa, zamilkł na dość długi czas.

– Może usłucham twojej rady, ale jeszcze nie teraz – powiedział po przerwie.
– Gdybym teraz zaniechał swoich dalszych planów i ograniczył się do rozdawnictwa tego, co mam, cały ten majątek skończyłby się dość prędko i pozostałby niesmak, że poszedłem na łatwiznę i nie spróbowałem zrobić więcej. Przecież sam wiesz, że w Polsce jest ogromne zacofanie prawne, światopoglądowe i mentalne... Mało tego, od wielu pokoleń nie potrafimy się uwolnić od egoizmu narodowego, nie mówiąc już o partyjnym czy grupowym, który tyle nas kosztował w historii. Nie potrafimy uwolnić się od demagogii, którą uprawia większość naszych polityków, tracąc niepotrzebnie energię i czas, ośmieszając nas przed całym światem... Nie potrafimy wyzbyć się ksenofobii... A co najbardziej boli, wszyscy się do tego przyzwyczaili, uważają, że to normalne i tak musi być... Przecież w takim kraju powinna tych rzeczy uczyć szkoła, nie mówiąc już o radiu i telewizji... Dlatego uważam, że jeśli nie spróbuję, to zawsze będzie mnie prześladować myśl, że w najważniejszym momencie życia zabrakło mi determinacji.

Ta emocjonalna wypowiedź, prawie wykrzyczana jednym tchem, zrobiła wrażenie na profesorze.

Zapanowało długie milczenie, ponieważ Julian uważał, że powiedział wszystko, co miał do powiedzenia, a profesor potrzebował czasu do namysłu.

– Z tego, co mówiłeś, wnioskuję, iż istnieje ryzyko, że te objawy nasilą się – powiedział Julian po dłuższej przerwie, ale teraz już spokojnie, prawie flegmatycznie. – Przrzekam ci, że wtedy się wycofam.

– Tak by było najlepiej... Tylko ja się boję, że kiedyś będąc w tym drugim wcieleniu, możesz narobić jakichś głupstw – powiedział profesor z wyraźną obawą.

– Na przykład jakich?

– Na przykład podejmiesz jakieś niewłaściwe decyzje albo gdzieś powiesz coś, czego nie powinieneś mówić... Nie wiem, trudno wszystko przewidzieć... Nie jestem tobą...

– Wiem, że takie ryzyko istnieje, ale muszę je podjąć – poważnie odpowiedział.

– Wiesz, Julianie. Teraz tak sobie pomyślałem, że można by to ryzyko wyeliminować albo przynajmniej zminimalizować, gdyby przy tobie zawsze był ktoś zaufany, kto obserwowałby twoje poczynania i w razie czego dzwonił do mnie... Nie gniewaj się, ale jeżeli staniesz się osobą publiczną, to naprawdę to by się przydało.

– Edwardzie, ja się nie gniewam i obiecuję ci, że jeżeli dostanę się do parlamentu, to jeszcze tego samego dnia zastosuję się do twojej rady.

Zaraz po podpisaniu aktu kupna przez Wiktora Julian wpłacił odpowiednią

kwotę na konto sprzedającego. Wpłacił też obiecane czterdzieści pięć tysięcy na konto Wiktora. Pieniądze te, zgodnie z wcześniejszym postanowieniem Juliana, były przeznaczone na wyposażenie mieszkania i pracowni.

– Wie pan, przykro mi, że na początku nie doceniałem pana i traktowałem jak wroga... – powiedział Wiktor, żegnając się z nim. – Teraz widzę, że się myliłem, i przepraszam pana.

Julian uśmiechnął się i chciał coś odpowiedzieć, ale nim się odezwał, Wiktor dodał:

– Niech mnie pan odwiedza. Będę się bardzo cieszyć, kiedy pan do mnie przyjedzie.

– Dziękuję. Na pewno przyjadę.

W następnym tygodniu przyjechała pani Edyta ze swoim ojcem.

Julian nie chcąc, aby to spotkanie miało zbyt oficjalny charakter, zaproponował, żeby przyjechali wprost do pałacu.

Wykorzystał sytuację, że mieszkała tam jeszcze Anna, i poprosił ją o zorganizowanie małego poczęstunku.

Oprowadzając ich po pałacu, powiedział do pana Michałowskiego, że nie robi tego jako gospodarz, ponieważ gospodynią jest już pani Edyta.

– Ale przecież wszystko jest dopiero w trakcie załatwiania... – zareagowała zaskoczona.

– Ale ja już podjąłem decyzję – odrzekł Julian zdecydowanym tonem.

– Wciąż nie mogę się nadziwić... – powiedział pan Michałowski. – Edytka opowiadała mi, jak to wygląda, ale to, co zobaczyłem, przeszło moje wyobrażenia. Ciągle nie mogę uwierzyć, że są w Polsce ludzie zdolni do takiego altruizmu.

– Myślę, że jest wielu takich, którym sprawia przyjemność robienie czegoś dobrego – krótko skomentował Julian. – Sam znam paru takich. Między innymi pana i pana córkę.

Skończywszy zwiedzanie pałacu, poszli do niewielkiego saloniku, w którym Anna przygotowała mały poczęstunek.

– Chodzi mi po głowie pewien pomysł, o którym nawet nie mówiłem mojej córce – powiedział pan Michałowski, gdy siedzieli przy kawie. – Myślę, że teraz jest odpowiedni moment, żeby go wyjawić.

– Więć słuchamy – zachęcił go Julian.

– Oczywiście, nie nalegam, żeby go realizować... To tylko pomysł – zaczął trochę niepewnie. – Jest w Polsce wiele dzieci, które zostały porzucone przez rodziców i w ten sposób już na starcie los zakwalifikował je jako ludzi gorszej kategorii. One od samego początku mają mniejsze szanse, żeby stać się osobami dobrze wychowanymi, wykształconymi i co równie ważne, bez kompleksów.

Państwo oczywiście coś robi w tym zakresie, ale to wszystko za mało... Kiedyś widziałem taki dom dziecka i proszę sobie wyobrazić, że tam tych dzieci było prawie dwa razy więcej, niż pozwalały na to warunki lokalowe. Z kolei było zdecydowanie za mało wychowawców... Uważam, że tamten dom dziecka to była jedynie namiastka tego, co powinno być. Przecież w takich warunkach nikogo nie wychowa się na naprawdę pełnowartościowego człowieka... I dlatego tak sobie pomyślałem, że można by założyć tu taki dom dziecka. Sądzę, że warto by zainteresować tym państwo... Powiedzieć, że jest lokal, a państwo niechby wzięło na siebie koszty działalności takiej instytucji...

– Na pewno pomysł wart rozpatrzenia. – powiedział Julian z głębokim przekonaniem i dodał: – Od dawna uważam, że wszelka forma pomagania młodym ludziom to inwestowanie w przyszłość naszego narodu, a to powinno być najważniejsze dla państwa i dla nas wszystkich... Nie demagogia i wygrywanie interesów partyjnych. Jednak ja nie mogę się podjąć chodzenia wokół tej sprawy. Przykro mi, ale po prostu mam za mało czasu...

– A ja tak myślę, panie prezesie, że to szkoda, że pan nie jest politykiem. Tam brakuje takich ludzi jak pan. – powiedział pan Michałowski, patrząc na córkę, jakby oczekiwał poparcia z jej strony.

– W takim razie zdradzę państwu tajemnicę, że mam zamiar kandydować w najbliższych wyborach.

– Ojej, to teraz jest najważniejszy okres. To powinniśmy wszystko odłożyć na drugi plan i jakoś pomagać w pana kampanii – powiedziała Edyta i popatrzyła na ojca, jakby oczekiwała jego aprobaty.

– A, przepraszam, z ramienia jakiej partii będzie pan kandydować? – zapytał ojciec.

– Jako bezpartyjny... Ale już mam zebrane podpisy... Obawiam się tylko, że łatwiej było zebrać podpisy, niż uzyskać głosy w wyborach... – powiedział i dodał z uśmiechem: – Ale spróbować zawsze warto.

– No tak, największe szanse mają znani politycy, którzy przechodzą z kadencji na kadencję, jakby mieli wykupiony abonament – zażartowała Edyta.

– A co by pan powiedział, jakby telewizja przeprowadziła z panem wywiad? Myślę, że możemy panu w tym pomóc – zaproponował pan Michałowski.

– Cieszyłbym się, ale nas jest dwóch...

– Nie rozumiem? – spytał pan Michałowski.

– Namówiłem do kandydowania jednego z dyrektorów z naszego koncernu, ponieważ uważam, że jak będziemy się wzajemnie popierać, to razem będziemy stanowić większą siłę...

– Aa! Rozumiem. Taka dwuosobowa partia? – zażartował pan Michałowski.

– No, właściwie, tak można to określić... – Julian zgodził się z uśmiechem. – Ale jak państwo chcą to zrobić?

– Wie pan, my niczego nie obiecujemy, ale to przecież normalne, że telewizja przeprowadza wywiady z kandydatami na posłów... – odpowiedział pan Michałowski, robiąc trochę tajemniczą minę. – Spróbujemy podsunąć im pomysł, żeby i z panami porozmawiali.

– Jeśli się uda, to bardzo byśmy się cieszyli.

– Przepraszam, jak się miewa pan Wiktor? – nieśmiało zapytała pani Edyta.

– Wiktor już mieszka w Krakowie i urządza swoje mieszkanie oraz pracownię. Zamierzam w przyszłym tygodniu złożyć mu wizytę.

– O... To proszę go pozdrowić – poprosiła dość ochoczo.

– Dziękuję, na pewno nie omieszkam.

Zaraz po powrocie Małgorzaty z obozu wybrali się z wizytą do profesora, gdzie zostali przywitani szampanem. Następnie chodzili po salonie z kieliszkami tego szlachetnego napoju w dłoniach, oprowadzani przez gospodarza, i podziwiali dzieła malarzy, głównie z dziewiętnastego i dwudziestego wieku, które udało się profesorowi zgromadzić. Zatrzymywali się przy każdym bardziej wartościowym eksponacie i profesor opowiadał jego historię. Było co podziwiać, zwłaszcza miasteczko na zboczu góry Alfreda Sisleya, krajobraz nad rzeką Józefa Pankiewicza, portret dziewczynki Olgi Boznańskiej, galopujący jeździec Juliusza Kossaka, konny patrol Jana Kotowskiego i dwa pejzaże Wiktora Koreckiego.

Były też dwie rzeźby Jana Szczepkowskiego i trzy nieznanymi twórców.

Po prezentacji zbiorów usiedli na narożnej kanapie, przed którą stał niewielki rzeźbiony owalny stół, zastawiony różnymi specjałami, i rozmawiali.

Profesor zainteresował się studiami Małgorzaty i zaproponował jej wakacyjną praktykę w swojej klinice. Małgorzata była zachwycona propozycją i zapewniła, że z pewnością z niej skorzysta.

– A czy ma pani już jakiś dział medycyny, który interesuje panią bardziej od innych, czy to jeszcze za wcześnie? – zapytał profesor.

– Trudno powiedzieć... W tej chwili najbardziej interesuje mnie immunologia, ale nie mogę zapewnić, czy za rok albo dwa nie zainteresuje mnie coś innego, ponieważ tak naprawdę ciekawi mnie medycyna jako całość.

– Nie dziwi mnie to, bo moje zainteresowania na dobre ukierunkowały się dopiero gdzieś tak na trzecim roku... – powiedział z życzliwym uśmiechem, na chwilę zawiesił głos i zaproponował: – Wie pani co? Jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu, to mówmy sobie po imieniu... Tak na początku to chyba łatwiej...

Małgorzata chwilę się zawahała, patrząc na Juliana, i skromnie odpowiedziała: – To dla mnie zaszczyt... Tylko proszę się nie gniewać, jak na początku będę się myliła...

– Cha, cha... – zaśmiał się. – Niewykluczone, że i ja będę się mylić... Zależy,

jak często będziecie mnie odwiedzać – chwilę pomyślał i dodał: – Julian czasem wpada do mnie i bardzo się cieszę, że wreszcie z tobą przyszedł.

– Ona mieszka w Łodzi... Dopiero w tych dniach udało jej się przenieść ze studiami do Warszawy, więc zamieszkamy razem i teraz będziemy mogli odwiedzać cię we dwójkę.

– Doskonale. Mam nadzieję, że od czasu do czasu znajdziecie dla mnie chwilę. I pamiętajcie, że dla was zawsze mam czas.

W tym momencie Julian spojrzął na zegarek, co zauważył profesor, i powiedział:

– Ty nie patrz, która godzina, chyba nie zamierzacie zaraz wychodzić... A może moje zaproszenia odebrałeś jak formę pożegnania?

– Nie, broń Boże. To po prostu taki odruch, ponieważ zawsze mam za mało czasu, więc ciągle go kontroluję.

– Ale wiecie co? Uważam, że to bardzo dobrze, że będziecie razem mieszkać, ponieważ widzę, że ty, Małgorzato, jesteś taka rozważna i spokojna. Mam nadzieję, że będziesz na Juliana wpływać trochę hamująco... – powiedział profesor, starając się mówić żartobliwym tonem. – Uważam, że Julian bierze się za zbyt wiele spraw, poza tym on się zbyt głęboko angażuje i w ten sposób za bardzo się obciąża psychicznie.

– Ja też tak uważam. Przecież ta jego przygoda w parku właśnie to potwierdziła... I cieszę się, że mam w tobie sprzymierzeńca.

W tym zdaniu można było zauważyć, że Małgorzata trochę krępuje się mówić do profesora na ty.

Julian nic nie odpowiedział, tylko wstał i podszedł do obrazu przedstawiającego Amalfi.

– Może tam pojedziemy? Bardzo mi się to podoba – powiedział do Małgorzaty.

Małgorzata wstała, podeszła do obrazu, położyła dłoń na ramieniu Juliana i jakiś czas przyglądała się pejzażowi.

– To mi podchodzi pod impresjonizm – powiedziała i obróciła się, patrząc na profesora.

– Ja to kupiłem jako impresjonizm, chociaż nie wiadomo, kto i kiedy to malował.

– Myślę, że warto pojechać i sprawdzić, jak tam jest naprawdę – powiedziała i delikatnie pociągnęła Juliana w stronę stołu.

– Jedźcie, jedźcie, oboje na to zasłużyliście – pochwalił profesor. – To doskonały pomysł... Jedźcie, póki Małgorzata ma wakacje, a jak wrócicie, to mi opowiecie, co tam ciekawego widzieliście.

Odeszli od obrazu, znów zaczęli chodzić po pokoju i jeszcze raz wszystko oglądać. Małgorzata zatrzymała się przy bibliotece i zaczęła czytać tytuły książek.

– O, tu jest dużo na temat transplantologii – zauważyła.
– Ty pewno nie wiesz, że Edward jest transplantologiem – wyjaśnił Julian.
– O, rzeczywiście – powiedziała z zachwytem. – Nawet widzę autora na grzbiecie... Edward Borek.

– Cha, cha, cha! Edward na grzbiecie, ale ci się udało... – zaśmiał się Julian, objął Małgorzatę i zaczął ją całować.

– Cha, cha... Rzeczywiście, śmiesznie mi to wyszło.

Zaśmiała się, ale natychmiast spoważniała i dodała, patrząc zawstydzona na profesora: – Przepraszam, nie chciałam, rzeczywiście niezręcznie mi to wyszło.

– Ja się nie gniewam. Przeciwnie, bardzo się cieszę, że trochę rozluźniłaś atmosferę.

– Ty jeszcze nie znasz dobrze mojej Małgorzaty – Julian zwrócił się do profesora, popychając Małgosię w kierunku kanapy. – Więc muszę ci powiedzieć, że to chodząca dobroć. To kobieta, która nie wie, co to złośliwość.

– Ee! Chodząca dobroć to moja mama – odparła Małgorzata i usiadła na swoim miejscu. – Jej jedyna złośliwość, jaką w życiu popełniła, polegała na tym, że po sprzeczce z ordynatorem wyszła z jego gabinetu i na złość nie zamknęła za sobą drzwi. Ordynator musiał wstać i je zamknąć... Później wszystkim opowiadała, jak się na nim zemściła.

– A to może twoja mama jest lekarzem? – zainteresował się profesor.

– Tak.

– To wspaniale. To ty idziesz w ślady mamy... – powiedział z zachwytem i zapytał: – A jaką mama ma specjalność?

– Jest anestezjologiem.

– O, a ja właśnie szukam dobrego anestezjologa.

– Myślę, że mama jest w tym dobra, bo ciągle czyta różne publikacje, jeździ na rozmaite sympozja...

– Wiesz co? To umów mnie na spotkanie z mamą. Może chciałaby u nas pracować? Dostałaby mieszkanie służbowe i byłaby bliżej ciebie.

– Nie wiem, co mama na to powie, ale porozmawiam.

– No to pomału się pakuj – powiedział Julian, jak tylko wrócili do domu.

– Chcesz jutro jechać do Łodzi?

– Co ty. Przecież do Łodzi jeździmy bez pakowania. Mam na myśli Amalfi.

– To kiedy ty chcesz jechać? Chyba nie jutro? – zapytała z obawą w głosie.

– Chyba nie, ale w najbliższych dniach.

– Oj, ulżyło mi.

– Nie żartuj. Taki pomysł to i moją fantazję by przewyższał – uśmiechnął się i dodał: – Musimy przecież pojechać, pożegnać się z rodzicami. Zamówić miejsca

w samolocie i może jakieś zakupy zrobić?

– Ale ja bym nie chciała, żeby tam jechać tylko dlatego, że mi się spodobał obraz.

– Ja myślę o tym już od dawna. Jak tylko zobaczyłem ten obraz, to od razu pomyślałem, że chętnie bym tam pojechał...

– W takim razie jedziemy... – zawiesiła na chwilę głos i dodała: – Boże, chyba nie ma wielu takich wariatów jak my, którzy podejmowaliby w ten sposób decyzje.

Polecieli samolotem do Rzymu. Zatrzymali się na pięć dni i zwiedzali wszystko, co można było. Potem polecieli do Neapolu, gdzie zabawili dwa dni, i wynajętym samochodem udali się na południe wprost do Amalfi. Miasteczko było jeszcze piękniejsze niż na obrazie. Zamieszkali w małym hoteliku w pokoju z tarasem, z którego można było podziwiać całą okolicę, łącznie z morzem.

Pierwszego dnia podczas zwiedzania miasteczka natknęli się na sklep z obrazami. Sprzedawano tam prawie wyłącznie pejzaże, których tematem było Amalfi.

– Cha, cha, cha! – zaśmiał się Julian. – Popatrz, obraz Edwarda. Chcesz też mieć taki?

– Taki sam nie, ale tu jest ich tyle, że chyba warto któryś kupić. Wszystkie takie ładne, że trudno będzie się zdecydować...

Następnego dnia zwiedzili Herkulanum i Pompeje.

Był ogromny upał, szczególnie w Pompejach, gdzie dotarli wczesnym popołudniem. Nagrzane mury i kamienne chodniki wprost parzyły przy dotyku, a domy bez dachów nie dawały żadnego schronienia przed słońcem. Jednak chęć zwiedzania i poznawania nowych miejsc kazała im chodzić, więc chodzili i starali się jak najwięcej zobaczyć i zapamiętać.

– Ciekawa jestem, czy wtedy też było tu tak gorąco? – zapytała, martwiąc się o ludzi, którzy żyli tu prawie dwa tysiące lat temu i zginęli w swoich domach, stopniowo zasypywanych przez okrutny wulkan.

– Nie wiem, ale popatrz, przecież stąd jest dość daleko do Wezuwiusza, a jednak aż tu dosięgła ich ta zagłada.

Następnego dnia postanowili odpocząć na miejscu. Zaraz po śniadaniu zeszli nad morze, na niewielką plażę, i zaczęli spacerować, brodząc do kolan w wodzie, po kamienistym brzegu.

– Chcesz się tam wybrać pod wieczór? – zapytał Julian, widząc, że Małgorzata często zadziera głowę i mrużąc oczy, spogląda na część Amalfi ciągnącą się wysoko na stromym skalistym zboczu.

– Pewnie – odpowiedziała i przytuliła się do niego. – A jutro co chcesz

robić? Masz jakiś pomysł? Bo ja mam.

– To mów. Ja w ciemno akceptuję.

– Wiesz, jak wczoraj byliśmy w kiosku, to widziałam na pocztówce piękne miasteczko... Nazywało się Positano, myślę, że to gdzieś tu w okolicy.

– Nie widzę problemu. Jak wrócimy do hotelu, to poszukamy na mapie i pojedziemy.

Słońce było już nisko, gdy szli stromymi, wąskimi uliczkami Amalfi coraz wyżej i wyżej. Przystawali przed sklepowymi witrynami i odpoczywali, oglądając wystawione na sprzedaż najprzeróżniejsze wyroby artystów i rzemieślników. Po chwili szli dalej.

Kiedy oglądali jedną z wystaw i zastanawiali się, czy wejść do środka, odezwał się telefon Juliana. Dzwoniła pani Edyta Michałowska.

– Witam panią, pani Edyto – zgłosił się.

– Dzień dobry, panie Julianie. Najmocniej przepraszam, że przeszkadzam panu podczas urlopu, ale mam bardzo ważną sprawę...

– Bardzo proszę, wcale pani nie przeszkadza – zachęcił ją.

– Telewizja chce z panami zrobić wywiad i w tej chwili chodzi tylko o to, że oni chcieliby z panem uzgodnić termin, ale ja bez pana upoważnienia, panie Julianie, nie mogę im podać pana numeru telefonu.

– Bardzo proszę, niech im pani poda, pani Edyto.

– Doskonale, zaraz im podam... Skoro już rozmawiamy, to mam jeszcze jedno pytanie...

– Proszę pytać, śmiało, pani Edyto.

– Panie Julianie, czy pan się zgadza, żebym im powiedziała, że dostajemy na potrzeby fundacji pana pałac?

– Pewnie, przecież to żadna tajemnica.

Idąc cały czas pod górę przy dużym upale, byli już zmęczeni, więc prawie nie rozmawiali, a jedynie porozumiewali się, wymieniając krótkie uwagi typu: „Popatrz tam” albo: „Spójrz na to” lub: „Oj, jakie piękne”.

Zachodziło już słońce, gdy spoceni doszli do ostatnich domów. Usiedli na niewielkim murku oddzielającym wąski chodnik od stromej skarpy i postanowili odpocząć.

– Jak tu pięknie – powiedział Julian pełen zachwytu, patrząc na rozległy krajobraz.

Pod nimi rozciągała się wyblakła czerwień dachów, gdzieniegdzie poprządkana zielonymi pióropuszcami cyprysów, poprzecinana ciemnymi, krętymi wstęgami wąskich uliczek. Dalej w dole ciemnoturkusowe, połyskujące morze, stopniowo, bliżej widnokregu przechodziło w mglistą biel.

– Cudownie. Wspaniale. Jak to dobrze, że tu przyjechaliśmy – powiedziała Małgorzata z zachwytem, rozrzuwiona urokiem krajobrazu i tej chwili.

– Tak teraz pomyślałem, że to zasługa profesora – powiedział Julian, po czym objął ją i zaczął całować.

– Bardzo mi się podobał. Cieszę się, że go poznałam... – powiedziała w przerwie między pocałunkami. – A dla ciebie jest zupełnie jak starszy brat.

Siedzieli jakiś czas przytuleni, nasycając się szczęściem.

Po kilku minutach Małgorzata rzuciła pomysł, żeby jeszcze pójść kawałek uliczką w bok, więc wstali i poszli. Przeszli kilkadziesiąt metrów i uliczka rozszerzyła się, tworząc miniaturowy plac, przy którym był bardzo gustownie urządzony barek z paroma stolikami przed wejściem.

– O! Świetnie – ucieszył się Julian. – Chodź, napijemy się czegoś chłodnego.

– Super. Jestem za – zgodziła się Małgorzata bez chwili wahania.

Weszli do chłodnego, wąskiego pomieszczenia. Po prawej stronie był podłużny staroświecki bufet, za którym stała grzeczna młoda dziewczyna. Po lewej wzdłuż ściany znajdowała się długa na kilka metrów półka i rząd barowych stołków. Na ścianie nad półką umieszczone było długie lustro, dające złudzenie, że lokal jest dwa razy większy niż w rzeczywistości.

– Zostajemy w tym chłodku czy idziemy na zewnątrz? – zapytał Julian i otarł chusteczką pot z twarzy.

Zostali w środku i poprosili o mrożoną kawę.

Posiedzieli kilkadziesiąt minut, rozmawiając i pijąc.

Przyszli do hotelu, gdy już zapadała noc. Usiedli na tarasie na ratanowej kanapie, tuląc się do siebie i podziwiając wieczorny krajobraz Amalfi.

Następnego dnia zgodnie z planem pojechali do Positano.

Gdy dojeżdżali i zza zakrętu wyłoniło się miasteczko. Małgorzata zawołała z zachwytem:

– Ojej! Jest chyba jeszcze piękniejsze od Amalfi.

– Tylko nie mów tego nikomu z Amalfi – zażartował równie zachwycony Julian. – A ta góra chyba jeszcze bardziej stroma. Ciekawe, jak budowali oni na takim zboczu?

– Popatrz. Te kolorowe domki... Jakie to cudne... A ta kępa zieleni na środku miasteczka. Tu jest jak w bajce. Wiesz, brak mi słów, żeby wyrazić zachwyt.

Z wielkim trudem znaleźli miejsce do zaparkowania samochodu i zaczęli chodzić po wąziutkich uliczkach, gdzie w ogóle nie dochodziło słońce, a większość wystaw sklepowych była oświetlona lampami. Przypadkowo trafili na sklep z obrazami. Spędzili tam sporo czasu, podziwiając niezliczoną ilość dzieł miejscowych twórców, z których jedno szczególnie zachwycało Małgorzatę. Obraz przedstawiał skrzyżowanie dwóch uliczek, przez które przechodził człowiek prowadzący osła.

– To co? Kupujemy – zdecydował Julian.

Kupili obraz i wrócili do hotelu.

W następnych dniach jeździli w coraz to nowe miejsca albo dla odpoczynku szli na plażę, a wieczorami przeglądali przewodniki i planowali dalsze wyprawy. Tak obejrżeli Sorrento, Capri, Salerno, Ravello i wiele innych wspaniałych miast i miasteczek.

Wszystko zwiedzali spokojnie, bez pośpiechu, a mimo to codziennie przyjeżdżali do hotelu zmęczeni upałem, za to szczęśliwi i pełni wrażeń.

Po trzech tygodniach wrócili do Warszawy. Przywitał ich chłód i deszcz.

Gdy już byli w hali dworcowej i czekali na przyjazd bagaży, Małgorzata nagle zarzuciła Julianowi ręce na szyję i powiedziała:

– Juluś, witam cię w Polsce.

– Ja też cię witam, kochana – odpowiedział i mocno ją pocałował, nie spuszczać jednocześnie wzroku z taśmociągu.

– Jaka jestem szczęśliwa, że tam byliśmy – dodała.

Odebrali bagaże i pojechali taksówką do domu. Zostawili bagaże, wsiedli w Juliana samochód i pojechali do Łodzi.

Julian wszedł z Małgorzatą do jej domu, przywitał się z mamą i pojechał do rodziców.

Popatrzył na mamę. Była mizerna i wyglądała na zmęczoną.

– Mamo, wy z tatą też powinniście gdzieś wyjechać – powiedział zaraz po przywitaniu.

– W tym roku to już nie warto, synku. Może w przyszłym... – odpowiedziała bez żalu. – Najważniejsze, że wyście wyjechali... I wam się należało, i Ani.

Gdy po kolacji szedł na górę, Ania poszła za nim i pokazała mu na migi, żeby wszedł do jej pokoju.

– Julianie, powiedz, czy ty byś się nie obraził na mnie, gdybym sprzedała ten samochód, co dostałam od ciebie? – spytała, kiedy tylko zamknęła za sobą drzwi.

– A dlaczego chcesz go sprzedać? – zapytał zdziwiony.

– Bo wiesz, ja się bez niego obejdę, a chciałam pomóc rodzicom...

– Czy stało się coś, o czym nie wiem? – zapytał pełen obaw.

– Bo wiesz... Rodzice się strasznie zadłużyli... – powiedziała szeptem. – Wiesz, remont dachu sporo kosztował i na mnie jeszcze dużo wydali – powiedziała z żalem. – Korzystałam z ich poświęcenia, nie zdając sobie sprawy, że jest tak źle... Oni wprawdzie wzięli jeden kredyt, ale jak zaczęli zalegać, to wzięli drugi, żeby spłacić ten pierwszy. Jak mieli trudności ze spłatą obu, to znaleźli jakiś bank, który dał im kredyt konsolidacyjny – wyjaśniła. – Dlatego chcę im pomóc...

– No tak. Po mamy minie widziałem, że jest coś nie w porządku.

– Popatrz, mama jest księgową, a jednak nie potrafiła tego przewidzieć – dalej szeptala.

– Ty się nie dziw. Mama jest księgową, a nie psychologiem.

– Nie rozumiem...

– W bankach pracują psycholodzy. Wiem, bo sam się uczyłem psychologii handlu... Jak taki człowiek pójdzie do banku, to mu tak wszystko przedstawią, że wyjdzie od nich z poczuciem, że nareszcie trafił do właściwych ludzi i dopiero teraz skończą się jego problemy... – wyjaśnił. – Ale to żaden kłopot – dodał z uśmiechem. – Nawet nie myśl o sprzedaży samochodu. Ja to wszystko spłacę... Ile tego jest?

– Nie wiem.

– To znajdź te papiery i zapisz numer konta, na które trzeba to wpłacić. Ja to wszystko naraz zapłacę i już.

– Wiem, gdzie to jest – powiedziała z radością.

– Jeszcze lepiej by było, gdybyś mi to pokazała.

– Julianie, ty nawet nie masz pojęcia, jak ja się cieszę – powiedziawszy to, objęła go i zaczęła całować. – Ale ty wiesz, że jak mama się dowie, że przyłożyłam do tego rękę, to się na mnie zezłości... – dodała z obawą w głosie.

– Tym się nie przejmuj. Biorę to na siebie.

– Super, Julianie kochany... – uśmiechnęła się radośnie i dodała: – Jak ja się cieszę, że mam takiego brata... To jutro rano pokażę ci te wszystkie papiery, bo rodzice oboje pracują.

– Dobrze... I nie martw się – powiedział, wychodząc.

Koniec września przyniósł duże zmiany. Małgorzata przeniosła się do Juliana, ponieważ została przyjęta na drugi rok studiów na Akademii Medycznej w Warszawie. Od tej pory mieli jeździć do Łodzi tylko dwa razy w miesiącu, nad czym ubolewali rodzice Juliana.

Matka Małgorzaty była na rozmowie z profesorem, w czasie której dostała bardzo dobrą propozycję i po parodniowym namyśle zdecydowała się na zmianę pracy. Zanosilo się więc, że pani Mardok od nowego roku również zamieszka w Warszawie.

Okazało się też, że pani Edyta z wdzięczności dla Juliana rozkręciła kampanię wyborczą jego i dyrektora Dworaka ponad wszelkie oczekiwania. Julian nie mógł się nadziwić, że w tej kobiecie drzemią tak olbrzymie ilości inicjatywy, chęci działania i pomysłowości.

Nic więc dziwnego, że obaj panowie wkrótce zostali posłami do parlamentu.

To był zwariowany wieczór. Dwie minuty po ogłoszeniu wyników Dworak zadzwonił do Juliana z gratulacjami i przegadali chyba z dziesięć minut. Ledwo się rozłączyli, zadzwonili rodzice. Później profesor Borek, potem różni bliżsi i dalsi znajomi. I tak było do północy. W rezultacie Małgorzata i Julian nie mieli nawet możliwości, żeby to jakoś po swojemu uczcić. Wszystko więc sprowadziło się do tego, że Małgorzata sama wyjęła z lodówki butelkę szampana, którą na wszelki

wypadek wcześniej kupiła, sama ją otworzyła, nalała do kieliszków i jeden z nich wetknęła mu w dłoń, podczas gdy on rozmawiał przez telefon, przyjmując kolejne gratulacje.

Następnego dnia z samego rana przyszedł Dworak i w typowej dla siebie kwiecistej formie złożył propozycję:

– Panie Julianie, z okazji tego wiekopomnego wydarzenia, ośmielam się prosić pana, żeby przyjął pan ode mnie zaproszenie do wspólnego uczczenia tego osiągnięcia i spędzenia dzisiejszego wieczoru w restauracji.

– Nie przyjmuję – odpowiedział Julian stanowczo.

– Oj, dlaczego? – zapytał Dworak niepewnie i z żalem.

– Dlatego, że to ja cię zapraszam, Dworak... I tak przy okazji, mów do mnie Julian.

Twarz Dworaka przybrała wyraz niewysłowionej błogości. Stał chwilę zupełnie dezorientowany, po czym jękając się, powiedział:

– Nie wiem, czy mi to przez gardło przejdzie... Na pewno będę się mylić... Muszę mieć trochę czasu, żeby się przyzwycząić, panie prezesie.

– Ja ci tu zaraz dam prezesa! – zawołał Julian, podszedł do Dworaka i serdecznie go objął. – Daję ci czas do wieczora! Do kolacji masz się przyzwycząić... – dodał wypuszczając go z objęć i robiąc krok do tyłu. – I przyjdź z żoną, a ja przyjdę z narzeczoną.

– Słyszałem, że masz piękną narzeczoną – powiedział Dworak, uśmiechając się od ucha, do ucha.

– Dla mnie jest piękna... A gdzie chciałeś iść, Romanie? Skoro mnie zapraszałeś, to musiałeś mieć coś konkretnego na uwadze.

– Do „Arkadii”.

– W takim razie siadaj. Spróbuję zadzwonić i zamówić stolik, a jak nie będzie, to będziemy szukać gdzieś indziej.

– Ale ja już zamówiłem.

– Tak w ciemno? Przecież nie wiedziałeś, czy przyjmę twoje zaproszenie – zdziwił się Julian.

– Miałem taką nadzieję... Zresztą to niewielkie ryzyko – mówiąc, to machnął ręką z lekceważeniem.

– To co? Do zobaczenia wieczorem.

Zaraz po rozstaniu z Romanem zadzwonił do Małgorzaty i uprzedził ją, żeby się przygotowała.

– O, dobrze, że dzwonisz... W takim razie pójdę do fryzjera – oświadczyła przejęta.

– Tylko błagam, nie próbuj szokować.

– Cha, cha, cha. Od kiedy zrobiłeś się taki... – szukała odpowiedniego słowa.

– Taki, no taki ostrożny?

– Dobrze, cofam to, co powiedziałem. Przecież nawet jeśli zaszokujesz, to na pewno w dobrym stylu. Przepraszam cię, głupio powiedziałem. Cofam – tłumaczył się zawstydzony.

Wieczorna impreza była całkiem udana. Pani Jolanta Dworak i Małgorzata polubiły się od samego początku. Obie były kobietami z dużą klasą. Miały dobre maniery, były gustownie ubrane, dowcipne.

Pani Jolanta, prawie o dwadzieścia lat starsza od Małgorzaty szatynka, dość krótko ostrzyżona, z piwnymi oczami, o nieskazitelnej figurze, poruszająca się z gracją, ściągała na siebie uwagę mężczyzn, jednak sama nie zwracała na nich uwagi. Jeśli nawet przypadkowo jej wzrok pobiegł w kierunku któregoś, to nigdy się na nim nie zatrzymał.

Małgorzata, szybka i zwinna niczym wiewiórka pod postacią kobiety. Prędko zmieniająca nastrój od wesołości do powagi. Od melancholii do eksplozji radości, ale zarazem panująca nad swoim temperamentem i nieprzekraczająca granic dobrego obyczaju.

Takie były panie. Pod pewnymi względami podobne, pod innymi znacznie się różniące. Chyba właśnie to sprawiło, że dość szybko poczuły do siebie sympatię. Dużo rozmawiały, opowiadały o sobie i swoich rodzinach. Próbowaly wciągać panów do rozmowy, ale z niewielkim skutkiem.

Wszystkiemu winne było męczące napięcie ostatniego tygodnia, które w dniu wyborów osiągnęło apogeum. Ogłoszenie wyników wywołało u nich nagłą euforię i to było już wszystko, co mogła znieść ich udręczona psychika, toteż zachowywali się jak ludzie, którzy dopiero co ukończyli niesłychanie stresującą, ciężką pracę.

W miarę picia alkoholu nastrój jednak stopniowo się rozluźniał, a kiedy skończył się im repertuar opowiadanych dowcipów, zaprosili panie do tańca.

Rychło się okazało, że zmęczenie psychiczne dobrze jest leczyć tańcem.

Leczyli więc je gdzieś do pierwszej w nocy, kiedy to panie zaczęły rozbawionym małżonkom napomykać o powrocie do domów. Przed drugą zdecydowali się wracać.

Na inauguracyjne posiedzenie wybrali się półtorej godziny wcześniej, żeby zdążyć choć pobieżnie zapoznać się z gmachem i co tu mówić, oswoić się z nim.

Spotkali się na parkingu i razem weszli do środka.

Już w holu zobaczyli kilka osób znanych z poprzednich kadencji, którzy jak to kiedyś dowcipnie ujęła Edyta, mieli abonament na bycie posłem.

Pierwszym, który im się rzucił w oczy, był poseł Godzisław Wrak ze

Stronnictwa Obrońców Człowieka.

– Domagał się kiedyś, żeby zaprzestano leczenia chorych na Alzheimera – powiedział Julian półgłosem.

– Dlaczego? – zapytał zdziwiony Roman.

– Bo leczenie polega na wszczepieniu pacjentowi komórek genetycznie zmodyfikowanych, a oni są przeciwni modyfikacjom genetycznym... – cicho wyjaśnił Julian i jeszcze ciszej dodał z ironią: – Na tym polega obrona człowieka.

– O, a tego znasz? – zapytał Roman z wiele mówiącą miną, widząc Jaromira Wołowskiego, szefa Partii Chrześcijańsko-Demokratycznej.

– Pewnie, ale popatrz, w jego kierunku idzie Julia Jagóra, moja ulubienica.

– I moja... A jak się do niego przymilnie uśmiecha.

Julian zauważył, że wielu posłów przygląda się im z zainteresowaniem. Z pewnością rozpoznali w nich nowicjuszy. Jeden nawet podszedł i wyciągając do Romana rękę, przedstawił się:

– Jestem Jakub Kościelski. Witam nowych kolegów – mocno potrząsnął dłoń Romana, a następnie Juliana, i szczerząc zęby, zapytał: – A panowie posłowie z daleka przyjechali?

– Aż z Warszawy... – wyjaśnił Julian. – Miło pana poznać – dodał.

Zaraz za posłem Kościelskim podeszło jeszcze dwóch i tak nawiązały się pierwsze znajomości.

Zwiedzili z grubsza kuluary parlamentu i weszli na salę obrad.

Wkrótce rozpoczęło się posiedzenie, które otworzył marszałek senior. Odśpiewano hymn. Później odbyło się ślubowanie i zaraz po tym wybrano marszałka i wicemarszałków. Następnie odchodzący premier zaczął wygłaszać swoje przemówienie, chwając dokonania swojego gabinetu.

W pewnej chwili z sektora, w którym zasiadała Partia Polskich Patriotów, ktoś głośno krzyknął:

– Pochwal się, ile wydałeś pieniędzy na budowę autostrady do swojej wsi.

W całej sali rozległy się śmiechy, a premier nie zwracając na to uwagi, dalej czytał swoje przemówienie.

– Jutro wpadnij do mnie w czasie pracy... – poprosił Julian po wyjściu z gmachu, gdy byli już na parkingu. – Dobrze, że mamy dwa wolne dni, to można trochę zająć się pracą.

– Oczywiście, a czy jest coś nowego? – zapytał Roman, otwierając samochód.

– Nie, po prostu chcę z tobą porozmawiać.

– Jak panu posłowi minął dzień? – zapytała Małgorzata, gdy wrócił do domu.

– Wiesz, czuję się, jakbym był w teatrze.

– Dlaczego?

– Takie jakieś to wszystko sztuczne... Nie potrafię tego określić. Jak patrzę na to z bliska, to mam wrażenie, że większość tych ludzi gra jakieś role, że wszystko, co robią albo mówią, jest na pokaz... Z bliska ta sztuczność jeszcze bardziej mnie razi niż przy oglądaniu w telewizorze.

– A czytałeś Kwiaty zła Baudelaira? – zapytała z wiele mówiącym uśmiechem.

Julian nie odpowiedział, a Małgorzata domyślając się, że nie czytał, dodała:

– Za to u takich ludzi autentyczna jest złość, nienawiść, pogarda... – chwilę pomyślała i dodała z żalem: – I na pewno nieraz będziesz ją widział.

– To nic, Małgosiu, to nic.

– Julianie, ty wiesz, że chyba pierwszy raz powiedziałeś do mnie „Małgosiu”?

– Bo cię kocham... A nie chcesz, żebym tak mówił?

– Juluś, to nie ma znaczenia... Dla mnie jest ważne, że mnie kochasz.

Z samego rana zgodnie z umową przyszedł Dworak.

– Siadaj, Romanie, musimy porozmawiać jak przyjaciele – Julian zaprosił go, wskazując stół w rogu gabinetu, co oznaczało, że nie będą dyskutować o sprawach służbowych.

– Jestem gotów do takiej rozmowy – odpowiedział wesołym tonem, ale nie wiedząc dokładnie, czego się spodziewać, popatrzył badawczo na Juliana.

– A napijemy się czegoś?

– Zależy, jak długo mamy rozmawiać...

– Nie mów tak, bo wiesz, że ja nawet ważne tematy omawiam zwięźle.

– Wiem, żartowałem. Jak masz whisky, to bym wypił.

– O, właśnie. Lubię, jak konkretnie stawiasz sprawę.

Usiedli przy stole, Julian nalał whisky i zapytał:

– Jak twoja żona? Zadowolona, że zostałeś posłem?

– Prawdę mówiąc, nie za bardzo – odrzekł z gorzkim uśmiechem. – Przewiduje, że teraz to już w ogóle będę gościem w domu. A jak twoja?

– Moja narzeczona studiuje, więc sporo czasu spędza poza domem, a jak jest, to siedzi i się uczy, więc też tak jakby jej nie było... – wyjaśnił i po namyśle dodał:

– Przyjeliśmy więc zasadę, że będziemy dobrze wykorzystywać ten czas, kiedy jesteśmy razem... To znaczy poświęcamy go na kontakty towarzyskie, chodzimy na różne imprezy, a jeśli już jesteśmy w domu, to tylko po to, żeby prowadzić intensywne życie rodzinne.

Kiedy Julian użył określenia „intensywne życie rodzinne”, Roman

uśmiechnął się, robiąc minę zdradzającą podziw, uznanie i całą gamę innych uczuć, chyba łącznie z domieszką zazdrości, i zapytał:

– Może w ramach tych kontaktów towarzyskich wpadlibyście kiedyś do nas?

– Oczywiście, bardzo chętnie – odpowiedział Julian bez namysłu. – Ale tym razem mam do ciebie całkiem inną sprawę – zastanowił się moment i dodał: – Wiesz, jak byliśmy w Jokohamie, to przyrzekłem sobie, że jeśli ta operacja się uda i wszystko pójdzie tak, jak profesor zaplanował, to muszę stać się innym człowiekiem, lepszym... – zawiesił głos i patrzył chwilę w okno. – Lepszym dla innych – dokończył, patrząc nadal gdzieś w dal.

Dłuższy czas milczał, ciągle patrząc w okno.

Roman domyślił się, że Julian rozmyśla o tamtych czasach, i siedział, nie odzywając się.

– Pamiętasz? – zapytał w końcu takim tonem, że Roman nie wiedział, o co właściwie pyta i czy to pytanie w ogóle jest skierowane do niego.

– Pamiętam, wszystko pamiętam... – odpowiedział niepewnie. – I uważam, że to ci się udało... Zresztą to nie tylko moje zdanie. Wszyscy mówią, że jesteś dużo lepszy od Jurskiego – wyjaśnił

– Tak mówią? – zapytał bezwiednie i przeniósł spojrzenie na twarz Romana.

– Tak, przecież Jurski wtedy by Wysockiego wywalił na zbity pysk, ty jednak wykazałeś się taką wielkodusznością...

– A wiesz, jaki on się stał gorliwy? Chyba postanowił od nowa pracować na dobrą opinię... Jednakże takiego smrodu łatwo się nie wywietrzy... – wypił łyk whisky, chwilę pomyślał i dodał: – Ale postanowiłem dać mu jeszcze jedną szansę.

Powiedziawszy to, zamilkł. Siedział jakiś czas, trzymając w prawej dłoni kieliszek. Lewe przedramię położył na blacie stołu i opuszkami palców zaczął nerwowo wystukiwać jakiś rytm.

Roman też się nie odzywał, próbując odgadnąć, jaki jest powód wezwania go, a właściwie zaproszenia. Przynajmniej tak to odczuł na początku.

– Powracając do tematu, chciałem ci powiedzieć, że na zewnątrz wszystko wygląda dobrze, ale naprawdę mam kłopoty... Polegają one na tym, że czasami wychodzi ze mnie Jurski – mówił wolno, starannie dobierając każde słowo. – Są we mnie dwie osobowości, które ze sobą walczą, i nie bardzo mam na to wpływ... Krótko mówiąc, boję się, że kiedyś jako Jurski mogę zrobić albo powiedzieć coś, na co bym sobie nie pozwolił jako Podhorecki. Do tej pory to, co robiłem, będąc prezesem koncernu, było w miarę łatwe do odkręcenia. Gorzej, jak Jurski zawładnie mną w parlamencie... – przerwał i zaczął się zastanawiać, jak głęboko może go wtajemniczyć. – Profesor nazywa to rozdwojeniem osobowości – dodał po namyśle. – Najgorsze jest to, że kiedy jestem Jurskim, w ogóle zapominam o Julianie... Na pocieszenie mogę ci powiedzieć, że dzięki Bogu zdarza się to bardzo rzadko...

Mówił urywanymi zdaniami i robił między nimi spore przerwy. Widać było, że ciężko mu przychodziło opowiadanie o swoich kłopotach.

Roman nie był przygotowany na takie wyznanie, ale słuchał uważnie, nie przerywając i nie okazując zdziwienia.

– Mówię ci to nie po to, żebyś mi współczuł, tylko po to, żebyś w razie czego interweniował – to zdanie wypowiedział dość energicznie i stanowczo.

– Tak, ale jak taka interwencja ma wyglądać i w jakich sytuacjach? – zapytał niepewnie i dodał: – Nakładasz na mnie bardzo delikatne i jednocześnie trudne zadanie, więc nie gniewaj się, ale muszę cię prosić o precyzyjne wytyczne... Rozumiem, że nie jesteś w stanie przewidzieć wszystkich sytuacji i okoliczności, więc będę musiał sam to oceniać i stosownie do tego podejmować jakieś decyzje, ale wobec tego muszę cię prosić, żebyś dokładnie określił kryteria, jakimi mam się kierować... Przepraszam cię, pierwszy raz boję się, że mogę nie sprostać... – powiedział z obawą.

– Twoje wątpliwości świadczą o tym, że myślisz – powiedział Julian z aprobatą w głosie. – Ale żeby to wyjaśnić, w pierw musimy sobie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego staraliśmy się dostać do parlamentu i po co tam jesteśmy. Otóż nie chodzi mi o to, żeby obecność w parlamencie wykorzystać do dalszego pomnażania majątku, ponieważ robiłem to ponad pięćdziesiąt lat i mam dość pieniędzy... Tego, co zdobyłem, nie wydam do końca życia – przerwał, popatrzył wnikliwie na Romana, wypił mały łyk whisky i dodał: – Wtedy w Jokohamie postanowiłem, że jeśli będzie mi darowane drugie życie, to muszę je poświęcić dla dobra ogółu i chcę się tego trzymać, żeby nie zmarnować tego życia... Ale wróćmy do poprzedniego wątku. Popatrz, kto u nas rządzi. Przecież w większości są to ludzie z przerostem ambicji, dla których władza jest celem samym w sobie, w dodatku zawzięci, niezdolni do kompromisu, wydaje im się, że się na wszystkim znają, a w rzeczywistości mają bardzo nikłe pojęcie o tym, co robią... Wszystko, co głoszą, jest skażone doktrynerstwem i polityką ich partii. Iluż tam jest ksenofobów albo ludzi patrzących na świat przez pryzmat nacjonalizmu, zacofanych, niedouczonech... Nieraz jest to aż żenujące... W dodatku ich nie obchodzi dobro ogółu. Im chodzi jedynie o to, żeby rządzić i narzucić wszystkim swój światopogląd, bo tylko on jest słuszny.

Julian wypowiedział to wszystko jednym ciągiem, z goryczą i pasją, po czym nagle zamilkł.

Roman nic nie odpowiadał, ponieważ domyślał się, że to tylko przerwa.

– Popatrz, ile jest ważnych problemów gospodarczych, społecznych, prawnych, a oni zajmują się prawie wyłącznie szkalowaniem swoich przeciwników i straszeniem społeczeństwa wyimaginowanymi zagrożeniami, przed którymi tylko oni mogą uchronić kraj... Przecież nie można dopuścić, żeby garstka opętanych doktrynerów tak mieszała ludziom w głowach. Dlatego uważam, że ktoś musi

nareszcie zacząć robić z tym porządek. Przecież już dawno wyprzedziły nas cywilizacyjnie takie kraje, które jeszcze siedemdziesiąt lat temu były biednymi koloniami. I nie mówię tu tylko o Singapurze czy Korei Południowej, tylko patrząc, jak niektóre kraje Afryki nas wyprzedzą, a pod niektórymi względami już są przed nami – znów zrobił przerwę, chwilę pomyślał i dodał: – Jeżeli nie uda mi się tych zmian wywalczyć w parlamencie, to jestem zdecydowany założyć swoją stację telewizyjną i w ten sposób rozjaśniać ludziom w głowach.

– Muszę powiedzieć, że jeśli idzie o politykę i gospodarkę, to nasze poglądy są zbieżne, ale jaka ma być moja rola, jeśli idzie o twoje ewentualne kłopoty ze zdrowiem? – Roman nieśmiało zapytał, zakładając, że Julian tamten temat naszkicował dostatecznie dokładnie.

– Musisz brać pod uwagę, że kiedy staję się Jurskim, to częściowo lub całkowicie zapominam o swoich prawdziwych poglądach... Nie ulega wątpliwości, że moim prawdziwym ego jest to, które znasz, odkąd jestem Julianem... Innymi słowy, jeżeli zauważysz, że zaczynam się zachowywać inaczej, że nagle zmieniłem poglądy, to jest znak, że powinieneś podjąć jakieś kroki... Upoważniam cię do podjęcia w takiej sytuacji wszelkich kroków, które uznasz za potrzebne, a jeżeli potrzebowałbyś rady albo pomocy, to nie wahaj się, tylko dzwoń do profesora.

– Ale czy tobie rzeczywiście się to zdarza? Czy mówisz o tym tak na wszelki wypadek? – zapytał Roman, nie kryjąc obaw.

– Powiem ci szczerze. Mówię to w dużym stopniu na wszelki wypadek, ponieważ parę razy mi się to zdarzyło, ale prawie za każdym razem wiedziałem, co się dzieje, i kontrolowałem to. Natomiast raz straciłem nad tym kontrolę, ale to wszystko rozgrywało się we mnie... To nie było widoczne na zewnątrz... Po prostu przesiadziałem jakiś czas na ławce i nie zwracałem uwagi na to, co się wokół dzieje. To było tak, jakby mój mózg przeniósł mnie na tych parę godzin do innego świata i w inny czas.

– Przepraszam cię, nie pytałem o to z pospolitej ciekawości, tylko żeby się dobrze wywiązać, chciałem wiedzieć, na co się przygotować.

– Rozumiem to i mam nadzieję, że jesteś zadowolony z pracy, ze swojej pozycji w koncernie i że jesteś moim przyjacielem... W przeciwnym razie nie wtajemniczałbym cię w to wszystko.

– Muszę powiedzieć, że ja nie przepadałem za Jurskim, ale pracowałem u niego i byłem lojalny, ponieważ ta praca odpowiadała mi pod wieloma względami – powiedział poważnie. – Jednak kiedy stałeś się Julianem, dość prędko zacząłem zauważać u ciebie zmiany, które powodowały, że zacząłem cię lubić... Pewno tego nie zauważałeś, ale stopniowo zacząłem obdarzać cię przyjaźnią.

– Wiesz, ja to zauważałem. Widziałem, że twoje starania o to, żebyśmy zgodził się na ochronę, były czymś więcej niż wykonywaniem obowiązków, i od pewnego czasu starałem się odwzajemnić ci to.

Roman uśmiechnął się, chwilę się zawahał i powiedział:

– Ja często bez zastanowienia mówiłem dużo pochlebstw, teraz możesz tak to odebrać, ale chciałem ci powiedzieć, że nieraz w duchu myślałem, że naprawdę jesteś wybitnym człowiekiem, a teraz uważam, że to duży zaszczyt dla mnie, jeżeli traktujesz mnie jak przyjaciela.

– Cha, cha! Aleśmy sobie pogadali – zaśmiał się Julian szczerze. – Masz jeszcze jakieś pytania w związku z tymi sprawami?

– Nie, raczej nie... – chwilę pomyślał i dodał: – Może jakieś się nasuną, ale w tej chwili uważam, że wszystko jest jasne.

– Wobec tego wyczerpaliśmy już porządek dzisiejszego zebrania – powiedział żartobliwie, uśmiechnął się i dodał: – Kończmy whisky i do roboty. Trzeba te dwa wolne dni dobrze wykorzystać, bo jak zaczną się posiedzenia, to nie będzie na nic czasu.

Gdy jechał do Krakowa, było zimno, mokro i padał pierwszy jesienny śnieg. Przyklejał się do liści, które jeszcze nie opadły. Pod jego ciężarem gałęzie drzew i krzewów wyginały się do dołu. Mocne podmuchy wiatru utrudniały jazdę.

Miał już za sobą kilkanaście posiedzeń parlamentu, w których uczestniczył jedynie biernie, ponieważ nie chciał dać się wciągnąć w bezsensowne dyskusje o błahostkach i pyskówki pomiędzy posłami z przeciwnych ugrupowań. Uważał też, że jako młody i w dodatku początkujący parlamentarzysta robiłby złe wrażenie, wymądrzając się już na samym początku.

Siedząc na tylnym siedzeniu swojej limuzyny, myślał, co powinien zmienić w sposobie kierowania koncernem, żeby mieć więcej czasu na udział w sesjach parlamentu.

Wiedział, że nie może dać zbyt dużej autonomii dyrektorom poszczególnych komórek, ponieważ sam straciłby kontrolę.

Przypomniało mu się, jak na początku kariery Jurskiego do jego przedsiębiorstw przyjeżdżało wielu kontrolujących, którzy chętnie brali różne prezenty i w zamian za to nie zauważali żadnych nieprawidłowości, niekiedy poważnych i wprost rzucających się w oczy.

W tym samym czasie w radiu i telewizji słychać było narzekania, że ten proceder jest powszechny, ale bardzo trudny do wyplenienia, ponieważ udowodnienie jest prawie niemożliwe, bowiem nikt nie wręcza łapówki przy świadkach.

Jurski śmiał się wtedy, bo przecież tego nie trzeba udowadniać. Wystarczy za dwa dni wysłać kontrolę, znaleźć nieprawidłowości, których poprzednia kontrola nie zauważyła i zwolnić z pracy kierownika tych kontrolerów z powodu braku nadzoru nad podwładnymi. Wówczas bez sądów i więzień sytuacja

stopniowo by się poprawiała.

Postanowił więc zaraz po powrocie przeprowadzić rozmowę z dyrektorem sekcji analiz, dać mu podwyżkę, zwiększyć nieco limit płac, przyjąć jeszcze paru pracowników i nakazać rozszerzenie działalności kontrolnej. W ten sposób sam będzie mógł mniej czasu na to poświęcać, gdyż w zasadzie wystarczy, jeśli osobiście od czasu, do czasu skontroluje tych kontrolujących.

Wspominanie dawnych czasów doprowadziło go do niezbyt optymistycznych spostrzeżeń. Mianowicie przez pół wieku jego działalności nic właściwie się nie zmieniło. Zmieniają się nazwy partii, ministerstw, organizacji i struktur gospodarczych, agencji rządowych, ale głupota, brak kompetencji, zawziętość i chciwość są wciąż takie same.

„Jakie pół wieku?!” – zawołał w nim jakiś głos oburzenia. – „To już całe sto lat! Dlaczego w dwudziestoleciu międzywojennym było aż dwudziestu siedmiu premierów? Właśnie dlatego, właśnie z powodu głupoty i zawziętości!”

Następna myśl, jaka przyszła, była zupełnie inna: Małgorzata, dobra kochana Gosia. Zamknął oczy i wyobraził sobie jej zawsze pogodną, piękną twarz. Nagle odczuł jej bliskość, posłyszał jej łagodny, aksamitny głos: „Nie nakręcaj się, podchodź do wszystkiego spokojnie... Cierpliwością i łagodnością osiągniesz znacznie więcej. Masz przed sobą jeszcze całe długie życie. Nie musisz się tak śpieszyć i spalać”.

Był szczęśliwy, że na progu swojego życia spotkał właśnie ją.

W Krakowie nie padało. Pojechali prosto na Krowodrze i podjechali pod dom, w którym mieszkał Wiktor. Kierowca został w samochodzie, a Julian skrzypiącymi drewnianymi schodami poszedł na górę.

Zapukał do drzwi pracowni, ale nikt nie odpowiadał. Poszedł kilka kroków dalej i zapukał do drzwi mieszkania. Za chwilę drzwi się otworzyły i stanął w nich uśmiechnięty Wiktor.

– Świetnie, czekam na pana już od godziny! – zawołał, ściskając dłoń Juliana.

– Szosa mokra i śliska od śniegu – wyjaśnił Julian, wszedł do wnętrza i stanął zdziwiony, ponieważ na ścianach wisiało kilkadziesiąt obrazów.

– A to co? – zapytał. – Chyba to nie pan tyle namalował?

– Ja. Tylko nie wszystko teraz... Teraz namalowałem sześć. Reszta to dawniejsze czasy.

– Jednak pan malował... – powiedział Julian, nie kryjąc zdziwienia.

– Oczywiście, tylko składałem je na strychu, ponieważ nikt nie chciał kupować... Przecież panu opowiadałem...

– No tak, ale nie myślałem, że aż tyle.

– To nie wszystko, reszta wisi w pracowni... Chodźmy tam – zaprosił ucieszony, że zaskoczył Juliana. Ten tymczasem rozejrzał się jeszcze raz i stwierdził, iż Wiktor nawet trochę dba o porządek. – To zapraszam, chodźmy – powtórzył i skierował się w stronę drzwi, których dawniej nie było.

Przeszli przez pokój i weszli do pracowni. Tu już nie było takiego porządku, ale Julian uznał, że artyście można to wybaczyć. Rzeczywiście, tu również wisiało sporo obrazów.

Julian zaczął spacerować i oglądać prace.

– Niestety, nie znam się na tym, ale niektóre mi się podobają – pochwalił ostrożnie i pomyślał, że należało tu przyjechać z Edytą, a jeszcze lepiej z jej matką. – A jak to ocenia pański przyjaciel? – zapytał.

– Artur? Artur się nie wypowiada... – powiedział ze smutkiem. – W ogóle to myślałem, że bardziej mogę na niego liczyć, ale jakoś nie... – wyjaśnił dość lakonicznie.

– Co się stało? – zapytał Julian i przypomniały mu się podejrzenia, że ta oferta pomocy nie wynikała z przyjaźni, tylko raczej z chęci zysku.

– Nie wiem... Trudno powiedzieć... Może uznał, że stanowię dla niego konkurencję? Nie wiem, nie mam pojęcia... Czasem się odwiedzamy, ale jakoś jest trochę inaczej, niż się zapowiadało.

Julian patrzył cały czas na twarz rozmówcy i uznał, że Wiktor rzeczywiście nie wie, jaka jest przyczyna takiego stanu rzeczy.

– A jak pan stoi finansowo? – zapytał z czysto ojcowską troską.

Zostało mi trochę pieniędzy, więc na razie jakoś daję radę... Poza tym wstawiłem kilka obrazów do paru sklepów i ciągle żyję nadzieją, że coś się ruszy.

– No, daj Boże.

– A zna pan tu kogoś prócz Artura? Ma pan jakieś nowe znajomości?

– Trochę się zaprzyjaźniłem z właścicielem jednego ze sklepów z obrazami. On nawet kiedyś tu u mnie był i chyba szczerze chce mi pomóc...

– O, to świetnie...

– Może pan usiądzie, panie Julianie... – wskazał wersalkę stojącą w narożniku pokoju. – Może coś wypijemy... A może pan głodny? Chętnie podzielę się z panem moim obiadem.

– Kawy nie odmówię, ale za obiad bardzo dziękuję – odpowiedział i podszedł do kanapy, schylając się trochę, żeby nie uderzyć głową w sufit, który od środka pokoju zbiegał pochyło w kierunku ściany, przy której stał mebel.

Wiktor tymczasem odszedł do sąsiedniego narożnika, gdzie był stolik, a na nim czajnik, cukiernica, parę filiżanek i talerzyków.

Julian siedząc, rozglądał się po pokoju.

Z miejsca, w którym usiadł, widać było obraz stojący na sztaludze. Był to miejski pejzaż – zapewne w trakcie malowania, ponieważ pod nim leżały dwa

pędzle, a obok na taborecie paleta z rozmazanymi farbami. Świadczyło to, że Wiktor nie stracił jeszcze zapалу do pracy.

Juliana bardzo to ucieszyło i jednocześnie przypomniały mu się czasy, kiedy Wiktor był jeszcze chłopcem. Zrobiło mu się żal, że nie zajmował się wtedy jego wychowaniem, mimo że dziecko lgnęło do niego i często prosiło, żeby się z nim pobawić albo po prostu żeby gdzieś we dwóch pojechali. Wtedy nie rozumiał tego i uważał, że chłopcu wystarczy matka. Sam tymczasem zajmował się pomnażaniem majątku.

Teraz siedząc na kanapie, patrzył na syna krzątającego się przy stoliku.

Obserwując go, zdał sobie sprawę, że syn jest zewnętrznie podobny do niego, gdy był w tym wieku. Zresztą nie tylko zewnętrznie. Nawet tak samo się porusza.

Równocześnie pomyślał, że zna go na tyle mało, iż właściwie nawet dobrze nie wie, jaki on jest. Kilkadziesiąt lat temu wyrobił sobie o nim zdanie, ale czy ono jest słuszne i na czym się opiera?

Nie potrafił sobie na to odpowiedzieć i nagle odczuł, że ten człowiek jest mu bliski.

– Mocną kawę pan pija? – zapytał Wiktor, uśmiechając się przyjaźnie.

– Taką dość mocną – odpowiedział.

Wiktor tymczasem stękając, wyciągnął z kąta stary kuchenny taboret i postawił go przy kanapie, mówiąc: – Muszę jeszcze kupić jakiś niewielki niski stoliczek.

Postawił na tak zaimprovizowanym stole filiżanki i z jakiejś szafeczki wyciągnął tabliczkę czekolady.

– Gorzka. Lubi pan? – zapytał z zadowoloną miną. – Bo ja bardzo – dodał, rozrywając opakowanie.

– Ja też – odrzekł Julian zgodnie z prawdą.

Wiktor połamał tabliczkę na mniejsze kawałki i położył na talerzyku. Następnie podszedł do kredensu, wyciągnął zeń jakąś butelkę i zapytał: – Może uczymy nasze spotkanie?

– A co to jest? – zapytał Julian niezdecydowany.

– Brandy – powiedział, podchodząc i pokazując butelkę z bliska.

– Jeden kieliszek mogę wypić – odpowiedział bez przekonania.

Wiktor postawił butelkę na taborecie i poszedł do szafki stojącej za sztalugą po przeciwległej stronie pracowni, wyjął dwa kieliszki, wrócił, postawił je na taborecie, na którym robiło już się ciasno, i nalał złotego trunku.

– No to za pana powodzenie – powiedział Julian i podniósł kieliszek. – To prócz Artura nikt tu pana nie odwiedza? – zapytał.

– Był raz ten właściciel sklepu, o którym wspomniałem, ale trudno to nazwać odwiedzinami, bo on raczej przyjechał zobaczyć obrazy, i raz była Edyta.

Przyjechała po coś do Krakowa i przy okazji wpadła zobaczyć, jak się urządziłem.

– Tylko raz?

– Niestety, i to na bardzo krótko – odparł z żalem. – Za to zaprosiła mnie do Kielc i właśnie w przyszłym tygodniu chcę się wybrać.

– To nie pozowała panu? – zapytał, udając zdziwienie.

– Proponowałem, ale powiedziała, że nie ma czasu.

– Może pan chciał, żeby pozowała do aktu, i dlatego się nie zgodziła?

– Nie, nie, absolutnie. Tak od razu przecież nie wypada wyskakiwać z taką propozycją. To nie taka kobieta...

– Tak czy inaczej, powinien pan mieć tu jakieś towarzystwo.

– Wie pan, w moim wieku coraz trudniej o nowe znajomości.

– A u Artura pan bywa?

– Byłem ze trzy razy.

– A jak zamierza pan spędzić święta? To przecież już niedługo...

– Na pierwszy dzień zaprosili mnie Artur i Renata, ale nie wiem, czy skorzystam, bo wydaje mi się, że to tylko taki grzecznościowy gest. A pan jak spędzi?

– Jak co roku, u rodziców... Może i pan przyjedzie? Zapraszam pana... I to nie jest gest grzecznościowy, tylko szczerze zapraszam.

– Nie chciałbym robić kłopotu.

– Żaden kłopot... Jedna osoba więcej to naprawdę żaden kłopot.

– Dziękuję, pomyślę, może to i lepsze niż Zadrożni.

– A gdzie jest ten sklep z obrazami? Chodzi mi o to, czy w jakimś dobrym punkcie? Bo przecież od tego zależy, czy uda mu się coś sprzedać...

– Tak, na Floriańskiej... To samo centrum.

– I tam jest parę pana obrazów?

– Trzy.

– Duży ten sklep?

– Taki w miarę spory... No, ma wielkość gdzieś taką jak ta pracownia.

– Cieszę się, że podejmuje pan jakieś starania, i mam nadzieję, że to przyniesie rezultaty.

W drodze powrotnej umysł Juliana cały czas zaprzętała myśl o sytuacji Wiktora, uważał bowiem, że kroki, które on podejmuje, nie są wystarczające do osiągnięcia sukcesu.

Postanowił nie przyglądać się biernie, zwłaszcza że czuł się za niego odpowiedzialny. Niestety, pomimo wysiłków nie przychodziła mu do głowy żadna skuteczna forma pomocy. Pomyślał jedynie, że w tej sprawie mogłaby mu doradzić Edyta Michałowska. Sięgnął po telefon i zadzwonił do niej.

Okazało się, że jest w Warszawie.

– Jak długo pani tam będzie? – zapytał.

– Jutro muszę wracać do Kielc.

– Pani Edyto, bo ja chciałem prosić o spotkanie...

– Bardzo proszę – odpowiedziała trochę niepewnie.

– A gdzie pani odpowiada? I kiedy, dziś czy jutro?

– Możemy nawet i dziś, tylko zaraz nie dam rady, chyba że to bardzo pilne, to wszystko rzucę i...

– Nie, nie – przerwał jej. – Może tak pod wieczór... O osiemnastej...

– O osiemnastej... jak najbardziej.

– To świetnie, ale gdzie?

– Możemy w pana pałacu?

– Cha, cha! Oczywiście, ale to już nie mój pałac, pani Edyto... To wobec tego do zobaczenia.

Wrócił do domu, zjadł drugi obiad i pojechał na spotkanie.

– Pani Edyto, przyjechałem prosić o radę – powiedział, gdy tylko usiedli w jego dawnym gabinecie.

– Bardzo proszę, ale widzę, że pan z góry zakłada, że potrafię...

– Właśnie wróciłem od Wiktora i martwię się o niego. Nie umiem ocenić wartości tych jego obrazów i nie jestem pewien, czy jest w stanie z tego wyżyć... Czuję się za niego odpowiedzialny i chciałbym mu pomóc, ale nie wiem jak.

– Ja tam kiedyś do niego wpadłam. Widziałam to wszystko i muszę przyznać, że nieźle maluje, ale problem tkwi chyba nie w malowaniu, tylko w tym, że u nas na malarstwo nie ma popytu.

– Właśnie tego się obawiam, ale nie wiem, co robić...

– Powinien zgłaszać swoje obrazy na aukcje internetowe za granicą... Jeszcze lepiej, jakby miał gdzieś, najlepiej we Francji, swojego marszanda.

– Rozumiem. Zaraz do niego zadzwonię i powiem mu, żeby zrobił zdjęcia wszystkich obrazów, ale co dalej? Z kim rozmawiać? Ma pani jakiś pomysł?

– Nasz krewny mieszka w Paryżu. Wieczorem zadzwonię do niego i go zapytam.

– Proszę mu powiedzieć, że gdyby to się wiązało z jakimiś kosztami, to ja zapłacę, bo naprawdę mi na tym zależy...

– Nie, nie, on na pewno żadnych pieniędzy nie weźmie, nawet nie można mu tego proponować.

– Rozumiem, ale gdyby trzeba było kogoś innego opłacić...

– Niech się pan nie martwi, panie Julianie, ja z nim porozmawiam i do pana zadzwonię.

– To świetnie, będę bardzo wdzięczny... A jak pani sprawy, pani Edyto?

– Wie pan, jest niedaleko szkoła podstawowa i gimnazjum. Rozmawiałam

niedawno z jej dyrektorem. Okazuje się, że oni mają problem, ponieważ z powodu niżu demograficznego jest za mało dzieci i szkole grozi likwidacja. Myślę więc, że gdyby w pałacu założyć dom dziecka, to te dzieci miałyby pod bokiem dobrą szkołę, a nauczyciele – pracę.

– Pani mnie zadziwia swoją pomysłowością – powiedział z uznaniem.

– Jest jeszcze jeden aspekt, mianowicie taki, że dla tych dzieci z domu dziecka byłoby wskazane, żeby wymieszać je z tymi normalnymi... Problem w tym, że potrzeba, żeby państwo dołożyło się do tego domu dziecka, bo ja nie chcę tego uruchamiać kosztem fundacji...

– Uważam, że w tak słusznej sprawie państwo powinno pomóc, zwłaszcza kiedy budynek jest za darmo.

– Tak się wydaje, ale ja już z tym byłam w warszawskich władzach zajmujących się polityką edukacyjną, w ministerstwie i wszyskim podoba się mój projekt, ale nikt nie chce kiwnąć palcem w tej sprawie.

– Jak to? Przecież to tylko przyklasnąć i działać.

– Cha, cha. Administracja to nie prywatne przedsiębiorstwo... – uśmiechnęła się z goryczą. – Tam rządzą zupełnie inne zasady.

– Ja tego nie rozumiem. Przecież logika wszędzie jest logiką...

– Nie w urzędzie, panie Julianie – powiedziała z ironicznym uśmiechem. – W urzędzie podstawa logiki jest taka, że każda nowa inicjatywa to dodatkowa robota dla urzędnika.

– Więc co oni pani mówią?

– Po pierwsze, że takie wydatki nie figurują w ich budżecie. Poza tym nie mam wykształcenia pedagogicznego, więc nie mogę prowadzić takiej placówki...

– Jak to?! – wykrzyknął z oburzeniem. – A jak ktoś nie jest lekarzem i jest dyrektorem szpitala? Przecież jest wiele takich przykładów.

– Ja nie wiem. Tylko powtarzam, co mi odpowiadają... W czasie ostatniej rozmowy, jak widzieli, że łatwo się mnie nie pozbędą, to kazali mi złożyć swoją propozycję na piśmie i powiedzieli, że odpowiedzą w ustawowym terminie.

– I złożyła pani?

– Oczywiście...

– I jaki jest ten ustawowy termin?

– Nie wiem... Chyba miesiąc. Ale z doświadczenia wiem, że za miesiąc nie będzie żadnej decyzji, tylko napiszą do mnie, że mam dostarczyć jakieś załączniki, później, że potrzebują dodatkowych wyjaśnień. To będzie się ciągnąć w nieskończoność.

– Od razu nie mogą powiedzieć o tych załącznikach?

– Nie, ponieważ oni muszą wpierw się z tym zapoznać...

– Przecież pani im mówiła...

– Tak, ale dla nich słowo mówione się nie liczy...

– I co pani zamierza?

– Kontynuować te starania, a jednocześnie szukać jakiegoś alternatywnego rozwiązania. Jak będę miała jakiś inny pomysł, to im podziękuję.

– Wie pani co!?! – wykrzyknął z podziwem. – Pani jest wspaniałym człowiekiem. Chyba mało jest ludzi, którzy robią tyle dobrego i nie zrażają się trudnościami... – na chwilę przerwał i dodał: – Muszę poruszyć ten temat w parlamencie. Taka postawa urzędników jest oburzająca... Ich należałoby sprywatyzować. Prywatny właściciel nauczyłby ich pracy.

– Panie Julianie. Błagam, niech pan tego nie robi – powiedziała pełna obaw.

– Dlaczego? – zapytał, uśmiechając się szyderczo.

– Niech pan tego nie robi. Bardzo pana proszę – powtórzyła z naciskiem.

– Ale dlaczego? – zapytał, śmiejąc się.

– Nie mogę powiedzieć.

– Niech się pani nie boi. Niech pani powie, bo zacznę podejrzewać nie wiadomo co.

– Bo będą się z pana śmiać i powiedzą, że pan zwariował.

– Cha, cha, cha! Pani Edyto, ja żartowałem, ale przecież wiadomo, że wszystko, co państwowe, jest niewydajne i kosztowne. To worek bez dna.

– Ma pan rację, ale na całym świecie tak jest.

– Owszem, ale czy pani wie, że gdyby te same czynności powierzyć prywatnej firmie, to byłoby to robione sprawniej i dużo taniej?

Rozmówczyni nic nie odpowiedziała, tylko się zamyśliła.

– To cóż, pani Edyto, do zobaczenia albo do usłyszenia...

– Do widzenia, panie Julianie... I niech się pan nie martwi o Wiktora, coś wymyślimy.

– Z góry dziękuję – powiedział, otwierając drzwi.

Szybko zbiegł po schodach i wszedł do samochodu.

– Jedziemy, Waldusiu, jedziemy do domu – powiedział z pośpiechem.

– Już się robi, panie prezesie – odpowiedział ochoczo i natychmiast uruchomił silnik.

Gdy Julian wszedł do domu, Małgorzata siedziała z jakimś podręcznikiem w dłoni i uczyła się, popijając kawę.

– No, już jestem, mój wzorze pracowitości – powiedział, zamykając drzwi.

Podszedł do niej ścisnął ją za ramiona i nachylając się nad nią, zaczął ją całować.

– To nie z pracowitości, tylko z nudów, bo cię nie ma i nie ma – odpowiedziała z uśmiechem, lecz Julian w jej tonie wyczuł lekki żal.

– To fakt. Miałem wolny dzień i nie poświęciłem ci ani godziny... – powiedział ze skruchą. – Za to jestem gotów całą noc ci poświęcić – dodał.

– Dziś nie. Dziś nie można...

Mówiąc to, delikatnie odepchnęła go od siebie, zamknęła książkę i wstała.
– To co robimy? Może pójdziemy na krótki spacer? – zapytał.
– Warto trochę się przejść – odpowiedziała z rezygnacją.
– Mówisz takim tonem, że chyba nie bardzo ci się chce...
– To nie to. Tylko pomyślałam, że rok temu postanowiliśmy biegać.
Kupiliśmy dresy, buty i biegaliśmy zaledwie kilka razy...
– Powiedzmy, że kilkanaście.
– Niech będzie, to i tak tyle co nic.
– Jeżeli sugerujesz, żeby się przebiec, to jestem gotów.
– No to biegniemy – odpowiedziała z dużo lepszym nastawieniem.

Kiedy wkładali buty, zadzwoniła pani Edyta i powiedziała, że już rozmawiała w sprawie Wiktora i jak najszybciej potrzebny jest katalog na płycie, wtedy znajomy zacznie w Paryżu szukać marszanda.

Uczestniczyli w sesji parlamentu. Tym razem było trochę mniej wzajemnych pretensji i szkalowania. Premier przekonywał wszystkich o konieczności obniżenia podatków.

Julian zgłosił chęć zabrania głosu, ponieważ nie zgadzał się z częścią poglądów premiera, a przeważnie broniły one interesu jego partii, nie brały też pod uwagę możliwości gospodarki.

Siedział, słuchając w skupieniu różnych wypowiedzi, i robił notatki.

Wreszcie przyszła jego kolej. Idąc, odczuwał lekkie wewnętrzne drżenie.

Stał przy trybunie. Był trochę stremowany, ale świadomość jego racji oraz dobrej znajomości tych zagadnień dodawała mu otuchy.

– Wysoka izbo! – zaczął swoje wystąpienie. – Pozwolę sobie zauważyć, że argument pana premiera, iż mniejsze podatki pobudzą gospodarkę, z ekonomicznego punktu widzenia jest słuszny. Nie wiem tylko, czy pan premier zdaje sobie sprawę, że ten wzrost nie nastąpi natychmiast po obniżeniu podatków, ponieważ tego typu mechanizmy działają z dużym opóźnieniem. Mówiąc prościej, po obniżeniu podatków czeka nas dość długi okres, w którym dochody państwa będą niższe niż obecnie. Według mojego szacunku potrwa to około roku. Tymczasem projekt przyszłorocznego budżetu nie przewiduje obniżenia wpływów do państwowej kasy.

Jest jeszcze jeden aspekt, którego nie wzięto pod uwagę, mianowicie zbyt niska ściągalność podatków.

Wysoka izbo! Polacy to zdolny naród! Niestety, te zdolności u wielu naszych rodaków poszły w kierunku unikania płacenia podatków. Powszechne zjawisko sztucznego podnoszenia kosztów prowadzi do tego, że wiele przedsiębiorstw nie przynosi zysków, w związku z czym ich właściciele nie płacą lub prawie nie płacą

podatku dochodowego, a władze fiskalne dla świętego spokoju udają, że tego nie widzą. Tymczasem właściciele tych nierentownych przedsiębiorstw jeżdżą drogimi luksusowymi samochodami, kupują jachty, ostatnio również samoloty, ich żony wyjeżdżają na paromiesięczne wakacje na Hawaje bądź w inne atrakcyjne i drogie miejsca, zabierając z sobą dzieci oraz cały dwór zajmujący się nimi, a fiskus nie widzi w tym niczego podejrzanego. Natomiast niekiedy z zadziwiającą gorliwością ściągane są podatki nienależne. Najwyraźniej wiedza i zdolności urzędników izb skarbowych drastycznie nie nadążają za rozwojem sytuacji.

Wysoka izbo! Nie chcę tu omawiać wszystkich sposobów sztucznego zawyżania kosztów, gdyż jest ich tak wiele, że znacznie przekroczyłyby to ramy czasowe. Zwłaszcza że pomysłowość ludzka jest nieograniczona i z pewnością za rok lub dwa będzie ich jeszcze więcej. Jednak żeby nie być gołosłownym, przytoczę jeden dość typowy sposób:

Możemy na przykład przyjąć do swojej firmy ludzi znających się na budownictwie i wykorzystać ich do budowy swojej prywatnej willi. Możemy również kupować na firmę większość materiałów potrzebnych do tej budowy. Te obciążenia finansowe spowodują, że firma nie będzie przynosić zysków – i o to właśnie chodzi. Tymczasem pomimo braku zysków osobisty majątek cwaniaka rośnie wraz z willą.

Prawda, że to proste? Aż dziwne, że specjaliści od fiskusa nie potrafią tego odkryć...

Przy okazji chciałbym zadać pytanie panu Ministrowi Nauki i Szkolnictwa Wyższego: Panie ministrze, czy w programie nauczania uczelni ekonomicznych jest choć jeden temat omawiający ten proceder i metody wykrywania go? Czy jakaś uczelnia kiedykolwiek zajmowała się badaniem tego zjawiska i czy choć raz był on tematem pracy doktorskiej? Czy programy nauczania nie powinny podążać za potrzebami kraju?

Zadziwiająca jest też bierność kolejnych rządów, które zachowują się, jakby ten problem w ogóle nie istniał. Nie ukrywam, mam nadzieję, że nowy gabinet przemysli moje uwagi. W razie potrzeby służę pomocą.

Jeszcze jednym polem do działania dla wszelkiego rodzaju cwaniaków są fundacje, które w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku pojawiały się jak grzyby po deszczu. Muszę tu zastrzec, że część fundacji jest prowadzona przez ludzi uczciwych, pragnących nieść pomoc biednym dzieciom, ofiarom nieszczęśliwych wypadków i innym potrzebującym. Sam mam przyjemność i zaszczyt znać jedną z takich i wierzę, że jest ich dużo. Niestety, zasady funkcjonowania tych w wielu przypadkach pożytecznych przedsiębiorstw są tak skonstruowane, że dają doskonałe pole działania dla rozmaitych kombinatorów, którzy pragną prędko się wzbogacić.

Dlatego uważam, że w parlamencie nie powinno się godzinami dyskutować

o tym, czy satyryk, który w telewizji parodiował prymasa, obraził uczucia religijne Polaków, czy nie, jak to miało miejsce na poprzedniej sesji, ponieważ jest to temat dla prokuratury, a nie dla parlamentu.

Byłoby też dobrze, gdyby posłowie nie wykorzystywali tej trybuny do publicznego rozprawiania się ze swoimi osobistymi wrogami albo przeciwnikami politycznymi. Jeżeli ktoś chce koniecznie to robić, to raczej powinien założyć prywatną gazetę i tam może to robić do woli, na własny koszt i odpowiedzialność, a nie w parlamencie za pieniądze polskich podatników. Natomiast parlament winien zajmować się tym, do czego jest powołany, to znaczy pracą nad ustawami. Nad dobrymi, przemyślanymi ustawami! Tego oczekują wyborcy!

Julian wracał na swoje miejsce zadowolony, że nareszcie miał okazję powiedzieć to, co myśli jego ojciec, mama i miliony Polaków. Był tak podekscytowany, że nawet nie słyszał krótkich komentarzy wypowiedianych przez posłów, koło których przechodził.

– Zapisalem się do głosu – szepnął Roman, jak tylko Julian wrócił na miejsce.

– Tak? Co chcesz powiedzieć?

– Bardzo mocno to powiedziałeś i na pewno zaraz będzie riposta ze strony różnych osób, którym się to nie podobało, więc odpowiem na ich zarzuty... Ale nic nie mów, bo już ktoś komentuje twoją wypowiedź.

– ...chciałam mówić na inny temat, ale ten młody człowiek zmusił mnie, żebym mu wyjaśniła pewne sprawy, których on nie rozumie – grzmiała chrypiącym głosem posłanka Młcisława Czarniecka z Partii Polskich Patriotów. – Otóż ten młody żółtodziób nie widzi, jak do naszej ojczyzny przyjeżdżają rozmaici Chińczycy lub Wietnamczycy, wykupują tereny, zakładają rozmaite przedsiębiorstwa i zostają zwolnieni z podatków. Polski przedsiębiorca nie ma najmniejszej szansy skutecznie konkurować z takimi inwestorami. Państwo dając takie przywileje przybyszom, którzy zjawiają się tu nie wiadomo skąd, zmusza rodzimych przedsiębiorców do kombinowania, jak to określił mój przedmówca. W ogóle to, co tu przed chwilą zostało powiedziane, to niczym niepotwierdzone insynuacje. Bez żadnych konkretów... Nie rozumiem, jak można tak oczerniać polskich przedsiębiorców, którzy są solą tej ziemi. Raczej należałoby się zająć wykupem naszej ziemi przez obcokrajowców i położyć tamę temu procederowi...

Zawiesiła głos, ciężko dysząc i zapewne obmyślając, jakby tu jeszcze zniszczyć, zdeptać swojego wroga. Machnięciem głowy usunęła z twarzy opadające rude włosy, wzięła w dłoń karafkę stojącą na trybunie, wlała do szklanki trochę wody, zaczerpnęła łyk, wychylając głowę daleko do tyłu, aż cała jej otyła postać wygięła się w pałąk, i powiedziała:

– Nie rozumiem, skąd w młodym wieku tyle tupetu! – po wypiciu wody głos posłanki stał się czystszy i mocniejszy, więc z jeszcze większą ochotą robiła zeń użytek. – Tyle śmiałości, żeby cały parlament pouczać... – przerwała, uśmiechnęła się z dobrotliwą miną i miłym głosem powiedziała, jakby zapominając o poprzednim wątku: – Ale to była tylko taka dygresja na początek, ponieważ nie o tym chciałam mówić. Mam do poruszenia znacznie ważniejszy temat. Otóż proszę szanownych posłanek i posłów, wpadł mi w ręce nowy podręcznik do seksuologii, z którego uczy się moja piętnastoletnia córka. Muszę przyznać, że byłam przerażona tematami, jakie tam są poruszane, i ich formą. To istna pornografia! – zawołała z egzaltacją. – Tam jest opisane, w jakich miejscach mężczyzna ma pieścić kobietę, żeby ją podniecić... Nie, proszę pań posłanek i panów posłów, człowiek skromny i religijny nie jest nawet w stanie o tym opowiadać... – mówiła z coraz większym oburzeniem. – To jest ohyda. Jak można dawać dzieciom do ręki coś takiego. To jest deprawacja młodego pokolenia... Już Mikołaj Rej napisał, że takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie.

Usłyszawszy ostatnie zdanie, Julian trącił Romana łokciem i szepnął:

– To wcale nie Rej, tylko Andrzej Frycz Modrzewski.

– Jesteś pewien? – zapytał Roman.

– Na sto procent – gdy to mówił, na jego twarzy pojawił się drwiący uśmiech.

Jeszcze kilka minut trwało oratorskie wystąpienie posłanki domagającej się wycofania seksuologii ze szkół albo przynajmniej zakazu używania gorszącego podręcznika.

Później wystąpił poseł Adam Parecki z Partii Ludowo-Demokratycznej. Mówił o sprawach gospodarczych, popierając przy tym Juliana i nawet dwukrotnie go cytując.

Potem zabrała głos posłanka Laurencja Nowogródzka ze Stronnictwa Obrońców Człowieka.

Mówiąc bardzo długo o gospodarce, nie szczędziła krytyki pod adresem dopiero co sformowanego rządu. Domagała się powołania komisji do spraw nauk biologicznych, ponieważ jej zdaniem niektórzy naukowcy prowadzą badania niezgodne z etyką. Szczególnie mocno akcentowała konieczność zaniechania wszelkich prób związanych z genetyką.

Koło godziny pierwszej po południu marszałek zarządził przerwę.

Gdy szli przez hol, podszedł do nich poseł z Partii Chrześcijańsko-Demokratycznej i zagadnął z przyjaznym uśmiechem:

– My się jeszcze nie znamy, jestem Honoriusz Drzewiecki... – przedstawił się, wyciągając do Romana i Juliana swoją miękką, wypielęgowaną jak u kobiety dłoń. – Mocno pan powiedział, ale słusznie. Jestem tego samego zdania co pan – dodał, zwracając się do Juliana chropowatym barytonem, zupełnie niepasującym do

niewielkiej, eterycznej postaci.

– Wiem, że powiedziałem mocno, ale te problemy ciągną się już trzydzieści parę lat i trudno spokojnie na to patrzeć... – wyjaśnił, chcąc się usprawiedliwić, i dodał: – Najbardziej drażni mnie to, że kolejne rządy zachowują się, jakby tego nie widziały.

– No właśnie, trzeba jakoś poruszyć tę skałę.

– Dobrze pan to określił – wtrącił Roman.

– To zależy, czy rząd skoncentruje się na sprawach najważniejszych, czy będzie rozpraszać swoją energię – dodał Julian.

– Ma pan rację, ale wie pan, rząd rządzi tak, jak opozycja pozwala.

– Jeżeli ma się rację, to nie ma sensu się za bardzo przejmować opozycją – odpowiedział Julian i dodał: – Im przecież chodzi właśnie o to, żeby wciągnąć rząd w te bezsensowne utarczki.

– To prawda, miejmy nadzieję, że tym razem tak nie będzie... – powiedział, robiąc krok do tyłu. – Przepraszam, ale czekają na mnie koledzy... Miło było panów poznać i gratuluję – dodał z uśmiechem, skinął na pożegnanie głową i odszedł.

– Stałeś tyłem, to nie widziałeś – powiedział Roman po odejściu rozmówcy. – Jak rozmawialiśmy, to przechodziła czcigodna posłanka Czarniecka i triumfalnie się uśmiechała.

– Grunt to dobre samopoczucie – odpowiedział Julian.

– Zobaczymy, kto będzie się śmiać ostatni.

Poszli do bufetu, zjedli coś niecoś, wypili kawę i wrócili na salę.

Pierwszy zabrał głos poseł Godzisław Wrak ze Stronnictwa Obrońców Człowieka, domagając się, żeby wprowadzić do szkół podstawowych lekcje etyki.

Później mówiła posłanka Anna Paciorek z Partii Chrześcijańsko-Demokratycznej i przekonywała, że lekcje etyki są niepotrzebne, gdyż tę funkcję doskonale spełniają lekcje religii.

Wreszcie przysła kolej na Romana Dworaka.

– Byłem zbulwersowany, słuchając wypowiedzi posłanki Młcisławy Czarnieckiej – zaczął Roman, spoglądając zza trybuny na Juliana, jakby szukał jego akceptacji. – Kto u nas uczciwie płaci podatki? Emeryci i normalni zwykli ludzie, zatrudnieni na podrzędnych stanowiskach. Tylko te dwie grupy nie mają żadnej możliwości wymigania się od podatku. Reszta kombinuje, żeby nie płacić albo płacić mniej – i oto parlamentarzystka z trybuny staje w ich obronie.

Jeśli chodzi o inwestorów zagranicznych, to wypadaloby wiedzieć, pani posłanko, że wszystkie kraje rozwijające się stosują ulgi dla takich inwestorów. Gdyby u nas nie było ulg, ci inwestorzy poszliby inwestować w Turcji, Bułgarii, Macedonii, Czechach, Rumunii i w kilkunastu innych krajach. Wtedy tamte kraje by się rozwijały, a my dreptalibyśmy w miejscu, mielibyśmy inflację i dwa miliony

bezrobotnych.

Ponieważ drażni panią, że oni kupują polską ziemię, to chcę panią zapewnić, że oni tej ziemi nie załadują na statki i nie wywiozą do swoich krajów. Ta ziemia nadal tu będzie i oni będą na niej gospodarować zgodnie z naszymi przepisami... Poza tym pani może kupić sobie dom i ziemię w innym kraju. Tak powinno być w cywilizowanym świecie. Na tym polega wzajemna współpraca.

Jeśli chodzi o podręcznik do seksuologii to wygląda na to, że proponuje pani powrót do stosunkowo niedawnych czasów, kiedy nie było takich podręczników i starsza młodzież edukowała młodszą, przeważnie bez kontroli rodziców, a już na pewno poza jakąkolwiek kontrolą władz oświatowych. To dopiero była edukacja jak się patrzy... I pani chce do tego wrócić. Gratuluję!

W tym momencie na sali obrad wybuchły śmiechy. Roman rozejrzał się dokoła, uśmiechnął się z zadowoleniem i powiedział:

– Na zakończenie chciałem jeszcze tylko powiedzieć, że „Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie...” powiedział, a właściwie napisał Andrzej Frycz Modrzewski, a nie Mikołaj Rej.

W sektorach Partii Ludowo Demokratycznej oraz Liberalnej rozległy się oklaski.

Roman zadowolony wrócił na miejsce.

– Wiem, że nienajlepiej mi to poszło, ale mam nadzieję, że się wyrobię – powiedział szeptem do Juliana, gdy tylko przy nim usiadł.

– Uważam, że jak na pierwszy raz było bardzo dobrze... – pocieszył go Julian. – Zwiążle i rzeczowo, ale mimo to jest coś, co mi się w tym wszystkim nie podoba... – dodał wyraźnie zmartwiony.

– Co?

– Później ci powiem.

Gdy po zakończeniu obrad wyszli na hol, obiegła ich grupa dziennikarzy. Jeden przez drugiego zadawali pytania. Jakaś dziennikarka, której twarzy nie znał, koniecznie chciała wiedzieć, skąd ma takie informacje i skoro o tym wiedział, to dlaczego nie zawiadomił o tym prokuratury.

– Proszę pani – odpowiedział trochę zdenerwowany. – Cała Polska o tym wie, każdy kolejny rząd. Pani również wie, więc dlaczego nie zawiadamia pani prokuratury?

– A dlaczego pan uważa, że ja wiem?

– Bo każdy głupi wie o tym, a pani na głupią nie wygląda... Poza tym to nie jest temat do rozmowy na korytarzu.

– To może się umówimy na wywiad z panem?

– Nie, ponieważ pani nie znam – odpowiedział krótko, chcąc uciąć rozmowę.

- To pan poseł boi się nieznajomych?
 - Ja się nie boję, ale wiem, że niektórzy dziennikarze bardzo mocno się angażują w jakąś opcję polityczną i brak im obiektywizmu.
 - To pan poseł mnie o to podejrzewa? – nadal dociekała dość natarczywie.
 - Ja pani nie podejrzewam, ale nie znam pani.
- Uznał rozmowę za zakończoną i poszedł dalej.
- ***

Wyszli na parking, a dziennikarze zostali w gmachu. Korzystając z większej swobody, Roman trochę niepewnie zapytał:

- To możesz teraz powiedzieć, co ci się nie podobało?
- Nie podoba mi się, że tak łatwo daliśmy się wciągnąć w te pyskówki. W ten sposób zrównaliśmy się z nimi pod względem poziomu – powiedział z goryczą i dodał: – A od samego początku chciałem tego uniknąć. Moje wystąpienie było za ostre, a twoje w ogóle niepotrzebne... Ale trudno, moja wina.
- Pewnie, że byłoby przyjemniej, gdyby tam nie było tej atmosfery ciągłej walki, ale skoro jest, jak jest, to łagodnością z tymi zadufanymi w sobie doktrynerami nic nie zrobisz... – spokojnie powiedział Roman.
- He. Doktrynerami, bardzo łagodnie powiedziane. To są zawzięci idioci – podsumował Julian ze złością.
- A dlaczego nie chciałeś z nimi rozmawiać?
- Bo mam nadzieję, że ktoś z rządu będzie chciał ze mną rozmawiać, więc uważam, że im należy się pierwszeństwo, nie dziennikarzom... Przecież zaproponowałem im pomoc.

Akurat dojeżdżał do domu, kiedy zadzwoniła Edyta i zapytała, jak wygląda sprawa z katalogiem Wiktora, ponieważ znajomy nie czekał i już znalazł marszanda, który jest zainteresowany współpracą.

- Myślę, że już Wiktor to zrobił. Wieczorem zadzwonię do niego i go zapytam, a jeśli nie zrobił, to go pogonię i po rozmowie z nim oddzwonię do pani, pani Edyto – wyjaśnił.

– Wiesz, bałem się wracać do domu – powiedział ze skruszoną miną, gdy tylko Małgorzata otworzyła mu drzwi.

- Tak? Dlaczego?
- Boję się, że nakrzyczysz na mnie, że za późno wracam...
- A czy ja kiedykolwiek na ciebie nakrzyczałam?
- Nie, i między innymi za to cię kocham, ale wiem, że spędzam z tobą za

mało czasu.

– To prawda, ale to ma i dobre strony – mam więcej czasu na naukę. Gdybyś więcej siedział w domu, na pewno mniej bym się uczyła.

– Moja kochana Gosieńka – powiedziawszy to, objął ją i zaczął całować.

– Martwię się tylko, że to ponad twoje siły i że mogą się powtarzać te kłopoty co wtedy w Łodzi... Byłoby bardzo niedobrze...

– Wiem, uprzedziłem Romana. W razie czego on mi pomoże... – powiedział z pogodnym uśmiechem. – A w ogóle to oni nas zapraszają na sobotę do siebie do domu.

– Tak? Świetnie, trochę się rozerwiemy. Obojgu nam się to przyda. Muszę przyznać, że nawet ich polubiłam – odpowiedziała zadowolona. – Ale teraz mnie puść, to zrobię obiad... Właściwie to nie wiem nawet, jak to nazwać, bo pora taka raczej bliżej kolacji – to powiedziawszy, odepchnęła go delikatnie od siebie i poszła do kuchni.

– Nazwijmy to obiadokolacją – zaproponował i usiadł na kanapie, gdzie leżał podręcznik do neurochirurgii. Wziął go w dłoń i bezwiednie zaczął przeglądać. Książka sama mu się otworzyła w miejscu, gdzie rozpoczynał się rozdział o encefalopatii pourazowej. Domyślił się, że dotyczy to powikłań po urazach mózgu. Zrozumiał także, że Małgorzata musiała wiele razy otwierać podręcznik w tym miejscu. Żał mu się jej zrobiło, gdyż uzmysłowił sobie, że martwi się o jego stan zdrowia.

Siedział jakiś czas, nic nie mówiąc, i patrzył na krzątającą się w kuchni Gosię. Cieszył się, że los był dla niego tak łaskawy i są razem.

Wstał, wszedł do kuchni i stanął tuż za Małgosią. Przełożył ręce pod jej pachami, objął jej tułów tuż pod biustem i mocno przycisnął do siebie.

– Małgosiu, moja Małgosiu, ja cię tak kocham, bardzo cię kocham – powiedział, ściskając ją z całych sił.

Małgorzata odchyliła głowę do tyłu i mocno przycisnęła policzek do jego ust.

– Wiesz co? – szepnął jej do ucha. – Myślę, że najwyższy czas, żebyśmy ustalili termin naszego ślubu.

Obróciła się przodem do niego, zarzuciła mu ręce na szyję, mocno pocałowała w usta i powiedziała:

– No to ustalajmy.

– Na wiosnę? – zapytał niepewnie.

– Na wiosnę – odpowiedziała bez namysłu.

– To ja jutro podzwonię i się dowiaduję.

– Ale zaraz... O co chcesz się dowiadywać? Trzeba wpierw ustalić, gdzie to ma się odbyć i tak dalej. Juluś, kochany... Ślub to nie kupno samochodu. Ty o wszystkim tak szybko decydujesz, ale tu się tak nie da. Gdzie to ma być?

W Warszawie czy w Łodzi? – pytała, uśmiechając się pobłaźliwie.

– A może gdzieś dalej? Może w Paryżu? – zaproponował bez namysłu. – Albo gdzieś w górach w jakimś pięknym miejscu?

– Musimy się zastanowić. Tak się nie da... Dajmy sobie na to parę dni.

– Masz rację. Będę myśleć, a ty też myśl.

Wrócił do pokoju, usiadł na kanapie i chwilę siedział beczynnie, lecz za moment przypomniało mu się, że miał dzwonić do Wiktora. Wyjął więc z kieszeni telefon i zadzwonił.

Wiktor mówił niewyraźnie i nielogicznie. Julian domyślił się, że jest pijany. Na pytanie nie odpowiedział wprost, ale jasne było, że nie załatwił sprawy, mimo że minęło kilka dni. Zdenerwowało go to. Przypomniało mu się, że zawsze tak było, od czasu do czasu przychodził okres, w którym pił i nie nadawał się ani do pracy, ani do rozmowy. W skrajnych przypadkach trwało to parę miesięcy.

Teraz przerwa między nawrotami trwała wyjątkowo długo i Julian miał nadzieję, że śmierć matki pomogła mu się z tego otrząsnąć, ale okazało się, że były to płonne nadzieje.

Zaczął się zastanawiać, czy pojechać jutro do Krakowa i próbować ustawić go do pionu, czy poczekać, aż mu bieda dokuczy, a wtedy wszystko samo wróci do normy.

Siedział i nie mógł się zdecydować.

– Co Juluś, coś nie tak? – zapytała Małgorzata.

Opowiedział jej wszystko.

– Wiesz, na ogół tego typu alkoholicy piją, póki mają pieniądze. Jak wszystko przepiją, to przychodzi opamiętanie – powiedziała ze smutkiem. – Ale może w jego przypadku jest łagodniejszy przebieg.

– Nie wiem... Poza tym nie mam pojęcia, ile on ma pieniędzy – powiedział z rezygnacją.

– Po pierwsze, trzeba go namówić, żeby się przyłączył do grupy Anonimowych Alkoholików.

– Nie wiem, ja się nie podejmę... Tymczasem muszę zadzwonić do pani Edyty i odwołać całą sprawę.

– Co odwołać?

Opowiedział jej krótko historię z marszandem w Paryżu i wziął do ręki telefon.

– Dzwonię ze złymi wiadomościami – zakomunikował bez żadnych wstępów i opisał całą sytuację.

– To przykre, ale nie można go z tym zostawić, trzeba mu jakoś pomóc... – odpowiedziała Edyta ze smutkiem.

– Ale jak? Mi już ręce opadają, ja nie mogę ciągle się nim zajmować... Przecież pracuję... Poza tym mam obrady w parlamencie i piszę doktorat –

powiedział, nie ukrywając złości.

– Przecież nie musi pan tego robić osobiście – powiedziała spokojnie. – Ja jutro do niego pojadę.

– Pani? – powiedział zdziwiony.

– Ja. On mnie posłucha – odrzekła ze stanowczością w głosie.

– Akurat – odpowiedział z lekceważeniem.

– Pana zna dawno i nie wstydzi się pana, a ze mną będzie się liczyć.

– Ale przecież pani też nie może się nim zajmować. On jest dorosły, a że jest głupi...

– Ja mu pomogę – przerwała mu. – Jest przecież inteligentnym i dobrym człowiekiem, tylko słabym...

– Pani Edyto, ale on po pijanemu może się w stosunku do pani źle zachować.

– Wiem, dlatego muszę tam być wcześniej rano, zanim coś wypije.

– Nie wiem, czy powinienem się na to godzić...

– Panie Julianie, jestem dorosła i sama podejmuję decyzje – powiedziała delikatnie, ale stanowczo.

– No tak, ale...

– Panie Julianie, żadne ale. Decyzja jest podjęta i jutro jadę.

– Uff. Poddaję się. Twarda sztuka z pani – powiedział ze śmiechem i jednocześnie z podziwem.

– Obrotna ta pani Edyta – zauważyła Małgorzata, gdy Julian się wyłączył.

– Bardzo i myślę, że on może jej posłuchać, bo ona mu się podoba i uważam, że zależy mu na niej...

– Tylko, czy ona się nie pakuje w jakąś toksyczną znajomość?

– Więc dobrze, powinna go poznać od tej gorszej strony. Jak się wpakuje, to zrobi to świadomie.

– A ile ona ma lat?

– Ze trzydzieści parę.

– To już wie, co robi.

– A on?

– Niecałe czterdzieści... Ale wiesz, zamiast o nich debatować, to może pobiegamy?

– Ja chętnie.

Z samego rana zaraz po wyjściu z łazienki włączył radio. Akurat nadawali wiadomości i mówili o jego wystąpieniu. Oczywiście, nie zadowolili się czystą informacją o tym, co było, tylko jak przystało na dziennikarzy, usiłovali przewidzieć, jak sprawy potoczą się dalej.

– O, mówią o tobie – szepnęła Małgorzata, przerywając poranne czynności.

Chwilę słuchali. Kiedy w radiu zmienili temat, Małgorzata stwierdziła dowcipnie, z lekką domieszką drwiny:

– To teraz musisz być ostrożny, bo nie będziesz mógł się opędzić od dziennikarzy.

– Nie jestem dla nich dobrym obiektem – stwierdził krótko.

– Dlaczego?

– Dla nich najlepszym tematem jest spotkanie dwóch ekstremistów z przeciwnych obozów. Wtedy jest szansa, że się będą kłócić, ubliżać sobie, a najlepiej byłoby, jakby się pobili... Z tego powodu ciągle organizują takie spektakle. Nic to nie kosztuje, a widzowie chętnie to oglądają.

– Media muszą czymś się żywić, dlatego powiedziałam, żebyś uważał... A tak na serio, to ty mewasz trochę skrajne poglądy, więc rzeczywiście uważaj.

– Wiem, wiem. Już wczoraj przekonałem się o tym. Powiedziałem dość dosadnie i niektórzy się oburzyli, ale część była po mojej stronie, więc chyba nie jest źle.

Przed rozpoczęciem obrad podszedł do Juliana poseł Honoriusz Drzewiecki z Partii Chrześcijańsko-Demokratycznej i po krótkiej wymianie zwyczajowych grzeczności powiedział, że premier jest bardzo zainteresowany jego uwagami.

– Miło mi. I co za tym idzie? – odrzekł Julian, podejrzewając, że pan Honoriusz ma coś do przekazania.

– Cóż, mamy bardzo zbieżne poglądy na wiele spraw – odrzekł dyplomatycznie.

– Przepraszam. Mówiąc „mamy”, ma pan na myśli siebie i mnie, czy swoją partię i mnie, a właściwie nas, bo jest nas dwóch, jak pan widzi.

– Moja partia i ja to jedno – wyjaśnił tyle śmiesznie, co patetycznie.

– Z grubsza znam poglądy Partii Chrześcijańsko-Demokratycznej.

– Przepraszam, a czy zgadza się pan z nimi? – zapytał z przymilnym uśmiechem.

– Czasem tak, czasem nie, ale jestem gotów dyskutować na temat różnic.

– Więc zapraszam panów do naszego klubu poselskiego... Porozmawialibyśmy i może podjęlibyśmy jakąś współpracę – zaproponował, uśmiechając się od ucha, do ucha.

– Jak, Romanie, zajrzymy do panów? – zapytał Julian, licząc na twierdzącą odpowiedź.

– Nie wiem, czemu miałyby służyć to spotkanie... Jeżeli w celach towarzyskich, to zawsze można się spotkać.

Julian się uśmiechnął, odkrywając w Romanie zdolności dyplomatyczne. Równocześnie pomyślał, że zrobił doskonały wybór, właśnie jemu proponując

wspólny udział w wyborach.

Honoriusz Drzewiecki chwilę się zawahał, zapewne nie spodziewając się takiego postawienia sprawy, i odpowiedział z cwaniackim uśmiechem:

– W celach towarzyskich zawsze warto się spotkać, bo przecież na kontaktach interpersonalnych opiera cały rozwój społeczeństw.

– Mądrze powiedziane – odrzekł Julian z przesadnym podziwem. – To kiedy pan proponuje?

– Jeśli panowie nie mają innych planów, to może dziś podczas przerwy obiadowej... Skonsumujemy obiad i podyskutujemy.

– Dziękujemy, to do zobaczenia – odpowiedział Julian.

– Jak myślisz, o co im chodzi? – zapytał Romana, gdy tylko poseł się oddalił.

– Wiesz, oni mają rząd mniejszościowy... Brakuje im w parlamencie pięciu głosów, więc za wszelką cenę szukają wsparcia takich jak my, luzaków... Na pewno nie tylko w stosunku do nas prowadzą takie podchody.

– Pewno tak, ale myślę, że dla samej ciekawości warto się spotkać.

– Jasne.

Weszli do sporej sali, w której stał olbrzymi stół w kształcie litery „U”. Siedziały przy nim dwie osoby, które znali z telewizji: Julia Jagóra – wiceprezes partii – i Wacław Domański – szef klubu parlamentarnego.

– Serdecznie witamy! – zawołała Julia Jagóra, natychmiast wstała i skierowała się do gości. Równocześnie wstał szef klubu i podążył za panią prezes.

Pani prezes okazała się dużo wyższa i chudsza, niż Julian sobie wyobrażał, widując ją w telewizji. Miała na sobie szarą garsonkę z dość krótką spódnicą, mocno eksponującą jej chude i krzywe nogi. Jej sylwetka znacznie kontrastowała z łysym, grubym i niskim prezesem idącym tuż za nią.

Pani prezes przywitała się z gośćmi i przedstawiła szefa klubu.

Gdy się witali otworzyły się drzwi i wszedł już wcześniej poznany Honoriusz Drzewiecki i jeszcze jeden mężczyzna, którego Julian widywał w telewizorze, ale nie mógł sobie przypomnieć jego nazwiska i funkcji.

Po chwili okazało się, że jest to Miłosz Zdziorny, członek partii.

– Myślę, że może przeslibyśmy do mojego pokoju. Tam będzie zaciszniej i nikt nie będzie przeszkadzać – zaproponowała pani prezes.

Pokój pani prezes rzeczywiście lepiej nadawał się do kameralnego spotkania.

– To co, panowie? – powiedziała, gdy siadali przy owalnym stole. – Zjemy sobie obiad?

Nie widząc protestu, gospodyni położyła na stole wcześniej przygotowane cztery karty z jadłospisem i zachęcała gości, aby każdy coś sobie z nich wybrał.

Następnie zadzwoniła po swoich asystentów i poprosiła, żeby zajęli się dostarczeniem wybranych dań.

– Cóż, panowie – powiedziała, po wyjściu asystentów. – Podstawowe potrzeby mamy zabezpieczone, więc teraz możemy się poświęcić bardziej wzniosłym sprawom. Cieszę się, że nas panowie odwiedzili – skłoniła się do Juliana i Romana. – Panowie są posłami niezależnymi? Nie myślę się? – Julian i Roman uśmiechając się, skinęli głowami, a pani prezes mówiła dalej. – Myślę, że możemy to spotkanie traktować jako zapoznawcze, mimo że już trochę się znamy, ponieważ nasz kolega partyjny dwukrotnie z panami rozmawiał... Poza tym znamy się już trochę z wystąpień przed trybuną. Należy tu nadmienić, że wystąpienie pana posła Podhoreckiego zrobiło na panu premierze i na nas duże wrażenie. W tym miejscu chciałabym w imieniu pana premiera przeprosić panów za nieobecność pana premiera, ale już wcześniej miał umówione inne spotkanie i nie mógł go odwołać. Muszę tu przytoczyć słowa pana premiera: „Podobała mi się precyzja i zwięzłość tej wypowiedzi i niewątpliwie znajomość tematu”. A tak od siebie chciałabym zapytać – powiedziała trochę mniej oficjalnym tonem. – Oczywiście, jeśli można... Czy panowie są ekonomistami?

– Ja jestem ekonomistą, właśnie robię doktorat, a pan Roman jest prawnikiem.

– O to, wspaniale, panowie mogą bardzo dużo zdziałać w parlamencie... – powiedziała z patosem. – A czy można zapytać, na jaki temat pan pisze?

– Rozwarstwienie materialne społeczeństwa jako determinant możliwości powstania kryzysu gospodarczego – wyjaśnił Julian.

– O, to bardzo ciekawy temat... A kiedy chciałby pan skończyć?

– Mam nadzieję, że mniej więcej za półtora roku. Chciałbym szybciej, ale nie wiem, czy dam radę...

– O, to i tak całkiem niedługo, to nie minie nawet pół kadencji... Ale ja tak mówię i mówię, a tymczasem może panowie chcieliby coś powiedzieć.

– Co byśmy mogli powiedzieć... – odezwał się Roman. – Jesteśmy tu nowicjuszami, zapoznajemy się ze wszystkim, nawiązujemy znajomości i uczymy się. Mamy nadzieję, że wniesiemy tu coś od siebie.

– Ale jak na nowicjuszy to wspaniale panowie dają sobie radę, naprawdę doskonale. Przecież często mija parę miesięcy, nim nowy poseł zdecyduje się zabrać głos – zauważył z uśmiechem poseł Zdziorny. – Posłanka Czarniecka długo panów nie zapomni.

– Właśnie wczoraj z kolegą rozmawialiśmy, że chyba poszliśmy trochę za ostro jak na pierwszy raz – odpowiedział Roman.

– Ee, nie ma się czym przejmować – pocieszył poseł Zdziorny. – Uważam, że przeciwnie, to było bardzo dobre wejście.

– Oczywiście, ja nawet pomyślałem, że przydaliby się nam tacy ludzie... –

powiedział szef klubu Wacław Domański, który do tej pory nie zabierał głosu. – A może zawrzemy z panami jakąś małą koalicję? – mówiąc to, uśmiechnął się tak szeroko, że aż jego i tak okrągła twarz zrobiła się jeszcze bardziej okrągła.

– Nie wiem... Prawdę mówiąc, nigdy o tym nie myśleliśmy. To zależy, czy program Partii Chrześcijańsko-Demokratycznej okaże się zbieżny z naszymi poglądami – wyjaśnił Julian.

– No jak to? Podstawa naszego programu to rozwój gospodarczy, tworzenie prostych, zrozumiałych dla każdego przepisów i ochrona najsłabszych... Oczywiście, w ramach ustawy zasadniczej – wyrecytował poseł Domański jak uczeń dobrze wyuczoną lekcję.

– Tak, tylko do tej pory wszystkie rządy w większym lub mniejszym stopniu mieszały do gospodarki ideologię... Obsadzały stanowiska ludźmi obciążonymi jakąś ideologią. Mało tego, forsowały ustawy wygodne dla swoich partii, nie zawsze korzystne dla gospodarki. Ja mam na to szereg przykładów. Nie będę ich teraz przedstawiać, bo musielibyśmy tu siedzieć do wieczora, zresztą nie o to w tej chwili chodzi... Oczywiście, nie twierdzę z góry, że Partia Chrześcijańsko-Demokratyczna też będzie uprawiała taką politykę, ale my nie zamierzamy popierać w ciemno żadnej polityki.

– No właśnie! Właśnie! – zawołał poseł Domański, podnosząc do góry obie dłonie z rozczapierzonymi palcami i wymachując nimi dla dodania wagi temu, co mówi. – Dlatego twierdzę, że takich ludzi nam trzeba.

– Proszę państwa – odpowiedział Julian. – To dopiero początek kadencji. Lepiej się poznamy, to zobaczymy. My znamy państwa program z okresu, kiedy byliście partią opozycyjną. Nie wiemy, czy wystarczy wam determinacji, żeby go forsować. Możemy w tej chwili jedynie zapewnić, że nie będziemy bierni, nie będziemy rzucać wam kłód pod nogi i będziemy popierać każdą propozycję, która według nas jest słuszna... Z góry mogę powiedzieć, że obniżenia podatków nie poprzemy, póki nie podejmiecie skutecznych kroków w kierunku poprawy ich ściągalności... Równocześnie zapewniam, że nie jesteśmy opozycją i nie zamierzamy zwalczać was za wszelką cenę... Myślę, że ta deklaracja jak na początek jest dobra dla państwa partii.

– Oczywiście, to, co pan powiedział, przyjmujemy z wielką uwagą, ponieważ doceniamy wszystkie panów sugestie i zapraszamy was do współpracy... – zapewniła pani Julia Jagóra.

– My bardzo doceniamy panów wiedzę i doświadczenie – wtrącił szef klubu. – I tak sobie myślę, że może zgodzilibyście się przychodzić na posiedzenia naszego klubu?

– Może... – odpowiedział Julian, nie chcąc kategorycznie odmawiać.

– Ja nie mogę nic na własną rękę obiecywać bez porozumienia z premierem, ale może interesowałyby panów jakieś państwowe stanowiska... – trochę nieśmiało

zapropowała pani prezes. – Ja wiem, że panowie mają swoją pracę, ale może dałoby się to pogodzić...

– Nie, nie... W ten sposób nie wywiązałbym się dobrze ani tu, ani tam – odrzekł Julian bez namysłu.

Przywieziono na wózkę obiady. Był to dobry moment, ponieważ temat rozmowy się akurat wyczerpał.

Jedli, rozmawiając o sprawach niezwiązanych z gospodarką ani polityką. Raczej próbowali rozluźnić atmosferę ogólnymi uwagami albo dowcipami, do których jak się okazało, największy talent miał szef klubu parlamentarnego Wacław Domański.

Po obiedzie poszli na salę obrad, gdyż zbliżała się już godzina ich rozpoczęcia.

– Ale ten Domański ma talent do kawałów – powiedział Roman, gdy już siedzieli na miejscach i czekali na rozpoczęcie obrad.

– Nie na darmo został szefem klubu – zauważył Julian z uśmiechem.

Telefon dał znać, że przyszła rozmowa, której jednak nie odebrał, ale zobaczywszy, że była to Edyta, domyślił się, że chodzi o Wiktora. Wyszedł na hol i zadzwonił.

Okazało się, iż zrobiła zdjęcia obrazów i przywiozła Wiktora do Warszawy.

– A co się stało? – zapytał zaniepokojony.

– Doszłam do wniosku, że jak go tam zostawić, to będzie pił i pił.

– A tu nie?

– Tu można go pilnować. Poza tym mam nadzieję, że tu będzie się mnie wstydzic i może się pohamuje.

– Może. Ale to dla pani kłopot...

– Najważniejsze, żeby go z tego wyciągnąć.

– I długo ten eksperyment ma trwać? – zapytał trochę zniecierpliwiony.

– Pan nie wierzy?

– W co?

– Że to się uda...

– Nie bardzo. Przecież pan Jurski kilkanaście lat z tym walczył.

– Pan Jurski machnął ręką i uznał, że szkoda czasu.

– On to pani mówił?

– Nie. Ale jestem pewna, że pan Jurski nie miał na to czasu.

– Jeszcze była pani Jurska.

– Tylko że sama piła.

– Widzę, że pani dużo wie...

– Mało, ale to akurat wiem... A dlaczego patrzy pan na to tak sceptycznie?

– To nie sceptycyzm i nie jestem przeciwny, tylko szkoda mi pani. Martwię się o panią. Boję się, że za bardzo się pani w to zaangażuje... – mówił szczerze

zmartwiony. – Ja wtedy nie potrafię pani pomóc.

– Panie Julianie, niech się pan nie martwi, wiem, co robię.

Był zmęczony, więc postanowił pojechać do domu.

Nadał wiadomość do Romana, uprzedzając go, że nie wraca na salę, i poszedł do samochodu.

Gdy wrócił, Małgorzata już była i robiła obiad.

– O, świetnie. Co tak wcześniej? – zapytał ucieszony.

– Wcześniej? Dla mnie to prawie normalnie. Ty wcześniej.

– Doskonale. Wobec tego trzeba to jakoś wykorzystać... Co proponujesz?

– Może pobiegamy? A może do kina?

– Wszędzie możemy, bo wszędzie mamy zaległości... U Edwarda też dawno nie byliśmy.

– To decyduj. Mnie wszystko jedno.

Podczas obiadu wpadł na pomysł, żeby pokazać Małgorzacie pałac Jurskich i zapoznać ją z Edytą i Wiktorem. Chętnie się zgodziła, gdyż znała ich z opowiadań i była ciekawa, jacy są naprawdę. Pałacu też nie widziała.

Kiedy jedli obiad, zadzwonił Roman i zapytał, czy jest już w domu i czy wszystko jest w porządku.

– Tak, wszystko w porządku i jestem w domu... – uspokoił go i dodał: – Ale dziękuję ci, że o mnie pamiętasz. – A, i jeszcze jedno... Może jutro spotkamy się pół godziny przed obradami?

– Nie ma problemu... Ale gdzie?

– Umówmy się, że kto przyjedzie pierwszy, to poczeka w samochodzie.

– Oczywiście.

Pojechali bez uprzedzenia. Gdy przyjechali, Edyta i Wiktor siedzieli w dawnym gabinecie pana Jurskiego, późniejszym Juliana, i rozmawiali.

Ucieszyli się oboje, gdy Julian stanął nagle w drzwiach z nieznaną młodą kobietą, oczywiście domyślili się, że to Małgorzata.

– Może ja zaraz zorganizuję coś do picia... – zaproponowała nieco zakłopotana Edyta zaraz po przywitaniu.

– Nie, nie. My tylko tak posiedzimy trochę i pojedziemy – powiedział Julian, widząc skrepowanie Edyty. – Ja specjalnie nie uprzedzałem, żeby pani się nie szykowała na nasz przyjazd. Naprawdę, porozmawiamy trochę i pojedziemy...

– Ale panie Julianie, zrobienie herbaty albo kawy to żaden kłopot, znajdzie się też coś słodkiego – powiedziała, robiąc dwa kroki w kierunku drzwi.

– Naprawdę dziękujemy, niech pani siada – powiedział stanowczo.

– Panie Julianie, ja się będę głupio czuła – nie dawała za wygraną.

– Trudno, poddajemy się – powiedział, uśmiechając się pojednawczo,

i spojrzął na Wiktora, wyprężonego prawie na baczność.

Edyta wyjęła czajnik z nieoszlonej części biblioteki i wyszła po wodę, prosząc, by usiedli.

– Jak, panie Wiktorze? Widzę, że nasza znajoma wzięła się za pana – zażartował Julian, siadając obok Małgorzaty.

– Nie ma pan pojęcia, jak jestem wdzięczny. Ja nie potrafię być sam... – tłumaczył się zawstydzony.

– Tak, tylko że to pan powinien się nią opiekować, a nie ona panem.

– Cha, tylko żeby ona tego chciała...

– A robił pan o to jakieś starania?

– Oczywiście – zapewnił ochoczo.

– Pewno nieudolnie...

– Może nieudolnie... Ja w ogóle jestem nieudolny i nic mi nie wychodzi.

– Ee, to takie gadanie, użalanie się nad sobą... Przecież maluje pan bardzo udolnie i jestem pewien, że inne rzeczy też pan potrafi. Na pewno i kobietę potrafi pan zdobyć, tylko że do tego niekiedy potrzebna jest wytrwałość.

– No tak, tego mi nieraz brak... To i ojciec mi mówił, a teraz widzę, że miał rację.

– Cieszę się, że dobrze pan o nim mówi – stwierdził Julian z uśmiechem radości.

– Brakuje mi go – powiedział z żalem.

– Cóż, próbuj go zastąpić, ale też pewno nieudolnie – podsumował Julian ze smutkiem.

– Och, pan to co innego... Czego się pan dotknie, wszystko panu idzie.

Weszła Edyta z czajnikiem i paroma opakowaniami jakichś ciasteczek.

– No, już jestem – powiedziała zdyszana, ale zadowolona.

– Tak myślałem, że postawi pani na swoim.

– Nie mają państwo pojęcia, jak się cieszę, że państwo przyjechali – powiedziała, włączając czajnik i spoglądając na Małgorzatę.

– Postanowiłem zapoznać państwa z moją narzeczoną – powiedział Julian, patrząc z dumą na Małgorzatę.

– Czujemy się zaszczytzeni... – odpowiedział Wiktor uroczystym tonem. – I zachwyceni – dodał, spoglądając ukradkiem na obiekt rozmowy.

Edyta tymczasem wyjęła z biblioteki jakieś talerzyki i cukierniczkę, postawiła na stoliku i zaczęła otwierać paczuszki z ciasteczkami.

Julian popatrzył na bibliotekę i zauważył, że w jednym miejscu kilka książek jest odepchniętych do tyłu, a na tak uzyskanej wolnej powierzchni stoi niewielka stara mosiężna popielniczka, na niej zaś leży piłeczka ping-pongowa.

– O! Piłeczka... – powiedział bezwiednie.

– A wie pan, że to magiczna piłeczka? – odpowiedziała Edyta. – To mój

talizman. Przynosi mi szczęście... – popatrzyła jakoś dziwnie na Juliana i dodała: – Naprawdę coś w niej jest – dodała trochę zawstydzona, że wierzy w takie rzeczy.

– Tak? A konkretnie?

– Wzięłam ją w kieszeń i pojechałam do wojewody warszawskiego w sprawie finansowania domu dziecka. I się powiodło – powiedziała z radością. – Powiodło się, że hej.

– I to wszystko?

– A czy to mało? Wie pan, ile się nachodziłam przy tym po różnych instytucjach? A tu ciach i załatwione.

Julian uśmiechnął się z niedowierzaniem, patrząc na rozmówczynię.

– Śmieje się pan z tego? – powiedziała, widząc jego wiele mówiącą minę, i wzięła się do nalewania kawy do filiżanek. – A to nie jedyna jej magiczna cecha – dodała z determinacją.

– Nie, dlaczego... – odparł, starając się ukryć zmieszanie. – A ma pani tu gdzieś pod ręką te zdjęcia? – zapytał, żeby zmienić temat rozmowy.

– Tak, już nawet wgrałam do komputera – mówiąc to, wzrokiem wskazała biurko, a na nim komputer. – Chce pan zobaczyć?

– Widziałem oryginały, ale pokazałbym chętnie mojej narzeczonej, jeżeli pan Wiktor pozwoli.

– Oczywiście, bardzo proszę, zaraz sam się tym zajmę – Wiktor odpowiedział za Edytę.

Mówiąc to, natychmiast wstał, podszedł do biurka, uruchomił komputer, wyświetlił pierwsze zdjęcie i zaprosił Małgorzatę, żeby usiadła przed ekranem.

– O, tymi dwoma przyciskami może pani sobie zmieniać w przód i w tył – wyjaśnił.

– Ja wiem, znam się na tym – odpowiedziała z uśmiechem.

– No tak, przepraszam, dziś to już każdy się na tym zna – powiedział nieco skrępowany jej bliskością.

Małgorzata zaczęła oglądać, nic nie komentując, a Wiktor stał koło niej, nie śmiejąc się odezwać.

– Jakie tematy lubi pan najbardziej? – zapytała po obejrzeniu kilkunastu obrazów.

– Lubię malować ludzi... – chwilę się zastanowił i dodał: – Oczywiście, nie portrety, tylko ludzi w różnych sytuacjach. Staram się zawsze uchwycić ich charakter i atmosferę chwili.

– Widzę, że dużo tych obrazów – powiedziała, dojechawszy do połowy.

– Tak, właściwie to dorobek całego życia. Bardzo niewiele sprzedałem... Nie umiem – wyjaśnił z żalem.

– Tak, do tego trzeba mieć talent... Ja też chyba bym nie potrafiła.

– A co pani robi?

– Studiuję medycynę.
– Ma pani do tego zamiłowanie?
– Chyba tak... Poza tym moja mama jest lekarzem i właściwie od dziecka nie wyobrażałam sobie innej pracy.

– A ojciec?
– Tata był dziennikarzem, ale zginął w Iraku, kiedy miałam pięć lat... Znam go głównie z opowiadań mamy – mówiąc to, przestała oglądać obrazy.

– To smutne... Przepraszam, że zapytałam panią o to.
– Nic nie szkodzi – odparła i wróciła do oglądania.
– Ta wojna nie była nam potrzebna... Jaki był sens angażować się w to...
– Zależy, panie Wiktorze, z jakiego punktu widzenia na nią patrzymy – wtrącił Julian. – Niech pan weźmie pod uwagę, że armia, która przez kilkadziesiąt lat nie bierze udziału w działaniach wojennych, nie ma żadnej wartości bojowej. To jest armia ołowianych żołnierzyków. Poza tym tamci wszyscy żołnierze wyjeżdżali na ochotnika. I wreszcie trzeba zauważyć, że u nas na drogach ginie dziennie więcej ludzi niż tam w ciągu kilkuletniej kampanii... – zastanowił się chwilę i dodał: – Przepraszam, wiem, że to, co powiedziałem, jest brutalne, ale takie są realia.

– Myślę, że nasz udział w tej wojnie był też konieczny ze względu na zobowiązania w stosunku do innych państw – wtrąciła niespodzianie Edyta. – Nie wiadomo, czy my też kiedyś nie będziemy potrzebowali pomocy.

– No właśnie. „Niech na całym świecie wojna, byle polska wieś zaciszna, byle polska wieś spokojna” – trochę nieudolnie wyrecytował Wiktor, dziwnie patrząc na Edytę. – Dopiero teraz zrozumiałem sens tych słów, ale nie pamiętam, kto to powiedział...

– Właśnie dziennikarz... – nagle odezwała się Małgorzata. – Właśnie zastanawiałam się, jak mój tata oceniał tę wojnę...

Wszyscy spojrzeli na nią i zamilkli, ponieważ zauważyli, że w jej oczach pojawiły się łzy. Julian podszedł do niej, stanął za jej plecami nachylił się, pocałował ją w policzek i chcąc zmienić temat rozmowy, zapytał:

– Podobają ci się? Zapewniam cię, że w naturalnej wielkości wyglądają jeszcze lepiej.

– Tak, bardzo. Nawet chętnie kupiłabym je...

Zamilkła w pół słowa, uświadomiwszy sobie, że to, co powiedziała, to forma wyłudzenia, ponieważ Wiktorowi nie wypada wziąć od niej pieniędzy.

– Zapraszam panią do Krakowa... – powiedział bez namysłu. – Oczywiście, z panem Julianem... Zobacz pani w naturze wszystkie moje obrazy i wybierze pani, co się pani spodoba.

– Wiecie co? To dobry pomysł – podchwycił Julian. – Może wszyscy, jak tu jesteśmy, zrobimy kiedyś nalot Wiktorowi... W Krakowie...

– Ja bardzo chętnie! – zawołała Edyta.
– I ja! – zdeklarowała się Małgorzata.
– W takim razie ja mam jeszcze jeden pomysł – powiedział Julian z iście młodzieńczym zapałem. – Mówmy sobie wszyscy po imieniu.
– O, to dla nas nie lada zaszczyt – powiedział Wiktor, siląc się na powagę, ponieważ i jemu udzielił się lekki nastrój. – Myślę, że warto by przy tej okazji wznieść toast – ochoczo zaproponował.
– Nie, nie! Absolutnie! – ostro zaprotestował Julian.
– Jasne, że nie. Obejdzie się – Edyta poparła Juliana, patrząc groźnie na Wiktora.
– Dobrze, dobrze. Przepraszam... To była tylko taka luźna propozycja – stwierdził Wiktor, robiąc skruszoną minę.
– Wobec tego – powiedział Julian nieco uroczystym tonem – zapominamy o tej propozycji i od tej chwili bez żadnej uroczystości... – zawiesił na chwilę głos – mówimy sobie po imieniu.
– Brawo! – zawołała Małgorzata, wstając od biurka i klaszcząc w dłonie, co ochoczo podchwyciła reszta obecnych.
– Tylko słuchajcie – powiedział Julian, gdy wrzawa ucichła. – Uważam, że to jest równoznaczne z zadeklarowaniem sobie wzajemnej przyjaźni i że od tej chwili możemy wszyscy na sobie nawzajem polegać.
Wypowiadając to zdanie, patrzył cały czas na Wiktora. Ten zrozumiał, że w tym zdaniu był ukryty podtekst pod jego adresem, i nieco zażenowany powiedział:
– Wiem, że na mnie liczycie, i chcę wam powiedzieć, że od tej chwili będę mieć poważną motywację, żeby was nie zawieść.
– Wiktorze, nie jesteś sam, pomożemy ci – zapewniła go Edyta, po czym zwróciła się do wszystkich: – Słuchajcie, ta kawa, którą nalałam, chyba już wystygła, może zrobię nową.
– Moja jest dobra, akurat do picia – stwierdził Julian, macając swoją filiżankę.
– Moja tak samo. Ty pewno szukasz pretekstu, żeby znów się wymknąć na dziesięć minut po coś – poparł go Wiktor.
Usiedli przy stoliku i pijąc kawę, opowiadali sobie różne historie ze swojego życia.

– Bardzo miłe towarzystwo – stwierdziła Małgorzata, gdy późnym wieczorem wracali do domu. – Edyta naprawdę na poziomie, a Wiktor ma chyba trochę takie hipisowskie podejście do życia, ale też raczej dobry człowiek... Życzę im, żeby im się udało, bo wydaje mi się, że do siebie pasują.

- Chyba tak. Ja też im tego życzę... To co? Uważasz, że to udana wizyta?
- Pewnie, ale też uważam, że Edyta i ty macie na Wiktora bardzo pozytywny wpływ, więc myślę, że on ma dużą szansę wyrwać się z tego.

Przyjechał na parking pod parlamentem i popatrzył na zegarek. Było wcześniej, niż był umówiony. Po paru minutach zobaczył wjeżdżającego Romana. Wyszedł z samochodu i poszedł w jego kierunku.

- Co, spóźniłem się? – zapytał Roman, wychodząc z wozu.
- Nie, to ja wcześniej przyjechałem. Chodź, pójdziemy na kawę i chwilę pogadamy.
- To chodźmy, a co tak wcześnie? Spać nie możesz? – zapytał, zamykając auto.
- Wiesz, jak człowiek przemęczony, to czasem ma kłopoty ze snem...
- No tak. Praca, parlament i jeszcze ten doktorat. Jak ty dajesz radę? Pisziesz tę pracę? Czy czekasz na lepsze czasy?
- Piszę. Ale to nie wszystko... Jeszcze zdecydowaliśmy się z Małgorzatą wziąć ślub, więc i z tym będzie sporo zachodu.
- Ślub, no to gratuluję decyzji... A gdzie ma się odbyć ta uroczystość?
- Właśnie nie możemy się zdecydować, jak i gdzie to ma być.
- Teraz to mają takie pomysły... A to w samolocie, a to pod wodą albo na szczycie góry. Licho wie, co jeszcze wymyślą...
- No, podczas kopulowania chyba jeszcze nie było ślubu.
- Cha, cha, cha! To jest pomysł! Cha, cha, cha! Powinieneś to opatentować. Ale wymyśliłeś.

Weszli do kawiarni w dobrych humorach i zamówili po kawie.

- Chcę dziś jechać do firmy. Musimy od czasu do czasu się tam pokazać, bo przecież nie można tego puścić na żywioł. Jednak uważam, że nie możemy obaj razem, bo ktoś musi tu być i słuchać, co się dzieje... Jak uważasz?
- To co? Jutro ja pojedę?
- Kiedy uważasz... Możesz jutro, możesz pojutrze.
- Myślę, że jutro, to przekażę ci, co tu dziś było... Oczywiście, jeżeli będzie coś do przekazywania. Bo jeżeli cały czas będą jałowe dyskusje i przepychanki, to nie ma co...

– Jasne.

- Była tu dziennikarka z „Naszej gazety” i chciała się z panem umówić na wywiad – powiedziała Halinka, gdy tylko wszedł do sekretariatu.
- I co?

– Nic, powiedziałam, że nie wiem, kiedy pan prezes będzie w pracy...

– A jak ona wyglądała?

– Taka blondynka z ciemnymi brwiami i sporym biustem... Strasznie przebojowa... Ubrana w brzydką brunatną garsonkę.

– Cha, cha. To chyba wiem... – odpowiedział ze śmiechem. – Napastowała mnie któregoś dnia w parlamencie – dodał, wchodząc do pokoju.

Przejrzał wszystkie dokumenty, których narosła pokaźna kupka. Niektóre od razu podpisał i zwrócił do sekretariatu, a o kilku postanowił rozmawiać z prowadzącymi dyrektorami.

Wzywał ich po kolei, prosił o dodatkowe wyjaśnienia, wniknął w szczegóły i ustalał dalszy tryb postępowania.

Przed siedemnastą wrócił do domu.

– Oj, jak to dobrze, że już jesteś – ucieszyła się Małgorzata. – Nie tak wcześniej jak wczoraj, ale i tak nieźle.

– Musimy porozmawiać o ślubie.

– Masz jakieś propozycje?

– Nic konkretnego, ale myślę, żeby gdzieś wyjechać i tam wziąć ślub...

– Ale zwyczajowo robi się ślub i wesele w miejscu zamieszkania panny młodej... Poza tym w ten sposób zrobilibyśmy kłopot naszym rodzinom i gościom, bo musieliby gdzieś jechać.

– Żaden kłopot. Wynajęłoby się samolot albo autobusy i już... Zależy, jak daleko by to było.

– To ty planujesz coś na wielką skalę... To ile przewidujesz osób? – zapytała zdziwiona.

– No, nasze rodziny, grupa z twojej uczelni i ode mnie z pracy... Nie wiem, trzysta?

– Ależ... Tobie chodzi... – powiedziała zaskoczona, nie kończąc zdania.

Julianowi zrobiło się przykro, widząc jej przestraszoną twarz. Chciał przed całym światem pochwalić się nią i w ogóle wszystkim, co osiągnął, tymczasem okazało się, że ona jest innego zdania. Poczul się zawiedziony.

– Ja marzyłam o jakiejś pięknej, kameralnej uroczystości... – powiedziała niepewnie. – Nie popieram tej nowej mody... Przecież obecne wesela to jakiś nonsens. To jakaś chorobliwa chęć zaimponowania innym. Pragnienie bycia za wszelką cenę lepszym od innych... Jakaś dewiacja.

– Ależ Małgosiu, być bogatym to nie jest przestępstwo ani dewiacja, to żaden wstyd...

– To jest wstyd – powiedziała zdecydowanie. – W kraju, w którym jest tyle biedy, tyle niedożywionych dzieci, tylu emerytów, którym nie wystarcza na lekarstwa, obnoszenie się ze swoim bogactwem to jest wstyd – powiedziała, patrząc mu w oczy.

Pierwszy raz w życiu zauważył w wyrazie jej twarzy pogardę. Zabolalo go, że ta pogarda odnosi się do niego.

Julian długi czas milczał. Przypomniało mu się twierdzenie, że o prawdziwej wartości człowieka nie decyduje, co potrafi zdobyć dla siebie, lecz to, co zdoła zrobić dla innych. Teraz Małgorzata w dość brutalny sposób przypomniała mu o tym.

– No tak, zagalopowałem się... – powiedział ze wstydem, ale i z żalem, że przyjdzie mu zrezygnować z realizacji tak wspaniałej wizji.

– Wiesz, przykro mi, że cię ograniczam... Zaczynam się zastanawiać, czy my rzeczywiście do siebie pasujemy – powiedziała z żalem.

– Małgosiu, chyba mój jeden nieprzemyślany wybryk nie może przekreślić tego, co nas łączy – powiedział z obawą.

– Charakter człowieka to nie jest wybryk... Charakter to charakter...

– Mój charakter nie jest taki, mój charakter to miłość do ciebie... – tłumaczył się rozpaczliwie. – A tamto to był tylko głupi pomysł... Zapomnij o nim.

– Nie wiem. Wystraszyłam się, że wychodzi z ciebie jakaś druga natura, której nie znam.

Julian milczał, nie wiedząc, co ma powiedzieć, równocześnie zdając sobie sprawę, że jej przypuszczenia są słuszne.

– Wiesz co? To ja pomyślę o tym i wyjdę z jakąś inną propozycją, a ciebie bardzo proszę, żebyś też pomyślała, i po jakimś czasie wrócimy do tego. Bardzo cię proszę, nie bierz tak poważnie mojego dzisiejszego niefortunnego pomysłu – powiedział pojednawczo, ujął w dłonie oba nadgarstki i delikatnie pociągnął ją do siebie.

Małgorzata posłusznie zrobiła krok do przodu, Julian puścił jej nadgarstki i objął ją. Za chwilę we wzajemnych uściskach zaczęli się całować.

Zjedli obiad, przebrali się i wyszli pobiegać.

Gdy wrócili zmęczeni, Małgorzata zaproponowała obejrzenie telewizji.

– Bardzo dobrze, tylko broń Boże nie publicystykę, bo mam tego dosyć – odpowiedział Julian.

– No widzisz, a dobrowolnie się w to bagno wpakowałeś... – powiedziała ze współczuciem. – Ale wiesz, dziś ma być w telewizji bardzo dobry film: Biała Twierdza według powieści Orhana Pamuka – dodała, patrząc pytająco na Juliana. – Może obejrzymy... Nie powiem, że dla rozrywki, bo to nie taki gatunek, ale żeby zdystansować się od naszej polityki.

– Orhan Pamuk – powtórzył bezwiednie. – To chyba jakiś noblista? - zapytał niepewnie.

– Tak, turecki pisarz, czytałam o nim...

– Można obejrzeć, a o której godzinie ma to być?

Wzięła gazetę i zaczęła przeglądać. Po dłuższej chwili powiedziała

zdziwiona:

– Ojej, wiesz, o której? Dopiero po północy – stwierdziła z niezadowoleniem i dodała: – Nie rozumiem tego. Bezwartościowe seriale puszczają w takich dogodnych godzinach, a jak coś, co warto zobaczyć, to po północy.

– Dlaczego nie rozumiesz?

– Przecież to rzekomo misyjna telewizja, więc nie rozumiem, na czym polega ta misja?

– Widać polega na schlebaniu prymitywnym gustom. To jest walka o widza...

– O jakiego widza?

– O szerokie rzesze... Widać nie zależy im na takich jak my.

– Ja rozumiem, ale po co twierdzą, że oni spełniają misję? Przecież to hipokryzja...

– Cóż, na tym polega biznes... – skwitował z goryczą i dodał: – Jednak jestem skłonny to obejrzeć, a ty?

– Trudno, nie wyśpimy się, ale chciałabym to zobaczyć... Wiesz, myślę, że nie powinniśmy wprowadzać polityki do naszego domu.

– Cha, cha. Trudno będzie. Należałoby nie włączać telewizora ani radia, a przecież trzeba wiedzieć, co się dzieje na świecie.

Był już początek grudnia i zaczęła się prawdziwa zima. Od tygodnia codziennie padał śnieg, którego służby miejskie nie nadążały usuwać. Na wielu ulicach chodniki były odgródzone od jezdni blokami śniegu sprasowanego przez maszyny. Tworzyły jakby mury obronne. Kiedy padało obficie, mury były tak wysokie, że kierowcy nie widzieli pieszych na chodnikach, ponieważ transport miejski nie nadążał ich wywozić.

W takiej scenerii Julian prawie codziennie jeździł na posiedzenia parlamentu. Prawie codziennie, ponieważ jeden dzień w tygodniu starał się poświęcać na pracę w koncernie.

Właśnie był w pracy, gdy zadzwoniła Edyta.

– Czy wiesz, że Wiktor jest w Paryżu? – zapytała wesoło.

– Nie, o niczym nie wiem – odpowiedział trochę zdziwiony.

– Nie pochwalił się? To tajemniczy agent – zażartowała. – Pojechał z obrazami, bo ten mój znajomy poszedł ze zdjęciami obrazów Wiktora do jakiegoś marszanda i tamtemu się spodobały. Zażyczył sobie, żeby chociaż część przywieźć, więc załadował kilkanaście do samochodu i pojechał.

– Nic się nie pochwalił.

– Tak myślałam, bo on jest przesądny i na pewno bał się, żeby nie zapeszyć.

– Wiktor jest przesądny? Nie przypuszczałem – powiedział zdziwiony

i równocześnie zrobiło mu się wstyd, że tak słabo zna własnego syna.

– Tak, on tylko robi wrażenie faceta śmiałego i bez kompleksów, ale to poza. W rzeczywistości jest zupełnie odwrotnie. Dlatego jak mu coś nie idzie, to zaczyna pić.

– Przepraszam cię, a jakie ty kończyłaś studia?

– Psychologię.

– Tak podejrzewałem – powiedział i zamilkł. – He... To nic dziwnego, że go tak rozgryzałaś – powiedział po chwili milczenia. – Ty wszystkich tak analizujesz? Pewnie i mnie... – stwierdził wesoło, ale poczuł się trochę nieswojo.

– Oo! Z tobą to ciężka sprawa.

– Ciężka sprawa?

– Tak, bo wiesz, ty jesteś trudny do rozgryzienia. Nie wiem, jak to określić, ale masz osobowość bardzo dojrzałego człowieka... Uważam, że ktoś się na tobie doskonale poznał, dając ci takie poważne stanowisko, choć jesteś bardzo młody...

– A powiedz, czy Wiktor na długo tam pojechał?

Zmienił nagle temat, gdyż uznał, że rozmowa schodzi na niebezpieczne tory.

– Mówił, że na parę dni...

– Widzę, że muszę zaraz zadzwonić i go pogonić, żeby wracał, bo dłuższy pobyt może być dla niego niewskazany...

– Domyślam się, co masz na myśli.

– Wiesz, Francuzi lubią wypić, tylko że oni wiedzą, ile można, a on – nie.

– Masz rację... Bardzo dobrze. Lepiej, żeby tam nie siedział.

Zaraz po rozmowie z Edytą zadzwonił do Wiktora, który niestety nie odebrał telefonu. Przed wyjściem z pracy znów zadzwonił, ale tak samo bez skutku.

„No tak. Znów pije” – pomyślał ze złością i wyszedł z biura.

Tym razem wrócił do domu przed Małgorzatą. Usiadł i zaczął przeglądać kupioną w kiosku gazetę. Zwrócił uwagę na tytuł na pierwszej stronie: „Droga donikąd”. Jego autorem był doktor Nadolny, wykładowca z jego uczelni. Julian często podśmiewał się z niego, twierdząc, że ma do wszystkiego zbyt teoretyczne podejście.

Usiadł na kanapie i zaczął czytać.

Doktor poddawał analizie pierwsze miesiące działalności obecnego rządu. Zarzucał mu nieumiejętność oceny zjawisk gospodarczych. Jego zdaniem należałoby w pierwszej kolejności zajmować się najważniejszymi sprawami, a błahostki zostawić na później.

„Jak na Nadolnego to całkiem praktyczne podejście” – pomyślał.

W tej chwili posłyszał dźwięk klucza w zamku i na progu stanęła Małgorzata.

– O! To coś nowego... Ty już w domu? – stwierdziła zdziwiona i zaczęła się rozbierać.

– Ano już – odpowiedział, wstając i podchodząc do niej. – Ty wiesz, że Wiktor jest ze swoimi obrazami w Paryżu? – dodał po przywitaniu.

– Nic się nie pochwalił, że jedzie...

– No widzisz...

– I co?

– Nie wiem. Dzwoniłem do niego, ale się nie zgłasza. Boję się, że pije.

– Myślisz, że tak dodaje sobie animuszu? – zapytała, wchodząc do kuchni.

– Wolałbym, żeby nie... Zobaczymy, wieczorem spróbuję jeszcze raz.

– A co w pracy?

– Całkiem dobrze. Wygląda na to, że jestem tam niepotrzebny... – zażartował i dodał: – Odpocząłem od parlamentu... Jutro odpocznę od firmy – powiedział ze sztuczną radością, wszedł za Małgosią do kuchni i usiadł na taborecie.

– Takiemu to dobrze. Nic nie robi, tylko wypoczywa... A słyszałeś, że dziś w parlamencie była taka awantura, że mało się nie pobili?

– Nie, nic nie wiem... A skąd masz takie wiadomości?

– Słyszałam rozmowę w autobusie.

– Poszło o eksperymenty genetyczne czy o obrazę czyichś uczuć?

– Nie jestem pewna, bo nie od początku słyszałam, ale wydaje mi się, że o ekologię...

– O, to też dobry temat, żeby się brać za łby.

– Dlaczego tak mówisz? Przecież o ekologię trzeba dbać. To przyszłość świata.

– Małgochna, ekologia jest ważna, bardzo ważna, ale tu jest jeden problem, którego wiele osób nie widzi... Mianowicie taki... – przerwał na chwilę, zastanowił się i powiedział: – Na pewno słyszałaś o różnych grupach anarchistycznych, które dawniej bardzo często zakłócały porządek publiczny i miały problemy z policją... A jak uważasz, dlaczego od kilkudziesięciu lat nie ma w Europie anar-chistów?

– Myślisz, że to oni?

– Nie mówię, że wszyscy, ale uważam, że znacznie łatwiej jest wyładowywać swoje anarchistyczne skłonności pod szyldem walki o ekologię... Ja kiedyś z takim rozmawiałem. Nie miał zielonego pojęcia o naukach biologicznych o chemii czy fizyce... Jego wiedza ogólna była po prostu nikła, ale miał wielką wolę walki i w tym kierował się różnymi obiegowymi opiniami, które są takimi współczesnymi zabobonami... Gdyby mógł, to wycofałby ze sprzedaży masło roślinne, wszystkie odmiany nowych roślin, telefony osobiste, większość leków i licho wie, co jeszcze.

Po obiedzie wyszli pobiegać, a gdy wrócili, Julian znów zadzwonił. Tym razem Wiktor się zgłosił.

- Co się u ciebie dzieje! – zapytał Julian.
- Pewno dzwoniłeś, a ja się nie zgłaszałem – powiedział głosem niewskazującym...
- A jak myślisz?
- Po prostu nie noszę z sobą telefonu, bo tu nie ma kto do mnie dzwonić – wyjaśnił.
- A my to nikt?
- Przepraszam, nie pomyślałem o was...
- Ale wszystko w porządku? Bo my się tu martwimy o ciebie...
- Właśnie widzę, że dwa razy dzwoniłeś i Edyta raz... A jeśli chodzi o obrazy, to raczej w porządku. Monsieur Chretien powiedział, że podobają mu się moje obrazy i że spróbuje je sprzedawać, a jeżeli przywiózłbym więcej, to spróbowałby zrobić wystawę.
- To z obrazami, a z tobą też w porządku?
- Jak najbardziej – odpowiedział takim tonem, jakby uważał, że tego typu pytanie jest w ogóle nie na miejscu.
- Więc możesz jutro wracać?
- Chyba nie, bo jutro przed południem mam się jeszcze spotkać z panem Chretien i ze Śmigielskim, to ten znajomy Edyty... Więc wyjazd po południu nie ma sensu.
- W takim razie uważaj tam na siebie i wyjeżdżaj pojutrze rano, a my czekamy na ciebie... Aha, i miej przy sobie telefon.
- W porządku, będę go nosić. Pozdrów Edytę.

Następnego dnia był dalszy ciąg awantury w parlamencie. Zmienił się tylko temat. Tym razem chodziło o eksperymenty biologiczne.

Zarzewiem sporu stał się artykuł w popularnonaukowym miesięczniku „Współczesność”. Były tam opisane najnowsze osiągnięcia profesora Damiana Sochy, który w Laboratorium Biologii Eksperymentalnej przy Akademii Rolniczej w Poznaniu prowadzi rzekomo obiecujące próby stworzenia żywej komórki.

Przeciwnicy ze Stronnictwa Obrońców Człowieka, wspierani przez Partię Chrześcijańsko-Demokratyczną, domagali się natychmiastowego uchwalenia ustawy zabraniającej prowadzenia takich eksperymentów pod groźbą dziesięciu lat więzienia.

Twierdzili, że takie prace mogą doprowadzić do stworzenia organizmu, którego rozwój może się wymknąć spod kontroli i zagrozić ludzkości. Uznawali również, że próby sztucznego tworzenia życia są niezgodne z naturą i niemoralne.

Posłanka Laurencja Nowogródzka ze Stronnictwa Obrońców Człowieka posunęła się jeszcze dalej, krzycząc, że tylko zwyrodnialec może poważnie się na

takie eksperymenty, a to, co uprawia profesor, nie jest nauką, tylko niekontrolowanym wybrykiem chorego umysłu, i że należy takiego eksperymentatora pozbawić tytułu naukowego.

Julian słuchając tego wystąpienia, nie wytrzymał i zgłosił chęć zabrania głosu.

Siedział i rozmyślał o tym, co ma powiedzieć. Narastała w nim złość.

Gdy przyszła jego kolej, wstał i energicznym krokiem poszedł w kierunku trybuny. Pojawiła się w nim ta sama obsesyjna woła walki, która kazała mu w pierwszych miesiącach swojego nowego wcielenia iść na egzamin do profesora Wawrzyniaka i pokonać go swoją siłą woli. Szedł tak jak wtedy, nie zdając sobie sprawy, że stał się niewolnikiem imperatywu ideowego, który od dawna nieświadomie w sobie nosił.

Staął przed trybuną i bez namysłu, bez chwili wahania, spokojnie powiedział:

– Szanowne panie posłanki i szanowni panowie posłowie, drodzy rodacy. Oto na naszych oczach ludzie mali, niedouczeni usiłują narzucić światu swój punkt widzenia. Chciałbym tym osobom, mam nadzieję nielicznym, zadać pytanie: Czy panie posłanki i panowie posłowie zdają sobie sprawę, że były czasy, w których temu, kto twierdził, że Ziemia krąży wokół Słońca, groziło spalenie na stosie? Czy taka kara powstrzymała rozwój astronomii!? I cóż, minęło pół tysiąca lat i niektórym wciąż się wydaje, że można nakazem administracyjnym zniweczyć ludzką chęć poznania! Czy można ludziom zakazać myślenia? Nie jestem biologiem, ale zdaję sobie sprawę, że jeśli nawet uda się komuś stworzyć żywą komórkę, to jeszcze upłyną dziesiątki albo setki lat, nim ktoś zdoła na bazie tej komórki stworzyć organizm zdolny do samodzielnego życia i rozwoju. Mogę oczywiście zrozumieć niepokój o dalsze losy świata, ale przecież jest zrozumiałe, że jeśliby ktoś zabronił eksperymentów naukowych, to te eksperymenty i tak będą w tajemnicy prowadzone, nawet gdyby groziła za to kara śmierci. Dlatego na pewno lepiej, żeby prowadzono je legalnie, pod kontrolą państwa, niż w tajemnicy, bez nadzoru...

Przerwał, chwilę się zastanowił, po czym spokojniej i ciszej mówił dalej:

– Chciałbym na marginesie tej sprawy zauważyć, że niebezpieczeństwo dla naszego świata leży zupełnie gdzie indziej, jest dużo bardziej realne i może nadejść w każdej chwili pod postacią wojny nuklearnej, rozpętanej przez szaleńca owładniętego chęcią urządzenia świata według własnej recepty. Nawiasem mówiąc – powiedział cicho, jakby mówił do kogoś, kto stoi tuż obok – pełno jest na świecie takich. Na szczęście nie mają dostępu do takiej broni. Tego się trzeba bać i o tym myśleć! – krzyknął, niczym kaznodzieja podczas kazania. – Szanowne panie posłanki i panowie posłowie! Obywatele świata! Niedawno weszliśmy w trzecie tysiąclecie ery nowożytnej. Uważam, że jeśli nasz świat ma przetrwać to

tysiąclecie, to należałoby za wszelką cenę dążyć do powstania tu, na Ziemi, jednego wielkiego państwa, bez granic i bez wojsk... Czy ktoś z nas zdaje sobie sprawę, że dopiero wtedy nie będzie nam groziła trzecia wojna światowa? A czy ktoś potrafi obliczyć, ile na naszej planecie wydaje się w tej chwili na utrzymanie armii i na produkcję wciąż nowych, coraz groźniejszych broni? Nie mam odpowiednich danych, żeby to wyliczyć, ale próbowałem kiedyś to oszacować i proszę mi wierzyć, to są kwoty przerażające, niewyobrażalne.

Aż dziwne, że na całym świecie różni ludzie, z natury raczej nieskłonni do rozrzutności, marnują tyle pieniędzy tylko po to, żeby móc skutecznie zabijać tych, którzy mają inne obyczaje, wyznają inną religię albo mają inny kolor skóry!

Niestety, ta niechęć, a nawet nienawiść jest skutecznie podsycana przez nacjonalistów lub fanatyków religijnych... Jest podsycana przez niektórych dziennikarzy, którzy nie potrafią zdobyć się na bezstronność, którzy są zwolennikami jednej partii i pod pozorem dziennikarstwa uprawiają politykę. Nie trzeba daleko szukać przykładów. Wystarczy rozejrzeć się dokoła, żeby zobaczyć, ile zawziętości i wrogości jest w wystąpieniach niektórych pań posłanek i panów posłów... Ile zawziętości i bezkompromisowości przejawiają niektórzy publicyści. Najbardziej zastanawiające jest to, że największy ładunek nienawiści wypływa z ust ugrupowań, które uważają się za obrońców człowieka albo za patriotów... Niektórzy działacze katoliccy również często zapominają, że Chrystus nauczał, żeby zło dobrem zwyciężać...

Jeśli chodzi o uniknięcie wojny, to pragnę zauważyć, iż lansowana w ostatnich dziesięcioleciach teoria równowagi sił to utopia, ponieważ każda ze stron zawsze będzie twierdzić, że posiada tylko broń obronną, i agresja nie jest jej celem. Tymczasem zawsze będzie się zbroić, często kosztem drastycznej pauperyzacji swojego narodu.

Drogi panie posłanki i drodzy panowie posłowie! Najwyższy czas, żeby zrozumieć, że jedyna droga dla świata to łączenie się narodów. Doskonałym przykładem jest Unia Europejska. Czy ktoś sobie wyobraża, żeby mogło dojść do wojny wewnątrz Unii, mimo że składa się ona z narodów, które w przeszłości były wrogami? I tak powinno być na całym świecie! Przecież to zależy tylko od nas, mieszkańców tego globu.

Niestety, są osoby, które tego nie rozumieją i agituja do wystąpienia z Unii, ale szkoda czasu na komentarz... – mówiąc to, machnął dłonią z lekceważeniem. – Raczej należałoby agitować do jej rozszerzenia na inne kraje. Uważam, że wielkim osiągnięciem dla świata byłoby przyjęcie do Unii Turcji. Kraj ten od wielu lat ubiega się o to. Zważywszy, że jest to państwo, którego obywatele w zdecydowanej większości są muzułmanami, stanowiłoby to doskonały wzór dla innych państw, przykład, że można pogodzić dwie religie dla dobra całego świata... – zrobił długą przerwę, rozejrzał się dokoła i z rezygnacją w głosie powiedział: – Niestety,

przyszło mi żyć na planecie zamieszkałej przez istoty z małym rozumem, za to z wielkimi ambicjami, w dodatku mściwe i zawzięte.

Kiedy skończył i wracał na miejsce, w kilku sektorach rozległy się brawa.

Jeszcze nie zdążył dojść do celu, gdy z trybuny odezwał się następny mówca. Był to Jan Chmielewski, poseł niezrzeszony, tak samo jak Julian.

– Szanowne panie, szanowni panowie! – powiedział spokojnie. – Zapisalem się do głosu, ponieważ chciałem odnieść się do kwestii badań profesora Damiana Sochy, ale zrobił to już mój szanowny przedmówca i przyznaję, że zrobił to lepiej, niż sam bym to uczynił. Pragnę jedynie dodać, że w stu procentach się zgadzam i popieram pana posła Podhoreckiego...

– Ty wiesz? – szepnął Roman, gdy tylko Julian usiadł. – Straszego strachu mi napędziłeś. Bałem się, że Jurski cię opanował, i nie wiedziałem, co mam robić. Gdybyś nie skończył, to pewno bym tam poszedł po ciebie...

– Dobrze, że nie poszedłeś... Przecież nic takiego się nie stało... – odpowiedział spokojnie.

– Ale wiesz... Ty przemawiasz jak siedemdziesięciokilkuletni, doświadczony i pewny siebie człowiek. Zapominasz, że w twoim wieku tak nie wypada... To ich tylko drażni. Zobaczysz, co zaraz będzie, bo wsadziłeś kij w mrowisko.

– Wiem. Przecież prawda kłuje w oczy, ale ktoś to musiał powiedzieć.

Następnym mówcą był poseł Bożydar Grodzki z Partii Chrześcijańsko-Demokratycznej, gwałtownie domagający się postawienia posła Podhoreckiego przed Komisją Etyki Poselskiej za, jak się wyraził, wyszydzanie i obrażanie posłów, którzy jak nikt inny martwią się o swoją ojczyznę.

Po nim wystąpiła posłanka Janina Wrotna z tejże partii, dramatycznym głosem żądając odwołania marszałka parlamentu, ponieważ nie przerwał posłowi Podhoreckiemu tej pożałowania godnej, skandalicznej oracji. Sugerowała przy tym, że poseł był pijany.

– Słuchaj – szepnął Roman. – Chodź wyjdziemy, pojedziemy do najbliższego szpitala i poprosisz o zbadanie krwi na zawartość alkoholu...

– Co ty, nic jej nie zrobisz. Przecież ją chroni immunitet poselski.

– No tak. To ja mogę teraz iść i też jej nawrzucać... – powiedział Roman ze złością.

– Możesz, ale nie zrobisz tego.

W tym momencie zabrał głos marszałek parlamentu i ogłosił godzinną przerwę dla ochłonięcia, ponieważ „atmosfera stała się zbyt gorąca” – tak się wyraził, patrząc w kierunku Juliana.

Wyszli na hol.

Natychmiast podeszła do nich Krystyna Nowosielska, szefowa klubu parlamentarnego Partii Ludowo-Demokratycznej, złożyła Julianowi gratulacje z powodu doskonałego wystąpienia, porozmawiała z nimi kilka minut i w imieniu

klubu zaprosiła do współpracy.

– Ładna baba – skwitował Roman, gdy tylko posłanka się oddaliła.

– Wiesz co? Jestem zmęczony – stwierdził Julian, kiedy spacerowali po kularach.

– Jednak takie wystąpienie wyczerpuje.

– Nie dziwię się, bo przecież mówiąc, wiesz z góry, jaka będzie reakcja, i się denerwujesz – popatrzył na Juliana ze współczuciem i dodał: – Jestem pewny, że tym razem jeszcze bardziej się naraziłeś.

– Przecież nie przyszliśmy tu po to, żeby schlebiać tym... – zastanawiał się chwilę, jakiego użyć słowa, i powiedział z rezygnacją: – Nie wiem, jak ich nazwać – znów pomyślał i dodał ze złością: – Nie wiem jak ich nazwać, bo nie wiem, ile w nich podłości, a ile głupoty.

– Cha, cha! Przyjmijmy, że po połowie – podsumował Roman ze śmiechem.

Rozmawiając z Romanem, Julian zauważył idącego w ich kierunku Józefa Kornata, jednego z najbardziej znanych dziennikarzy telewizyjnych. Ubrany był w ciemnostalowy garnitur o nieskazitelnym kroju i żółtą koszulę. Już z daleka rzucała się w oczy jego smukła sylwetka. Szedł, życzliwie uśmiechając się do wszystkich mijanych osób. Gdy był już niedaleko Juliana i Romana, uśmiechnął się również do nich, ale trochę inaczej, bardziej radośnie. Julian chciał nawet się obejrzeć, myśląc, że ktoś za nim stoi, ale się powstrzymał. Redaktor tymczasem zatrzymał się dwa metry przed nimi, wyciągnął w ich kierunku obie dłonie i powiedział:

– Miło panów spotkać. Dzień dobry.

– Dzień dobry – odpowiedzieli, nie wyciągając rąk na powitanie, ponieważ dzieliła ich zbyt duża odległość.

Redaktor znieruchomiał na moment w nieco teatralnej pozie, uśmiechając się przyjaźnie, po czym opuścił lewą dłoń i z nadal wyciągniętą prawicą zrobił jeszcze dwa kroki do przodu.

– Gratuluję bardzo interesującego wystąpienia – powiedział do Juliana.

Julian podał mu rękę, Roman też, a redaktor po przywitaniu powiedział:

– Wysłuchałem z dużym zainteresowaniem pańskiego dzisiejszego wystąpienia. To, co pan mówił, było naprawdę bardzo medialne, pełne ekspresji, a jednocześnie niezwykle i w dodatku zawierało zupełnie nowe spojrzenie. Od razu pomyślałem, żeby zaproponować panu udział w telewizyjnej debacie.

– Miło z pana strony, a co to ma być za debata? Na jaki temat? – zapytał Julian, nie wrywając się z odpowiedzią.

Kiedy zaczynali tę rozmowę, podbiegło jeszcze kilkoro reporterów z kamerą, aparatami fotograficznymi, mikrofonami. Najgorsi byli ci ostatni, gdyż przepychając się, zaczęli podtykać Julianowi mikrofony pod nos, nagrywając rozmowę.

– Właśnie na te tematy, które pan poruszał. To bardzo ciekawe, co pan mówił... – spokojnie odpowiedział redaktor Kornat, nie zwracając uwagi na zgraję nachalnych reporterów.

– Tak? A w jakim składzie miałyby się to odbyć? – spokojnie zapytał Julian, ignorując ciżbę.

– Miałem na myśli tylko dwie osoby: pana posła Bogumiła Ostoję-Wiśniowieckiego z Partii Polskich Patriotów i oczywiście pana, panie pośle – wyjaśnił z uśmiechem.

– A co pan chce osiągnąć, tak dobierając skład? – zapytał Julian.

– Wie pan, panie pośle, widzów interesują różne poglądy na nasze polskie sprawy, a panowie reprezentują właśnie różne opcje i dlatego może to być bardzo ciekawa wymiana poglądów. Poza tym miałyby pan okazję przedstawić swoje tezy bardzo szerokiemu audytorium widzów.

– Panie redaktorze, pan jest przecież inteligentnym człowiekiem. Musi pan zdawać sobie sprawę, że pan poseł Wiśniowiecki nie będzie chciał dyskutować, będzie mi co chwilę przerywać w połowie zdania i prowokować do awantury, dając do zrozumienia, że jestem zły, bezbożny i głupi, bo tak zwykle reaguje, jeśli ktoś ma odmienne poglądy. Panu zapewne właśnie o to chodzi, bo to jest medialne i dobrze się sprzedaje... Ja natomiast uważam, że dyskusja ma sens tylko wtedy, jeżeli strony mimo różnic poglądów są gotowe wysłuchać innych racji i szukać kompromisu... Nie mam też pretensji, jeśli ktoś próbuje w kulturalny sposób przekonać mnie do swoich racji, i muszę powiedzieć, że pod wpływem mądrych argumentów nieraz zmieniam zdanie, czego nie można powiedzieć o pośle Wiśniowieckim.

– Ale panie pośle, pana poglądy są bardzo ciekawe i warto, żeby poznało je jak najwięcej Polaków, bo w pierwszym rządzie o nich tu chodzi.

– Może tak, ale przecież poseł Wiśniowiecki nie dopuści mnie do słowa, a ja nie mam zamiaru publicznie się z nim przekrzykiwać. Nie, to nie ma sensu, panie redaktorze. Panu nie chodzi o dyskusję, tylko o stworzenie teatru dla widzów – odpowiedział trochę zdenerwowany. – Pan powinien robić reportaże z walk psów... To by było jeszcze ciekawsze. Jeszcze bardziej medialne... I podniecające.

– Walki psów są zabronione – odrzekł redaktor z uśmiechem.

– Cha! Cha! Cha! – zaśmiał się Julian. – No właśnie, a walki psów – nie... Dopiero by widzowie mieli spektakl.

– Cha! Cha! To może, panie pośle, pan proponuje kogoś do takiej dyskusji.

– Czemu nie? Chętnie przedstawiłbym moje postulaty panu premierowi... Bądź co bądź to osoba, która ma największy wpływ na naszą politykę wewnętrzną i zewnętrzną.

– Hm... Ciężka sprawa, spróbuję podsunąć panu premierowi pomysł na takie spotkanie, ale nie wiem, czy przyjmie nasze zaproszenie – odpowiedział, kręcąc

głową z powątpiewaniem. – A w jaki sposób mógłbym się z panem posłem skontaktować po rozmowie z panem premierem?

– Myślę, że najlepiej poprzez moje biuro poselskie – to powiedziawszy, dał dziennikarzowi wizytówkę. Redaktor dał mu swoją i się pożegnali.

– Panie pośle! – zawołała młoda dziennikarka, wyciągając do Juliana mikrofon, gdy tylko dotychczasowy rozmówca się odwrócił. – Czy uważa pan, że patriotyzm w dzisiejszym świecie stał się zjawiskiem negatywnym?

– Nie. Patriotyzm to pozytywne zjawisko, pod warunkiem że nie wypływa z nadgorliwości, ponieważ ona prowadzi prosto do nacjonalizmu. Uważam, że w ogóle nadgorliwość przeważnie jest czymś negatywnym.

– Panie pośle, a czy to, co powiedział na poprzedniej sesji poseł Jan Pokorski z PPP, według pana oceny mieści się w definicji patriotyzmu, czy to już jest nacjonalizm? – zapytał dziennikarz z magazynu „Echa Polityki”.

– Ale konkretnie o jaki fragment albo o jakie zdanie posła Pokorskiego pan pyta? Poseł przecież mówił z piętnaście minut, odliczając śmiechy i gwizdy – zapytał Julian z lekkim zniecierpliwieniem. – Ogólnie rzecz biorąc, namawiał do wystąpienia z Unii Europejskiej, ponieważ pozbawia nas ona narodowej tożsamości...

– Właśnie o to pytam – wyjaśnił dziennikarz.

– Wszyscy przeciwnicy Unii to mówią, ale zastanówmy się, co to jest tożsamość narodowa i czego konkretnie Unia nas pozbawia... Czy chce nam zabronić śpiewania ludowych piosenek albo noszenia strojów regionalnych albo każe nam przejść na protestantyzm? – spytał z ironicznym uśmiechem. – Ale teraz poważniej. Uważam, że tożsamość to zespół cech, które odróżniają nas od innych narodów... A co nas tak różni, że aż musimy tego bronić? To, że Polacy upijają się częściej od innych, że w prywatnych rozmowach nagminnie używają ordynarnych słów, nie wyłączając wysokich dygnitarzy, posłów i tak zwanej oligarchii? Że jesteśmy mało życzliwi dla innych? – zastanowił się moment i dodał, nim dziennikarz zadał następne pytanie: – Ja wiem, że po tym, co powiedziałem, rzucą się na mnie rozmaici patrioci, twierdząc że skaląłem swoje gniazdo, więc od razu odpowiadam słowami Norwida:

Czy ten ptak kala gniazdo, co je kala,

Czy ten, co mówić o tym nie pozwala?

– Czy może pan wyjaśnić, dlaczego mówiąc o oligarchii, użył pan określenia tak zwana?

– Bo to w znacznej mierze nie oligarchia, tylko plutokracja... Ale chciałbym dodać, że mamy też dużo pozytywnych cech, tylko niestety tak jest na świecie, że cechy negatywne bardziej rzucają się w oczy i często jesteśmy oceniani według nich.

– A jakie cechy uznaje pan za pozytywne?

– Uważam, że jako naród mamy dużo takiego zbiorowego rozsądku. Na przykład jestem pewien, że gdyby w Polsce pojawił się ktoś taki jak Hitler, to z pewnością nie uzyskałby ślepego posłuszeństwa i powszechnego poparcia. W tym leży siła naszego narodu.

– Czy mógłby pan poseł dać jeszcze jakieś przykłady negatywnej nadgorliwości?

– Cha! Cha! Oczywiście... Dużo trudniej byłoby znaleźć przykłady pozytywnej nadgorliwości... Na przykład nadgorliwość w karmieniu dziecka, bo w ten sposób hoduje się chorowitego grubaska – odparł ze śmiechem.

– A czy pan poseł jest człowiekiem wierzącym?

– Tak.

– W takim razie dlaczego krytykuje pan ugrupowania chrześcijańskie?

– Ja nie krytykuję ugrupowań, tylko niektórych ich członków, którzy chcą być świętsi od papieża. Uważam, że taka nadgorliwość niczego dobrego nie przynosi, ale chciałbym, żebyśmy już na tym zakończyli.

Powiedziawszy to, chciał odejść, ale dziennikarka zastąpiła mu drogę, mówiąc:

– Panie pośle, ale niech pan da tylko jeszcze jeden przykład ich nadgorliwości...

– Nie, proszę pani, bo ta rozmowa toczyłaby się bez końca. Bardzo proszę nas przepuścić – odparł stanowczo.

– Chodź, może zdążymy jeszcze napić się kawy – powiedział do Romana.

Nazajutrz był znów w pracy. Z samego rana zadzwonił Roman i powiedział:

– Wiesz, większość dziennikarzy, z którymi wczoraj rozmawiałeś, było ze skrajnie prawicowych redakcji, więc dla ciekawości kupiłem parę takich gazet, przejrzałem i chciałbym ci przeczytać, co pisze o tobie „Głos Patriotów”...

– To czytaj. Z ciekawością posłucham, bo domyślam się, że mnie obsmarowali...

– Napisali na pierwszej stronie: „Poseł Julian Podhorecki wczoraj powiedział w Parlamencie, że Polacy upijają się częściej od innych i nagminnie używają ordynarnych słów. Redakcja Głosu Patriotów postanowiła zgłosić tę sprawę do prokuratury, ponieważ jest to publiczne oczernianie i poniżanie polskiego narodu.

Podejrzewamy, że tak zachowują się ludzie ze środowiska, z którego wywodzi się poseł Podhorecki, i dlatego posłowi wydaje się, że tacy są wszyscy Polacy. Natomiast dla milionów naszych rodaków takie zachowania są zupełnie obce”.

– Popatrz, jakie to przewrotne draństwo... – powiedział Julian ze złością. – Dlaczego nie wydrukowali całej wypowiedzi, tylko wybrali akurat to zdanie...

Przecież to jest ordynarna manipulacja.

– Wiesz, myślę, że na przyszłość nie powinieneś w ogóle rozmawiać z taką grupą. To, że oni chcą z tobą rozmawiać, nie znaczy, że ty musisz.

Gdy wrócił, Małgorzata była już w domu. Od razu przy przywitaniu zauważył, że ma dziwną minę.

– Coś się stało? – zapytał.

– U nas wiele osób komentowało twoje wczorajsze wystąpienie – odpowiedziała z powagą. – Ponieważ mnie to zaciekało, znalazłam je w internecie i obejrzałam.

– Tak? I co? – zapytał od niechcienia.

– Uważam, że temat bardzo ciekawy i chyba ważny, ale powiedziane za mocno. Nie powinno się odpowiadać obelgą na obelgę, zwłaszcza jeżeli poucza się innych. Przecież to parlament, a nie targowisko...

– No tak, ja to wszystko wiem, ale to wystąpienie nie było przygotowane... Po prostu oni sprowokowali mnie do tego... To była taka moja spontaniczna reakcja... – tłumaczył się trochę zawstydzony. – Wiesz, w takich warunkach naprawdę ciężko się przed tym ustrzec...

– Domyśliłam się, że tak właśnie było, i obejrzałam też twoich przedmówców, ale Julu kochany, ty się nie możesz dawać prowokować.

Mówiąc to, objęła go, pocałowała i dodała:

– Uważam, że to, co mówiłeś, było bardzo ważne, mądre i dobrze, że to powiedziałaś... Mam nadzieję, że to nie przejdzie bez echa, że ludzie zaczną o tym myśleć i rozmawiać... U nas na uczelni już dyskutowali, mimo że to Akademia Medycyna, a nie Akademia Polityczna... Ale Julu, ja cię proszę, staraj się zdobywać uznanie, nie robiąc sobie wrogów.

– Małgochna, dziękuję ci, że jesteś taka i że w ogóle jesteś ze mną – powiedział, całując ją, i spytał: – To ty chyba dziś wcześniej wróciłaś?

– Urwałam się z połowy zajęć, bo zależało mi, żeby się z tym zapoznać...

– Ja tylko nie mogę zrozumieć, że działacze katolicycy bywają bardziej napastliwi i zawzięci od tych laickich.

– Wiesz, bo oni chyba uważają, że występują w imieniu samego Boga... Mając Boga za sobą, czują się mocni.

– Ale przecież kiedy Żydzi chcieli ukamienować Marię Magdalenę, Chrystus powiedział, żeby pierwszy rzucił kamieniem ten, który jest bez winy... Mówił też, żeby zło dobrem zwyciężać... Dlaczego oni się kierują złością, a nawet nienawiścią?

– Juluś, ty nie jesteś od tego, żeby ich pouczać. Niech ich Kościół poucza.

– Ale czy oni nie zdają sobie sprawy, że w ten sposób robią Kościołowi

niedźwiedzią przysługę? Że taką postawą zniechęcają do Kościoła normalnych ludzi? Przecież większość wiernych to spokojni, normalni ludzie, których razi taka napastliwość.

– Masz rację, ale na pewno im tego nie wytłumaczysz. Dla nich jesteś wrogiem.

– Uważam, że Kościół powinien zdecydowanie się od tego odcinać.

– Julianie, nie martw się o Kościół. To ich sprawa.

– To nasza sprawa. Przecież Kościół to my... – odparł stanowczo.

Wiktor wrócił z Paryża zgodnie z obietnicą. Zaraz po przyjeździe zadzwonił do Juliana i spotkał się z Edytą. Później jeszcze raz zadzwonił do Juliana i przeprosił go, tłumacząc się, że nie przyjedzie do Łodzi na święta, ponieważ został zaproszony przez Edytę i przyjął to zaproszenie.

– Nie gniewam się. Przecież wiem, że tam bardziej cię ciągnie – odrzekł Julian. – To zupełnie zrozumiałe. Jedź do Kielc, nie przejmuj się i pozdrów ode mnie rodziców Edyty.

– Mieliśmy porozmawiać jeszcze na temat ślubu – powiedział któregoś dnia do Małgorzaty. – Ale widzę, że oboje to omijamy.

– Ja nie omijam, ja tylko nie chcę na ciebie naciskać... Myślę, że powinniśmy dać sobie jeszcze trochę czasu.

– Wiesz, ja dużo myślałem o tym i sam się dziwię tamtemu pomysłowi. Nie wiem, co mnie wtedy naszło – powiedział, podchodząc do niej i obejmując ją.

– Ja nie mam pretensji do ciebie – odpowiedziała z łagodnością. – Myślę, że u ciebie tak się objawia nadmiar pracy i stresu. Martwię się, że za dużo pracujesz... Praca, parlament i doktorat – powiedziała ze współczuciem i chyba trochę ze złością, co nigdy się nie zdarzało. – Boję się, że twój mózg może nie wytrzymać tego obciążenia.

– I co się stanie? Zwariuję? – zapytał w żartach.

– Nie wiem, myślę, że mogą wystąpić na przykład zaburzenia osobowości.

– I co wtedy?

– Nie wiem, możesz się głupio zachowywać albo podejmować głupie decyzje, których później nawet nie będziesz pamiętać, ogólnie mówiąc.

– Na pewno więcej wiesz, tylko nie chcesz mówić – powiedział z przekorą.

Zaraz po świętach Bożego Narodzenia przyjechała matka Małgorzaty. Przywiozła pełen samochód bagaży i zaczęła rozlokowywać się w mieszkaniu

służbowym, jakie dostała w związku z podjęciem pracy w klinice profesora Borka.

– Mamo, jakie ładne mieszkanie! – zawołała Małgorzata, pierwszy raz wchodząc tam wraz z Julianem. – Prawie jak Juliana.

– Mnie też się podoba, ale nie przesadzaj, że prawie jak Juliana. Jest sporo mniejsze, ale dla jednej osoby idealne i rzeczywiście ładne i nie muszę płacić... – zawahała się i dodała z uśmiechem: – Mimo, że stać mnie na to.

– To będziesz tak dużo zarabiać?

– Prawie dwa razy tyle co w Łodzi.

– Mam nadzieję, że nie będę żałować, że cię namówiłam...

– Dziecko, przecież ja sama chciałam, bo zależało mi, żeby was częściej widywać.

– Tak myślę, że jak skończę studia, to może i ja się tam załapię.

– Staraj się – powiedziała, patrząc z miłością na córkę.

– Staram się. Na razie mam obiecany praktykę wakacyjną.

– O, nie pochwaliłaś się – powiedziała matka z podziwem i radością. – To nie byle jaka klinika.

– A profesor nie byle jaki człowiek i nawet przystojny, mimo podeszłego wieku.

– Może tak, nie wiem, bo widziałam go dwa razy i zawsze był w białym kitlu. Nie bardzo to pasuje do jego siwych włosów, ale twarz ma miłą i inteligentną... No i zdążyłam zauważyć, że jest wysoki. To według mnie ważne.

– Nie wiem, mamo, jaki jest w pracy, ale prywatnie to przeuroczy człowiek i z klasą, taki naprawdę dystyngowany starszy pan...

Małgorzata obudziła się w nocy i zorientowała się, że nie ma obok niej Juliana, i to od dość dawna, ponieważ jego miejsce było zimne.

Usiadła i zauważyła smugę światła pod drzwiami. Wstała, podeszła do drzwi i uchyliła je. Julian siedział przy komputerze i coś pisał.

– Co ty robisz? – zapytała zdziwiona.

– Piszę doktorat – odpowiedział spokojnie, jakby pisanie w nocy było czymś najnormalniejszym w świecie.

– Juluś, ale przecież to nie jest taka terminowa praca, żeby aż pisać w nocy. Sam mówiłeś, że nie masz żadnego problemu, jeśli o to idzie...

– Nie mam, ale wiesz, ja mam taki przymus wewnętrzny...

– Ale nie rozumiesz, że to się odbywa kosztem zdrowia?

– Wiesz, ale ja i tak bym nie spał... Nie mogłem spać, dlatego wstałem i wziąłem się do pisania.

Podeszła do niego, objęła go i pocałowała.

– Chodź, Juluś, tak nie można... Przecież będziesz jutro niewyspany.

Julian wyłączył komputer i posłusznie poszedł do sypialni

Zima minęła szybko i spokojnie, jeśli nie liczyć ustawicznych utarczek Juliana w parlamencie, gdzie zdobył wielu popleczników, a nawet przyjaciół, ale i wielu wrogów.

Dziennikarze z różnych mediów nieraz wypytywali premiera, dlaczego nie korzysta z jego rad, nie realizuje jego pomysłów na uzdrawianie gospodarki i nie stara się poprawić ściągalności podatków. Premier jednak zawsze odpowiadał wymijająco, tłumacząc, że nie można zrobić wszystkiego jednocześnie, a pewnego razu uśmiechając się lekceważąco, powiedział, że to wszystko nie jest takie proste, jak się wydaje posłowi Podhoreckiemu.

Na początku marca redaktor Kornat, który kiedyś zaczepił Juliana w parlamencie, namawiając go na udział w dyskusji, zadzwonił do biura poselskiego i poprosił o pomoc w skontaktowaniu się z panem Podhoreckim.

Za dwa dni doszło do ich spotkania.

– Panie pośle. Pan premier jest ciągle zapracowany i chyba nie uda mi się doprowadzić do panów rozmowy – powiedział na wstępie. – Ale mam dla pana inną propozycję...

– Słucham pana – zapytał Julian, nie kryjąc ciekawości.

– Czy przyjąłby pan zaproszenie na rozmowę ze mną? Tylko ze mną – powiedział, potrząsając w powietrzu swoją wypielęgnowaną prawicą. – Oczywiście, przed kamerami – dodał, uśmiechając się przyjaźnie.

– Tak, oczywiście... – powiedział Julian bez namysłu. – I wierzę, że taka rozmowa rzeczywiście może być pożyteczna.

Było dość ciepło, ale wietrzne marcowe popołudnie. Na ulicach gdzieś leżały resztki świeżego śniegu, szybko topniejące pod działaniem wiatru. Zachodzące słońce odbijało się w mokrym asfalcie, mocno rażąc w oczy. Niekiedy spod kół pojazdów wytryskiwały skrzydła śniegowej mazi, stwarzając pewne niebezpieczeństwo dla kierowców i pieszych.

– Byłeś kiedy w telewizji? – Julian zapytał Waldka, gdy skręcali w Woronicza.

– Nie, nigdy – odpowiedział kierowca.

Julian wziął w dłoń telefon, połączył się z redaktorem Kornatem i powiedział, że już dojeżdżają.

– Doskonale... W takim razie moja asystentka zaraz zjedzie na dół i zaopiekuje się panem, panie pośle – powiedział redaktor.

– Jak chcesz zobaczyć to od środka, to chodź ze mną – Julian zwrócił się do

kierowcy, gdy już wjeżdżali na parking przed gmachem telewizji.

– Pewnie. Bardzo chętnie, panie prezesie – odpowiedział ochotczo.

Wysiedli z samochodu i poszli w kierunku wejścia. Weszli do wielkiego holu i zaczęli się rozglądać.

Za chwilę wyszła z windy młoda kobieta i dwóch mężczyzn. Mężczyźni rozmawiając, poszli w stronę wyjścia, a kobieta w kierunku Juliana i Waldemara.

– Jestem Julia Pokrowska – powiedziała, podchodząc.

– Miło mi, Julian – uśmiechnął się i dodał: – Podhorecki.

– Wiem, wiem... – odpowiedziała i wyciągnęła do niego rękę.

– A skąd pani wie, że ja to ja? – zażartował.

– Jest pan znaną osobą, panie pośle.

– To znaczy, że interesuje się pani polityką? – odparł, ściskając jej dłoń.

– Cha, cha. Jak się pracuje z redaktorem Kornatem, to trudno nie interesować się polityką – wyjaśniła i przywitała się z Waldemarem. – Zresztą i bez tego jest pan bardzo znany – dodała.

Weszli do windy i pojechali do góry.

– Dobrze, że jest pan wcześniej, to panie zdążą pana przygotować... – powiedziała, gdy wychodzili z windy. – To proszę za mną...

– A co to za przygotowanie? – zapytał trochę zdziwiony.

– Zaraz pan zobaczy – powiedziała, robiąc tajemniczą minę.

Weszli do jakiegoś pomieszczenia z ławkami wzdłuż ścian i kilkoma wieszakami nad każdą z nich.

– Pan może tu poczekać – zwróciła się do Waldka. – A pana posła poproszę tu, do pań... Tylko proszę wpiery zdjąć wierzchnie okrycia – zakomenderowała i zrobiła parę kroków w kierunku jakichś niedomkniętych drzwi.

Gdy je otworzyła, oczom Juliana ukazało się pomieszczenie podobne do gabinetu fryzjerskiego. Julian zdjął płaszcz, położył go na ławce i posłusznie poszedł za panią Julią.

– Gdzie pana posadzić? – zapytała jakąś kobietę.

– Tu – odpowiedziała kobieta i wskazała fotel.

Julian usiadł i poczuł się zupełnie, jakby był u fryzjera. Popatrzył krytycznie na swoją twarz w lustrze.

– Ile mamy czasu? – zapytała pracownica gabinetu.

– Prawie dwadzieścia minut – odpowiedziała pani Joanna, spoglądając na zegarek.

– O, to masa czasu – odpowiedziała pracownica, podeszła do Juliana i zaczęła pudrować mu nos... – strasznie się panu nos świeci – wyjaśniła. – I uczeszymy pana – dodała i zaczęła czesać jego bujne, prawie czarne włosy. – I jeszcze tylko trochę tu poprawimy – powiedziała, chwyciła szminkę i nim zdążył zaprotestować, zaczęła malować mu usta.

Nie minęło nawet pięć minut, gdy wyszedł z pomieszczenia.

Zobaczył Waldka zaglądnącego gdzieś przez inne półotwarte drzwi.

– Co tam jest? – zapytał, podchodząc do niego.

– Nie wiem, jakaś rupieciarnia... – odpowiedział dość obojętnym tonem.

Rzeczywiście, stały tam jakieś meble poprzykrywane zakurzonymi płachtami, kilka reflektorów na jednej nodze o regulowanej wysokości i parę kamer.

W przeciwległej ścianie były jeszcze lekko uchylone drzwi, za którymi rzucało się w oczy bardzo silne światło.

Kiedy tak patrzyli, drzwi się rozwarły na całą szerokość i stanął w nich redaktor Kornat.

– Zapraszam panów! – zawołał, ujrzawszy Juliana i Waldka.

Weszli do rześcicie oświetlonej dużej sali.

Na środku stał niewielki szaro-niebieski okrągły stolik i dwa foteliki. Na podłodze kilka donic z kwiatami. Po lewej stronie w odległości kilku metrów od stolika stały trzy kamery, a przy nich operatorzy. Na prawo od stolika znajdowała się półokrągła widownia, na której siedziało kilka osób. Stolik był tak usytuowany, że środkowa kamera widziała go na tle widowni. W przeciwległej ścianie było wielkie okno, za nim było widać jakieś osoby.

– Pana posła poproszę, żeby pan usiadł tu... – redaktor zwrócił się do Juliana zaraz po przywitaniu, wskazując jeden z foteli przy stoliku. – A pana poproszę, żeby pan dołączył do widzów – powiedział do Waldemara.

Obaj goście usiedli zgodnie z zaleceniami i obserwowali z zainteresowaniem ostatnie przygotowania.

Po pomieszczeniu krzątało się kilka osób, wydając rozmaite polecenia.

Za parę minut redaktor podszedł do Juliana, usiadł na przygotowanym fotelu naprzeciw niego i powiedział:

– Mamy jeszcze sześć minut do wejścia na antenę, więc możemy sobie ot tak porozmawiać o czymkolwiek... Natomiast jak nad kamerą zapali się światelko, to będzie ono oznaczało, że już jesteśmy na antenie, wtedy ja zacznę naszą rozmowę... Panie reżyserze! – zawołał do jednej z osób. – Która kamera zaczyna!?

– Środkowa! – odpowiedział reżyser.

– No to środkowa – powtórzył redaktor. – Mamy przydzielone pół godziny i musimy tak rozmawiać, żeby się w tym zmieścić.

– Ja potrafię mówić zwięźle – zapewnił Julian.

– Wiem, wiem. Nawet muszę powiedzieć, że ma pan duże umiejętności przekazywania swojej myśli. Parę razy podziwiałem to w pana wystąpieniach i raz w rozmowie ze mną.

– Ja z kolei wiem, że nieraz mówię za bardzo dosadnie, zwłaszcza jak mnie ktoś do tego sprowokuje – powiedział Julian, uśmiechając się pojednawczo i robiąc

minę winowajcy. – Ale dziś chyba mi to nie grozi, bo wiem, że pan raczej nie prowokuje tak swoich rozmówców...

Redaktor uśmiechnął się i zapytał:

– Przepraszam, a kim pan jest z zawodu?

– Ekonomistą.

– Wie pan, słuchając pana wypowiedzi, brałem pod uwagę dwie możliwości, ekonomię i prawo, ale kiedy wczułem się w rozmaite niuanse, raczej brałem pana za ekonomistę...

– Dokładnie mówiąc, najbardziej interesują mnie zjawiska gospodarcze w skali makro...

– To znaczy polityka gospodarcza?

– Tak, sterowanie gospodarką, stymulacja rozwoju gospodarczego...

– Ale teraz o tym nie rozmawiamy... Zapytam pana o to przed kamerą. A, jeszcze jedno. Nie ciągnęła pana nigdy kariera naukowa?

– Właśnie piszę doktorat... Ale nie sądzę, że by można było nazwać to karierą naukową.

– O, to ma pan dużo zajęć. Czy mogę zapytać, o czym będzie ten doktorat?

Nim Julian zdążył odpowiedzieć, rozległ się głos reżysera:

– Halo! Uwaga! Za chwilę zaczynamy! – zawołał głośno i szybko wszedł do przyległego pomieszczenia z dużym oknem.

Zapanowała cisza, zapaliło się światelko nad środkową kamerą i odezwał się redaktor Kornat:

– Dobry wieczór państwu. Dziś w naszym cotygodniowym wywiadzie gościmy pana posła Juliana Podhoreckiego. Witam pana, panie pośle.

– Dobry wieczór panu. Dobry wieczór państwu.

Wypowiadając drugie zdanie, Julian skinął głową w kierunku środkowej kamery.

– Panie pośle. Parę miesięcy temu powiedział pan w parlamencie, że w Polsce jest niska ściągalskość podatków, i nawet podał pan jeden przykład. Czy w związku z tym tematem był jakiś oddźwięk ze strony obecnego rządu?

– Nie, nie było żadnej konkretnej rozmowy dotyczącej tej kwestii – odpowiedział z uśmiechem.

– Czy mógłby pan podać teraz jeszcze jakiś sposób na unikanie podatków?

– Tak, oczywiście... – zaczął ze swadą. – Wszyscy zapewne wiedzą, że w Polsce jest dwustopniowa skala podatkowa. Przy rocznych zyskach do 20 000 euro płacimy 18% podatku... Oczywiście, odchodzi tam jeszcze koszt uzyskania, ale przy większych kwotach nie ma on praktycznego znaczenia, więc nie będziemy go brali pod uwagę. Natomiast wszystkie zyski ponad tę kwotę są obciążone podatkiem 32%. To jest dużo, ale istnieje masa sposobów na uniknięcie tego podatku. Możemy na przykład założyć jeszcze jedną, firmę o takim samym albo

podobnym profilu i zarejestrować ją jako przedsiębiorstwo z podatkiem ryczałtowym... Może nie wszyscy wiedzą, na czym to polega, więc wyjaśniam: W takiej firmie płaci się dużo niższy podatek, na przykład: 5% do 8%, w zależności od branży, ale za to nie od zysku, tylko od wartości sprzedanej. Żeby to wyglądało mniej podejrzanie, możemy tę firmę zarejestrować na żonę, syna i tak dalej. W przedsiębiorstwie ryczałtowym kupujemy mało materiałów, zatrudniamy niewielu ludzi i w ten sposób mamy niskie koszty, żeby jednak móc wykonać zaplanowaną ilość pracy, angażujemy do niej pracowników, którzy oficjalnie są zatrudnieni w drugiej firmie. Tak samo jest z materiałami. Część z nich dla firmy ryczałtowej kupujemy przez firmę z podatkiem liniowym. W ten sposób możemy kosztami zatrudnienia i materiałami tak manipulować, żeby firma płacąca podatek od zysku nie wychodziła poza próg osiemnastoprocentowy... Możemy też doprowadzić do sytuacji, w której w ogóle nie będzie przynosić zysków i nie będziemy płacić za nią podatku dochodowego...

Julian zrobił przerwę, uśmiechnął się i dodał:

– Wiem, że to mało zrozumiałe dla przeciętnego człowieka, ale mogę dać praktyczny przykład.

Julian szybko opisał konkretny przypadek, posługując się wyliczeniami, co zdziwiło dziennikarza.

– Wie pan, panie pośle, ja się zastanawiam, czy pan się tego nauczył na pamięć, bo nie chce mi się wierzyć, że pan to tak prędko liczy w pamięci... – powiedział redaktor, nie ukrywając zdziwienia.

– Ja nie liczę. Szacuję te wielkości na oko, ale zapewniam pana, że błąd jest minimalny... Raczej nie większy jak jeden procent, a to dostateczna dokładność, żeby móc analizować te zjawiska.

– Przepraszam, może ktoś z państwa ma kalkulator? – zapytał redaktor z chytrym uśmiechem i rozejrzał się dokoła.

– Ja mam! – zawołała jakaś dziewczyna z widowni i podniosła rękę do góry.

– Możemy zrobić próbę, panie pośle? – zapytał redaktor, uśmiechając się do Juliana.

– Bardzo proszę – odpowiedział Julian bez wahania.

– To niech pan powie, ile jest sto osiemdziesiąt osiem razy dwadzieścia osiem?

– To będzie około pięciu tysięcy dwustu pięćdziesięciu – odpowiedział natychmiast Julian.

– Pięć tysięcy dwieście sześćdziesiąt cztery! – zawołała dziewczyna.

– To rzeczywiście bardzo mały błąd – skomentował redaktor z podziwem. –

A może jeszcze raz?

– Cha, cha! Bardzo proszę... – odrzekł Julian ze śmiechem.

– No to dwanaście tysięcy siedemset pięćdziesiąt podzielić przez sto

siedemdziesiąt pięć?

– Siedemdziesiąt parę – odparł Julian, śmiejąc się.

– Siedemdziesiąt dwa z ułamkiem – odpowiedziała dziewczyna wyraźnie zadowolona.

– Jaki pan ma zawód, panie pośle? – zapytał redaktor, jakby chcąc zakończyć tę zabawę.

– Jestem ekonomistą.

– Taka umiejętność liczenia chyba często się panu przydaje?

– Nie wiem, jak mam odpowiedzieć na takie pytanie... Dla mnie ważniejsze jest rozumienie zjawisk gospodarczych.

– No tak... W sumie to na pewno jest ważniejsze. Czy wobec tego interesuje pana ekonomia jako nauka?

– Tak, właśnie jestem w trakcie robienia doktoratu...

– O! A czy mogę zapytać o temat?

– Oczywiście, bardzo proszę: Rozwarstwienie materialne społeczeństwa jako determinant możliwości wystąpienia kryzysu gospodarczego.

– Czy może pan trochę nam to przybliżyć?

– Oj, a ile mamy czasu? – zapytał Julian ze smutkiem.

– Nie, nie. W takim razie wycofuję się. Właściwie to już tytuł mówi, o co chodzi... Może lepiej wróćmy do poprzedniego wątku. Czy wobec tego może nam pan przytoczyć jeszcze jakieś inne sposoby omijania podatku?

– Nie jest moją intencją prowadzenie w telewizji kursu oszukiwania władz podatkowych, ale miejmy nadzieję, że oglądają nas również urzędnicy skarbowi i wyciągną z tego jakąś lekcję dla siebie... Oto następny przykład: Proszę sobie wyobrazić, że sytuacja życiowa zmusza przedsiębiorcę do zatrudnienia opiekunki do dziecka, gosposi, ogrodnika lub innych osób do obsługi swojego domu. Przyjmuje więc te osoby do pracy w swojej firmie i ona ponosi koszty ich zatrudnienia. W ten sposób nie musi wydawać swoich prywatnych pieniędzy, a równocześnie zmniejsza zysk swojego przedsiębiorstwa, dzięki czemu płaci mniejszy podatek... Powiedziałbym nawet, że to nagminne. Wiele przedsiębiorstw posiada takie martwe dusze.

– Rozumiem, ale jak doprowadzić do lepszej ściągalności podatków? – zapytał redaktor i spojrzął na zegarek. – Zaostrzyć kary?

– Jestem przeciwnikiem zaostrzania kar, bo i tak są surowe. Przecież za oszustwa podatkowe grozi więzienie. To tylko pociąga dodatkowe koszty, na które nas nie stać. Uważam, że absolutnie nie tędy droga. Lepiej niech ci ludzie pracują z pożytkiem dla państwa i dla siebie. Należy natomiast dążyć do poprawy wykrywalności... Po pierwsze, należałoby doprowadzić do tego, żeby szkoły ekonomiczne wypuszczały ludzi lepiej do tego przygotowanych. Taka jest obecna potrzeba i programy szkół powinny to uwzględniać. Po drugie, jeżeli mówimy

o karaniu, to raczej należy karać nieudolnych urzędników... Ale też nie chodzi o zamykanie w więzieniach tych, którzy jeżdżą na kontrole. Należy karać ich przełożonych... Muszę tu jednak zaznaczyć, że nie mam na myśli kar nakładanych przez sądy. Uważam, że jeżeli pracownik źle pracuje, to jest przede wszystkim wina jego przełożonego, że go nie kontroluje i mu na to pozwala. Należy po prostu zwalniać z pracy przełożonych, którzy się do tego nie nadają. Na pewno jest potrzebna kontrola tych, którzy kontrolują. Rzecz jasna, bez przesady. Nie może być tak, że bilety w pociągu sprawdza konduktor, konduktora sprawdza kontroler, a kontrolera kontroluje jakiś nadkontroler, ponieważ w ten sposób doszlibyśmy do granicy absurdu...

– Więc co pan proponuje?

– Cóż. Jest u nas dużo instytucji zajmujących się kontrolą, ale one są mało efektywne, zresztą jak wszystko to, co państwowe. Warunkiem dobrego działania takich organów jest właściwy dobór kadry. Uważam, że naczelnikami takich instytucji powinni być fachowcy, a nie jakieś osoby z klucza partyjnego. Poza tym oni muszą umieć dobierać sobie kierowników poszczególnych pionów. Jeżeli tego nie potrafią, to nie nadają się na te stanowiska... To są urzędy dobrze płatne i na pewno w Polsce istnieją ludzie, którzy potrafiliby je piastować, i za takie pieniądze chętnie podjęliby taką pracę, tylko trzeba umieć ich znaleźć i dać im szansę... Jeżeli się tego nie umie, to nie należy rwać się do rządu. W ogóle uważam, że w dobrze działającym państwie powinien być kładziony większy nacisk na wyszukiwanie zdolnych ludzi i stwarzanie im warunków do dalszego rozwoju. W Polsce marnuje się zbyt dużo talentów... Należy pamiętać o tym, że ludzie wybitnie uzdolnieni często bywają skromni, nie potrafią rywalizować z nachalnymi miernotami i przeważnie przegrywają w konfrontacji z nimi. Dodatkowym problemem jest to, że od kilkudziesięciu lat rządzą ludzie partyjni, a nie fachowcy... Nie można ideologii mieszać do gospodarki, do polityki zagranicznej, a już najbardziej do ustawodawstwa, zwłaszcza w takim państwie jak Polska.

– To znaczy w jakim, panie pośle?

– My jesteśmy specyficznym narodem, ponieważ do tej pory nie potrafiliśmy się otrząsnąć z tradycyjnego sarmatyzmu. Dlatego interesy grupowe wciąż biorą górę nad interesem ogółu. Wystarczy czasem popatrzeć na przebieg obrad w parlamencie... Przecież tam dwie trzecie czasu idzie na narzucanie swojego punktu widzenia, szkalowanie przeciwników politycznych i przepowiadanie czarnych scenariuszy typu: co to będzie, jeśli będzie...

– Jednak mimo tych mankamentów nasza gospodarka rozwija się w imponującym tempie...

– Rozwija się, ale kosztem lecznictwa, oświaty, kultury... To dziedziny, które już tradycyjnie są niedoinwestowane... W ogóle nasz rozwój gospodarczy odbywa się głównie kosztem najbiedniejszych warstw społeczeństwa.

– Ale jak zrobić, żeby ludzie byli inni?

– To trudny problem, którego nie da się szybko rozwiązać. To praca na długie lata, ale trzeba ją w końcu podjąć. Szkoły muszą uczyć postaw obywatelskich – tak jak uczy się matematyki czy historii. Telewizja państwowa też powinna coś robić w tym zakresie. Dorosłych również trzeba wychowywać... Korci mnie, żeby dać taki banalny przykład: Na parkingu są dwa wolne miejsca. Przyjeżdża kierowca, parkuje na środku i oba miejsca są zajęte. Jak to o nim świadczy? – zapytał z oburzeniem. – Przecież to dorosły człowiek, który powinien zdawać sobie sprawę, że postępując w ten sposób, pozbawia innego kierowcę możliwości zaparkowania auta... Ale powracając jeszcze na chwilę do kwestii parlamentu, chciałbym powiedzieć, że czasami myślę, iż jest w nim za dużo posłów. Sądzę, że pracę nad ustawami można by śmiało powierzyć jakiemuś kolegium bezpartyjnych fachowców, którzy zrobiliby to lepiej, szybciej i bez zbędnych dyskusji o sprawach niezwiązanych z ustawodawstwem. Gotowa ustawa szłaby do parlamentu w celu zatwierdzenia... Uważam, że gdyby znacznie okroić skład parlamentu, byłoby proporcjonalnie mniej zbędnych dyskusji. W dodatku ten parlament byłby tańszy. Nie wiem, ile kosztuje jego utrzymanie, ale przypuszczam, że to jest kilkaset milionów euro rocznie. To znaczące pieniądze... Na pewno z różnicy tych kosztów utrzymałoby się parę szpitali.

– To jest nierealne. Przecież posłowie nie uchwalą czegoś takiego... – zauważył redaktor. – Musieliby głosować przeciwko sobie.

Julian milczał dłuższą chwilę, po czym ze smutkiem powiedział:

– Niestety... Wiadomo, że ważniejszy jest ich osobisty interes.

– Będziemy musieli kończyć, panie pośle. Czas przeznaczony na nasze spotkanie prawie się wyczerpał. Proponuję, żeby spojrzął pan na monitor pod środkową kamerą. Tam wyświetla się procent głosów popierających pana i przeciwnych – redaktor popatrzył na monitor i dodał: – Popiera pana osiemdziesiąt jeden procent telewidzów, dziewiętnaście jest przeciwnych... To doskonały wynik. Gratuluję – powiedział, wstając i wyciągając do Juliana rękę. – Warto też zauważyć – dodał, potrząsając jego dłonią – że jeszcze przed paroma minutami było to siedemdziesiąt osiem procent, ale kiedy powiedział pan o zredukowaniu liczby posłów, przybyły panu trzy procenty. To jest bezpośredni dowód, jak łatwo można zyskać poparcie społeczne...

– Cha, cha – albo stracić – skonstatował Julian ze śmiechem.

Dziewiętnastego marca wstał wcześniej, mimo że była to sobota. Nie była to jednak zwykła sobota, lecz wyjątkowa – dwudzieste drugie urodziny Małgorzaty. Wyjął słoik z kwiatami, które poprzedniego dnia przemycił do domu, i schował za kredensem. Zadowolony, że dobrze się przechowały, przełożył je do wazonu

i zrobił śniadanie. Poustawiał wszystko na tacy, zaniósł do pokoju i wraz z tacą postawił na nocnej szafeczce przy tapczanie od strony Małgorzaty. Następnie włączył z odtwarzacza cichą muzykę. Był to polonez Karola Kurpińskiego Witaj, Królu.

– Oj, jaka ładna muzyka... – powiedziała Małgorzata, przeciągając się. – A jak kawa pachnie... – dodała z uśmiechem.

– To z okazji twoich urodzin... – powiedział, usiadł na brzegu tapczanu, pocałował ją w policzek i dodał: – Życzę ci wszystkiego najlepszego.

– Dziękuję, kochany, to miłe, że pamiętałeś... – odpowiedziała, obejmując go i przyciskając do siebie. – Ale ja chyba wstanę.

– Dlaczego? – zapytał zdziwiony, nie wypuszczając jej z objąć.

– Wiesz, zawsze się zastanawiałam, skąd się wziął pogład, że podawanie komuś śniadania do łóżka to dowód dbałości, a przecież jedzenie w łóżku jest po prostu niewygodne... W dodatku kojarzy się z chorobą. Uważam, że dużo wygodniej jest jeść przy stole.

– Hm. Zwłaszcza dla kogoś z takim praktycznym podejściem jak ty... – odpowiedział, uśmiechając się. – Ja też tak myślę, ale chciałem ci się trochę podlizać.

– Cha, cha, cha, lizus... – powiedziała, całując go koło ucha. – Mój kochany lizus – powtórzyła.

Odrzuciła kołdrę na bok i przesunęła się w dół. W ten sposób jej koszulka nocna przesunęła się ku górze, odsłaniając jej zgrabne nogi aż po brzuch.

Julian zobaczywszy to, wsunął dłoń między jej uda i zaczął całować jej nagie łono. Ona chwyciła go za głowę, wplotła palce w jego włosy i poddała się tej pieśczoście.

– Wiesz, nie naciskaj mnie na dół brzucha, bo mi się strasznie chce siusiu – powiedziała po chwili, próbując się wyswobodzić z jego uścisku.

Julian posłusznie ją puścił i wstał.

Weszła do łazienki. Julian tymczasem zaczął pośpiesznie się rozbierać. Po kilku minutach wyszła zupełnie naga, usiadła na brzegu tapczanu, odchylając brzeg kołdry. Julian chwycił ją wpół i pociągnął ku sobie. Też był całkiem goły. Gdy rzucił się na nią, poczuł z jej ust zapach pasty do zębów.

Wstali koło południa.

– Jestem strasznie głodna, a tego śniadania jest za mało – powiedziała, czule się uśmiechając.

– To trzeba dorobić więcej – powiedział i poszedł do kuchni.

Za chwilę rozległo się buczenie krajalnicy do chleba, zaraz po tym szum wody w czajniku.

Gdy jedli śniadanie, zadzwonił telefon.

Małgorzata odruchowo wzięła go w dłoń i zgłosiła się. Znieruchomiła, odjęła go od ucha, spojrzała na wyświetlacz, następnie znów przyłożyła do ucha i zdenerwowana zapytała:

– O co panu chodzi? Kim pan jest?

Julian wyrwał jej telefon z dłoni, przyłożył do ucha, powiedział: „Halo”, parę sekund słuchał, po czym popatrzył na wyświetlacz, wyłączył telefon, położył go na stole i zapytał:

– Co mówił ten ktoś?

– Powiedział, że jeżeli chcemy żyć długo i szczęśliwie, to masz się mniej angażować do polityki... A do ciebie co powiedział? – zapytała jeszcze bardziej zdenerwowana.

– Jak ja się odezwałem, to już się wyłączył, ale ty popełniłaś kardynalny błąd! – zawołał ze złością.

– Jaki błąd? – zapytała zdziwiona.

– Nie odbiera się anonimowych telefonów! – wykrzyknął gniewnie, zupełnie nie panując nad sobą, a jego twarz przybrała wyraz, którego Małgorzata jeszcze nie знаła.

– Ale ja odruchowo...

– Trzeba myśleć, a nie kierować się odruchami! – nie dał jej dokończyć. – Pomogłaś mu wykonać zadanie! Gdybyś się nie zgłosiła, zadzwoniłby jeszcze raz i jeszcze raz, a ja zgłosiłbym na policję i za którymś razem by go namierzyli! – krzyknął i rzucił o ziemię trzymaną w dłoni kanapkę.

Krzyczał tak głośno, że Małgorzatę obleciał strach, a w jej oczach pojawiły się łzy.

Wziął znów telefon i zadzwonił do Dworaka.

– Słuchaj, Dworak! Przed chwilą z anonimowego telefonu dzwonił do nas ktoś z pogroźkami! Musisz natychmiast podjąć jakieś środki! – zawołał.

– Ale ja nie mam warunków do prowadzenia takiej sprawy. To pow...

– Gównu mnie to obchodzi, Dworak! – przerwał mu w połowie zdania.

– Tak jest, panie prezesie, już wszystko rozumiem, zaraz do pana przyjadę, żeby nie rozmawiać o tym przez telefon – odpowiedział spokojnie.

– No! – powiedział Julian tonem niezadowolonego władcy i się wyłączył.

Tym jednym słowem potwierdził przypuszczenia Romana.

Małgorzata chcąc uniknąć dalszej rozmowy z Julianem, weszła do kuchni i usiadła na taborecie.

– Gdzie tam uciekłaś? – zapytał tym samym tonem niezadowolenia, ale trochę ciszej.

– Boję się ciebie – cicho odpowiedziała.

– Bo nigdy na to nie zasługiwałaś... Nie wiem, skąd u ciebie nagle taki brak

rozsądku? – powiedział z taką samą pretensją jak przed paroma minutami. – Zabieraj to śniadanie, już się najadłem – dodał, machając dłonią, jakby chciał coś od siebie oddalić. Małgorzata weszła, zmiotła z podłogi zawartość rzuconej przez Juliana kanapki, zebrała na tacę wszystko, co było na stole, i w milczeniu wyszła do kuchni.

Po czterdziestu minutach przyjechał Dworak i profesor Borek.

– A ty tu po co? Ciebie nie wzywałem, tylko Dworaka – powiedział Julian, zobaczywszy profesora.

– Przejeżdżałem obok i postanowiłem was odwiedzić – odpowiedział spokojnie. – Widzę, że coś cię zdenerwowało? – dodał z troską w głosie. – Chciałbym ci jakoś pomóc...

Julian nic nie odpowiedział. Siedział tylko na kanapie i bezmyślnie patrzył w dal.

Małgorzata podeszła do profesora i cicho zapytała:

– Popeliłam pewną gafę i bardzo go to zdenerwowało. Zastanawiam się, czy nie zostawić was tu z nim i wynieść się, póki mu to nie minie.

Profesor nic nie odpowiedział, jedynie nieznacznym skinieniem głową dał do zrozumienia, że to dobra propozycja.

Małgorzata w milczeniu przeszła do przedpokoju, włożyła kurtkę i wyszła na zewnątrz.

– Chciałbym ci zrobić zastrzyk – zaproponował profesor, kładąc dłoń na Juliana ramieniu.

– Sobie wpięrow zrób. Wszystkim wam by się to przydało – odpowiedział ze złością, w dalszym ciągu patrząc gdzieś daleko przed siebie.

– Dobrze, zrobię wszystkim – odpowiedział profesor, położył na stole mały neseser, wyjął z niego strzykawkę z lekiem i zwrócił się do Juliana: – Połóż się i opuść trochę spodnie.

Ku zdziwieniu profesora i Romana Julian posłusznie wykonał polecenie.

Profesor zrobił mu zastrzyk i powiedział:

– To teraz przejdź do sypialni i tam się połóż, a ja tymczasem zrobię zastrzyk Romanowi.

Julian zaczął się ubierać.

– Julianie, nie ubieraj się, raczej się rozbierz. Idź do sypialni i się połóż... – doradził Edward, pakując z powrotem swoje przybory.

Julian, trzymając ręką niezapięte spodnie, podtrzymywane przez Romana, przeszedł do sypialni, usiadł na brzegu tapczanu i zaczął się rozbierać. Nie dokończywszy tej czynności, położył się na boku i zasnął.

Roman zdjął mu spodnie, ułożył go na tapczanie, przykrył kocem i przeszedł do salonu. Profesor zwrócił się do niego:

– Może pan z nim zostać, póki nie wrócę?

– Tak, ale w razie czego co mam robić?

– On będzie spać przez następnych kilka godzin, ale dobrze, żeby na wszelki wypadek ktoś z nim był... Chodzi o to, żeby nie wychodził w tym stanie z domu...

Powiedziawszy to, szybko wyszedł. W drodze do samochodu zadzwonił do Małgorzaty i zaproponował spotkanie.

– Chciałem z tobą porozmawiać na temat Juliana – wyjaśnił.

– Gdzie chcesz się spotkać? Może u mojej mamy, bo ja właśnie tam jadę...

– Możemy u twojej mamy, ale czy jesteś pewna, że chcesz ją martwić waszymi kłopotami?

Małgorzata dłuższy czas milczała, po czym odpowiedziała:

– Nie wiem, jak lepiej, ale myślę, że może spotkajmy się gdzieś indziej, bo ja muszę się nad tym zastanowić...

– Myślę, że najswobodniej byłoby u mnie...

– Dobrze, to już zmieniam kierunek i jadę do ciebie. Jeżeli przyjadę pierwsza, to poczekam w samochodzie.

– Tylko jedź wolno i ostrożnie, ponieważ jesteś zdenerwowana.

Profesor przyjechał pierwszy. Wstawił auto do garażu i gdy je zamykał, posłyszał nadjeżdżający samochód.

Małgorzata wysiadła. Pomimo dużego chłodu była ubrana w cienką sukienkę i letnią kurtkę.

– Zażębisz się. Chodź szybko – pośpieszył ją, patrząc ze współczuciem na jej zmartwioną twarz.

Weszli do mieszkania.

– Napijesz się czegoś gorącego? – zapytał, włączając czajnik. – Siadaj, gdzie ci wygodnie – dodał.

Usiadła na narożnej kanapie, przy której stał mały owalny stolik.

Edward nalał dwie filiżanki herbaty, wyjął z kredensu staroświecki kryształowy pojemnik z pierniczkami i postawił na stoliku.

Sam usiadł na drugim boku kanapy.

Małgorzata spojrzała na obraz przedstawiający Amalfi. Przypomniał się jej wakacyjny wyjazd z Julianem. Siedziała smutna, przyglądając się nadmorskiemu pejzażowi.

– Nie miej żalu do Juliana. To nie jego wina... – powiedział Edward, nie bawiąc się w żadne wstępy. – On jest chory. Ma zaburzenia osobowości. Tylko jest problem z leczeniem. Jeżeli zacznie się leczyć u psychiatry albo psychologa, a ja uważam, że najlepiej u jednego i u drugiego, to wcześniej czy później któryś z jego przeciwników to wywacha i zacznie to wykorzystywać przeciwko niemu. To by go zniszczyło jako człowieka i jako polityka.

– Ja to rozumiem – odpowiedziała – ale nie pojmuję, dlaczego ta jego druga osobowość jest taka zła? Taka agresywna?

- Jemu się wydaje, że jest Jurskim.
- Ale przecież Jurski był dobrym człowiekiem... – powiedziała zdziwiona.
- Jurski był typowym cholerykiem. Był niecierpliwy, nieopanowany, czasem nawet złośliwy.
- Słuchając opowiadań Juliana, wyciągnęłam przeciwne wnioski...
- Widzisz, bo on dla Juliana taki nie był. Do niego od samego początku żywił jakieś takie bardziej ojcowskie uczucia... Nie wiem, może dlatego, że syn nie spełniał jego oczekiwań. Natomiast Julian był ekonomistą, tak jak Jurski. Poza tym był zdolny i miał zapał do wszystkiego, co robił... Tak jak Jurski. Pod tym względem byli do siebie podobni.
- Ale oni się krótko znali...
- Dokładnie nie pamiętam, ale chyba niecały rok. Rzeczywiście, to krótko, ale... – przerwał, szukając odpowiedniego określenia. – Krótko, ale intensywnie... – wyjaśnił. – Zabierał go na wszystkie posiedzenia zarządu, narady, rozmowy z kontrahentami... Nawet powiedziałbym, że do pewnego stopnia popisywał się przed Julianem, robiąc w jego obecności awantury różnym osobom ze swojego otoczenia.
- No tak, widzę, że to jest rzeczywiście problem dla psychologa i dla psychiatry.
- Ano widzisz. Julian miał dość rozległy uraz mózgu, długo był w stanie śpiączki. Tymczasem teraz żyje zbyt intensywnie. Jego psychika jest zbyt obciążona. To jest przyczyna tych zaburzeń.
- Kilka razy nalegałam na niego, żeby zwolnił i żył bardziej na luzie, ale żadne perswazje nie pomagają... Naprawdę nie wiem, co mam robić, i coraz bardziej się martwię.
- Ja też parokrotnie z nim rozmawiałem... Ostatnio po tym wydarzeniu w Łodzi... Wiesz, to była poważna i dość długa rozmowa. On się tym przejął i było mu wstyd. Nie wiem, ile z tego pamiętał, bo starałem się jak najmniej go pytać, żeby nie stawiać go w kłopotliwej sytuacji, ale wydaje mi się, że on trochę pamięta, wbrew temu, co piszą w podręcznikach do psychiatrii. Być może to nie jest klasyczny przypadek... W każdym razie widzę, że może być z tym duży problem, dlatego że on politykę traktuje jako swój życiowy cel... Nie wiem, jak to nazwać... To swego rodzaju posłannictwo... Przynajmniej tak mi się wydaje.
- No tak, ja też myślę, że chociaż psycholog by mu się przydał.
- Na pewno, ale skąd wziąć zaufanego psychologa? Ja takiego nie znam. Nie wiem, naprawdę nie wiem, jak mu pomóc... On mi się wtedy skarżył, że chwilami czuje się, jakby Jurski chciał nim rządzić... Jakby podsuwał mu swoje rozwiązania... Myślę, że on prawdopodobnie usiłuje zgadywać, co w różnych sytuacjach zrobiłby Jurski, i te swoje myśli traktuje jak jakiś imperatyw narzucany przez niego... – pomyślał chwilę i dodał: – Wiesz, on mi mówił, że on nie chce się

wzorować na Jurskim, tylko chce być sobą, i wydaje mi się, że on w pewnym momencie o tym zapomina i staje się jakby kopią Jurskiego... Nie jestem psychiatrą, więc może to jest naiwna interpretacja, ale skoro on trochę pamięta, to może to jest właśnie coś takiego.

– Może tak... Przecież każdy ma jakieś swoje zasady i stara się postępować zgodnie z nimi, ale w sprzyjających okolicznościach zapomina o nich i robi coś, czego normalnie by nie zrobił. Później ma po tym niesmak.

– Właśnie... I to jest taka normalna ludzka słabość, nawet nie choroba... Ale u niego to ma chyba jednak jakieś podłoże pourazowe i nie można tego bagatelizować.

– Wiem. Sporo o tym czytałam... Ale on na co dzień nie wykazuje żadnych kłopotów z pamięcią ani z koncentracją. Przeciwnie, ma doskonałą sprawność umysłową.

– To bardzo dobrze... Skoro tak mówisz, to doskonale – powiedział profesor z radością. – Ty z nim jesteś na co dzień, więc twoje zdanie jest najbardziej miarodajne.

Po wyjściu od profesora Małgosia pojechała do matki. Spędziła z nią prawie dwie godziny i wróciła do domu.

Julian spał jeszcze w najlepsze, a Roman czytał gazetę.

– No i jak? – zapytała już w przedpokoju.

– Chyba dobrze. Na wszelki wypadek nie zaglądam do niego – wyjaśnił.

– To ja zajrzę – powiedziała i cicho weszła.

Leżał na boku i miarowo oddychał. Jakiś czas stała przy nim. Po chwili nachyliła się i pocałowała go w policzek.

Przekręcił się na wznak i otworzył oczy.

– Wstyd mi, że byłem taki podły – cicho powiedział. – Przykro mi, że nie potrafiłem tego opanować...

– Nie myśl o tym, śpij – powiedziała i poprawiła koc, który częściowo zsunął się na podłogę.

Żal, jaki miała do niego, minął już zupełnie, a jego miejsce zajęło współczucie. Jednak postanowiła rozmówić się z nim bardziej ostro niż zwykle, gdy tylko dojdzie do siebie.

Miała nadzieję, że może w ten sposób zmusi go do wprowadzenia jakichś zmian w swoim trybie życia.

– Nie wychodzisz już nigdzie? – zapytał Roman, kiedy wróciła do salonu.

– Nie. Muszę zrobić coś do jedzenia... Może i ty ze mną zjesz? – zapytała ze smutkiem w głosie.

Roman popatrzył na jej zmęczoną twarz i zrobiło mu się jej żal. Przez chwilę

pomyślał, że Julian chyba nie docenia jej poświęcenia.

– Nie, dziękuję, pojedę. Jola czeka – odpowiedział.

– Popsuliśmy ci sobotę...

– Nie, dlaczego? I tak nic nie planowaliśmy... – Małgorzata wyczuła w jego głosie nieszczerłość.

Zrobiła obiad, sama zjadła, posprzątała i próbowała się uczyć, ale nie mogła się skoncentrować na tym, co czyta.

Dochodziła siedemnasta, gdy Julian stanął w drzwiach pokoju.

– Przepraszam cię – powiedział cicho.

Widać było, że się wstydzi.

– Julianie, tak nie może być... Wpierw wszystkich obrażasz, a później przepraszasz. Stracisz przyjaciół, jak będziesz tak robić. Jeżeli jesteś chory, to powinieneś się leczyć, a jeżeli po prostu taki jesteś, to musisz pracować nad sobą... W przeciwnym razie w pewnym momencie zostaniesz sam.

– Nie dobijaj mnie. I tak mi wstyd – powiedział błagalnym głosem.

– Więc przemyśl to sobie. Trzem osobom zmarnowałeś sobotę.

– Jak więc mogę to naprawić? – zapytał, chcąc jakoś doprowadzić do ugody.

– Nie wszystko da się naprawić. Lepiej na przyszłość tak postępować, żeby nie naprawiać.

– Ja nie bardzo wiem, co zrobiłem – odpowiedział, usiłując załagodzić sprawę.

– Wiesz, wiesz, tylko udajesz... Dlaczego przepraszasz, skoro nie wiesz?

– Pamiętam, że rozmawiałaś przez telefon i ja się zezłościłem... Dalej nie wiem, co było...

– Julianie, rok temu nie byłeś taki. Nie wiem, co się z tobą dzieje. Tak nie może być – postanowiła kontynuować swój plan aż do uzyskania rezultatu.

– Więc co mam robić? – zapytał, rozkładając bezradnie ręce.

– Zwolnić, dużo mniej pracować, a najlepiej złożyć mandat... – było jej go żal, ale trzymała się wytyczonego kierunku.

– Małgosiu, ja muszę to robić. Inaczej moje życie nie ma sensu... – powiedział z rozpaczą.

– Co ty mówisz... – powiedziała zdziwiona.

– Ta praca to jedyne, co uzasadnia mój pobyt tu, wśród żywych...

– Julianie, co ty wygadujesz?

Powiedziawszy to, zamilkła, zastanawiając się nad sensem tego, co powiedział. W końcu doszła do wniosku, że to jedynie retoryka, i dodała:

– Julianie, czy ty nie rozumiesz, że wcześniej czy później na oczach tysięcy ludzi zrobisz coś takiego, że cię stamtąd wywalą? Będziesz się wstydzić, tak jak dzisiaj się wstydzisz... – powiedziała z pasją. – Co ja mówię. Dużo bardziej będziesz się wstydzić! – dodała podniesionym głosem.

– Małgosiu, przecież tam wariatów nie brakuje i nikt ich nie wywala...

– Cha! Cha! Cha! Ty jesteś rozbrajający... – powiedziała, śmiejąc się przez łzy, podeszła do niego, objęła go, pocałowała i łagodnie dodała: – Martwię się o ciebie, wariacie mój kochany... Wszyscy się martwimy – zrobiła przerwę i dodała głośniej: – Pracuj nad sobą, albo się lecz, do cholery!

W poniedziałek rano, jak co tydzień, Julian pojechał do swojego biura poselskiego na rozmowę z wyborcami. Nie lubił tych spotkań, ponieważ przeważnie przychodzili na nie ludzie pokrzywdzeni przez los i szukali pomocy w sprawach, w których nie udało im się uzyskać pomocy państwa. Kiedy się zbliżał do biura, przypomniało mu się, jak poprzednim razem jego gość uzalał się, że Urząd Kontroli Usług przez pół roku nie podjął żadnej próby rozwiązania jego problemu i nawet nie odpowiedział na jego skargę, w której prosił o pomoc. Julian nie lubił tego, gdyż przeważnie w takich sytuacjach był bezsilny. Wiedział, że państwo nie kontroluje należycie swoich urzędów, agencji i różnych innych instytucji i niezbyt się przejmuje ich nieudolnością, a społeczeństwo na tym cierpi.

Było jeszcze dodatkowe utrudnienie, ponieważ jako poseł bezpartyjny nie może liczyć na wsparcie jakiegokolwiek partii, co bardzo przydałoby się w wielu tego rodzaju przypadkach.

Gdy wszedł do biura, czekał na niego jakiś wybujały mężczyzna w średnim wieku.

Wszedł do swojego pokoju, rozebrał się i poprosił petenta.

– Dzień dobry. W czym mogę panu pomóc? – zapytał i uśmiechając się, wyciągnął dłoń do gościa.

– Właściwie to przyszedłem, żeby zaoferować panu swoją pomoc, panie pośle – powiedział nieznajomy mocnym barytonem i aż do bólu ścisnął prawicę Juliana.

– W czym może mi pan pomóc? – zapytał Julian zdziwiony niespodziewaną propozycją, równocześnie wrywając dłoń z żelaznych kleszczy. – Ale proszę, niech pan siada – powiedział, wskazując krzesło.

Krzesło zatrzeszczało pod ciężarem przybysza, który za chwilę poderwał się nieco zmieszany i ponownie wyciągając dłoń, powiedział:

– Przepraszam, ale nie przedstawiłem się... Jestem Zbigniew Zasieczny.

Julian jeszcze raz włożył dłoń w imadło, ale tym razem spodziewając się bisu, sam z całych sił ścisnął dłoń przybysza.

Stali chwilę, mocując się i uśmiechając do siebie, po czym Julian na próbę złuzował nieco swój uścisk. Pan Zasieczny również okazał dobrą wolę i zawody zakończyły się remisem.

Za chwilę krzesło znów zatrzeszczało pod panem Zasiiecznym, a Julian znów

zachęcił gościa, mówiąc z uśmiechem:

– No to proszę. Słucham pana...

– Pamięta pan, jak zaraz po wyborach poseł Burakowski z Partii Chrześcijańsko-Demokratycznej oskarżył jednego z posłów, że jego kampania wyborcza była nielegalnie finansowana?

– Tak, oczywiście, ale później miał z tego powodu sprawę, którą przegrał i musiał ponieść niemiłe konsekwencje... – odpowiedział Julian.

– Właśnie... Niech pan sobie wyobrazi, panie pośle, że ja wtedy chciałem pomóc posłowi Burakowskiemu wygrać tę sprawę, ponieważ w tamtym czasie jeszcze wierzyłem w mądrość i dobre intencje tej partii. Tak się składa, że pracuję w przemyśle reklamowym i dobrze znam te sprawy. Wiem, jak odbywają się kampanie reklamowe i jak można nielegalnie je sfinansować...

– O, to ciekawe – wtrącił Julian. – I co?

– Więc napisałem do posła Burakowskiego list. Zaoferowałem w nim pomoc i wysłałem go na adres głównego zarządu partii w Warszawie z prośbą o przekazanie posłowi.

– Nie mógł pan znaleźć adresu bezpośrednio do posła Burakowskiego?

– Właśnie... Podałem swój adres i telefon, a potem czekałem, aż poseł się odezwie... I proszę sobie wyobrazić, minęły dwa tygodnie i nic... Pomyślałem sobie, że pewno list gdzieś zaginął, bo przecież posłowi na pewno zależy, żeby sprawę wygrać. Wysłałem więc następny – również bez skutku. Pomyślałem wtedy, że jeśli listy nie wróciły do mnie, to znaczy, że poczta je dostarczyła, tylko biuro partii nie pracuje jak należy.

– Uważam, że wniosek jest logiczny... – wtrącił Julian.

– Wtedy postanowiłem przeprowadzić eksperyment. Wydrukowałem jeszcze osiem takich listów i zacząłem je wysyłać co parę dni... I jak pan poseł myśli? Jak się to skończyło? – zapytał gość z przebiegłą miną.

– Myślę, że skoro pan tu przyszedł, to znaczy, że nie doczekał się pan odpowiedzi na żaden z tych listów.

– Właśnie. Nie dostałem odpowiedzi na żaden z dziesięciu listów – stwierdził pan Zasieczny z oburzeniem. – Oczywiście, poseł przegrał sprawę, jak pan poseł dobrze pamięta.

– Niech żałuje, jego problem – spuentował Julian.

– Ja jednak chciałem wyjaśnić sprawę i zadzwoniłem do zarządu partii, przedstawiłem szczegółowo wszystko i zapytałem, jak to możliwe, żeby posłowi nie przekazywano korespondencji przychodzącej na adres zarządu. Pani, z którą rozmawiałem, powiedziała z rozbijającą szczerością, że nie wie. Wtedy ponownie się przedstawiłem, podałem swój adres, numery telefonów i poprosiłem, żeby się zorientowała, co się stało z moją korespondencją, a jeśli uda się sprawę wyjaśnić, to żeby mnie powiadomiła... Ponieważ mi się nie przedstawiła, zapytałem z kim

miałem przyjemność rozmawiać. Odpowiedź brzmiała: „Z panią Pauliną”.

– Cha! Cha! Cha! Cha! – zaśmiał się Julian na całe gardło.

– Widzi pan, panie pośle. Pracownica reprezentująca partię, która rządzi Polską, tak się przedstawia... Jak na dyskotecę, bez nazwiska... Partia, która nie potrafi zorganizować swojego biura, organizuje rząd w europejskim kraju, rządzi czterdziestomilionowym krajem... Brak słów, żeby to skomentować... – powiedział z oburzeniem.

– Przepraszam, ale czy po tej rozmowie ktoś chociaż do pana zadzwonił?

– A gdzie tam! – odpowiedział pan Zbigniew z rezygnacją. – Dlatego do pana przyszedłem, bo wiem, że pan jest posłem, który rzeczywiście reprezentuje normalnych ludzi, takich jak ja. Wiem, że pan dla tamtych jest niewygodny, bo mówi pan prawdę, nie owija pan w bawełnę i nie kieruje się pan interesem żadnej partii, tylko rzeczywistym dobrem kraju... Wiem, że wielu z nich, chętnie utopiłoby pana posła w łyżce wody, więc pomyślałem, żeby dać panu materiały przeciwko nim. Może się panu przydadzą. Upoważniam pana, żeby pan ich użył, kiedy i gdzie uzna pan za stosowne.

Powiedziawszy to, wyciągnął trzymaną do tej pory pod pachą kartonową teczkę. Julian wziął ją z zainteresowaniem i otworzył. Był tam list do Partii Chrześcijańsko-Demokratycznej, pisemne omówienie całej sprawy i potwierdzenia nadania listów poleconych.

– Ale wie pan co? – powiedział Julian, patrząc gościowi prosto w oczy. – Boję się zrobić z tego użytek...

– Dlaczego? – zapytał pan Zasieczny ze zdziwieniem.

– Bo wiem, że jak przychodzi do zeznawania w prokuraturze albo w sądzie, to często zdarza się, że ludzie się boją i wycofują się z tego, co mówili wcześniej.

– Ale panie pośle. Ja nie jestem takim tchórzem... Nigdy w życiu bym czegoś takiego nie zrobił... Poza tym nie można się spokojnie przyglądać, jak grupa dyletantów rządzi krajem i w dodatku ośmiesza nas przed całym światem...

– Panie Zbigniewie, niech się pan nie gniewa, ale są tu dwie poważne kwestie. Po pierwsze, jaką mam pewność, że pan nie podkuli ogona, jak zaczną pana straszyć? Po drugie, to oni wygrali wybory i jeżeli ujawnimy to w tej chwili, to i tak tego wyniku nie zmienimy. Namieszamy, namącimy, ale i tak wszystko zostanie, jak jest... To nawet nie wpłynie na wynik następnych wyborów, które będą za trzy i pół roku, bo społeczeństwo do tamtego czasu zapomni o tym...

– To co? Czekać do następnych wyborów?

– To są pana materiały i pan musi zdecydować, czy je wykorzystać i w jaki sposób...

– Ja nie potrafię tego skutecznie zrobić. Panie pośle, ja jestem za mały do tego, dlatego przyszedłem do pana...

– Bardzo mi miło, ale już panu powiedziałem, że w tej chwili osiągniemy

tylko tyle, że namęcimy – i na tym koniec. Jak pan chciał zmienić bieg historii, to należało zrobić to przed samymi wyborami.

– Tak, ale to wypłynęło dopiero tuż po wyborach.

– To trzeba się z tym pogodzić – powiedział Julian, rozkładając bezradnie ręce. – Ja się nie podejmuję wykorzystania tych materiałów, ponieważ interesuje mnie skuteczne działanie.

– Szkoda – powiedział gość, wstając. – To naprawdę nie chce pan tego?

– Ja mogę to wziąć, ale włożę to do szafy i sprawa będzie czekać na jakąś okazję. Czy ona się zdarzy, nie wiadomo... W każdym razie jestem przeciwnikiem takiego męcenia, które zabiera czas, a nie daje żadnych wyników – powiedział z ponurą miną. – W parlamencie jest ze trzystu takich, a ja nie chcę być jednym z nich – dodał.

– To ja to zostawię u pana – powiedział trochę rozczarowany Zasieczny.

– Bardzo proszę, ale w takim razie niech pan podpisze każdy z tych arkuszy, żeby to był dokument, na którym można się oprzeć.

Gość podpisał, jeszcze raz spróbował zmiażdżyć dłoń Juliana i wyszedł.

W końcu maja Julian i Małgorzata zdecydowali się zrobić wycieczkę do Krakowa i przy okazji złożyć wizytę Wiktorowi. Zaproponowali również Edycie, żeby przyłączyła się do nich.

– Upредить go czy jechać bez uprzedzenia? – zapytał Julian, kiedy we troje o tym rozmawiali.

– Nie wypada bez uprzedzenia – powiedziała Małgorzata.

– Ja też tak myślę – poparła ją Edyta.

– Byłem odwrotnego zdania, ale przegłosowałyście mnie – powiedział Julian.

– Ty podchodzisz do spraw typowo po męsku – orzekła Małgorzata.

– Po męsku. Po męsku – powtórzył, przedrzeźniając ją. – Podchodzę praktycznie... Po prostu uważam, że uprzedzając go, powoduję, że on będzie się przygotowywać, a to dla niego duży kłopot. Natomiast można kupić jakieś ciasto, wino i z tym pojechać. W ten sposób nie sprawi mu się żadnego kłopotu. Jak będzie mieszkanie nieodkurzone, to przecież nic się nie stanie...

– Tak, ale jest zasada, żeby uprzedzać – Małgorzata obstawała przy swoim.

– Jest zasada i postąpimy zgodnie z nią... Jeszcze dziś zadzwonię i się z nim umówię – zgodził się bez dalszej dyskusji.

W najbliższą niedzielę wyjechali z samego rana.

Dość długo jechali, rozmawiając o różnych sprawach dotyczących życia codziennego, o błahostkach i planach. W pewnej chwili, gdy byli już za Radomiem, Małgorzacie przypomniało się, że powinna zadzwonić do mamy.

– Denerwuję się, bo wczoraj wieczorem dzwoniłam parę razy i mama miała wyłączony telefon – powiedziała, sięgając do kieszeni.

– Oj, dobrze, że jesteś – powiedziała z radością, gdy usłyszała głos mamy. – Denerwowałam się trochę, że się wczoraj nie zgłaszałaś...

Później była chwila przerwy, w której mama najwidoczniej coś wyjaśniała.

– O jej! Co ty! – Małgorzata zareagowała ze zdziwieniem, robiąc do Juliana jakieś trudne do określenia miny. – Cha! Cha! Ale numer! I jak?

Znów dłuższą chwilę słuchała z otwartymi ustami, po czym, wyraźnie podekscytowana powiedziała:

– Ale to nic się nie pochwaliłaś? Oj, musimy się jutro zobaczyć, to wszystko mi opowiesz...

– Ty wiesz, co się wczoraj stało? – powiedziała do Juliana po skończeniu rozmowy. – Mama wczoraj była z Edwardem w operze na Tosce...

– W operze?

– W operze! A jaka zachwycona...

– Operą czy towarzystwem?

– Chyba i tym, i tym...

– Ale numer.

– Popatrz, popatrz. Coś podobnego... – mówiła zdziwiona.

– Co ty chcesz. Też przecież coś jej się należy od życia. Nie możesz mieć pretensji...

– Ja nie mam pretensji. Wprost przeciwnie...

Jechali jakiś czas, kontemplując w milczeniu tę informację. W końcu Julian powiedział:

– Miałem jeszcze jeden argument, żeby go nie uprzedzać – powiedział, gdy już zbliżali się do Kielc.

– Jaki? – zapytała Małgorzata.

– Jeżeli on się tam źle prowadzi, to byłaby szansa go nakryć...

– Nie. Wiesz, nie podobają mi się takie pomysły...

– Nie? No, Nie wiem... Nie zauważyłaś, że Edyta chyba wiąże z nim jakieś plany albo przynajmniej nadzieje?

– I co z tego?

– To, że im wcześniej go pozna, tym lepiej dla niej...

Długi czas jechali, nie rozmawiając. Julian czuł się trochę nieswojo, gdyż zrozumiał, że jego podejście do tych spraw jest dość grubiańskie.

– Z punktu widzenia czystej logiki jest sporo racji w tym, co mówisz, ale myślę, że jednak to by była ingerencja w czyjeś sprawy... – dyskusyjny temat nadal nurtował Małgorzatę.

W Kielcach wstąpili na kilka minut do państwa Michałowskich. Julian przedstawił Małgorzatę i wraz z Edytą pojechali dalej.

W południe zajechali pod kamienicę, w której mieszkał Wiktor.

Weszli na górę i gdy Julian chciał zapukać, drzwi otworzyły się same.

– Słysząc was było już na schodach – oznajmił Wiktor niezmiernie ucieszony.

Na stole stał przygotowany dość obfity poczęstunek, wino białe i czerwone, brandy, talerze, kieliszki i szklanki.

– Po co robisz sobie tyle kłopotu, Wiktorze? – zawołała Edyta.

– No właśnie, wygląda na to, że Julian miał rację – podsumowała Małgorzata.

– Nie wiem, o czym mowa, ale uważam, że Julian ma zawsze rację – zauważył Wiktor.

Rozejrzeli się po pokoju. Ściany były prawie puste.

– To ty strasznie dużo wywiozłeś tych obrazów... – zauważył Julian.

– Nie wiedziałeś? – zdziwił się Wiktor.

– Edyta mówiła, wiedziałem – wyjaśnił. – Ale co innego słyszeć, a co innego zobaczyć na własne oczy.

– Wiesz, chcieli jak najwięcej, więc zawiozłem tyle, ile weszło do samochodu, ale nie martw się. W pracowni zostało dosyć dużo. Zapraszam od razu, bo przecież Małgorzata nie widziała... Bardzo proszę, chodźcie – mówił z radością.

– Oj! Wiecie co? Pierwszy raz jestem w pracowni malarza... Jak tu świetnie! – zawołała Małgorzata ze szczerym zachwytem. – Jak to wszystko pięknie urządzone. A jak pachnie farbą.

Zaczęła chodzić po całej pracowni i wszystko oglądać, co chwilę o coś pytając. Wiktor chętnie odpowiadał i wszystko tłumaczył.

– O! Ten obraz mi się podoba... O, i ten – rzuciła nieopatrnie parę razy.

Wiktor zaczął zdejmować je ze ścian.

– Po co je zdejmujesz? – spytała zaniepokojona.

– Daję ci je – odpowiedział z radością.

– Nie ma mowy! Co ty! Powieś je z powrotem... – zaprotestowała. – Zresztą one i tak nie wejdą do samochodu.

– Cha! Cha! Ja znam ten samochód. Bitwa pod Grunwaldem by się w nim nie zmieściła, ale te spokojnie wejdą – zaśmiał się.

– Wiktorze, błagam cię, powieś je z powrotem – targowała się.

– Chyba chcesz, żebym się obraził – zagroził.

– No tak. To ja już niczego nie pochwałę...

Mówiąc to, spojrzała na obraz, na którym był tajemniczy ogród, biegnąca kobieta w powłóczystej sukni i jakiś zwierz czający się w zaroślach.

– O na przykład ten jest wprost obrzydliwy... – powiedziała, krzywiąc twarz.

Wszyscy jak na komendę wybuchnęli śmiechem.

– Co się tak śmiejecie? Jesteście innego zdania? – zapytała, śmiejąc się wraz

z nimi.

– Tak, bo ta obrzydliwa postać to Edyta – wyjaśnił Julian.

– Edyta??? – powtórzyła niezmiernie zdziwiona. – No tak. Twarzy w tym mroku nie da się rozpoznać, ale sylwetka... rzeczywiście... Ale dlaczego Edyta?

– A dlaczego Wiktor nie miałby namalować Edyty? Uważam, że ona jest doskonałym obiektem... – przekomarzał się Julian.

– Edyto, ja cię strasznie przepraszam... To był żart... Ja wcale tak nie uważam...

– Cha, cha. Ja wiem, nie gniewam się... – odpowiedziała Edyta ze śmiechem.

– A wiesz, są dwa takie obrazy. Wiktor jeden namalował dla mnie, a to replika tamtego...

– A jak twoje sprawy w Paryżu? – zapytał Julian, zwracając się do Wiktora.

– Wiecie, aż się boję mówić, żeby nie zapeszyć. Pan Chretien bez trudu sprzedał dwa moje obrazy. To go zachęciło i zrobił mi wystawę... To właśnie na nią zawiozłem tyle obrazów. No i okazało się, że jest spore zainteresowanie. Nawet pokazały się w prasie dość przychylne recenzje...

– No, Wiktorze, gratuluję! – zawołał Julian, podszedł do niego, objął go i mocno przycisnął do siebie. – Nawet nie masz pojęcia, jak ja się cieszę... Wiktorze, naprawdę! Jestem z ciebie dumny! Rozumiesz? Dumny jestem z ciebie...

– On wam nie powiedział, ale jego wystawę obejrzał nawet minister kultury... – wtrąciła Edyta. – To naprawdę duży sukces.

Małgorzata oglądała obrazy jeszcze przez kilka minut, po czym przeszli do mieszkania i usiedli przy stole.

Wiktor napełnił kieliszki i zaczął częstować przekąskami. Julian wziął w dłoń kieliszek z winem, wstał i uroczystym głosem powiedział:

– W takim razie proponuję, żebyśmy wypili za zdrowie naszego mistrza. Wiktorze, cieszymy się razem z tobą, że twój talent się nie zmarnował, że nareszcie został doceniony, i życzymy ci, żebyś nadal odnosił sukcesy i żeby się spełniały wszystkie twoje marzenia.

– Bardzo dziękuję – powiedział Wiktor, wstając nieco zawstydzony. – Ale bardzo cię proszę, usiądź, naprawdę wyolbrzymiasz te moje rzekome sukcesy... Wcale nie jestem takim dobrym malarzem, tylko akurat dopisało mi szczęście, że spotkałem takich ludzi jak wy, którzy mi pomogli... Naprawdę nie macie pojęcia, jaki jestem szczęśliwy, ale nie z tego powodu, że ludzie kupują moje obrazy, tylko dlatego, że nareszcie po tylu latach mam prawdziwych przyjaciół... Tyle lat przeżyłem odizolowany od świata, nie mając kontaktu z normalnym życiem i normalnymi ludźmi, i to jest moje największe szczęście, że spotkałem was... Siadaj, Julianie, piję zdrowie was wszystkich.

– Wiecie, ja też tak to oceniam jak Wiktor. Często właśnie tak myślę, że ta nasza znajomość jest czymś wyjątkowym, że to prawdziwa przyjaźń – powiedziała

Edyta i zaczęła pić wino.

– Ale wiecie, co wam powiem? – ponownie odezwał się Wiktor, spoglądając na Juliana. – Uważam, że prawdziwie wybitnym człowiekiem jest Julian. Nigdy nie interesowałem się sprawami gospodarczymi i polityką, ale kiedyś przypadkiem posłyszałem w radiu, jak jakiś dziennikarz bardzo pozytywnie wyrażał się o Julianie... Wiecie, przy mojej pracy radio nie przeszkadza, więc od tamtej pory ciągle je włączam i słucham. Muszę powiedzieć, że Julian staje się coraz popularniejszą postacią... I to popularną w dobrym znaczeniu, ponieważ potrafi bez patosu, w prostych słowach mówić o wielkich sprawach, a co ważne, jest w tym przekonujący. W tym, co mówi, jest wielka logika i brak demagogii. Nie tak jak u tych hipokrytów, których tam pełno. Oczywiście, ma trochę zaciekleńców wrogów, ale to jest margines. To są ludzie, którzy są głodni władzy, gotowi zrobić każde świństwo, byle się do tej władzy przybliżyć. Oni są nastawieni na totalną krytykę wszystkiego i wszystkich... To tacy typowi faryzeusze, o których Chrystus powiedział, że widzą drzazgę w oku swego brata, a belki we własnym oku nie dostrzegają... – na chwilę przerwał, szybko zaczerpnął duży łyk wina, bojąc się, że ktoś inny zabierze głos, nim on dokończy, i powiedział: – Na początku byłem do Juliana wrogo nastawiony, ponieważ raziło mnie to, że ojciec powierzył wszystko tak młodemu człowiekowi i dał mu ogromną władzę. Uważałem, że zwariował. Jednak obserwując wyważoną i mądrą politykę Juliana, stopniowo doszedłem do wniosku, że on się po prostu do tego urodził. Teraz podziwiam ojca, że potrafił tak trafnie wybrać swojego następcę...

– Mam propozycję – powiedział Julian, gdy tylko Wiktor zrobił przerwę. – Skończmy tę część oficjalną, przypominającą partyjne zebranie, i zacznijmy rozmawiać jak zwykli ludzie.

– Dobrze Julianie – powiedziała Edyta, podnosząc kieliszek. – Ja jeszcze chciałam coś powiedzieć, ale po twoim apelu rezygnuję.

Powiedziawszy to, wypiła do dna.

Po wystąpieniu Wiktora Julian zaczął odczuwać trudny do określenia wewnętrzny niepokój. Wyraźnie czuł, że nosi w sobie coś złego. Przypomniało mu się, jak się czuje człowiek, który wie, że jest w nim wroga tkanka, która rozwija się poza wszelką kontrolą. Teraz odczuwał, że coś takiego tkwi w jego duszy, i bał się, że to może się rozwijać, niszcząc jego psychikę.

– Przepraszam – powiedział, wstając. – Chcę tam jeszcze trochę pooglądać...

Przeszedł przez pokój, wszedł do pracowni, zamknął za sobą drzwi i usiadł na kanapie.

Siedział chwilę, czując w klatce piersiowej dziwne drżenie. Drażniło go to do tego stopnia, że nie potrafił skupić swoich myśli na żadnym temacie. Wstał i zaczął nerwowo chodzić po pracowni, patrząc bezmyślnie na obrazy.

Nie mogąc znaleźć uspokojenia, wyszedł na korytarz. Popatrzył w prawo

w kierunku klatki schodowej, którą tu przyszli. Popatrzył w lewo, gdzie korytarz ciągnął się dużo dalej. Postanowił pójść w tamtą stronę i zwiedzić tę część budynku. Gdy przechodził koło drzwi od mieszkania Wiktora, usłyszał za nimi radosny śmiech Małgorzaty. Chwycił go za serce jakiś nieokreślony żal.

Poszedł kilkanaście kroków dalej. Po lewej stronie były takie same drzwi jak do pokoju Juliana. Słysząc było za nimi cichą muzykę. Dalsza część korytarza wyglądała, jakby nikt z niej nie korzystał. Po prawej stronie stała bardzo zniszczona rozpadająca się szafa i były tam jeszcze jedne drzwi. Zauważył, że są niedomknięte. Uchylił je bardziej i popatrzył do środka. Było to nieużywane, bardzo zniszczone pomieszczenie. Na środku stała brudna, zakurzona szafa, a na niej siedziały dwa gołębie. Zobaczywszy go, głośno zatrzepotały skrzydłami i wyfrunęły przez wielkie okno bez szyb. Przymknął drzwi z powrotem i poszedł dalej. Doszedł do jeszcze jednych drzwi i zajrzał w szparę. Okazało się, że jest za nimi nieużywana klatka schodowa. Zdjął z haków żelazną antabę i otworzył je, a następnie zszedł pół piętra niżej. Porozglądał się trochę i poszedł na sam dół. Były tam bardzo stare spróchniałe drzwi z grubych, nieobrobionych, źle dopasowanych desek. Zorientował się, że to wyjście na przeciwną stronę w stosunku do ulicy. Otworzył staroświecką wielką metalową zasuwę i wyszedł na zewnątrz. Jego oczom ukazało się spore podwórko, zarośnięte krzakami i zielskiem. Stał tam rząd komórek z zapadniętymi dachami.

Przedzierając się przez chaszcze, poszedł wzdłuż rzędu komórek i doszedł do murowanego, dość wysokiego płotu, w którym jedno przeszło dawno się rozsypało. Wgramolił się na kupę gruzu i rozejrzał się dookoła. Okazało się, że mur stoi na dość stromo opadającym zboczu porośniętym rzadkim lasem. Daleko w dole było widać płataninę torów i jakąś stację kolejową. Równoległe do muru kilka metrów niżej biegła wąska ścieżka.

Zsunął się po stromiźnie i stanął na ścieżce, rozglądając się dookoła. Zza zakrętu wyszła Jadwiga Więckówna, jego koleżanka z liceum. W tamtym czasie była chuda i brzydka. Teraz stała się dwudziestoparoletnią przystojną, pociągającą kobietą. Miała na sobie obcisłe, okropnie zniszczone szarobure buty z wywiniętym mankietem, sięgające kawałek powyżej kolan, brudną ciemną skórzaną krótką spódniczkę i podobną kamizelkę. W przerwie między spódniczką a obuwiem widać było trochę poplamione pistacjowe rajstopy, a pod kamizelką takąż trykotową bluzkę. Całości dopełniał kapelusz z wielkim powyginanym rondem i strusim piórem.

„Biedna dziewczyna” – pomyślał. – „Nie stać jej na nowsze ubranie...”.

– O! Michał! Nareszcie jesteś. Już się bałam, że nie przyjdiesz... – zawołała i uśmiechnęła się, machając ręką.

– Co to za dworzec? – zapytał, nie wiedząc, co ma mówić i jak się zachować.

– To Niebuszewo – odpowiedziała i podeszła do niego.

Wyraźnie poczuł zapach „Masumi”.

– Niebuszewo? – powtórzył. – A co to takiego?

– Dzielnica Szczecina – spokojnie wyjaśniła.

– Ach tak – powiedział oszołomiony silną wonią jej „Masumi”. – Ale co ty tu robisz? Przecież zaraz po maturze wyjechałaś na obóz i utopiłaś się w jeziorze...? – zapytał zdziwiony.

Jadwiga zarzuciła mu ręce na szyję, pociągnęła w dół, tak energicznie, że aż się nachylił, i mocno pocałowała go w usta.

– Cha! Cha! Cha! Czy tak całuje martwa kobieta? – spytała, śmiejąc się szyderczo. – Chcesz zobaczyć ten dworzec z bliska? To się przelecimy... – dodała.

– Jak to?

– Mam tu motolotnię. Chcesz się przelecieć?

– Czy ja wiem... – odpowiedział niepewnie.

– Chodź, zobaczysz... Mam tu też swoją restaurację i lotnisko... – powiedziała i mocno trąciła go barkiem. – I teatr – dodała, uśmiechając się tajemniczo. – No chodź – powtórzyła niecierpliwie i pociągnęła go za rękę.

– To chodź – powiedział trochę speszony i poszedł.

Przeszli około stu metrów. Za zakrętem okazało się, że w zboczu góry znajdowały się drewniane dwuskrzydłowe półokrągłe wrota kilkumetrowej szerokości, przypominające wjazd do tunelu.

Drzwi były otwarte. W głębi było duże pomieszczenie, wyłożone kamiennymi płaskimi płytami. Na środku znajdowało się palenisko zbudowane z kamieni, które kształtem przypominały jakieś kości, a nad nim duży okap, wykonany jakby z fragmentu gigantycznej czaszki z oczodołami. Robiło to niemiłe, a nawet niesamowite wrażenie. Kamiennie ściany łagodnym łukiem przechodziły w strop wzmocniony dziwaczną konstrukcją z żeber i kręgosłupów, niczym z obrazu Hansa Rudolfa Gigera. Po obu stronach paleniska stały dwa stoły z grubymi blatami, wspartymi na czterech czaszkach, z których wychodziły nogi jakiegoś zwierzęcia, a wzdłuż nich ławy o podobnej konstrukcji. W głębi pomieszczenia, w samym narożniku znajdował się niewielki barek z paroma wysokimi stołkami. Za barkiem, na ścianie, widać było regał z najprzeróżniejszymi butelkami. Wszystko w podobnym, budzącym grozę stylu. Ze stropu na żelaznych prętach zwisało kilka lamp.

– Wchodź, śmiało – powiedziała, robiąc przesadny, zapraszający gest.

Jeszcze raz obrzucił ją spojrzeniem i pomyślał, że koleżanka pomimo takiego zniszczonego ubioru wygląda bardzo ładnie i pociągająco, a plamy, dziury i niedbalstwo są efektem zamierzonym.

– Za wielu klientów tu nie masz – zauważył, widząc, że lokal jest pusty.

– Bo to dla specjalnych klientów. Wystarczy jeden na tydzień... Dziś ty nim jesteś – wyjaśniła. – No, wchodź – dodała i popchnęła go do przodu.

W tej samej chwili rozległa się jakaś dziwna skoczna muzyka i zapaliły się reflektory, których dotąd nie widział. Dopiero w ich świetle zobaczył, że pomieszczenie ciągnie się dużo dalej, niż mu się wydawało.

Zobaczył w głębi zwisające ze stropu długie ręce z żyłami i mięśniami na wierzchu, z dłońmi jak macki, trzymającymi olbrzymi podest, na którym grała kapela.

Nie byli to ludzie, lecz jakieś stwory – żywe instrumenty, które same sobą grały. Grały jakąś dziwną, bardzo skoczną muzykę, zupełnie nieprzypominającą niczego, co do tej pory słyszał.

– Dziś ty jesteś moim klientem – powtórzyła.

– To, co mówisz, jest trochę dwuznaczne – odpowiedział po namyśle i badawczo spojrzął jej w oczy.

– Podejdź do baru, a przekonasz się, że się mylisz – powiedziawszy to, poszła za ladę, wyjęła spod niej dwa gliniane kufle, zdjęła z półki pękatą butelkę i naląła do nich złotego płynu. Następnie przeszła na drugą stronę lady i usiadła na wysokim stołku.

– No podejdź, śmiało... To wszystko jest na twoją cześć – zachęciła go i wyciągnęła w jego kierunku dłoń. – Spróbujesz miodu...

– Wszystko, co mówisz, jest dwuznaczne – powtórzył, nie ruszając się z miejsca.

W tej samej chwili z drzwi na końcu sali wybiegł tanecznym krokiem sznur dziewcząt i chłopców, ubranych w dziwaczne, bardzo kolorowe stroje, ni to ludowe, ni to historyczne, niektóre przebrane za zwierzęta jak w szkolnym teatrzyku. Scenografii dopełniały zwariowane uczesania lub nakrycia głów.

Barwny korowód wbiegł pod podest z orkiestrą i zaczął tam pisać do rytmu muzyki. Niektórzy z tańczących zaczęli przedstawiać jakieś niezrozumiałe dla Juliana sceny, jakby chcieli mu coś przekazać, inni tarzali się po ziemi, robili salta i rozmaite figury gimnastyczne.

– A lotnia? – zapytał, ociągając się z podejściem do Jadwigi.

– A, lotnia... Lotnia w następnej komorze – wyjaśniła.

Julian był tak zafascynowany widokiem i atmosferą tego onirycznego miejsca, że nie zauważył szyderstwa w jej głosie.

– Chodź, zobaczysz... – dodała i podeszła do niego.

Znów uderzył go zapach „Masumi”, ale tym razem ze zdwojoną siłą.

– To czarodziejskie miejsce... – powiedział, żeby tylko coś powiedzieć.

– Tak, bo ja jestem czarodziejką – powiedziała głosem uwodzicielki i wzięła go za rękę. – Chodź, zaraz pokażę ci lotnię, tylko wpierw napijmy się miodu.

– Nie mam ochoty, chcę już wracać – powiedział stanowczo.

– Nikt cię tu przecież nie trzyma... Ale właściwie to dokąd chcesz iść?

– Do domu.

W tym momencie podbiegła jedna z tańczących dziewcząt, ubrana w obcisły kostium i pomalowana jak zebra, chwyciła go za rękę i pociągnęła w stronę grupy koleżanek.

– Siadaj, napij się ze mną miodu i zaraz cię stąd zabiorę – powiedziała Jadwiga i pociągnęła go w swoją stronę.

Stał chwilę niezdecydowany, trzymany za ręce przez dwie dziewczyny.

– Puśćcie mnie – powiedział proszącym głosem, nie chcąc się z nimi szarpać.

– Puść go – powiedziała Jadwiga do tancerki.

Dziewczyna posłusznie go puściła i odbiegła. Jadwiga też puściła jego dłoń, usiadła przy barze i ponowiła prośbę:

– Siądź, napijmy się miodu i pójdiesz, dokąd będziesz chciał... Sam widzisz, że nikt tu nikogo do niczego nie zmusza.

Julian usiadł i poczuł delikatne drzenie stołka. Poczul się, jakby siedział na czymś żywym, przyjaznym mu. Zauważył też, że stołek jest miękki i ciepły, co dodatkowo zwiększało zupełnie nieznane doznanie.

– Ojej – powiedział zdziwiony tym niewypowiedzianym zniewalającym uczuciem, które nagle go ogarnęło, i sięgnął po miód.

Gdy zaczerpnął pierwszy łyk i odstawił kufel, podbiegła następna dziewczyna, usiadła mu na kolanach, objęła go za szyję, mocno pocałowała go w usta i powiedziała:

– Och, jaka słodycz. Daj jeszcze...

Nim zdążyła znów go pocałować, Julian przekręcił nagle głowę w bok i dziewczyna zamiast w usta, pocałowała go w policzek.

– Świnia, całkiem jak eunuch albo peda! – zawołała i odbiegła.

– Wracaj!!! – groźnie zawołała Jadwiga. – Natychmiast pana przepros! – rozkazała, gdy tylko dziewczyna wróciła.

Dziewczyna dygnęła jak pensjonarka, zrobiła rozbrajającą, niewinną minę, powiedziała „Przepraszam” i odbiegła.

– Nie gniewaj się na nią, ale odebrała twoje zachowanie jako objaw pogardy, jak osobistą zniewagę.

– Przykro mi, że tak się stało... Nie chciałem tego. Nie wiem, dlaczego tak zrobiłem – wyjaśnił.

– No, to następnym razem bądź dla nich łaskawszy... – powiedziała Jadwiga, przechyliła kufel, wypila do końca jego zawartość, postawiła go energicznie na blacie i popatrzyła na Juliana.

Julian też wypił i wstał. W tym momencie odniósł wrażenie, że stołek, na którym siedział, zaskomlił jak pies.

– Usiądź, właściwy spektakl jeszcze się nie zaczął... Dużo stracisz, jeśli teraz wyjdziemy – powiedziała i dłonią pogładziła go po policzku. – Poza tym

wszystkim byłoby bardzo przykro, gdybyś teraz wyszedł...

– Tak uważasz? – zapytał z wahaniem.

– Oczywiście. Przecież tylko raz tu jesteś i więcej już tu nie będziesz. Ten spektakl też może się odbyć tylko raz... Wszystko jest jednorazowe, jak nasze życie.

Julian usiadł z powrotem, ale nastrój pogodnego letniego festynu nagle się ulotnił. Siedział jakiś czas, patrząc bezmyślnie na rozbawioną gawiedź.

– Wiesz, przestało mnie to bawić... Doszedłem do wniosku, że nie ma tu dla mnie miejsca – powiedział po chwili. – Pokaż mi tylko jeszcze swoją lotnię...

Jadwiga podniosła się powoli i objęła go, przyciskając policzek do jego piersi.

– To chodź, skoro tak wolisz – powiedziała z westchnieniem.

– Wiesz, chyba jednak wrócę do domu – powiedział, gdy przeszli kilkadziesiąt metrów.

– Cha, cha. Co ty, Michale. Już dawno przekroczyłeś punkt, z którego nie ma odwrotu – powiedziała z szyderczym śmiechem.

Kilka metrów dalej za gęstą kępą rododendronów były drugie takie same drzwi, lecz zamknięte. Otworzyła jedno skrzydło i powiedziała:

– Pomóż mi, bo to za ciężkie dla kobiety.

Otwierając drugą połowę drzwi, popatrzył do wnętrza i zobaczył małą czerwoną trójkołową gondolę z dwoma fotelami, a nad nią wielkie skrzydło. Z tyłu gondoli znajdował się niewielki silnik z dwupiórowym śmigłem.

– O! Jaka elegancka! – zawołał z podziwem i obejrzał się za siebie.

Na wprost drzwi biegła długa, szeroka, równiutka droga, stanowiąca pas startowy, którego wcześniej nie zauważył.

– Chodź, Michale, przeżyjesz coś o niebo lepszego – powiedziała, biorąc go za rękę i nachylając się weszła pod skrzydło. Pociągnęła go za sobą w kierunku niewielkich drzwi w tylnej ścianie hangaru.

Stali jakiś czas bez ruchu. Ona schylona pod skrzydłem, ciągnęła go w stronę tajemniczych drzwi. Szedł wyprostowany, wahając się.

W tej chwili przypomniała mu się Małgorzata.

– Wracam! A w ogóle nie jestem Michał, tylko Julian! – zawołał i wyrwał rękę z dłoni Jadwigi.

– Chodź, dam ci rozkosz i ukojenie – powiedziała z tajemniczym uśmiechem, wychodząc spod skrzydła i wyciągając do niego ręce.

Odgarnęła na bok wijące się czarne loki, które spadły na jej twarz, gdy była nachylona. Stała naprzeciw niego i uśmiechając się, patrzyła mu w oczy.

Julian dostrzegł w nich głód.

– Chodź... – wyszeptała.

– Jest tylko jedna kobieta, która może mi to dać! Ma na imię Małgorzata! –

zawołał, odwrócił się i poszedł wzdłuż pasa startowego.

– Nie idź tam! Tam jest urwisko! – zawołała.

Nagle ocknął się w dziwnych okolicznościach. Uczuł, że jest zawieszony w ciepłej, jasnej, niekończącej się przestrzeni. Czuł się lekki, swobodny i szczęśliwy.

Popatrzył w dół i zobaczył kilka osób, a wśród nich jakąś klęczącą kobietę, żarliwie modlącą się o czyjeś życie. Zrobiło mu się jej bardzo żal i zaczął obserwować tę głęboko poruszającą scenę.

Nie słyszał jej głosu, lecz odbierał jej myśli. Skoncentrował uwagę i po chwili zorientował się, że tą kobietą jest Małgorzata. Jego kochana Małgorzata.

Dostrzegł też leżącego człowieka, a właściwie bezładnie leżące zwłoki, w których rozpoznał siebie.

Obserwując to, wszystko zrozumiał, ale żal, jaki się w nim zrodził, absolutnie nie był związany z nim, lecz z Małgorzatą. Chciał jej pomóc, pocieszyć, powiedzieć, że nareszcie znalazł ukojenie i jest mu tu dobrze, lecz nie wiedział, jak jej to przekazać.

Słyszał, jak Małgorzata prosi o ratunek: „Boże, jeżeli nie możesz go uratować, to zabierz i mnie... Błagam, nie zostawiaj mnie tu samej, nie odwracaj się od nas...”. Zaczęła szlochać.

Posłyszał koło siebie jakiś zmartwiony głos.

– Panie, ja nie wiem, co mam z tym człowiekiem zrobić... – mówił głos. – Jego dusza figuruje w wykazie pod dwoma nazwiskami...

– Jak to? Przecież u nas błędy się nie zdarzają... Błędy to sprawa ludzka – spokojnie odpowiedział drugi głos.

– Jednak raz się zdarzył i u nas, Panie. Ta dusza w jednym miejscu figuruje jako Michał Jurski, a w drugim jako Julian Podhorecki... Nie wiem, co mam teraz z nią zrobić?

– Jeżeli jesteś pewien, że tak jest, to nie przyśpieszaj biegu wydarzeń. Zatrzymaj go jeszcze na ziemi, a czas wszystko wyjaśni.

W oddali dało się słyszeć głos sygnału karetki pogotowia ratunkowego. Z każdą sekundą głos stawał się coraz silniejszy...

